ZIEMIA I JÉJ MIESZKAŃCY

Ziemia i jéj mieszkańcy.

Opisy malownicze

krajów, ludów i obyczajów; z najcelniejszych autorów ojczystych i cudzoziemskich, oraz własnych prac

zebrał

Stanisław Stroynowski.

Z wieloma rycinami.

Wydanie drugie.

WARSZAWA.
NAKŁAD FERDYNANDA HÖSICK.
1881.

Дозволено цензурою.
Варшава 7 Іюля 1876.

Przedmowa.

Jedném z głównych zadań literatury naukowej tegoczesnej jest niewątpliwie popularyzowanie nauki. Rozumiemy pod tém nie wykładanie jej w sposób przystępny, bo takie zadanie literatura naukowa miała zawsze, ale przedstawianie jej w sposób ożywiony, obrazowy, zajmujący, tak, iżby książkę czytano nie tylko z przekonania, iż zawarte w niej rzeczy wiedzieć potrzeba, ale iż jej czytanie bawi i sprawia przyjemną rozrywkę. Nie wchodząc w to, o ile takie traktowanie nauki pożyteczném jest i być może dla uczących się, z takiem wymaganiem czytającej publiczności wypada się rachować, mając na uwadze, że niemasz w dziedzinie jekiejkolwiek nauki szczegółów suchych i bezbarwnych: że takiemi one stają się dopiero w skutek wykładu; i że publiczność czytająca ma wszelkie prawo żądać od nauczyciela, proszącego jej o posłuchanie, czyli pisarza, występującego przed nią z książką, iżby prawił jej swoją rzecz tak, jak słuchać ona jest usposobioną, zwłaszcza kiedy tych nauczycieli obecnie ma tak wiele, iż może bardzo między nimi przebierać.

W takiej myśli ofiarujemy naszej publiczności obecne dzieło. Jest to geografja w obrazach, zarysy krajów, miejsc i zamieszkujących je społeczności ludzkich. Kreśląc je, tłómacząc z obcych i dobierając z naszych pisarzy, mieliśmy na celu podawanie najistotniejszych wiadomości geograficznych obrazowo i w sposób, że się tak wyrazimy, malowniczy, któryby w czytaniu sprawiał rozrywkę. Chcieliśmy słowem podać

wykład nauki, któryby nie był jej wykładem, że tak powiemy, urzędowym, z katedry, którego słuchać należy z obowiązku, ale opowiadaniem, pozyskującem uwagę o ile jest przyjemném i zajmującem, lecz które przytém trzymałoby się zawsze na gruncie nauki i traktowało o rzeczach, niewychodzących za obręb tej nauki.

Oczywiście, nasze dzieło wymaga uprzedniej znajomości przynajmniej elementarnej geografji. Posiadającym takową, a zatém całej prawie publiczności, która szuka i znajduje rozrywkę w czytaniu, pochlebiamy sobie, że podamy szereg obrazów, mogących posłużyć do odcieniowania i ukolorowania tych rysów konturowych, jakie pozostają po wykładzie nauki elementarnym. Będzie to przeto uzupełnieniem wielkiej i ważnej nauki ziemioznawstwa, które każdy myślący i żądny oświaty człowiek pozyskuje, przez czytanie opisów miejscowości i podróży, albo, co nierównie jest lepszem, lecz nie każdemu danem w dostatecznej mierze, badanie tego i sprawdzanie w podróżach i spostrzeżeniach własnych. W naszem dziele chcieliśmy zebrać i podać w jednej książce te opisy, które, żądny takich wiadomości, czytelnik odnajdywać musi po wielu bardzo dziełach i to w większej części obcych.

Żeśmy przedsięwzięli rzecz dobrą i pożyteczną, temu zdaje się nikt niezaprzeczy, pomimo że wzoru dla naszej pracy nieznaleźliśmy w naszej literaturze, a szukać go musieliśmy u obcych. Czy zaś dopełniliśmy naszego zadania dobrze, to rzecz inna. O tém powiemy tylko, że staraliśmy się zrobić jak najlepiej; a jak zrobiliśmy, niech sądzi i wyrokuje publiczność. Zarzucić nam można niezupełność i to najsłuszniej; lecz takie dzieło będzie zawsze niezupełnem, choćbyśmy go rozszerzyli nie na dwa, lub trzy, ale nawet na dwadzieścia i trzydzieści tomów. I wtedy znajdą się miejscowości i społeczności, które będą mogły się odezwać: „Jesteśmy na ziemi, w tej a tej części świata, w tej a tej okolicy; że i u nas są rzeczy ciekawe, świadczy taki a taki

łaskawy podróżnik. Dla czegóż niema o nas wiadomości w obecnem dziele?“ Takich zarzutów, bardzo uzasadnionych, uczynić nam można bardzo wiele. Na wszystkie jedna odpowiedź: że w tej objętości, jaką daliśmy obecnej naszej pracy, więcej się pomieścić nie dało; zaś gdybyśmy objętość tę powiększyli i niewiem ile razy, zawszeby znalazło się aż nadto o czem pisać; bo jeśli systematyczny wykład geografji, przy jakiemkolwiek rozwinięciu przedmiotu, zabiera wiele miejsca i w szczupłym obrębie zamknąć się nieda, to tem bardziej takie obrazy geograficzne, które nasuwają się bez liku i końca, a wszystkie ciekawe i zajmujące.

Moglibyśmy wprawdzie i nieosiągając zupełności, której osiągnąć niepodobna, zrobić jednak dzieło nasze zupełniejszem niż jest, nawet i w tej jego objętości, przez pomnożenie w niem artykułów, a coraz większe ich skracanie; lecz w takim razie ucierpiałaby pełność każdego pojedyńczego artykułu; wtedy byłoby więcej wiadomości, a mniej obrazowania; więcej rysów, a mniej cieniowania i kolorowania i rzecz byłaby mniej ożywioną, a więcej suchą. Woleliśmy przeto dać mniej opisów, ale żeby każdy z nich był pełniejszym, a nadewszystko lepiej wycieniowanym i miał więcej życia, a przeto większą obudzał i przyciągał uwagę

Drugi zarzut, uzasadniony tylko na pozór, zrobić nam można w tem, że podajemy niektóre opisy, nakreślone już zbyt dawno. Na to odpowiadamy, że w ogólności czerpaliśmy ze źródeł jak najświeższych. Opisy tłómaczone z obcych pisarzy są wszystkie daty, jeśli nie dzisiejszej, to nie dalej jak wczorajszej. Ale pragnęliśmy, o ile można więcej, dać miejsca opisom, skreślonym przez naszych mistrzów i skreślonym niepospolicie. Gdzie obrazy ich okazały się już przestarzałe i nieodpowiadające czasom obecnym, tam je odrzucaliśmy, jako należące już nie do teraźniejszości, a do przeszłości, nie do geografji, a do historji; lecz gdzie od czasu, kiedy one były kreślone, nic się niezmieniło, lub tak mało, że obraz i w obecnej chwili przedstawiał zupełne podobieństwo, tam

kładliśmy go śmiało, nie bez pewnych wszakże poprawek, gdzie tego okazała się potrzeba.

Takie dzieło nie mogło żadną miarą obejść się bez illustracji, jak to najwłaściwiej jest przyjętem w teraźniejszych wydaniach, za pomocą drzeworytów w tekscie. Wybór ich jest dziełem naszego nakładcy, a wykonanie, jak się zdaje, nieustępuje innym współczesnym publikacjom. Ta część dzieła, nader ważna, ufamy że pozyska uznanie publiczności.

Warszawa, Październik 1876.

St. Str.

Spis rzeczy.

I. Obrazy ziemi w ogólności.

		Str.
1.	Ziemia (z ryciną)	1
2.	Siłą pary objedziemy do koła całego świata	3
3.	Morze	5
4.	Burza na morzu (z ryciną)	7
5.	Cisza morska	9
6.	Przypływ i odpływ	10
7.	Prądy morskie	12
8.	Działanie morza na brzegi	16
9.	Okręt (z ryciną)	18
10.	Nurek i jego przyrządy (z ryciną)	21
11.	Życie w morzu (z ryciną)	23
12.	Epoki kamienna bronzowa i żelazna	26
13.	Budowy nawodne	28
14.	Trzęsienia ziemi	31
15.	Wulkany (z ryciną)	37
16.	Wiatry	48
17.	Deszcze	53
18.	Klimat zwrotnikowy	59
19.	Burze zwrotnikowe (z ryciną)	62
20.	Trąby wodne i lądowe (z 2ma rycinami)	64
21.	Lasy pierwotne	67
22.	Zimna podbiegunowe	69
23.	Zorza północna (z ryciną)	75
24.	Lody biegunowe (z ryciną)	77
25.	Lodowce (z ryciną)	81
26.	Pieczary (z ryciną)	85
27.	Świat roślinny i źwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi	87
28.	Rośliny uprawne w różnych szerokościach	90
29.	Rozmaitość środków pożywienia	93

II. Obrazy Azji.

Str.
30. Syberja 95
31. Kirgizy i ich życie (z ryciną) 102
32. Kaukaz, Baku i ognie święte (z ryciną) 106
33. Smyrna 110
34. Damaszek 112
35. Cedry na Libanie (z ryciną) 119
36. Jerycho, Jordan i morze Martwe (z ryciną) 123
37. Jerozolima (z 2ma rycinami) 128
38. Synai 139
39. Beduini 141
40. Mekka (z ryciną) 145
41. Persowie 146
42. Łaźnie i haremy na Wschodzie 149
43. Wyżyny Azji środkowej 150
44. Himalaje i źródła Gangesu 152
45. Indje, Ganges, Kalkutta 154
46. Benares 158
47. Ceylon 160
48. Chiny, Pekin (z ryciną) 163
49. Życie chińskie 169
50. Hongkong 172
51. Japonja, Jedo (z 2ma rycinami) 174
52. Wulkany błotniste i siarkowice na wyspie Jawa 180

III. Obrazy Afryki.

53. Kanał Suez 184
54. Aleksandrja (z ryciną). 187
55. Kair 191
56. Uroczystość mahometańska w Kairze 195
57. Piramidy (z ryciną) 199
58. Nil (z ryciną) 203
59. Abissynija 206
60. Sahara (z ryciną) 210
61. Maroko (z ryciną) 213
62. Ofiary ludzkie w Dahome (z ryciną) 218
63. Kafrowie Zulu 222

IV. Obrazy Ameryki.

64. Eskimosy w Grenlandji z 2ma rycinami) 224
65. Niagara 228

Str.
66. Z Nowego Jorku przez Detroit i Cincinnati do Nowego Orleanu . . 231
67. Czikago 234
68. Sekty religijne w Ameryce północnéj 236
69. Równiny Ameryki północnéj 239
70. Indjanie w stepach Ameryki północnéj 242
71. Żegluga po rzece Mississipi (z ryciną) 245
72. Kopalnie złota w Kalifornji (z ryciną) 249
73. Miasta w Meksyku (z ryciną) 253
74. Andy 255
75. Lima i wyspy guano (z ryciną) 257
76. Równiny Ameryki południowej 261
77. Amazona 266
78. Dzień pod równikiem w Brazylji 268
79. Rio Janeiro i kopalnie djamentów w Brazylji 271
80. Butikudy w Brazylji 274
81. Buenos Ayres 275
82. Cieśnina Magellańska (z ryciną) 276

V. Obrazy Australji.

83. Australja 279
84. Pastuchy australijscy (z ryciną) 283
85. Kopalnie złota w Australji 288
86. Dzicy australijscy (z ryciną) 291
87. Wyspy Otaickie i Hawajskie 295

Ziemia i jéj mieszkańcy.

1. Ziemia.

Na pierwszy rzut oka ziemia, ze wszystkiemi wypukłościami i wklęsłościami swojéj powierzchni i rozlanemi na niéj wodami, przedstawia wszędzie wielką okrągłą płaszczyznę, po za krańcami której niemasz więcéj nic. Niebo wygląda jak wydęta kula nakrywająca, a raczej obejmująca w około tę płaszczyznę. Tutaj wschodzi i zachodzi słońce, raz wczesniéj drugi raz późniéj, już to po lewej, już po prawéj stronie jakiéj znanéj góry lub gmachu, robi się dzień i noc, lato i zima, w nocy świeci księżyc i gwiazdy i nie zdają się one być zbyt wysoko nad naszemi głowami. —

Toby nam wystarczało, gdybyśmy nie chcieli wiedzieć o ziemi coś więcéj. Zastanówmy się przeto nad tym przedmiotem. Jeżeli ktoś wyjedzie z domu, by dosięgnąć ostatecznéj granicy ziemi, dojść do punktu, w którymby mógł, że tak powiemy, pochwycić ręką gwiazdy, może jechać kędy mu się podoba: przez Niemcy lub Rossję, Europę lub Azję i t. d. wpośród Mahometanów i narodów pogańskich, lądem i wodą, lub też wodą i lądem. Aż w końcu, gdy po długiéj podróży znużony usiądzie pod drzewem i rozważy, wiele on to przebył miast, drog i pól, dziwnie mu się wyda jakaś okolica znajoma, jakieś drzewo, które mu się przypomina; a kiedy dobiegnie do jego uszu dźwięk ojczystéj mowy, przekona się zupełnie i ze smutkiem, że w swojéj podróży objechał wielkie koło, że próżno silił się na rzecz niepodobną i że zamiast zajechać aż do gwiazd, wrócił do tegoż samego miéjsca zkąd wyjechał.

Już wielu podróżników odbyło podobne wokoło ziemi objazdy. W ciągu od dwóch do czterech lat, a koleją i statkiem parowym jeszcze prędzéj, okrążali oni kulę ziemską. Cook, angielski kapitan marynarki, dwa razy puszczał się na taką wyprawę i za każdym razem wrócił do miéjsca, z którego wyjechał. Za trzecim razem pokuszenie zuchwałe przypłacił życiem na wyspie Owaihi.

Z tych podróży i z innych jeszcze danych o ziemi, uczeni przekonali się, że nie jest ona płaszczyzną, ale kulą; że zawieszona w nie-

zmierzonej i bezgranicznéj przestrzeni pomiędzy słońcem, księżycem i gwiazdami, krąży jednostajnym ruchem, nieoparta na niczem; że wszędzie na niéj, tak na lądach, jako i w wodach, żyje i rozwija się właściwy i rozmaity do nieskończoności świat roślinny i źwierzęcy; i że nareszcie wszędzie ją zamieszkują ludzie. Niepodobna przypuścić, iżby z powodu jéj okrągłości część stworzeń obrócona była na niéj głową w dół i przez to mogła spaść niewiedzieć gdzie: Takie przypuszczenie byłoby śmiesznem. Wszędzie siła ciężkości, siła dośrodkowa przyciąga wszystkie ciała do ziemi i niepozwala od niéj się odłączać. Choć nazywamy to, co jest pod naszemi nogami, dołem albo spodem, a to, co jest nad naszemi głowami, górą albo wierzchem, mimo to wszyscy na ziemi w jednakowem zostają położeniu: Czy mieszkają na dolnéj, czy na górnéj półkuli, wszyscy mają pod nogami ziemię, a nad głowami jasne niebo i iskrzące się gwiazdy.

Czytelnik niemało się zdziwi, posłyszawszy po raz pierwszy, jak wielką jest owa kula. Średnica jéj wynosi 1720, a obwód 5400 mil geogr.; powierzchnia ma 9 miljonów mil kwadrat. Z téj trzy czwarte zajmują wody, a tylko jedną czwartą część lądy. Bryłowatość ziemi obliczają na przeszło 2662 miljonów mil sześciennych. Uczeni sprawdzali to wielokrotnie i o obszarze ziemi powiadają jako o rzeczy nieulegającéj żadnéj wątpliwości. — Nikt jednak dotychczas nie zbadał, co utrzymuje tę olbrzymią massę ziemi w przestworze, co dało ziołom i źwierzętom pierwiastkowo siłę rozmnażania się, jakim zbiegiem szczególnych okoliczności powstał pierwszy człowiek? O tém wszystkiem nauka milczy, a mówi podanie.

Jeżeli teraz wzniesiemy się nad ziemię i coraz wyżéj będziemy się piąć ku jasniejącym gwiazdom, ujrzymy zjawiska jeszcze więcéj godne podziwienia: Gwiazda powiększy się naprzód jak księżyc, potem jak wielki krąg, a nareszcie jak niezmierna kula. Światło jéj złagodnieje, bo się rodzieli na większą przestrzeń, a nawet w pewném oddaleniu już ujrzymy na niéj góry i doliny; i w końcu wylądujemy na drugą podobną jak nasza ziemię. Ta ostatnia zaś, znajdując się naówczas pod naszemi nogami, wyda się mniéjszą i jasniéjszą, bo światło jéj więcéj się skupi. W pewném oddaleniu przedstawi się ona naprzód jak wielkie koło, potem jak kula bilardowa, a wreszcie jak inne widzialne dla nas ciała niebieskie; stanie się błyszczącą gwiazdeczką i między nią a jéj siostrzycami nie znajdziemy różnicy. Ziemia zatém jest ciałem niebieskiém podobném do niezliczonych innych. —

Ale spuśćmy się niżéj, zbliżmy się ku macierzystéj ziemi. Coraz się ona powiększa i nareszcie przedstawia się jak olbrzymia kula, unosząca się w przestworze. Znajdując się obok niéj w pewném

oddaleniu widzimy, jak ta kula obraca się nieustannie w około; widzimy bieguny ziemskie, zawalone piętrzącemi się lodami, jak srebrzysto jaśniejące massy; rozróżniamy już nareszcie pokrywające jéj powierzchnię obszary wód i ciemne pasy stałego lądu, mniéjsze morza i niezliczone wyspy i wysepki. Teraz oto zwróciła się ona do nas półkulą, zwaną starym światem. Widzimy Azję z jéj ogromnymi na południu półwyspami i rozrzuconemi u wschodnich brzegów wyspami i wysepkami, których niezmierna massa składa osobną część świata, Australję. Na zachodzie uczepiona, przyrosła do niéj, jakby tworzyła z nią jedną całość, mała i różnokształtna Europa, na południe zaś wisi pod nią, oddzielona głęboko zachodzącem w ziemie morzem, Afryka ze swojemi strasznemi pustyniami. Drobny rąbek lądu, zaledwie dojrzany z daleka, łączy ją z Azją: to przesmyk Suez. W około falują wody morza: Na północy ocean Północny lodowaty przesuwa szybko swoje ogromne pływające góry lodu: na wschodzie bałwani się ocean Wielki zwany także bardzo niewłaściwie Spokojnym, na zachodzie ocean Atlantycki, na południu ocean Indyjski.

I znowu ziemia zwraca się inną stroną. Tam oto rozciąga się, od jednego aż prawie do drugiego bieguna, ląd Ameryki. Części jego górna i dolna, odpowiadające takimże częściom starego świata, spięte są wąziutkim pasem: to przesmyk Panama. Po obu stronach, na wschodzie i zachodzie, zalegają nieprzejrzane obszary oceanów, rozdzielające świat stary od nowego. Tylko północna część lądu biegnie ku Azji; a jako drogoskazy, łączące ten zachodni ląd ze wschodnim, ciemnieją tu i owdzie pasma drobnych wysepek między Ameryką północną, a Azją i Ameryką południową a Australją.

Według Hebela.

2. Siłą pary objedziemy dokoła całego świata.

Z wynalezieniem żeglugi i jazdy parowéj, usunęły się przeszkody do wielkiego przedsięwzięcia, jakie dało tytuł obecnego rozdziału. Człowiek stał się panem czasu i przestrzeni.

Już temu przeszło trzy i pół wieki, 20 Września 1519, Fernao de Magelhaens na czele eskadry, składającéj się z pięciu małych statków, wypłynął z portu hiszpańskiego San Lucar na zachód, dla szukania nowéj drogi do bogatych w korzenie wysp Molukskich. Był on pierwszym, co przepłynął cały ocean Wielki i od wschodu dostał się do wysp Filipińskich. Tam dzielny mąż znalazł śmierć w walce z krajowcami. Gdyby nie ten zawczesny koniec, byłby

on pozyskał sławę pierwszego żeglarza, co objechał cały świat; a tak sława ta została udziałem jego towarzysza Sebastyana d'Elcano, który, na ostatnim pozostałym statku Victoria dnia 6 Września 1522, powrócił do portu San Lucar. Na opłynięcie ziemi potrzeba mu było lat trzech bez dni czternastu. —

A dziś? —

Dziś od przylądka Północnego nad oceanem Północnym, aż do wód równikowych i daléj aż do oceanu, oblewającego lody bieguna południowego, para opanowała wszystkie wody słone i trudno znaleźć port, mający byle jakie znaczenie, który byłby pozbawiony stałéj kommunikacji ze wszystkimi innymi, za pomocą parowéj żeglugi. Podróż taka, na jaką towarzyszowi Magellana potrzeba było trzech lat, teraz odbywa się wygodnie i ze wszelką pewnością w ciągu 90 dni. Jakiż urok ma to wyrażenie: W ciągu dni 90 objechać całą ziemię. —

Wykonajmy zatém myślą tę przejażdżkę na około świata.

Wsiadamy na statek parowy w Marsylji. W ciągu dni 6 zanosi on nas do miasta Aleksandra Wielkiego: do Aleksandrji. Ztamtąd dojeżdżamy do Portu Said, u wejścia do kanału Suezkiego. Panuje tu wielki ruch. Mała osada na wydmie piaszczystéj dziś jest znaczném miastem, mającém 16,000 ludności. To miasto łączy dwa morza: Czerwone i Śródziemne, przemysłową Europę z bogatą w płody naturalne Azją. Wpływamy na morze Czerwone, zmierzając do Aden. Droga przez to wązkie morze niezmiernie przykra, z przyczyny wirów i mnóstwa podwodnych skał. Tu przez cały rok wieją tylko dwa wiatry: północny i południowy, co bardzo nie sprzyja okrętom żaglowym. Lecz parowiec zwalcza wszelkie przeszkody i w ciągu dni 5 po wypłynięciu z Port Said jesteśmy w Adenie. Zbudowany na kraterze zgasłego wulkanu, Aden stał się dla Anglji drugim Gibraltarem wschodnim, strzegąc drogi do Indji przez morze Czerwone. Godną jest podziwienia siła, która włada na tym małym kawałku ziemi, w położeniu szczęśliwem, ale otoczoném zewsząd przez pustynie, które zamieszkują narody dzikie i barbarzyńskie. Cieniste drzewa, źródło świeżéj wody i choć najuboższa zieloność są zbytkiem nieznanym na téj skale, gdzie powietrze drga od gorąca, jak gdyby wychodziło z rozpalonego pieca. A pomimo to mieszkają i tu Europejczycy, przywykli do innego życia, wyglądając z upragnieniem statku, a z nim wiadomości ze swojéj ojczyzny. — Z Aden po upływie dni 11 dostajemy się do Point de Galles na wyspie Ceylon, oddawna zwanéj ogrodem ziemskim. Ta wyspa drzew cynamonowych w ostatnich dopiero czasach nabrała większego znaczenia, pod względem ekonomicznym i handlowym; do

czego przyczyniły się niemało swoboda handlu i stała kommunikacya przez parową żeglugę; albowiem w Ceylon schodzą się drogi pomiędzy Kalkuttą, Bombayem, wyspą Maurycego, Singaporem i Australją. Ztamtąd po 24 dniach przez Melbourne dostajemy się do Sidney, teraźniéjszéj stolicy kwitnącéj osady w Nowéj Południowéj Walji, dawniéj miejsca wygnania zbrodniarzy. Ztamtąd po 7 dniach dostajemy się do Nowéj Zelandji, téj australijskiéj Wielkiéj Brytanji. Po zwiedzeniu jéj lodowców, jéj gorących źródeł, jéj pól dymiących siarką i jéj wygasającéj, niegdyś ludożerczéj, ludności Maorisów, wsiadamy znowu na nasz parostatek i po przebyciu w 32 dni największego na ziemi oceanu, dostajemy się do portu San Francisco. Tu rozstajemy się na pewien czas z morzem i jedziemy daléj koleją żelazną oceanu Spokojnego, którą ukończono 8 Maja 1869, pędzeni parą, to w wysokościach podobłocznych, to po nad krawędziami niezgłębionych przepaści, to przez niedostępne skaliste wądoły, szerokie doliny, po nad bystre potoki i przez wnętrza ogromnych gór. — Pociąg, nabity ludźmi z najdalszych krajów, przelatuje puszcze, wydające się bez końca i zanosi posiewy oświaty i cywilizacji do siedlisk dzikich Indjan, szakali, niedźwiedzi, bawołów i antylop. Przestrzeń, wynoszącą 3300 mil angielskich od San Francisco aż do Nowego-Jorku, przebiegamy w ciągu dni 10. Ztamtąd także w 10 dni dostajemy się na powrót do Marsylji i oto cała podróż na około świata ukończona. —

Wszędzie posługiwaliśmy się parą. Nigdzie nie przesiadaliśmy się na okręta żaglowe i na wózki konne. Tak więc cała ziemia opasaną została smugą pary. Podróż odbywa się prawie z szybkością myśli, pewnie i bezpiecznie. Zaś koszt jéj, licząc za miejsce 1 klassy, wynosi około 2000 rs.

Według Wolkenhauera.

3. Morze.

Temu co nigdy niewidział morza, przedstawia ono widok porażający. I nie dziw; bo wieleż to ludzi, udawszy się po raz pierwszy ze swojéj rodzinnéj wioski do miasta, podziwia nieznane, niewidzialne w swojéj okolicy rzeczy. — Dla nich i niezwykłéj wielkości staw i rzeka już są uderzającém zjawiskiem. Cóż dopiero kiedy ujrzą bezmiar morza, z jego ogromnemi bałwanami!

Stoimy tedy nad przestrzenią nie objętych okiem toni wodnych, których ogrom uderza szczególniéj patrzącego na nie z wysoka. Szare, modre, zielone, lub jeszcze inaczéj lśniące się ich przezrocza, obok których każda woda słodka wydaje się mętną, ciągną się aż

do końca widnokręgu tak, iż niebo zdaje się na nich opierać. Gładkie jak źwierciadło, lub téż zwijające się w pieniste fale, wody ciągną się w odległość bez końca i żadna góra, żaden pagórek, żadna wyniosłość nie przerywa jednostajnéj ich powierzchni. Choć w zupełnym spokoju, podnoszą one z głuchym szumem, jakby z przytłumionym rykiem, swoje ogromne fale, z któremi ani dadzą się porównać fale jakiéj, nawet wielkiéj, rzeki lub jeziora, rozbijając niemi brzegi wysokie, a zalewając na daleką przestrzeń nizkie.

Lecz oto zawiał silny wiatr i ożywiły się te niezmierne przestrzenie. — Coraz wyżéj podnoszą się wzbijane od wiatru bałwany, coraz głębiéj rozwierają się pomiędzy nimi rozdoły. Góry wodne wznoszą się tak wielkie, jak miéjskie kamiennice i dopadłszy lądu rozbijają się z wściekłością o jego brzegi. Gwałtowny szum wydają rozruszane aż do głębi wody. Aż nareszcie uciszają się wiatry, morze uspokaja się powoli i powraca dawna cisza.

Teraz wstępujemy na pokład okrętu, kruchym deskom powierzając życie. — Pragniemy dojść tam, gdzie kończy się ta niezmierna przestrzeń wód. Już rozpięto żagle i podniesiono kotwicę. Sterujemy, gdzie nasze oczy widzą tylko nieskończoność. Coraz prędzéj bieży nasz okręt. Coraz daléj unosi on nas od ojczystych brzegów. Już widać tylko szczyty wielkich gmachów i wież; już zaledwo krzyże kościołów słabo zaznaczają się na widnokręgu. I one rozpłynęły się w powietrzu. Jeszcze szarzeje ciemna massa lądu i już tylko sinawy pasek mgły pozostał. Wytężamy wzrok. Tam gdzieś daleko tkwi jakiś punkcik, coraz bardziéj maleje i wreszcie wszystko znikło. Gdzie spojrzeć, wody i wody. —

Więc może w jakiéj innéj stronie przed nami zarysuje się nowy ląd. Nic i nic. Woda i woda. Gdzie się obéjrzysz, wszędzie szklista powierzchnia ztyka się ze sklepieniem niebios. Okręt, woda i niebo: oto wszystko co się przedstawia naszym oczom. —

Nieznane uczucie trwogi przenika nas do głębi. Rankiem opuściliśmy ląd stały; teraz już dzień ma się ku końcowi i nigdzie nie widać żadnego punktu oparcia. Już i noc. Gwiazdy zasiały niebo, odbijając się w źwierciadlanéj powierzchni morza. Zdaje się nam, że płyniemy w pośród dwojga niebios, mając jedno nad sobą, a drugie pod sobą. Ryby śmigają w głębi wód. Ogromny potwór morski okrąża pod wodą nasz okręt. Uciekają przed nim drobne rybki, wyskakując po nad wodę na swoich podobnych do skrzydeł płetwach. — Wtem nowe niespodziane widowisko: Cała powierzchnia wód pokryła się błyszczącymi punkcikami. Przed okrętem i po za okrętem widać jaskrawe smugi ognia. To znane żeglarzom zjawisko świecenia morza. —

Nadchodzi czas spoczynku. Kładziemy się; ale myśl o niebezpieczeństwie spania, nad taką niezgłębioną otchłanią, nie pozwala nam zmrużyć oka. Nareszcie usypiamy. Budzi nas kołysanie się okrętu. Jeszcze zmrok panuje na całéj przestrzeni; wybiegamy jednak szybko na pokład, aby powitać ów ląd, do którego musiał wreszcie zanieść nas okręt, idąc szybko całą noc. Lecz niestety! I dziś widzimy tylko niebo i wodę. Zdaje się, że mgła ranna zakrywa przed nami szare zarysy ziemi. Lecz oto coraz się rozjaśnia i nie widać nic. Na wschodzie coś płonie. Z łona wód powstaje zwolna i majestatycznie słońce i kiedy wychyliło całą swoją tarczę, promienie jego, wytknąwszy sobie na przejrzystéj powierzchni ognistą drogę, biegną aż ku naszemu okrętowi. — Mgły podnoszą się z morza i zakrywają widok. Zdaje się wtedy, że wypłynęliśmy na jakiś strumień i że wkrótce przybijemy do brzegu. Mgła coraz ustępuje, widnokrąg się rozjaśnia; ani śladu wymarzonego lądu; woda i tylko woda. —

Tak przechodzi dzień jeden i drugi i trzeci. Oswajamy się powoli. Po nocach marzymy, że jesteśmy na lądzie w ojczyznie. Rano z przebudzeniem się, kołysanie okrętu przypomina nam zawsze jednostajną rzeczywistość. Płyniemy cały tydzień, potém drugi i dowiadujemy się wreszcie, że jesteśmy na połowie drogi przez ocean Atlantycki do Ameryki. Wyobraźcież sobie: co to jest za ogrom ów ocean powszechny, który oblewa całą ziemię. —

A. B.

4. Burza na morzu.

Groźny dla żeglarzy nadszedł poranek. — Niebo pokryło się ołowianemi chmurami, morze przybrało barwę czarną, wiatr porusza z łoskotem masztami okrętu i w jednéj chwili cały widnokrąg przybrał pozór tak straszliwy, iż najstarsi i najdoświadczeńsi żeglarze poglądają na niebo wzrokiem trwożnym. Pozatykano wszystkie otwory i już w nocy zwinięto wyższe żagle. Okręt śmiało pruje pieniste bałwany, rozbijające się z hukiem o jego boki.

W południe wiatr ustał i nastała cisza tem dziwniéjsza, że niespodziana. Powietrze nadzwyczaj ciężkie, trudne do oddychania. Słońce i całe niebo zabarwiły się czerwono. W dali no południo-zachodzie zarysowuje się mały czarny obłoczek, nagle podrasta, rozszerza się i już objął prawie pół nieba. Rozlega się komenda: „Na swoje miejsca! Zwinąć żagle!“ Jak ptaki majtkowie pną się na maszty, żagle zwinięto i złożono. „Żywo do roboty!

Burza nadchodzi!“ Załoga okrętowa pośpiesznie spełnia rozkazy. Wtém tuż nad widnokręgiem pojawia się oślepiająca biała smuga, w powietrzu drżącém rozlegają się tajemnicze złowróżbne odgłosy, jak głuche huki trąby, rozkołysane wysoko i pieniące się morze zbliska ma barwę czarną, a w większéj odległości bieli się jak śnieg, bałwany zataczają ogromne kręgi i biegną ku okrętowi, zdaleka daje się słyszeć wycie jakby dzikich źwierząt — nadchodzi burza morska. —

Burza na morzu.

Pierwsze gwałtowne uderzenie wiatru pochyliło okręt na bok tak, iż jego reje dotknęły wysoko wzdętych bałwanów; ale doskonale obmyślany budynek stanął znowu w równowadze i zaczął siłą się przebijać przez zagradzające mu drogę bałwany. W powszechnem przerażeniu dały się słyszeć słowa: „Bogu dzięki“. Niema jednak czasu do namysłów: znowu wichry uderzają w okręt, na ciemném niebie krzyżują się ogniste błyskawice i rozlegają się grzmoty. —

Spiętrzone bałwany wdzierają się aż na pokład okrętu, deszcz leje jak z wiadra i tak jest ciemno, że o kilka kroków nic nie widać. Zdaje się że wcześnie noc zapadła. Kapitan, przemokły od podwójnéj ulewy deszczu i morskich bałwanów, stoi wytrwale na swoim mostku, wydając rozkazy. Burza wzmaga się z gwałtownością. Noc coraz ciemniéjsza; tylko błyskawice rozjaśniają na chwilę nieprzeniknione ciemności, dając widzieć wzburzone morze, pietrzące się wysoko jak góry bałwany i rozwierające się między niemi przepaście, w pośród których okręt przymyka się jakby cudem.

Około północy wiatr zaczął powoli ustawać. Niebo się wyjaśniło. Po pewnych oznakach okazało się, że burza uniosła okręt daléko na stronę, ku brzegom Afryki. Rozwinięto przeto wszystkie żagle, aby oddalić się od nich na pełne morze i ujść grożącego u tych brzegów niebezpieczeństwa. Udało się wreszcie pokierować okręt ku północo-wschodowi. Wprawdzie silny wiatr chylił go gwałtownie na bok, ale dobrze zbudowany okręt opierał się mu i pruł wzdęte bałwany. Znużeni majtkowie mogli pokrzepić się spóźnioną wieczerzą, ale o spoczynku myśleć było nie można. Przestrach opanował i najśmielszych. Podróżni leżą na wiszących matach; bo przy ciągłem, to zapadaniu się okrętu w otchłań, to podnoszeniu się jego gdzieś wysoko, nie mogliby ustać na pokładzie. —

Wreszcie nastał poranek. Podróżni wyszli z kajut. Kapitan powitał ich wesołem: „Dzień dobry!“ Starają się uspokoić; ale widok rozburzonego morza i ciągle piętrzących się jego bałwanów jeszcze trwoży podróżników, nieobytych z takiemi przejściami. Cóż znaczą siły ludzkie w obec rozhukanych żywiołów? Co znaczy rozum ludzki w obec potęgi przyrody? Oddać się trzeba na wolę losu, niezapominając wszakże, że Bóg jest panem wszelkiego stworzenia i że w Jego rękach spoczywa ludzkie życie. —

Według G. Wollnera.

5. Cisza morska.

Nie tylko burza zagraża okrętowi i jego załodze; cisza również jest dla nich niebezpieczną. Dla tego żeglarze unikają starannie tych części oceanu, w których wiatry nie wieją wcale i gdzie powierzchnia morza jest gładką, bez zmarszczek, jak nie ruchoma tafla szkła. —

Skoro okręt dostanie się do téj części morza, staje jak wkopany. Z głębi dobywają się zaduchliwe, nieczyste wyziewy

i zarażają powietrze. Majtek ze strachem widzi zbliżającą się małą rybkę, sternika, przesłańca żarłocznego wilka morskiego, który płynie zawsze za okrętami, blizkiemi zatraty. Podróżnik, widząc zbierające się dokoła okrętu wilki morskie, z przerażeniem myśli o smutnym losie, jaki go czéka. Ale i te wreszcie oddalają się od okrętu, jakby zwątpiwszy o dostaniu z niego dla siebie zdobyczy. Wtedy serca najmężniéjsze napełnia głęboki smutek. Czeka ich zatem los jeszcze okropniéjszy, niż pożarcie przez wodne potwory. —

Stan się pogorsza. Już oto woda słodka w beczkach uległa zepsuciu, mięso zgniło, chléb zpleśniał, okręt obsiadają rozmaite owady, wierci go przeróżne robactwo.. Brakuje tylko zgniłéj febry, na którą ludzie mrą w kilka dni. I ta się w końcu zjawia; padają ofiary jedna po drugiéj. Rozpacz owładnęła wszystkimi. —

Któż będzie tym nieszczęśliwym, co przeżyje wszystkie spodziewane nieszczęścia? Takie pytanie zadaje sobie każdy, zazdroszcząc towarzyszom wczesnéj śmierci. —

Nareszcie wymierają po koleji wszyscy. Wtedy zrywa się nagły wicher i wynosi okręt na pełne morze.

Obca fregata napotyka pędzący okręt, który nie wywiesza żadnéj flagi i na robione mu zapytania nie daje żadnej odpowiedzi. Strzelają do niego ślepym ładunkiem. Nic to nieznaczy. Posełają mu na ostrzeżenie mimo kulę armatnią; i ta niewywołuje żadnej odpowiedzi. Wtedy myślą że to statek rozbójniczy: strzelają do niego na prawdę. Kule robią w nim straszne wyłomy; lecz on się nie broni. — Wreszcie kapitan fregaty wysęła szalupę. — Na pokładzie niemasz nikogo; tylko w kajucie znajdują jednego trupa i zapieczętowaną flaszkę, a w niej złożony dziennik nieszczęśliwéj podróży. —

W. F. A. Zimmermann.

6. Przypływ i odpływ.

Codzienne dwukrotne wzbieranie i opadanie morza, zwane także przypływem i odpływem, jest zjawiskiem zwyczajnem we wszystkich krajach, położonych nad oceanem i obejmuje największą przestrzeń na pobrzeżach nizkich. Całą Hollandję i przyległe jej wyspy morze dwa razy na dzień to zalewa o mało niezupełnie, to równie daleko z nich ustępuje. W czasie przypływu wzbierają wyższa i niższa Skalda, zasilone wielą strumieniami i tak powiększone rzeki łączą się z nabrzmiewającem morzem. We wszystkich

licznie przerzynających kraj kanałach woda również przybiera. Poczem za nastąpieniem odpływu, wszystkie te potoki pędzą gwałtownie do ustępującego morza, jak w rozdołach po silnej ulewie.

Wtedy lądy zaczynają wychylać się z powodzi i przestrzeń ich coraz się powiększa. Dokoła każdej wyspy wynurza się szeroki pas ziemi, na który niebawem wybiega mnóstwo ludzi, uganiających się za krabbami, czyli morskimi rakami i innemi pozostałościami morza. Morski szlam pookrywał miejsca kwitnące roślinnością. Zwykle po odpływie poziom morza zniża się na 15, a niekiedy na 20 stóp. —

Wreszcie nastaje równowaga i spokój. Zdaje się jakoby wszystkie potoki, tak gwałtownie pędzące przy odpływie, zamieniły się w stojące jeziora. Ale po krótkim przeciągu czasu znowu wraca zwykły stan. Morze powoli przybiera. Wody słodkie walczą z powodzią; powstaje ztąd pewien silny wir; nakoniec ocean zwycięża, obejmuje wszystko w olbrzymie ramiona i wkracza we wszystkie otwory lądu. Wielkie i małe kanały wypełniają się aż po brzegi, niektóre występują z brzegów; szerokie ławy piaszczyste, będące przedłużeniem dna morskiego, kryją się znowu w jego falach, rybacy, poszukiwacze ostryg i krabbów i przechodnie umykają po za tamy i groble, wszystkie wyspy zmniejszają się o połowę, pobrzeża lądów znikają pod wodą, zaś części ich wyższe stają się wyspami, ogromne tamy portowe, niedawno tak wysokie, teraz ledwo wystają z wody, okręt, na którym płyniemy, podnosi się w górę i z pokładu jego widzimy daleko rozlegający się po za tamami kraj nizki, przerzynające go i zawarte w wysokich sypanych brzegach kanały wezbrały tak, iż pływają po nich wielkie okręta. Wszystkie statki w czasie odpływu osiadłe na mieliznach i pochylone smutnie i nieruchomo na bok, teraz się ruszają, prostują i zabierają do biegu, jak chorzy wróceni do zdrowia i wychodzący na świeże powietrze; w portach ruch niezwykły: rozwijają żagle i niezliczone łodzie przewożą od jednego do drugiego brzegu podróżnych i towary. Większe okręta, czekające w ujściach rzek na przypływ, teraz z rozwiniętemi żaglami dostają się do wnętrza kraju.

Odpływ przedstawia jeszcze rozmaitsze widoki, aniżeli przypływ. Tam oto, oparty bokiem o mielizny, spoczywa wielki okręt, daléj, jak rzesza nędzarzy, ciągnie pstry zastęp mieszkańców pobrzeża: okryte gałganami dzieci, poszukiwacze muszli i krabbów dążą na świeżo wynurzone przestrzenie piaszczyste za połowem. Z przypływem są w związku tylko możni i bogaci wysyłający swoje ładowne okręta w otwartą dla nich drogę; odpływ wyrzuca

połów dla biednych. Rozkrywa on skarby morza, które przypływ kryje pod swojemi wodami. Teraz ukazują się na jaw piękne konchy i różne poczwary morskie, które podczas przypływu chowają się na jego dnie. — Tam znowu sterczą resztki zatopionego okrętu, w promieniach słonecznych lśnią korale i zioła, rosnące na dnie morskiem. Nawet w powietrzu rozbudza się z odpływem większe życie; gromady ptactwa zlatują się na oschłe niziny szukając na nich obfitego żeru. Mewy, kuliki i bociany polują na robactwo morskie. W czasie zaś przypływu siedzą one spokojnie po za tamami, obżarłszy się do syta ułowioną zdobyczą.

Według Kohla.

7. Prądy morskie.

I morze ma swoje żyły wodne, przebiegające jego niezmierne cielsko, tak jak rzeki przebiegają massy lądowe. Są to prądy morskie które płyną, jak rzeki stale w swoich korytach i ograniczone są brzegami także z wody, które wyróżniają sie od bieżącego potoku tem, że zostają na miejscu. —

Największym i najwspanialszym z tych prądów jest Równikowy, który okrąża całą kulę ziemską w jéj największéj szerokości i płynie tak szeroko, że nawet w pośród morza zajmuje przestrzeń tak wielką, jak żadna na lądach rzeka, stanowiąc znakomitą część tegoż morza. Żaden inny prąd ani może iść z nim w porównanie. Dążąc w kierunku przeciwnym wirowemu ruchowi kuli ziemskiéj, podobnież jak i odpowiadający mu prąd w atmorferze, znany pod nazwą wiatrów statecznych, idzie on od wyniosłych i skalistych brzegów Peru i Chili, w które się nie wrzyna żadna głębsza zatoka, przez cały ocean Wielki aż do archipelagu Indyjsko-Australijskiego, który stawi mu pierwszą tamę. Wdziera się pomiędzy jego liczne i gęsto rozsiane wyspy i rzuca się na wschodnie brzegi Azji, ryjąc je głębokiemi zatokami. On to pewnie poprzebijał te wązkie i niebezpieczne cieśniny, które dzielą Nową Hollandję od Nowéj Gwinei, tudzież Borneo, Celebes i Jawę, pod któremi w głębi morza granitowe skały łączą z sobą te wyspy wystające, jak olbrzymie szczyty podwodnego pasma gór, zasłaniającego potężnym wałem południowe brzegi Azji. Dostawszy się do oceanu Indyjskiego, rzuca się on na wyspy Ceylon i Madagaskar, gdzie bardzo często piękne i bogato ładowne okręta zanosi na skały, mielizny i najniebezpieczniejsze dla nich rafy koralowe. Dobiegłszy wschodnich brzegów Afryki i niemogąc iść daléj, dzieli się na dwoje. Jedna jego

część okrąża przylądek Dobréj Nadziei, druga rzuca się w morze Czerwone. Nie darmo ciasny do niego wchód został nazwany Wrotami śmierci (ciesnina Babel-mandeb). Nie darmo stoi przed nim słup z napisem: Strzeż się (przylądek Guardafuj). Jakoż baczność wielka przy wyjściu z morza Czerwonego. Nie jeden statek, trzy i cztery razy rzucony został tam na powrót, zanim udało mu się przebyć te groźne wrota, przywarte skaliską wysepką i niemające ani jednego portu. Kiedy w głębiach przezroczystych wód tego morza dają się widzieć całe lasy czerwonych korali, całe zbiory najpiękniéjszych i najrozmaitszych muszli, pomiędzy któremi przesuwają się leniwe żółwie i żwawo przemykają się pstre ryby; często ich spienione fale unoszą téż szczątki rozbitych okrętów. Daléj, jak od zachodnich brzegów Ameryki ku Azji, tak od zachodnich brzegów Afryki, tenże prąd zdąża przez ocean Atlantycki ku wschodnim brzegom Ameryki, w które uderza również z taką siłą, iżby niezawodnie już przebił granitowy przesmyk Panama, gdyby go niezasłaniał archipelag Wielkich i Małych Antyllów. Jak u wschodnich brzegów Afryki, prąd ten i tu dzieli się na dwoje. Część jego południowa, zakręcając się u brzegów Ameryki południowéj, tworzy prąd brzegowy brazylijski, idący w odległości 200 mil od lądu na południe, a potem wraca ku południowéj kończynie Afryki, zaś część północna przebiega morze Karaibskie i wpada do zatoki Meksykańskiéj, w któréj daje początek nowemu prądowi, zwanemu Zatokowym (Golfstrom). Ten zmierza ku północo-wschodowi, naprzód wzdłuż bregów Florydy i Stanów Zjednoczonych Ameryki, aż do wyspy Newfoundland, na któréj mielizny zbiera się rok rocznie ogromna ilość sztokfiszów i również znaczna ilość statków dla ich połowu. Ztamtąd zwraca się na wschód i około wysp Azorskich, które oblewa w różnych porach roku to od północy to od południa, dzieli się na dwie odnogi; północna idzie do zatoki Biskajskiéj, wykręca się w niéj by oblać brzegi północne Hiszpanji i zachodnie Francji, potem od zachodu oblewa wyspy Brytańskie, daléj Norwegiję, któréj skaliste brzegi poszczerbiła w liczne i głębokie fiordy i wpada do oceanu Północnego. Południowa odnoga od wysp Azorskich zawraca się na południe i część jéj, pod nazwą prądu Gwinejskiego, oblewa brzegi zachodniej Afryki aż do zatoki Gwinejskiéj, bieżąc coraz prędzéj tak, iż niesie okręt 30 mil na dzień. W skutek tego okręta, zmierzające do przylądka Dobréj Nadziei, płyną tym prądem, a wracając ztamtąd trzymają się daleko od brzegów. Druga część od wysp Kanaryjskich zawraca się na powrót ku brzegom Ameryki południowéj i w taki sposób obiega koło dłu-

gości około 4000 mil, ale niewszędzie równie szybko. Obliczono, że statek bez żagli, puszczony na ten prąd, opłynąłby owe koło we trzy lata. W środku jego leży sławne morze traw, jedna z osobliwości Atlantyku. —

Zwrotnikowe promienie słońca nagrzewają w zatoce Meksykańskiéj, jak w olbrzymim kotle, wodę do wysokiego stopnia ciepła. Golfstrom unosi tę wodę ku lądom, mającym wcale odmienną temperaturę i łagodzi ją bardziéj jeszcze, aniżeli wiejące w tymże kierunku ciepłe wiatry zachodnie. Od działania tych obudwu czynników, z których wodny zdaje się nawet być silniéjszym, Europa zachodnia ma klimat tak umiarkowany. Irlandja jest wyspą zieloną, jeszcze dalej na północ wysunięta Szkocja, a szczególniéj wyspy jéj zachodnie, mają też klimat daleko cieplejszy, niżby go mieć mogły pod tąż szerokością, ale w innem miejscu, pomimo wpływu morza. Norwegija daleko jest cieplejszą od Szwecji. — Siedem tygodni Golfstrom idzie z zatoki Meksykańskiéj aż do Norwegji i przez ten czas bardzo mało obniża swoją temperaturę. Dopiero lody biegunowe, wpadające do niego w Maju, ochładzają go cokolwiek i za to w nim giną Zawsze jednak niesie on znaczny zapas ciepła aż do oceanu Północnego. Dzięki jemu niemasz nigdy lodów u przylądka Północnego. Zalegają one dopiero północne brzegi Azji i Ameryki. Zaś swobodnym jest od nich sam środek tego oceanu, który pod samym biegunem nie zamarza i żywi wieloryby. —

Długo przed odkryciem Ameryki dobroczynny Golfstrom przynosił z tamtéj części świata Europie nietylko ciepło, ale i drzewo, owoce i różne siemiona, składając je wiernie na brzegach Francji, Irlandji i Norwegji i dając przez to narodom Europy zachodniéj dowody oczewiste istnienia i to niezbyt daleko, lądów, które wydając takie płody zasługiwały na uwagę. Pomimo to w Europie ciągle utrzymywało się mniemanie, że owe dary morza pochodzą z jakiejś zaczarowanéj i ukrytéj w mgle wyspy, która w taki sposób wabi do siebie lekkomyślnych żeglarzy, aby ich uwieść i pogrążyć na dno morza. Po odkryciu téj ziemi, długo istotnie zaczarowanéj, choć nieukrywającéj się we mgle, powierzano w niéj umyślnie Golfstromowi flaszę i kosze z owocami i te dochodziły w całości brzegów starego świata. —

Ocean Wschodni ma także swój ciepły, podobny do Golfstromu, prąd Japoński, który podobnież łagodzi klimat na wyspach Japońskich, Kurylskich, Aleutskich i na zachodnich brzegach Ameryki północnéj. —

W morzu Środziemnem są dwa znaczne prądy, idące jeden z oceanu, drugi z morza Czarnego. Ocean, przebiwszy pomiędzy

słupami Herkulesa pasmo gór, łączących w tem miéjscu Europę z Afryką, wtargnął na leżące za niém niziny i zalawszy je, utworzył część zachodnią morza Środziemnego. Wschodnią część tegoż utworzyło morze Czarne, niegdyś zatoka a następnie pozostałość oceanu Północnego. Wezbrane od napływających do niego w obfitości rzek, przebiło ono sobie dalsze wyjście tak, jak je widzimy obecnie i oddzieliło w taki sposób Europę od Azji. Jak zaś silnem musiało być to rozerwanie dwóch lądów, okazują liczne i rozmaicie ukształtowane wyspy archipelagu Greckiego. I dziś jeszcze wody morza Czarnego, upływając ciągle do Środziemnego, tworzą prąd dość silny w ciaśninach Konstantynopolitańskiéj i Dardanelskiéj, który następnie idzie około brzegów Małéj Azji i wzdłuż północnych brzegów Afryki aż do ciaśniny Gibraltarskiéj; zaś w téjże ciaśninie wymija go drugi prąd, który tworzy podobnież ocean Atlantycki, wlewający ciągle swoje wody przez tę cieśninę powierzch kamiennéj tamy, która, przegradzając ją w głębi, wiąże dotąd lądy Europy i Afryki. — Ten prąd Atlantyku bieży wzdłuż południowych brzegów Europy. Dla tego wszystkie okręta płynące przez morze Środziemne na wschód, muszą trzymać się brzegów Europy; zaś płynące przez to morze na zachód, muszą trzymać się brzegów Afryki. —

Mnóstwo innych jeszcze prądów przebiega wszystkie morza, krzyżując się w kierunkach rozmaitych; wszystkie zaś one dają się podzielić na zimne i ciepłe. Pierwsze idą od biegunów, unosząc nagromadzone tam lody, które jak ogromne skały kryształowe długiemi i wspaniałemi łańcuchami płyną ku zwrotnikom, gdzie tają pod palącymi promieniami słońca; drugie niosą ciepłe wody zwrotnikowe w strefy zimne. —

Tak morze w nieustannem jest krążeniu na wschodniéj i na zachodniéj półkuli; i na obu półkulach pozostawia tego wyraźne ślady na lądach, których brzegi, zwłaszcza wschodnie, poryło w głębokie zatoki, pokrajało w półwyspy i usiało wyspami. Oprócz tego jeszcze morze, jak olbrzymie wahadło, wykonywa cztéry razy na dzień, w ściśle oznaczonym czasie, ruchy zwane przypływem i odpływem. Są to jakby uderzenia pulsowe olbrzyma, które wstrząsają całem jego ciałem. Bez tych ruchów ani wiatry wzdymające fale, ani mocna zaprawa solą, nieuchroniłyby wód morskich od zepsucia, a wszystkich żyjących w nich stworzeń od śmierci. Tak morze od początku swojego istnienia pracuje bez odpoczynku, jak gdyby było istotą żyjącą. Prądy przebiegają na wskróś całe jego ciało i wszystkie jego części, jak krew po żyłach przebiega od serca po wszystkich członkach i wraca znowu do serca. —

Uderzającą analogiję znajdujemy pomiędzy prądami morza, a odpowiedniemi im prądami w większym, pokrywającym go z wierzchu, oceanie atmosfery. Pilne badania wykazały, że od jednych i tychże pochodzą one przyczyn i podobne zrządzają skutki. Można potem słusznie wnosić, że w tym oceanie atmosfery, którego dnem jest powierzchnia naszéj ziemi, będąca naszą siedzibą, istnieją jeszcze i inne ruchy dla nas niewidome, jak przypływ i odpływ, które widzimy w morzach, a których istnienia w niedostępnych dla nas wyżynach atmosfery, domyślają się tylko niektórzy tegocześni badacze przyrody. Ileż dotąd niewyjaśnionych należycie zjawisk atmosferycznych dałoby się wytłómaczyć przez analogiję, pomiędzy ruchami oceanu powietrznego, a odpowiadającymi im ruchami oceanu wodnego. —

St. Str.

8. Działanie morza na brzegi.

Wznoszące się tu i owdzie skały nadbrzeżne wydają się nam jak olbrzymie szańce, mające na zawsze bronić lądy od morza. Jakże błędnem jest to mniemanie, które niezna potęgi sił działających powoli, lecz nieustannie. Uderzenia bałwanów morskich o brzegi, tak ciężkie, iż skały zdają się drzeć pod nogami, pozostawiają widoczne ślady w ukształtowaniu tych skał. Głębokie w nich rozdarcia, wysokie zwieszone na dół urwiska, pokrajanie ich niekiedy w sposób najdziwniéjszy, świadczą o burzącem działaniu morza. Na brzegach Bretanji i Anglji dawne podania mówią o zatopionych wsiach i lasach, których szczątki dotąd mają być widziane na dnie morza. Całe wschodnie pobrzeże Anglji, od ujścia Tay aż do ujścia Humber, stopniowo się zapada. Obszary lądu mające po kilkaset morgów przestrzeni i teraz od czasu do czasu obrywają się tam w głąb morza. U nizkich pobrzeży pokrywającej te obwały zatoki, wody morza Niemieckiego zajmują swojemi falami zapadający się wielki las, którego drzewa, stojące pniami w wodzie, jeszcze są nienaruszone i wydają jeszcze żywicę. Dziś wzbiera morza na tém miéjscu, gdzie przed laty stał kościołek wsi, która się zapadła. Angielskie miasto Brighton, jeszcze za panowania królowéj Elżbiety, stało tam, gdzie dziś tylko sterczą z morza rzędy palów. Wyspa Chepey przy ujściu Tamizy już nie długo, za lat może jaki dziesiątek, całkiem się zapadnie. Za czasów Henryka VIII jéj kościół był w odległości mili od morza, a dziś stoi on samotny i opuszczony na stromem urwisku. Cmen-

tarz i domki około niego zawaliły się w morze, a ostatnią dotąd jeszcze niepochłoniętą przez nie skałę utrzymuje tylko ludzka sztuka przez kamienne tamy i pale drewniane, wstrzymujące napór grożących zniszczeniem morskich bałwanów. Spustoszenia, wyrządzanne przypływami morza Niemieckiego, okazują pozostałe po nich zatoki Zujdersee, Dollart i Jahde. Na płaskich zachodnich pobrzeżach Jutlandji, walka lądu z morzem toczy się już od lat tysiąca. U brzegów Szleswigu przed laty 600, morze oderwało od ladu wielki i żyzny półwysep północną Fryslandę i zatopiło całkiem tak, iż pozostała z niego tylko mała wysepka; zaś przed laty 200 przypływ zniszczył i tę wysepkę, przyczem znalazło śmierć 600 ludzi. Na brzegach morza Baltyckiego podania mówią o zatopionych ziemiach i miastach, o całym zapadłym kraju Sambji i bogatéj, lecz grzesznéj, Winecie, któréj pyszne gmachy mają dotąd być widziane na dnie morza; o dawnem połączeniu wyspy Rugji ze stałym lądem Pomorza i o gwałtownem oderwaniu od Rugji wyspy Hiddensee. Czasy obecne stwierdzają prawdziwość podania o burzącem tamże działaniu wód Baltyku. Gdzie na nizkich i piaszczystych pobrzeżach jeszcze wdają się w morze porosłe murawą, drzewami i krzakami wzgórza, wszędzie one są podmyte, korzenie drzew są obnażone i dokoła nich leżą oderwane i pokruszone odłamy skał. Gwałtowna burza wyrywa potężne bryły granitu i ciska je na nadbrzeżne tamy, podnosi massy piasku na 50, a nawet 80 stóp w górę i pędzi je od brzegów na odległe lasy. —

Tak wszędy morskie brzegi przedstawiają obraz dzikiego spustoszenia. Stała moc kamienia próżno się opiera słabemu na pozór, przeto iż powolnemu, działaniu żywiołu ruchomego. Nietylko brzegi nizkie i pokłady miękkie, gliniaste i wapienne, niszczą fale morskie; i najtwardsze i najmocniéjsze skały przedstawiają rysy i rozpadliny, któremi morze wciska się do ich wnętrza i w końcu je kruszy, rozsadza i niweczy. Wprawdzie rozbite ich szczęty, wraz z naniesionym przez morze piaskiem, tworzą wały, które służą za tamę następnych powodzi; ale i te na niejaki czas tylko powstrzymują ich spustoszenia; i one w końcu bywają rozburzone i rozmiecone; i nic nieochrania brzegów od wrogiego żywiołu. W najmocniéjszych stojących i wiszących urwiskach skalnych, morze wydrąża głębokie groty. Ze wściekłym rykiem, podobnym do dalekiego grzmotu, wdzierają się jego bałwany pod sklepienia tych grot i ryją je w najdziwniéjsze kształty, podobne do jakichś fantastycznych widziadeł. Tam w wysokich zagłębieniach, jako w niedostępnych kryjówkach, wiją swoje gniazda ptaki

wodne; tam zaledwo mogą dostać się najodważniéjsi myśliwi, czepiając się i pnąc po długich sznurach. —

Według Otto Ule.

9. Okręt.

Jeszcze słońce nie zeszło, kiedy pod mojemi oknami rozległ się silny huk wystrzału z działa. Był to znak, że passażerowie zbierać się powinni do odjazdu. Zabrałem tedy jak najspieszniéj swoje rzeczy i udałem się do portu. Dzień był pochmurny; wystające z morskich toni maszty okrętów wyglądały jak las ogołocony z liści. Flagi przeróżnych barw powiewały w powietrzu; pomiędzy wysokiemi czarnemi tułowami okrętów uwijało się mnóstwo małych łódek i większych łodzi; krzyki majtków, służby okrętowéj, tragarzy i wszystkich nagromadzonych tam przez ciekawość, składały się na hałas i gwar niestrojny, w którym było trudno wytrzymać. Szybko pomknęliśmy się na łódzi ku okrętowi, mającemu ponieść nas na iskrzące się zielonawo morze i po ozdobnych schodkach, spuszczonych na zewnętrznéj ścianie okrętu aż do wody, dostaliśmy się na pokład. Świeży wiatr poranny nadymał żagle i już weszłe, ale jeszcze zakryte przez obłoki, słońce wywoływało lekki ruch w powietrzu. W godzinę wszystko było gotowe do odjazdu. Kapitan zdjął kapelusz i pomodlił się; majtkowie i wszyscy obecni poszli za tego przykładem. Po skończeniu modlitwy odjęto od boku okrętu schodki i ściągnięto do góry i uwiązano wszystkie łódzie. Sternik i locman stanęli u sterowego koła i dano rozkaz wyciągać kotwicę. Majtkowie założyli drewniane drągi w kołowrot i trzymając się ich, poszli mierzonym krokiem i ze śpiewem w koło. Z wielkim trudem i skrzypem kołowrotu wydobyto z dna ciężką kotwicę i wnet okręt się poruszył i sunął powoli i poważnie naprzód. Dwanaście wystrzałów z działa dano z naszego pokładu, na które odpowiedziano podobnież z portu i innych okrętów. I tak ocean Atlantycki poniósł na swoich barkach nasze wątłe czółenko; bo takiem musi wydać się i największy okręt, na jego niezmiernym obszarze. —

Nasz okręt był wielką i piękną fregatą kupiecką, długą na 120, a szeroką na 30 stóp. Miała ona, jak wszystkie okręta morskie, trzy maszty, z których środkowy jest największym i nazywa się wielkim masztem. W języku technicznym marynarki, którego my i inne narody słowiańskie nie mamy, zaś Rossja przy-

jęła od Hollendrów, Grotmast. Maszt przedni nazywa się Fokmast; tylny, Besanmast. Maszt wielki miał wysokości 80 stóp, a nałożone na niego drągi, zwane Stangami, wynosiły prawie drugie tyle, tak, iż wszystko dochodziło wysokości znacznéj kościelnéj wieżycy. Na wielkim maszcie powiewała kolorowa bandera,

Port.

zaś w tyle okrętu, na tak zwanym Flagstoku, flaga miasta Hamburga, z jego wieżami. Oprócz trzech pomienionych masztów, ustawionych w nierównéj odległości, z przodu okrętu wystaje w kierunku zupełnie pochyłym nad wodą, jeszcze jeden maszt długi, zwany Bugsprit, będący dla okrętu prawie tém, czém dla ptaka w locie jest dziób; bowiem jego przeznaczeniem jest rozbijać, a raczéj rozcinać powietrze i w taki sposób torować drogę tułowowi okrętu. Ma on wreszcie także swoje żagle. Pod Bugspritem jest zwykle pięknie wyrzeźbiony i wyzłocony znak okrętu. Nasz miał orła z rosportartemi, jakby do lotu, skrzydłami. Maszty osadzone są w grubym tramie, zwanym Kilem, który stanowi spodnią osnowę okrętu, złożoną z najmocniejszych

balów dębowych. Maszty w górę przedłużają nakładane stangi, by rozpiąć można więcéj żagli. Przy masztach są umocowane poprzeczne stangi, zwane Rejamo. Na nich wiszą żagle. Mnogie setki grubych powrozów, zwanych linami okrętowemi, utrzymują maszty i żagle, aby nie zchodziły ze swoich miejsc, krzyżując się z sobą, jak nici jakiéj tkanki. Każda z tych lin przybija się mocnym drewnianym klinem, lub czopem, do pokładu najczęściéj u boku okrętu.

Pokład podobny jest do płaskiego dachu nad domem i otacza go w około mocne ogrodzenie. Nasz pokład miał czternaście dział, obróconych paszczami w strzelnice dokoła w ogrodzeniu. U przedniego masztu znajdowała się kuchnia, zbudowana w kształcie chatki i wewnątrz wybita blachą, dla zabezpieczenia od ognia. Była ona bardzo małą, a jednak przysposabiało się w niéj jedzenie dla 150 ludzi. Dalej na przodzie znajdował się tak zwany kołowrot, na który nawija się łańcuch kotwicy. Ta zwykle waży od 25, do 30 centnarów. Każdy okręt ma ich po kilka dla bezpieczeństwa. Z przodu i z tyłu kołowrota są luki, prowadzące do sypialni majtków; schody te ubezpieczone są nakryciem i mogą być zamknięte. Po obu stronach wielkiego masztu idą w górę łańcuchy kotwicy, nawijane na mocny żelazny walec. Z przodu i z tyłu tegoż masztu są dwa wielkie otwory, któremi spuszcza się ładunek okrętowy. Ciężkie drewniane nakrycie zamyka je tak szczelnie, że woda wcisnąć się tam nie może. Przy tylnym maszcie są takież otwory i nad niemi wznoszą się wielkie ramy ze wszystkich cztérech stron mające okna, dla wpuszczania światła i powietrza do wielkiéj i małéj kajuty. Szyby w oknach zabezpieczone są mosiężnemi kratami. Nadto są jeszcze inne wielkie okrągłe grube szklanne szyby, osadzone w pokładzie z mosiężnym obwodem. Za masztem tylnym znajduje się koło sterowe, które porusza rudel, i stoją kompasy, zawieszone tak, by przy każdem poruszeniu okrętu były w położeniu poziomem i by przez to ruch igły magnesowéj nie miał żadnéj przeszkody.

Z pokładu górnego na prawo i na lewo, prowadzą schody do pokładu niższego. Na naszym okręcie na lewo za tylnym masztem, zstępuje się do wielkiéj kajuty. Była ona cała wyłożona drzewem mahoniowem. Oprócz światła, wpadającego przez wielkie ramy na pokładzie, miała jeszcze w tylnéj ścianie okrętu cztery okna, które jednak od strony morza zamykane być musiały okiennicami, ażeby ich nie pobiły morskie bałwany. Ściany kajuty zdobiły pistolety i inna broń, ułożona misternie w rozmaite figury, pod samą szklanną ramą umieszczony był stół, podłoga zasłana

dywanem, przytwierdzonym do niéj tak, by się nie ruszał. Nad stołem wisiała piękna lampa złocona; prócz tego na właściwych miejscach wisiały termometr i barometr. Po prawéj i lewéj stronie troje drzwi prowadziły do sypialni i wygódki passażerów. Drzwi nie miały zawiasów, lecz odsuwały się i zasuwały bokiem, chodząc na kółkach w metallowych żłobkach.

Każda sypialnia miała jedno okno okrągłe, w górze dające na pokład, o których oknach już mówiliśmy wyżéj. Łóżka można było podnosić do ściany, aby mieć więcéj miejsca do ubierania się. Każdy podróżny miał osobne łóżko, pod którem stawiał swoją walizę i inne bagaże.

Druga kajuta urządzoną była tak jak pierwsza, tylko mniéj kosztownie. Po środku jéj stał długi stół. Światło wpadało z góry przez ramę na pokładzie. W sypialnych celkach téj kajuty pomieszczają się kapitan, sternicy i passażerowie, którzy mniéj płacą. —

W przedniéj części po środku jest skład żagli i żaglowego płótna; po lewéj zaś i prawéj stronie są małe śpiżarnie. Przez jednę z nich prowadzą schody wdół do średniego przedziału, gdzie leży część ładunku.

Pod kajutami i składami przy przednim maszcie, jest właściwa przestrzeń okrętowa. Przez nią przechodzą trzy maszty aż do kila. Przed przednim masztem znajduje się skład węgli do kuchni. W około wielkiego masztu leżą liny kotwicowe, tamże stoją beczki z wodą i mieści się znaczna część ładunku. W tylnéj części przy tylnym maszcie jest piwnica, główna śpiżarnia i w zamkniętym kącie prochownia.

O ile okręt jest w wodzie, bywa on zewnątrz obity blachą. Wszystkie zaś części drewniane i wszystkie liny oblane są smołą dla ochronienia od zepsucia.

Z podróży G. Wollnera.

10. Nurek i jego przyrządy.

Wydobywanie z wody zatopionych okrętów i połów korali, pereł, bursztynu odbywa się w dzisiejszych czasach sposobem ulepszonym. Dawniéj ludzie, przeznaczeni do podobnéj czynności, kładli na siebie przyrządy zbyt ciężkie. Obecnie przyrząd dla nurka jest niezmiernie skomplikowany.

Kiedy idzie o wydostanie z morza części zatopionego ładunku okrętu, wybierają do tego kilku lub kilkunastu nurków, którzy

zaopatrzeni stosownie, spuszczają się na dno morskie. Z nurkiem, a raczéj z jego aparatem, połączoną bywa rura, wychodząca z pompy, umieszczonéj na okręcie, dla odświeżania powietrza i dawania stosownych rozkazów.

Wynalazek tego aparatu, jak równie i lampy zabezpieczającéj, przypisują francuzkiemu inżynierowi. . . . . .

Nurek w aparacie.

Aparat, zwany Skafander, stanowi obszerne ubranie z jednéj sztuki, obejmujące całego człowieka w korpusie i dochodzące do nóg i ramion. Składa się ono z materji nieprzemakalnéj, a mianowicie kauczuku wulkanizowanego, podszytego wełną. Na nogach i rękach przymocowany on bywa elastycznemi rzemykami tak silnie, że woda w żaden sposób dostać się przez niego nie może. Podeszwy zaopatrzone są w ołowiane albo metalowe tafle, ważące około dwudziestu funtów. Do skafandra przydanym jest

kołnierz bronzowy, zaś do tego przytwierdzony szczelnie hełm, z zabezpieczeniem również od wszelkiego przeciskania się wody. Hełm ma cztery otwory okrągłe oszklone, nadto znajduje się w nim dość wentylatorów, które nurek może łatwo otwierać i zamykać. Wielka szyba szklanna, stanowiąca Wizir czyli stronę, twarzową, jest na szrubie. W pasie aparat ściska się mocnym rzemieniem. Na piersiach umocowywa się płaski metaliczny powietrzo-zbiornik, od którego idą dwie skórzane rurki, służące do wypuszczania zgęszczonego, a wpuszczania świeżego powietrza. Przypływ i odpływ jego nurek reguluje za pomocą dwóch stosownych szrub.

Cały ten aparat jest ciężkim; ponieważ jednak woda jest daleko cięższą od powietrza, przeto ciężar jego pod wodą bywa prawie zupełnie z równoważonym i nieprzeszkadza nurkowi w ruchach tak, że może on chodzić po dnie z wszelką swobodą. Spuszcza on się do morza na linie i za pomocą tejże wydobywanym bywa na wierzch. Z początku ciśnienie słupa wody na nurka jest tak silnem, iż utrudnia mu oddychanie; lecz niebawem płuca przywykają do wdychania wpuszczanego sztucznie powietrza; a skoro następuje zużycie i przeładowanie wydychanego powietrza, dość mu podnieść głowę cokolwiek do góry, a wnet ono wyjdzie, przez urządzone na to wentylatory, na powierzchnią morza, gdzie na ów czas pokazują się bańki.

W ten sposób nurek, posiadający silne płuca, może dwie lub trzy godziny zostawać pod wodą i pracować. Ulatnia się bowiem nadmierne ciepło organizmu i przypływ powietrza reguluje się swobodnie.

Naftowa lampka bezpieczeństwa wynalezioną została umyślnie dla nurków. Łączy się ona z aparatem, wpuszczającym powietrze, którego im głębiéj jest w wodzie tém więcéj potrzebuje.

Za pomocą takich przyrządów robiono w porcie Tulońskim poszukiwiania szczątków wielkiego okrętu Magenta, który tam zatonął przed niedawnym czasem.

S. M.

11. Życie w morzu.

I morze ma swoje góry, doliny i głębokie parowy, napełnione rozmaitym gruzem, szczętami zatopionych okrętów i gnijącemi trupami ludzi i źwierząt. Morze jest nigdy nienasyconym grobem ziemskiego życia. Tam miljony miljonów ciał źwierzęcych ulegają

rozkładowi i skamieniałe ich resztki tworzą ciągnące się milami ławice. Morze jest widownią nieskończonéj dzikiéj i morderczéj walki i ojczyzną najdrapieżniejszych źwierząt. Wieczna nienawiść zamieszkuje te chłodne wody i nieustające zniszczenie utrzymuje niezmierne życie świata morskiego. Tam ciągną gromadami lwy, tygrysy i wilki wodne, krokodyle i olbrzymie węże morskie, pożerające co dnia całe rodzaje innych źwierząt i ryb; tam polipy i meduzy zastawiają swoje sieci, na niebacznie igrające dokoła źwierzątka kręgowe; tam wieloryb pochłania na jeden raz miljardy drobnych rybek i lotne orły i mewy czatują na wyzierającego z wody dla chwycenia powietrza kowala, ze pstremi jak skrzydła motyla płetwami. Tam mieczniki i morskie niedźwiedzie polują na morskie słonie i nosorożce, a pasożytne robactwo czepia się płynących powoli spasłych ryb, by utuczyć się ich tłustością. Wszystko napada i morduje. Nie słychać wszakże ani krzykrów zwycięztwa, ani jęków zwyciężonych i zabijanych. Walka toczy się w tajemniczéj ciszy, którą przerywa tylko plusk wody, lub drgający skok ranionego śmiertelnie źwierzęcia.

Niemniéj dziwny świat roślinny rozwija się w morskiéj głębi. Morze także posiada swoje lasy pierwotne, pełne wijących się latorośli, niezmierzone łąki, porosłe kwiatami różnéj barwy i krajobrazy, jakim nie dorównają żadne widoki lądowe. Żółty mech wije się około ciemno czerwonych krzaków korali, wśród których żegluje rybka, z rozpostartemi jak żagle okrętu płetwami. Jakież dziwne życie jest w tych drzewach koralowych, jakim oślepiającym blaskiem świecą meduzy na purpurowych wierzchołkach wodnych palm, jakie roje iskier sypią się z niebieskich i żółto-zielonych trzcinowych zarośli, jak gdyby ścigały się pomiędzy niemi miljony świecących robaczków. Jakaż obfitość szczególniéjszych muszli, raków i różnych postaci ryb, to brylastych, to podobnych do skręconych wiązek trzcin, to do długich wijących się wstęg. Tu one mają kształt okrągły, tam naśladują wieże z zębatemi szczytami, tam uzbrojone są w rogi i wystające długie kły i piły, tam zakrywają się wypuszczanym z siebie mętnym płynem, tam są gołe z klocowatemi lub podłużnemi głowami, tam porosłe włosami i z głowami okrągłemi. Tu z wytrzeszczonemi szklannemi oczyma, świecącemi niepewnym żółtym półblaskiem, tam w czarnych oczach okazujące prawie ludzki rozum. Możnaby po całych dniach rozglądać się w morskich głębiach i znajdować coraz nowe przedmioty podziwu.

W niektórych miejscach dno morza zalegają gęste pierwotne lasy; krzewy tłoczą się na krzewach, gałęzie ich splatają się jedne

z drugiemi, dno pokrywają drobne wodorośle, czerwone ziółka, ciemno-żółte mchy z jaśniéjszemi włóknami i liśćmi rozścielają wzorzysty kobierzec dla żółwi i ślimaków. Pomiędzy niemi tu i owdzie błyszczą większe krzewy, pozbierane jak płaszcze; po skałach wiją się oliwkowéj barwy mchy, z których wygląda róża

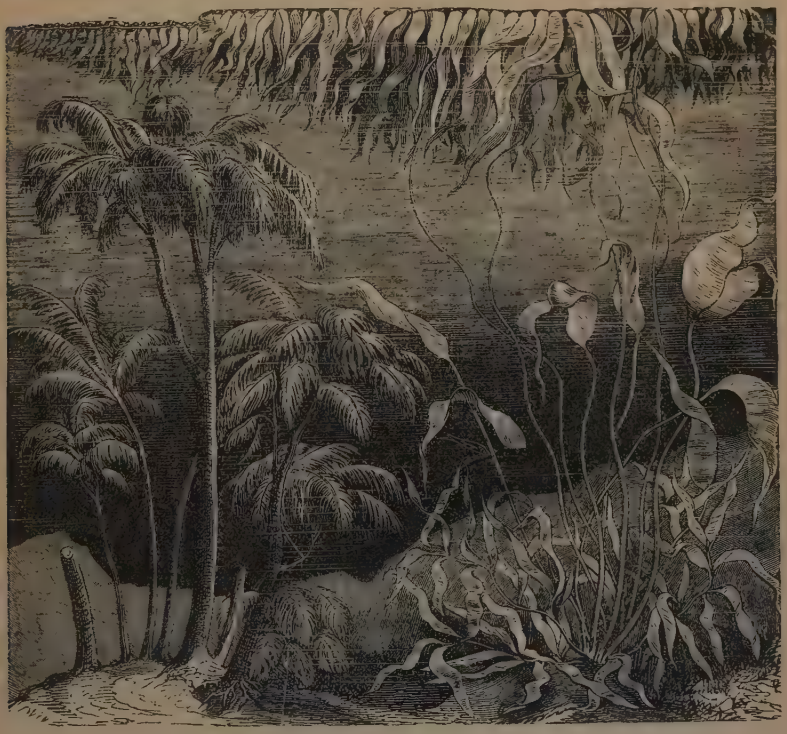

Dno morskie.

morska w całéj okazałości swoich barw. Z pośród najbujniejszych krzewów podnoszą się lilje morskie o barwach mieniących się, to jak olbrzymie wachlarze, to wyciągając z biegiem wody swoje szerokie i długie na wiele stóp liście. Z pomiędzy drzew jeszcze wyżéj, bo na 30 stóp w górę, wznoszą się Laminarje, z podobnież wielkiemi liśćmi; obok nich również wyniosłe Alarje, których pień u góry roizwija się w olbrzymi bo 50 stóp długi liść. Lecz jeszcze

wyżéj, bo do 70 stóp w górę, sięgają drzewa tych pierwotnych lasów, biorące początek od korzonka podobnego do korala, z którego wyrasta pieniek grubości nici, a który z czasem rozrasta się w krzew olbrzymi, wypuszczający liście na 50 stóp długie. To są palmy morskie. I takie lasy wyrastają szybko, tworzą w jakich kilka miesięcy ogromne gęstwiny, potém nagle więdną i niszczeją, zasiawszy nową roślinność.

Po tych lesistych nizinach, błąkają się zębate Gwiazdy morskie i niekształtne Głowacze; żarłoczne wilki morskie upędzają się za igrającemi Makrelami, lub pasącemi się mchem Barwenami. Kołysząca się na morskiéj palmie w słonecznym blasku, morska żmija przypatruje się spokojnie tym dokoła ucieszkom, gonitwom i walkom, lub pogląda z góry myśląco na pasące się w ustronnych miejscach lasu morskie krowy i konie.

I człowiek sięgnął swoją chciwą ręką do głębi morza, już to dla dostania morskiego mchu, z którego popiołu otrzymuje się jod i soda, już to dla połowu z niebezpieczeństwem życia korali. Mieszkańcy Normandji zbierają pływający zgniły morski mech i rozwożą go daleka po swoich polach na nawóz, a Grenlandczycy w pewnych rodzajach tego mchu znajdują i dla siebie i dla swego bydła i owiec na całą długą zimę pożywienie, którego im odmawia ich nieurodzajna ziemia. Któż wyliczy wszystkie dziwy, jakie w sobie kryją ciemne głębie morza.

12. Epoki kamienna, bronzowa i żelazna.

W dziejach rozwoju ludzkości rozróżniają trzy epoki, mianowicie wiek kamienny, wiek bronzowy i wiek żelazny; przeto iż w pomienionych okresach tak broń, jako i wszelkie sprzęty domowe wyrabiano głównie z pomienionych materjałów. Oznaczają też one najwłaściwszy i najprawdopodobniejszy porządek w odkryciach.

Wiek kamienny rozdzielono poźniéj na dawniejszy i późniejszy, wedle postępu w wyrobach, które naprzód były bardzo proste, a potém mniéj więcéj staranne i ozdobne. Użycie kamieni odpowiada w innych miejscowościach użyciu drzewa, kości i muszli.

W niektórych krajach, jak naprzykład w Ameryce północnéj i miejscami w Azji, pomiędzy epoką kamienną i bronzową, pośredniczy jeszcze epoka przechodnia miedziana, w któréj użycie cyny obok miedzi nie było jeszcze znaném. Ten okres przejściowy zdaje się miał miejsce wszędzie tam, gdzie czysta miedź znajduje się

w ziemi niedaleko, jak naprzykład w Ameryce w okolicy jeziora Wyższego.

Livingston utrzymuje, że dla większéj części Afryki nieistniały epoki ani kamienna ani bronzowa, ponieważ negrowie od najdawniejszych czasów umieli topić i obrabiać żelazo.

Cyna rzadko gdzie znajduje się czystą i sama nie może służyć do wyrobów. Należało przeto mięszać ją z innemi kruszcami. Przypadkowe odkrycia i ciągłe doświadczenia, po długich i nieraz bezużytecznych próbach, doprowadziły wreszcie do wynalazku bronzu, z którego wszystkie narzędzia zaczęto wyrabiać lepiéj, doskonaléj i ozdobniéj, aniżeli z saméj miedzi. Rozpowszechniły się téż one więcéj daleko, aniżeli poprzednie kamienne i miedziane.

Okres miedziany przeto był tylko miejscowym, tam mianowicie, gdzie było wiele miedzi. W budowach nawodnych w Szwajcarji nieznaleziono ani jednego naczynia miedzianego.

Wyroby żelazne znaczyły większy nierównie postęp w szmelcarstwie, niż wyroby bronzowe; albowiem chociaż żelazo znajduje się w wielkiéj ilości wszędzie, nigdzie prawie nie bywa czystém, i ten kruszec, jak wiadomo, topi się trudno. Dla tego to użycie żelaza nastąpiło wszędzie późno.

Obecnie żyjemy w epoce żelaznéj. Nigdy jeszcze użycie tego kzuszczu nie było tak powszechném, chociaż w tym względzie nowa teraz nastąpiła zmiana przez to, iż zaczęto wyrabiać z niego coraz więcéj stali. Możnaby przeto epokę obecną nazwać czasem lanéj stali.

Przejdźmy teraz do szczegółów epoki kamiennéj i jéj śladów.

Wszędzie, gdzie tylko człowiek wydobył się ze stanu pierwotnego i rozwinął w sobie zmysł do sztuki, takowa zaczyna się od obrabiania kamieni i narzędzi kamiennych. Szukano czegoś twardego, czemby można było obrabiać miększe drzewo, kości, rogi itd. Jako materjał dla nadających się ku temu narzędzi kamiennych, wybierano kamienie twarde a przytém ciągłe, jakie znajdowano w różnych miejscowościach, mianowicie krzemień, kwarc, serpentyn, bazalt, lawę, obsydjan a szczególniéj nefrit, którego użycie ku temu zdaje się sięgać czasów najdawniejszych. Ten ostatni znajduje się dotychczas tylko w Azji i Nowéj Zelandji.

Naczynia, broń i sprzęty kamienne były daleko prostsze i mniej ozdobne od bronzowych. Wszakże i one różniły się mniéj więcéj wedle czasu, mody i celu użycia.

Najczęściéj znajdują topory, kliny i dłuta. Służyły one i jako narzędzia i jako broń. Do nich też według formy, liczą się rzadsze młoty. Przytwierdzano je do toporzyska, rękojeści, trzonu z drzewa w sposób rozmaity: albo wywierciwszy w tym ostatnim otwór, albo

wbijając w rozszczep i potém przywiązując mocno rzemieniem albo łykiem, a wreszcie wbijając w grubszy koniec jeleniego rogu, mianowicie dłuta.

Po klinach, toporach, młotach i dłutach, znajdują najwięcéj nożów, ostrzów strzał i narzędzi do piłowania. W Europie wyrabiano je głównie z krzemieni, w Meksyku z obsydjanu. Jeszcze długo po odkryciu Ameryki, tameczni Indyanie wyrabiali z tego kamienia doskonałe brzytwy, a nawet widziano z niego bardzo kunsztownie wyrobione manele.

W Szwajcarji znajdowano kamienne narzędzia do rozmaitego użytku domowego z piaskowca i kamienie młyńskie z granitu, wreszcie niektóre ozdoby i amulety.

Kamienie służyły nadto tak w stanie naturalnym, jako i obrobione, oddawna i jako broń dla ciskania, tak z ręki (pod Troją), jako i z procy (za czasów Dawida). Stanowiły one broń bardzo skuteczną i w czasach znacznie późniejszych, nie tylko po wynalezieniu żelaza, lecz i po wynalezieniu prochu; pierwsze bowiem kule były kamienne.

Najpierwszém i najdawniejszém użyciem kamieni było jako broni do ciskania z ręki. Takiéj broni używają dotąd źwierzęta, mianowicie małpy i niedźwiedzie. Ludziom służyły one dla tego w stanie naturalnym. Późniéj zaczęto je obrabiać i dla innych celów, naprzód grubo, a następnie w formach coraz staranniejszych i ozdobniejszych.

B. Cotta.

13. Budowy nawodne.

Nic w równéj mierze nie obudza w nas tyle ciekawości, jak samże człowiek, jego dzieła i ich pomniki. Dla tego ze wszystkich odkryć naukowych najbardziéj zajmującemi dla nas są odkrycia historyczne i zabytki dziejowe; i te im dawniejsze, tém więcéj budzą interesu i ściągają na siebie uwagę. W rzędzie takich zabytków niepoślednie zajmują miejsce odkryte niedawno i będące przedmiotem opisów i badań nauki tegoczesnéj mieszkania nawodne, sięgające zdaniem wszystkich zastanawiających się nad niemi pierwotnych wieków ludzkości, będące najdawniejszemi pomnikami bytności człowieka na ziemi.

Cóż to są przeto te mieszkania nawodne? Prawią o nich i nasze pisma uczone i pragnące za takie uchodzić, ale zwykle jako o rzeczy już wiadoméj, o któréj podają tylko nowe świeżo wykryte lub zebrane szczegóły, a przeto w sposób taki, jak lekarze

mówią z sobą o jakim chorym, co przy najgorętszym naszym udziale dla nas jest niezrozumiałem. Dla objaśnienia przeto całéj rzeczy prosimy naszych czytelników z sobą na miejsce, gdzie zostały odkryte pierwsze takie zabytki.

W Szwarjcarji, niedaleko miasta Zurichu, jest wieś Robenhausen, położona nad jeziorem Pfäffikon. Miejscowość ta, którą niegdyś w znacznéj części pokrywały wody jeziora, ma torfowisko. Wr. 1854 po wydobyciu z niego, na przestrzeni około 40 metrów kwadratowych i do głębokości $1^1/_2$ metra, torfu, odkryto ślady budowy na palach, która zwróciła na siebie pilną uwagę naprzód nadzorcy miejscowéj szkoły P. Messikomer, po nim wnet professora uniwersytetu zurychskiego Dra Kellera, a następnie całego uczonego świata i zaciekawionéj tém słusznie publiczności.

Te najdawniejze zabytki osiadłych mieszkańców Europy nie przedstawiają nic osobliwego. Są to jamy, około 4 decimetrów kwadratowych, napełnione błotnistą wodą, z któréj wystają cienkie pale drewniane. Po wyczerpaniu wody okazuje się ich więcéj i obejmują one kwadrat, będący jak się zdaje posadą chaty, W środku jéj stojące pale zapewne podpierały dach. Pale są zwykle sosnowe, grubości od 12 do 16 centimetrów; drzewo ich zupełnie rozmiękło, ale na powietrzu prędko twardniało; w jedném tylko miejscu znaleziono je dębowe. Do głębokości 1 metra znajdowano czarny muł zmięszany z gliną. Wykopywane w nim przedmioty dają wnosić o stopniu wykształcenia mieszkańców téj starodawnéj osady. Za każdém pchnięciem rydla odkrywano tam rozmaite rzeczy, najczęściéj żywność: zboże w ziarnie, jabłka suszone, orzechy laskowe, kawałki chleba, połamane kości źwierząt domowych i upolowanych; obok tych w wielu miejscach noże kamienne i z kości źwierzęcéj, ze śladami obrobienia i używania, topory kamienne wielkości rozmaitéj, między nimi bardzo piękne małe toporki z zielonego serpentynu, rozmaite kamienie dla tłuczenia i mlewa zboża, wielkie kamienie piaskowe z wierzchu wygładzone i noszące ślady ostrzenia na nich innych kamieni, zapewne toporów i nożów, kawałki naczyń glinianych i kamienie obrobione rozmaicie, których użytku od razu dojść z pewnością nie można.

W zbiorach i muzeach jakie rozumie się powstały z takich zabytków, widzieć można broń kamienną, osadzoną w rogi jelenie, naczynia gliniane stołowe i kuchenne, rozmaite narzędzia i sprzęty domowe, myśliwskie, rybołowskie, roboty od najprostszéj do najwytworniejszéj, kamienne, bronzowe i żelazne, wreszcie kawały rozmaitéj grubości płócien lnianych, narzędzia tkackie i inne.

Sprawozdanie o tak ważném odkryciu, ogłoszone natychmiast

przez Dra Kellera, obudziło rozumie się uwagę całego świata naukowego; kiedy zaś uczony zurichski professor przypisał wykopanym przez siebie zabytkom dawność przynajmniéj sześciu tysięcy lat, uniesienie miłośników starożytności nie miało granic. Zainteresowało to szczególniéj wszystkich wolnych myślicieli, którym tak odległa starożytność podawała nadzieję zachwiania, a może i obalenia powagi Biblji. Rzucono się z zapałem do szukania mieszkań nawodnych i znaleziono je na brzegach wszystkich jezior w Szwajcarji, a następnie w Niemczech, Francji, Hiszpanji i innych krajach. Gorliwi badacze udali się w dalekie strony i odszukali takie budowy aż w Japonji. I nasz kraj nie pozostał w tyle za ruchem naukowym całéj ucywilizowanéj Europy. I u nas znaleziono mieszkania nawodne, mianowicie niedaleko Gniezna pod wsią Tczewem, których badaniem zajmowali się szczególniéj Dr. Liebelt i Dr. Łepkowski, ogłaszając swoje prace, spostrzeżenia i wnioski po naszych pismach czasowych. Dr. Przyborowski miał też znaleść jakieś ślady takich mieszkań nad rzeką Wieprzem.

Jak Cuvier z kawałków kości zwierząt kopalnych odtworzył cały pierwotny świat źwierzęcy, tak i tegoczesni badacze mieszkań nawodnych, ze znalezionych w nich zabytków, odbudowali całą ich przedhistoryczną przeszłość. W muzeum zurichskiem, urządzoném przez Dra Kellera, widzieć można model zupełny takiego mieszkania ze wszystkiemi sprzętami i wyobrażenie dokładne i szczegółowe, jak pierwotni jego mieszkańcy żyli, spali, jedli, pili, polowali i łowili ryby.

Teraz pozostaje do rozwiązania kwestya najważniejsza o dawności tych mieszkań. Nie przypuszczamy z nauką wyzwoloną, iżby poprzedały one podane przez Bibliję stworzenie Adama i Ewy. Takie i podobne tym odkrycia, których było już niemało, często bardzo na pozór sprzeczne z podaniem biblijnem, po głębszém zbadaniu zawsze się z niem godzą, jak odkrycie Kopernika. Nie można jednak zaprzeczyć, że znajdując się pod pokładami torfu, sięgają one czasów niezmiernie dawnych, epoki przedpotopowéj.

Drugie, łatwiejsze do rozwiązania, pytanie jest: w jakim celu budowano te mieszkania na palach w pośród jezior, łącząc je z brzegiem zapewne przez kładki i zwodzone mosty. Uczeni objaśniają to różnie. Najprawdopodobniéj jednak widzieć w tych budowach obwarowanie się od napadów nieprzyjaciela. Przy niewydoskonalonych zwłaszcza środkach obrony w owych czasach pierwotnych najbezpieczniéj było mieszkać na wzór bobrów na wodzie; po zdjęciu bowiem kładki, lub zwiedzeniu mostu do dakiéj budowy dostać się było niepodobna.

W końcu należy dodać, iż przy rozpowszechnionych i prowadzonych z zapałem poszukiwaniach mieszkań nawodnych, takie budowy i znajdowane w nich zabytki często bywały podrabiane tak biegle, iż prowadzały w błąd najuczeńszych archeologów; co zresztą niepowinno dziwić przy znanéj łatwowierności tych ludzi, których doskonały pierwowzór nakreślił Walter Skott, w swojéj powieści Antykwaryusz i którzy jak dawniéj tak i teraz zawsze są do siebie podobni. Najsławniejszém z tych, jakie dotąd wykryto oszustwem tego radzaju, było mieszkanie nawodne pod Wismarem, w księztwie meklemburgskiem, z mnóstwem najciekawszych zabytków i pomników, które ozdobiły na jakiś czas książęce muzeum w Szwerynie i których opisanie i zbadanie przyniosło uczonemu Drowi Lisch wielką sławę naprzód nauki, a w rychle potém łatwowierności.

St. Str.

14. Trzęsienia ziemi.

Wulkaniczne to zjawisko jest straszliwem i bardzo niszczącem. Wydarzać się ono może wszędzie, ale nawiedza szczególniéj pewne miejscowości, w których i w pobliżu których są czynne wulkany. Takiemi w Europie są Sycylja i wyspy archipelagu Greckiego; w Azji Japonja, w Ameryce podzwrotnikowéj kraje przyległe pasmu Andów. Właściwie należałoby je zwać wstrząsieniem, albowiem trwa ono bardzo krótko, tylko chwilowo i bywa mniej lub więcéj silném. W tym ostatnim jednak razie i w jedném mgnieniu oka wyrządza spustoszenia okropne. Objawia się ono przez ruchy szybkie, następujące po sobie w kierunku pionowym lub poziomym, a bywa także kręcące czyli rotacyjne; zdarza się też czasami zarazem pionowe i poziome. Poprzedza go zwykle uderzenie z dołu do góry z głuchym i silnym hukiem, podobne do wysadzenia ziemi prochem. Takie uderzenie było najwyraźniejszém przy straszném trzęsieniu, które w roku 1797 obaliło miasto Rio Bamba w prowincji Quito w Ameryce południowéj. Znajdowano po niem trupy ludzi, rzuconych na bardzo znaczną odległość, bo na wzgórzu La Cullca, leżącém za rzeczką Lican i mającém wysokości 100 stóp. Trzęsienie postępuje najczęściéj w kierunku prostym, jak fala wodna i z szybkością od 5 do 7 mil geogr. na minutę, lub też we wszystkich zarazem kierunkach od środka do obwodu wielkiego koła, lub ellipsy i wtedy w miarę oddalenia od środka siła jego zmniejsza się. Najrzadsze, ale też najniebezpieczniejsze, są trzęsienia kołujące

(rotacyjne). Obracają one bez rozwalenia mury, wykręcają pola okryte zbożem i ulice wysadzone drzewami, jak to miało miejsce w Rio Bamba i w Kalabrji w południowych Włoszech.

Wybuch wulkanu przedstawia widok straszny i bywa nieraz groźnym, jak dla Herkulanum i Pompeji, ale ogranicza się tylko małą przestrzenią. Wcale co innego jest przy trzęsieniach ziemi, które widome dla oka jedynie w swoich straszliwych skutkach, rozpościerają się niekiedy na przestrzeń tysiącomilową.

Wielkie trzęsienie, które 1 Listopada 1755 zburzyło Lizbonę, dało się uczuć jednocześnie w Alpach, na brzegach Szwecji, na wyspach Antylskich, u wielkich jezior Kanady, w Turyngji, na równiach północnych Niemiec i południowych pobrzeży morza Baltyckiego. Wtedy dalekie zdroje wody przerwały swój bieg, gorące źródła w Cieplicach Czeskich naprzód ustały, a potém wezbrały z podwojoną siłą i okazały się zaprawione mocno glinką żelazną. W Kadyksie morze podniosło się na 60 stóp w górę; a na małych Antylach, gdzie przypływ zwykle miewa od 26 do 28 cali wysokości, podniósł się on naraz do 20 stóp i okazał wody całkiem czarne. Obliczono, że to trzęsienie zajęło przestrzeń cztéry razy większą od Europy.

Żadne inne zjawisko przyrody nie sprawia tyle w jednéj chwili spustoszenia. Podczas trzęsienia w Sycylji r. 1693 zginęło 60,000 ludzi; w r. 1755 w Lizbonie 30,000, w. r. 1797 w Rio Bamba od 30 do 40,000, a może pięć razy tyle w Małéj Azji i Syrji za panowania cesarzów Tyberyusza i Justyna Starszego r. 19 i 526. W Andach bywały przykłady, że ziemia drżała przez wiele dni r rzędu bezustannie. Drżenia, trwające całe miesiące o jednejże prawie godzinie, miewały miejsce tylko opodal od wulkanów, mianowicie na wschodnich stokach Alpów na górze Cenis około Fenestrelles i Pignerol od Kwietnia r. 1803; w Stanach Zjednoczonych Ameryki między Nowym Madrytem i Little Prairie na północ od Cincinnati w Grudniu 1811 i przez całą zimę 1812 i w Paszaliku Aleppo w Sierpniu i Wrześniu 1822 r.

Gwałtowne trzęsienia ziemi nietylko niszczą miasta wraz z najtrwalszemi budowlami, lecz nadto stają się przyczyną ważnych na ziemi zmian. Trzęsienia w Kalabrji, wydarzone r. 1783, dają tego przykłady tém ważniejsze, że były opisane szczegółowo przez najznakomitszych uczonych owéj epoki, jako to Vincenzio lekarza króla neapolitańskiego, Grimaldi, Hamiltona, i nakoniec przez komissyę złożoną z członków królewskiéj akademji w Neapolu. Wszystko w tym nieszczęśliwym kraju zostało przeistoczoném, bieg rzek wstrzymany i zmieniony, domy jedne zostały podniesione nad

poziom okolicy, inne, nawet niedalekie od tamtych, zapadły się częściowo lub zupełnie, najtrwalsze budowle popękały od góry do dołu, niektóre ich części podniosły się nad inne i fundamenta zostały wyniesione nad powierzchnię ziemi. W wielu miejscach ziemia porozpadała się, tworząc długie szpary, niekiedy na 520 stóp szerokie, z których jedne były prostem rozłupaniem, inne rozchodziły się widłowato, inne nakoniec miały prócz tego szczeliny prostopadłe do głównego kierunku pęknięcia; w innych ziemia pękała w promienie, rozchodzące się jakby od środka, jak to dzieje się na stłuczoném szkłe. Jedne z nich nagle znów się zamykały, chłonąc i gruchocąc w swojéj paszczy stojące na nich budynki, inne pozostawały rozwartemi bez zmiany, albo też utworzone w chwili pierwszego wstrząśnienia powiększały się jeszcze w skutek następujących. Jak w jednym tak i w drugim przypadku dostrzegano, że obadwa brzegi albo były w jednakowéj wysokości, albo że w tem miejscu powstawała niejaka wypukłość, lub téż że jeden brzeg był znacznie wyższym od drugiego, co dowodziło, iż jeden koniecznie musiał być podniesiony, lub drugi zniżony.

W innych znowu miejscach ziemia na rozmaitych rozległościach nagle się zapadła i pochłonęła w swych głębiach role uprawne i zabudowania. Odtąd tamże pozostały otchłanie ze ścianami pionowemi, głębokiemi na 280 do 300 stóp. W niektórych razach z dna tych otchłani wystąpiła i wylała się woda, a tak powstały jeziora, już nie mające widocznego odpływu, już dające początek ogromnym strumieniom. W innych miejscach przeciwnie wody poznikały, pochłonięte w podziemnych czeluściach albo na zawsze, albo na pewny przeciąg czasu.

Oprócz licznych szpar i różnych otchłani, które w jednych miejscach pochłonęły wody, w innych potworzyły strumienie nowe, lub zmieniły kierunek dawnych, zdarzało się także, iż massy skał, zwaliwszy się w doliny, zatrzymały tam bieg wód i tym sposobem w części górnéj potworzyły jeziora. Tak nagromadzone wody utorowały sobie nowe przejścia przez podmycie ścian doliny w niektórych miejscach, albo téż przez rozszérzenie jakowych w górach rozpadlin, albo nakoniec przez usunięcie zatrzymującéj je przeszkody, obaliwszy ją w części lub całkowicie. Ztąd powstały straszliwe spustoszenia powodziowe czyli wylewy. Silne i szybkie nurty bieżącéj wody unosiły ogromme skały, a wynikające ztąd spustoszenia były równie niszczące, jak i samych trzęsień ziemi. Woda, tworząc sobie nowe łożyska i rozszerzając lub powiększając głębie dawniejszych, zostawiała na brzegach uniesione przez siebie szczątki sprawionych zniszczeń.

Nakoniec i to godne uwagi, że gdy główne działanie trzęsienia kalabryjskiego wydarzyło się między Oppido i Soriano, niemniéj jednak skutki jego czuć się dawały aż w Messynie na drugiéj stronie cieśniny Sycylijskiéj. Większa połowa miasta została obrócona w perzynę, a 29 miasteczek i wsi znikło z powierzchni ziemi. Dno morza zniżyło się i doznało w różnych miejscach przewrotu; brzeg został jakby porozdzierany, a ziemia wzdłuż przystani Messyńskiéj pochyliła się ku morzu. W skutek tego gwałtownego zniżenia, całe wzgórze u wejścia do przystani zostało w jednéj chwili pochłonięte.

Trzęsienia w Chili r. 1822, 1835 i 1837 wydały niemniéj szczególne skutki. Rozmaite części pobrzeża od Waldywji aż do Walparaizo, to jest na rozległości przeszło 200 mil, równie jak wyspy sąsiednie aż do Juan Fernandez, znacznie się podniosły nad poziom wód; dno morza uległo takimże zmianom w znacznéj od lądu odległości. Skały nad brzegami, przedtém w wodach ukryte, wystąpiły teraz nad ich powierzchnię do wysokości 7 do 10 stóp razem z muszlami, które na nich miały swoje siedlisko; rzéki wpadające do morza przebywać było można w bród tam, gdzie przedtém pływały małe statki. Miejsca w morzu, znane jako dogodne do zarzucania kotwic, w takimże stosunku zmniejszyły swoją głębokość; a inne punkta na morzu, gdzie dawniéj przechodzić mogły okręta, teraz jako mielizny nie mogą być przebyte przez statki płynące głęboko.

Podobneż okoliczności nastąpiły w Indjach r. 1819. Wśród okolicy przedtém płaskiéj i jednostajnéj powstało wzgórze długie na 10, a szérokie na 3 mil geograficznych, w kierunku od południowschodu ku północo zachodowi, które zatrzymało bieg rzéki Indus. Przeciwnie zaś daléj ku południowi, równolegle w tymże kierunku ląd zniżył się; przez co wieś i twierdza Syndre, jakkolwiek niezrujnowane, zostały na wpół zatopione. W wielu miejscach głębokość wschodniego ujścia rzéki powiększyła się, a w innych już jéj w bród jak przedtém przejść niebyło można.

Podania ze wszystkich miejsc i czasów dostarczają dowodów tegoż samego rodzaju. Wszędzie jest mowa o rozpadniętych szczelinach ziemi, o głębokich otchłaniach, które pochłonęły będące tam kiedyś osady, a nawet całe miejscowości, z których podnoszą się duszące wyziewy, płyną massy wód, już ciepłych już zimnych, niekiedy nawet wychodzą płomienie. W innych znowu miejscach równiny zostały niespodzianie zamienione na góry, dna mórz podniesione, góry rozpadnięte, zawalone, okolice górzyste, rozległe pasma skał, nagle znikły, a w ich miejscu powstały jeziora. Wody

zmieniają kierunek biegu, pochłonione znikają pod ziemią, jeziora przerywają ograniczające je tamy i wysychają, albo też giną w ujściach podziemnych nagle powstałych. W innych przeciwnie miejscach pokazują się ogromne wodotryski, które tworzą nowe rzeczułki, biorąc początek niespodzianie z jakichś szczelin lub dziur w skałach, chociaż niepodobna wskazać początku i źródła wody. Źródła ciepłe chłodną lub ustają, inne okazują się tam, gdzie ich przedtém nie było. Te wszystkie zjawiska wskazują bytność tyluż szczelin w ziemi, często służących za nowe przejścia dla wód, które przedtém krążyły w głębi ziemi.

Autorowie dawniejsi często mówią o zjawiskach tego rodzaju w sposób niewłaściwy. Gdzie u nich napotykamy wyraźną wzmiankę o podniesieniu lub zapadnięciu brzegów morza, zwykle opowiadają rzecz przeciwnie, przypisując skutek żywiołowi bardziéj ruchomemu. I tak mówią, że morze na pewnéj przestrzeni cofnęło się i ustąpiło ze swojego dna, to znowu, że morze nagle zalało brzegi na większą lub mniejszą rozległość. Nastąpić to mógło jedynie w skutek poruszenia, wstrząśnienia ziemi, a z nią morskiego dna, nie zaś morza, którego poziom zawsze jest niezmiennym. Należy jednak mieć na uwadze, że chociaż zjawiska tego rodzaju przechodnie mogą być odnoszone do wahań ziemi, mogą jednak pochodzić także i od rzeczywistego ruchu udzielonego wodom morskim, lub zależeć od jednéj i drugiéj przyczyny. Jakoż wiemy, że przy trzęsieniach ziemi morze bywa bardzo wzburzone, że wody jego wzniesione do rozmaitych wysokości, niekiedy na znaczne przestrzenie zalewają lądy, postępując i cofając się naprzemian, przyczém wywierają spustoszenia mniéj więcéj daleko. Te nagłe poruszenia, to naprzód, to w tył, połączone z nagłemi zmianami w skorupie ziemskiéj z powodu ruchów podziemnych, miewają skutki najstraszliwsze. Dzieje wysp archipelagu Greckiego, Japonji i wielu innych miejsc dochowały pamięć okropnych zniszczeń, spowodowanych nagłemi zmianami tego rodzaju.

Rozliczne skutki, wydarzone z powodu trzęsień ziemi w oczach naszych i wskazane w wiarogodnych sprawozdaniach, upoważniają nas do przyjęcia za prawdopodobne podania tego rodzaju dochowane z czasów najdawniejszych. Któżby dzisiaj śmiał zaprzeczać Plinjuszowi, który, opierając się na dziejopisach, podaje, że Sycylja skutkiem trzęsienia ziemi została oddzieloną od półwyspu Włoskiego, że podobnież wyspa Cypr oderwała się od Syrji, Euboea od Beocji itd. Niema też zasady do zaprzeczania, iż kiedyś istniała Atlantyda, zalana według podań egipskich w ciągu jednego dnia i jednéj nocy. Przyznajmy raczéj, że ogół spostrzeżeń widocznie

okazuje, że ogromne podniesienia i opadania skorupy ziemskiéj, tak gwałtowne doraźne, jako i powolne wiekowe, należą do rzędu tych działań wulkanicznych, za pomocą których odbyło się to ukształtowanie powierzchni ziemi, jakie dziś widzimy, a które, jakkolwiek nie tak czynne jak w czasach pierwotnych swojego istnienia, nie straciły przeto jak widzimy swojéj mocy.

W przekonaniu ludu, który nie umie wznieść się do poglądów ogólnych, a wszystkie zgoła zjawiska przyrody odnosi do przyczyn miejscowych, długotrwające trzęsienie ziemi zapowiada utworzenie się nowego wulkanu. Zdarzało się, choć rzadko, że oczekiwania te iściły się.

To pewna, że między wybuchami wulkanów, a trzęsieniami ziemi zachodzi związek widoczny. Każdy, zwłaszcza silny, wybuch poprzedza drżenie ziemi. Uważono téż, że przy trzęsieniu lizbońskiem dym, wychodzący z Wezuwjusza, nagle cofnął się napowrót do jego krateru.

Szczególniejsze wrażenie sprawia to nagłe chwianie się ziemi pod nogami, dające znać o téj tajemniczéj i strasznéj sile przyrody, która jest pod ziemią. Każdy szelest, najmniejsze poruszenie w powietrzu, obudza wtedy uwagę. Człowiek nie dowierza gruntowi, na którym stoi.

Niezwykłe to zjawisko przeraża podobnież i źwierzęta. Szczególniéj boją się go świnie i psy. Krokodyle w Orinoko, zwykle milczące jak nasze jaszczurki, opuszczają trzęsące się dno rzéki i rycząc uciekają do lasu. Ludziom trzęsienie ziemi przedstawia się jak zniszczenie niemające granic. Od wybuchu wulkanu, od bieżącego potoku lawy, można uciec; przy trzęsieniu ziemi niema gdzie uciekać; wszędzie grozi zguba. Taki jednak stan ducha, wywołany wrażliwością natury ludzkiéj, trwa nie długo. Jeżeli w jakim kraju trzęsienia powtarzają się peryodycznie i słabo, znika wszelka trwoga.

W okolicach bezdeszczowych Peru, mieszkańcy nie znają ani gradów, ani grzmotów, ani błyskawic i piorunów. Tam grzmoty zastępuje huk podziemny, oznajmujący trzęsienie ziemi. W skutek wieloletniego nawyknienia i powszechnego mniemania, że silne i niebezpieczne trzęsienia bywają chyba dwa lub trzy razy w ciągu wieku, częste i nieznaczne drgania ziemi w Lima zaledwo większą ściągają uwagę, jak burza gradowa w naszéj strefie umiarkowanéj.

Według Humboldta i innych.

15. Wulkany.

Wulkany, których sama nazwa, przekazana nam od starożytnych, przypomina jednego z owych bogów piekielnych, których według tradycji pogańskich one miały być siedliskiem, są to otwory w skorupie ziemskiéj, któremi zawarta w niéj materja ognista i płynna wchodzi w zetknięcie z atmosferą i niekiedy występuje na wierzch. Materja ta utrzymuje się we właściwym poziomie nie dla tego, iżby ją zatrzymymała wierzchnia powłoka, bo ta, nawet przy obecnéj swojéj grubości, zbyt jest dla tego słabą, ale w skutek swojego ciążenia do środka, które ją utrzymywało i wtedy, kiedy nie było na niéj nic, tak jak i obecnie ono utrzymuje w swoich naczyniach wszystkie zebrane na jéj powierzchni wody. Niekiedy jednak ta materja wzdyma się, rozrywa ściskającą ją skorupę i wylewa się na wierzch; i takowe jéj występowania porównać można do pryskania warzącego się gęstego płynu, który od działania chłodu powietrza okrył się z wierzchu stwardniałą warstwą nawaru, czyli, jak mówią pospolicie, kożuchem.

Niektóre z tych otworów są dotąd czynne, to jest wyrzucają z siebie rozmaite materje zebrane, w wnętrzu ziemi; inne zagasły i zasklepiły się w długim przeciągu lat i wieków.

Otwory te są wszędzie mniéj więcéj wzniesione nad powierzchnię ziemską tak, iż tworzą góry, które z powodu wspólnych im cech, wyróżniających je stanowczo od wszystkich innych, składają całkiem oddzielny rodzaj wyniosłości. Najwłaściwiéj byłoby przeto zwać je ogniogórami, zaś dawną ich nazwę złożyć na schowanie do pozostałego archiwum starożytnéj mitologji.

Wulkany, tak czynne dotąd jako i zgasłe, zwykle stoją odosobnione tak, iż każdy stanowi górę oddzielną, nie zaś tak jak inne góry, które zwykle łączą się w nierozerwane pasma. Takie odosobnienie ich szczególniéj jest uderzającem tam, gdzie wiele ich znajduje się zebranych w jedném miejscu, jak to widzimy w gromadzie zgasłych wulkanów w Alwernji w południowéj Francji. Następnie mają one wszystkie kształt sobie właściwy uciętego ostrokręgu, czyli stożka. Najwyraźniejszy i najbardziéj wykończony jego pierwowzór przedstawia Amerykański wulkan Cotopaji. Wierzchołek każdego takiego stożka zwykle bywa okrągłym i tylko wyjątkowo miewa niekiedy kształt podłużny, jak to widzimy w wulkanach Pichincha w Quito, Siwelucz w Kamczatce i Galungung na wyspie Jawa. Następnie jest on zawsze wydrążonym w kształcie mniéj więcéj głębokiej kotłowiny, w któréj środku znajduje się otwór lejkowaty, zwany paszczą wulkanu, albo kraterem. Otwór ten w wulkanach czynnych

Krater wulkanu.

ciągnie się aż do saméj głębi, w któréj wre lawa; w wulkanach zgasłych na zawsze lub czasowo, zasklepia się on nieraz zupełnie tak, iż sama tylko wierzchnia kotłowina pozostaje na zawsze pewną oznaką wulkanu.

Pomieniony stożek, zakończony w górze paszczą, stanowi istotną część wulkanu i utworzony jest zawsze z lawy, przepalonych kamieni, żużli, popiołów, które wulkan wyrzuca z siebie i które roztopiona lawa spaja w jedną massę niezwykłéj twardości i mocy. Cała ta jednak budowa jest nietrwałą i podlega częstym i gwałtownym zmianom w skutek czynności samegoż wulkanu. Każdy nowy wybuch dodaje do niéj nową massę żużli, popiołów i lawy, albo téż rozrywa ją i tworzy nowe dla siebie otwory. Niekiedy cała ta budowa, albo część jéj, zapada się do będącéj pod nią otchłani, a w miejscu jéj pozostaje ogromny otwór, z którego następnie powstaje nowy stożek, zwykle podobny kształtem do pierwszego i podlegający takimże zmianom. W każdym razie podnosząca się od spodu lawa wstrząsa nim tak potężnie, iż ściany jego często rysują się i pękają od góry do dołu. Takowe ich rozpadliny, nieraz bardzo głębokie, rozchodzą się promienisto od górnego otworu na dół, coraz rozszerzając się u dołu; i istnienie ich przez długi przeciąg lat jest najlepszym dowodem wielkiéj mocy téż stężałéj materji wulkanicznéj, z któréj utworzonym, a raczéj odlanym bywa każdy taki komin, prowadzący od wnętrza ziemi na jéj powierzchnię. W skutek tego wszystkie zgasłe wulkany, pomimo niszczącego działania czasu, zachowują na zawsze swoje kształty pierwotne, po których nader łatwo jest wyróżnić je od innych gór, tak, iż tylko środkowe ich otwory zasklepiają się zupełnie i rozdarte i opalone ich boki okrywają się z czasem roślinnością.

Nie wszystkie jednak wulkany mają stożki, zbudowane z pomienionéj wyżéj materji; a to dla tego, że wyrzuty ich ta bardzo rozmaite i niektóre z nich wcale niewydają lawy.

W środku krateru, zasklepionego od lat wielu, tworzy się czasami nowy krater mniejszy, na którym wyrasta nowa sopka, która stanowi jakby piętro nad dawniejszą. Taki wypadek musiał zajść na Wezuwjuszu; albowiem Strabon, który opisał bardzo dokładnie tę górę przed wybuchem jéj w r. 79, nie wspomina wcale o znajdującym się na niéj teraz stożku. Powiada on, iż góra ta „jest żyzna po bokach, ma wierzchołek ścięty, w większéj części jednostajny, zupełny bezpłodny, opalony, a na nim przestrzenie napełnione szparami i kamieniami opalonemi, z czego można wnosić, że w tych miejscach znajdowały się przedtém kratery gorejące“. A zatém ów wierzchołek opisany przez Strabona jest to dzisiejsza

La Somma, wielka okrągła i wklęsłą płaszczyzna, będąca podstawą dzisiejszego stożka i obejmująca go krawędziem szérokiem i daleko wystającem od strony północnéj, a od strony południowéj w części rozwalona i pokryta lawą od późniejszych wybuchów. Stożek wznoszący się na niéj obecnie powstał zapewne w czasie owego pamiętnego wybuchu, w którym zginął znakomity naturalista rzymski Plinjusz i od czasu którego ów wulkan, zgasły od wieków niepamiętnych, zaczął być na nowo czynnym. Wtedy też zapewne rozburzoną została część południowa dzisiejszéj Sommy. Plinjusz młodszy, który opisał nam pomieniony wybuch Wezuwjusza, powiada, iż sprowadził on straszne przekształcenie, które zwaliło w morze znaczną część góry.

Niekiedy znowu dawny stożek w skutek nowego wybuchu zapada się, a na miejscu jego powstaje drugi. Taki wypadek zdarzał się kilkakrotnie z wierzchołkiem Etny, który nieraz znikał zupełnie. Podobnież wierzchołek amerykańskiego wulkanu Carguaraizo, który niegdyś co do wysokości ubiegał się o pierwszeństwo z górą Chimborazo, zawalił się w r. 1698. Toż samo nastąpiło z wulkanem Kapak Urku, położonym na płaskowyżynie Quito, nakrótko przed przybyciem do Ameryki Hiszpanów.

Zdarzało się nawet, że całe i to ogromne wulkany zapadały się w otchłań podziemną, a w miejscu ich potworzyły się głębokie jeziora.

Wysokość wulkanów bywa rozmaitą. Najmniejszy ze znanych dotąd Volcano w Australji ma wysokości nad poziom morza 200 stóp. Największy Aconcagua w Ameryce jest jedną z najwyższych w świecie gór i dochodzi 21514 stóp. Wysokość ma wielki wpływ na czynność wulkanu; im wyżéj bowiem znajduje się jego krater, tém większéj siły potrzeba do wyrzucenia wrzącéj pod nim materji. Dla tego téż największe amerykańskie wulkany zwykle nie wydają lawy, a najczęściéj wodę.

W skutek gwałtownych zmian, jakie za każdym wybuchem wulkanu zachodzą w budowie jego stożka, wysokość tych gór nie jest stałą. I tak Wezuwjusz miał w r. 1822, 3830, a w r. 1832 3640 stóp; a zatém w przeciągu lat 10 zniżył się on o 130 stóp.

Wielkość kraterów bywa też rozmaitą i wcale niezależy od wysokości wulkanów. Największy, jaki dotąd widziano, krater posiada wulkan Gunong Tingger na wyspie Jawa. Ma on $^4/_5$ mili w średnicy. Po nim idą mało co mniejsze Kilauea i Mauna Roa na wyspie Hawaji. Do najmniejszych należy krater wulkanu Teneryffy, mający w średnicy 600 stóp.

Oprócz kraterów głównych, które zwykle stanowią szczyty

wulkanów, z wyjątkiem wszakże niektórych jak Mauna Roa i Teneryffa, które je mają z boku i daleko niżéj od swoich szczytów środkowych, znajduje się nieraz w jednym i tymże wulkanie jeszcze po kilka kraterów bocznych. Tworzy je lawa, podnosząca się wewnątrz i torująca sobie nowe drogi. Te kratery drugorzędne są mniejsze i leżą niżéj od krateru głównego, a przeto zwykle są czynniejsze.

Wnętrza kraterów przedstawiają niewiele ciekawości i przeto zwykle zawodzą oczekiwanie zwiedzających je podróżnych. Po przejściu wybuchów, w czasie których zbliżyć się do nich niepodobna, paszcze te okazują się jako jamy okrągłe i głębokie, których dno jest zawsze daleko mniejszém aniżeli wierzchni otwór i do których przeto można zejść aż na dół. To dno stanowi kawał lawy ztwardniałéj, w którym daje się widzieć jeden lub kilka otworów, idących aż do wnętrza ziemi. Niekiedy zakrywają je massy zżużlonych kamieni. Gorąco nad niemi panuje niezmierne od 50° do 72° R. i ciągle dymią się z nich pary siarkowe, ale można niekiedy widzieć przez nie w głębi roztopioną lawę. Wreszcie są to pieczary głuche i ciemne, zdolne przejąć strachem, ale w których niemasz nic, coby mogło przemawiać do wyobraźni, albo zająć uwagę spostrzegacza. W długich przerwach między wybuchami często znikają zupełnie ślady wulkaniczne; nieraz nawet ściany kraterów okrywa roślinność. Tak opisują Wezuwjusz przed wybuchem r. 1631.

Wybuchy wulkanów następują w przerwach mniéj więcéj znacznych. — Najniższe, jak Stromboli we Włoszech i Guacamayo w Quito, mają je prawie nieustannie; najwyższe miewają je raz w jakich sto, lub kilka set lat. Ale niemożna tego brać za ogólne prawidło, bo niektóre wulkany bardzo wysokie, jak Cotopaji, mający 17,712 stóp, przy całym swoim ogromie są nadzwyczajnie czynne. Również podział wulkanów na czynne i zgasłe nie może być stanowczym; bo jakkolwiek niektóre z nich, jak Ararat w Azji, wulkany Alwernji i nadreńskie w Europie i inne, od czasów niepamiętnych, to jest przedhistorycznych, nie dały znaku życia, bywają przykłady, iż niektóre i po najdłuższym letargu przychodzą nagle do życia i zaczynają znowu być czynnemi.

Z tém wszystkiem można przyjąć za ogólne prawidło, iż tylko te wulkany są czynnemi, które ciągle się dymią i że dymienie się jest stanem normalnym każdego czynnego wulkanu. Dymy te, które muszą towarzyszyć wszystkim ogniom podziemnym wchodzącym w zetknięcie z atmosferą, wydobywają się przez główny krater wulkanu, jakby przez komin, często kilkoma kolumnami, z tyluż

otworów mniejszych w jego paszczy głównéj, oraz przez paszcze boczne i przez wszystkie szpary i szczeliny w górze, pękającéj nieraz jak piec od silnego ognia. Nad głównym kraterem tworzą one zawsze, a szczególniéj podczas ciszy w powietrzu, wyniosły i szeroko rozpostarty baldachin, który jak wspaniale wywieszona flaga oznajmia ciągłą czynność wulkanu. Jak tylko to dymienie się ustaje całkiem, jest to pewną oznaką, iż zasklepiły się wszystkie otwory, prowadzące do wnętrza wulkanu i że przerwaną została wszelka styczność między tym wnętrzem a atmosferą, to jest, iż ustała wszelka działalność wulkanu, podobna w tym razie do życia człowieka, objawiającego się przez dychanie, z tą różnicą, iż kiedy ustanie dychania w człowieku bywa najczęściéj oznaką śmierci, w wulkanach podobne do tego ustanie dychania dymem najczęściéj bywa tylko oznaką mniéj więcéj długiego letargu.

Niektóre wulkany od dawna przestały być czynnemi; lecz jeszcze wydają z siebie wyziewy, składające się z pary i rozmaitych gazów, w których przemaga zwykle gaz siarczany. Zresztą wyziewy te nie wszędzie są jednakowe. Takie wulkany nazywają się siarkowicami. Jest ich wszędzie niemało. W pobliżu Neapolu siarkowica Puzzuoli przedstawia obszerny krater, na dnie którego dają się widzieć potrzaskane szkały wulkaniczne, rozkładane przez ciągle wydobywającą się z nich parę. Zdaje się, iż te wulkany są w ostatnim perjodzie swojéj działalności, po którym zagasają zupełnie. Okazuje się, iż perjod ten ciągnie się bardo długo.

Wywiązywanie się wyżéj pomienionych gazów wulkanicznych działa bardzo szkodliwie na powietrze, szczególniéj tam, gdzie wydziela się gaz kwas węglowy, który jest tem niebezpieczniejszy, iż niemając zapachu i koloru, nie może być dostrzeżonym. Gaz ten w znacznéj ilości wydają szczególniéj siarkowice. W okolicach Neapolu dają się czuć od tamecznéj siarkowicy Puzzolańskiéj takie trujące wyziewy, zwane tam Mofetti. Na wyspie Jawa ten zabójczy gaz zatruł całkiem powietrze w dwóch miejscach, znanych tam jako śmiertelne.

Pary wodne, wydobywające się z wulkanów i przesycone pomienionymi gazami skroplając się w wyższych i zimniejszych warstwach atmosfery, spadają dokoła wulkanów w postaci nader obfitéj rosy i przez to dają początek często znajdującym się u ich podnóża źródłom mineralnym.

Kiedy ma nastąpić wybuch wulkanu, oznajmuje go najczęściéj trzęsienie ziemi, po którem wulkan zaczyna dymić daleko silniéj. Kiedy wychodzące z niego dymy przybierać zaczną barwę ognistą, jest to znakiem, iż lawa podniosła się w kraterze i rozłamała jego

zasklepiony otwór. Wtedy jéj ogień zaczyna odbijać się na całéj massie pomienionych dymów i rozpościera na niéj łunę czerwoną i u dołu coraz jaśniejszą tak, iż massa ta coraz powiększająca się i podnosząca się, niekiedy do wysokości 1000 stóp, przedstawia ogromny słup ognisty, stojący nad kraterem i podpierjący podobnież ognistą olbrzymich rozmiarów chmurę, któréj dalekie krańce rysują się na niebie barwą coraz ciemniéj czerwoną.

Tymczasem wzbierająca w głębiach wulkanu lawa podnosi się coraz wyżéj i niekiedy napełnia cały krater aż do brzegów. Wtedy działanie jéj ognia daje się czuć na ścianach stożka i nawet na niższych pochyłościach góry. Otwierają się w nich nowe szpary i rozpadliny, z których biją do góry silne kłęby dymu i bijące u stóp góry źródła wysychają. Na najwyższych wulkanach, które okrywają wieczne śniegi, następuje wtedy gwałtowne topnienie tych śniegów, od których potoki wód spadają z szumem na dół.

Pomieniony słup ognia, wychodzący z krateru i którego światło bywa tylko łuną wezbranéj w kraterze lawy, stanowi dopiero początek wybuchu. Następuje potem wyrzucanie ogromnéj ilości ciał drobnych, pyłkowych, zwanych popiołem wulkanicznym. Bywa on podobnym do cienkiego prochu strzelniczego i składa się z rozbitych, przepalonych i roztartych części skał i kruszców. W początkach wybuchu bywa on czarnym, potem, w miarę jak wybuch ma się ku końcowi, przybiera barwę szaro-białawą. Z tym popiołem łączą się kamyki dziurkowate i rozpalone, zwane we Włoszech Lapilli, Rapilli, Puzzolane, daléj kawały pumexu i kamienie rozmaitéj wielkości, wyrzucane czasami bardzo daleko. Przy wybuchach Cotopaji widziano massy kamienne, mające od 8 do 10 stóp w średnicy, upadające w odległości $1^3/_4$ mili. Nakoniec cząstki ciał stopionych, oderwane od lawy napełniającéj krater, które zaokrąglając się i zastygając w powietrzu, stanowią tak zwane bomby wulkaniczne. We Włoszech zowią je łzami Wezuwijusza. Wszystkie te ciała, lecące do góry, dają się widzieć w pośród ognistego słupa wychodzącego z krateru, jak iskry i głównie rozpalone. W końcu dają się widzieć całe massy takich ciał w postaci ogromnych snopów ognistych, ciskanych do góry z ogłuszającym łoskotem, jakby w skutek zasadzonych i wybuchających raz po raz ogromnych min prochu. Wtedy wybuch jest w całéj swojéj sile. Cała góra drży i wzrusza się w swoich posadach. Huk rozlegający się w niéj przyrównać można chyba do następujących po sobie wystrzałów z jakich kilkuset największego kalibru dział. Bywa on to grubym i przeciągłym jak grzmot, to nagłym i jakby dźwięczącym i daje się słyszeć w bardzo wielkich odległościach tak, jak gdyby on

tamże wychodził z ziemi, co dowodzi iż wstrząśnienia wydające go muszą mieć miejsce w największych głębiach skorupy ziemskiéj. I tak wybuchy Cotopaji dają się słyszeć najzupełniéj i najwyraźniéj w mieście Honda, nad rzeką Magdaleną w odległości 109 mil, wybuchy małego, ale bardzo czynnego wulkanu Cosiguina w Nicaragua dają się podobnież słyszeć w Santa Fe di Bogota w odległości 230 mil. Wybuchy Tomboru na wyspie Sumbawa jednéj z z Sondskich, słychać o 240 mil na wyspie Sumatra.

Cała ta massa ciał palących się, wyrzucana do góry, sprawia przez ogrzanie wielkie rozrzedzenie w atmosferze nad wulkanem, skutkiem którego bywa gwałtowny przypływ powietrza ze wszech stron, objawiający się przez wicher, który nanosi massy chmur. Nagromadzenie ich, obok massy parów, wychodzących z wulkanu i skroplających się w wyższych warstwach atmosfery, sprawia gwałtowną ulewę deszczu z gradem. Z drugiéj strony w ciałach wyrzucanych z wulkanu i przechodzących gwałtownie ze stanu lotnego w stan płynny i ze stanu płynnego w stan twardy, wywiązuje się silne napięcie elektryczności, która wchodząc w styczność z elektrycznością chmur wywołuje łączenie się ich i w skutek tego nieustające pioruny, których błyskawice wiją się w swoich zygzagach dokoła płomienistego słupa, stojącego nad kraterem i przeszywają we wszystkich kierunkach rozpostarte nad nim i oświecone czerwonym blaskiem chmury; zaś ciągłe grzmoty, zlewając się w jeden przeciągły huk, łączą się z ogłuszającym łoskotem samego wybuchu.

Takie burze, które Humboldt odróżnia nazwą wulkanicznych, bywają przy każdym wybuchu. Można wnosić, że i w saméj lawie, napełniającéj krater, wywiązuje się niezmierna ilość elektryczności, która działa także na elektryczność zbierających się nad nim chmur.

Popioły, wyrzucane przez wulkany podczas wybuchu, tworzą chmury niekiedy tak gęste i rozległe, iż zasłaniają całkiem światło słoneczne i okrywają ciemnością całe okolice. Następnie spadają one w większéj i mniejszéj odległości od ogniska wyrzutu, wraz z potokami towarzyszącéj każdemu wybuchowi ulewy. W czasie wybuchu Wezuwijusza w r. 1822, deszcz z popiołem lał przez dni 12 na przestrzeni 105 mil. W skutek tego powstają powodzie szlamu, czyli tak zwane lawy wodniste, składające się z owych popiołów, rozmięszanych z wodą. We Włoszech lękają się ich więcéj daleko, aniżeli właściwéj lawy. Potoki tego szlamu spadają z pochyłości góry na leżące dokoła doliny, wyrywają drzewa, obalają domy i zalewając całe okolice, pozostawiają wszędzie grubą warstwę owych popiołów, która ustala się przez wodę i własny

ciężar i tworzy tak zwany tuf wulkaniczny, przedstawiający twardą massę zbitego popiołu, w którym dają się widzieć wyrzucone i spadłe wraz z nim kamienie, żużle i zaokrąglone kawały zastygłéj lawy.

Taka powódź szlamu, w czasie wybuchu Wezuwijusza w r. 79, zagrzebała Herkulanum i Pompeję, nakrywszy je grubym pokładem tufu, z którego wykopują te miasta obecnie. Rzeczą jest widoczną, iż Wezuwjusz w owym wybuchu niewydał wcale lawy, ale wyrzucił niezmierną massę popiołów, które pokryły całą okolicę i zmieniły jéj układ poziomy. Pompeja, która leżała wówczas nad morzem, znajduje się teraz o $^1/_4$ mili od brzegów. Podobneż zmiany miejscowości, w skutek téjże przyczyny, dają się widzieć na wyspie Jawa. I tam znajdują się także w znacznéj odległości od brzegów i w znacznéj części zagrzebane zwaliska jednego miasta, leżącego niegdyś nad morzem. Tamże opisują podróżni jedną świątynię, któréj tylko część wierzchnia wystaje z ziemi, a reszta jest zagrzebaną w tufie wulkanicznym.

Niekiedy chmury tych popiołów, unoszące się nad wulkanem podczas wybuchu, bywają porywane przez wiatry i unoszone bardzo daleko. W czasie wybuchu Cosiguiny w r. 1836, popioły jéj zaćmiły okolice na 70 mil, a następnie popędzone były o 170 mil aż do wyspy Jamaiki. W r. 1812 popioły z wyspy St. Vincent w Antyllach zaniesione zostały aż na wyspę Barbados i sprawiły tam taką ciemność, iż wśród dnia niemożna było rozpoznać drogi. W r. 1811, w czasie wybuchu na wyspie Sumbawa, popioły z niéj zaniesione zostały aż do wysp Banda i Amboine o 174 mil. W r. 1794 popioły Wezuwjusza zaleciały aż do głębi Kalabrji, a w czasie wybuchu r. 452, według świadectwa Prokopjusza, były popędzone aż do Konstantynopola.

Opadanie tych popiołów, gdziekolwiek w znacznéj ilości na ziemię, bywa zabójczém dla roślinności i sprawia nieraz ogromne spustoszenia na okrytych zasiewami polach. W skutek tego często po wybuchach wulkanów następuje dla całéj okolicy nieurodzaj i głód. Dokoła czynnych wulkanów ziemia, składająca się z samych prawie takich popiołów, jest bezpłodną.

Pomienione wyżéj zjawiska bywają niekiedy jedynymi skutkami wybuchu; ale najczęściéj są one tylko poprzednikami następującego po nich wyrzucenia lawy, któréj pojawienie się stanowi ostatni akt wybuchu. Kiedy ta wrząca massa napełni cały krater, wtedy wylewa się przez jego brzegi i spada na dół w postaci ognistéj kaskady. Rzadko jednak bardzo lawa dochodzi aż do samego wierzchu krateru i to jedynie w wulkanach małéj i mier-

néj wysokości; w wyższych zaś przebija ona sobie zwykle jeden, lub kilka otworów, w ścianach stożka i przez nie wydobywa się na zewnątrz. Niekiedy taki otwór znajduje się niżéj od téj wysokości, do któréj lawa podnosi się w kraterze i wtedy jéj potok leci przez ten otwór w górę jak wodotrysk.

Następnie lawa, spływając po pochyłościach góry, idzie szerszą albo węższą strugą stosownie do miejscowości, na któréj się rozlewa i dzieli się na odnogi, obchodząc leżące jéj na drodze zawady; wreszcie zatrzymuje się w miejscach głębokich, z których niemasz dla niéj wyjścia. Takim sposobem w czasie wybuchu Etny w r. 1669, potok lawy, doszedłszy do murów miasta Katanji, podniósł się do wysokości 69 stóp i przesadziwszy te mury runął do miasta, kiedy większa jego część obeszła je dokoła i zwróciła się ku morzu. Na wyspie Lanzarota, jednéj z Kanaryjskich, widać dotąd skałę pionową, którą utworzyła lawa z wulkanu Corona del Rio, rzucającą się do morza z wysokości 900 stóp.

Zdarza się téż niekiedy, mianowicie przy wybuchach małych wulkanów, leżących na równinach, iż lawa wychodząca z nich nie ma prawie żadnego spadu. W takim razie rozpościera się ona po równinie, jak wylew wody, zatapiający pola. W Islandji w r. 1783, przy wybuchu wulkanu Skaptar Jokul, leżąca u stóp jego równina porozpadała się w szpary, z których wystąpiła niezmierna ilość wrzącéj lawy i ta rozpostarła się bezpośrednio po ziemi i zalała przestrzeń 50 mil kwadratowych, zapełniwszy wszystkie wklęsłości i utworzywszy obszerne i głębokie jezioro ogniste, które obecnie przedstawia ogromny pokład jednolitéj skały.

Ognisty potok wrzącéj lawy, po wyjściu na powierzchnię ziemską, płynie zrazu jak massa roztopionego kruszczu i od zetknięcia się z powietrzem wydaje pewny rodzaj syczenia, jak rozpalone żelazo polewane wodą, co dowodzi silnie ochładzającego na nią działania powietrza i bardzo wysokiego stopnia jéj temperatury, kiedy ją obraża nawet takie dotknięcie. Wszystkie ciała, podlegające stopieniu, za spotkaniem się z nią nikną, to jest rozpływają się w jéj massie, zaś palące się, jak drzewo, obracają się w węgiel. Drzewa okryte liściem, których wilgoć w stanie jest opierać się długo zwyczajnemu ogniowi, zajęte przez potok lawy, usychają w tejże chwili; część ich, objęta przez ognisty płyn, zamienia się w węgiel, a część wierzchnia, wystająca nad potokiem, zapala się i gore jasnym płomieniem.

Następnie w skutek ochładzającego działania powietrza, ten ognisty potok w rychle gęstnieje i zastyga z wierzchu. Wtedy jego powierzchnia wzdyma się i pokrywa pękającymi bąblami, po-

tem rozmaicie fałdując się, okrywa się twardą powłoką. Ta naprzód pęka i rwie się w kawalce, unoszone przez ognisty potok, ale w końcu ustala się i tworzy jednolitą i coraz grubiejącą skorupę, jak lód powstający na rzece. Utworzona w ten sposób powłoka okrywa cały ów potok na kształt skóry i tylko rozmaicie marszczy się i gurbi, poruszana od spodu przez dalszy pod nią bieg wrzącéj massy; zaś ściskając tę massę nie pozwala jéj rozszerzać się i przedłużać. W skutek tego potok lawy, wzbierający od ciągłego przypływu z wulkanu, rozpiera okrywającą go skorupę i rozciągając ją coraz grubieje; zaś postępując daléj, rozrywa ją u swojego dolnego końca i szczętami jéj mości sobie drogę, po któréj płynie, dopóki zasila go przypływ od wulkanu.

Taki przypływ ciągnie się mniéj więcéj długo i będąc w początkach zwykle gwałtownym, ku końcowi coraz się zmniejsza, jak potok wezbranéj wody zrazu wywracający wszystko przed sobą, a następnie, w miarę ubywania wody w jego źródle, płynący coraz węższém korytem.

Spotkanie się wrzącéj lawy z wodą zamienia tę ostatnią w parę. Niekiedy znaczna massa wody objętą bywa zewsząd przez ognisty potok. Wtedy przedstawia ona jezioro wrzące i buchające ogromnymi kłębami pary, dopóki nie uleci z nią w powietrze całkiem, albo w znacznéj części; zaś obejmująca ją massa ognista nie zastygnie i nie okryje się pod nią twardą skorupą. Niekiedy znowu ten ognisty potok całą swoją massą nakrywa wodę z wierzchu. Wtedy ona, zamieniając się pod nim w parę, sprawia gwałtowne wybuchy, podobne do wybuchów wulkanicznych. Dla tego przed mającym nastąpić wybuchem wulkanu, wszędzie dokoła wypróżniają studnie, które, w razie wylewu na nich lawy, działają jak zasadzone pod ziemią miny prochu.

Ponieważ ogniste potoki lawy bardzo często zwracają się do morza, przeto nieraz zawiązuje się w niem zacięta walka między dwoma przeciwnymi sobie żywiołami. Wielkie wtedy jest syczenie gwałtownie gaszonéj lawy, wielkie burzenie się ustępującéj przed nią i buchającéj parą wody, ale zawsze ostatnia zwycięża i ognisty potok zatrzymuje się w postaci nieforemnej skały, tworzącéj najczęściéj wysoki przylądek. Takie przylądki wybiegają w morze od Wezuwjusza i Etny. Ostatni, utworzony przez kilka lężących jeden na drugim pokładów lawy od kilku następujących po sobie wybuchów i spadających w morze z wyniosłego brzegu, dochodzi wysokości 400 stóp.

Lawa zastyga tak prędko, iż zdarzało się przy wybuchach Wezuwjusza, że potok jéj na pochyłościach góry już okryty

twardą skorupą ludzie brali gołą ręką, następnie chodzili po nim i kładli się na nim, kiedy u podnóża góry jeszcze on płynął daléj szybko i w znacznéj ilości. Na Etnie daje się widzieć pokład zastygłej lawy, leżący na grubym pokładzie śniegu.

Pod swoją skorupą jednak lawa bardzo długo pozostaje w stanie płynnym i zachowuje swoją wysoką temperaturę. Znajdują pokłady lawy gorące po upływie 10, 20, 30, 40 i więcéj lat.

Pokłady zastygłéj lawy, jakie dają się widzieć przy wszystkich tak czynnych jak i zgasłych wulkanach, przedstawiają rozmaite formy, z których, jak również i z natury skał utworzonych przez nie, możemy sądzić o wielkości i sile wybuchów, które dały im początek, oraz o pierwotnem położeniu miejscowości, która w skutek ich podlega większym i mniejszym zmianom.

St. Str.

16. Wiatry.

Według pojęć starożytnych, wiatry będące dziećmi nieba i ziemi, pod władzą przełożonego nad nimi bożka Eola, przebywały na wyspie Eolji, leżącéj na morzu Środziemnem we wnętrzach ogromnej góry. Tam je trzymał w ścisłem więzieniu wiatrowładny Eolus, mający swoją stolicę na szczycie owéj góry i ztamtąd od czasu do czasu wypuszczając je na ziemię i morza, jak o tem podaje piewca Eneidy,

„z laską się rozwodzi
A jéj końcem w bok skały zarazem ugodzi.“

Badacze późniejsi przestali upatrywać ich siedzibę jedynie na owéj opisanéj przez Wirgiljusza Eolji, zawsze jednak mieścili je w jaskiniach. Potem i to mniemanie straciło wiarę u nauki: Przekonano się, że wprawdzie wiatry często wieją z jaskiń, ale to pochodzi z całkiem innych przyczyn. Nie prędko wszakże, bo dopiero w czasach nowożytnych, udało się ludziom zbadać dokładnie to nader pospolite zjawisko i rozpoznać jego właściwe przyczyny; co stało się możebnem dopiero po zapoznaniu się z całą powierzchnią ziemi, za pomocą żeglugi.

Gdybyśmy znali tylko wiatry, wiejące w naszych strefach umiarkowanych, wątpliwa rzecz byśmy kiedykolwiek mogli poznać prawa, kierujące ich biegiem. Cóż może być niestalszego od wiatrów, nagle zmieniających kierunek, siłę i temperaturę, bez widocznéj przyczyny? — Są one prawdziwém godłem zmienności. Co innego jest gdy wstąpimy w morza zwrotnikowe, gdzie od początku

do końca roku łagodny i regularny wiatr statecznie wieje od wschodu na zachód, niosąc okręty od brzegów starego, ku brzegom nowego świata. Jest to wiatr Stateczny, albo Alizejski. Wiadomo jakie podziwienie i przestrach ogarnęły towarzyszów Kolumba, kiedy oni, po raz pierwszy puściwszy się z tym wiatrem i spostrzegłszy stały jego kierunek ku zachodowi, zwątpili o możności powrotu. Późniéj tenże wiatr niósł wielkiego marynarza Magellana, którego statek odbywał pierwszą podróż na około świata przez największy ocean, któremu nadał on nazwę Spokojnego, przechowaną aż do dni naszych. Późniéj tą samą drogą przez dwa wieki z górą, płynęły hiszpańskie galjony, ładowne złotem nowego świata od Acapulco do Manilli, kołując tak daleko by ujść od napadów angielskich i holenderskich korsarzy. Na morzach indyjskich wiatry dmą przez pół roku od północno-wschodniéj, a przez drugie pół roku od południowo-zachodniéj strony. Są to Mussony, czyli wiatry pór roku. Ta regularność wiatrów zwrotnikowych każe się domyślać ich ogólnych i trwałych przyczyn.

Wiatry są skutkiem naruszenia równowagi w atmosferze. Dążeniem ich jest przywrócenie téj wzburzonéj równowagi. Skoro ten cel zostanie osiągniętym, ruch ustaje i ustanawia się w powietrzu cisza.

Im więcéj badamy przyczyny tych zaburzeń atmosferycznéj równowagi, tém bardziéj przekonywamy się, że wszystkie one w istocie swéj mogą być niemal całkiem odniesione do różnic temperatury sąsiednich miejsc.

W przesłym wieku Franklin pierwszy odkrył istotną przyczynę wiatrów, przez postrzeżenia robione w otwartém oknie. Zauważył on, co i my widzimy zawsze, choć się nad tém niezastanawiamy, iż kiedy w mieszkaniu jest ciepło a na dworze zimno, to za otwarciem okna ustanawia się tam mniéj więcéj silny, w miarę różnicy temperatury, podwójny przeciąg powietrza: w dole zimnego gęstszego, do ciepłego rzadszego, w górze na odwrót; co możoa widzieć i na dwóch ustawionych tamże zapalonych świecach.

Toż samo widzieć możemy na samotnéj w pośród morza wyspie, przypomniawszy sobie, że ziemia daleko prędzéj się ogrzewa niż morze. W miarę jak słońce podnosi się nad poziom, wyspa staje się cieplejszą od sąsiedniego morza. Odpowiednie im atmosfery mają udział w téj nierówności temperatur; świeże morskie powietrze zewsząd się ciśnie w postaci morskiego powiewu, który daje się czuć wzdłuż całego pobrzeża, a cieplejsze i lżejsze powietrze wyspy wznosi się w atmosferę. Podczas nocy dzieje się na odwrót. Wyspa traci ciepło przez promieniewanie i prędzéj się ochładza niż morze; atmos-

fera jéj, stawszy się cięższą, spływa ku morskiemu powietrzu w postaci lądowego powiewu, a ta zamiana trwa dopóty, aż temperatura, a następnie i gęstość obu atmosfer, znowu będą jednakowe. Jest to zjawisko, które daje się postrzegać niemal codziennie na wszystkich morskich brzegach.

To, co widzieliśmy tu na małą skalę, odbywa się w większych rozmiarach między całym lądem i oceanem, między zwrotnikowemi a umiarkowanemi i podbiegunowemi strefami. Promienie letniego słońca mocno rozpalają grunt południowéj Afryki wtenczas, gdy morza południowéj Azji mają nizką temperaturę zimy. Temperatura stref zwrotnikowych jest wciąż prawie jednakową i stale wyższą od temperatury reszty globu. Każdéj z różnic temperatury, jako następstwo, odpowiadają niejednakowe, co do ilości i czasu trwania, szczególne atmosferyczne prądy. Różnicy między dzienną i nocną temperaturą odpowiadają dzienne powiewy, bądź wzdłuż brzegów, bądź we wnętrzu lądów u stóp gór; różnicy temperatury, pomiędzy przeciwnemi porami roku, odpowiadają mussony, będące powiewami pór roku; różnicy temperatury między zwrotnikami i biegunami, wiatry stateczne, będące wielkim całorocznym powiewem, którego stałość jest tylko wyrażeniem ciągłéj nierówności w rozdziale słonecznego ciepła, pomiędzy wielkiemi atmosferycznemi strefami ziemi.

Te różnice temperatury, wprawiające w ruch całą atmosferę, mają ostatecznie istotny związek z geograficzną fizyognomiją kuli ziemskiéj. Jéj kulista postać jest przyczyną nierównego rodziału słonecznych promieni i wielkich stref temperatury astronomicznego klimatu: gorącéj, umiarkowanéj i zimnéj. Odmiany słonecznego klimatu muszą być głównie odniesione do geograficznych form powierzchni, do kształtów wypuklizny, tudzież do rozkładu i względnego położenia kontynentów i mórz.

Ogólne, albo stateczne wiatry, są następstwem ogólnéj formy kuli ziemskiéj; mussony i powiewy zależą od formy i względnego położenia ziem i mórz; wiatry zmienne pochodzą od tychże przyczyn i od starcia się ogólnych prądów. — Pierwotne znaczenie geograficznych form, odsłaniające się tu na pierwszy rzut oka, staje się coraz widoczniéjszém, w miarę badania tych ruchów atmosfery.

Największa różnica temperatury u biegunów i pod równikiem sprawia ciągły napływ powietrza zimnego tam, gdzie od ciepła ono jest najbardziéj rozrzedzone. Lecz wirowy obrot ziemi, unoszący jéj powierzchnię stałą ciągle na wschód, pędzi okrywające ją materje płynną i lotną w kierunku przeciwnym. W skutek tego

dwa wielkie prądy powietrza, idące od biegunów ku równikowi, w miarę coraz szybszego obrotu ziemi, zwracają się coraz bardziéj ku zachodowi, aż w pasie zwrotnikowym, gdzie obrót ziemi jest najszybszym, płyną one stale na zachód, jak i odpowiedni im prąd morza. Strefa, gdzie spotykają się owe dwa prądy atmosferyczne, pozostaje w pewnym rodzaju równowagi i znana jest pod nazwą pasa cisz. Tę pozorną równowagę najmniejszy wypadek gwałtownie zaburza. Tak po martwéj ciszy następują tam nagłe burze, gwałtowne zawieje, wichry zwane przez Hiszpanów Tornadoes, które są postrachem żeglarzy. Uderzenia piorunu z nawalnym deszczem wydarzają się tam niemal codziennie.

Dla tychże przyczyn prądy górne, idące od równika ku biegunom, uchylają się od pierwotnéj drogi, ale w kierunku odwrotnym. Wchodząc stopniowo w coraz wyższe szerokości, z wirową szybkością większą od téj, którą na drodze napotykają, wciąż wyprzedzają ruch ziemi na każdém miejscu, to jest uchylają się coraz bardziéj ku wschodowi. Ztąd powstaje prąd idący ku północo-wschodowi, to jest wiatr południowo-zachodni na półkuli północnéj i prąd idący ku południo-wschodowi, to jest wiatr północno-zachodni na półkuli południowéj.

Często zaprzeczane istnienie tych odwrotnych prądów atmosfery daje się spostrzegać najwyraźniéj w pasie zwrotnikowym w znacznych wysokościach. Na szczycie Teneryfy wielu podróżnych znalazło wiatr zachodni, gdy na brzegu morza panował wiatr stateczny wschodni.

Ogólny bieg wiatrów odbywałby się ze ścisłą regularnością, gdyby powierzchnia kuli ziemskiéj była li jednostajną powierzchnią oceanów. Ale obecność lądów i przegradzające je wyniosłości sprawiają liczne odmiany w kierunku wiatrów, tak statecznych, jako i odwrotnych: Australja, ze swojemi górami od wschodu, zatrzymuje stateczny wiatr oceanu Wielkiego; Afryka, podobnież ograniczona górami od wschodu, zatrzymuje wiatr oceanu Indyjskiego; zachodnie pasmo gór Amerykańskich zatrzymuje wiatr Atlantyku. W skutek tego wiatr stateczny panuje tylko na oceanach, zaś na lądzie czuć się daje tylko na równinach Ameryki południowéj.

Na oceanie Indyjskim, ograniczonym przez lądy Azji, Afryki i Australji, leżące po obudwu stronach równika i przeto mające pory roku przeciwne, odmienna ich temperatura, mianowicie lato w Azji jednocześnie z zimą w Afryce i Australji i na odwrót, sprowadza wiatry peryodyczne, wiejące stale po pół roku, to od północy na południe, to od południa na północ. Na tym oceanie

takie wiatry, znane pod nazwą Mussonów, panują na północ od równika zamiast wiatrów statecznych, których niedopuszczają tam od północy olbrzymie wyniosłości południowéj Azji. Na południe od równika wiatr stateczny wieje tam, jak na innych oceanach.

W strefach umiarkowanych panują wiatry zmienne. Początek im wszystkim dają dwa prądy główne: na półkuli północnéj północno-wschodni, który następnie pod równikiem przechodzi w wiatr stateczny i południowo-zachodni, który jest odwrotnym prądem wiatru statecznego i przeszedłszy zwrotnik zniża się na powierzchnię ziemi. Pierwszy idzie przez lądy i z natury jest suchym i zimnym; drugi, wiejąc od oceanów, z natury jest ciepłym i wilgotnym. Jaki wpływ te wiatry mają na temperaturę, widzieć można w jednakowych szerokościach geograficznych, na wschodnich i zachodnich pobrzeżach wschodniego i zachodniego lądów. Anglia, Niderlandy i północne Niemcy leżą pod tą samą szerokością, pod którą w Azji jest Kamczatka, a w Ameryce lodowaty półwysep Labrador.

W strefach umiarkowanych podobnież pasma gór, przegradzając drogę wiatrom, odwracają je lub zmieniają ich kierunek. Temu należy przypisać znakomite różnice temperatury i klimatu w krajach nietylko będących pod jedną szerokością, ale i blizkich siebie, lecz wystawionych na powiewy nie jednych i tychże wiatrów. Dość dla tego porównać temperaturę i klimat Norwegji i sąsiedniéj z nią Szwecji.

Pod biegunami, jak można się domyślać, z ustaniem ruchu ziemi ustają téż i wiatry.

Dla rozpoznania kierunku i siły wiatrów służą tak zwane Anemoskopy, z których najprostszym jest chorągiewka na dachu, i Anemometry. Za pomocą ostatnich dostrzeżono, iż prędkość wiatrów bywa na 1 minutę od 30 metrów, kiedy wiatr jest najsłabszym, do 2700, przy najsilniejszéj burzy. — Wiatr zwyczajny przebiega w minutę około 100 metrów.

Wiatry wywierają bardzo wielki i niezbędny wpływ na temperaturę, na roślinność i na zdrowie człowieka. Wpływ ten bywa zbawiennym przez to, iż one miarkują zbyteczne zimna i upały, roznoszą wilgoć od wód oceanów do atmosfery suchej na lądach, roznoszą téż deszcze, oczyszczają powietrze, rozpraszając zbierające się w niém na pewnych miejscach wyziewy, wreszcie zanoszą w najdalsze okolice pyłki nasion kwiatowych i drzewnych. Jakoż znajdują nasiona krajów zwrotnikowych aż na lodach Grenlandji i Nowéj Zemli. Poczynając od Aleksandrji aż do Sennaar, Egipt i Nubia pokryte są palmami płci żeńskiéj. Jedna palma męzka wystarcza do zapłodnienia wielu innych, a tych zapłodnienie odbywa się za pośred-

nictwem wiatrów. Starożytni poeci przypisywali im nawet moc zapładniania źwierząt.

Przemyślny człowiek obrócił ich siłę na swoje usługi: kazał im na morzu nosić swoje okręta, a na ziemi obracać koła swoich młynów, gdzie niebyło wody, któréj to było robotą właściwą.

Lecz wpływ ich bywa i szkodliwym; bo one téż przynoszą to zbyteczne zimna, to zbyteczne upały, to wszelakie zarazy, które przeto i nazywają powietrzem One téż w pewnych miejscowościach, panując wyłącznie, wywierają niekiedy dobre, ale téż często i szkodliwe skutki. One wreszcie wyprawiają te wszystkie burze, huragany itd., od których tyle zniszczenia bywa na lądach i na morzu.

St. Str.

17. Deszcze.

Najważniejszą posługą, jaką wiatry oddają ziemi, jest roznoszenie jéj deszczów, tego niezbędnego zasiłku, po którym ona wydaje wszelką roślinność i odkrywa w swoim łonie źródła wód lądowych. Z morza powietrze dostaje jedną ze swoich składowych części, parę wodną. Z téj powstają obłoki, które wydają deszcze i śniegi, a roznoszą je wiatry. Zaś w przedziwnej ekonomji tego świata fizycznego i pod tym względem panuje tak mądry porządek, iż kiedy samo morze dostarcza wody atmosferze, téj ilość największa dostaje się lądom, pomimo że na powierzchni ziemi, którą oblatują wiatry, one zajmują najmniej miejsca.

Ponieważ temperatura, wiatry i deszcze w ścisłym są związku i znajdują się pomiędzy sobą w stosunku bądź przyczyny, bądź skutku, ziemia więc, jak co do temperatury i wiatrów, tak i co do deszczów, może być podzieloną na trzy wielkie pasy; jeden, deszczów perjodycznych, właściwych strefie zwrotnikowéj i dwa, deszczów zmiennych, właściwych strefom umiarkowanym.

W obszarach równikowych, gdzie bieg temperatury i wiatrów odbywa się w pewnym określonym porządku i deszcze również ulegają temu prawu; i zamiast nieznanych tam pór roku, wynikających ze stanu temperatury, mieszkańcy odróżniają tylko porę suchą i porę dżdżystą.

Gdzie tylko stateczny wiatr wieje z właściwą mu regularnością, niebo jest wciąż jasne i barwy ciemno-błękitnej. Lecz w miarę tego, jak słońce zbliża się do zenitu miejsca, stateczny wiatr staje się nieregularnym, niebo nabiera barwy białawej i zasępia się,

ukazują się chmury, a z niemi nagłe nawałnice i wściekłe burze. Nawałnice wydarzają się coraz częściéj i zmieniają się na koniec w deszczowe ulewy, zatapiające ziemię potokami wody. W tym czasie powietrze tak bywa wilgotnem, iż mieszkańcy są jakby w ciągłej parowej kąpieli. Następuje ciężki i duszący upał, ciało staje się ociężałem i wątłem. Jest to perjod epidemicznych gorączek, tak zgubnych dla znacznej liczby przybyłych z umiarkowanych krajów osadników. Za to roślinność nabywa nowéj świeżości i siły, sama pustynia staje się ożywioną i na niejaki czas pokrywa się czarującą zielonością, dostarczającą paszy tysiącom źwierząt. Lecz nie zadługo słońce, postępując daléj w swym rocznym obiegu, oblewa inne miejsca swojemi prostopadłemi promieniami; deszcze ustają, a atmosfera staje się przezroczystszą, stateczny wiatr wraca do swéj regularności i nieco zamyka szklanne swe podwoje do następnéj pory roku.

Taka jest normalna kolej zwrotnikowych deszczów, które padają w każdem miejscu, podczas przejścia słońca przez jego zenit. Wtedy bywa lato i z ustawaniem zwyczajnego wiatru największe gorąco. Ponieważ zaś słońce przechodzi od jednego do drugiego zwrotnika, w międzyzwrotnikowych więc miejscach przypada podwójna pora dżdżysta, a te dwa perjody deszczów mniéj lub więcéj ściśle łączą się w jeden przeciąg czasu, stosownie do odległości miejsca od zwrotnika.

W Indyach niema takiéj regularności w deszczach i takowe należą tam całkiem od mussonów. Na zachodniem pobrzeżu Malabarskiem pora dżdżysta przypada podczas południowo-zachodniego mussonu, sprowadzającego tam pary oceanu, to jest podczas północnego lata. Sucha pora przypada tam podczas północno-wschodniego mussonu. Podczas południowéj zimy południowo-zachodni musson wznosi się po stokach zachodnich Gatów i staje się przyczyną gwałtownych burz i bardzo obfitych deszczów na wysokościach.

Przeciwnie wzdłuż Koromandelskiego wybrzeża, północno-wschodni musson sprowadza deszcze, napędzając tam pary z morza Bengalskiego, a z południowo-zachodnim mussonem nastaje pora sucha. Tak więc dwa te pobrzeża półwyspu mają odwrotne pory roku. Płaskowyżyna Dekanu ulega wpływowi obu stron. Pora mokra w niéj przypada rozmaicie i często bywają tam dwa perjody obfitych deszczów.

Deszcze zwrotnikowe mają cechę całkiem odmienną, aniżeli w strefach umiarkowanych i zimnych. Jakoż w strefach gorących słońce wschodzi zwykle przy niebie pogodnem; lecz około godziny

10 z rana, a niekiedy i wcześniéj, gromadzą się nagle chmury i wylewają potoki wody w pośród wichrów, błyskawic i grzmotów; potém ku wieczorowi, gdy upał staje się znośnym, niebo odzyskuje swój stan pogodny, co zwykle trwa przez całą noc. Z początku deszcz trwa krótko i tylko w godzinach najgorętszych; potém gdy słońce dochodzi do zenitu, zaczyna się prawie z początkiem dnia i leje nadzwyczaj obficie aż do wieczora; potém w miarę jak słońce oddala się od zenitu i deszcz się zmniejsza i znowu pada tylko w godzinach najgorętszych. Krople deszczu są ogromne, a ulewy tak wielkie, że nasze deszcze słabe tylko dają o nich wyobrażenie. Pora ta ciągnie się od trzech do pięciu miesięcy.

Dla wymiaru ilości wód deszczowych w rozmaitych miejscach, służą przyrządy bardzo, proste zwane Udometrami, czyli Deszczomiarami. Ilość ta oblicza się na wysokość w cyfrach. Silny deszcz daje pół cala. Przez takie wymiary obliczono, iż gdyby wszystka para wodna, znajdująca się w atmosferze, dała się od razu skroplić w deszcz i spadła na ziemię, któréj powierzchnia byłaby wygładzoną jak powierzchnia morza, ów deszcz pokryłby ją wodą na 12 centymetrów. Można potém widzieć, jak małymi środkami przyroda umie dokonywać rzeczy największych. Tak małym kapitałem 12 centymetrów wody obraca ona tak mądrze, iż jego dochodami obdarza całą ziemię hojnie. Prawda, iż nie wszystkie jej okolice jednakowo. Niektórym podobało się jéj odmówić całkiem deszczu; ale te są wyjątkami; a zresztą i najskąpiéj otrzymujące go mają w rok przynajmniéj 25 centymetrów, a niektóre mają go aż do zbytku, ażeby i w tém, jak we wszystkiem, była największa rozmaitość, w któréj kocha się przyroda.

Ilość wód atmosferycznych, skrapiających w pewnych miesiącach kraje zwrotnikowe, w porównaniu z ilością tych wód spadającą zwykle, u nas jest niezmierną. Obliczono, iż w przecięciu między zwrotnikami wypada rocznie w Starym Świecie 77, a w Ameryce południowéj 115 cali wody. Średnia wysokość wody, spadającéj w całym pasie zwrotnikowym, będzie tedy wynosić 96 cali.

W pewnych miejscowościach spada jéj daleko więcéj. I tak w Paramaribo, w Holenderskiéj Gujanie, otrzymano 229 cali, czyli 19 stóp; w St. Louis de Maranhao 276 cali, czyli 23 stóp; w Mahabaleshwar, w zachodnich Gatach na południe od Bombay, na wyniosłości 4200 stóp okazała się ogromna liczba 303 cali; zaś według najnowszych spostrzeżeń, największa ilość deszczu okazuje się na zachodnim brzegu Afryki w Sierra Leone nad zatoką Gwinejską, około 400 cali i na południowym stoku gór Khasia w Bengalu, gdzie dochodzi ona niesłychanéj cyfry 600 cali.

Tém bardziéj dziwią takie rezultaty, że przytoczona ilość wody spada w ciągu li kilku miesięcy i że tak powiemy na raz. W Cayenne w ciągu jednego dnia spadło raz wody na 21 cali, co równa się niemal całorocznéj ilości, spadającéj w szerokościach północnych. Ztąd pomimo obfitości deszczów w pasie zwrotnikowym, ilość dni jasnych bywa tam daleko większą, niż w naszych szerokościach. Nawet w ciągu pory dżdżystéj słońce ukazuje się tam co dnia i nieraz bywają dnie, w których ani jedna kropla deszczu nie spadnie.

Możemy sobie wyobrazić, jaki niezmierny wpływ wywierają podobnie gwałtowne nawałnice na rzeki. Zrozumiemy teraz tajemniczą niegdyś przyczynę wylewów Nilu, pochodzącą od zwrotnikowych deszczów w kraju źródeł téj rzeki.

Wielkie rzeki Ameryki południowéj często miewają powodzie na czterdzieści i więcéj stóp wysokości. Llanosy Orinoko zmieniają się na pewien czas w wewnętrzne morze. Amazona zatapia na znaczną przestrzeń równiny, przez które płynie. Paraguaj także tworzy laguny, które ściekają i wyparowują się podczas pory suchéj.

Ilość wody, zawierającéj się w postaci przezroczystych parów w atmosferze zwrotnikowéj, zawsze jest znaczną i pochodzi od stale wysokiego stopnia ciepła, zwiększającego na niezmierną skalę parowanie wód. Nawet pod niebem niemającem ani chmurki, powietrze jest hojnie zaopatrzone w pary. Właśnie ta niewidoma woda, pochłaniana przez rośliny i osiadająca na ich ogromnych liściach, jest przyczyną silnej wegetacji i wiecznej wprawiającéj w podziwienie zieloności pod niebem, pozbawionem deszczów i chmur przez większą połowę roku, gdy tymczasem w naszych strefach w braku deszczów w ciągu tylko kilku tygodni wszelka zieloność omdlewa i kwiaty giną od niedostatku wilgoci.

Pod względem deszczów strefy umiarkowane przedstawiają rażący kontrast z krajami zwrotnikowemi. U nas przez cały rok, chociaż nieregularnie, ziemia bywa skrapiana deszczami. Ale deszcze te są zmienne, podobnie jak i wiatry i temperatura i podlegają wpływowi wielu podrzędnych okoliczności.

Im daléj odchodzimy od zwrotników, tém więcéj charakter peryodyczności znika. Ale mało posiadamy udowodnionych faktów, co do sposobu w jaki się odbywa przejście z jednéj strefy do drugiéj. Musimy tylko uznać, że ogólny charakter, przeciąg i częstość padania deszczów téj strefy zdają się zależeć od tysiąca miejscowych okoliczności.

W atmosferze stref umiarkowanych mniéj znajduje się pary wodnéj, niż w powietrzu międzyzwrotnikowém; rośliny przeto nie

mogą u nas wytrzymywać przeciągłego niedostatku deszczów. Deszcze tedy u nas są częstsze, ale w miarę postępowania ku biegunom coraz mniéj nawalne i drobniejsze.

W przecięciu wysokość spadającéj wody w umiarkowanéj strefie starego świata jest 34 cale, a w umiarkowanéj strefie Ameryki 39, czyli dla całego pasa 35 cali. Niektóre wszakże punkta, tak jak w pasie zwrotnikowyn, pod wpływem szczególnych przyczyn, dają cyfry wyjątkowe. I tak na półwyspie Pirenejskim u zachodniego podnóża Sierra d'Estrella, wysuwającego się w kształcie ostrogi daleko ku stronie brzegu w dolinie Mondego w Koimbrze, otrzymano niezmierną jak na Europę wysokość 135 cali, zaś w Seathwite w Anglji w hrabstwie Cumberland, najwilgotniejszém miejscu w Europie, podają wysokość deszczu na 146 cali.

Obok takich miejscowości nazbyt mokrych, są inne nazbyt suche. Tak w Ameryce, i to w pasie deszczów zwrotnikowych, Cumana ma ich tylko 8 cali; w Europie Madryt ma ich tylko 10 cali; a są i takie miejsca, w których deszczów niemasz wcale.

W ogólności można powiedzieć, iż ilość wód deszczowych jest największą w środku pasa deszczów peryodycznych, w owéj strefie cisz, która jest oraz strefą burz i gdzie deszcze leją prawie ciągle. Od równika zaś w obiedwie strony ku biegunom, ilość deszczów coraz się zmniejsza.

Ukształtowanie lądów poziome, a jeszcze bardziéj pionowe, wpływa na nierówny rozkład deszczów. W pasie zwrotnikowym przychodzą one z wiatrem statecznym od wschodu, w pasach umiarkowanych przynoszą je wiatry odwrotne od zachodu. Lecz chmury deszczowe są jak gąbka napuszczona wodą. Najwięcéj przeto wody téj dostają kraje nadbrzeżne, które są skrapiane najpierwéj; zaś w miarę postępowania od brzegów, w pasie zwrotnikowym ku zachodowi, a w pasach umiarkowanych ku wschodowi, ilość deszczów musi coraz zmniejszać się, zwłaszcza tam, gdzie niemasz wielkich zatok i morz śródziemnych, które, zachodząc daleko w lądy, zasilają ich atmosferę wilgocią, z któréj powstają deszcze.

Pasma gór, przegradzające drogę wiatrom, zabierają od nich chmury deszczowe, które, czepiając się ich stoków obróconych ku tym wiatrom, oddają im cały zapas swoich wód. Na drugą stronę dostaje się ich już mniéj, a gdzie góry są wysokie wcale nic, lub prawie jak nic.

Płaskowyżyny z natury swojéj wszędzie są daleko suchsze, aniżeli równiny i stoki gór. Najwięcéj pustyń, które stają się takiemi przez brak deszczów, leży na płaskowyżynach.

Dla powyższych przyczyn każda część świata, a następnie

i każdy kraj wyróżnia się ilością i porą swoich deszczów. Poczém niedziw, że wyróżnia się i zależną od nich głównie roślinnością.

Stary świat, mający większą massę lądów i będący przeważnie światem płaskowyżyn, otrzymuje stosunkowo mniejszą ilość deszczów. Pod tym względem Europa jest położoną najkorzystniéj. Od zachodu ma ona liczne zatoki i wielkie morza śródziemne, zaś niezbyt wysokie jéj góry dają łatwy do niéj przystęp wilgotnym i deszczodajnym wiatrom zachodnim. Cała jéj zachodnia połowa ma klimat morski. Dopiero we wschodniéj połowie zaczyna się klimat lądowy, lecz i ten niepozbawiony deszczów. Europa jest jedynym lądem bez pustyni.

Azja, któréj część północna jest nachylona ku północy, gdzie atmosfera jak mało ciepła, tak mało ma i wilgoci, a któréj reszta składa się głównie z ogromnych płaskowyżyn, którą nadto Europa przedziela od zachodu, zkąd przychodzą deszcze, ma ich w ogólności mało. Obfite deszcze zwrotnikowe zlewają tylko dwa jéj półwyspy Indyjskie. Daléj najwyższe w świecie góry tamują im przystęp do środka téj części świata. Tam znajdują się pustynia Gobi i piasczyste morza Turanu. Chiny, chociaż na brzegach morza, ale wschodniego, mają klimat lądowy. Tylko daléj leżące wyspy mają klimat morski. Cała Syberja ma klimat lądowy i suchy.

Afryka, któréj część największa leży w pasie zwrotnikowym, ma jednak mało deszczów. Od wschodu zagradza im drogę wyniosłe pasmo gór Lupata. Tylko na ich wschodnich stokach chmury, przychodzące od oceanu Indyjskiego, wylewają obfite deszcze, które tam, jak w Mozambiku, czynią klimat zabójczym. Wszakże pobrzeże od przylądka Guardafuj do Zanguebaru ma wysokość nieznaczną. Tam przeto wiatry oceanu Indyjskiego zanoszą deszcze do wnętrza téj części świata, mianowicie do Senegambji i Gwinei, leżących w saméj strefie cisz i deszczów nieustannnych. Tym one zawdzięczają swój klimat wilgotny i upładniający, a oraz tak zdradziecki i zgubny dla przybyszów z Europy.

Afryka, będąca jak i Azja światem płaskowyżyn, w swojem dotąd mało znanem i zbadanem wnętrzu, posiada też ogromne pustynie, a pomiędzy niemi największą i najstraszniejszą ze wszystkich Saharę.

Australja dotąd bardzo mało jest znaną. Ten najmniejszy z lądów, jak i Afryka, zasłonięty jest od wschodu dość wysokiém pasmem gór i jak Afryka przedstawia zbitą massę lądu, niemającą zatok i półwyspów. Wnętrze jej, jak ze wszystkiego można wnosić, jest jak wnętrze Azji i Afryki bezwodną pustynią. Brak deszczów poświadcza i ubóstwo flory australijskiéj.

Ameryka, świat najpiękniejszych i najżyzniejszych równin, ze wszystkich części świata otrzymuje najwięcéj deszczów. Przyczynia się do tego szczególniéj postać jéj wysmukła, wyciągnięta między wschodem i zachodem. Część jéj zwrotnikowa, odkryta całkiem na wschód, zraszaną jest najobficiej, przez chmury idące od Atlantyku, które zatrzymują się aż pod niebotycznym wałem na jéj pobrzeżu zachodniem. To też podrównikowe jéj równiny, które przebiega olbrzymia Amazona ze swojemi licznemi dopływami, dorównywającemi największym rzekom małéj Europy, porosłe nieprzebytemi obszarami dziewiczych lasów, mają roślinność jeźli nie przechodzącą, to pewnie dorównywającą bujnością i przepychem roślinności Indyi. Strefy jej umiarkowane, wprawdzie mniéj korzystnie dla deszczów, zasłonięte są górami od zachodu; ale naprzód: te góry już są tam niższe i niezupełnie tamują przystęp na drugą stronę deszczom, idącym od oceanu Wschodniego; następnie Ameryka północna otrzymuje deszczcze i od zatoki Meksykańskiéj; zaś Ameryki południowéj tylko część niewielka leży w strefie umiarkowanéj. Tam leżą niezbyt wreszcie obszerne suche stepy Patagonji.

Zapewne gdyby góry Skaliste były nie na zachodnich, a na wschodnich brzegach Ameryki północnéj, a równiny Mississipi otwarte były południowo-zachodnim wiatrom oceanu Wielkiego, klimat ich byłby łagodniejszym i jednostajniejszym i obfitość deszczów jeszcze większa. Lecz jakież byłoby przeznaczenie tego lądu? Przegradzałyby go od Europy i pasma gór i mniéj dostępne brzegi; a byłby on otwartym ku wschodniéj Azji, ku Chinom.

I ta część świata ma pozbawione deszczów pustynie. Oprócz Patagonji, mającéj ich choć odrobinę, na zachodnich brzegach Peru, u stóp najwyższych w tych miejscach Andów, znajdują się małe przestrzenie, pozbawione deszczów całkiem. Taką jest stolica rzeczypospolitéj Peruańskiéj Lima i leżąca daléj na południe pustynia Atacama. Ani kropla wód atmosferycznych nie odwilża tych rąbków ziemi, skazanych na wieczną i nieubłaganą zasuchę nad brzegami morza. St. Str.

17. Klimat zwrotnikowy.

Pomiędzy zwrotnikami dni są równe nocom. Słońce wschodzi i zachodzi, nie poprzedzone przed wschodem zorzą, ani zostawiając po zachodzie owych zmierzchów wieczornych, które rozlewają tyle wdzięków w naszych klimatach. Ożywiająca przyjemność niektó-

rych naszych wiosen, przyjemne pogody jesienne, podobne do uśmiechu tęsknego przyjaciela, który nas opuszcza, mające tyle nieokreślonego powabu, nieznane są w tych krajach ciągle gorących, bogatych i pięknych. Lecz o ileż wspaniałość przyrody zwrotnikowéj przewyższa twory innych krajów i każe zapomnieć o tém, czego brakuje w tych klimatach szczęśliwych! — „Gdyby mi wolno było oddać się wspomnieniom dalekich podróży, mówi Humboldt w swojem Kosmos, policzyłbym do rozkoszy, jakie przedstawiają wielkie widoki natury, ciszę i wspaniałość owych nocy zwrotnikowych, gdy gwiazdy pozbawione migotania rzucają łagodne światło planetarne na lekko rozkołysaną powierzchnię oceanu; wspomniałbym o owych głębokich dolinach w Kordylierach, gdzie wznoszące się palmy wysokopienne swojemi rozłożystemi wierzchołkami przebijają sklepienia innych drzew i tworzą w długich kolumnadach las nad lasami; opisałbym wysoki szczyt Teneriffy, gdy warstwa pozioma chmur, rażących białością, oddziela stożek popiołów od płaszczyzny dolnéj i gdy nagle, skutkiem prądu wstępującego, z brzegów krateru oko może sięgać aż do winnic Orotawy i widzieć ogrody pomarańczowe i gęste lasy bananów.“

W sprawozdaniu o handlu zagranicznym, ogłoszonym w roku 1849 przez francuzkiego ministra rolnictwa i handlu, czytamy: „Nie masz przyrody cudownie płodniejszéj, jak jest przyroda w Peru. Wszędzie napotkać można ogromne lasy, rozciągające się aż do szczytów najwyższych gór, drzewa wysokości i grubości nieznanéj w Europie. Pomiędzy niemi znajduje się drzewo, nazwane Crux, które byłoby najpiękniejszém i najbogatszém do robienia wykwintnych mebli. Deski rznięte z niego są przecudowne na oko, wydają się centkowane, jakby skóra lamparta, a ich słój zbity przedstawia piękne plamy ciemno-kasztanowate na tle szafranowem. Za każdym krokiem napotykamy tam dzikie owoce najrozmaitsze, jako to kakao, kawę, wanillę, które znajdują często, lecz nie razem. Żywica, guma, smocza krew (draco sanguinea) sączą się same z drzew. China jest tam bardzo obfitą, lecz niechcą zapewniać, iżby była co do dobroci równą chinie z Calisaya. Kakao i kawa nawet w stanie dzikim są wyborne.“ Gdyby te kraje były poddane rolnictwu, ileż bogatych darów, rozrzuconych na los przez przyrodę, mogłoby tam być zbieranych i uprawianych.

Na tej ogromnej przestrzeni żyje wielka liczba ludów dzikich. Są oni prawie wszyscy gościnni i zapewniają, że w środku tych krajów znajdują się kopalnie złota i bogactwa niesłychane. Niegdyś missjonarze przesłali do Huanuco wiele kulek złota, znalezionych przy wydobywaniu piasku z góry, która się wznosi prawie sama

wśród tych dziewiczych lasów. Te kawałki złota, z których niektóre ważyły aż po kilka funtów, były przesłane wice-królowi Pezuela, który kazał je odesłać do muzeum madryckiego, gdzie je można jeszcze dziś oglądać. Niektóre osoby puściły się na poszukiwanie szczęśliwego Cerro Ś. Macieja, lecz żaden z nich niepowrócił. Można się domyślać, że jaguary, pumasy i węże, lub téż mieszkańcy Cacivos położyli koniec ich odwadze.

Potrzebaby przytaczać wszystkich autorów, opisujących kraje zwrotnikowe, by przedstawić dokładnie bogactwa téj przyrody zbytkowéj. Kiedy podróżnik opisuje wrażenia, jakich doznał na widok królestwa roślinnego w Brazylji, przywiedzie on sobie na pamięć powietrze ciepłe i napełnione tysiącem miłych woni. Widać tam motyle tak wielkie jak ptaki, a ptaki tak lśniące jak motyle. Powietrze przerzynają roje kolibrów i wielkich morfów z lazurowemi skrzydłami; w pośród traw i liści błyszczy tysiące robaczków, których światełka fosforyczne przedstawiają obraz wspaniale oświeconego miasta. Na drzewach i krzewach znajduje się mnóstwo niezliczone ptaków, osobliwie kolibrów, pokrytych lśniącemi piórami, pięknie owady i chmury różnobarwnych motylów. Najdziksze miejsca pokryte są mnóstwem najpiękniejszych kwiatów; kopalnie wydają wiele złota, dyamentów, ametystów i rozlicznych gatunków topazów. Jeżeli porzucamy kraje płaskie i wstępujemy na góry, noce stają się zimniejsze i niekiedy znajdujemy lekkie warstwy lodów. Zmiana klimatu sprawia tam zmianę w roślinach i królestwie źwierzęcém; i motyle przedstawiają widok odmienny: są one mniejsze i ozdobione mniéj bogatemi barwami.

We wszystkich krajach zwrotnikowych, w Ameryce, w Azji, w Afryce mielibyśmy do opisania tę samą wspaniałość i te same cuda. Mniéj palący, a bardziéj rozmaity klimat wysp jest jeszcze rozkoszniejszym, a ziemia jest tam niemniéj urodzajną. Dość jest przytoczyć wyspy Kubę, Martynikę, Guadelupę, Bourbon, Maldywy, Celebes itd. Bougainville przyrównywa wyspę Otahiti do pól Elizejskich. — „Nieznajdujemy tam, mówi Cook, żadnego źwierzęcia szkodliwego, ani komary ani mustyki nie brzęczą koło nas i nieobawiamy się ukłucia żadnego owadu. Księżyc, zalewając swojemi srebrnemi promieniami powierzchnię równą oceanu, pokazywał nam w oddaleniu krajobraz, który zdawał się utworzonym ręką czarnoksiężnic.“ Tenże żeglarz z równem uniesieniem mówi o archipelagu wysp Przyjacielskich, których więcéj niż 150 rozrzuconych jest tu i owdzie w małéj odległości, jakby tyleż czarujących ogrodów na oceanie Spokojnym.

W tych strefach, które zdaje się przebiegać powiew niebieski,

gdzie wszystkie twory przyrody świadczą o cudownej płodności ziemi, gdzie znajduje się tyle gatunków źwierząt ogromnych i silnych, cóż nareszcie mówić o człowieku? — Tam wszystko jest piękném, wszystko cudownem, wyjąwszy człowieka. W pośród przyrody uprzywilejowanéj, sam tylko człowiek jest poniżony i wyrodzony. Pod rozprzęgającém działaniem zwrotnikowego klimatu jego prawdziwa przyroda została zatartą. Myśl, pojęcie, wyobraźnia stopniowo się przyćmiły, a ich upadek poniżył nawet rysy, które odbijały obraz Boga.

Według Foissaca.

19. Burze zwrotnikowe.

Prawie każdego roku kraje zwrotnikowe i nawet przyległe im strefy umiarkowane, są widownią strasznych huraganów, które zostawiają jakby pamiątkę zniszczeń w ludzkiéj pamięci. W tych krajach siły przyrody, ciepło i elektryczność, podniesione do wysokiéj potęgi, wywołują starcia żywiołów groźne, jakby na dowód, że rozigrana przyroda jeszcze łatwiéj i prędzéj zdoła obalić i zburzyć to, co płodzi tak bujnie i obficie. W r. 1502 Santo Domingo, miasto założone przez brata Krzysztofa Kolumba, zostało zniszczone przez huragan. Jedno z tych zjawisk, straszniejsze jeszcze od tych jakie były w latach 1806 i 1829, srożyło się na wyspie Bourbon dnia 28. Lutego 1850 r. i ciągnęło się aż do 4 Marca. Wszystkie narzędzia i sprzęty robotników w polach i plantacyach zostały powywracane, dachy domów i wieże kościołów poobalane, drzewa powyrywane, całe rodziny poginęły i tylko pod gruzami znajdowano ich trupy. Wreszcie wylew morza, uzupełniając szkody poczynione przez burzę, zniszczył wszystko na polach zrujnowanych.

W nocy 4 Października 1844 roku, straszny huragan srożył się w Hawanie i trwał od godziny 10 wieczorem, aż do 3 po południu dnia następującego. Słyszano bez przerwy trzask walących się domów, przeraźliwe krzyki ludzi przywalonych zwaliskami, głosy przestrachu i modły rozpaczających jeszcze pozostałych przy życiu. W przerwach straszne błyskawice zwiększały okropność téj sceny zniszczenia. Nadedniem pokazało się żółtawe światło, które jeszcze powiększyło przestrach. Niebo zaciemniło się czarnemi chmurami, przez które niemogły przedrzeć się promienie słońca, a z nich lał nie deszcz, lecz potoki, upusty wody; rozszalałe wiatry wydawały huki podobne do bicia piorunów. Po ustaniu huraganu spostrzeżono, iż 500 domów było rozwalonych, zginęło do 70 ludzi

i wielka liczba okrętów stojących w porcie została zatopioną. Hawana miała pozór miasta, zburzonego przez bombardowanie; na polu ani jedno drzewo palmowe nie pozostało w całości; największe były połamane, lub powyrywane z korzeniami; ryż, kawa, banany, ananasy, kokosy, mangosy, wszystko zostało zniszczone, całe wsie znikły, tysiące domowych źwierząt zginęło. W pozostałéj części wyspy Kuby strata była niemniejszą. Huragan ten dał się czuć aż w Bermudach, Porto Rico, Jamaice i Haiti.

Burza zwrotnikowa.

Dziejopisowie wspominają o podobnych spustoszeniach w różnych krajach. Persya była często ich widownią. Takim był huragan, który srożył się 7 Kwietnia 363 r. nad brzegami Eufratu, w czasie wyprawy cesarza Juljana przeciwko Partom. Słońce było blizkiem zachodu, kiedy nagle powstała mała chmurka i zaraz prawie nastąpiła taka ciemność, iż nic nie można było rozróżnić. Zerwał się okropny huragan, przerywany licznemi błyskawicami i piorunami. Jeden z nich przewrócił żołnierza z dwoma końmi, które prowadził. Straszny wicher, zmiatając wszystko przed sobą, ogarnął cały obóz, pozrywał i poniszczył namioty i obalił na ziemię wielką liczbę Rzymian. Juljan sam, zwiedziony przez zbiega, błądził na

los po brzegach Tygru, gdzie został ogarniony chmurą piasku, która go zakryła przed oczyma wszystkich. Gdy ta chmura ustąpiła, znaleziono go przeszytego włócznią przez nieprzyjacielskiego jezdca. Tamże na cztéry wieki przedtém głód, zaraza i huragany zmusiły tryumwira Marka Antonjusza do zaniechania wojny przeciwko Partom i do wykonania nieszczęśliwego odwrotu.

Według Foissaca.

20. Trąby wodne i lądowe.

Do najciekawszych i najstraszliwszych, a na szczęście oraz najrzadszych zjawisk przyrody, należy zstępowanie brzemiennych burzą chmur na powierzchnię ziemi. Zjawisko to bywa tak szczególném i tak niepodobném do żadnéj innéj burzy, iż tłumaczono je w sposób rozmaity. Wszakże niemożna nie widzieć w niém

Trąba wodna.

działania elektryczności przeciwnych w ziemi, wodzie i chmurach. Nazywają je trąbami i pojawiają się one zwykle na morzu, lecz niekiedy, chociaż bardzo rzadko i na lądzie i bywają większe i mniejsze, dochodząc niekiedy ogromnéj objętości. Zniszczenia sprawiane

przez nie z niczém się niedają porównać. Są one przeto postrachem żeglarzy i tych co mieszkają na pobrzeżach.

Zjawisko to miewa zwykle miejsce w morzach zwrotnikowych, gdzie wszystkie powietrzne zjawiska przybierają rozmiary olbrzymie, gdzie spadają nie jak u nas deszcze, a prawdziwe potopy, gdzie każdemu wylewowi wód atmosferycznych towarzyszą silne grzmoty i pioruny i gdzie szaleją burze, o jakich my w naszéj spokojnéj, umiarkowanéj strefie niemamy i wyobrażenia. Dawały się wszakże wiedzieć trąby i w naszéj strefie, gdzie rozumie się należą do zjawisk wyjątkowych i fenomenalnych.

Kiedy ma powstać trąba, morza zaczyna wrzeć w obrębie od dwudziestu do czterdziestu metrów średnicy, poczém biało pieniąca się woda podnosi się ze środka na jedną stopę w górę nad powierzchnię morza, a nad nią się unosi czarna gęsta para, która huczy, jak gwałtowny potok i syczy, jakby ogromna gromada wężów. Wtedy chmury zbierają się ku temu miejscu i spuszczając się niżéj wyciągają z siebie jeden lub kilka ostrych końców, któremi wchodzą w połączenie z parą powstającą z wody. Skoro to nastąpi, woda, wraz z parą kręcąc się, podnoszą jednym lub kilkoma słupami barwy ciemno kłękitnéj w górę i wraz z chmurami tworzą jeden lub kilka słupów czyli trąb. Taka u powierzchni morza ma około stopy grubości, wyżéj jeszcze się zwęża, a potém coraz się rozszérza nakształt lejki, aż najszérszym końcem wisi w chmurach i tak idzie po wodzie lub ku brzegom, niesiona od wichrów z deszczem, grzmotami i piorunami, niszcząc wszystko na swojéj drodze. Biada okrętowi, który z nią się zetknie. W jednéj chwili z pogruchotanemi w drzazgi i szczapy masztami i podartemi w szmaty żaglami, idzie on na dno. Za zbliżeniem tego strasznego zjawiska, żeglarze nie widzą innego środka, jak strzelać do niego z dział. Jakóż w taki sposób udawało się niekiedy rozerwać trąbę, która wówczas z szumem spada w morze. Na lądzie gruchoce ona ze szczętem wszystkie budowy i najmocniejsze mury, wyrywa z korzeniem największe drzewa, wysusza i jakby wypija studnie i inne zbiorowiska wód, porywa i unosi drzewo, kamienie, a nawet żyjące istoty i przerzuca je czasami bardzo daleko.

Takie trąby powstają i bez udziału morza na lądach i wtedy, dla odróżnienia, zwane są lądowemi. Jedna z nich w roku 1787 ukazała się na zachodnich brzegach Francji pod Bordeaux. Niebo było mocno zachmurzone, choć powietrze spokojne i wiatr był zmienny. W tém nagle ze wszech stron zebrały się obłoki, jak góry i gwałtowny wicher spędził je na jeden punkt. W niejakiéj odległości od tego punktu, spuściła się na ziemię z szybkością

błyskawicy massa chmur, barwy ciemno-błękitnéj, w postaci lejki albo ostrokręgu, cienkim końcem na dół i dotykała nim ziemi, kiedy obszerna jej podstawa wisiała w chmurach. Dostrzegano w niéj bystry ruch wirowy, który zdawał się ściągać do niéj wszystkie chmury i wydawała ona i zlatywały się ku niéj ciągłe błyskawice. Okoliczni mieszkańcy mieli się za zgubionych i klęczeli modląc się na widok strasznego zjawiska, które postępując, wyrywało najgrubsze dęby, rozdzierając je na drobne drzazgi, wysuszyło ogromny staw i zgruchotało na miałki proch wielką murowaną fabrykę. Wreszcie rozerwała się ona w témże miejscu, gdzie powstała i znikła również szybko.

Trąba lądowa.

Podobne to téj trąby pojawiły się tamże we Francji 6 Lipca 1822 roku, na równinie Ossonval, o 6 mil fr. od Boulogne i Saint Omer i 25 Czerwca 1829 roku pod Monville w okolicach Treves. Przy pierwszéj zauważono, iż jak zwykle kręcąc się niekiedy odbijała się od ziemi, jakby kula w odskoku, wyrzucała z siebie kule ogniste i pary ciemne siarczane ze strasznym świstem i hukiem, podobnym do strzałów karabinowych; wreszcie wzniósłszy się do góry, pękła jak bomba ogromnych rozmiarów, zostawiajac na ziemi głębokie wydrążenie kołowe. Niebo było spokojne, a grzmot, który ciągle się rozlegał w około, ustał.

Sahara afrykańska ma podobne zjawiska, zwane trąbami piaszczystemi, które jednak są tylko naśladowaniem trąb właściwych, opisanych wyżéj i nie mają z niemi nic wspólnego. Tamte są zjawiskiem elektryczném, a te dziełem wichru w piaszczystéj pustyni. Podnoszą się w niéj w górę słupy piasku, mniéj więcéj wysokie i grube. Bywa ich nieraz tak wiele, iż przegradzają całkiem promienie stojącego nizko słońca, które wtedy barwi swoim blaskiem te kręcące się słupy tak, iż zdają się być w ogniu. Niektóre z nich wierzchołkami sięgają nieba; niektórych wierzchołki odrywają się od podstawy i rozpraszają się w powietrzu; inne rozrywają się na części mniéj więcéj wysoko, poczém się rozlatują; inne łamią się nagle w pośrodku z trzaskiem, jakby rozsadzane prochem. Nieraz posuwają się one powoli, cicho i majestatycznie w obec zdumionego podróżnika, jak duchy pustyni, mające go prowadzić i osłaniać; a w tém nagle je porywa wicher i z szybkością błyskawicy unosi daleko tak, iż ledwo widać je, jak cienkie wstęgi w powietrzu. Inne wpadają na podróżnych i grzebią ich w nawale piasku. Uciec od nich niepodobna, jeśli to niemniéj groźne zjawisko nie rozleci się, lub nie zmieni kierunku w chwili, kiedy ma dosięgnąć swoich ofiar.

Podobne do tych wichry zrywają się i na lodowatych pustyniach Syberji, gdzie podnoszą kręcące się słupy śniegu, któremi nieraz zasypują podróżnych, jak wichry Sahary swojemi słupami piasku. Nazywają je Buranami. Takie zawieruchy śnieżne, obok nadzwyczajnych mrozów w stepach Kirgizkich zimą r. 1839, zgubiły wyprawę rossyjską do Chiwy.

Według Kahler'a i innych.

21. Lasy pierwotne.

Niezmierzone i odludne lasy ze swojemi najrozmaitszemi drzewami i krzewami w stanie pierwotnym, znajdujące się w dalekich od nas okolicach świata, przedstawiają widok taki, o jakim niezamarzyła i najbujniejsza wyobraźnia mieszkańca Europy. Już w naszych głębokich i ciemnych borach, błąkającego się samotnie wędrowca przejmuje pewne właściwe im wrażenie. O wieleż silniejsze uczucia zdumienia i podziwu bywają za wejściem po raz pierwszy do takich nieprzebytych puszcz, jakie są w Ameryce południowéj, które przechodzą rozległością nie jedno z państw niemieckich. W tych dzikich i nietkniętych ani ręką, ani stopą człowieka borach, przyroda przedstawia taką pełność i rozmaitość roślinnego życia, w obec

któréj wszystko, co z największém staraniem sadzi i pielęgnuje człowiek, wydać się musi tylko słabem i mdłem naśladownictwem.

We wszystkich ogromnych lasach nie braknie źródeł; lecz puszcze pierwotne posiadają ich mnogość niesłychaną. Ich wilgoć, połączona z upałem zwrotnikowego słońca, podsyca roślinność tak, jak nigdzie więcéj. Z roku na rok wegetacja jest tam czynną bez ustanku i po saméj tylko rozmaitéj zieloności liści można tam rozpoznawać pory roku. Nowa zielona szata zastępuje nieodwłocznie tę, która tu i ówdzie więdnieje i opada. Obciążona roślinnością ziemia zdaje się nie może pomieścić wszystkich wykluwających się z niéj krzewów; zdaje się, iż nie mają one gdzie się rozrastać, cisną się, plączą i rosną jedne na drugich. Nie można stąpić kroku w téj gęstwinie, bez wyrąbywania sobie drogi siekierą. Z największą trudnością podróżnik przedziera się przez bujne nizkopienne krzaki, przez nierozwikłaną sieć wijących się zarośli, przez nieprzebytą gąszcz i plątaniny krzewów, oczeretów, wysokich traw, zapełniających wszystkie odstępy pomiędzy większemi drzewami, zaś zielony kobierzec traw i rozpościerających się po ziemi latorośli pokrywa niezliczone upadłe i spróchniałe drzewa. Jak filary rozwalonego gmachu, wystają tu i ówdzie obłamane pnie, zaś poplątane ich gałęzie tworzą nieprzebyte żywe płoty. Nieraz się zachodzi na głębokie jamy, przepaście, moczary i trzęsawiska, przez które należy urządzać sobie przejścia sztuczne, po nałożonych na nie pniakach, gałęziach i ogromnych kokosowych liściach.

Drzewa dochodzą tam wielkości i mocy zadziwiającéj. Gęstość ich liści rozpościera w lesie prawie ciemność nocy i tworzy sklepienie, którego nie przebija ani światło słoneczne, ani najsilniejszy deszcz. Olbrzymie stoletnie drzewa, z których każde ma różną i sobie właściwą szatę liściową, obwite są zewsząd nierozwikłaną siecią, przez najrozmaitsze pnące się po nich rośliny, między innemi gęstolistne lijany, o których bardzo słabe wyobrażenie mogą dać nasze bluszcze i powoje. W dziwny i właściwy sobie sposób opasują one pnie drzew, rozgałęziając się na nich, podwajają ich liściowe okrycie, zaś doszedłszy ich wierzchołków, wieńczą je swoją gęstą plecionką. Lecz próżno i na wierzchołkach szukać końca tych dziwnie ciągnących się latorośli. Ztamtąd czepiają się one wierzchołków innych drzew, lub nieznalazłszy podpory, zwieszają się na dół, ażeby dopełznąć i uczepić się innego sąsiedniego pnia. Te wijące się rośliny nadają lasom pierwotnym szczególniejszą malowniczość. Najbieglejszy znawca zaledwo zdoła się rozpoznać w téj nierozgmatwanéj mięszaninie najrozmaitszych gałęzi, liści, kwiatów i owoców, drzew, krzewów i wszelkiego rodzaju latorośli.

Często rozmaitość rodzajów i gatunków drzew bywa tam tak wielką, iż niepodobieństwem jest rozpoznać, jaki to jest właściwie las. W strefie gorącéj strzelają wysoko w górę mocarze świata roślinnego, potężne palmy ze swojemi wspaniałemi pióropuszami, pięknemi liśćmi, kwiatami i owocami. Wysokie ich pnie, które im dały nazwę wysokopiennych, przebijają zielone sklepienie mocno splecionych gałęzi innych drzew i wystrzeliwszy nad nie jeszcze wyżéj w górę, tworzą owe lasy nad lasami, które podziwiał w swoich podróżach Humboldt. Przepyszne drzewa oliwne znajdują się szczególniéj w Brazylji. Rzadziéj niż palmy, dają się widzieć w pierwotnych lasach Ameryki południowéj podobne to drzew olbrzymie paprocie, ze swojemi wysokiemi i prostemi pniami i cienkiemi gałązkami, które u jednych kończą się rozpostartemi wachlarzowo pierzastemi liśćmi, u innych zwisają nadół, jak ogromne sznurki. Niezmierna ilość drobnych krzewów porasta skały, a nawet pnie i gałęzie innych drzew. W innych lasach pierwotnych rosną ogromne dzikie figi, których szeroko rozpostarte gałęzie tworzą jakby dachy i sklepienia, rozmaicie pochyłe i wsparte na ich potężnych pniach. Po większych i szlachetniejszych drzewach, idzie nieprzeliczone pospólstwo drobnych krzewin: rozmaite rodzaje wicin, traw i mchów. Pomiędzy niemi niepoślednie zajmują miejsce soczyste i mięsiste kaktusy, w najrozmaitszych i najosobliwszych kształtach i skrętach, okryte pysznemi kwiatami. Wszystkie zresztą drzewa tam kwitną okazale; i kiedy u nas zwykle lasy są tylko zielone, tam one przedstawiają na zieloném tle niezmierny i nieskończony dabór najpiękniejszych kwiatów.

Według K. C. Leonharda.

22. Zimna podbiegunowe.

Trudno jest wyobrazić sobie coś bardziéj nieznośnego, jak pobyt w chłodach podbiegunowych; niemówimy życie, bo żyć w nich nie podobna. Tam jest przeciwieństwo owéj pełni życia fizycznego, które, że tak powiemy, wre między zwrotnikami. Musi ono przeto być rażącem.

Ponuro świeci na kraju szarego nieba słońce, swoim mdłym i jakby gasnącym blaskiem, oświecając widnokrąg ciemny i jakby pogrążony w nader długim przedwieczornym mroku. Niemoże ono podnieść się nad widnokrąg i tylko leniwo się przesuwa po jego kraju, jakby chciało zachodzić i wahało się z tém bez końca. Gdzie spojrzeć, wszędy śniegi i lody. Cała przyroda zdaje się

w martwym śnie. Wszędzie cisza, w któréj głosy ludzkie słychać w niezmiernéj odległości najwyraźniéj.

Człowiek, którego przemysł, albo żądza wiedzy i odkryć, pędzi ku tym morzom zlodowaciałym i tym lądom, które trudno wyróżnić od otaczających je lodów, za zbliżeniem ku tym kresom, na których znika życie fizyczne, gdzie sam czas ustaje w swoim biegu, poznaje, iż tam wytrwać trudno. Brak ciepła czuć się daje najdotkliwiéj. Na otwartem powietrzu w ciepłéj odzieży można jeszcze znieść i największe zimno, kiedy niema wiatru i kiedy to zimno trwa już z kilka dni; ale gdy się wchodzi do niego nie stopniowo, lecz odrazu, naprzykład kiedy okręt przybija do lodowatych brzegów z wiatrem południowym, a tam nagle go zaskoczy wiatr północny, wtedy wielka i gwałtowna zmiana temperatury bywa nie do zniesienia, dla oswojonych z nią od dawna. Krew obiega po żyłach prędzéj, w nosie czuć się daje paląca suchość, usta a raczéj wargi wykręcają się na wszystkie strony, język odmawia posłuszeństwa myśli i nie wymawia słów wyraźnie, zimno obejmuje każdą część ciała i mniéj więcéj ją obezwładnia, ręce wystawione odmarzają w kilka minut, a nawet twarz niedługo może znosić działanie zimnego wiatru.

Okręt zamknęły zewsząd lody. Morze tu zamarza, tam dymi się gęstą parą, która wnet, ścięta mrozem, tworzy chmurę szronu, ciemniejszą od najgęstszéj mgły. Maszty, reje i liny okrętu okryła skorupa lodu. Rudel potrzebą nieustannie wyrąbywać z lodu, by nie stanął nieruchomo. W kajucie mającéj piec, pali się dobry ogień, od którego robi się w niéj gęsta mgła nie do zniesienia. By ją rozpędzić, potrzeba koniecznie pootwierać drzwi i okna. Wtedy o dwa kroki od ognia termometer pokazuje 3° R. Woda na stole i wszelki zresztą płyn, by cokolwiek daléj od pieca, wnet zamarza; oddech wychodzący z ust zamienia się w lecący szron i zamarza na okryciach ludzi, leżących w łóżkach.

Przy takiem zimnie niema co myśleć o połowie wielorybów. Potrzeba myśleć o zachowaniu życia, by nie zmarznąć. Mróz by można przenieść nawet i większy, gdyby nie ten przeklęty wiatr, który nim razi tak, iż natura ludzka znieść go długo nie może. Kiedy niema wiatru, zimno nie tak się czuć daje. Temperatura — 14° R. przy ciszy, równa się temperaturze — 9°, 7°, a nawet 5° R. z wiatrem. Przeto czucie niemoże służyć za miarę pewną stopnia zimna.

Dzienniki podróży do morz biegunowych podają wiele godnych uwagi szczegółów o skutkach zimna. Bardzo wielu majtków poodmrażało twarze, nosy, uszy i palce u rąk i nóg. Za dotknięciem

żelaza czepia się ono palców, przy piciu szklanki czepiają się ust i języka i odedrzeć je można tylko ze skórą. Jeden majtek tak był nieostróżnym, że wyniósłszy na pokład odetkaną flaszkę z wódką, zatkał ją palcem. Nie uszedł kilku kroków, a ten palec przymarzł mu do flaszki tak, iż musiano go odciąć, by zapobiedz zapaleniu.

Żelazo staje się kruchém tak, iż jeśli nie jest najlepszego gatunku, łamie się za lada uderzeniem. Wódka nawet mocna marznie i rozsadza flasze. Igła magnesowa staje nieruchomo, co jest godném zastanowienia, bo doświadczenia okazują, iż zmiana temperatury niewywiera żadnego wpływu na siłę magnetyczną.

W téj chłodnéj strefie ludzie podlegają bardzo chorobie gnilca (skorbutu). Wielka liczba zimujących w Grenlandji, Spicbergu i innych podbiegunowych krajach, zmarło od téj choroby. Zdaje się jednak, że nie tyle ona bywa skutkiem zimna, ile niewłaściwych, zwłaszcza tamecznemu klimatowi, pokarmów.

Jako środki najskuteczniejsze od zimna tych stref niegościnnych, zalecają ciepłą odzież z futra, które ma być, nie jak go u nas noszą, ale szerścią na wierzch, jak go noszą zwierzęta; tak ono daleko lepiéj grzeje. Następnie świeże zdrowe posilne pożywienie, napoje rozgrzewające, ale nieupające, a nadewszystko ruch. Ten szczególniéj bywa potrzebnym dla przeciwdziałania obezwładniającemu wpływowi zimna, które skłania do odpoczynku, do snu, jak tego doświadczają i w naszych strefach ludzie, blizcy zamarznięcia na śmierć.

Admirał Wrangel, który odbył podróż naukową po oceanie Północnym i Syberji, któréj wydał zajmujący opis, tak opisuje ubranie, służące mu do podróży zimowéj lądowéj: „Na wierzch mojego zwyczajnego ubrania włożyłem naprzód rodzaj kurtki ze skóry lisa biegunowego, mającéj szerokie pokrycie na piersi również futrzane, potém szerokie spodnie futrzane, na nogi dwie pary pończoch ze skóry renifera, a na wierzch buty bardzo wysokie, także ze skóry renifera: Nie na tém jednak koniec; mając podróżować konno, musiałem jeszcze osłonić kolana nakryciem futrzaném. Na wierzch takiego ubrania bierze się rodzaj kapoty, zwanéj kuklianka; ta jest z podwójnéj skóry renifera, obróconéj szerścią na wewnątrz i na zewnątrz, z rękawami, kapturem, dostaje do kolan i ściąga się szerokim pasem. Twarz ma swoje osobne ubranie, bo potrzeba zabezpieczyć ją starannie od wiatru; dla tego nos, usta, broda i uszy nakrywają się każde osobnym kawałkiem futra. Po zakryciu się temi wszystkiemi przyborami, pozostaje do zupełnego ubrania wdziać na głowę olbrzymią czapkę futrzaną. Gdy pierwszy raz

włożyłem na siebie ten ubior, sądziłem, że nie podobna mi będzie znieść jego ciężaru; lecz późniéj nawykłem do niego, a w końcu przekonałem się, że w mróz 40° i więcéj jest on nawet bardzo wygodnym.“

Ostiaki w Syberji północnéj, spędzając po kilka dni i tygodni zimą i w silne mrozy pod gołém niebem na łowach, wdziewają ubior z podwójnéj skory renifera lub łosia, obróconéj szerścią na zewnątrz i na wewnątrz, który cały stanowi jedną sztukę odzieży, okrywającą człowieka literalnie od stóp do głowy, to jest zaczyna się od butów, ciągnie się spodniami, daléj kaftanem i kończy się kapturem na głowie. Taki ubior przyznać trzeba jeszcze lepiéj zabezpiecza od zimna, bo niema przedziałów, przez które zawsze ono się przeciska. Co do pozoru, na który zawsze we wszelkich ubiorach zwraca się uwagę, niewątpliwie nadaje on człowiekowi zupełne podobieństwo do orangutanga.

Konieczność zmusza niekiedy podróżnych do pozostawania na pewny czas w tych chłodnych pustkowiach, mianowicie do spędzania w nich zimy. Wtedy budują oni sobie szałasze i budy, w których głównym środkiem zabezpieczającym życie jest ogień. W braku takiéj budy, najlepiéj i najbezpieczniéj jest szukać schronienia w jamie, wykopanéj w śniegu. Tak czynią źwierzęta i dzicy mieszkańcy Syberji północnéj, kiedy bywają zaskoczeni w lesie, lub polu burzą śnieżną.

Wyspy Spicberg pod 77°—80° szerokości północnéj najeżone górami, które dały im nazwisko i na których, jak wiadomo, zimno jest jeszcze większe, nawiedzane bywają przez podróżnych, szukających tam czasowego przytułku. Był czas (1614—1617 r.), kiedy Anglja, Hollandja, Danija, Hiszpanija i Francja wysyłały tam wojenne okręta i dobijały się siłą zbrojną posiadania téj krainy nędzy i smutku. Od czasu jéj odkrycia w. r. 1553 udają się tam corocznie latem okręta prawie wszystkich narodów, dla polowania wielorybów, cieląt morskich, fok, białych niedźwiedzi i lisów błękitnych. Znajdują się tam niektóre nędzne jaskry, słabe pręciki chrzanu, mak biały, kamieniołup (saxifraga), mech żółty, itd. Królestwo źwierzęce jest rozmaitsze. Widzieć tam można goelandy, petrelle, ptaki burzowe, piękne mewy białe, dość znaczną liczbę lisów białych i błękitnych, nieco niedźwiedzi, a nawet reniferów. Morze w tych strefach jest zwykle wolne od lodów, od pierwszych dni Lipca, do połowy Sierpnia. Jest to czas w którym okręty udają się na połów wielorybów.

Znajdują tam na brzegach kamienie pomnikowe, a niekiedy kości ludzkie, jedyne ślady krótkiego na tych wyspach pobytu

człowieka. Kupcy z Archangelska utrzymywali tam przez jakiś czas osadę w Nord Bank, po któréj została tylko pamięć. Mówią, iż jeden Rossjanin przepędził tam siedem zim, a jeden okręt norwegski bawił przez dwa lata z rzędu. W r. 1633 zostało tam na zimę siedmiu Hollendrów, do których przyłączyli się i inni, lecz wszyscy prawie wyginęli z nędzy i od szkorbutu. Rossjanie, których okręt został rozstrzaskany przez lody, żyli tam przez lat sześć, utrzymując się z polowania reniferów, lisów i niedźwiedzi, których jedli mięso surowe, dla uchronienia się od szkorbutu. Wreszcie okręt rossyjski zabrał ich do Archangelska.

Mrozy, jak i w sąsiedniéj Grenlandji, dochodzą tam 41° R.

Jeżeli od bieguna północnego przeniesiemy się pod biegun południowy, to znajdziemy tam w odpowiednich szerokościach geograficznych temperaturę o wiele niższą. To obniżenie temperatury na całéj półkuli południowéj geografowie tłumaczą tem, że jest ona przeważnie wodną, kiedy północna jest przeważnie lądową. My nie podzielamy tego zdania. Wpływ morza powinienby owszem sprawiać skutek przeciwny; bo jeżeli morze łagodzi zbytnie upały, to jeszcze więcéj łagodzi ono zbytnie zimna, jedne i drugie właściwe klimatowi lądowemu. Sądzimy, że półkula południowa jest zimniéjszą nie przez to, że ma więcéj wód, ale przez to, że ma więcéj lądów około swojego bieguna, które o wiele powiększają massę jéj lodów podbiegunowych. Jakoż ta massa zalega cały prawie ocean Południowy, zaś tu i owdzie przekracza nawet koło biegunowe i wchodzi w pas umiarkowany.

Ziemia Ognista, na południowéj kończynie Ameryki, ma zimna prawie takie, jak w Grenlandji i Spicbergu; co jest bardzo zastanawiającem, bo ta wyspa leży pod 53°—56° szerokości południowéj, a zatem pod szerokością Wilna i Moskwy. Słońce tam jeszcze wznosi się wysoko, dnie i noce jeszcze nie dochodzą 24 godzin, a nadto jest ona pod łagodzącym wpływem dwóch oceanów. Pomimo to jéj góry, od samego podnoża, okrywają wieczne śniegi. Takie są skutki sąsiedztwa lodów biegunowych, które znajdują się od niéj bardzo blizko.

Następujący wyciąg z pamiętników kapitana Cooka okazuje dostatecznie, jak ostrym jest tam klimat: — „Dnia 16 Stycznia 1769 r. Banks i doktor Solander, udawszy się w głąb Ziemi Ognistéj dla zbierania roślin, z kilku ludźmi załogi okrętowéj weszli na dość wyniosły wzgórek. Od razu powietrze, które było tak piękne, jak w naszych stronach w Maju, stało się mglistem i zimnem i powstały silne wichry, połączone ze śniegiem. Była już godzina ósma wieczorem, gdy po zaspokojeniu swojéj cieka-

wości, zeszli oni z pagórka w dolinę. Lubo silnie przeziębłe, całe to małe grono było zdrowem i wesołem; lecz doktor, który przebył góry, dzielące Szwecją od Norwegji, obawiał się o swoich towarzyszów, żeby nie doznali osłabienia i skostnienia od zimna nieznośnego szczególniéj, gdy się łączy z utrudzeniem; zaklinał ich, by się niezatrzymywali ani chwili, choćby to kosztować miało wiele trudu, powtarzając: Ktokolwiek usiądzie, zaśnie, a kto zaśnie, ten już się nie obudzi. Ta przestroga zatrwożyła wszystkich i postępowali odważnie. Wtem doktor pierwszy niemógł się oprzeć téj potrzebie snu, przeciw któréj tak ostrzegał swoich towarzyszów i prosił ich, by mu pozwolili położyć się. Banks czynił mu napomnienia bezskuteczne; on już się wyciągnął na ziemi, pokrytéj śniegiem. Z wielką tylko trudnością jego przyjaciel nie dał mu zasnąć. Richmond, jeden z murzynów Banksa, zaczął zostawać w tyle za swoimi towarzyszami; prośby, nalegania były bezskuteczne; gdy mówiono mu że umrze od zimna, jeżeli się zatrzyma, odpowiedział, iż niczego więcéj nie pragnie, jak położyć się i umrzeć. Doktor nie wzbraniał się iść daléj, lecz prosił, by mu dozwolono tylko chwilkę się przespać, choć sam przed chwilą mówił, że zasnąć i umrzeć było tóż samo. W końcu nic nie mogło ich powstrzymać, położyli się obadwa na chruście i wpadli w głęboki sen. Na szczęście wysłani na przeciwko nich ludzie oznajmili, że o milę rozpalono mocny ogień. Zaledwo dobudzono się doktora, a choć spał on nie więcéj nad pięć minut, już prawie utracił był władzę w nogach. Opierając się na swoich towarzyszach, ledwo mógł postępować daléj i z największą trudnością doszedł do ognia. Wszelkie usiłowania rozbudzić Richmonda były bez skutku. Zostawiono przy nim dwóch ludzi, których spodziewano się wkrótce zastąpić dwoma innymi, gdy ci zupełnie się rozgrzeją. Pierwsi dwaj, mając do swego rozporządzenia dwie butelki rumu, sądzili, iż niemogą użyć lepszego środka dla obudzenia Richmonda i utrzymania się samym w czujności, jak pijąc go obficie. Jeden z nich, już napół umarły, potrafił jednak złączyć się z towarzyszami, dwaj inni, błądząc jakiś czas, zasnęli; próżno usiłowano ratować ich i przenieść. Noc była ciemna i gęsty śnieg padał płatkami. Nazajutrz znaleziono ich nieżywych. Kilku innym, lubo bardzo cierpiącym, udało się dostać do okrętu.“

Potrzeba pamiętać, iż 16 Stycznia znajdowano się tam w środku lata.

Zauważyć jeszcze należy, iż mróz zabezpiecza bardzo wszystko od gnicia. W skutek tego, wszelkiego rodzaju mięsa (wyjąwszy ryby) dają się przewozić do Grenlandji i Spicberga i tam trzymać przez

czas długi bez wędzenia, suszenia i solenia. — W atlasie historycznym Bleau, znajdujemy pomiędzy innemi szczegółami, że w r. 1835 zmarło na Spicbergu siedmiu majtków holenderskich; zaś we dwadzieścia lat potem znaleziono tam ich zwłoki w zupełnéj całości. Znajdowano tamże drzewo, zachowane bez spróchnienia od lat przeszło stu.

St. Str.

23. Zorza północna.

Nawet i w tych okolicach naszéj ziemi, gdzie dnie i noce ciągną się przez tygodnie i miesiące i gdzie stężające wszystko zimno gromadzi niezmierne massy śniegów i lodów, niezbywa na

Zorza północna.

pięknościach i wzniosłych obrazach przyrody. Z przerażeniem słyszymy o tych długich nocach, które w pewnej porze ogarniają owe strefy i pozbawiają je ożywczego światła słońca; lecz dobroć Stwórcy dla tego świata sprawiła, że te noce nieraz bywają piękniejsze od naszych pochmurnych dni. Niebo jasne, atmosfera

czysta, pogodne światło księżyca i szczególniejsza okazałość gwiazd, wszystko to sprawia widok tak przepyszny, o jakim tylko można zamarzyć. Trudno jest wyobrazić sobie, jak wspaniałe widowisko przedstawiają w taką noc szczególniéj morza. Na niezmierzonéj powierzchni wód, pojawiają się mirjady ryb wszelkiego rodzaju i wszelakiéj wielkości, wszystkie ruszają się, igrają, gonią się i umykają. Wieloryb, to wynurza się z głębi, to znowu idzie na głębią i ciska w górę słupy wody; sztokfisz skacze po kołyszących się falach i odbija światło księżyca na swoich srebrnych łuskach; drobne rybki ciągną niezliczonemi gromadami ku brzegom, gdzie fale wyrzucają ich mnóstwo na piaski i gdzie zabierają je w kosze kobiety, dzieci i rybacy, zarzucający swoje sieci.

Do najwspanialszych widowisk, jakie mają miejsce w strefach podbiegunowych, należy zorza, zwana północną, ale którą byłoby właściwiéj zwać biegunową, bo ona się pojawia i u jednego i u drugiego bieguna. Stanowi ją zwykle pas ognisty, którego oba końce spadają pod widnokrąg i od którego różnobarwne promienie rozpościerają się po całem niebie. Łagodny blask księżyca niezdoła przyćmić ich żywego światła. Zjawisko to poprzedza szelest jakby tarcia o siebie jedwabnych tkani. Z lekkim szmerem szerzy się ono po całem sklepieniu nieba i w zenicie promienie jego tworzą wieniec. Niekiedy okazuje się ono też w postaci dwóch chorągwi, które rozwiewają się w powietrzu i fałdując się, błyskają zmieniającem się różnobarwnem światłem. Często też podnoszą się na niebie ogromne słupy ogniste, których potem blask coraz słabnie, albo też w szybkich zmianach przechodzi przez wszystkie barwy od najjaśniejszéj złotéj, do najciemniejszéj szafirowéj, by wnet potem zniknąć, lub wybuchnąć na nowo. Niekiedy znowu z pod widnokręgn wylatują strzały ogniste, przebiegają szybko całe sklepienie nieba i zapadają pod przeciwległą stronę widnokręgu. Od czasu do czasu ukazuje się nagle w zenicie ogromna massa światła w postaci wieńca i wypuszczająca promienie ku ziemi, poczem w oka mgnieniu znika.

W zapiskach jednego podróżnika, znajdujemy o tem zjawisku następujące ciekawe szczegóły.

Zorza północna pokazuje się najczęściéj w pogodę cichą i bywa najżywszą przy świeżym wietrze południowo-wschodnim. Tam gdzie mieliśmy sposobność ją oglądać, z początku ukazywały się zwykle słabe i nieforemne promienie światła, które, podnosząc się z po za gór, miały wielkie podobieństwo do łuny dalekiego pożaru. Potem ich kształty i ruchy stawały się coraz wyraźniéjsze, rozmaitsze i świetniejsze. Mieszkańcom krajów północnych zorza

północna służy tem, że w ich długich nocach użycza im światła i że daje im z siebie wnioskować o przyszłych wiatrach i pogodzie.

W Laponji już w Listopadzie dzień jest jakim półtoragodzinnym zmrokiem. Żeby pisać lub rysować, potrzeba cały dzień palić światło i nawet objad trzeba jeść przy świecach. Dla jazdy, polowania, rybołowstwa wystarcza jasność samego zmroku. Niekiedy świt poranny bywa tak jasnym, iż można przy nim czytać druk wielkiemi literami. Zimno było już tak wielkie, że najgłębsze przepaście w górach pokrywały mocne i twarde śniegi. W taką porę przedłużaliśmy naszą podróż w mnogim tłumie sanek. Wieczór zbliżał się niezwykle świetny i gwiazdy rozsiane na niebieskim sklepie jaśniały podwojonym blaskiem. Mróz był tęgi i iskrzyło się na niebie i na ziemi. Trudno jest opisać te niezwykłe światła, jakiemi błyskały rozwieszone nad nami ciała niebieskie. Przechodziły one od barwy ognistéj i złocisto-pomarańczowéj do ponsowéj i każdy ich promień przez najczystszy eter dochodził aż do nas. Zorza północna rozpoczęła swoją grę w około i nad nami. Naprzód buchnął w zenicie blady potok światła, potem wystrzeliły z niego drgające smugi ognia, rozbiegając się szybko po całem niebie, światło ich odbijało się na każdej gałązce, na każdym listku, jak gdyby usiało je drogiemi kamieniami. Jodły i brzozy miały pozór cudnych drzew z jakiegoś piękniejszego świata. Jechaliśmy jakby zaczarowanym lasem, w którym przyroda rozkrywała swoje nie do opisania wdzięki, by ich widokiom uprzyjemnić naszą nocną podróż. Zapatrzeni na to cudne widowisko, w szybkiéj jeździe, wyglądający w naszych futrach jak straszydła, obsypani gęsto mrozem i szronem, mieliśmy pozór nie ludzi, a jakiejś przeciągającéj zgraji duchów podziemnych.

24. Lody biegunowe.

U jednego i drugiego bieguna kuli ziemskiéj, zalegają lody wieczyste nie przeto, iżby trwały zawsze w swojéj całości. Owszem słońce, w czasie swego kolejnego pobytu przez półroczny dzień to nad jednym, to nad drugim biegunem, swojem wprawdzie słabem lecz przeciągłem działaniem, daje i im pewny, a nawet znaczny, stopień ciepła, które rozrusza stężałe od zimna oceany i kruszy niezmierne massy ich lodów, których oderwane części prądy morskie unoszą w strefy cieplejsze. Pomimo to część ich wielka pozostaje na miejscu, mianowicie przy lądach, gdzie znajdują one trwałą i mocną

oporę, aż do niedługo potem następującéj zimy, która przyczynia do nich nowe massy na miejsce tych, co ubyły w lecie; i tak one trwają ciągle.

„Morze lodowate, mówi admirał Wrangel w swojéj podróży po oceanie Północnym i Syberji, podczas zimy ma tę samą postać co i lodowate okolice Syberji północnéj; to jest przedstawia rozległe

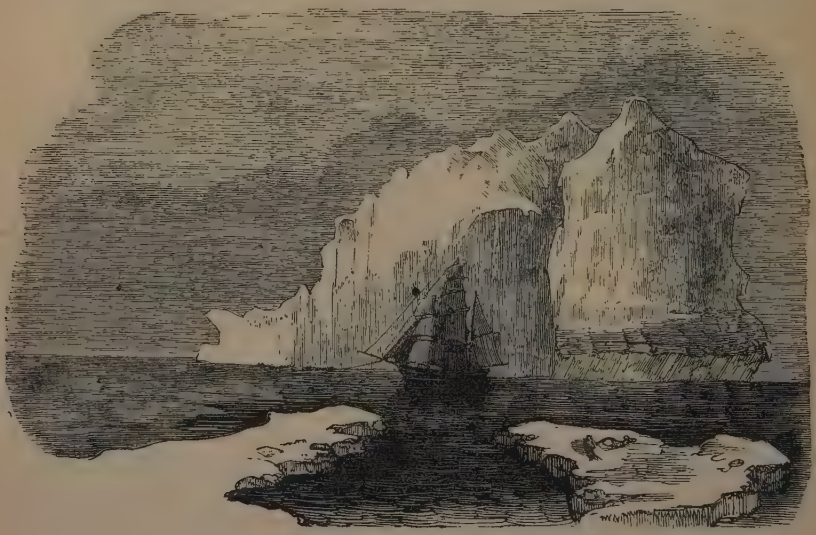

Góry lodowe.

tundry, zupełnie gołe i poprzecinane tu i ówdzie pasmami gór. Powierzchnia tych równin jest falista i pokryta głębokim i twardym jak lód śniegiem. W pewnych odległościach, bądź to na równinie, bądź to w wydrążeniach między lodowemi górami, nápotkać tam można i wody, podobne do jezior i bagnisk.

Myśliwi, poszukujący kłów mamutowych i odważni podróżni zapuszczają się do tych niebezpiecznych obszarów, obozują tam i rozpalają na nich ognie. Niedźwiedzie polarne i lisy przychodzą niekiedy wypowiadać im straszną wojnę; lecz to niebezpieczeństwo jest mniéj groźnem, niż straszny żywioł będący pod nimi, który tyle ofiar już pochłonął. Stepy lodowate przybierają kształty najdziwniejsze; ze szczytu napotykanych tam wyniesień widnokrąg odsłania się daleko i zdaje się tworzyć pasma gór barwy błękitnéj. Podróżny posuwa się do nich z odwagą, lecz te przedstawiające się jego oku

doliny i skały są tylko parą wychodzącą z morza, którą wiatr unosi daleko.

Podczas lata, gdy te massy lodowe zaczynają się łamać, przedstawiają one widok wspaniały i straszny. Morze wtedy pozbywa się lodów, które je więziły przez całą zimę. Ogromne góry lodów, podnoszone przez morskie bałwany, uderzają na siebie z trzaskiem, i nikną w otchłani pokrytéj pianą. Nic nie może dać wyobrażenia o tém strasznem zniszczeniu. Cała ta ogromna przestrzeń, nie dawno martwa i nieruchuma, na raz wstrząsa się i łamie z straszliwym hukiem, a jéj szczęty unoszone przez spienione bałwany wyrzucane są do góry, jakby lekkie kawałki drzewa.

Po za témi rozburzonémi massami odsłania się niekiedy morze wolne, które mieszkańcy Syberji nazywają Poliną. Teraz pływają po niém ogromne góry lodu, na których niekiedy siada niezliczona gromada czarnych kaczek. W Syberji pojawienie się tych ptaków zapowiada koniec zimy.

Kapitan Scoresby, który odbył dwanaście podróży do mórz podbiegunowych, opisał z równą mocą widok, jaki mu przedstawiały lody biegunowe na brzegach Grenlandji i Spicbergu. Podług tego sławnego żeglarza lodowata przestrzeń, któréj oko ze szczytu masztów okrętowych nie dosięga granic, miewa nieraz rozległości od 300 do 400 mil kwadratowych. Niekiedy jéj powierzchnia jest tak równą, iż powóz mogłby po niéj jechać łatwo 30 i 40 mil bez przeszkody. Inną razą dają się na niéj widzieć wyniosłości, z obwodami najrozmaitszemi i najbardziéj zajmującemi, odbijające piękne kolory błękitno-zielonawe najświetniejszych topazów. Wysokość brył lodowych bywa najmniéj od 40 do 60 metrów. Podają, iż w zatoce Baffińskiéj napotkano górę lodu, wznoszącą się nad powierzchnią morza na 40 metrów, coby jéj nadawało od 200 do 400 metrów wysokości całkowitéj. 9 Lutego 1838 Dumont d'Urville, w swojéj podróży do bieguna południowego, widział płynącą massę lodu, długą na 11,000 sążni, a wysoką na 100 stóp, ze ścianami zupełnie pionowemi. Niektóre bryły lodu wznosiły się na 150 stóp nad powierzchnią morza.

Wyprawa posłana w r. 1851, dla odszukania Jana Franklina, po zarzuceniu kotwicy pod Uperniwik u brzegów Grenlandji, posunęła się daléj na północ w zatokę Baffińską i po tysiącznych niebezpieczeństwach doszła do 75° szerokości północnéj. „Góry lodowe, mówi Bellot oficer marynarki, towarzyszący kapitanowi Kennedy w téj niebezpiecznéj wyprawie, miały od 200 do 300 stóp wysokości nad wodą“ Żegluga była często wstrzymywaną przez ławice lodowe, rozległe na 15 do 20 mil kwadratowych.

W ostatniéj podróży do bieguna północnego r. 1853—1855 Dr. Kane posunął się do 82° szerokości i znalazł morze wolne.

Podróż prawie bajeczna kapitana Weddel r. 1823 mogła podać myśl dojścia do bieguna południowego. Po przebyciu wysp Nowych Orkadów i Nowej Szetlandji, znalazł on pod 74° szer. połud. morze wolne od lodów i sądził że ono się ciągnie aż do samego bieguna; lecz podania innych żeglarzy nie potwierdziły zdania Weddela. Jego śmiałéj odwadze sprzyjały zapewne okoliczności całkiem wyjątkowe, które ponawiają się zapewne tylko w długich przedziałach czasu.

Podróż, odbyta w r. 1838 przez okręty Astrolabe i Zélée pod dowództwem kapitana Dumont d'Urville, dostarczyła o morzach południowych wiadomości dokładniejszych i pewniejszych, niż poprzednie. Sławny tem podróżnik udał się śladami Weddela i 15 Stycznia napotkał pierwsze lody pod szerokością 59° 30'; przeszedł jednak daléj i dosięgnął kierunku wskazanego przez Weddela; lecz 22 Lutego, pod szerokością 64° i długością zachodnią 47° 30', napotkał tamę lodów zbitych, które, o ile mógł okiem dosięgnąć, tamowały mu zupełnie przejście. Na niezmiernéj przestrzeni rozrzucone były massy rozmaitéj wielkości i różnych kształtów, które przedstawiały najosobliwsze widoki, w chwili gdy je oświecały promienie słońca. Raz widziano jakby wielkię miasto z pałacami, kościołami i wieżami, inną razą jakby piękne wioski położone na brzegu wody spokojnéj i otoczonéj klombami drzew, najczęściéj zaś jakby rozległe łomy marmurów, zarzucone mnóstwem rozmaicie powyrabianych brył. Dumont d'Urville próbował wszystkich środków przejścia, jakie mu tylko nastręczały jego śmiałość i odwaga. Nieraz zamknięty był w około górami lodów i dwie jego korwety o mało nie zostały zgruchotane. Zatrzymany przez całych pięć dni wśród lodów nadzwyczajnéj grubości, które się pospajały na około okrętów, po rozpaczliwych wysileniach w końcu zdołał się z nich wydobyć i wypłynąć na otwarte morze. Usiłował on potem na nowo posunąć się daléj ku biegunowi, lecz bezskutecznie. 15 Lutego, pod 62° szerokości, znajdował się zupełnie w téj saméj przestrzeni, w któréj Weddel mógł wolno krążyć 5 i 6 tegoż miesiąca przed laty 15, lecz wszystkie te miejsca były niepodobne do przebycia i niemógł posunąć się daléj po za 64°.

Ze wszystkich tedy danych, jakich dostarczyły nam odkrycia pomienionych żeglarzy, a do których mało co nowego przydały czasy obecne, zdaje się, że biegun północny zalega morze, a biegun południowy ląd. Dla tego i lody przy tym ostatnim są daleko większe, aniżeli przy pierwszym. Wszyscy łudzą się nadzieją

dójścia kiedyś do samego bieguna. Jeżeli ta nadzieja kiedykolwiek ziści się, to chyba tylko u bieguna północnego, do którego, jak utrzymują wszystkie podania, stwierdzone i przez ostatnią podróż Dra Kane, prowadzi morze całkiem wolne od lodów; ale do bieguna południowego, zawalonego przez lody, które, jak się zdaje, mają trwałą oporę w lądach, nie dojdzie z pewnością nikt.

Według Foissac'a.

25. Lodowce.

Jak w kierunku poziomym pod biegunami, tak w kierunku pionowym u szczytów wysokich gór, stężające działanie zimna tworzy również massy wiecznych lodów, zwane lodowcami. I od nich, podobnież jak od lodów biegunowych, działanie letniego słońca odrywa potężne massy, które stacza na dół w cieplejsze warstwy atmosfery; ale niema czasu stopić je ze wszystkiem. Pozostają one przeto na następną zimę, która je powiększa nowym pokładem śniegów. I tak one, jak i lody biegunowe, trwają wieczyście.

Pod nazwą lodowców rozumieją bardzo często nie to, co tą nazwą oznacza nauka; mianowicie rozumieją pod tém jakieś góry lodowe, albo cyple skalne, okryte śniegiem i lodem; co zupełnie jest fałszywem. Lodowce są nie na górach, lecz w dolinach. Są to zbiorowiska śniegów i lodów, w dolinach niektórych gór, w wysokości odpowiednej dolnéj granicy wiecznych śniegów.

Jeżeli położymy rękę z rozpostartemi palcami na stół i wyobrazimy sobie przez nią góry, to sama ręka przedstawi nam główny grzbiet; palce, wybiegające z tego grzbietu, odrośla gór; a miejsca próżne między palcami, doliny, w których właśnie tworzą się lodowce.

Śniegi, spadające na wysokich górach w ciągu mniéj więcéj dziewięciomiesięcznéj zimy, zbierają się po wysokich dolinach. Wiatry zmiatają téż do nich śniegi ze szczytów gór i tak układają się w nich massy śnieżne w potężnéj ilości; warstwy wierzchnie naciskają spodnie całym swoim ciężarem i tworzą z nich przez to silnie zbite massy; w lecie obwiewają je ciepłe wiatry i skrapiają ciepłe deszcze; śnieg z wierzchu taje, woda sączy się przez pokłady śnieżne coraz głębiéj i wreszcie spływa z doliny. W skutek tego massa lodowca szczupleje. Lecz po krótkiem lecie następuje znowu długa zima, która ściska mrozem pozostałe przesiąkłe wodą śniegi, zamienia je przez to w lód i nakrywa go

z wierzchu nową potężną warstwą świeżego śniegu, zapełniającą pozostałe od przesiąkającej wody szpary i ugniatającą znowu wszystko swoim ciężarem. Tak stopniowo tworzy się lodowiec z gromadzących się od roku do roku pokładów, w których śnieg, zmięszany z lodem, tworzy jedną zbitą massę. Ta z czasem wypełnia dolinę i mogłaby nietylko dorównać, lecz i przewyższyć wysokość góry, gdyby nieubywało jéj i w inny sposób. Dolina, będąca łożyskiem lodowca; ma pochyłość mniéj więcéj znaczną; w miarę wzrostu lodowca, wierzchnie jego pokłady naciskają go ciężarem coraz większym; mróz zimowy, stężający jego massę, coraz mniéj przenika od wierzchu do jego coraz dalszéj głębi, która przez to podlega coraz więcéj ogrzaniu i rozkładowi od ziemi i skał, na których leży i coraz mniéj stawić może oporu niciskającym ją z góry pokładom. W skutek tego cała massa się rozciąga, rozrywa i sunie spadzistością swojego łożyska na dół. W taki sposób lodowiec znowu się uszczupla i przedłuża, zamieniając się w potok śnieżny, postępujący mniéj więcéj szybko, jak rzeka, wedle spadzistości swojego łożyska i ciężaru swojéj massy, prędzéj we środku, a powolniéj u brzegów i rozumie się nie wszędzie jednakowo; zatrzymuje się zaś w niższych i cieplejszych warstwach atmosfery, w których się kończą górskie śniegi, a tworzą potoki górskich wód, z których biorą początek górskie rzeki i jeziora. Nie w jednéj to wszakże dzieje się wysokości. Im szerszym i grubszym bywa potok śnieżny, tém niżej on zstępuje, bo więcéj potrzeba czasu do jego stopienia. Widziano lodowce w swojem obniżaniu się oparte o lasy, zabudowania i wioski, a niekiedy i zasypujące je massami śniegów, znanemi pod nazwą lodozwałów.

Z daleka powierzchnia lodowców okazuje się równą i gładką, jakby do jeżdżenia po niéj zaprzężonym końmi wozem, ale po bliższém i dokładniejszém rozpatrzeniu, okazują się na niéj utworzone z lodu, rozmaitych barw, od najpiękniejszéj ciemno-zielonéj, do niebieskiéj lazurowéj, tablice, sześciany, graniastosłupy, ostrosłupy, wielkości domów, a niekiedy i wysokich gmachów, a pomiędzy niemi niezliczone przerwy i rozpadliny. Niekiedy bywa ich na lodowcu tak wiele i tak one są szerokie, iż chodzić po nim jest niepodobieństwem. Bywały nieraz przykłady, iż zwiedzający lodowce z przewodnikami, w pośród białego dnia i jasnéj pogody, tak zabłąkiwali się w pośród owych rozpadlin, iż zaledwo w kilka godzin mogli odszukać z nich wyjścia. Przerwy te w lodowcach okazują się na ich powierzchni bardzo długie i z końcami ostremi. Długość i szerokość ich zależy od wielkości lodowca i pochyłości

jego łożyska; bywa przeto bardzo rozmaitą. Bywają takie, które świeżo powstałe łatwo można przeskakiwać, a znowu takie, co mają szerokości na 12 stóp i więcéj. Wreszcie szerokość tych przerw zależy i od ichże długości; widziano bowiem i takie, które idą w poprzek przez cały lodowiec, rozcinając go zupełnie na dwoje. Takie przerwy tworzy silne ciążenie dolnéj części lodowca. Badacze przyrody, zajmujący się specjalnie studjowaniem lodowców, kazali

Lodowiec.

sobie w tym celu budować na nich chatki i przesiadując w nich po kilka tygodni robili nad témi szparami szczegółowe i dokładne spostrzeżenia. Powstawanie ich oznajmia zwykle silny trzask we wnętrzu lodowca; poczem wnet ukazuje się na nim pęknięcie, jedno lub kilka, jak na tafli stłuczonego szkła. Następnie powiększanie się pęknięcia w zdłuż i w szerz można często śledzić wzrokiem. Bywają nieraz przykłady, iż pęknięcie, gdy się zrobi, wnet rozchodzi się daleko; a także zdarzało się, iż długie i szerokie rozpadliny wkrótce znowu się schodziły i spajały swoje brzegi.

Takie pękanie lodowców sprawia, że chodzić po nich jest bardzo niebezpiecznie, zwłaszcza kiedy je pokryje świeżo spadły śnieg. Dla tego ostrożność każe zwiedzać je nieinaczéj, jak uwiązawszy się na powrozie, aby w razie gdy się wpadnie w rozpadlinę, czy to dawną czy świeżą, być wyciągniętym przez towarzyszów, idących z tyłu. Bez tego zabezpieczającego środka rzadko udawało się wydobywać wpadłych w takie doły. Każdy taki zwykle bywa zgubionym.

Brzegowiska tego śnieżnego potoku, którym można także zwać lodowiec, tworzą tak zwane moreny. Są to długie rzędy kamieni, ciągnące się w kierunku posuwania się lodowców. Co tylko upały i mrozy, deszcze i niepogody odbijają i odłamują od skał, to wszystko spada do lodowców i bywa pochłanianem przez ich massę. Lecz lodowce posiadają siłę wypychającą, jak ciała żyjące i nie znoszą w sobie żadnego ciała obcego. Co tylko wpadnie do nich, nie wiedzieć jak głęboko, to zawsze, nieraz po upływie lat wielu, wychodzi na ich powierzchnię i wyrzucanem bywa na brzeg. Raz pewny wieśniak z Tyrolu, idąc z noszą, wpadł w rozpadlinę lodowca i po latach 15 wyszedł na jego powierzchnię kościotrupem, z tąż samą noszą na plecach.

Tak bywa i ze wszystkiemi odłamami skał, których zawsze wpada do lodowców wiele. Kiedy zdarza się, iż dwa lodowce w swojem postępowaniu na dół łączą się w jeden potok, jak dwie schodzące się rzeki, wtedy wynoszone przez nie ku wewnętrznym brzegom moreny łączą się w jedną środkową liniję, idącą łożyskiem lodowca. Mnogość odłamów skalnych, nagromadzonych w morenach bywa taką, iż niekiedy można je wziąść za bezpośrednie obwały gór.

Na lekko sklepionych grzbietach lodowców, dają się nadto widzieć rozrzucone i inne głazy, tak zwane stoły lodowcowe. Przy ciągłém podczas lata topnieniu całéj powierzchni lodowca, te jéj cząstki, na których leżą takie sztuki kamieni, płyty gnejsu, lub łupku, zakryte są przez nie od bezpośredniego działania promieni słońca i ciepłych wiatrów. Przeto dokoła nich powierzchnia lodowców stopniowo taje i opada; zaś miejsca, nakryte owémi kamieniami, coraz więcéj z niéj wystają. W taki sposób tworzą się pod niemi słupy lodu, jakby podstawy stołów. — Ciepłe letnie powietrze, liżąc je, robi coraz wysmuklejszemi. Takie stoły lodowcowe, wyglądające na olbrzymie z nich wyrosłe grzyby, znajdują się nie na wszystkich lodowcach, lecz przynajmniéj na największych i dochodzą wysokości niekiedy dwóch, a nawet trzech metrów; gdy zaś lodowa podstawa takiego stoła, obrabiana słońcem i wiatrami stanie się za cienką i nie może utrzymać leżącego na niéj głazu,

wtedy on z niej spada, słońce, wiatry i deszcze wyrównywają wrychle powierzchnię lodowca, zaś spadły kamień następnie podnosi się w postaci nowego stoła.

Takie postępowanie mass lodowych, spoczywających na skałach, może się wydać dziwnem, ale tylko mieszkańcom krain płaskich; tak jak mieszkańcowi gór, okrytych wiecznemi śniegami, wydałoby się dziwnem pozostawanie ich na miejscu nieruchomo. Uczeni badacze lodowców wymierzali pomienione ich ruchy. Według Agassiza postęp lodowca Aar, jednego z największych alpejskich, od Lipca do Września, wynosił około 2 decymetrów. Professor Forbes znalazł w niektórych lodowcach góry Mont Blanc postęp jeszcze szybszy. Po obniżeniu się mniéj więcéj w ciągu lata, lodowce spoczywają przez zimę, nabierając nowych sił, by za nadejściem wiosny i rozbudzeniem się całéj przyrody, rozpocząć swoją czynność i ruch na nowo.

Uczeni badacze, którym wreszcie nie tyle chodzi o samą rzecz, ile o ogłoszenie swoich o niéj oryginalnych pomysłów, dotąd silą się nad wykryciem właściwych i istotnych przyczyn pomienionych ruchów. Zdaje się wszakże, iż niemasz innych, jak te bardzo proste, któreśmy wskazali wyżéj, a które są aż nadto dostateczne.

Według Berlepscha i innych.

26. Pieczary.

Nader ciekawą osobliwością są pieczary, jaskinie, groty podziemne znajdujące się w niektórych górach, szczególniéj wapiennych. Bez ustanku tam woda sączy się szparami warstw górnych i spadłszy kroplami, zostawia cząstki w niéj rozpuszczonego wapna i tak z tych cząstek wzrastają rozmaite bryły, które znajdują się w wielkiej ilości od samego dna pieczary i po jej bocznych ścianach, w kształcie słupów, drzew, skał, bram, wież, żwierząt i nazywają się soplami. Ten wapień, do dziś dnia tworzący się, jest koloru białego i brunatnego. Nieraz tym sposobem pieczary bywają poprzegradzane i wystawiają widok licznych sklepów i korytarzów z sobą połączonych. Do najciekawszych tego rodzaju pieczar, liczy się pieczara pod Postojną w Krainie, w Austrji, przerzynająca w różnych kierunkach całą górę. Widać w niéj niezgłębione przepaści, obszerne komnaty, korytarze, sklepienia wsparte na grubych słupach wapiennych. Podłużne bryły wielkiéj objętości, oderwane od sklepienia górnego, tu i owdzie leżą porozrzucane na ziemi, a na nich woda wapienna osadza w ciągu wieków

nowe słupy, dotykające już wzniesionego nad niemi sklepienia. Rzeka Poik, niedaleko wnijścia w pieczarę wpadająca, przebiega ją, tocząc szumne swe wody i spadając kilką progami, grzmiąc i hucząc, aż w niemałem oddaleniu z pod ziemi wypływa znów. Dwa mosty, utworzone znać z pospadanych skał zwalisk, sterczą nad wodami. Bez nich byłoby trudno przeprawić się przez owe wody. Pod pierwszym mostem chowają się ryby, a drugi, odległy od wnijścia o milę, wisi nad bezdenną prawie przepaścią.

Grota Sundwich koło Izerlonu.

Pieczary pod Agtelek w Węgrzech, połączone między sobą bocznemi korytarzami i norami, tak daleko rozchodzą się pod ziemią, iż uszedłszy w nich kilka mil, jeszcze nie odkryto końca. Jedna z nich podobną jest do wspaniałego kościoła; wszystkie ściany pokryte są dziwnemi figurami, jakby rzeźbą kamienną.

Niektóre ganki, łączące owe przedziały i jamy, tak są nizkie, iż przechodzący schylać się musi prawie do ziemi. Jedne są wyższe, drugie niższe, raz idzie się pod górę jakby schodami, drugi raz w dół jakby do sklepu, znów inne części w takiéj są głębi, że się trzeba spuszczać po linach. Niepodobieństwo oglądać te dziwy bez światła i bez przewodnika; tyle jest tam dróg, sklepów, ganków, że łatwo w nich zabłądzisz i nie znajdziesz końca.

Innego rodzaju jest pieczara pod nazwiskim Fingala na wyspie Staffa, mależącéj do Hebrydzkich. Wystaw sobie ogromną świątynię, złożoną z samych słupów bazaltowych, jak w gotyckich kościołach, które w niezliczonem mnóstwie podnoszą się z morskiego dna i zasklepiając się u góry, cudownością swoją przechodzą najwspanialsze gmachy ludzką wystawione ręką. Podróżujący wchodzi do téj świątyni łódką od strony morza, lubo idzie do niéj i ścieżka wązka i bardzo przykra. Dzienne światło, wpadające w te ciemne obszary, oświeca mniéj więcéj wszystkie ściany jaskini i odkrywa oczom dziwne utwory przyrody.

J. H.

27. Świat roślinny i źwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi.

Oprócz człowieka i wiernego jego towarzysza psa, niemasz stworzenia, które mogłoby porówno żyć we wszystkich okolicach ziemi. Z jakiegokolwiek punktu na powierzchni ziemskiéj postępując daléj, napotykamy coraz inną roślinność i coraz inne źwierzęta. Naprzód idąc od biegunów ku równikowi, znajdujemy we wszystkich stworzeniach coraz większą mnogość i rozmaitość. Tam, gdzie powierzchnię ziemi okrywają wieczne śniegi i lody, wszelkie życie organiczne obumiera, lub przejawia się tylko w drobnych porostach, trawach i mchach, które, pozbawione barwnego kwiecia, ubierają ziemię tylko jednostajną i biedną zielenią. Źwierząt prawie niema; tylko morze zdaje się chować pomiędzy swojemi potężnemi lodami niejakie stworzenia źwierzęce i zapewniać im z trudnością byt w tych chłodnych obszarach. Lecz z każdym stopniem daléj od bieguna, życie organiczne wzrasta w ilości form, bujności i mocy. Miasto niezupełnych kształtów traw i mchów ukazują się wrychle rośliny drzewne: naprzód drzewa iglaste, obciążone szyszkami, potem wydające pączki kwiatów drzewa listne: dęby, buki, brzozy, topole i wierzby, dochodzące największego

rozwoju w strefie umiarkowanéj. Dopiero pod zwrotnikami, lub w blizkości ich, występują olbrzymy świata roślinnego, wysmukłe palmy, wielkie jak drzewa pokrzywy i malwy, z którémi łączą się mirty i inne piękne rośliny. Tutaj, w pośród krajobrazu ożywianego przez palmy, drzewa chlebowe i pomarańczowe, przedstawiają się téż wspaniałe królewskie banany, odznaczające się mocnym pniem, wielkością liści, przepychem barw i kwiatów i smakiem i posilnością owoców. Świat źwierzęcy nabiera także coraz więcéj mocy i rozmaitości, w miarę jak oddalamy się od bieguna ku równikowi; ale co do wielkości, nie wszystkie rodzaje źwierząt postępują równomiernie. Właśnie największe olbrzymy świata źwierzęcego: wieloryby żyją w strefach lodowatych. Z pomiędzy źwierząt lądowych, niedźwiedź biały polarny przechodzi wszystkie na ziemi drapieżne źwierzęta wielkością, a renifer, wszystkie rodzaje jeleni rozłożystością rogów. Z pomiędzy ptaków, ryb i źwierząt ziemnowodnych, strefa gorąca okazuje największe. Toż samo i z płazów i źwierząt kręgowych. Teraz, jeśli zamiast od biegunów ku równikowi postępować będziem od zachodu na wschód, albo od wschodu na zachód dokoła ziemi i tu napotkamy we wszystkich tworach największą rozmaitość. Jak Europa, tak i północna Ameryka ma swoje cieniste lasy, złożone z dębów, buków, brzóz i drzew iglastych, swoje porosłe trawami łąki i swój odpowiedni naszemu świat źwierzęcy. Lecz po bliższém rozpatrzeniu się, każdy rodzaj drzew okazuje się tam odmiennym, każdy źwierz tuziemny różnym od naszego; wszędzie ta osobliwa część świata przedstawia nam swoje właściwe formy i rodzaje, swoje mięsożerne źwierzęta workowate, swoje morskie świnki, swoich kosmatych leniwców i inne. Lama jest pierwotnem amerykańskiem źwierzęciem domowem. W krajach wschodnich téj części świata, niemasz ani jednego swojskiego mlekodajnego stworzenia, ani jednego wydającego chleb nasienia, któreby niebyło sprowadzonem z Europy. Przed swojem odkryciem Ameryka, prócz kartofli, nie znała żadnéj pożywnéj rośliny, mogącéj służyć do czegoś więcéj, jak do wymagań zbytku.

Wcale inaczéj się przedstawia ląd wschodni. Azja, kolebka rodzaju ludzkiego i Europa, kolebka jego oświaty, są dwoma częściami świata, w których twórcza siła przyrody powołała do życia twory najszlachetniejsze, najpiękniejsze i najpożyteczniejsze. Na półkuli wschodniéj wyróżniają się cztery wielkie obszary. Pierwszy obejmuje całą Europę północną, Azję i północną Afrykę. Odznaczającą go cechą są: rozległe lasy drzew iglastych na północy, a pączkowo kwitnących liściowych na południu i rozliczne baldasz-

kowate rośliny w okolicach średnich, z którémi łączą się drzewa laurowe, mirty i gwoździki w południowych. W granicach tego obszaru powstały wszystkie nasze drzewa owocowe i rośliny pożywne. Tu jest oraz ojczyzna wszystkich źwierząt domowych, a nawet wszelkich celniejszych rodzajów roślin i źwierząt. Jeżeli ten obszar od północy ku południowi rozdzielimy na trzy pasy, to największym z drapieżnych źwierząt będzie w pierwszym niedźwiedź polarny, w drugim niedźwiedź ciemny, a w trzecim lew. W pierwszym jeszcze rosną brzozy, w ostatnim pożywne kasztany, w średnim pośredniczą między niemi dęby i buki.

Dwa inne wielkie obszary stanowią Afryka i Indye z Chinami i przyległym archigelagiem wysp Sondskich, Molukskich i Filipińskich. Pierwsza jest najbardziéj wyróżniającą się częścią świata na półkuli wschodniéj. Jéj bezwodne przestrzenie zdają się wskazywać w jéj wnętrzu na jedną wielką płaszczyznę. Niemasz w niéj ani lasów, ani łąk, będących ojczyzną bujniejszego organicznego życia; tylko na nizkich pobrzeżach, przy ujściach rzek i u ich źródeł, rozwija się bujna roślinność. Nie przywiązane do jednego miejsca rodzaje źwierząt znalazły na jéj rozległych wnętrzach dostatnie przestwory. Tam się pasą mnogie antylopy, ozdoba nie objętych okiem płaszczyzn, pręgowate konie czyli zebry i dziwnéj, jak widma źwierzęce, postaci giraffy, błąkające się to samotnie, to małémi gromadkami. Nietylko jednak spokojne rodzaje przeżuwających źwierząt, znajdują się tam jeszcze dzikie hyeny, straszliwe konie rzeczne, szkaradne pawjany. — Olbrzymy ptaszego rodzaju strusie i strojne kury perłowe należą też do osobliwości téj części świata.

Wcale różne od niezmiernych płaszczyzn Afryki są wyżyny południowo-wschodniéj Azji z okalającą je gromadą wysp, krainy rozmaitości, jakiéj podobnéj niemasz więcéj nigdzie na ziemi. Tutaj olbrzymie, a oraz rozumne, słonie dają znać o niezmiernéj żyzności gruntu, zaś krwiożercze tygrysy oznajmują niepowściągliwą żądzę, właściwą stworzeniom, nieznającym udręczenia niedostatku. Tu jest ojczyzna ryżu, najpiękniejszego na ziemi chlebnego nasienia, tu rosną wszelkie rośliny szlachetne: bawełna, herbata, kawa; ztąd pochodzą jedwabniki, piżmowce, kury domowe, bażanty i pawie. Rajskie ptaki na wschodzie, a konchy perłowe na zachodzie, stanowią granice żyjącego w pośrodku nich świata źwierzęcego.

Ostatni wreszcie obszar stanowi ląd australijski, z należącem do niego wielowyspiem. Jeszcze osobliwiéj od Afryki przedstawia się Nowa Hollandya, któréj braknie wcale źwierząt ssących nie-

należących do gromady workowatych, z wyjątkiem niektórych gryzących i rozpowszechnionego wszędzie psa. Podobnież wyróżnia się ona od wszystkich innych stron świata przez swoje cienko i szarolistne drzewa i przewiewne, niedające cienia lasy. Jéj dziobaki, wysokonożne kangury i opatrzone ryjem wodne psy są jedyne w swoim rodzaju i niemają podobieństwa do żadnych innych istot źwierzęcych. Na wyspach świat roślinny i źwierzęcy jeszcze jest uboższym. Ze źwierząt ssących żadne, zdaje się, niemiało tam swojéj pierwotnéj ojczyzny. Niemają też one żadnych sobie właściwych rodzajów roślin. Palmy kokosowe i drzewa chlebowe są najpożyteczniejszemi szczepami na tych wyspach; ale niemają one tam równie pięknych kwiatów i soczystych owoców, jak w krajach, z których je przesadzono.

A tak, czy to obejdziemy naszą ziemię od północy ku południowi, czy od wschodu na zachód, wszędzie, tak w świecie roślinnym, jak źwierzęcym, znajdziemy największą rozmaitość. Lecz nawet w jednej i tejże okolicy życie roślinne i źwierzęce zmienia się ogromnie, w miarę, jak postępujemy z równin na wyżyny i pasma gór. I tak, kiedy w strefie gorącéj będziemy się podnosić coraz wyżéj od poziomu morza aż do szczytów, na których leżą wieczne śniegi, to na krótszéj daleko przestrzeni, jak w kierunku poziomym, będziemy mieć kolejno przed oczyma przyrodę wszystkich stref umiarkowanych i lodowatych. Już na wysokości 3000 stóp znikają palmy, a natomiast ukazują się drzewa liściowe, właściwe naszym klimatom; daléj im wyżéj, tém częściéj dają się widzieć drzewa iglaste; potém one jedne tylko przedstawiają świat roślinny. Jeszcze wyżéj nad niemi rosną tylko karłowate krzewy, daléj ziółka, trawy i mchy, jak w krainach podbiegunowych, aż jak i w tych śnieżna powłoka rozpościera się, jak całun, na pozbawionej życia organicznego ziemi.

28. Rośliny uprawne w różnych szerokościach.

Ktoby wówczas, kiedy słowo Stwórcy wyprowadziło lądy z łona wód, spojrzał na szarą powierzchnię tych lądów, pewnieby niewiele się ucieszył jej widokiem. Dopiero kiedy roślinność okryła ją swoim pysznym i barwistym kobiercem, oko ludzkie mogło z przyjemnością na niéj się zatrzymać. Jakaż w tem państwie przyrody przedstawia się nam rozmaitość kształtów, wielkości, piękności i barw! Roślinność przedewszystkiém nadaje każdéj okolicy ziemskiéj powab jéj właściwy. Innym on jest na północy, innym pod

palącemi promieniami zwrotnikowego słońca, innym w strefach umiarkowanych. Dość jest na obrazie spojrzeć na wzrost roślin, by poznać, jaką okolicę ziemi obraz ten przedstawia.

Któż policzy te wszystkie rodzaje roślin, jakie ubrały powierzchnię ziemi. Lecz rośliny stanowią nie samą tylko ozdobę ziemi: są one niezbędne do utrzymania na niéj życia źwierząt i ludzi. Na osobliwszą naszą uwagę zasługują te, które służą nam do pożywienia. One ta szczególniéj rozszerzone są na dalekie obszary ziemskie. Nie trzeba myśleć, że same tylko rosnące u nas rośliny ziarniste stanowią wszystkie na ziemi rośliny pożywne. Szukajmy tedy na mappie okolic, w których te, o jakich mówić będziem, rośliny mają swoją właściwą ojczyznę.

Najdaléj na północ zachodzi jęczmień. Znajdujemy go w północnéj Szkocji, na wyspach Orkadzkich i Szetlandzkich, a nawet na wyspach Faroer. W Laponji sieją go aż pod 70° szerokości, w Rossji europejskiéj granica jego idzie między 67° a 68°; w Syberji między 58° i 59; a w Kamczatce dochodzi tylko 57°.

Daléj w większej części północnéj i całéj średniéj Europie, szerzy się żyto i owies. W Szwecji i Norwegji uprawa tych zbóż sięga aż do 65°, a nawet daléj. Lecz najważniejszém dla Europy zbożem jest pszenica, którą już od niepamiętnych czasów uprawiano w Małéj Azji i Egipcie. Na północ uprawa jéj sięga w Szkocji 58°, w Norwegji 64°, w Szwecji 62°, w Rossji 60°. W krajach gorących Europy południowej pszenica uprawianą bywa jeszcze przynajmniéj w okolicach górzystych.

Jak w strefach umiarkowanych dokoła miast i wsi leżą uprawne grunta żytnie i pszenne, tak w strefach gorących miejsca ich zajmują pola ryżowe. Ze wszystkich rodzajów zboża najbardziéj rozpowszechnionym jest niewątpliwie ryż. Pierwotną jego ojczyzną zdaje się być południowa Azja. Stanowi on chleb dla Indji, Chin i Japonji. Lecz nie tylko w południowéj i wschodniéj Azji, jest on też najgłówniejszym ziemiopłodem i w północnéj Afryce, Włoszech, Grecji, południowéj Francji, Hiszpanji i Portugalji. W Ameryce, od południowéj części Brazylji, aż do średnich części Stanów Zjednoczonych, znalazł on dla siebie nową ojczyznę. Tak ryż stał się dla wielu i wielkich społeczności ludzkich głównym i niezbędnym środkiem wyżywienia. Uprawa jego w dobrze położonych okolicach może dochodzić aż do 45° szerokości północnéj.

Obok ryżu, najurodzajniejszą i najpożyteczniejszą rośliną zbożową jest kukurydza, lub turecka pszenica. Pierwotną jéj ojczyzną jest zdaje się Ameryka. Ztamtąd rozeszła się ona szybko po starym świecie w Indyach, Chinach, Japonji, w całéj strefie zwro-

tnikowéj i przygległych jéj krajach strefy umiarkowanéj. W strefie gorącéj Ameryki uprawa jéj bywa nawet na wysokościach 12,000 stóp. W Ameryce północnéj sięga ona 54° szerokości, a w Europie udaje się jeszcze nad Renem i w Marchji Brandenburgskiéj. W strefach umiarkowanych daje ona od 80 do 100, a w gorącéj do 400 ziarn.

Potém idzie drzewo Pisang, albo Banan, zdobne olbrzymiemi liśćmi i pięknemi kwiatami, mające wiele rodzajów, płód strefy zwrotnikowéj, sadzone oraz po plantacyach. Owoce jego, będące w wielu krajach główną żywnością, jedzą surowe, albo pieczone i smażone w maśle. W większéj części rodzajów mają one smak słodki, w innych nieco kwaskowaty i cierpki.

Po Bananach idzie Palma daktylowa, odznaczająca się niezwykłą mnogością owoców i będąca błogosławieństwem dla krajów gorących: dla północnéj Afryki, Syrji i Arabji Szczęśliwéj. Wązka przestrzeń, ciągnąca się między pasmem gór Atlasu i piaskami Sahary, jest właściwą ojczyzną téj sławnéj palmy i przeto zowie się krajem daktylowym. Na oazech wielkiéj pustyni, daktyle są najpożądańszym pokarmem dla podróżnych i ich jucznych źwierząt i we wszystkich krajach od 29° do 35° szerokości północnéj słodkie jego owoce mają smak niezrównany.

Daléj na południe palmę daktylową zastępuje palma kokosowa, królowa lasów strefy gorącéj. Ojczyzną jéj zdają się być wyspy podrównikowe, między Azją i Australją. Obecnie to przepyszne i pożyteczne drzewo znajduje się nietylko we wszystkich podrównikowych krajach starego świata, mianowicie na wyspach Ceylon, Sondskich, Molukskich, ale i w Ameryce na wyspach Antylskich i w Brazylji. Świeży i dojrzały owoc téj palmy zawiera sok czysty, chłodzący i bardzo smaczny. Późniéj w orzechu tworzy się jądro, ze smaku podobne do słodkiego migdała. Palma kokosowa da się porównać do renifera, albowiem daje człowiekowi wszystko, czego mu potrzeba do życia. Inne palmy, jak sagowa, mają w swoich pniach mączkę Sago, która mieszkańcom tych krajów, gdzie są całe lasy takich drzew, daje obfitą i dostającą się bez pracy żywność.

Strefa gorąca ma jeszcze inny rodzaj drzewa, dostarczającego niemniéj obfitego pożywienia, i przeto zwanego chlebowem. Znajdujemy je na wyspach archipelagu Indyjskiego i innych w pasie zwrotnikowym. Ziarno jego, cokolwiek większe od dzikiego kasztana, leży w smacznym owocu, okrytym twardą łupiną. Ten owoc niezupełnie dojrzały, upieczony na ogniu, ma smak bułki pszennéj. Po bananach drzewa chlebowe wydają najwięcéj owoców. Trzy takie drzewa mogą wyżywić człowieka przez 8 miesięcy.

Ze wszystkich jednak roślin pożywnych, najbardziéj rozpowszechniły się po całéj ziemi kartofle. Pierwotnie w stanie dzikim znaleziono je w Ameryce w Peru i Chili. Dziś sadzą je w całéj Europie aż do najdalszéj północy, nawet w Islandji, gdzie niedojrzewa jęczmień, na wyżynie Indyjskiéj, w Chinach, Japonji, na wyspach oceanu Wschodniego, w Australji i w większéj części Ameryki. W Andach kartofle rodzą na wysokościach od 9 do 10,000 stóp nad poziomem morza. Dla wielorakiego ich użytku, stały się one w czasach obecnych dla ludzi płodem najpożyteczniejszym i najniezbędniejszym.

29. Rozmaitość środków pożywienia.

Niemasz takiego państwa w przyrodzie, na które podniebienie człowieka nie zwróciło swojéj uwagi. Są narody, które żyją głównie ziemią, inne roślinami, a inne wszelkimi rodzajami źwierząt. Podobnież człowiek przebiera wszystkie rodzaje świata źwierzęcego. Okazuje się z tego, iż człowiek jest stworzeniem wszystkożernem.

Że są ludzie jedzący nawet ziemię, to widzimy w Ameryce na równinach Orinoko. Tam w pośród dzikiéj i wspaniałéj przyrody, żyją ludy nieznające rolnictwa, a żywiące się mrówkami, żywicą i ziemią: wyrzuty ludzkości Otomaki i Jarury. Ziemia, pożerana przez nich, jest tłustym miękkim iłem, prawdziwą gliną garncarską, zabarwioną cokolwiek niedokwasem żelaza. Z takiéj ziemi lepią oni kulki, które opiekają na wolnym ogniu, dopóki z wierzchu się nie zarumienieją, a do jedzenia znowu je zwilżają wodą. Indyanie w Ameryce, którzy tylko przy opadaniu wody w swoich rzekach karmią się rybami i żółwiami, są po większéj części ludami dzikimi, gardzącymi hodowaniem roślin. W najpółnocniejszych okolicach Szwecji, używają ziemi, złożonéj z wymoczków, za mąkę do chleba. Finnowie zwykli też dodawać jéj obficie do mąki ze zboża. W ziemi Samarang na wyspie Jawa, mieszkańcy jedzą też ił, który się sprzedaje w zapiekanych rurkach, podobnych do cynamonu. Taki szczególniejszy smak rozpowszechnił się u wielu ludów. Jemu to przypisać należy, że murzyni w Surinam z upodobaniem gryżą gliniane fajki holenderskie.

Wyżéj nierównie stoi człowiek żyjący roślinami. Kiedy ziemiożerca pozostaje dzikim, w całéj istocie roślinożerca objawia się łagodność właściwa jego pożywieniu. Do tych należą Hindusy w Indji, wyrabiający z niesłychaną cierpliwością najcieńsze muszliny, wyrównywające delikatnością tkance pajęczéj. Jeśli tym religja

nakazuje poprzestawać na roślinném pożywieniu, to wyspiarze oceanu Wschodniego ograniczeni są do takiéj strawy koniecznością, mając tylko drzewa chlebowe. Jakkolwiek jednak łagodność tych narodów byłaby do życzenia nam mięsożérom, niemamy powodu zazdrościć jéj z innych względów tak im, jak i Celtom w Irlandji, żyjącym kartoflami, a którzy, jak i Hindusowie, dostali się pod niełagodne panowanie mięsożernych Anglików.

Tymczasem większa część ludzkości od dawna zwróciła się ku najwłaściwszemu dla siebie pożywieniu: mięsem połączonem z roślinami. Każdemu większemu rodzajowi źwierzęcemu człowiek poświęcił najpilniejszą uwagę, ze względu na swój stół. Wybrał on dla niego porówno tak niższe źwierzęta brzuchowe, jako i rozmaicie ukształtowane członkowo i muszkularne grzbietowe. Najobrzydliwsze dla jadła mięso mają niewątpliwie slizłe galaretowate ślimaki. A tymczasem we Franji, Belgji, Szlązku, Bawarji, Szwajcarji, Włoszech, mnóstwo ich hodują po ślimaczarniach i spożywają, chociaż więcéj suchotnicy niż zdrowi. Niezmierne mnóstwo jest łakomców na ostrygi. Ale jeszcze trudniéj pojąć smak Chińczyków, którzą jedzą pewne okrągłe szczególniejszego kształtu robaki morskie. Daleko bardziéj rozpowszechnionem jest pożywanie źwierząt członkowych; lecz używanie takiego pokarmu zdradza niewielki stopień wykształcenia. Indyanie peruwjańscy, jedzący z upodobaniem wszy, Hottentoci i inne narody afrykańskie, mające też wielką skłonnóść do takiego robactwa, stoją na najniższym szczeblu ludzkości. Również i te narody afrykańskie, które jak Buszmani żyją prawie samémi szarańczami. Używaniu na pokarm mrówek, w Indyach Wschodnich i Brazylji, zawdzięczamy zapewne kwas mrówczany. W Indyach Wschodnich szczególniéj ludzie starzy i osłabieni krzepią się mrówkami, co nam przypomina też podobne używanie chrabąszczów. I te, wraz z białémi mrówkami, spożywają bardzo na wyspie Jawa. Na wyspie Ceylon jedzą pszczoły. Mieszkaniec Nowéj Kaledonji pożera długie na cal pająki, a w Nowéj Południowéj Walji jedzą móle, które po ostrząśnieniu z kurzu miszą i pieką. Jedwabniki są przysmakiem na wyspie Madagaskar, a inne robactwo drzewne w Japonji. Chińczycy wyciągają na swój stół poczwarki brzydkich much, lęgnących się w zgniłych rybach na morskim brzegu. Humboldt widział w Indyach dzieci, pożerające stonogi, mające 18 cali długości a $^1/_2$ cala szerokości. Indyanie z nad Orinoko smakują też bardzo w poczwarkach owadów, które wyciągają chciwie z ziemi.

Od ryb poczyna się stół szlachetniejszy. Źwierzęta ziemnowodne, których byt ani jest zupełnie ziemnym, ani zupełnie wod-

nym, przedstawiają i dla pożywienia coś połowicznego. Tylko żółwie ze swojém delikatném mięsem i pełnémi tłuszczu jajami, stały się ulubionym przysmakiem stołów ludzi wykształconych. Swobodni mieszkańcy powietrza już od najdawniejszych czasów dostarczali najwięcéj ofiar dla kuchni człowieka, ale prawie wyłącznie tylko z ptactwa roślinożernego. Mięsożernych chroniło od takiego zaszczytu ich tranowate mięso, jakkolwiek użycie tranu rozpowszechniło się bardzo, niektore ludy, zwłaszcza północne, uważają go za największy przysmak i bywa on nawet poczytanym za lekarstwo. Wiadomo jednak, iż te ludy, zapewne od takiego pokarmu, podlegają nader silnemu poceniu się i co idzie zatém, wielce są niechlujne. Takim zawsze jest człowiek, jaka żywność, z której wyrabia się jego ciało. Wykształcony potomek szczepu kaukazkiego brzydzi się unikającymi dziennego światła myszami, szczurami i kretami, kiedy potomek szczepu mongolskiego bierze takowe na swój stół. W Chinach szczury, karmne jak świnie, bite i wynoszone na targi, stanowią mięso drogie, przeznaczone tylko dla Mandarynów. I z pomiędzy źwierząt ssących człowiek wybiera z wielką uwagą. Te on lubi najbardziéj, które żywią się szczególniéj roślinami. Do małp ma wstręt, który chyba niepowściągniony głód zdoła pokonać, właśnie dla tego, iż mają one, choć potworne, podobieństwo do człowieka. Samego człowieka ochrania przed jego własnym zębem to jedynie prawo przyrody, które nie pozwala żadnemu stworzeniu karmić się podobną do siebie istotą. Wszakże, jakby na dowód, że człowiek spaść może niżéj jeszcze od źwierząt, są na niektórych wyspach Ameryki i Australji ludy dzikie, oddane ludożerstwu i gwałcące to prawo, któremu nawet bezwiednie są posłuszne i najdziksze potwory leśne.

Według K. Müllera.

30. Syberja.

Grunt Syberji jest w ogóle nieurodzajny, pokryty stepami, zamarzłemi moczarami i ogromnemi lasami sosnowemi i modrzewiowemi. Część południowa ma klimat wygórowany, odznacza się jednak w wielu miejcach swoją żyznością. Zstępując z lodowatych szczytów gór Ałtajskich, widzieć się dają rozległe równiny, zraszane przez wspaniałe rzeki, które wszystkie płyną na północ, jakby tém wskazując swoje przeznaczenie: nieść zapasy i środki do życia tej bezpłodnéj i daleko ciągnącéj się północy. Żaden pagórek niezasłania rozległego widnokręgu, zdającego się stykać z niebem, a równina

błyszczy najbogatszémi barwami. Tamto rośnie z kwiatem purpurowym Iris syberyjska, która tworzy podstawę tego świetnego pokrycia, otoczonego w całéj swojéj rozległości jaskrawcami w kwiatach złotych i anemonami, z kwiatem narcyzu blasku srebrzystego.

Przeszedłszy grzbiet Uralu, podróżny jest w Syberji. Jedno z głównych jéj miast Jakutsk, lubo pod tą samą szerokością co Amsterdam i Berlin, okazuje klimat bardzo ostry. Spuszczając się ku oceanowi lodowatemu, podziwiamy rzekę Lenę, owę wielką arterję, która przedziela Syberję i płynie krajem górzystym w pośród brzegów malowniczych. Oko widzi na pochyłościach gór pola uprawne, gęste lasy, niżéj łąki, ogrody, wyspy okryte drzewami, i wreszcie chaty mieszkańców. Kireńsk, obdarzony nazwą miasta, jest tylko nędzną wioską, dostarczającą Jakutskowi wybornej kapusty, rzepy, ogórków i kartofli. Ogrody urządzają tam w taki sposób, aby je zasłonić od wiatrów północnych i wschodnich. Olekma, nad rzeką tegóż nazwiska, jest głównym handlem futer, jakiémi są sobole i czarne wiewiórki. To miasto leży na granicy północnéj ziem uprawnych. Za Olekmą mieszkańcy brzegów Leny niemają innych środków wyżywienia się, jak chów nielicznych trzód, polowanie, a nadewszystko rybołówstwo. Dla tego też tameczni wieśniacy mają widok opłakany, pokryci są łachmanami i wycieńczeni przez niedostatek i nędzę.

Miasto Jakutsk, założone i zamieszkałe przez kozaków, ma kilkaset mieszkańców, znanych z gościnności, ale rzadko komu mogących ją okazać. Tam, również jak w całej Syberji, użytek szkła jest nieznany. Zastępują go taflami lodu, spojonego w ramie kwadratowej za pomocą śniegu i wody; siła bowiem mrozu sprawiłaby pękanie szkła. Lubo Jakutsk jest miejscem środkowém handlu, ulice jego są puste, ponury smutek maluje się nietylko na twarzach mieszkańców, ale nawet na murach domów. Po za tém miastem drogi są niegodziwe, wszelako w pewnych odległościach można napotkać jeziora z wodami przezroczystemi, ocienione modrzewiami. W tych rozległych pustyniach powietrze jest w ciszy, zaledwo przerywanéj lotem ptaka, albo skokiem wiewiórki wpośród liści drzew. Nakoniec widok wioski przerywa smutne myśli podróżnego. Wznosi się ona na równinie, gdzie pasą się liczne trzody wśród obfitych pastwisk. „Tam, mówi admirał Wrangel w swojéj podróży, widziałem jednego Jakuta, mającego więcéj jak 500,000 rubli majątku, który, wierny zwyczajom swojéj miejscowości, skulony blizko Czuwali, zajadał mięso końskie i pił mleko kobyle (Kumys).“ Ten napój rozpowszechnionym jest bardzo u narodów pasterskich pochodzenia tatarskiego. Na szczęście Jakut niezna sztuki robienia

go upajającym. W czasie wolnym opuszcza on swoją chatę na kilka dni, biorąc z sobą na pokarm tylko dostateczną ilość kumysu.

Piękną wioskę wkrótce zastępuje okolica pusta, poprzecinana niebezpiecznémi bagniskami, potém przebywa się ciemny las modrzewiów, wierzb i osiny, gdzie panuje milczenie grobowe. Na pochyłościach gór i w dolinach rosną liczne cedry karłowate, których owoc drobny i soczysty chciwie jest poszukiwany przez niedźwiedzie i wiewiórki; potém następują lasy cedrowe i sosnowe, zapełnione cietrzewiami i kuropatwami, nareszcie równiny pokryte wierzbami, brzozami, świerkami i topolami, wielkości i grubości kolosalnéj.

Z Jakutska do Niżnego Kołymska, po najtrudniejszej podróży natrafiamy na ogromny łańcuch gór Werchojanskich, wznoszący się prawie kończato, najeżony skałami nagiemi, poprzerzynany wąwozami pełnemi śniegu. W zimie podróżny nieraz zaskoczonym bywa przez gwałtowne wichry, które, wypadając z dna przepaści, obalają w nią konie i jezdców. Ten łańcuch składa się cały z pokładów czarnego łupku i tworzy pod względem leśnym przedział widoczny. Na pochyłości południowej widać wznoszące się sosny i świerki, gdy tymczasem cedr, topola, brzoza i wierzba rosną na pochyłości przeciwnéj. Admirał Wrangel, w czasie swojéj trzygodzinnéj przeprawy, miał piękną pogodę. Słońce wznosiło się na czystém niebie, skały, pokryte soplami lodów, jaśniały tysiącem świateł, lecz powietrze było napełnione lodowatemi igiełkami, podobnemi do świecących blaszek. Ze szczytu widać na północ rozległą płaszczyznę, zraszaną przez rzekę Jana, która bierze początek w górach Werchojanskich i wpada do oceanu Północnego.

Idąc brzegami rzeki Jana, admirał Wrangel natrafił 25 Września na nędzną budę z gałęzi, przeplataną i pokrytą liśćmi. Zdało mu się, że jest pustą, lecz jakże się zdziwił, znajdując że jest zamieszkaną, nawet w zimie, przez Tunguza i jego córkę z dwoma psami. Polowanie na renifery było ich jedynym sposobem utrzymania się. Aby powziąć wyobrażenie o okropném życiu tych istot, potrzeba przenieść się myślą do tych pustyń lodowatych i do tej budy otwartej i wystawionej na wszystkie zmiany powietrza. Podczas gdy ojciec, opatrzony w łyżwy, puszczał się w las na ściganie reniferów i nie zawsze pomyślnie, nieszczęśliwe dziecko pozostawało samo, opuszczone przez kilka dni, zaledwie okryte i bez żywności w nędznym szałaszu, który nawet w lecie byłby niedostateczną ochroną od deszczu i burzy.

W miarę jak się posuwamy na północ, grunt jest już tylko bagnistą pustynią, zupełnie niepodobną do przebycia w czasie desz-

czów. Oko niewidzi tam ani jezior, ani łąki w szystko ma cechę smutną. Blizko brzegów Kołymy wznosi się miasto Średni Kołymsk, złożone z kilkudziesięciu domów i jednéj cerkwi, zamieszkałe tylko w zimie, podczas lata bowiem cała ludność opuszcza je, udając się na polowanie i połów ryb. Z powodu braku żywności, mieszkańcy byli zmuszeni zmniejszyć liczbę psów. Połów śledzi w Kołymie mniéj teraz jest korzystnym, niż był kiedyś. Na skalistych brzegach téj rzeki widzieć można kwitnące: wierzbówkę szerokolistną (Epilobium latifolium) i rosnące: krwiściąg (Sanguisorba), których korzenie mieszkańcy używają za pokarm. Do Niżnego Kołymska już nienapotykamy ani łąk, ani lasów wysokopiennych: tu i ówdzie tylko rosną nizkie i nieforemne krzaki; potém, aż do morza lodowatego, nic nie widać oprócz mchów. Dwóch dni potrzeba do przebycia drogi z Średniego Kołymska do Niżnego Kołymska. To ostatnie miasto założone r. 1644 przez jednego kozaka z Jakutska, Michała Stadukina, składa się też z kilkudziesięciu domów i jednéj cerkwi i jest stolicą obwodu większego od niejednego z państw niemieckich, a którego ludność niedochodzi i 3 tysięcy.

W Niżnym Kołymsku, w którym admirał Wrangel zostawał trzy lata, słońce bawi nad poziomem przez 52 dni, to jest od 15 Maja do 6 Lipca; zaś 22 Listopada zaczyna się noc, trwająca do 28 Grudnia. Te jednak noce są oświecane świetną białością śniegu i wspaniałemi zorzami północnemi, prawie codziennemi. Prawie ciągła zima panuje w tych okolicach, których klimat o tyle jest różnym od klimatu Petersburga, o ile klimat tego ostatniego różni się od klimatu Paryża. Wszystko tam już oznajmia, że się przeszło granicę świata mieszkalnego. Rzadkie i karłowate krzaki, które jeszcze się napotykało tu i ówdzie, tam znikają zupełnie. Oko nie widzi już nic, prócz płaszczyzny równéj i bez granic, któréj okropną jednostajność przerywają tylko zasadzki na lisy, kilka nędznych chat dla schronienia łowców, albo też krzyż drewniany, wznoszący się samotnie na tym rozległym cmętarzu przyrody. Niepodobna jest opisać, mówi admirał Wrangel, wrażenia, jakie sprawia ta pustynia, niedająca się z niczém porównać; a podróżny który ją przebiega, strudzony szukaniem jakiegobądź przedmiotu, na którymby mógł zatrzymać swój wzrok, cieszy się z nadejścia nocy, która sprowadza przynajmniéj zmianę i osłania swoim cieniem tę niezmierną białą powłokę, równie przykrą dla oczów, jak jednostajną.

Dla mieszkańców Niżnego Kołymska, środek Marca jest początkiem wiosny, co nie przeszkadza, by termometr wskazywał w południe — 30° R. W jesieni, która się zaczyna we Wrześniu,

rzeki marzną, a termometr spada na — 44° R. W ciągu lata wierzba karłowata wypuszcza małe listki, żółte kwiatki na tundrach otwierają się, brzegi Kołymy pokrywają się nieco trawą blado-zieloną, upał niekiedy dochodzi do 22° R., lecz gdy powieje wiatr północny, słaba ta zieloność żółknie, kwiaty więdną i opadają. Potrzeba przytém uważać, iż te bagniska, podczas krótkiego lata, nieodmarzają nigdy zupełnie, a tylko do pewnéj głębokości. Można przeto powiedzieć, iż cała północna Syberja spoczywa na wiecznych lodach.

Wreszcie przyroda zdaje się tam mieć upodobanie dokuczać latem. W całéj Syberji wznoszą się miljony much kłujących (mustyków), podobne do chmur latających, które zaciemniają niebo i są udręczeniem nieszczęśliwych mieszkańców. Te owady zmuszają renifery do wychodzenia tysiącami ze swoich lasów i przebiegania na pół odmarzłych tundr, aby dostać się do brzegów morza. Jedynym środkiem ochronnym od natręctwa tych nieznośnych żyjątek, jest podkładać ogień pod nałożone stosy mchów i zielonych drzew, z których dym jest im niemiłym. Admirał Wrangel w zwojej podróży widział wiele lasów, palących się na rozległości przeszło 100 kilometrów. Olbrzymie sosny i modrzewie przedstawiały się, jak ogromne słupy ogniste. Takie pożary powstają bardzo często w Syberji przez niedbalstwo podróżnych, którzy na noclegach pod otwartém niebem zawsze rozkładają ognie i nie zadają sobie pracy gasić je przy opuszczaniu swego koczowiska. Powiadają też, co nie do pojęcia będzie gospodarnym mieszkańcom Europy zachodniéj, iż sami mieszkańcy umyślnie zapalają całe lasy, aby tumany dymu wypędzały roje mustyków.

Mgły, wznoszące się z wód morskich, gdy te zamarzają, co bywa w Październiku, łagodzą nieco temperaturę. W Listopadzie zimno jest bardzo ostre. Wiatr północny wieje prawie ciągle i pędzi chmury śnieżne i zadymki, tak zwaną kurzawę śnieżną, która pada płatkami i pokrywa drogi tak, iż wszelki ślad ich znika. W Styczniu termometr spada często na — 50° R. Taki mróz tamuje oddech. Dziki renifer cofa się naówczas do najdalszych głębi lasu, gdzie zostaje w stanie bezwładności letargicznej.

W Syberji piękność królestwa źwierzęcego walczy z nędznym stanem roślinności. Lasy pełne są reniferów, łosi, niedźwiedzi brunatnych i czarnych, lisów, wiewiórek i kun sobolowych. Wilki i izatysy, to jest lisy błękitne, przebiegają puste płaszczyzny. Na wiosnę przylatują tam liczne stada łabędzi, gęsi i dzikich kaczek. Orły, wielkie puhacze i mewy uganiają się za swoją zdobyczą wzdłuż brzegów morza. Około mieszkań widzieć można stada

kruków, pod krzakami gromady białych kuropatw, a na mchach po łąkach liczne roje pindrów i małych bekasów. Pomimo to jednak krajobraz jest posępny, nieożywiony, milczący jak grób.

Pomimo urządzenia tego rozległego kraju, pełnego mądrości i filantropji, ostrość klimatu i niepłodność ziemi, czyniące sposób utrzymania się trudnym i nędznym, stawiają niepokonane przeszkody znacznemu powiększaniu się tamecznej ludności. Troskliwość o zapewnienie sobie utrzymania jest pierwszym i prawie jedynym celem dla mieszkańca Syberji. Na brzegach morza lodowatego z trudnością tylko, w krótkim ciągu szybko ubiegającego lata, kobiety zdołają zebrać niektóre aromatyczne rośliny, jagody i pożywne korzenie, które się w rychle wyczerpują. Przechowują one w lodzie górskie czernice, które mają smak wyborny i zaopatrują się w żywność z upolowanych źwierząt, a szczególniéj z rybołówstwa. Gdyby nie obfitość ryb w ogromnych rzekach syberyjskich, to z pewnością ludzie tam niemieliby co jeść. Polowanie dzieli się na wiele peryodów. Zaczynają od kaczek, potém idą gęsi, a nakoniec łabędzie; nadto stawią zasadzki na renifery i izatysy. Rybołówstwo obejmuje również wiele epok i przedstawia obrazy ożywione i przypadki zajmujące. Wiosna w Syberji jest porą najcięższą, gdyż wszystkie zapasy połowu jesiennego bywają wtedy wyczerpane; rzeki niedostarczają jeszcze ryb, dopiero bowiem w Maju Kołyma i inne rzeki syberyjskie łamią swoje lody; przedmioty osiągnięte polowaniem są drogie i niedostateczne. Głód przeto czyni straszne spustoszenia między temi ludami nędznemi i godnemi politowania. W takich miejscowościach wszyscy ludzie są sobie równi przez ubóstwo, niedostatek i cierpienia. Mieszkańców zamożniejszych wyróżnia tylko chata, czysto utrzymywana i dobre okrycie. Ubiór kobiet różni się od ubioru mężczyzn tylko cienkością źwierzęcych skór.

Główne pokolenia Syberji składają Samojedy, Tunguzy, Jakuty, Jukahiry, Czukcze i Kamczadale. Wszyscy oni są pochodzenia fińskiego i tatarskiego. Rossjanie są wygnańcami, albo synami wygnańców. Pomimo związków zawieranych z krajowcami, których przyjmują zwyczaje i ubiór, odróżniają się od nich rysami twarzy, silną i kształtniejszą budową ciała i wysmuklejszym wzrostem. Włosy mają pospolicie jasno-rude, których nie widać nigdy u krajowców. Odznaczają się też wczesną pojętnością, rzadkim darem naśladowania, żywością i wesołością, gdy tymczasem krajowcy zwykle są posępni i smutni. Kobiety, nawet w Niżnym Kołymsku, zajmują się troskliwie swoją toaletą i wiele z nich jest nie bez wdzięków.

Namiętność palenia tytoniu wspólną jest zarówno mężczyznom, jak kobietom. Poszukują oni nawet najmocniejszego tytuniu, tak zwanego czerkaskiego, którego dymem zaciągają się, to jest połykają go, co sprawia pewny rodzaj odurzenia, które niekiedy sprowadza napady szaleństwa. Kumys (mleko kobyle) jest napojem mało upajającym; dla tego przekładają nad niego wódkę, któréj starają się nabyć za wszelką cenę. Pomimo niedostatku, krajowcy zbudowani są silnie i mają wzrost większy od średniego. Choroby między nimi są rzadkie, a starcy zachowują czerstwość do późnego wieku. Najwięcej do tego się przyczynia przebywanie prawie ciągłe w ruchu i na wolném powietrzu. Rysy i mowa Jakutów wykrywają początek tatarski. Jest to naród pasterski w całém znaczeniu, utrzymuje liczne trzody, lubi namiętnie polowanie i w niém rozwija rzadką biegłość, równie jak odwagę nieugiętą. Zahartowany niedostatkiem Jakut, podróżując wśród zimy, niebierze z sobą namiotu, na noc rozciąga sobie nakrycie swojego konia na śniegu, a siodło służy mu za poduszkę. W ten sposób śpi on pod gołém niebem, przy mrozie od 25 do 40 stopni. Głód on znosi do niewypowiedzianego stopnia. Dla tego też Jakutów nazywają ludźmi żelaznymi. Zresztą potrzeba, siła woli, a nadewszystko przyzwyczajenie, stawiają człowieka wszędzie w możności zwyciężać wszystkie rodzaje trudów, a nawet największe cierpienia fizyczne. Po spędzeniu kilku tygodni pod gołém niebem, admirał Wrangel równie jak i tameczni mieszkańcy, kończy przeświadczeniem, że mróz na 25 stopni jest temperaturą łagodną.

Czytając podobne szszegóły, próżno staramy się sobie wytłumaczyć, jakim sposobem niektóre ludy przeszły po za granice świata mieszkalnego, by osiedlić się w tych lodowatych pustyniach. Żaden pomnik, żaden opis historyczny nie mówi nam, czem kiedyś były te okolice. Podanie ciemne utrzymuje, że brzegi Kołymy były niegdyś ojczyzną narodu, który liczył więcéj ognisk, aniżeli jest gwiazd na niebie. Jakoż znajdujemy tam, osobliwie nad brzegami Indihirki, jakieś dawne okopy i wielkie mogiły. Miejscowi starcy powiadają, że ci dawni mieszkańcy byli narodem Omoków. Czyż w epokach przedhistorycznych warunki klimatyczne tych okolic były różne od tych, jakie są obecnie? Czy bieguny ziemi zeszły ze swego miejsca, czy kula ziemska oziębiła się. Pytania siemne, na które wiedza ludzka nie daje dostatecznej odpowiedzi.

Z podróży bar. Wrangla.

31. Kirgizy i ich życie.

Kirgizy dotychczas są narodem koczującym, który, zamieszkując niezmierne stepy środkowéj Azji z kilkoma innémi plemionami jednego z nimi pochodzenia, usposobienia, sposobu życia i obyczajów, przebiega je w kierunkach rozmaitych. Cała przestrzeń od gór Uralskich, do jeziora Bałkasz Nor i od jeziora morza Kaspijskiego, do gór Ałtajskich jest ich ojczyzną. Dawniéj składali oni wielkie hordy pod rozkazami chanów. Teraz podzieleni są na małe hordy, które złożone z 5 do 10 rodów, przeciągają na wysokich dwukołowych karach za swojemi trzodami, rozbijając swoje namioty tu i ówdzie, gdzie jest woda zdatna do picia. Przypadkowo zbierają się oni w większe hordy, poczém także przypadkowo rozdzielają się i znowu się zbierają. Niekiedy zdarza się napotykać i jedną rodzinę, z małą trzódką, samotnie błąkającą się po rozległych stepach.

Biedne mieszkania tego ludu bywają urządzone tak praktycznie, jak tylko może tego dokazać naturalny rozsądek i długie doświadczenie. We trzy do czterech godzin rozbijają oni swoje namioty, a jeszcze prędzéj je zbierają i układają na wozy.

Taki namiot, zwany kasza, jest w formie dzwona, zajmuje przestrzeń od 150 do 200 stóp kwadratowych i w środku ma wysokości od 10 do 12 stóp. Szkielet jego kładają mnogie drewniane słupy, powiązane rzemieniami. Na te kładą wojłoki, grubości niekiedy cala i obwiązują je taśmami lub powrozami, plecionemi i kręconemi z końskiéj włosieni. Wchód zakrywa także wojłok, podszyty płótnem. W górném pokryciu namiotu, pośrodku nad ogniskiem, które stanowi para kamieni, lub przedstawia żelazny trójnóg, bywa otwór na 2 lub 3 cale, odkrywany i zamykany za pomocą dwóch sznurków z włosieni i służący tak dla wypuszczania dymu, jako i dla wpuszczania światła.

Namiot przytwierdzony bywa mocno do wbitych dokoła w ziemię pali i dzięki swojej dobrze obmyślanej formie, opiera się wszelkim wiatrom i nieprzepuszcza deszczów. Na zimę okrywają go podwójnemi i potrójnemi grubemi wojłokami i od spodu obkopują śniegiem. Na opał Kirgizy używają suchego krowiego i końskiego nawozu.

Wnętrze takiéj kaszy przedstawia jedno z drugiém całe gospodarstwo domowe Kirgiza. Okrycia wojłokowe, kożuchy baranie, kociołek, różne łachmany, pilśniowe czapki i obuwia, drewniane sprzęty i skrzynie, siodła i inne rzeczy leżą rozrzucone bez żadnego porządku i ochędóstwa. Wojłoki zaścielają tylko część

namiotu, gdzie jest miejsce do spania; zresztą wszędzie jest goła ziemia, która wyschła i rozruszana okrywa wszystko kurzawą. Palący się na ognisku nawóz napełnia całą kaszę dymem, który nie ze wszystkiém wychodzi przez otwór, a prócz tego daje się w niéj czuć pewny szczególny zapach kwaśny, który w nocy bywa obrzydłym, kiedy w tak szczupłém miejscu śpi niekiedy osiem osób. Różnego rodzaju robactwo gnieździ się w kożuchach, wojłokach

Rodzina kirgizka.

i nawet okryciach namiotu. Szczególniej w zimie nieznośnem jest mieszkanie w takiéj kaszy, do któréj biedniejsi muszą zabierać i mieścić obok siebie młode cielęta, jagnięta i źrebięta. Dla tego chorujący na piersi, których lekarze wysyłają w te stepy na picie kumysu przez dwa lub trzy miesiące, każą rozbijać dla siebie osobne namioty, by przynajmniej tylko z owadami mieć do czynienia. Wyjątkowo jednak dają się widzieć kasze, których wnętrze wygląda wcale inaczéj. Na ziemi rozpostarte są drogie perskie kobierce,

a po ścianach piękne opony, pod którémi są dokoła materace i poduszki do siedzenia, na stoliku stoi piękny przyrząd do herbaty, a pod ścianą nizkie łoże, zabezpieczone licznémi zasłonami od komarów. Taki namiot bywa zwykle własnością jakiego bogacza, który więcéj bawi po wielkich miastach, a najczęściéj jakiego zamożnego kupca, podróżującego w tych stepach dla handlu, albo i dla rozrywki.

Niezbędny sprzęt domowy w każdéj zwyczajnéj kaszy stanowi Tursuk. Jest to wór skórzany, obejmujący do 10 wiader i zawierający w sobie kumys. W nim też on się i gotuje.

Kumys stanowi główne pożywienie Kirgizów. Jest to mięszanina mleka krowiego, owczego, a głównie kobylego, która przez 8 do 14 dni burzy się i kiśnie. Przez cały ten czas kłócą ją silnie po kilka razy na dzień długim kijem, mającym na końcu łopatkę, co powtarza się zresztą i przy każdém nabieraniu jéj do jedzenia. Kumys ma woń kwasu, a smak podobny do maślanki i tak jest nasycającym, iż kto pije go poraz pierwszy, nie w stanie jest wypić go więcéj nad jedną zwyczajną szklankę. Ludzie jednak słabi, którzy zrazu nieznajdują w nim żadnego smaku, wkrótce mogą bez wielkiego wysilenia pić go i po 8 i 10 szklanek i znajdują go smacznym. Kiedy go napije się do sytości, czuje się cokolwiek podchmielonym, osłabionym, ale bez senności, tylko ociężałym do ruchu, mówienia i myślenia.

Bez kumysu Kirgizy nie mogą wytrwać ani chwili. Czy to pastuch wygania trzodę na pastwisko, bierze z sobą mały tursuk pełny. Czyto Kirgiz wyjeżdża gdzie choć na krótko, niezbędny tursuk jest przy nim z pewnością. W każdéj chwili dzieci i wyrostki żłopią go z miseczek. Kiedy przychodzi kto do Kirgiza w odwiedziny, ten przyjmuje go zaraz kumysem. I ludzie bywają w stanie pić go bardzo wiele. W ciągu trzech do czterech godzin przy miłéj pogadance, albo i bez niéj, siedząc na podebranych pod siebie nogach przy ognisku, wypijają go oni po 8 i 10 mis, z których każda mieści kwartę albo i więcéj.

Wiosną i latem, kiedy bywa dość mleczywa, wyrabiają oni z krowiego i owczego mleka sér bardzo tęgi, który suszą na słońcu i chowają na zimę. Ponieważ niema u nich oznaczonej pory na jedzenie, zawsze przeto taki sér jest u nich w ręku i tak w ciągłém bywa użyciu jak kumys. Z mąki smażą oni na maśle coś w rodzaju pączków. Chleb widać u nich rzadko.

Przy uroczystych sposobnościach, rzadko zaś bez tego, zabijają oni bydle, lub konia i gotują mięso z ryżem dosyć smaczno, tylko jak i wszystkie inne potrawy bez soli. W takich razach spraszają

tyle gości, żeby zjeść wszystko. Każdy gość przy tem daje pilną baczność na to, by w niczém gospodarza nieobrazić.

Kirgizy nadzwyczaj są gościnni. Jak tylko powiedzą gospodarzowi, że do jego namiotu idą goście, wychodzi on na ich spotkanie i czeka u wejścia; potém idzie kilka kroków naprzód, porywa obydwoma rękami wyciągniętą rękę gościa, pozdrawia go i prowadzi do swego namiotu, gdzie sadza na swojém miejscu u ogniska. Zaraz podają kumys w oczekiwaniu innych potraw. Kiedy wreszcie te podadzą, wszyscy biorą z jednéj wspólnéj misy palcami co w niéj jest i spożywają; zaś gospodarz ciągle prosi by jeść więcéj i za największy zaszczyt poczytuje, kiedy gość się obje na śmierć.

Po uczcie i wytarciu palców o spodnie lub obuwie, znowu się pojawia kumys, który piją, dopóki bawi gość. Kiedy to jest Europejczyk, podają mu do jedzenia osobną miskę, łyżkę i nóż. Pomimo to Europejczyk rzadko je potrawy ich z wielkim apetytem. Głównym bowiem tego warunkiem jest, by niewidzieć jak się one przyrządzają. Tak naprzykład zdarza się bardzo często, że przy dojeniu owiec w skopek, postawiony nie zawsze jak należy, spada coś wcale niepotrzebnego. W rzadkich tylko wypadkach wyjmuje się to i wyrzuca, i w takich razach ręką brudną i bez wielkiego zachodu; lecz najczęściéj nie zważa się na takie drobnostki i wszystko jak jest leje się do zakisu w tursuk. Na kociołek, w którym się gotuje jedzenie, dość jest spojrzéć, by obaczyć, że nigdy go nie myją ani czyszczą, bo wewnątrz go powleka gruba skorupa z ziemi, popiołu i nawaru od wszystkiego co się w nim gotuje.

Mężczyzni zajmują się wyłącznie pilnowaniem trzód, handlem i polowaniem. Wszystkie inne roboty należą do kobiet. I tak one rozbijają i zdejmują namioty, robią wojłoki, strzygą owce, plotą powrozy i t. d., oprócz zwykłych codziennych zajęć, jak dojenie owiec, krów i klaczy, robienie sérów i kumysu i chodzenie za dziećmi.

Ciężki upał w lecie w dzień zmusza wszystkich przebywać w namiotach, kiedy prócz tego bywa to jedyny czas, w którym można spać spokojnie i bez udręczenia od komarów, które w tych stepach są straszliwe. Gdy zatém wszyscy będący w koczowisku o téj porze śpią, a trzódy z pastuchami są na paszy, w koczowisku panuje zupełna cisza. Za to wielki rozruch i hałas bywa w niém z rana, a jeszcze większy wieczorem, kiedy trzody wracają z paszy na koczowisko dla dojenia. Już z daleka zapowiada ich przybycie beczenie owiec, ryczenie krów i rżenie klaczy i budzi całe koczowisko. Kobiety szukają swoich skopów, starcy stękając wyłażą z namiotów, by usłyszeć od pastuchów co nowego, dzieci

zabierają się do łapania cieląt i źrebiąt i z okrzykami radości biegną naprzeciwko wracającéj trzódy, jak gdyby to była dla nich jaka nowość.

Za przybyciem na koczowisko, pastuchy spędzają bydło w kupy i dzieci biorą się do swojéj czynności. Z nieustającym hałasem, śmiechem i krzykiem zaczyna się straszna gonitwa, trwająca dopóty, póki wszystkie cielęta i źrebięta nie będą połapane i uwiązane w jedném miejscu. Wtedy każda krowa przychodzi do swego cielęcia i każda klacz do swego źrebięcia i w taki sposób ani jednej sztuki nie braknie przy dojeniu. Przytém słychać ciągle swary kobiet, rozkazujące wołania pastuchów, ryki, beki i rżenia bydląt. Po wydojeniu odwiązują małe i trzoda wypoczywa jakiś czas, nim na noc popędzą ją nieco daléj od namiotów.

W zimie trzody pozostają w zupełném opuszczeniu i muszą wygrzebywać sobie paszę kopytami i racicami z pod śniegu, wystawione przytém na wszelkie niepogody, zimna i zawieje śnieżne, w skutek czego w ostre zimy zdycha większa daleko ilość bydła, aniżeli w zbyt suche lata.

Wyziewy od padającego w wielkiéj ilości bydła, którego zakopywać ani myślą, zwłaszcza kiedy tego bywa mnóstwo, sprowadzają nieraz zaraźliwe choroby. Trzody składają się głównie z koni i owiec. Prócz tego bywa w nich i bydło rogate, a w niektórych okolicach i wielbłądy.

Fr. Fuhrmann.

32. Kaukaz, Baku i ognie święte.

Łańcuch gór kaukazkich zaczyna się nad morzem Czarnem, około Anapy, małémi wyniosłościami i ciągnie się nieprzerwanie mil 200, aż do jeziora morza Kaspijskiego, coraz wyżéj się podnosząc ku środkowi, gdzie na niebotycznych jego szczytach leżą wieczne śniegi. Są to góry dzikie i wspaniałe. Wierzchołki ich składają nagie skały i tylko niższe wyniosłości i doliny są pełne wdzięku, zamieszkałe i często, nawet na stromych stokach, ozdobione ogrodami i posiewami zboża na szczupłych polach, usypanych na podmurowaniach. Na północ łańcuch główny wypuszcza z siebie tylko kilka niedalekich i nieznacznych gałęzi i wnet prawie zaczyna się niezmierna równina, rozciągająca się ztamtąd aż do oceanu Północnego, którą na jej całej przestrzeni przerzynają tylko ledwo znaczne wyniosłości, ciągnące się dwoma długiémi pasmami, z których jedno z zalegających je jezior i błot daje początek licznym

i wielkim rzekom, a drugie przegradza ich bieg podwodnémi skałami. Po tejże stronie u podnoża gór, ciągnie się szeroka na 15 mil płaszczyzna, pokryta wysokiémi na 10 stóp stepowémi trawami i zaroślami, w których zwykły się ukrywać zbójeckie bandy Czerkiesów. Gdzie niegdzie tylko dają się tam widzieć wsie. Całe bogactwo mieszkańców stanowią liczne trzody, z którémi na wiosnę oni ciągną w góry i bawią w nich do jesieni. Po przebyciu gór, we środku idących dwoma równoległemi łańcuchami, na drugą stronę, na południe, zstępuje się na wdzięczne i bogate doliny Gruzji, które jeszcze daléj na południe ogranicza wyżyna Armenji ze swoim dwurożnym i pokrytym wiecznemi śniegami szczytem Ararat. W Czerwcu wielkie upały wypędzają i tu mieszkańców w góry; a kiedy za nastąpieniem tam jesiennych chłodów wracają oni znowu na swoje doliny, do swoich opuszczonych wiosek, czeka ich tam właściwa krajom południowym ciepła i przyjemna pora roku.

W zachodniej swojej części góry kaukazkie mają ogromne lasy, ciągnące się na 30 do 40 mil aż do morza Czarnego, a które pokryte długiemi kolcami krzaki jerzyny czynią nieprzebytémi. Bluszcze i winorośle, których pień dochodzi niekiedy grubości ręki, także wiją się po drzewach, oplatając je i przeskakując z jednego na drugie. Jak sznury wiszą wysoko na wierzchołkach ogromnych platanów i kasztanów długie odrośle winnéj macicy, obciążone gęstémi gronami, których wielkość dochodzi rosnących po winnicach, a tylko smak nieco cierpki przypomina że są dzikie. Zdają się one zapraszać na ucztę zabłąkanego do tych dziewiczych borów wędrowca. Napełnia je ogromne mnóstwo źwierzyny, piękne bażanty i dzikie białe kury, jelenie, sarny, a szczególniej dziki, które dzięki temu, że niewybijają ich na polowaniach, kiedy mieszkańcy Mahometanie mięsa ich niejedzą, dorastają tam ogromnej wielkości i brodzą po lasach jak woły.

W części wschodniej dwa środkowe łańcuchy gór, rozchodząc się szeroko, obejmują w postaci trójkąta, którego podstawę stanowi brzeg jeziora morza Kaspijskiego, krainę wyniosłą i dziką, w któréj widzieć się dają tylko nagie skały we środku i gorące piaski nad morzem, tu i owdzie wyschłe krzaki, zaś nigdzie drzew i świeżéj zieloności. Na wiosnę tylko cała ta okolica przybiera szatę świąteczną, kiedy topniejące w górach śniegi zasilają górskie potoki i te, napawając spragnioną ziemię, wywołują najpiękniejszą roślinność; lecz na krótko, bo ją w rychle całkiem wypala i niszczy skwarne i skąpe w deszcze lato.

Wschodnią kończynę pasma gór kaukazkich stanowi niewysoki

i wybiegający daleko w jezioro morze Kaspijskie, przylądek Apszeron. Tam na okrągłéj i samotnie stojącéj górze, leży sławne miasto Baku. Stromo wznosi się ono nad brzegiem na tarasach tak, iż pokrycia domów stojących z przodu, tworzą wystawy stojących za nim. Domy te po więszéj części małe, obyczajem wschodnim otoczone są zewnętrz wysokim, grubym, niedostępnym murem i oknami, mającémi szyby papierowe, wychodzą wewnątrz na małe podwórko. Ulice przedstawiają labirynt ciasnych i krętych przejść. Kramy i warsztaty rzemieślnicze stoją ciasno jedne obok drugich, tworząc w środku miasta szerokie na 15 do 20 stóp targowisko, na którém siedzą rzemieślnicy, zajęci swoją robotą w pośród tłumów cisnącego się ludu, pod wystającemi daleko dachami, które podpierają czerwono i zielono malowane słupy. Nieraz te dachy, lub zastępujące je opony, rozciągają się nad całémi ulicami, tworząc kryte przechody. W tych przechodach i na podwórzach domów zajezdnych, tak zwanych karawanserajów, zalegają paki z towarami kupców, którzy sami zajmują ciągnące się w około podwórza izby. Z rana po modlitwie wszyscy kupcy, rzemieślnicy i ludzie mający z nimi interessa, udają się na pomienione targowisko, zaś w pozostałych częściach miasta panuje zupełna cisza i niewidać nikogo. Czasami tylko przemknie się uliczką, zawinięta od głowy do stóp w białe zasłony, z których przeglądają tylko jéj oczy, niewiasta, klapiąc swoimi czerwonymi wyszywanymi złotem pantoflami po ogromnych kamieniach, wystających jak głazy w górach i tworzących jakoby bruk, którego właściwém przeznaczeniem zdaje się jest wywracać na każdym kroku niebacznie wjeżdżające tam, zaprzężone najczęściéj wielbłądami, wozy i przyprawiać siedzących w nich ludzi o kalectwo. Wieczorem, kiedy kończą się targi i roboty, zjawia się na pomienioném targowisku bajarz uliczny i obstępują go zewsząd starzy i młodzi tak, iż niema on miejsca dla swojej żywej i wyrazistéj gestykulacji. W karawanserajach izby są z otworami, lecz bez okien. Framuga w murze, a w niéj poziomo wbita deska służy za łoże, siedzenie i stół, gwóźdź w ścianie za wieszadło na suknie, a za ognisko naczynie gliniane ze czterma dziurami i węglami drzewnémi. W karawanserajach daje się widzieć dziwna mieszanina ludzi i narodowści. Tutaj Rossjanin modli się obrócony na wschód, stojąc, żegnając się i bijąc pokłony, tam czciciel ognia klęczy przed gorejącą lampą, tam Sziita odbywa przy otwartych drzwiach swoje modły z krzykiem, płaczem i wyrzekaniem. Wreszcie Derwisze, Żydzi, Ormianie, Turcy, poganie odprawiają swoje nabożeństwa każdy po swojemu.

Okolice Baku tak piękne, iż część ich przezwano rajskim

ogrodem róż, sławne są oddawna ze swoich źródeł oleju skalnego czyli nafty. W odległości godziny chodu od jednego z najczystszych takowych źródeł, znajduje się miejsce nadzwyczaj ciekawe. Jest to miejsce ogniów podziemnych, które czciciele tego żywiołu mają za święte. Za zbliżeniem do niego daje się czuć mocny za-

Swiątynia ognia w Baku.

pach siarki. W pośrodku występuje z ziemi silny błękitno-żółty płomień, który w nocy przedstawia się daleko większym. W niejakiéj odległości Gwebrowie, to jest czciciele ognia, pobudowali sobie małe domki. Cała przestrzeń próżna i otoczona dokoła murem pokryta jest tłustą gliną, która nie daje występować z pod ziemi

innym ogniom. Ale gdzie tego potrzeba, w domkach dokoła porobione są w glinie dziury. Kiedy zatém potrzeba ognia do gotowania jadła lub czegokolwiek, dość jest przytknąć zapaloną świecę lub zapałkę do otworu i natychmiast występuje z niego płomień; a im mniejszym jest ten otwór, tém gwałtowniéj bije z niego ogień. W szerokości 4 do 5 centymetrów dochodzi on wysokości prawie 1 metra. Kiedy ognia już nie potrzeba, dość jest otwór nakryć. Mieszkańcy tej miejscowości mają światło, wstawiając w otwory w glinie rurki oczeretu, długie według upodobania i powleczone wewnątrz i zewnątrz gliną, a następnie zapalając wychodzący przez nie gaz. Będący tam tkacze posługują się takiém światłem przy swojéj robocie.

Oprócz ogniów właściwych, dają się jeszcze widzieć około Baku inne ognie, które tylko świecą, lecz nie palą. Kiedy po ciepłych jesiennych deszczach powietrze bywa silnie ogrzane, okazują się tam całe pola w płomieniach. Często zdaje się, iż wielkie massy ognia zstępują z gór na dół; to znowu w ciemnych i ciepłych nocach po całéj równinie przeciągają niezliczone, to pojedyńcze, to połączone z sobą płomienie. Nieraz obejmują one całkiem rozłożone na polach karawany z wielkim przestrachem koni i mułów. Ten ogień jednak nie pali i bywa samym tylko pojawem światła.

33. Smyrna.

Smyrna, po turecku Iszmir, stolica Jonji, „kwiat i perła Wschodu, królowa miast azjatyckich“, prześliczny zdala przedstawia widok. Położona w pięknej dolinie, uwieńczonej ogrodami i oblana wodami zatoki, ciągnie się tarasowo na stokach góry Pagus, któréj szczyt dźwiga ruiny zamku, boki zaś zdobią gaje cyprysowe. — Stanąwszy w porcie obszernym, lecz nieco zasypanym, zarzuciliśmy kotwicę, a nazajutrz rano popłynęliśmy do miasta. Jakże wielkie spotkało nas rozczarowanie, zwłaszcza gdyśmy weszli do dzielnicy muzułmańskiéj i żydowskiéj. Domy nizkie z dachami płaskiemi, ulice ciasne i brudne, a na nich ścisk tłoczących się ludzi, osłów i wielbłądów, przed którymi co chwila trzeba ustępować, aby nie oberwać guza, lub nie stracić jednéj poły sukkni. Istny to obraz Wschodu, który wyszedł pięknym z rąk Stwórcy, lecz zeszpecony został przez ludzi. Tylko dzielnice chrześcjańskie, mianowicie Franków, t. j. Europejczyków, położone nad portem ze słynną ulicą Różaną i Ormiańską, odznaczają się więk-

szą schludnością. Tu są mieszkania obcych konsulów z powiewającemi na górze banderami, domy z gankami urządzone wewnątrz z elegancją i zbytkiem, liczne sklepy, gospody, kawiarnie, mianowicie tak zwane caffées chantants, które są szkołą zachodniej niemoralności, a nawet i piwiarnie niemieckie, bo Niemców nigdzie nie brak; gdzie zaś jest Niemiec, tam musi być i piwo. Słowem, życie tu europejskie. Zwiedziliśmy potém Bazar, to jest rynek. W długich krytych krużgankach po obu stronach są sklepy otwarte, w których siedzą kupcy i sprzedają jednego zwykle gatunku towary; tak, że są osobne bazary fajek, osobne chustek, osobne korzeni, osobne broni i t. d. Najwięcéj przekupniów jest Greków i Ormian, a ci w różnych językach zapraszają do siebie przechodniów, podczas gdy Turcy siedzą flegmatycznie na złożonych nogach i przesuwają paciorki, lub palą fajkę i popijają kawę, czekając aż Allah zeszle jakiego kupca. Aby czasu nie tracić, ubożsi pracują w bazarach tak, że sklep jest zarazem warsztatem. Są one oraz ulubioném miejscem przechadzki; to téż środkiem ciśnie się mnóstwo bogatych próżniaków muzułmańskich, kobiet okrytych białémi płachtami, w czerwonych pantoflach i z kolorową zasłoną na twarzy, wreszcie wiele ślepych i kalek, żebrzących natrętnie jałmużny. Tak wyglądają na Wschodzie bazary. Obok nich są Kany, czyli domy gościnne dla przybyłych zdala kupców i Bezestany, czyli murowane składy towarów.

Z bazarów krętemi i błotnistemi ulicami dostaliśmy się za miasto, gdzie w gaju cyprysowym jest cmentarz turecki. W cieniu tych pięknych drzew siedziały na ziemi kobiety tureckie, lecz zobaczywszy giaurów pozakrywały czémprędzéj twarze, lub uciekały jak gęsi spłoszone. Potém wdrapaliśmy się na górę Pagus, zkąd piękny widok otworzył się na port, najeżony masztami, czerwone dachy miasta i strzelające z pośród nich wieże i minarety. Na nagim jéj szczycie wznoszą się ruiny zamku, który cesarz Jan Komnen wzniósł na ruinach staréj świątyni greckiej. Widać tam jeszcze odłamy starych kolumn, kapitelów i wmurowane popiersie, ktore niektórzy uważają za posąg Apollina lub Amazonki. Dawniéj, za czasów greckich, pokrywały tę górę wielkie gmachy i świątynie, mianowicie tu miało się znajdować Stadium, to jest plac gonitw publicznych, gdzie w roku 166 został spalony św. męczennik Polikarp; lecz dziś nawet ślady ruin nie zostały; tak, iż tradycya stała się niepewną.

Z drugiéj strony góry jest parów, nad którym znajduje się wodociąg, zaopatrujący w wodę całe miasto, spodem zaś płynie rzeczka Meles, niewielka a jednak sławna, bo nad nią w uroczém

ustroniu miał stary wieszcz grecki Homer pisać swoje bohaterskie pieśni, zkąd jego przydomek Melesigenes t. j. nad Melesem zrodzony. Smyrna jest jedném z siedmiů miast greckich, ubiegających się o zaszczyt być ojczyzną Homera.

W przeszłości to miasto przechodziło różne koleje. Założona przez Eolczyków, chociaż dawne podanie przypisuje jej początek Amazonce Smyrnie, dostała się późniéj Jończykom i przystąpiła do związku Jońskiego. Potém ją zburzyli Lidowie, w 400 lat późniéj, odbudowana przez Antygona i Lizymacha, stała się ogniskiem handlu, oświaty i sztuk całéj Małej Azyi. Następnie zajmowana kolejno przez Rzymien, Greków, rycerzy rodyjskich i Turków w wieku XIII, leżała w gruzach i dopiéro pod panowaniem Turków podniosła się i zakwitła. Dziś liczy do 180,000 mieszkańców, między którymi jest 70,000 Turków, 65,000 Greków, 10,000 Franków, 15,000 Ormian i 20,000 Żydów. Grecy nie najlepszą mają sławę, o któréj świadczy na miejscu przysłowie: „Gdyby nie Grecy, Smyrna byłaby rajem.“

Pod względem handlu należy Smyrna do miast bardzo ożywionych. Ze wschodu po moście karawanowym ciągną do niej nieustannie szeregi wielbłądów, dźwigając na swych grzbietach płody środkowéj Azji, z zachodu zaś przypływają coraz nowe statki, sprowadzając wyroby europejskie, a za to wywożąc korzenie, wina greckie, suche owoce, kobierce i dywany. Handel ten jeszcze się podniesie, gdy będzie wykończony nowy port z dokami, a koleje żelazne posuną się daléj w głąb Azji; dotąd bowiem sięgają tylko do Aidin.

Ks. J. Pelczar. Podróż 1872 r.

34. Damaszek.

Ze szczytu gór Antilibanu nagle odsłania się czarujący widok Damaszku. Zaraz u podnóża tych gór ściele się ogromna dolina Guta, ledwo objęta okiem, przerżnięta tysiącznemi zdrojami, na które tu została podzielona rzeka Baradi i uzieleniona bujnym, gęstym i nieprzejrzanym lasem najpiękniejszych drzew Wschodu. Ta cudowna dolina, którą wschodni nazywają rajem ziemskim, i pierwszeństwo jej dają między czterema rajskiemi dolinami, jakie są na Wschodzie mahometańskim, graniczy od wschodu z pustynią, a po innych jéj stronach piętrzą się w oddaleniu góry. W około na jakich ośm mil, ciągną się na niéj ogrody, a nad ich przepyszną oazą często wyskakuje jakaś kopuła, wieżyczka, albo

kiosk rozkoszny, albo przeglądają się wioski, których najmniéj trzydzieści ciśnie się dokoła Damaszku. Wśród tego wielkiego lasu rozkłada się święte mosleminów miasto, długie a wązkie, z mnóstwem wież, kopuł i minaretów, pomięszanych z cyprysami i innémi drzewami, co wszystko w atmosferze czystej i blaskiem słonecznym dziwnie ozłoconéj, przy błękicie bez chmurek, obok graniczących gór pożółkłych i spalonych, tak przecudownie się odbija, że można przebaczyć Arabom te przesadzone pochwały Damaszku, które się wykazują w dziwnie dobieranych nazwaniach. Oprócz miana raju doskonałego, zowie się on jeszcze naszyjnym klejnotem przyrodzenia, polem rajskich pawiów, różnobarwną szyją gołębia, uroczém znamieniem na ustach świata, a nareszcie miastem, co pachnie rajem. Jakoż ich prorok Mahomet, spragniony za wodą i zielenią, będąc w czasie swéj młodości w Damaszku, nazwał go miastem trzykroć szczęśliwém z przyczyny, że aniołowie Boscy rozciągają nad niém swoje skrzydła.

Spuściłem się z góry do samego przedmieścia Ssalehije, które jest bardzo wielkie, bo liczy z górą 12 tysięcy mieszkańców. Jest to najroskoszniejsze miejsce rajskiéj doliny, gdzie są najpiękniejsze ogrody i kioski. Po wjechaniu do miasta, mocno byłem rozczarowany jego widokiem, bo domy zewnątrz, chociaż o piętrze i wielkie, jednak na wejrzenie szpetne, bo są oblepione szarą gliną. Jeszcze w 1831 roku wędrowcy nie inaczéj wchodzili do tego świętego mosleminów miasta, jak piechotą i w stroju tureckim.

Do najdawniejszych w świecie miast należy Damaszek, bo już był za czasów Abrahama. Teraz jest najpiękniejszém miastem w Syrji i w rzędzie grodów cesarstwa tureckiego po Konstantynopolu, Adryanopolu, Brussie i Kairze piąte zajmuje miejsce. Ludność z przedmieściami wynosi przeszło 200 tysięcy. To miasto uważane jest przez Arabów i Turków za święte, jako usta Mekki i brama świątyni Kaaba, kędy spoczywają zwłoki ich proroka. — W Damaszku co roku zbiera się pielgrzymów, czyli Hadżi, trzydzieści i kilka tysięcy, a czasem i daleko więcéj, którzy ztąd razem z paszą Damaszku, mającym tytuł Emira Hadżi, to jest przewodnika albo księcia pielgrzymów, odbywają czterdziestodniową podróż do Mekki, pod zieloną chorągwią proroka, w czasie któréj podróży wiele ludzi i wielbłądów ginie, a ich kości służą na pustyni za wskazówkę drogi dla przyszłéj karawany.

Oto jest opis pochodu takiej karawany, przez naocznego świadka w Damaszku. „Dla zabezpieczenia się od zuchwalstwa tych arcy żarliwych pielgrzymów, skryliśmy się w sklepie bazaru, przez który miała ciągnąć karawana. — W téj sławnej wyprawie na-

przód postępowało 46 Santonów, czyli świętych szaleńców, a każdy niósł chorągiewkę jedwabną przez pół czerwoną i zieloną, lub żółtą i zieloną. Po nich szły trzy oddziały żołnierzy, zwanych Segban, daléj następowali żołnierze Sipahi, za nimi szło 8 kompanji Mugrubinów, z sześcią lekkiemi działami, a potém szli pieszo żołnierze zamku damasceńskiego, fantastycznie przybrani w szmelcowaną starożytną zbroję. Za tymi jechali konno Janczarowie ze swoim Agą, a daléj nadworny Aga Paszy niósł dwa buńczuki, jako godła dostojności przewodnika karawany. Za buńczukami prowadzono sześć bogato przybranych najpiękniejszéj rasy koni. Daléj postępował Mahmal, to jest wielki powilon z czarnego jedwabiu, leżący na ogromnym wielbłądzie, a końce bramowane frężlą złotą, spadając do ziemi, okrywały całego źwierza. Sam wierzch pawilonu zdobiła złota gałka, a wielbląd miał na głowie szyji i nogach pozawiesza nesznurki nanizanych paciorek, lub muszelek morskich, albo lisie ogony. Pod pawilonem był ukryty Alkoran, na pięknym nowym kobiercu, który sułtan corocznie posyła do Mekki, a ztamtąd przywożą Padyszachowi dywan dawniejszy, który, z przyczyny swego pobytu przy grobie proroka, nabiera największéj ceny. Wielbląd, niosący te świętości, zostaje późniéj na zawsze wolny od wszelkiego ciężaru. Potém następuje znowu oddział wojska i sam pasza, a nareszcie idzie 20 obładowanych wielbłądów i tłum pielgrzymów.

Obok nabożeństwa pielgrzymi nie zapominają i o zysku doczesnym. Każdy obładowuje się wyrobami krajowemi, a potém z Mekki przywozi różne rzeczy Arabji i Indji, jako to: mokkę, perły, dyamenty, aloes, szale i tym podobne wyroby. Ta karawana, wzbogacająca Damaszek samym napływem pielgrzymów, stanowi jeszcze główną gałąź handlu tego miasta, które jest jednym z najważniejszych punktów przemysłu. Ciągle wychodzą z niego i przychodzą do niego karawany kupieckie, niosąc płody i wyroby Egiptu, Persji, Armenji, Indji i Europy, a szczególniéj wyroby angielskie.

Bazary Damaszku są daleko piękniejsze i lepiéj oświecone, aniżeli nawet w Konstantynopolu. Korytarze obszerne, z oknami w sklepieniu i framugami, albo małémi celijkami po bokach na towary, gdzie jak w Konstantynopolu i wszędzie na Wschodzie, każde rzemiosło, każdy towar ma oddzielną ulicę. W korytarzu stolarskim trudno nie podziwiać ładnych skrzynek, stołeczków pod nogi kobiecych, lub innych sprzętów drewnianych, pięknie wysadzanych perłową macicą, lub kością słoniową. Siodlarskie i haftarskie zwracają uwagę pięknością swego wyrobu; sklepy broni

dość wystawnie ułożone, ale sławna niegdyś fabryka szabel damascenek upadła, bo tajemnica robienia téj doskonałéj broni zaginęła, po zabraniu do Persji przez Tamerlana robotników. Mówiono mi, że jeszcze można dostać u kupców dawną szablę damasceńską, najmniéj za sto talarów hiszpańskich, ale na tém trzeba się znać doskonale, bo wiele robią podobnych damascenek na pozór. Nie mało korytarzy zajmują wyroby jedwabiu i bawełny dokonane w Damaszku, które celują między wyrobami syryjskiemi. Potém przedstawia się bogaty widok szalów, klejnotów i innych skarbów Persji i Indji. Według zdania kupców Damaszku, handel tego miasta znacznie upadł przez ucisk rządu egipskiego.

Więcéj jak trzech godzin potrzebowałem na obejrzenie tego bazaru, zwanego starym; co wielką jest przyjemnością, bo dziwnie rozmaity przedstawia się tam widok. Te skarby, płody i wyroby Wschodu stanowią jakby historję téj strony i jéj zwyczajów, a ta ciżba, cicho się snująca po korytarzach, jakże uderza rozmaitością. Wpośród Turków, ubranych w jaskrawe kaftany i wysokie zawoje, przeciska się śmiały Beduin z twarzą opaloną, ale pięknych rysów, w swojéj abbie, czyli płaszczu w szlaki sine i szare, albo czarne i białe, albo wreszcie jednego koloru; pod spodem widać pas skórzany na bawełnianéj koszuli, a na głowie chustka, zupełnie rozpuszczona, w kraty zielone, czerwono, lub żółte i obwiązana w kilkoro sznurkiem misterne plecionym, a końce jéj przednie są zatknięte za ten konopny wianek, lecz jadąc konno spuszcza na dół chustkę, co go od skwaru zasłania i w biegu czyni widok malowniczy. Daléj Maronita w abbie krótkiéj, jak spencerek, z pod którego wypływa długa szata, a na głowie ogromny zawój ze spadającym na bok feszem, przy śmiałéj postawie. Przymieszaj do tego jeszcze strój Ormian i duchownych różnych wyznań i porozrzucaj często nieme postacie, uwinięte w białe prześcieradła z czarną chusteczką na twarzy, a będziesz miał wyobrażenie przechodniów bazaru. Jest jeszcze drugi bazar zwany nowym, a nadto znajduje się ze 30 ogromnych kanów, służących przyjezdnym kupcom na składy towarów. W bazarach bywa największy, a nawet jedyny ruch mieszkańców; kupiectwo bowiem na Wschodzie jest głównem i najważniejszém zajęciem. Cały ten ruch jednak odbywa się cicho, rzadko w nim uderza gwar mówiących i wolne stąpanie mułów, osłów, a niekiedy koni i cichy krok miękkiéj stopy wielbląda bynajmniéj nie przerywa spoczynku mosleminów.

Ulice Damaszku, jak we wszystkich miastach wschodnich, są kręte i wązkie. Ztąd mieszkańcy mogą w czasie skwaru przechadzać się w cieniu i chronić się choć w części od tych słaboś-

ści, które sprowadza spiekota. Wśród tych upałów dopiero pojmujemy całą słuszność skargi Tacyta na Nerona, że po spaleniu Rzymu, zamiast wązkich, szerokie porobił ulice. Często jednak, osobliwie koło zamku, wiją się dość obszerne ulice, z chodnikami po obu stronach i czyściéj jak w innych miastach utrzymane.

Byłem u Arabów chrześcjan, którzy w domowém życiu niczém się nie różnią od innych mahometan, chyba tylko tém, że mają po jednéj żonie. Opiszę ci dom kupca Jerzego Anchuri, a będziesz miał wyobrażenie wszystkich domów, bo są jota w jotę podobne do siebie. Z wierzchu nieładny mają pozór, widzisz bowiem jakieś ogromne zabudowania, świecące szarą gliną, prawie bez okien, tylko gdzie niegdzie na górze pokazuje się zakratowane okienko. Lecz ile są brzydkie zewnątrz, tyle wewnątrz zachwycające. Przez małe drzwi, dobrze okute, wchodzi się do wązkiego, ciemnego i nieco krętego korytarza, a to z téj przyczyny, aby nikt przy otwarciu drzwi nie zajrzał do wnętrza domu, bo Wschód we wszystkiém, a szczególniéj w życiu domowém, lubi się otaczać głęboką tajemnicą. Po przebyciu tego korytarza znajdujesz się w niewielkim rozkosznym dziedzińcu, albo raczéj sali, której sklepieniem jest prześliczne niebo syryjskie. Cała posadzka wyłożona różnokolorowym marmurem, w koła, kwadraty, zygzaki, gwiazdy i tym podobne figury; po rogach i bokach téj podniebnéj sali rosną cytryny, pomarańcze, winna latorośl, mirt i jasmin wdzierający się aż na dach bardzo wysokiego domu. W środku dziedzińca ustawnie bije fontanna, któréj spadająca woda zbiera się w ogromnéj marmurowéj miednicy otoczonej wkoło wazonami prześlicznych kwiatów; a w tej niby sadzawce widzisz małe różnokolorowe pływające rybki. Ściany, które otaczają ten dziedziniec, są ozdobione wcale niezłém malowidłem różnych ptaków, kiosków, łodzi, gwiazd, lub innych zygzaków w guście wschodnim. Naprzeciw korytarza wchodowego jest główny pokój, a dwa podobneż znajdują się po bokach, ale bez ściany od dziedzińca. Te pokoje są bardzo ozdobione wyzłacanemi rysunkami i arabeskami w różnych żywych kolorach, a stropy, opierające się na belkach topolowych, rzniętych w guście saraceńskim, są równie złocone, malowane i często wykładane lustrami; zaś wielkie gałki ze słoniowéj kości wiszą, jak u nas pająki. W środku każdego pokoju na dole jest mała fontanka w niewielkiéj miednicy marmurowéj, mozajkowanéj we floresy marmurowe, a po obu stronach pokoju jest podniesiene prawie na łokieć, wysłane materacami, przepysznemi kobiercami i poduszkami. Są to sofy do siedzenia, albo raczej do wygodnego leżenia. Wkoło po ścianach widzisz framugi,

albo z drzwiczkami w lustra i desenie złocone, albo bez drzwiczek, gdzie na półkach ładnie ukraszonych widać najbogatsze sprzęty domu: naczynia srebrne, porcelanę chińską, różne kubki i tym podobne rzeczy. Cały ten dziedziniec z temi pokojami dolnemi, przy mruczeniu bijących wodotrysków i tych bogatych ozdobach, tém większy sprawuje urok, im mniéj tego spodziewałeś się po tych szopach oblepionych gliną. Piękne schody marmurowe prowadzą na piętro, gdzie z galerjami na dziedziniec idą rzędem pokoje familijne, równie ozdobione wyzłacaniem i malowaniem. Gdy wszedłem, wszystkie kobiety z dziedzińca pierzchnęły, ale na głos mego towarzysza, że to Kasis czyli ksiądz, natychmiast wróciły i ucałowały rękę z uszanowaniem. Ktoby myślał, że kobiety przez wyłączenie ich z towarzystwa mężczyzn są dzikie i nieśmiałe, bardzoby się mylił. Jakaś poufałość i prostota ciebie zadziwia. Zastałem wiele kobiet przybyłych, które zajmowały obie strony głównego pokoju, bawiąc się wesołą rozmową i paleniem nargilów. Pomimo poufałości i prostoty nie widziałem nic takiego, coby trąciło zepsuciem, a nawet w tej samej prostocie nie można nie podziwać wielkiej i szczerej uprzejmości. Po zwykłem ugoszczeniu kawą, fajką i chłodzącemi sorbetami, natychmiast sam gospodarz lub gospodyni wiedząc, że Europejczycy są ciekawi ich sposobu życia, oprowadzają po wszystkich zakątkach swego mieszkania. W ogóle Damaszku mężczyzni i kobiety w pierwszéj młodości zdumiewają pięknością, ale w trzydziestym roku tracą cały wdzięk i stają się szpetnemi przez nazbyt wydatne rysy. Białość ich lica jest nadzwyczajna, co przypisują niektórzy karmieniu się prawie samemi owocami, a delikatność rysów wykończona. Strój kobiet w domu ma w sobie wiele fantastyczności, bo włos kruczy, bujny i uwieńczony perłami i złotémi blaszkami spada w tysiącznych drobnych koskach na jasnokolorowy kaftanik, nadzwyczaj ściśnięty, z długo wiszącemi rękawami, a całą tę postać podnoszą do niezwykłego wzrostu stołeczki, wysokie prawie na pół łokcia, pięknie wyrabiane i wysadzane słoniową kością, które za pomocą wierzchnich obwódek są przytwierdzone do każdéj nogi; i kiedy słyszysz lekki i prędki stukot po marmurowéj posadzce, wtedy obróć wzrok, a ujrzysz zadziwiającą zręczność kobiet w chodzeniu na tych łyżwach. Uroda syryjska całkiem się różni od greckiéj; piękność bowiem grecka ma coś w sobie żywego i wesołego, więcéj gwałtowność i namiętność przebija się w rysach. Przeciwnie w Syrji piękność ma główny wyraz tęsknoty i zamyślenia; w rozmowie postrzegasz umysł marzący i mistyczny, a jakaś łagodność rozlana po całéj twarzy i spojrzeniu.

Nie są to jednak istoty smutne i marzące; owszem lubią gwarzyć i częstemi wybuchami śmiechu czynią towarzystwo huczném.

W Damaszku liczą 70 meczetów. Niektóre z nich miały być niegdyś kościołami, lecz w większéj części były wzniesione przez Kalifów i innych władzców Damaszku, w celu umieszczenia tam swoich grobów. Największym i najpiękniejszym jest meczet ś. Jana, będący dawniéj kościołem, poświęconym ś. Janowi Chrzcicielowi, czy Damasceńskiemu, a miał go zbudować cesarz Herakliusz. Po zdobyciu miasta przez Arabów, została ta główna świątynia na pół podzielona między moslemiów i chrześcjan; lecz piąty Kalif, ze szczepu Ommia Abdolmelek, wyrugował zupełnie chrześcjan, ogromnym nakładem całą tę świątynię tak przerobił i ozdobił, że odtąd uważa się za najpiękniejszy pomnik arabskiéj architektury. Ma ona długości jakich 230 kroków, a najwięcéj 50 szerokości; w pośrodku wieńczy ją lekka murowana kopuła, zwana kopułą orła; za wejściem uderza wspaniałość i mnóstwo kolumn z porfiru, serpentynu, dawnego zielonego marmuru i nareszcie z marmurów w różne kolory. Drzwi meczetu okryte rzeźbioną blachą i inne wewnątrz ozdoby, zachowane dotychczas, świadczą, że był on pierwotnie kościołem chrześcjańskim.

Do dawnych gmachów tego miasta należy zamek najprawdopodobniéj zbudowany przez Arabów. Niegdyś był on mieszkaniem Kalifów z rodu Ommia, którzy tu mieli swoją stolicę.

Liczne tu są szpitale mosleminów dla chorych, starców, szalonych i pielgrzymów, idących i wracających z Mekki, wszystkie dawnych, fundacji i wszystkie dziś w ostatniém zaniedbaniu. Łaźni w Damaszku liczą z górą 60, a niektóre z nich są wewnątrz piękniejsze i wygodniejsze nawet od carogrodzkich.

Kawiarni, tych rajów moslemińskich, liczą w Damaszku więcéj jak 100; ale najbardziéj sławione są za miastem, bo znajdujące się w samém mieście są brudne, brzydkie i raczéj warto je nazwać fajkarniami. Pierwsze są w cienistych i rozkosznych ogrodach po nad zdrojami Barady, która tam jest podzieloną sztucznie na wiele kanałów. Te budowy z drzewa nie zalecają się wcale swoją architekturą, ale tak są stawiane, aby promienie słońca nie raziły, a tylko dawały przyjemne światło, co sprawia czarującą sprzeczność z blaskiem słonecznym, okrywającym okolicę. Okna i drzwi tak są urządzone, że dają piękny widok na miasto i okolice i zawsze przyjemny powiew orzeźwia spoczywających. Wewnątrz jest wielka i wysoka sala, podparta malowanémi z drzewa kolumnami, między którémi znajdują się umieszczone nizkie ławy, albo sofy, pokryte matami i kobiercami. W kącie jest kominek

dla prażenia nektaru mokki, a posadzka albo marmurem, albo wreszcie deskami wyłożona. Wielkie drzwi odkrywają dziedziniec napełniony drzewami, wśród których najwięcéj daje się widzieć wierzba płacząca i platan, a w ich cieniu gra fontanna w marmurowej miednicy. Są to ulubione ustronia mieszkańców Damaszku. Tam zawsze muzyka i pieśni; tam płatni opowiadacze powtarzają albo różne powieści i poezje dawnych pisarzów, albo sami jakie bajki improwizują. Tam pod cieniem wierzb i przy szmerze wody, wśród wonnych obłoków tytoniu, posilając się mokką, przepędza moslemin całe dnie w cichém zadumaniu, próżen trosk i kłopotów tego świata.

Sławne są ogrody Damaszku; lecz trudno je opisać, kiedy urok ich nie zasadza się ani na ładném rozporządzeniu drzew, ani na rozmaitości położenia, ani na żadnych ozdobach sztuki, jak to bywa w naszych ogrodach; a jednak ich piękność zda się utwierdzać podanie o raju. Ta ogromna dolina wiecznie się zieleni drzewami, które wydają oraz w obfitości owoce. Z tych najsławniejsze są morele, wielkie jak jabłka, a swoją złotą barwą i przecudownym smakiem zdające się przypominać jabłko Edenu, co tak niegdyś nęciło oczy Ewy, granaty i śliwki, które w smaku nie ustępują morelom. Wśród mnóstwa gatunków winogradu odznaczają się grona z nadzwyczaj długiémi i białémi jagodami, które w jedzeniu mają bardzo przyjemną słodycz, ale do robienia wina nie są przydatne. Nazywa się ten winograd rajskim. W ogóle wszystkie owoce równiny Guta uważane są za najlepsze w świecie; co przypisują jej czerwonawej ziemi, zraszanej licznemi zdrojami. Frukta suszone, albo smażone na konfitury, stanowią nie małą gałąź handlu damasceńskiego, bo rozchodzą się po całym Wschodzie. Téj hojności przyrody nadużywają mieszkańcy, bo obżerają się nad miarę, a ztąd febry i inne choroby w tym czasie niemiłosiernie grasują w Damaszku.

Ks. Ig. Hołowiński. Pielgrzymka 1839.

35. Cedry na Libanie.

Pod ogromnym i stromym szczytem Libanu, zwanym Makmel, wznoszącym się nad morze na ośm tysięcy stóp, kędy wieczne śniegi założyły swoją siedzibę, na niewielkim pagórku, podniesionym jednak na sześć tysięcy stóp, który formuje jakby równinę u podnóża śnieżystego wierzchołka, szumią posępnie starożytną pieśń o dawnych czasach cedry, patryarchowie roślinnego plemienia. Drzewa te składają niewielki lasek, w którym jest zapach jak od

naszych sosen i który można obejść dokoła we trzy kwadranse. Cedr jest rodzajem szpilkowego drzewa, ma liście zawsze zielone i kształtem podobny jest do naszej lipy. Wysokość jego dochodzi 30 łokci, a rozpostarte gałęzie zajmują obwód około 60 kroków. Każdy liść szpilkowy w niebo jest obrócony, co czyni jakby powietrzną murawę, wśród któréj często się wznoszą zielone

Liban i cedry.

szyszki jak ogórki. Młodsze drzewa wysokością dosięgają starych, ale ich gałęzie daleko niżéj od pnia się rozdzielają i nie są tak równolegle od ziemi położone dla braku miejsca, lecz obficiéj od starych pokryte są szyszkami. Naliczyłem siedem najgrubszych, co mają obwodu od 12 do 16 łokci; znacznie grubych widziałem 26, a miernéj grubości z górą 50. Wszystkie cedry najstarsze rosną jeden przy drugim, a daléj jest jakich z pięćset drzew ce-

drowych daleko młodszych i cieńszych niż pierwsze i te często są, pomięszane z sosnami.

Drzewo cedrowe odarte, ze skóry, jest bardzo podobne do jedliny, równie białe i kruche, ale daje przyjemną woń, nie tyle jednak mocną, co drzewo amerykańskie znane pospolicie w handlu pod imieniem cedru, jest znacznie cięższém od naszych drzew smolnych, smak ma gorzki, dla tego téż nie chwyta się go robactwo i trwałość jego jest prawdziwie niepożyta. Bywały przykłady, że belka cedrowa, wyjęta z budynków stawianych przed dwoma tysiącami lat, była jeszcze całkiém zdrowa.

Na jednym grubym cedrze zastałem mieszkającego pustelnika. Jestto Koft rodem z Egiptu, pięknej familji, który, porzuciwszy swój kraj, udał się zrazu na górę Tabor, gdzie przepędził pięć lat w życiu pustelniczém, a potém, zwiedzając cedry, upodobał sobie to miejsce i w jedném drzewie wyrąbał wysoko małą celkę tak, że w niéj może leżeć skurczony i to wydrążenie zamyka drzwiczkami. Od tej celki ciągnie się mały tarasik albo galeryjka, oparta na drugim poblizkim cedrze, przy którym postawiona gruba i sękata gałąź służy mu za schody do pomieszkania. Krucyfiks stanowi całą ozdobę jego celki i całą jego pociechę. Spowiada się on co tydzień u pustelnika kapłana Maronity, mieszkającego niedaleko w jaskini na wysokiej skale, pod którą jest kościół i klasztor Karmelitów. Człowiek to jeszcze młody, ma ledwo lat trzydzieści, rysy twarzy ładne i szlachetne; żadnego fanatyzmu i zagorzałości w nim nie widać, owszem jakaś dobroć i łagodność maluje się w jego obliczu; w obejściu bardzo uprzejmy i usłużny, na moje żądanie wyrąbał mi parę lasek cedrowych i urwał kilka szyszek, podobnych kształtem do jodłowych, tylko łuska wierzchnia drobniejsa i delikatniejsza. Lud okoliczny wielce go poważa i zawsze mu jeść przynosi; a zresztą jałmużna odwiedzających cedry daje mu utrzymanie.

Najgrubsze drzewa okryte są napisami, najczęściéj Anglików. Widziałem niektóre z wieku XVII, bo te napisy coraz się lepiéj rozrastają. Pod trzema cedrami widać trzy niewielkie stosy kamieni, które są ołtarzami Maronitów, Greków katolików i Ormian katolików; utrzymują bowiem mieszkańcy Libanu, że Przemienienie Pańskie stało się na téj górze; a chociaż to podanie najmylniejsze, jednak mieszkańcy zbierają się w uroczystość Przemienienia i odprawianej tu mszy świętej słuchają. Dawniéj każda wieś miała swój cedr i ołtarz, a wszystko co żyło szło na ten szczyt Libanu; ale patryarcha maronicki, z przyczyny niektórych zdrożności, towarzyszących temu pospolitemu ruszeniu, zabronił tak wielkich

zgromadzeń. Podanie także utrzymuje, że ten gaik cedrowy jest szczątkiem tego samego lasu, z którego król Salomon brał drzewo na budowę kościoła, co trudno jawnie okazać, ale jest wielkie prawdopodobieństwo. Wedle powszechnego mniemania, cedr potrzebuje trzystu lat na dójście do swej dojrzałości. Drzewo to od mieszkańców nazywa się Ers i jest uważane za święte, już z przyczyny swej starożytności, już z słów psalmisty, co je mianuje drzewem Bożem, już wreszcie dla częstych wzmianek o niém w piśmie ś. I rzeczywiście niemożna bez jakiegoś uszanowania patrzeć na cedry najstarsze, które tylu panów zmieniły, tyle różnych języków słyszały i narodów widziały, co teraz zamierzchły w niewyraźnéj przeszłości. Wspaniałość i majestatyczność tego drzewa dziwnie uderza; i dla tego pismo ś. często od niego bierze porównania. A teraz te cedry, zasadzone ręką Boga i co na wezwanie Dawida wznoszą hymn chwały wszechmocnemu Twórcy, jakże są wyniszczone! Samym nawet czasem starożytne drzewa ciągle ubywają. Wprawdzie młodszych jest dosyć, lecz wszystkie są wysokiémi drzewami, a w całym lasku, pomimo licznie spadających szyszek, niema ani jednego wyrostka, bo nasienie za szyszkami i liśćmi niedostaje się do gruntu, który się składa z drobnych kamyków i czerwonawéj ziemi. Czasem w górach Libanu spotykasz cedry, ale małe i niepiękne; tylko w tém miejscu, jak w ostatniém swojém gnieździe, zachowały się te wielowiekowe drzewa. Teraz nic się tu nie mnożą, a naturalnie muszą ubywać. Wedle ogólnego zdania, dwanaście najgrubszych sięga czasów salomonowych, zaś lat temu trzysta rachowano takich 28. Religja przeto, dla zachowania tych drogich zabytków świętéj przeszłości, wzięła je w swoją opiekę. Patryarcha maronicki zakazał pod klątwą mieszkańcom wyrąbywać nawet gałęzie i ledwo sam mogłem otrzymać pozwolenie na wzięcie dwóch lasek cedrowych, któremi, wedle mniemania ludu, niegodzi się nikogo uderzyć. Ztąd między ludem krążą różne podania, że urąbanie cedru ściąga wielką karę od Boga. Teraz widziałem przy samym lasku założone fundamenta dość wielkiego kościoła Maronitów i liczne stosy kamieni, zebrane do murowania. W przeciągu 3000 lat, jak sięga historja, siekiera Tyryjczyków i innych narodów wyniszczyła te lasy, które niegdyś cały Liban okrywały; a ogień wojny jeszcze ich więcéj pożarł, bo nie jeden król assyryjski Sennacheryb wyrąbał cedry Libanu, lecz wszyscy wojownicy, obyczajem wschodnim, mścili się nietylko na ludziach, ale i na drzewach. Nawet sam widziałem wiele oliw i morw świeżo w pień wyciętych za powstanie mieszkańców.

Ks. Ig. Hołowiński. Pielgrzymka 1839.

36. Jerycho, Jordan i morze Martwe.

W głębokiéj dolinie, którą przebiega rzeka Jordan, która coraz zniża się ku południowi i w dawnych czasach sławną była z płodności, leży sławne w dziejach narodu wybranego miasta Jerycho. Dziś nazywa się ono Riha, co znaczy zapach i jest bardzo biedną i niewielką wioseczką, bo składa się z jakich dwudziestu chat arabskich, jeźli tak można nazwać liche, prawie podziemne, szałasze z trzciny jordańskiéj, osypanej piaskiem. Cała wieś i te domy są otoczone w koło ciernistemi krzakami, jakby wałem nieprzebytym dla złodziejów, bo niemożna ani konno przejechać, ani bydła mieszkańców uprowadzić. Ogrody wioski są ładne i dość wielkie, które ożywia strumień Elizeusza, rozdzielony na wiele malutkich poników. Jerycho, zwane w Biblji miastem palm, nie posiada dziś tych drzew i cała dolina została pozbawioną téj ozdoby. Łatwość utrzymania palmy, bo żadnego pielęgnowania niepotrzebuje, naprowadza na domysł, że w czasie licznych wojen wszystkie drzewa były wycięte i zniszczone, bo inaczéj trudno wytłumaczyć to ogołocenie. Teraźniejsi mieszkańczy bynajmniéj niemyślą sadzić drzew, bo chociaż bawią się niby rolnictwem i pasterstwem, jednak obyczajem Beduinów więcéj ich zajmują grabieże i napady. Mnóstwo rozmaitych drzew przy największém zaniedbaniu najbujniéj rośnie w ogrodach Arabów, którzy sieją trochę jęczmienia, ryżu, pszenicy, lub innego zboża, a także uprawiają mnóstwo cebuli. Wszystkie tu płody dojrzewają na czterdzieści dni pierwéj, niż w Jerozolimie; bo też różnica klimatu, choć w niewielkiéj odległości, jest prawie nie do uwierzenia. Taką różnicę sprawia wyniesienie miejsca.

O półtory godziny drogi od Jerycho, wśród dzikich pustyń, Jordan, uwieńczony po obu brzegach śliczną zieloną przepaską wiosennéj świeżości, dziwnie odbijającą od zeschłej, skalistej i obnażonej okolicy, toczy poważnie swoje białawe nurty. Trudno sobie wyobrazić co piękniejszego i w tej pustyni więcéj uroczego, nad brzegi jordańskie. Zdala niewidzisz Jordanu, bo zielona taśma po obu stronach zupełnie ukrywa świętą rzekę. Te piękne gaje składają najwięcéj wysmukłe tamarysy, płaczące wierzby, dzikie oliwy, boże drzewka, kwieciste oleandry i gruba trzcina. Gęstość tych lasków jest nie do uwierzenia i z największą trudnością, rozchylając gałęzie i drzewka, można się przecisnąć. Na wiosnę ma tu być dziwnie uroczo, bo miljony ziółek i kwiatów rozlewają woń balsamiczną, a nieprzebrane mnóstwo słowików napełnia całą okolicę słodkiém kwileniem. Lecz w tych gajach często się

tają i Arabowie, chcący napaść podróżnych; a także tu mają legowisko dzikie źwierzęta: wilki, rysie i szakale; a dawniéj, jak widzimy z pisma św., były jeszcze lwy i tygrysy, których wylew Jordanu wypłaszał z gajów.

Rzeka ma najwięcej czterdzieści kroków szerokości. Brzeg piaszczysty, wysoki i urwisty, który podmywając woda, często pochyla zupełnie drzewa, co razem z gajami stanowi zachwycający widok. Jordan jest głęboki, dno przy samym brzegu błotniste, a potém twarde i piaskowate, bieg wody nadzwyczaj bystry. Wszedłszy po pas trudno ustać na nogach i pęd szybko porywa na głębię; ztąd nieumiejący pływać musi trzymać się za gałęzie pobrzeżne. Woda biaława i nieco mętna, bo w szybkim biegu mięsza się z delikatnym bielutkim piaskiem, jednak bardzo przyjemna w piciu; ale woni róż jerychońskich, jak chcą dawni pielgrzymi, wcale w niej nie znalazłem. W naczyniu po krótkim czasie staje się jak łza czystą, bo piasek osiada i może się bardzo długo chować bez zepsucia. W tém miejscu, gdzie podanie przywiązuje chrzest Zbawiciela, jest wielki zakręt koryta i nie widać zupełnie szybkiego biegu, ale zdaje się woda stać, lub przemykać się ukradkiem. Dawniéj, za czasów greckiego cesarstwa, był tu krzyż drewniany, wbity w rzekę i schody marmurowe prowadziły do wody. Dotychczas w pierwszy dzień Wielkiego tygodnia zbiera się tu mnóstwo ludu, dla omycia się w Jordanie i tu zwykli maczać koszule, które później chowają na dzień swojej śmierci. Dawniéj, jak widzimy z Biblji, Jordan co roku wylewał z brzegów, a teraz niewylewa; co tłómaczą tem, że bystrość rzeki w piaskowym gruncie wyryła przez tyle wieków tak głębokie koryto, że przybywająca woda może się dziś utrzymać w podwyższonych brzegach.

Im więcéj zbliżaliśmy się ku morzu Martwemu, tém okolica stawała się posępniejszą. Biały piasek zmienił się na ziemię gliniastą, pomieszaną z iłem i nogi końskie w téj kruchéj ziemi grzęzły jakby w piasku. Pole jerychońskie coraz bardziéj się zniżało, piasek ogromny i ruchomy rozkładał się przed nami i konie zapadały w nim po kolana. Wszystko tu przybierało postać martwą. Czasem zeschłe cierniste ziółko, czasem mchy suche czerwonawe, albo krzaki wycieńczone, można było spotykać, lecz późniéj i te ślady roślinnego życia znikły; były tylko same wydmuchy, albo ziemia popielata, przepojona saletrą i solą, która często zeskorupiała, pokrywa te brózdy piaszczyste. Dolina jerychońska ciągnie się tu, jak ogromna fossa między dwiema linijami gór i ma pozór straszny, dziki i przerażający. Na górach judzkich

i arabskich wszystko obnażone, groźne i nieruchome; barwa popielato-biaława pola i skał judzkich urozmaica się tylko czarnym kolorem szczytów arabskich, które są wyższe i tak równo ciągną się nad polem, jakby wał samém przyrodzeniem usypany. Na dolinie z każdym krokiem coraz niepłodniejszéj, postrzegasz jeszcze więcéj saletry jak soli, a popielatość i ruchawość gruntu zdaje

Morze Marwe.

się zapowiadać ziemię do tyla wypaloną w ogniu, że straciła wszystkie pierwiastki swéj płodności. Nareszcie po dwóch godzinach męczącéj i posępnéj drogi, stanęliśmy na brzegu morza Martwego.

Jezioro to niema tak strasznego widoku, jak chcieli niektórzy przedstawić; ale téż nie jest zupełnie podobne do innych wód, jak znowu usiłowali dowieść inni. Samo jego położenie rzeczy-

wiście jest posępne, bo od wschodu je trzymają w cieśni zczerniałe góry Arabji, a na zachód obnażone wapienne skały Judei. Ciągnie się łukowato od północy, czyli od pola jerychońskiego, na południe; długości liczy jakich dziesięć mil naszych, a szerokość jego, lubo niejednakowa, nie przechodzi jednak nigdzie dobréj ukraińskiéj mili. Dokoła pusto, głucho i obnażono. Woda jeziora jest czysta i przejrzysta, ale niemiłosiernie gorzka, szczypiąca i przykrzejsza od wszelkiéj morskiéj wody. Nadto różni się to jezioro od innych przez swoje ustawiczne wyziewy, czyli parowanie, od którego wieczna mgła unosi się nad jego kryształową szybą. Ten wyziew bywa rzadszym lub gęstszym, stosownie do pory roku albo dnia; przeto bywają tak gęste parowania, że dały powód starożytnym i niektórym nowym pisarzom do utworzenia bajki o słupach dymu, buchających z głębi przeklętych odmętów tego mokrego piekła.

Plinjusz naturalista utrzymuje, że wszelkie żyjące ciało niemoże się tu utopić; Strabo powiada, że wstępując do tego morza, człowiek się unosi samą wodą i może chodzić po głębi; Tacyt powtarza toż samo, a Józef Flawiusz świadczy, że cesarz Wespazjan, dla doświadczenia, kazał rzucić kilku niewolników, związanych i ci pływali po wierzchu, jak korek. Pomimo tak poważnych świadectw, wspartych jeszcze zeznaniem wielu nowszych wędrowców i pielgrzymów, niemożna niewidzieć w tém wielkiéj przesady. Wprawdzie woda znacznie unosi i pogrążyć się nie jest łatwo; lecz niepodobna chodzić niedostając dna.

Woda martwa nie żywi żadnych ryb, ma jednak płód swego rodzaju, a tym jest asfalt albo żywica, która w starożytności stanowiła bogatą gałąź przemysłu; była bowiem używaną do balsamowania ciał i ztąd Egipcyanie mnóstwo jéj sprowadzali dla swoich mumij. Dawniéj Żydzi robili z tego asfaltu korony albo wieńce, które wkładano w kościele nowożeńcom.

Jest podanie u ludu, że w topielach sodomskich tai się ogień, a przeto że człowiek płynąc tam daleko, może się spalić i że łódź ulega temuż wypadkowi. Niema nawet potrzeby zbijać téj bajki. Dwaj Anglicy sprowadzili barkę z Jaffy i długo pływali po tém jeziorze, badając go we wszystkich kierunkach. Nowi ci żeglarze morza Martwego powiadali, że ma ono częste mielizny i że chociaż są w niém wielkie głębie, jednak wszędzie można dostać dna ołowianką. Ztąd najoczywistszy dowód, że to jezioro nie zalewa żadnego krateru wulkanicznego. Dziś wiadomo, że morze Martwe leży w nadzwyczaj głębokiéj dolinie, bo na 1341 stóp niżéj od morza Śródziemnego. Największa głębokość w tém

jeziorze nieprzechodzi 1308 stóp. Dno jeziora, wedle najnowszych badań, składa się z dwóch płaszczyzn, wzniosłéj i zapadłéj; pierwsza pokrywa się glejem klejowatym, druga solą skrystalizowaną. Między temi dwiema płaszczyznami ciągnie się głęboki wąwóz w kształcie koryta rzeki i w kierunku Jordanu, jakby jego dawne łoże i tam właśnie jest największa głębia.

Dzisiaj Arabowie przychodzą tu po sól, którą wygotowują z wodą i często na brzegu widzieć można zebrane ku temu drwa. Sól dobywana z tego morza jest gorzkawa i pomięszana z saletrą i siarką.

Sławne to jezioro ma rozmaite imiona; i tak zowie się ze względu na słoność morzem soli, albo najsłońszem, ze względu na położenie, morzem doliny, równiny, morzem pustyni, albo wschodniem, bo leży w rozdole, otoczone pustynią i na wschód od Judei. Najpospoliciéj znane jest pod imieniem morza Martwego, jak je nazywa S. Hieronim, bo rzeczywiście wszystko dokoła tam martwe i niema żadnego śladu życia, ani drzew, ani roślin. Zowie się jeszcze morzem Sodomskiém, a mieszkańcy Arabi zowią je jeziorem Lota, u Greków zaś i Rzymian sławne jest pod imieniem jeziora Asfaltyckiego, czyli jeziora żywicy albo kleju.

Dawniéj, gdzie teraz leży morze Martwe, była sławna dolina Siddim, przyodziania ogrodami, sadami i zielenią przyjemnych gajów. Ztąd Mojżesz porównywał ją do raju Pańskiego. Ziemia była nadzwyczaj płodną i swoim urodzajem wedle słów Mojżesza równała się najlepszej ziemi egipskiéj. Wśród téj rozkosznéj doliny, umajonéj i ociennionéj drzewami, rozkładało się u czystych zdrojów jordańskich pięć miast i te, za swoje wołające o pomstę do Boga grzechy, zostały zniszczone deszczem ognistym. Spalona od niego ziemia zapadła się i wody Jordanu, wpadłszy w tę głębię, zatrzymały się w swym biegu i utworzyły dzisiejsze jezioro.

Porównywając opis Mojżesza z położeniem miejsca, znajdujemy wszystko prawdziwem i cała okolica składa dotychczas świadectwo opowiadaniu Biblji. Strabo, a za nim ledwo nie wszyscy nowi uważają to za sam wybuch wulkaniczny. Ale to przypuszczenie jest fałszywe i samym widokiem okolicy zbijane najdowodniéj. Niemasz tam żadnych śladów wulkanicznych a tylko wszystkie przyległe pobrzeża przedstawiają zgliszcze ogromnego pożaru, który ziemię do głębi przepalił i przesiąkł ją siarką, saletrą i solą.

Józef Flawjusz powiada, że na dnie sodomskiego jeziora można było widzieć ruiny miast nieszczęśliwych; Strabo jeszcze daléj się posuwa, bo z tych szczątków mógł zmiarkować, że Sodoma miała obwodu staj sześćdziesiąt. Wielu późniéjszych i now-

szych złożyło też świadectwo o widzianych w głębi morza Martwego zabytkach. Tegoczesne badania rozwiały te wymysły próżnéj wyobraźni. Zachowanie ruin Sodomy byłoby zaprawdę cudem jeszcze większym od jej zniszczenia, ale całkiem niepotrzebnym; a takich cudów Pan Bóg nie czyni. — Żeby też ogień, który strawił całą zimię tak, że się zapadła, zachował szczątki murów i przez tyle wieków potem wpadające do tego jeziora wody Jordanu nie zaniosły ich swoim piaskiem?

Jechaliśmy daléj po nad brzegiem jeziora do ujścia Jordanu, które niebyło daleko. Konie nasze ciągle grzęzły na pustym i piaszczystym brzegu jeziora i w krótce przybyliśmy do samego ujścia. Jordan, zbliżając się do swego grobu, traci stopniowo swoją pychę, czyli gaje nadbrzeżne, tak, że w końcu otacza się ledwo żółtą szatą trzciny i ta coraz karłowacieje i drobnieje, aż w końcu z wielkim pędem wpada do jeziora i jego białawe zdroje długo się odznaczają od wody sodomskiéj. Pęd rzeki sprawia tak wielkie poruszenie, że jezioro zdaje się mieć bieg na południe, co późniéj ustaje zupełnie. Szerokość Jordanu przy ujściu jest znacznie większą, bo ma najmniéj dziewięćdziesiąt kroków.

Wracaliśmy późniéj tą samą drogą po nad jeziorem sodomskiem, aż do gór judzkich. Upał był nieznośny, bo słońce, około drugiéj po południu, zdawało się wszystkie swe płomienie zbierać w ten piec ognisty. Spalone i solne brzegi albo się szarzały iłem, albo bielały piaskiem i gdzieniegdzie zaskorupiałą saletrą. Zeschłe cierniste zioła, obsypane kurzawą, sterczały czasem jak szkielety roślinne. Nie dziwiłem się opowiadaniu Tacyta, że wszystko, co tu samo się rodzi, albo co posieje ręka ludzka, tak zioła, jak krzewy, czernieją i za dotknięciem w proch się rozsypują; bo chociaż tak rzeczywiście nie jest, lecz na pozór do tyla zniszczone, popielate i zeschłe widzisz ciernie, że się wydają, jakby były z popiołu.

Ks. I. Hołowiński. Pielgrzymka. 1839.

37. Jerozolima.

Okolica Jerozolimy, w całym swoim obszarze, jest głuchą i straszną pustynią. W pośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie, na kształt ogromnéj fali, piętrzą się pod nieba, lub spadają głębokiemi jarami, w pośrób téj jednostajnie posępnej barwy, niosącéj smutek i trwogę, wznosi się najwyżéj zielona góra Samuela, jakby wyspa przytułku, lub nadpowietrzna oaza, na której

Jerozolima.

z przyjemnością spoczywa oko wędrowca zmęczone pustynią, jak ptak przelotem morza.

W krainie górzystéj widok miast odkrywa się nagle i pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz; co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Około jedenastej przed południem przybyliśmy na białą wapienną górę i nagle ujrzeliśmy przed sobą dość wielkie miasto, czepiające się po szczytach gór i opasane zębatémi w koło murami. To Jerozolima. Z tej białej góry najwspanialéj i najpiękniéj ona się przedstawia. Przyległa miastu opoka, po któréj czepiają się oliwy, panuje nad świętym grodem. To góra Oliwna. Kościół Salomona, lub raczéj meczet Omara, wznosi zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwarji świątynia grobu wznosi swoje czarne kopuły; zresztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu, zwłaszcza, że tu niéma zieleni drzew pomięszanéj z domami, zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzieniegdzie smutny cyprys wystrzela samotnie; a jeszcze widząc tę massę kamienną domów, rzuconą na spiekłéj opoce i otoczoną do koła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyonomję jakiegoś smutku i wielkości. Spodziewałem się znaleść Jerozolimę albo w ruinach, albo niewielką i lichą osadą; z przyjemném zadziwieniem postrzegłem miasto z wielkiémi wieżami i murami, co tak tchną wiekiem średnim, że może się zdawać, jakby dotąd panowali tam Godfredy i Balduiny. „Jeruzalem, Jeruzalem! które zabijasz proroki i kamienujesz posłańców Bożych! jakże mnogie i różne budzisz wspomnienia!“ Lecz ten tłum pamiątek, wszystkie dzieje Judy, wszystkie mordy i szturmy, a nawet wszystkie szanowne postacie prorocze, i ten Dawid z arfą, wszystko to bladło, gasło i znikało przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż unosił się w mojéj myśli nad tym grodem; krzyż porywał do siebie całą duszę i serce; a tak otoczeni boleśnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez bramę Damasceńską, którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi. Teraz wolno chrześcjanom wchodzić każdą bramą, bez żadnéj opłaty, bez żadnego pytania, albo przeglądania rzeczy, jak to było niebardzo dawno. Wkrótce przybyliśmy do klasztoru Zbawiciela ks. Bernardynów.

Klasztor ten znajduje się w południowo-zachodnim rogu miasta, niedaleko od murów obwodowych, między bramą Betlejemską a Damasceńską. Ś. Franciszek z Asyżu z dwunastu braćmi przy-

był w r. 1219 do Ptolomaidy. Od tego czasu XX. Bernardyni osiedli w Jerozolimie i Ptolomaidzie. Wielokrotnie potém Turcy mordowali tych stróżów grobu ś., lecz zawsze na miejsce poległych przybywali nowi z Europy. Teraźniéjsza budowa XX. Bernardynów dość wygodna i wielka, ale bez żadnéj architektury; jest to zbiór mieszkań, domurowywanych w różnym czasie. — Sam klasztor wewnątrz ma piękny dziedziniec, korytarze obszerne, cele niewielkie, lecz dobrze utrzymane i piękny ogród; w klasztorze kościół bogato jest przybrany, bo zakrystya, przez hojność dawnych monarchów Europy, może się liczyć do najbogatszych. Te skarby najlepiéj tają, aby niewzbudzać chciwości mośleminów, jednakże wiele stracono w różnych uciskach i rozruchach. Apteka klasztorna niegdyś była najbogatszą w świecie, kiedy otrzymywała w darze różne lekarstwa z Indji i Ameryki. Teraz w niéj zasługuje na uwagę liczny zbiór medykamentów wschodnich, szczególniéj różnych balsamów, między któremi sławny jest balsam jerozolimski, złożony z mięszaniny wszystkich balsamów i pewnych korzeni moczonych w spirytusie winnym. W klasztorze, jak tu zwykle, jest szkółka, w któréj dzieci Arabów katolików uczą się katechizmu, arytmetyki i innych początkowych nauk. Z klasztorem łączy się hospicjum, albo dom gościnny. Do tego domu przyjmują najochotniéj XX. Bernardyni wszystkich Europejczyków, jakiéj bądź wiary i starają się bez żadnéj różnicy na wyznanie, zaspokajać potrzeby wędrowców, bez żadnego domagania się zapłaty. Tej bezinteressownéj i najszczerszéj gościnności są świadkami sami różnowiercy w swoich podróżach.

Najpierwszą w Jerozolimie świątynią jest kościół Zmartwychwstania, albo Grobu Pańskiego, leżący o parę set kroków od klasztoru Zbawiciela. Tak on jest w koło zawalony klasztorami i innémi budowami, że formy jego zewnętrznej widzieć niepodobna. Jeden tylko front jest otwarty i dość ładny. Pilastr, ozdobiony pięcią kolumnami korynckiemi, przedziela dwoje drzwi, z których prawe są zamurowane, a lewemi się wchodzi. Drzwi są w głębokich marmurowych ogiwach, ozdobionych także kolumnami; nad drzwiami widać płaskorzeźby, przedstawiające wjazd Zbawiciela do Jerozolimy, Jego nauczanie i pogrzeb. Daléj są dwa wielkie okna, odpowiednie dwóm drzwiom i podobnież w ogiwach ozdobione kolumnami; ale te okna w kościele zasłonione są szalowaniem dla mieszkania kapłanów, tak, że jedno górne okno w rotondzie wpuszcza światło do kościoła. Po lewej stronie wznosi się murowana z ciosu wieża, co dawniéj była dzwonnicą, ale dziś rozebrana w większej połowie z przyczyny, że ją nadwerężyło trzęsienie

ziemi. O dzwonach, jakoby schowanych przez Turków, różne bajki plecie pospólstwo. Plac przed frontem jest kwadratowy i niewielki, bo wzdłuż i wszerz ma dwadzieścia kilka kroków. Znać, że dawniéj służył za przedsionek do świątyni, bo jeszcze zostały na nim ślady marmurowéj posadzki i ogromne podstawy kolumn. Na środku tego placu pokazywali mi XX. Bernardyni miejsce, na którém dawniéj był spalony zakonnik za wiarę świętą. Ten dziedziniec w koło otaczają klasztory należące do Greków, po bokach widać sklepiki pod nakryciem płócienném, gdzie przedają różańce, konchy wyrzynane z wyobrażeniem różnych świętych, krzyżyki rozmaitego kształtu i wielkości i inne tym podobne rzeczy. Teraz kościół prawie niema przedsionka i wprost się wchodzi do świątyni; tylko przy drzwiach znajduje się między galerjami wązki przedział, gdzie straż mośleminska przebywa w czasie otwarcia kościoła, spokojnie paląc fajki i grając w szachy.

Kościół w swojéj budowie, stosując się do różnych miejsc świętych które obejmuje, niema kształtu regularnego. Jednakże przedstawia kwadrat, choć nieforemny i zakończony od zachodu wielkiém półkolem, a od wschodu mniejszém i do tego ostatniego półkola przytyka kaplica Ś. Heleny w dwa niewielkie kwadraty i stanowi jakby oddzielny kościół, do którego się zstępuje po schodach, przebitych w murze świątyni grobu. Najgłówniejszą i najpiękniejszą część kościoła stanowi ogromna rotonda, umieszczona w samym końcu strony zachodniéj; wspiera się na ośmnastu kwadratowych pilastrach, które utrzymują galerję dokoła; na galerji te same przeciągają się pilastry i tykają wyższéj w koło galerji, zamkniętej ścianami, bo tylko okna wchodzą do kościoła; tam są mieszkania mośleminów i niewierni mogą z okien zaglądać do świątyni. Daléj nad galerją kończy się ta wspaniała rotonda kopułą, w której samym środku znajduje się wielki okrągły otwór, tylko siatką drocianą zapleciony, aby ptactwo nie wlatywało. Prawie tém jedném oknem górném oświeca się świątynia, a przez to dość jest ciemna, co tak bardzo stosowne dla kościoła grobu i więcéj usposabia do smutnych rozważań. Dwadzieścia ośm kroków ma średnica téj wysokiej rotondy. Cały kościół od zachodu na wschód jest długi sto trzydzieści dwa, a szeroki z północy na południe czterdzieści pięć łokci.

W samym środku opisanej rotondy pod oknem w górze otwartém, wznosi się mała kaplica najświętszego grobu. Stan dzisiejszy tego świętego miejsca jest następujący. Grób ma postać kaplicy, wzniesionéj w niewielki równoległobok i zakończonéj od zachodu w półkole; a sam jéj wierzch zdobi dość zgrabna kopułka

na kolumnach. Od wschodu są drzwi, na przeciwko których miejsce, aż do kaplicy Greków należy, do katolików i jest chórem XX. Bernardynów, gdzie w czasie nabożeństwa u Pańskiego grobu odmawiają jutrznię i inne pacierze kapłańskie. W tym chórze przed grobem pali się zawsze pięć lamp katolickich. Przy samém wejściu po obu stronach drzwi są kamienne podniesienia, jak ławki, na których stoi dwanaście lichtarzy: sześć ogromnych a sześć mniejszych, które należą do katolików, Greków i Ormian, bo każde wyznanie ma swoje osobne świeczniki. Nad wschodowémi drzwiczkami umieszczony jest obraz zmartwychwstania bardzo piękny, należący do katolików. Nad obrazem od wierzchu kaplicy

Widok grobu świętego.

zawieszono dość szerokie płótno, którego końce sięgają pilastrów rotondy i ten daszek płócienny, mający także wyobrażenie zmartwychwstania, ale okropnego pędzla Greków, służy dla osłony schodów w czasie deszczu, który przez otwarte w górze okno pada wprost na kaplicę grobu. Dawniéj to pokrycie było z lamy złotej i srebrnej. Przez drzwi, wysokie na półtrzecia łokcia, wchodzi się do przedsionka najświętszego grobu, zwanego kaplicą Anioła. Jest to mała jakby celijka, mająca niespełna 5 łokci wzdłuż i w szerz; nieco z boku znajduje się mały stolik, gdzie w oprawie marmurowej mieści się ułomek, na półtory stopy kwadratowej, tego kamienia, na którym anioł siedział u grobu i ztąd nazywa

się ta kaplica Anielską. W niéj pali się 15 lamp zawieszonych: pięć należy do Katolików, pięć do Greków, cztery do Ormian, a jedna do Koftów. Wewnątrz kaplica ładnie wyłożona jest marmurem z płaskiémi kolumnami, bo tu wiele zostało z dawnéj ozdoby; wszystko bowiem, co teraz było odnowioném przez Greków, nie szczyci się najmniejszym gustem. Po bokach ze strony południowéj i północnéj w ścianach téj celki są małe otwory okrągłe, służące nietylko dla oświecenia, ale jeszcze dla pokazania ludowi świętego ognia, który, wedle mniemania Greków i Ormian, z nieba tu zstępuje w Wielką Sobotę.

Z kaplicy Anioła przez małe drzwiczki, będące wprost przeciwko pierwszych, wchodzi się do saméj najświętszéj groty. Wstępując potrzeba wpół się zginać, bo wysokość drzwiczek ledwo przechodzi półtora łokcia i te drzwi grobowe były w czasie spoczynku Chrystusa Pana założone wielkim kamieniem i obwarowane pieczęcią. Sama grota jest jeszcze mniejsza od poprzedzającéj kapliczki, ma bowiem wzdłuż i wszerz trzy łokcie. Zaraz po prawéj stronie od wchodu na północ zajmuje połowę tej groty ława, wyciosana z żywego kamienia i okryta białym marmurem, a na półtora łokcia wysoka. Jest to najświętsze łóże grobowe Zbawiciela, które idzie wzdłuż przez całą grotę. Marmur biały, pokrywający ławę, jest pęknięty na dwoje. Powiadają, że umyślnie rozbili tę deskę kamienną, aby jéj Turcy nie zabrali do ozdoby swego meczetu; jednak ani z pod tej rozpadliny niemożna widzieć właściwego kamienia grobu. Dawniéj były w marmurze pokrywającym okienka, przez które można było całować samo łoże grobowe. Grób Pański był w posiadaniu wyłącznem Katolików aż do roku 1808, to jest do czasu spalenia się téj świątyni. Dzisiaj wspólnie należy do Katolików, Greków i Ormian. Prawy bok téj grobowéj ławy posiadają Ormianie, sam środek Grecy, a lewą stronę Katolicy i przy każdym wydziale stoi osobny obraz i świece. Obrazy, szczególniéj wschodnie, bardzo nieładnego pędzla. Na ścianie przy kamieniu grobowym, jest układane z marmuru w kształcie płaskorzeźby zmartwychwstanie; ale to dzieło teraźniejszych Greków tak nieładne, że trudno patrzeć. Na ścianie przeciwnéj drzwiom jest obrazek Matki Boskiéj. W sklepieniu znajduje się przytwierdzonych lamp 43: to jest 13 Katolików, 13 Greków, 13 Ormian i 4 Koftów. Za czasów księcia Radziwiłła było 15 lamp katolickich, należących do cesarza i różnych królów europejskich, co dziś z imienia tylko się zachowuje, bo żaden monarcha na utrzymanie swojéj lampy nic nieposyła.

Cały zresztą kościół podzielony jest na kaplice, należące do

różnych wyznań. Tylko u grobu Pańskiego każde wyznanie odprawia z koleji swoje nabożeństwo.

Kościół Zmartwychwstania zbudowany był bardzo wspaniale przez ś. Helenę, matkę Konstantyna W.; potém był złupiony i znacznie zepsuty przez szacha perskiego Kozroesa; ale cesarz Herakliusz przywrócił tę budowę do dawnego stanu. Daleko więcéj ucierpiała świątynia od Hakema, sułtana Egiptu, jednakże przetrwała w całości aż do r. 1808, w którym pożar, wszczęty z galerji Ormian, znacznie zniszczył ten gmach starodawny. Katolicy nie byli w stanie odbudować świątyni, bo wtedy pod silną dłonią Napoleona stękała Europa i żaden z monarchów niemiał ani czasu, ani woli myśleć o świątyni grobu. W takiem położeniu Grecy, już sami, już przy pomocy Rossji, starali się naprawić szkody poczynione pożarem, a przez wdzięczność dla swoich jednowierców umieścili prawie na wszystkich drzwiach i po innych miejscach orły dwógłowne. W tem odbudowaniu Grecy najściśléj zachowali dawną architekturę i dawne rozporządzenie miejsc świętych, jak to można widzieć przez porównanie z dawnemi opisami. Niedostatek pieniędzy i brak zupełny gustu nie dozwoliły im przyprowadzić téj świątyni do dawnéj świetności. W miejscu olbrzymich granitowych kolumn w rotondzie, lub innych miejscach, musiano postawić murowane z kamienia czworoboczne pilastry; tylko gdzie niegdzie po bokach można oglądać kolumny nie zniszczone od pożaru. Szczególniéj wyobrażenie ich świetności dają kolumny, zachowane w skarbcu katolickim, a były porządku koryncki ego. — Wewnątrz ozdoby kościoła są prawie żadne, albo co gorzéj, najbrzydszego gustu. Kaplice świętych miejsc, osobliwie należące do Greków i Ormian, nadzwyczaj są ubogie; szary nieogładzony kamień je osłania, a w ołtarzu jeden jaki obraz okropnego pędzla i mensa uboga, niczem nieprzykryta, stanowią cały przybór kaplicy. Jednak mimo tego wszystkiego, sama budowa pozostała po ś. Helenie, bo Grecy dźwignęli tylko upadłą w pożarze kupułę, uderza swoją wspaniałością i żywo oddycha śmiałym genjuszem rzymskim, osobliwie rotonda. Wreszcie, któryż kościół, choćby był ulany z samego złota, może się porównać z tą świątynią świątyń. Tam oko na nic niezwraca uwagi, bo te święte miejsca tak silnie przemawiają do duszy, że człowiek w ciągłém zdumieniu i zachwycie zostawać musi. Jeszcze przyczynia się do tego zaniedbania w ozdobach i do ubóstwa bojaźń mosleminów i podział świątyni na różne wyznania; każdy bowiem naród dusi po skarbcach najkosztowniejsze sprzęty, złote i srebrne lampy, aby niebudzić chciwości moślemińskiéj i tylko w święta dobywają czasem na chwilę te skarby,

a pospolicie miedź i mosiądz dają się widzieć. Potém, mimo wyłącznych podziałów miejsc świętych, wszystkie są otwarte dla wszystkich, ztąd właściwie nikt się tam nieuważa za gospodarza, a przeto w czasie nabożeństwa przyniesie jakie ozdoby ze swego klasztoru, a potém znowu zostawia nagie ściany.

Dawniéj było ośm wyznań, które utrzymywały nabożeństwo w kościele Grobu Pańskiego: to jest katolicy, Grecy, Ormianie, katolicy-Maronici, Koftowie, Syryjczycy, Abissyni i Georgianie; a teraz właściwie są cztery wyznania, lecz ubodzy Kofci niemają żadnego wpływu i znaczenia. Wszystkie te wyznania odznaczają się największą gorliwością w nabożeństwie i zdaje się, że wzajemnie prześcigają się w modlitwach. Jedne z drugiémi żyją na pozór dość dobrze i zgodnie, ale w istocie są to nieprzyjaciele, którzy się wzajem niespuszczają z oka. O każdy obraz tu umieszczony, o każdą lampę, lub inną rzecz najmniejszą, musiało każde z drugiémi prowadzić bój zacięty.

Najpiękniejszą budową w Jerozolimie jest meczet Omara, wzniesiony na miejscu dawnej świątyni Salomona, która, wedle przepowiedni Pańskiéj, została przez Tytusa zburzoną tak, że nie pozostał z niéj kamień na kamieniu. Na tém miejscu wiadomém z pewnością i z położenia i z dawnego opisu, kalif Omar zbudował meczet, który jest najdawniejszym i najpiękniejszym zabytkiem budownictwa Arabów, a w świętości równają go moślemini z meczetami Medyny i Mekki. Nazywa się on El Sachrah, czyli meczet Kamienia, bo wewnątz ma się znajdować ten sam kamień, na którym Jakób spał i widział drabinę sięgającą do nieba, a z którego późniéj Mahomet miał podskoczyć do nieba, zostawiwszy na nim odciski swoich stóp. Meczet zbudowany jest w ogromny ośmiogran i ozdobiony w koło kolumnami, a przy drzwiach arkadami. Od wschodu, zachodu, południa i północy są drzwi, ściany okładane marmurem i upstrzone różnemi kolorami, szczególniéj błękitnym, a wszędzie w górze widzisz złote napisy Koranu. Nad témi ścianami wznosi się ogromna kopuła, doskonale okrągła, w kształcie latarni z malowanémi oknami, nad którą błyszczy złocony półksiężyc. To arcydzieło sztuki saraceńskiéj zyskuje niezmiernie przy odbiciu się o ogromny marmurowy dziedziniec. W téj budowie za czasów krzyżowych chwalono prawdziwego Boga. Legat Innocentego II konsekrował ten kościół, oddany Templaryuszom; ale Saladyn znowu, na miejscu złotego krzyża, osadził na szczycie półksiężyc. Na przeciwko bramy wschodniej meczetu, na wyniosłéj płaszczyznie dziedzińca, jest fontanna, okryta ładną ośmiogranną

kapliczką z półkrągłą kopułą i ma oznaczać miejsce, gdzie stał tron Dawida, kiedy sądził Izraela.

Klasztor Ormian heretyków, przy którym jest kościół ś. Jakóba Apostoła, zbudowany na miejscu jego męczeństwa, jest największym i najpiękniejszym na wschodzie, a co do ogromu niewiem czy i w Europie wiele mu wyrówna. Szczególniéj wielkość gmachu daje się spostrzegać po wstąpieniu na jego dach płaski, przechodzący wysokością wszystkie budowy w Jerozolimie. Przy klasztorze rozciąga się wielki ogród drzew owocowych, lub cienistych, między którémi zwraca uwagę ogromny cedr. Klasztor z ogrodem opasują w koło wysokie mury, a bramy opatrzone mocno i po ich zamknięciu może klasztor stanowić miejsce obronne.

Mury miasta swoim ogromem i strukturą przy pierwszém ujrzeniu Jerozolimy uderzają i gwałtem przenoszą do wieków średnich. Obwód tych murów jest bardzo nieforemny, bo prócz jednéj ściany przy Jozefatowej dolinie, ciągnącej się w linję prostą, wszystkie inne są pełne zakrzywień i kątów. Jednakże, niezważając na te zagięcia, można cały obwód mieć za czworobok, zwężony nieco od zachodu, a bok północny jest najdłuższy. Mury składają się z ciosu pospolicie twardego i zwykłego tu wapiennika. W koło wznoszą się szerokie i zębate blanki, a czworoboczne wieże i półwieże, których jest 66, wybiegają wysoko nad tę massę kamienną. Bram jest cztery i dwie małe fórtki. Wszystkie bramy zewnątrz są pokryte żelazną blachą. Cały obwód miasta można obejść w godzinę.

Wśród dzikich i obnażonych skał, wznosi się dość wysoko płaszczyzna skalna, przerywana niewielkiemi wzgórzami i prawie w koło otoczona głębokiemi dołami w opoce, a na tej płaszczyznie wznosi się Jerozolima. Dolina Jozefatowa, bardzo głęboka, służy miastu za olbrzymią fossę od wschodu, dolina Siloe od południa, dolina Refaim od zachodu; od północy płaszczyzna skalna ciągnie się daléj i zwolna się podnosi. Z téj strony w długim przeciągu wieków, ten gród święty był obleganym przez wszystkich swoich zdobywców. Nad całém miastem panuje góra Oliwna, która stanowi bok doliny Jozefatowéj; daléj na południe podnoszą czoła góra Obrzydliwości, albo Obrażenia i góra Złéj Rady, od zachodu i północy piętrzy się za niewielką płaszczyzną ogromna góra Gihon. Położenie przeto dzisiejsze Jerozolimy, zupełnie stosuje się do dawniejszego. Ciągnie się ona wzdłuż na ćwierć mili polskiéj od wschodu na zachód, a w szerz na jakich tysiąc sześćset kroków od północy na południe.

Moślemini mieszkają głównie koło meczetu Omara. Są to

przychodni Turcy, pomięszani z Arabami, lecz z czasem przerodzili się całkiem na Arabów. Ludność ich ma wynosić do ośmiu tysięcy. Zaraz pod Syonem ciągnie się kwartał żydowski, dość wielki, domy liche często z gruzów sklecone, a często tuli się hebrajska rodzina po dawnych lochach i zwaliskach; gdzie tylko widać dom nieco porządniejszy, a i ten z wierzchu zapuszczony, zdaje się ogłaszać ukrytą wewnątrz nędzę. Na tych wązkich uliczkach nieczystość jest w całéj swojéj okazałości: kupy gnoju, różne padła i inne brudy najswobodniéj tulą się do biednych lepianek, a często witają przechodnia pustki i rozwaliny okryte chwastem. Dwie bardzo ubogie synagogi i nielepszy szpital dla żydowskich pielgrzymów, stanowią wszystkie ich publiczne budowy; ludność ich ma wynosić pół szósta tysiąca. Właściwie żydów krajowych tu niema; wszyscy są wychodźcami z różnych krajów Europy i mówią po włosku.

Za kwartałem Żydów ciągną się na wyższéj pochyłości syonskiéj mieszkania Ormian, koło ich klasztoru ś. Jakóba. Prócz zakonników mało ich tu mieszka, lecz są bogaci jak wszędzie i zajmują się handlem. Liczą ich z duchownymi do pięciu set. Koło klasztoru Zbawiciela cisną się Arabi katolicy, bo Europejczyków, prócz księży, nie znajdziesz i tych wszystkich liczba ma wynosić do czterech set. Grecy także mieszkają przy swoich klasztorach i ma ich być tysiąc, a policzywszy w to jeszcze Koftów ze trzydziestu, to cała ludność Jerozolimy wynosić będzie 15,430.

Często spędzałem wieczór na tarasie klasztoru Zbawiciela i wodziłem w zadumaniu oko po całym świętym grodzie, który przedstawiał się jak na dłoni. Niezgrabne domiska, jak szopy, cisną się jedne przy drugich, a nie przywykłemu oku dla braku dachów zdają się pogorzeliskiem. Ulice wązkie, nieczyste i ciemne, bo często idą pod arkadami, przedzielają te massę kamienną. Często postrzegasz ruiny i pustki, a wszędzie głuche milczenie; niema ruchu i życia na ulicach, czasem tylko pielgrzym, lub mieszkaniec, cicho się przesuwa. Nietylko ta cichość i posępność cechuje Jerozolimę w porze wieczornéj, ale i we dnie, wyjąwszy tylko święta Wielkiéj Nocy, bo wtedy tłum pielgrzymów ma na chwilę ożywiać ten cmentarz. Zdaje się że śmierć Zbawiciela rzuciła wieczną żałobę na to miasto. Jeśli obrócisz oczy na przyległą okolicę, to równie posępny i surowy przedstawia się widok. Pod tém miedzianém niebem sterczą przepalone opoki i tylko po górze Oliwnéj dość rzadko czepiają się drzewa, a z resztą naga często biała skała ogranicza wejrzenie. Nie szukaj tu rozkosznych sadów wschodnich, ani przyjemnego szemrania strumieni; wszystko

tu pustynia głazów, która jednostajnością przeraża i wprawia w ponure zamyślenie. Wprawdzie za miastem znajduje się źródło Siloe, co ukrywa się w jarze przed okiem, lecz mieszkańcy nie wiele liczą na tę wodę i pospolicie używają deszczowéj, która się zbiera w cysternach pod domami. To miasto we wszystkich czasach nazywane świętem i teraz u Arabów słynące pod imieniem El Kods, święte, albo Mobarek, błogosławione, coś w sobie istotnie nieziemskiego zawiera i przejmuje człowieka jakąś niewymowną tęsknotą, jakimś mimowolnym smutkiem, który i na chwilę nieopuszcza. Jest to prawdziwa Jeruzalem, czyli widzenie pokoju, ale pokoju grobowego, pokoju śmierci, bo w koło postrzegasz martwe opoki a wewnątrz martwe domy.

Ks. I. Hołowiński. Pielgrzymka. 1839.

38. Synai.

Wysoka, stroma i ciasna dolina w skałach prowadzi do sławnego klasztoru Ś. Katarzyny na górze Synai. Ciemna zieloność jego cyprysów i drzew owocowych, mile przeglądająca z poza siwych murów z kamienia, z daleka wdzięczy się do pielgrzyma, zapowiadając piękną oazę, w pośrodku dzikiego i strasznego pustkowia. Sam klasztor ze swojemi wysokiemi i warownemi murami wygląda raczéj na małą twierdzę, a nie na spokojny przybytek modlitwy i swoim pozorem niedaje wcale przewidywać gościnnego przytułku w pustyni. Brama, dla zbójeckich napadów Arabów, od dawna jest zamurowaną. Cudzoziemcy chrześcjanie wciągani bywają do klasztoru na linie, przez okno będące na wysokości 30 stóp i tam przełożony ich przyjmuje pocałunkiem pokoju.

Klasztor Synai tworzy czworobok nieforemny, zamknięty potężnemi murami z głazów granitowych, wysokiemi na 40 stóp i mającemi w różnych miejscach małe baszty, na których dla obrony w razie potrzeby jest kilka działek. Wewnątrz murów obwodowych ciągną się budowy klasztorne i krzyżując się w różnych kierunkach, formują wiele małych podwórzy, łączących się z sobą przez ciasne i kręte przechody, idące to w górę, to na dół. Niektóre z nich zasadzone są cyprysami, lub innemi małemi drzewkami, inne kwiatami, inne mają grzędy rozmaitego warzywa, zaś po murach pną się winne latorośle. W czystem świeżem i zdrowem powietrzu górskiem, w prostem i umiarkowanem życiu i jednostajnem zatrudnieniu, mieszkańcy tego klasztoru dochodzą po większéj części głębokiej, czerstwej i wesołej starości. Przy codziennéj

służbie Bożej, każdy mnich trudni się ogrodnictwem, albo jakiém rzemiosłem. W klasztorze jest dwadzieścia cztery kaplic i kościół Przemienienia Pańskiego, jaśniejący starożytną wspaniałością i powagą. Dwa rzędy kolumn granitowych podpierają sklepienie malowane błękitno i usiane gwiazdami; posadzka jest z tafli białego i czarnego marmuru. Mnóstwo świeczników i lamp błyszczy od złota i srebra. Po ścianach wiszą niezliczone obrazy. Najpiękniejszy zdobi środkowe sklepienie. Jest to przepyszna mozaika przedstawiająca Przemienienie Pańskie: w pośrodku jest Chrystus Pan, po obu jego stronach Mojżesz i Eljasz, w dole uczniowie Pańscy. W dwóch rogach w górze są obrazy cesarza Justynjana i jego małżonki Teodory, którzy założyli ten klasztor i zbudowali tę świątynię. W miejscu, na którem Bóg ukazał się Mojżeszowi w krzaku ognistym, jest kaplica, ozdobiona pysznemi kobiercami. Posadzka jéj wykładana jest srebrem i niewolno nikomu wchodzić tam inaczéj, jak boso; o czém głosi napis: „Zdejm obuwie z twoich nóg, albowiem miejsce, na którem stoisz, ziemią świętą jest.“

Straszny przechód podziemny, zamykany wewnątrz żelaznémi drzwiami, prowadzi do pięknego ogrodu klasztornego. Jest on na tarasach i zasadzony przepysznémi drzewami owocowemi, których mnogość, rozmaitość, bujność, dojrzałość i wyborny smak owoców świadczą o łagodnym i świeżym klimacie na téj wyniosłości. W samym prawie środku ogrodu jest kostnica. Tam w dwóch sklepach spoczywają zwłoki zmarłych kapłanów i braci zakonnych. Naprzód składają je w osobnym sklepie na żelaznych kratach, a po dwóch lub trzech latach przenoszą do téj kostnicy.

Z klasztoru idzie ścieżka do parowu między urwistemi skałami na górze Horeb. Z tamtąd, przez mnogie zwaliska skalne i odwiecznie nie przez ludzi wyrąbane schody, dostaje się na wysoko w tych górach leżącą płaszczyznę, która w pośród bezpłodnych i dziko rozrzuconych skał granitowych, przedstawia się jak wdzięczna oaza. W pośrodku jéj znajduje się murowana krynica, przy której samotnie wznosi się piękny cyprys. Niedaleko jest kaplica ś. Eljasza. Tu bowiem prorok, schroniwszy się przed zemstą Jezabeli na pustynię, obrał sobie mieszkanie pustelnicze. Ta mała płaszczyzna leży na 1400 stóp wyżéj od doliny, na któréj stoi klasztor. Ku północo-zachodowi ciągnie się ona prawie na godzinę drogi ponad całym grzbietem Horebu, aż do miejsca, gdzie on nagle spada stromém urwiskiem na równinę Rahah. Na południe, tuż za kaplicą ś. Eljasza, góra podnosi się jeszcze na 900 stóp wyżéj i tam tworzy jakby drugie piętro i szczyt najwyższy tych gór. Jest to góra

Mojżesza, czyli właściwa Synai. Od kaplicy ś. Eljasza w pół godziny dostaje się, również po kamiennych naturalnych schodach, na ten ostatni wierzchołek. Tworzy on płaszczyznę, mającą około 60 kroków w obwodzie. Znajduje się na niéj mały meczet i kaplica chrześcjańska. Widok z téj skały, wzniesionéj na 7000 stóp nad morzem, na rozrzuconą dokoła w dzikich urwiskach pustynię skalną, przeraża grozą i majestatem. „Jak królewski tron, który Bóg sobie zbudował na ziemi, nieodmienny od dnia stworzenia“, jak święta twierdza, stoi ona wśród pustyni, podniesiona ku obłokom. Gdzie tylko oczy się zwrócą, niewidać nigdzie ani zielonych górskich łąk, ani lasów, ani szemrzących strumieni, ani wodospadów, ani wiosek, ani nawet pojedyńczych chat. Tylko burze swoim gromowym głosem i wichry, szukające nieraz po całych dniach wyjścia przez zamknięte doliny, powtarzające wielokrotnie straszliwe echa grzmotów, przerywają tu ciszę uroczystą i przejmującą, jak nigdzie na ziemi.

W. Bässler.

39. Beduini.

Arabowie, mieszkańcy pustyni i prowadzący żywot pasterski i tułaczy, nazywają się Beduinami. Niebezpieczeństwa pustyni, upały słoneczne, wichry i walki z nieprzyjaznémi pokoleniami, hartują ich tak, że te suche i dumne postacie, z ogorzałémi od słońca licami, są może najdzielniejszymi i najmniéj potrzebującymi na ziemi ludźmi. Bez żadnéj skargi brodzą oni podartémi od ostrych kamieni stopami po gorących piaskach, z głową odkrytą, pod palącemi promieniami słońca, po całych dniach obok swoich wielbłądów, a wieczorem z najzupełniejszém zadowoleniem spożywają swój objad, składający się z kilku daktylów i kubka czystéj wody. Z pod ich czarnych, gęstych i krzaczystych brwi, błyskają ogniem ciemne oczy, które z nadzwyczajną bystrością mierzą niezmierną rozległość pustyni. Tam, gdzie Europejczyk przy największém wysileniu wzroku nie zdoła nic rozpoznać, bystre oko Beduina już poznaje liczbę zbliżających się jezdców, po śladach stóp na piasku widzi, czy to przeszedł przyjaciel czy nieprzyjaciel, po jednostajności lub nierówności kroków, czy on był zmęczonym, czyli nie, po głębokości śladów, czy był z noszą, czy bez noszy. Przenikliwość ich zmysłów prawie graniczy z nadprzyrodzonością. Gdzie krzyżują się tysiące różnych śladów, umieją oni odróżniać ślady swoich wielbłądów. Niezmienne, jak sama pustynia, przechowują się ich obyczaje i zwyczaje. Zawsz eu nich zboże miele się w ręcz-

nych młynkach, a woda i mleko nosi się w skórzanych miechach. Zawsze zbrojni mieczem i piką, tułają się oni na swoich lotnych koniach i cierpliwych wielbłądach, zawsze mają swoją dawną zuchwałą butę, równie jak i dawną ochotę do rozbojów i dawne prawo krwawej pomsty. Żaden Arab i dotychczas nie przejdzie mimo krynicy, żeby jej niebłogosławił i nieżyczył jej posiadaczowi wszelakiego dobra, zawsze oni prowadzą żywot koczowniczy, pod rządem patryarchalnym, podzieleni na rody i pokolenia, zostające z sobą to w przyjaznych, to w nieprzyjaznych stosunkach. Naczelnikiem rodu jest Szejch, to jest najstarszy, starzec. On sądzi i rozstrzyga spory, dowodzi na wojnie i prowadzi układy. Praw pisanych u Beduinów niebyło nigdy, ale kary za wszelkie przestępstwa oznaczone są ściśle. Kto chce być obranym Kadi, to jest sędzią, powinien mieć dobrą pamięć i być znanym z zamiłowania sprawiedliwości.

Najświętszym dla Beduina przybytkiem jest jego namiot. Ograbić cudzoziemca na otwartéj drodze, wcale nie jest czynem haniebnym; lecz jak tylko ów cudzoziemiec wstąpił do namiotu, jego osoba i jego mienie jest dla Beduina świętem. Natychmiast w najlepszém miejscu rozścielają dla niego kobierzec i zastawiają mu ucztę. Przy odejściu jest w zwyczaju, iż cudzoziemiec zostawia podarek. Namiot składa się z dwóch części, przedzielonych wełnianą zasłoną; jedna jest dla mężczyzn, druga dla kobiet. Prócz kobierców niema żadnych innych rzeczy zbytkowych. Po zdjęciu namiotu, wiążą się razem koły, zwijają się pokrycia, tkane z szerści koziéj lub wielbłądziéj, nieliczne sprzęty i naczynia zabierają się w kosze i skrzynie i to wszystko pakuje się na grzbiet wielbląda; i tak z żoną, dziećmi i całym dobytkiem, Beduin przenosi się na nową siedzibę. Niektóre pokolenia cały rok koczują ze swojémi trzodami owiec i koz.

Domowe sprzęty Beduinów są zupełnie odpowiedne przyrodzie ich kraju i ich sposobowi życia. Materac służy za sofę i krzesło za stół i za łoże. Ażeby w przenosinach niemieć wielkich ciężarów do dźwigania, wiele rzeczy robi się ze skóry, mianowicie miechy na wodę. Bywają one wielkości rozmaitéj, od naszych worów na mąkę, do naszych kapciuchów na tytoń i kto tylko udaje się na pustynię, nieomieszka nigdy zawiesić na sobie mały mieszek z wodą. Miech z mlekiem zsiadłém wiesza się na namiotowym słupie i kłóci się aż do oddzielenia masła. Do gotowania służą wielkie tygle miedziane; do tłuczenia bobów kawowych, moździerze drewniane; do rozcierania ziarn, młynki ręczne. Gotowaniem jedzenia zajmują się kobiety, zwykle wieczorem i wtedy siedząc przed

namiotami zawodzą w pośród ciszy pustyni swoje śpiewy. Chleb bez zakwasu robi się w kształcie małych ciastek, które pieką na rozpalonych blachach lub kamieniach. Główna uczta zastawia się o zachodzie słońca. Za stół służy ziemia, którą zaściełają nakryciem. Przed jedzeniem wszyscy umywają ręce, poczém całe towarzystwo zasiada w około na skrzyżowanych nogach i w imie Allaha wszystkie ręce tłoczą się razem do misy, w któréj zwykle bywa ryż z siekaną baraniną, lub koźliną. Nożów i widelców nieużywa się przy jedzeniu wcale. Kobiety zajmują się też tkaniem nakryć i osłon. Do tego służą im krośna bardzo proste. Wbija się dwa kije w ziemię, na te kładzie się dwa, trzy w poprzek i krośna są gotowe; na kije poziome nawijają się nici, kawałek drzewa służy za iglicę tkacką, a krótka włosień gazeli do nawlekania nitek.

Jakkolwiek na małém poprzestający Beduini zastosowali swoje potrzeby życia do swojéj jałowéj pustyni, nie mogą jednak i oni obyć się bez wielu rzeczy, których w tej pustyni niema wcale. Przeto i tam zagląda kupiec i szukając zysku, na wielbłądzie, tym okręcie pustyni, puszcza się na to morze piasku, mające jak i morze właściwe swoje niebezpieczeństwa. Wiezie on na sprzedaż broń, materje bawełniane, kobierce, naczynia miedziane, tytoń i inne rzeczy, za które często w miejscu pieniędzy bierze owce i kozy, które z podwójnym zyskiem sprzedaje za powrotem u siebie.

Wieczorami, kiedy większa część rozłożonego na koczowisku pokolenia Beduinów zbiera się przy swoich namiotach, bywają tam śpiewy, tańce i opowiadania pięknych powieści i bajek. Cicha i odludna pustynia, czyste gwiazdziste niebo i noc milcząca, tak piękna w pustyni, dziwnie nastrajają wyobraźnię Beduinów. Każdy przeto z nich umie na pamięć wiele bajek i poezji, a często i sam bywa poetą. Nawet zwyczajna mowa bywa u nich bardzo obrazową. W pustyni napotykać można i dotychczas wędrownych śpiewaków, którzy chodząc od koczowiska do koczowiska, sławią w pieśniach, z towarzyszeniem pewnego rodzaju cytry, wojnę i gościnność, swobodę i miłość.

Tam, gdzie Beduini weszli w bliższą styczność z cudzoziemcami, zmieniły się pod wieloma względami ich starodawne obyczaje i starodawne cnoty, mianowicie gościnność. Gdy podróżny jest ubogim, nikt o niego się nie troszczy, zdarza się nawet, że go wypędzą bez litości na gołą pustynię. Kiedy jest bogatym, przyjmują go chętnie, wyglądając chciwie podarku, przechodzącego o wiele wartość przyjęcia. Lecz z drugiej strony przejęli Beduini od cudzoziemców i wiele dobrego. Krwawa zemsta stała się u nich rzadszą i wymiar sprawiedliwości lepszym i porządniejszym.

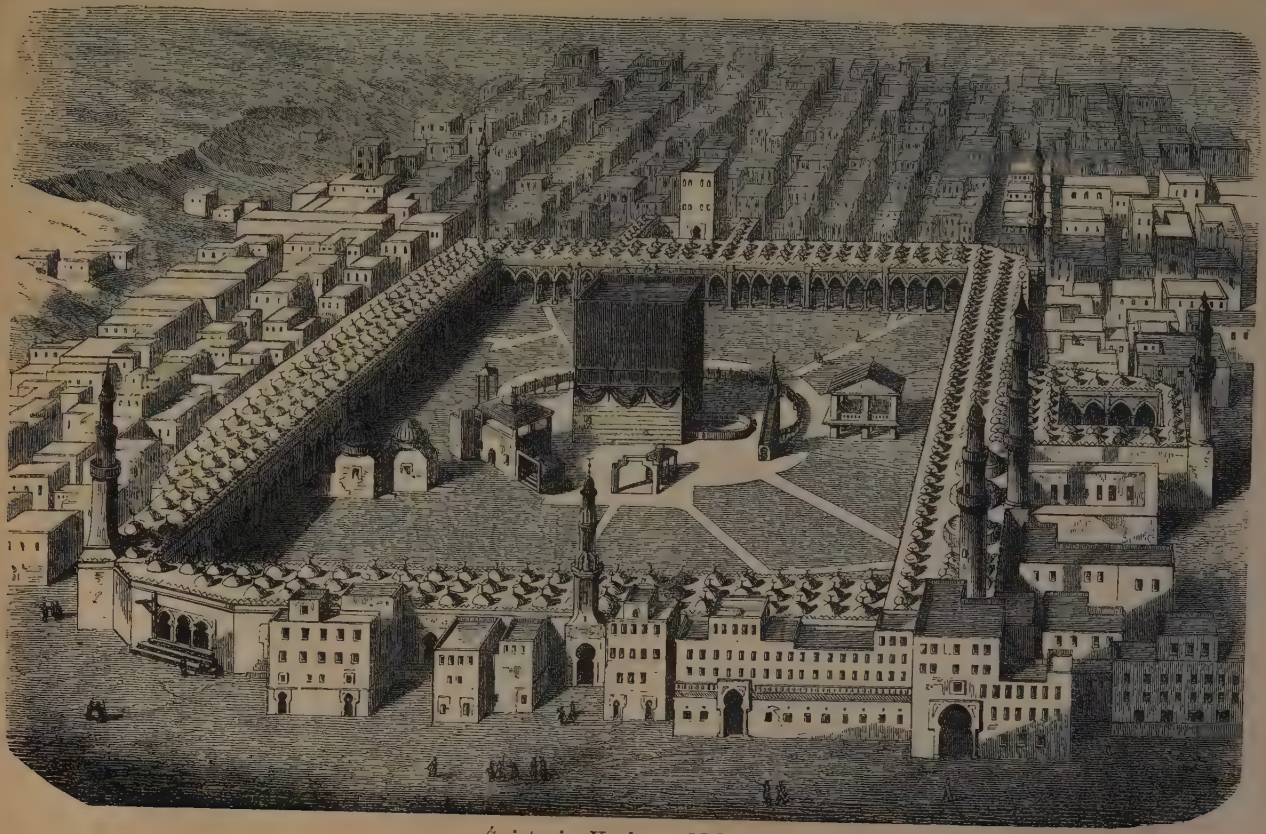

Świątynia Kaaba w Mekka.

40. Mekka.

W wązkiéj, zamkniętéj nagiemi skałami dolinie, leży zupełnie otwarte i nieregularnie zabudowane miasto Mekka, miejsce urodzenia Mahometa i cel nabożnych pielgrzymek wszystkich muzułmanów. Każdy z nich bowiem przynajmniéj raz w życiu powinien zwiedzić to święte miejsce, jeśli chce umrzeć spokojnie.

W południowéj części miasta, gdzie dolina jest najszerszą, wznosi się wielki meczet, najpierwszy w całym świecie mahometańskim, w którym jest sławna Kaaba, nadająca tej świątyni całe jej znaczenie. Meczet składają cztery skrzydła, obejmujące prostokątny dziedziniec, długi na 250, a széroki na 200 kroków. Do koła idą rzędami kolumny, od których siedem, wyłożonych kamiennemi płytami, dróg prowadzi do stojącej w pośrodku Kaaby. Jestto niewielka murowana budowa, mająca ośmnaście kroków długości, a czternaście szérokości i około czterdziestu stóp wysokości. Mahometanie powiadają, iż zbudowaną ona jest przez Abrahama i że jego syn Izmael dostarczył mu do téj budowy kamieni, które cudem wszechmocy Boskiéj wychodziły z ziemi, obciosane należycie w sześciany. Kaaba ma dach zupełnie płaski i przeto cała z daleka wygląda jak sześcian. W północno-wschodnim jej rogu leży sławny czarny kamień, wznoszący się od ziemi na cztery lub pięć stóp. Mahometanie powiadają, że pochodzi on z nieba i został dany Abrahamowi przez anioła Gabryela, jako znak szczególniejszéj łaski Bożéj, że pierwotnie był on czystym i przezroczystym, ale przez dotknięcie nieczystej kobiety stał się czarnym i nieprzejrzystym. Ten kamień obecnie tak jest starty i wygładzony przez ciągłe dotykania i całowania, iż niepodobna rozpoznać dokładnie jego właściwości.

Ściany Kaaby zewnątrz są okryte czarną jedwabną materją, na któréj są wytkane różne modlitwy, ale ponieważ są one tegoż koloru co i całe okrycie, przeto z trudnością dają się odczytać. Środkiem do koła całego budynku idzie inny napis, wyszyty złotem. Dla czarnego kamienia porobione są otwory, przez które zewnątrz budowy można go dotykać. Nakrycie Kaaby leży na niéj wolno tak, iż najmniejszy powiew wiatru go porusza. Według mniemania pobożnych pielgrzymów, jest to znakiem obecności siedmiudziesięciu tysięcy aniołów, którzy strzegą Kaaby. Oni to wprawiają w taki ruch jéj osłony powiewem swoich skrzydeł; i gdy zagrzmi trąba na sąd ostateczny, oni ją poniosą do raju.

W około Kaaby stoi na dziedzińcu jeszcze kilka małych bu-

dynków, z których zasługuje na uwagę ten, w którym mieści się sławna święta krynica. Dostarcza ona wody całemu miastu i niemasz w niém domu i rodziny, któraby nie nabierała jej z tamtąd co dzień pełnego dzbanka. Lecz ta woda jest tylko do picia i religijnych obmyć; używać jej do gotowania i innych potrzeb domowych, uchodziłoby za bezbożność. Każdemu z pielgrzymów, przychodzących do meczetu na modlitwę wieczorną, będący przy krynicy ludzie podają z niej dzban pełny wody. Bogatsi płacą i za siebie i za ubogich. Ta woda jest poczytaną za niezawodne lekarstwo od wszelkich chorób i prawowierni muzułmanie są przekonani, że im więcéj jej piją, tém przyjemniejszemi są Bogu ich modlitwy. Utrzymują oni, że jest to taż sama krynica, któréj Jehowa na prośbę Hagary kazał wytrysnąć na pustyni.

Pielgrzym, wszedłszy do meczetu, gdy przez jego kolumny ujrzy świętą budowę po raz pierwszy, odmawia przepisane modlitwy i czterykroć upada na ziemię, dziękując Bogu, że dał mu szczęśliwie nawiedzić to święte miejsce. Potém idzie jedną z siedmiu dróg, lecz zanim przystąpi do Kaaby, zrzuca obuwie pod amboną, na której w dni świąteczne bywają kazania. Następnie staje naprzeciw czarnego kamienia i jeszcze raz pada czterykroć na ziemię, dotykając kamienia prawą ręką, poczém obchodzi do koła Kaabę na prawo siedem razy: pierwsze trzy razy krokiem przyśpieszonym, naśladując proroka, który, gdy nieprzyjaciele jego rozpuścili słuch, że on ciężko zachorował, trzy razy obiegł dokoła Kaaby. Przy każdem obejściu odmawia się po cichu przepisane modlitwy, po których całuje się czarny kamień i jeszcze inny kamień. Nakoniec pielgrzym przystępuje jeszcze bliżej do Kaaby między czarnym kamieniem a głównémi drzwiami, przyciska do tych ostatnich piersi i z rozpostartémi rękoma błaga Boga o odpuszczenie swoich grzechów.

W. Grube.

41. Persowie.

Persowie są, po Chińczykach, najgrzeczniejszym narodem na Wschodzie. Są oni bardzo mili w obejściu, rozmowni i gadatliwi. Ich mowa ma woń poezji, ale oraz pełna jest przesady i kłamstwa. Pojęcie mają bystre i zręczność ogromną, która i niedostatecznémi narzędziami umie naśladować wyroby europejskie; lecz niedostaje im wytrzymałej siły i wytrwałości w pracy. Pawdziwie krwistego usposobienia, poddają się oni pierwszym wrażeniom;

jak dzieci w jednéj chwili rozczulają się do łez i wnet potém śmieją się, a po chwili zapominają o wszystkiem. Nadzwyczaj zmysłowi, oddani są wszystkim zmysłowym roskoszom, lubią kobiety i życie dostatnie i wygodne, lecz prawdziwie po wschodniemu umieją znosić i niedostatek i w biedzie i upośledzeniu zdobywać się na dowcip i żarty. Zdarzyło się, iż wielkorządca Korassanu ze swoim ladajakim wezyrem, któremu zbieg nieszczęśliwych okoliczności bardzo źle posłużył na wojnie, zostali powołani przed rozgniewanego szacha do stolicy Teheranu i nim zasadzono ich do więzienia, musieli w skutek wydanego rozkazu ciągnąć publicznie przez miasto, ale nie w tryumfie na dzielnych koniach w orszaku licznej służby i wojska, przy pozdrawiających okrzykach pospólstwa, a na lichych szkapach, prowadzonych przez pachołków pałacowych i wśród sykania i świstów tegoż pospólstwa. „Czekajcie panowie, krzyknął im wtedy ktoś, zawieleście się najedli, potrzeba wam dać na wymioty!“

Chciwość zysku i pieniędzy ogromna jest we wszystkich stanach, ale szczególniéj odznaczają się nią dellale, to jest komissanci, czyli pośrednicy handlowi. Podróżnik europejski dr. Brugsch opowiada: „Pewnego dnia jeden młody dellal stręczył mi się ze swojemi towarami i swojémi usługami. Na to odpowiedziałem, że mam już do takiego rodzaju posług oddawna mi znajomego starego Nasrullaha. Zaledwo wymówiłem to imię, aż na to pierwszy: „„Panie, Nasrullah jest łgarzem i oszustem. Przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Ten stary pies, którego ojca spalono, niewart jest przestąpić pańskiego progu i dotknąć pańskich czystych rączek.““ Zapamiętałem nazwisko tego młodego kupczyka i na drugi dzień zapytałem Nasrullaha: co zacz jest ów młody jego towarzysz, zapewne dobrze mu znajomy. Na to mi on odpowiedział najspokojniéj: „„Panie, cóż za pies był jego ojciec, że on śmiał przystąpić do prochu pańskich stóp? Czyż on nie jest największym łgarzem i oszustem w tutejszej stolicy? Śmiecie na jego nieczystą głowę! bodajby oblicze jego zczerniało jak noc!““ Dla należytej oceny tych dosłownie podanych mów potrzeba wiedzieć, iż, jak dowiedziałem się od mego sługi, oba oni zostawali w długoletnich najserdeczniejszych stosunkach, jakby ojca i syna i mieszkali w w jednym domu. Wszystko to jednak w Persji nie wpływa bynajmniéj na interessa.

Podstawa społecznego życia, rodzina, straciła u Persów całą moc. Kobiety trzymane są w zamknięciu po haremach, a pomimo to utrzymują postronne miłośne stosunki i to robią nie z namiętności, a dla pieniędzy. Dzieci, o których gdy wyuczą się biegać,

nikt zgoła się nie troszczy, patrzą od samego dzieciństwa na największe wszeteczeństwa po haremach i słuchają tam prowadzonych w głos i bez wstydu najbrzydszych rozmów. Mężczyzni gadają o kobietach, z wyjątkiem swoich, zwykle z pogardą i lubią opowiadać o nich najbrudniejsze historje. A pomimo to przyznać trzeba, iż Persanki odznaczają się słodyczą, czułością i często niemałemi przymiotami umysłu i serca. Gdyby nie wielożeństwo i haremy, mogłyby one być najlepszémi żonami i matkami i dobrze wychowywać swoje dzieci, których pilnują same, niepowierzając mamkom i niańkom. Lecz Islam, który dozwala mieć cztéry żony prawne, a ile się podoba nałożnic czasowych, nie w stanie jest podnieść i poprawić życia rodzinnego.

Niechlujstwo wszędzie jest nie do uwierzenia. By uciec od jadowitych pluskiew, które rozpowszechniły się po wszystkich domach w mieście Mianeh, poselstwo pruskie musiało rozbijać namioty w polu za miastem. Baron Minutoli, zajmujący się zbieraniem owadów, zlecił był jednemu z tamecznych mieszkańców, by mu dostał dwanaście owych strasznych pluskiew, za co mu obiecał nagrodę. Wtedy ów mąż rozpasał się i w składach swojej odzieży odszukał mu natychmiast żądaną liczbę owych żyjątek, z przerażeniem wszystkich obecnych.

Jak wszystkie miasta na Wschodzie, tak i perskie z daleka przedstawiają się bardzo ładnie, lecz za przystąpieniem bliżéj ich piękność zamienia się w brzydotę. Drogi są okropne i wszędzie pełne żebraków. Powiadali jedni podróżni, iż dojeżdżając do miasta Tahris, musieli przebojem torować sobie drogę przez ciżbę żebractwa obojej płci. Kobiety otulone były w wielkie niebieskie chusty, mając twarze poniżej oczu zakryte białemi osłonami. Zabiegały one poprzed konie, krzycząc do podróżnych chrześcjan: Dla Jaśnie Wielmożnego Jezusa! Dla Jaśnie Wielmożnéj Marji! Dla czci proroka! Najbieglejszymi i najbezwstydniejszymi z pomiędzy żebraków są niewątpliwie Derwisze. Persowie mają zwyczaj strzydz krótko włosy na głowie, a zapuszczać i starannie utrzymywać brodę. Derwisze przeciwnie zapuszczają włosy na głowie, ale zato jej nienakrywają niczém więcéj i krzyczą niezmordowanie swoje „Ja hu!“ O wy! i „Ja haj!“ O Boże!

W. Grube.

42. Łaźnie i haremy na Wschodzie.

Łaźnie są na całym Wschodzie przedmiotem zbytku i niezbędną potrzebą. Ludzie tam przewdziewają bieliznę najwięcéj raz w miesiąc. Nic dziwego przeto, że kąpią się co dnia. Koran zabrania przystępować do modlitwy, nie obmywszy się przed wschodem słońca. Przeto każdego ranka w miastach wschodnich, dzwony zwołują do łaźni i widać ludność wszelkich stanów, śpieszącą do kąpieli. Bogaci mają łaźnie w swoich domach. Łaźnie te składają długo ciągnące się pokoje podziemne, sklepione, do których światło dzienne wpada przez cienkie szyby z alabastru. W środku ich są obszerne wanny marmurowe z wytryskami wody. Ztamtąd po rozebraniu się i przywdzianiu łaziebnej odzieży, któréj część główną staniowią drewniane sandały, wchodzi się do sali, napełnionej gorącą parą, w której zaledwo można odetchnąć i tam dostaje się w moc dwóch silnych oprawców, którzy porywają gościa, jak wydaną im na łup ofiarę i rozciągają go na rozgrzanej płycie marmurowej. Kiedy wnet go zlewa rzęsisty pot, naciskają mu, wyciągają i trą wszystkie członki. Zrazu sprawia to prawdziwą mękę, ale wkrótce się z tém zwyka. Wtém przystępuje trzecia osoba i leje na wyciągniętego od głowy do stóp gorącą wodę, podczas kiedy drudzy dwaj wykręcają go, łamią, naciągają, trą i macerują na wszystkie strony. Obrabiany w taki sposób, zwłaszcza nienawykły do tego Europejczyk, radby wymknąć się i uciec, ale to mu się nie uda, bo trzymają go dobrze. Wreszcie zaczynają go trzeć, jak zgrzebłem, szczotkami z końskiéj włosieni. Po skończonéj operacji, trwającej dość długo, wykąpany i wymyty jak należy gość wypoczywa, składając dzięki Opatrzności, iż dała mu to szczęśliwie przebyć, ale niedługo potém czuje zbawienne skutki łaźni wschodniéj, całe ciało jakby odżywioném, niezwykłą w niém świeżość i daleko żywszy obieg krwi.

Łaźnie publiczne służą mieszkańcom stanu średniego i za miejsce zebrania. Kupcy i cudzoziemcy schodzą się tam dla robienia znajomości i załatwiania interessów, palą fajki, piją kawę i gadają o tém, co słychać w mieście. Szczególniéj kobiety, mające swoje osobne łaźnie, uczęszczają do nich, jako do miejsc zebrania. Tam one oddają i przyjmują wizyty, gromadzą się w kółka, zawsze mnogie i liczne, gadają o swoich kobiecych interessach, o swoich rodzinnych i domowych stosunkach i udzielają sobie różnych słyszanych nowości i plotek, bez których i na Wschodzie, jak wszędzie, kobiety obejść się nie mogą.

Haremy mieszczą się w budowach mniéj więcéj obszernych i zamkniętych zewsząd wysokiemi murami. Tam mieszkają kobiety i dzieci. U bogatych te niedostępne nikomu, z obcych rodzaju męzkiego, ustronia mogą być przyrównane do ziemskiego raju, bo mają wsystko, co tylko wymyśleć zdoła najwyszukańszy zbytek. Od pomieszkania męzkiego dzieli je obszerne podwórze, zasadzone zwykle kwiatami. Tam są najpiękniejsze róże i tulipany. W przylegających do nich ogrodach, pełno jest drzew owocowych i dających miły cień. Haremy bywają nader obszérne; każda kobieta ma nieraz po kilka pokojów; potém idą pokoje dziecinne, niewolników, kuchnie, piekarnie, śpiżarnie, łaźnie i sypialnie samego pana. Kobiety w haremach spędzają czas na różnych właściwych sobie zabawach, najczęściéj przesiadując całe dnie na kobiercach rozesłanych pod oknami, wychodzącémi na ogród, gdzie wpośród drzew i kwiatów są wodotryski, piją kawę, palą tytoń i oddają sobie wizyty, a gdy upał dzienny przejdzie, idą do ogrodu, gdzie spędzają wieczór, aż nim przyjdzie noc. Dzieci zostają w haremach aż do lat 11, lub 12. Wtedy chłopcy postępują pod kierunek męzki, a dziewczęta wychodzą za mąż, albo na podarki, lub na sprzedaż. Na Wschodzie ojciec jest nieograniczonym panem swoich dzieci, tak jak sułtan i szach jest nieograniczonym panem swoich poddanych.

Według Grube i innych.

43. Wyżyny Azji środkowej.

Najwznioślejsze na ziemi płaszczyzny leżą pomiędzy olbrzymiemi pasmami gór średniéj Azji, zajmując przestrzeń większą od całéj Europy. Miejscami przedstawiają one trawiaste stepy, gdzie indziéj je pokrywają wiecznie zielone i soczyste ziółka, zaś tu i ówdzie sól, jak porosty białego mchu, lub świeżo spadły śnieg, leży na gliniastej ziemi. I tak rozległe te płaszczyzny, w rozmaitych swoich częściach, mają pozór odmienny. W Tybecie wschodnim ciągną się nieskończone stepy porosłe trawą, na których szukają i znajdują dla siebie pastwiska owe kozy z długą wełną, z której wyrabiają drogie szale tybetańskie, owce i bydło rogate. Silne są latem na tych bezleśnych równinach upały południowe; powietrze jest zupełnie czyste i przejrzyste i błękit nieba okazuje się przez nie prawie czarnym, jak w najciemniejszą noc. Wschód księżyca nie rozjaśnia atmosfery i żaden blask nie zapowiada go, aż dopóki jego srebrna tarcza nie okaże się na kraju widnokręgu.

Gwiazdy ukazują się tak wyraźnie i z takim blaskiem, jak małe słońca. W Tybecie południowym, na niektórych tylko rzadkich miejscach, skąpo dają się widzieć trawy; zresztą wszędzie obnażone góry i płaskowyżyny przedstawiają straszny obraz dzikiego pustkowia. Cisza i samotność panuje na tych smutnych obszarach, gdzie nie widać żadnych drzew, a tylko rzadko gdzie drobne i nikłe krzaki. Kiedy skąpo i na krótko wschodzące w niektórych miejscach trawy przejdą w Październiku, cała okolica wygląda tak, jak gdyby przeszedł po niéj ogień. Natenczas z niepowstrzymaną siłą suche i przejmującę zimnem wiatry wyją wpośród gołych skał, kręcąc zamieciami drobnego jak pył śniegu i zamrażają biednego wędrowca, kiedy noc go zaskoczy w parowie.

Jeszcze dzikszą i bezpłodniejszą jest wielka pustynia Gobi, zajmująca przestrzeń większą niż całe Niemcy i na której gdzie niegdzie tylko widzieć się dają oazy, porosłe skąpo trawą i drobnemi krzakami. Rozległe obszary piasków pomięszanych z kamykami przerzynają tu i ówdzie nizkie bezwodne i bezleśne wzgórza. Środkiem tej pustyni, od zachodu na wschód, ciągnie się zagłębienie, którego grunt silnie jest przesiąkły solą, zwane Szamo, to jest morze piasku. Na zachód od niego leży dzika pustynia zwana Han-haj, to jest suche morze, której drobne i ruchome piaski, wiatry układają w długie i wysokie jak morskie fale zaspy. Tu, jak na wszystkich pustyniach, latem słońce silnie pali, deszczu niema, a ukazująca się niekiedy mgła bywa tylko zapowiedzią wściekłych wiatrów. W zimie na całéj płaszczyznie mongolskiej panuje dotkliwe zimno. Przegradzające ją od północy góry są za nizkie, by powstrzymać lodowate wiatry wiejące od bieguna, témbardziéj, iż płaszczyzna ta jest znacznie wyższą od leżących na północ równin syberyjskich. Ani jeden miesiąc w roku nie przejdzie tam bez mrozów i śniegów. Tych jednak nie spada nigdzie tyle, iżby bydło nie mogło pod niémi wynajdować sobie paszy.

Pustynie mongolskie, przerzynane przez rozmaite pasma gór, oddzieliły starożytne i od dawna wykształcone społeczności Indji i Tybetu od dzikich i barbarzyńskich ludów Azji północnéj. Ścieśniły one zaludnienie téj części świata ku południowi i więcéj aniżeli niebotyczny wał Himalajów powstrzymały pochód narodów i położyły nieprzebytą zaporę szerzeniu się wykształcenia i uobyczajenia na północ. Lecz z tychże pustyń wychodziły nieraz na ziemię klęski i zniszczenia. Tutaj wychowały się narody pasterskie Awarów, Mongołów, Alanów i inne, które w swoich pochodach wstrzęsły całym światem. Jak dawniéj w przeciągu wieków od wschodu

na zachód z Azji do Europy, szło ukształcenie i uobyczajenie, tak późniéj w tymże kierunku Azja zalała Europę dziczą i barbarzyństwem. Szczep pasterski pochodzenia tureckiego, zamieszkujący w skórzanych namiotach wyniosłą pustynię Gobi i oddawna straszny potędze chińskiéj, odparty został w części ku środkowej Azji. Skutkiem tego było starcie się narodów, które nie zatrzymało się, aż u zachodnich krańców Europy. Hunnowie, Awarowie i rozmaite inne mięszaniny ludów azjatyckich ruszone były ze swoich siedlisk; hordy Hunnów ukazały sie nad Wołgą, następnie w Pannonji, potém nad Marną i na kwitnących brzegach Po, wszędzie niszcząc najbogatsze plony.

Mongołowie, których pierwotną ojczyzną są niezmierne stepy Mongolji, nawet z powierzchowności są podobni do drapieżnych źwierząt, niosących światu zniszczenie. Długi i mocny tułów Mongoła osadzony jest na chudych, krzywych i krótkich nogach. Na bladém obliczu sterczą grube wargi i kończaste kości policzków; nos szeroki i spłaszczony, w głębokich jamach ocznych zerkają małe ukośnie osadzone oczka; brody niema wcale, głowa ostrzyżona i tylko z po za każdego ucha wisi długa kręcona kosa. Te postacie mężczyzn i kobiet wystawiać sobie należy nie inaczéj, jak na chudych i szybkich koniach i w ciągłym ruchu. Miewali oni jednak i tak zwane mieszkania. To były namioty z pilśni, która przez skrapianie owczym mlékiem stawała się nieprzemakalną. Mieszkanie i sprzęty domowe, w czasie koczowania, szły na dwukołowych wozach. Mongołowie jedli koty, psy, szczury, myszy i inne plugawstwa; lecz najbardziéj ulubionem było im mięso końskie. Napojem ich była brudna woda i krew końska, zaś największym przysmakiem był dla nich mocny i upajający napój z kobylego mléka. Chleba nieznali i dopiero późniéj w Europie poznali i ocenili smak wina. Broń ich stanowiły łuki i strzały, miecze, piki i maczugi. Kobiety ich doskonale strzelały z łuku. Głód i pragnienie, gorąco i zimno, naród ten znosił z największą nieczułością. Dzisiaj chanowie mongolscy, którzy nie gdyś chcieli podbić i opanować cały świat, zostają pod władztwem Chin.

44. Himalaje i źródła Gangesu.

Góry Himalajskie, najwyższe na ziemi, przegradzają suche i zimne płaskowyżyny Tybetu, od gorących i wilgotnych równin Indji. Stoki południowe tych gór, po których spadają niezliczone potoki wód, zalegają wszędzie ogromne i przepyszne lasy. Tam na olbrzy-

mach świata roślinnego wiją się kwitnące powoje, ljany i wszelakiego rodzaju pasożytne rośliny, oplatając je i wiążąc jedne z drugiemi girlandami z zielonych liści i różnobarwnych kwiatów. Wszędzie widać bujność i wielką siłę roślinną. Już tam nie słychać wstrętnego wycia szakala, ani ryku tygrysa, pozostałych na nizinie, a rozwesela słuch śpiew ptaków. Szumią liścia ogromnych drzew i czuć rzeźwiące i balsamiczne tchnienie gór i lasów. Ta leśna opaska Himalajów nie jest ludną. Mieszkają w niej tylko pastuchy, pasący po lasach swoje trzody i zbierający w nich miód i inne płody, które znoszą na niziny.

Ta kraina lasów ciągnie się w szerz od 5 do 15 mil. Wyżéj las staje się rzadszym i występują skały, strome spady, głębokie parowy i urwiska. Z szumem pędzą po nich czyste jak kryształ potoki górskie, okolica więcéj jest uprawną i na łąkach i wygonach, usianych kamieniami, stoją murowane domki z ogródkami, a obok nich ciągną się pola zasiane zbożem. Z każdą jednak ćwiercią mili daléj, okolica przybiera coraz bardziéj charakter górski. Drogi, jak w Szwajcarji, pną się w zygzagowatych kierunkach na strome urwiska, albo idą po nad głębokiémi przepaściami i po śmiało rzuconych mostach przeskakują to na jeden, to na drugi brzeg bieżących bystro po wąwozach potoków. Roślinność wszędzie jest bujną. Ljany i powoje zawsze oplatają drzewa, pomiędzy którémi przebiegają jelenie i sarny, zaś na ich wyniosłych wierzchołkach kołyszą się bażanty i igrają małpy. Daléj na wysokości od 4 do 5000 stóp poczyna się roślinność strefy zimniejszéj. Tam leżą piękne, żyzne i dobrze uprawne doliny Nepal i Assam, na których rozsypane są malownicze i ludne miasteczka i wioski. Na obróconych ku słońcu stokach gór, pną się starannie pielęgnowane winne latorośle i dokoła chat, budowanych jak w Szwajcarji, ciągną się sady gruszek, śliwek i moreli i pola zasiane żytem i pszenicą. Dzikie róże, głogi i krzaki jeżyny i maliny, okrywają miejsca mniéj zdatne do uprawy, a na zmurszałych odłamach skał rosną poziómki, które przez cały rok kwitną i dają owoce. Ta okolica, w któréj najwyższe szczyty gór dochodzą 9000 stóp, stanowi trzeci pas około właściwych Himalajów.

Dopiero po przejściu średniego pasma gór, w których krajobraz zdobią jeziora, potoki, wodospady i wszelkie dziwy przyrody górskiéj, odkrywa się śnieżne pasmo właściwych Himalajów. Widok tych olbrzymich gór, podnoszących się na 12 do 18,000 stóp, jest prawdziwie przerażającym i niepodobna słowami oddać całą ich grozę i wspaniałość. Ani Alpy szwajcarskie, ani góry norwegskie, ani kaukazkie niemogą dać wyobrażenia o układzie i niesłychanych

rozmiarach tych gór, które na obszarze jakich 30 mil przedstawiają zupełny obraz śmierci. Lodowce piętrzą się na lodowcach, pustynie śnieżne na pustyniach śnieżnych, a z pośród nich powstają olbrzymie massy, jakby jakie duchy nieziemskie, przyodziane w bieli i których głowy niewyraźnie, jak dalekie białe chmurki zwane pierzastémi, rysują się w niedościgłych błękitach niebios. Tam nie doszła do nich ludzka stopa. Nawet mnogie przejścia przez Himalaje leżą wyżéj od najwyższych szczytów gór europejskich i do tych przejść dostać się można zaledwo po niesłychanych wysileniach, obok których wędrówki nawet po Alpach są tylko zwyczajną przechadzką.

Na wysokości około 23,000 stóp nad poziomem morza, z pod jednego potężnego himalajskiego lodowca, wypada silny i bystry potok, który jest początkiem Gangesu. Dokoła leży bezludna i martwa pustynia lodów. By dojść aż do źródeł téj świętéj rzeki, do któréj pogaństwo indyjskie odbywa nabożne pielgrzymki, potrzeba z największém niebezpieczeństwem życia piąć się po urwiskach skał, piętrzących się do nieskończoności w górę i po nad brzegami przepaści o niezmierzonych głębiach. Każdy krok na tej drodze stawi przed oczy bardziéj zajmujące, od wszelkich górskich widoków, wiekuiste uciechy tamtego świata. W miejscu gdzie Ganges pojawia się z pod swojego lodowca, stoi mała pagoda, w której kapłani Bramy udzielają pielgrzymom błogosławieństwa, sami zaś mieszkają w jaskiniach, gdzie pielgrzymi mają gospodę. Ci, co niemogą odbywać téj pielgrzymki sami, szlą sługi, którzy im przynoszą świętą wodę w naczyniach, za opłatą, przez Braminów uwierzytelnianych pieczęcią.

Według Meyera.

45. Indje, Ganges, Kalkutta.

Zbliżaliśmy się morzem ku brzegom północnym zatoki Bengalskiéj. Z pod błękitnych wód występowały zielone lasy; przez perspektywę dawały się odróżniać doskonale ogromne banany, mangosy i korony palm; wonne powiewy zalatywały od lądu ku naszemu okrętowi. Było to w Lutym, miesiącu kwiecistym Indji, w którym królestwo roślinne przedstawia się tam w całej swojej niewymownej okazałości i piękności. Pod Sagar Island czekaliśmy na rotmana, mającego przeprowadzić nasz okręt do Kalkutty przez Hugli, jedno z ujść Gangesu, dla żeglugi niebezpieczne. Ganges uchodząc do morza tworzy deltę niezmiernej rozległości, na któréj

massa jego wód drobi się na niezliczoną ilość większych i mniejszych ramion, strumieni i strumyków, rozpościerających się więcej wszerz niż wzdłuż. Ziemia iłowata, wilgotna i silnie ogrzewana zwrotnikowém słońcem, a do tego od czasu do czasu zalewana przez powodzie, wydaje tam roślinność, o której bujności niemożemy nawet mieć wyobrażenia. Z pod wody strzelają w górę trzciny wysokości i grubości niesłychanej, drzewa manglowe rozpierają ziemię swojemi ogromnemi korzeniami pijąc z niéj wilgoć, któréj nigdy wypić niemogą i odznaczają się nietyle wysokością, ile bujnością i splotami swoich rozłożystych gałęzi. Wszędzie rośnie najbujniejsza trawa, a z niéj podnoszą się olbrzymie pnie mangosów, bananów, tamarind, drzew chlebowych, palm kokosowych, wachlarzowych i wszelkich innych rodzajów, w które obfituje szczególniéj roślinne królestwo Indji. Niezliczone ljany i inne wijące się krzewy, oplatają i wiążą jedne z drugiemi te ogromne drzewa, tworząc z nich taką gęstwinę, w któréj zaledwo siekierą można sobie wyrąbać przejście. Lecz te nieprzebyte wilgotne zarośla, pełne rozlicznych gnijących materji, są oraz siedliskiem gorączek i rożnych chorób; ich wyziewy są jadowite i zaraźliwe. Tam jest siedziba muskitów i niezliczonego mnóstwa jadowitych owadów, tam się lęgną różne płazy i tam jest legowisko najdzikszych i najsroższych tygrysów, nosorożców i innych drapieżnych źwierząt. Na brzegi i nadbrzeżne ławice piasku wyłażą krokodyle i żółwie.

Wieczór był prześliczny, kiedy przez te gęste zarośla płynęliśmy szeroką odnogą Gangesu. Nad nami było niebo czyste, którego ciemny błękit przechodził aż w czarność. Na tém ciemném tle iskrzyły się gwiazdy tak przepysznie, jak wystawić sobie niemożna na naszém szarém i mglistém niebie północném. Po obu stronach z głębi zarośli odzywały się przerażające głosy. To były albo stada małp, gdzieś wysoko na rozłożystych gałęziach drzew swarzących się o swoje nocne siedziby, albo przenikliwe krzyki papug i kakadu, albo straszne wycia głodnych szakalów i hyeny, a w pośród nich w ciepłém nocném powietrzu rozlegał się okropny ryk królewskiego tygrysa. Ledwo nastąpiła noc, opadły nas gęste chmury jadowitych muskitów i innych pokrewnych im owadów, kiedy nieprzewidując tej napaści staliśmy w lekkiéj odzieży na pokładzie i ani dym naszych fajek, ani rozpięte dokoła wełniane osłony niemogły nas od nich ochronić.

Lecz jakiż pyszny widok czekał nas, gdy światło dzienne znowu błysło po nad wierzchołkami drzew! Wtedy dopiero ujrzeliśmy kwiaty, których wonią oddychaliśmy w nocy, w najrozmaitszych barwach i dziwnych przecudownych kształtach; wijące się

rośliny, okryte tysiącami przepysznych kwiatów, zwieszały się, oplatając jedno drzewo z drugiém, od pnia aż do wierzchołka. Na falach rzeki kołysały się piękne liścia i kwiaty świętej dla Indjan rośliny lotos, a na brzegach trawy i drzewa błyszczały kwieciem barw najrozmaitszych. Teraz dopiero mogliśmy widzieć świetne papugi kakadu, skaczące i podlatujące na drzewach i niezliczone gromady małp, wyprawiające swoje, to śmieszne, to szkaradne gry i skoki. Na ławicach piasku wyciągały się leniwo okropne krokodyle. Wreszcie dopłynęliśmy do końca odnogi rzeki, usianéj wyspami i szerokie, jak zatoka morska, koryto Gangesu rozległo się przed nami niepodzielne.

Wszędzie widzieliśmy ładne wioski, starannie uprawne pola i pracujących na nich rolników w najlżejszéj odzieży. Ciekawie spozierałem na małe chatki ulepione z gliny, z daleka świecące białością i mające dachy kryte trzciną cukrową, lub sitowiem Gangesu, a niekiedy olbrzymiémi liśćmi bananów i rajskich fig, na których czerwoną jaskrawą farbą odmalowane były różne fantastyczne wyobrażenia. Jeszcze więcéj zwracały na siebie naszą uwagę pagody, czyli bożnice indyjskie, swoją szczególniejszą budową i dziwnémi wieżycami. Tu i ówdzie pokazywały się téż meczety muzułmańskie, ze swojemi wysmukłemi minaretami. Niezliczone łódki przebiegały po rzece od jednego do drugiego brzegu, a korytem jéj płynęły okręty, rozmaitéj wielkości i kształtu, miejscowe i europejskie. Pierwsze były pełne pielgrzymów, udających się na uroczystości i ofiary do świętego miejsca Hurdwàr, dokąd corocznie ze wszystkich stron Indji zbiera się przeszło 2 miljony ludu, nietylko na nabożeństwo lecz i na sławne jednocześnie odbywające się jarmarki. Tam się spotykają kupcy z Indji i z Indochin, od brzegów Indu i Gangesu i od śnieżnych gór Himalajskich.

Wreszcie ukazała się nam Kalkutta, ogromne miasto, w którém stoją pałace obok lepianek, pagody i meczety obok kościołów chrześcijańskich, gdzie jest ognisko handlu pomiędzy wszystkiemi narodami Indji i Europy i wystawiane na okaz, współubiegają się o pierwszeństwo wyroby obydwóch części świata. Tam sprawy handlowe, poszukiwania zysku, idą tak bezustannie, tak niezmordowanie, jak we wszystkich wielkich miastach Europy i Ameryki. Po nad rzeką ciągną się nieskończone rzędy domów, które ocieniają rozpostarte korony olbrzymich palm i innych drzew indyjskich, wysokością i objętością przechodzących o dwakroć największe drzewa naszych lasów. Pomiędzy niemi wznoszą się ogromne pagody i cienkie jak słupy minarety ze złoconemi na szczytach półksiężycami. Rozległy port napełniały tysiące różno-

kształtnych okrętów, od szczególniejszych i dziwacznych dla nas statków malajskich, do wojennych okrętów pod flagą angielską, od dżonk chińskich, do kupieckich okrętów europejskich, zabierających się wieźć skarby Indji ku brzegom Zachodu.

Rano wysiedliśmy na brzeg, by obejrzeć z blizka miasto. Ileż życia na jego targowiskach i jaka różnobarwna mięszanina ludności na jego ulicach. Tu słychać nieznośne krzyki Hindusów, tam ostrzegające wołania kulisów, czyli tragarzy, tam odzywa się szkaradna, istna kocia, muzyka miejscowego sztukmistrza, tam idą długiemi sznurami wielbłądy, prowadzone przez zimnych i poważnych Persów i obładowane towarami swojej dalekiej ojczyzny. Tam przemykają się palankiny, to jest pudła z zasłonami, siedzeniami i poduszkami wewnątrz, na których, rozwaliwszy się, spoczywają bogacze, każąc się nosić przez ubogich kulisów. Najciekawszymi byli dla nas bogaci Indjanie, radżowie krajowi, książęta siedzący na słoniach, albo leżący na tych źwierzętach, pod bogatym baldachinem lub parasolem, z fajką na długim cybuchu w ustach. Przed takim panem siedział na osobném siedzeniu chłopiec i obwiewał go wachlarzem, a nad niezmierném uchem źwierza siedział kierujący nim woźnica. Tak próżnujący pan każe wozić się po ulicach, wystawiając na pokaz swoją możność i swoj przepych, otoczony orszakiem bogato wystrojonych sług. — Nowy czekał nas widok, gdzie od kamiennego pobrzeża marmurowe stopnie prowadzą w czyste i przejrzyste nurty rzeki. Setki Hindusów wszelakiego wieku gromadziły się tam, by z modłami zstępować do świętéj rzeki. Powierzchnia jej czerniła się od niezmiernej ilości ciemnych głów i w powietrzu rozlegał się głuchy szmer od napółgłośno odmawianych modlitw.

Należy wreszcie wspomnieć, iż Kalkutta, pomimo swego ważnego politycznego i handlowego położenia, nie jest utrzymywaną porządnie, a nawet tak, jak inne miasta dzierżaw angielskich, a zupełnie prawie tak, jak wszystkie wielkie miasta świata muzułmańskiego. Gaz, upowszechniony w Sidney i Kapie, dotąd nie oświeca tego miasta pałaców. Skrapiają go ręce ludzkie tylko i to nader skąpo. Co zaś do ochędóstwa, do czystości ulic i rynków, do oprzątania rynsztoków, ani władza, ani mieszkańcy tém się nietrudnią, starania w tym względzie powierzając poczciwym źwierzętom i ptakom miejskim.

Universum.

46. Benares.

W Benares podróżny spotyka się z ową tajemniczą, a w całym swoim blasku istniejącą w Indjach religją, z owemi zabobonami, które obecnie liczą tu 200 miljonów adeptów. Benares, to Jeruzalem religji Braminów, to ognisko umiejętności hinduskiej, zbudowane jest jakoby na wierzchołku trójzęba Shiwy, gdy przeciwnie inne kraje naszéj ziemi spoczywają na 10,000 głowach wężowych Ananta. Dla téj to właśnie przyczyny miasto Benares niepodlega nigdy trzęsieniu ziemi. Przywilej ten, acz nieoceniony, nie sam tylko zaszczyca mieszkańców nieoszacowanego i ulubionego bożkowi Brahmie grodu. Ktokolwiek odbywa doń pielgrzymkę, otrzymuje odpust zupełny, a kto ma szczęście zamknąć w nim swe oczy na wieczny spoczynek, ten niepodlega po śmierci owym straszliwym metamorfozom, w które tak jest szczodrą religja Hindusów i od razu ściśle się jednoczy ze swojém bóstwem. Wierzenie to, które dotychczas, jako niezbity artykuł wiary, utrzymuje się pomiędzy wszystkiemi ludami Indji, dostatecznie tłumaczy, dla czego tak niezliczona ilość pielgrzymów zwiedza corocznie Benares i dla czego to miasto liczy przeszło miljon mieszkańców.

Widok ze strony rzeki na całość tego świętego miasta, jest i nader wspaniałym i zarazem nader dziwnym. Na prawym brzegu Gangesu, jak zajrzeć okiem, ciągnie się ogromna równina, a na lewym wznosi się miasto w amfiteatr i przedstawia oku długi szereg budowli monumentalnych, wspaniałéj, lecz oraz dziwnej architektury. Te budowy, pałace, świątynie, czy fortece, gdyż zrazu niepodobna odgadnąć ich charakteru, zdobne wieżami, o wyniosłych facyatach, o długich a wązkich oknach, upstrzone pawilonami i wieżyczkami chińskiémi, dumnie wznoszą się po nad rzeką i łączą się z nią monumentalnémi wschodami, zwanemi Ghauts, które co do rozmiarów i wspaniałości mogą się porównać ze wschodami w Wersalu. Seciny świątyń hinduskich malowane są jaskrawemi kolorami, mają kopuły w kształcie mitr biskupich i mnóstwo złoceń, a wspaniały meczet Aurengzeba, pamiątka podbojów, wznoszący się jak zwycięzca na wzgórzu, na krańcu miasta, góruje nad całym obrazem.

Z wierzchołka minaretu na świątyni Aurengzeba miasto święte zupełnie inny przedstawia widok. Wszystkie domy miasta, ze swemi płaskiemi dachami, zalegają w dole przestrzeń ogromną. Podwórza tych domów są tak wązkie, ulice tak ciasne i głębokie, że cała ta massa kamiennych budowli, mieszcząca w sobie przeszło

miljonową ludność, zdaje się jakby rozległą pustynią, ożywioną tylko przez gromady papug i gołębi, poufałych gości minaretów tego niesłychanie wielkiego meczetu.

Najwęższe, najciemniejsze, najsmrodliwsze ulice Londynu lub Paryża, jeszcze nie mogą dać dostatecznego wyobrażenia ulic Benaresu. Wysokie a ponure domy, prawie bez okien, z nizkiemi drzwiami, smutnie się ciągną po głębokich i wilgotnych uliczkach, jak rozpadliny w skałach, do których promień słońca nigdy a nigdy nie zagląda. Wszędzie swęd brudu, śmiecia i coś duszącego w powietrzu, objawia ci, że się znajdujesz w krainie, gdzie szatan cholery i morowego powietrza założył swą siedzibę. Wśród tego zaraźliwego ogniska snuje się ludność nikła, wycieńczona, okryta czemś niewysłowionem i co krok spotykasz się z poświęconym bykiem, dumnym jak Apis i zawsze gotowym bronić ci regami przejścia przez ciasną ulicę. Obecność tych źwierząt, tak licznych po miastach Indji, jak psy w Konstantynopolu, jest istną plagą, przeciw której władze angielskie mogą działać tylko tajemnie, gdyż mieszkańcy z egipskiem uszanowaniem zapatrują się na te czworonogi, które pobożnie żywią. Hindusowie mają niezbitą wiarę, że jeśli po śmierci krewnego lub przyjaciela da się wolność poświęconemu bykowi, źwierze to na swoich rogach unosi wszystkie grzechy zmarłego i tym sposobem uwalnia go od kary wracania przez niewiedzieć ile tysięcy lat na ziemię, w postaci robaka lub ropuchy. W koniecznej więc tylko ostateczności, gdy się ta ludność bycza już nazbyt powiększy, urzędnicy angielscy decydują się uwalniać od niéj miasto. Wówczas policjanci nocą ścigają te źwierzęta, zapędzają je na przyległe zarośla, a tam tygrysy i lamparty niedowiarki spełniają wyrok doraźny na tych byków bogów. — Na dole domów miasta są nędzne sklepy tkanin, szkieł, zboża, w niektórych zaś kuchty prawie nagie istne djabełki, warzą rozmaite, niedające się opisać i obudzające wstręt, potrawy. Taka jest fizyognomija tych ulic, gdzie podróżny, pod wpływem niewymownej tęsknoty, z przyjemnością wita, jeśli mu się zdarzy spotkać, złożone na kupy kartofle i w straganach przekupniów warzywa, jako jedyne ślady człowieczych potrzeb wśród tego miasta, jakoby z innego świata.

Błądząc tak po tych wązkich ulicach, wśród tłumu zakwefionych kobiet, pół nagich pielgrzymów i niemal całkiem nagich fakirów, wśród ciżby ślepych, trędowatych, żebraków najobrzydliwszego pozoru, przybyliśmy do świątyni, znanej pod imieniem Vishvayesa, jednej z najbardziéj uczęszczanych w Benares. Składa się ona z kilku pawilonów, murowanych z czerwonego

kamienia, okryta jest dziwacznémi rzeźbami, kopuły ma złocone, a wszystko to obwiedzione murem. Wnętrze budowy napełniał tłum poświęconych byków, fakirów biegających po galerjach, jakby w pomięszaniu zmysłów, polewających siebie wodą i bezustannie z dziwną głosów modulacyą wykrzykujących: — Ram, Ram, Ram! Gęste błocko pokrywało posadzkę pagody i dźwięczało w niéj dwadzieścia razem dzwonów.

Magazyny w Benares wcale niegrzeszą ostentacyą, a nawet i pięknym pozorem. Wschody strome i wązkie zaprowadziły mię do izby nizkiéj, pobielonéj wapnem, która za całą ozdobę miała portret królowej Wiktorji i przywilej na medal srebrny, otrzymany w Londynie, z podpisem księcia Alberta. Białe sukno rozesłane na podłodze i para krzeseł, stanowiły całe umeblowanie téj izby, gdzie przed oczyma naszemi rozłożone były cudnie piękne aksamitne, złotem haftowane, kobierce i tkaniny jedwabne, klejnoty przedziwnej roboty, słowem skarby na okup króla starczyć mogące, a zgoła niedostępne kieszeni prostego turysty.

W Benares nie mieszka żaden rezydent dworów europejskich. Cała społeczność biała mieści się aż o cztery mile za miastem, do którego doskonale makademizowana prowadzi droga, wśród zgrai poświęconych małp, zabobonnie przez krajowców czczonych. Małpy te despotycznie zalegają nietylko drogę, lecz nadto i dachy domów i przyległe ogrody. Stacya, czyli miejsce pobytu Europejczyków, jest budową nieregularną i niesymetryczną; w koło niej ciągną się gmachy rozmaitych juryzdykcji, publicznéj kassy, oraz więzienie, szkoły i koszary. Domy jednopiętrowe, starannie pobielone, z zielonémi zasłonami, obszernemi ogrodami, śliczny tworzą widok; lecz podobny widok powtarza się w każdém głównem mieście każdego powiatu Indji. Nie w samych tylko budowach podobną znajdziemy jednostajność do znudzenia. Czy to pod względem zajęcia i zabawy, czy pod względem przedmiotów rozmowy, czyli też wziąwszy jaki bądź żywioł towarzyski, nigdzie nieznajdzie się żadna zmiana w tych małych europejskich osadach, rozrzuconych w tém ogromném państwie indo-brytańskiém.

E. de Valbezen. — Anglicy i Indje.

47. Ceylon.

W środku Listopada, po szczęśliwej żegludze, wylądowaliśmy w jednym z portów Ceylonu i ujrzeliśmy tę rajską wyspę. Na brzegu spotkały nas tłumy mieszkańców w najrozmaitszych stro-

jach. Pomiędzy nimi znaczniejsi byli w płaskich muszlinowych kapeluszach i obszernych białych sukniach, podpiętych złocistemi pasami. Wrychle przyzwyczaja się do błyszczącéj, ciemno-kawowéj cery tuziemców i nawet znajduje się nie mała piękność w wielkich czarnych oczach właściwych Cingalezów. Obstąpieni ze wszech stron, nie bez trudności przecisnęliśmy się do starych wrót budowy holenderskiéj, porosłych zielonym mchem i dostaliśmy się do będącego tuż naprzeciwko ich domu królewskiego, to jest rządowego. —

Widok z okien wywabił nas wkrótce na świeże powietrze w pole. Tam na zielonéj murawie igrało mnóstwo zielonych z długiemi ogonami jaszczurek; ówdzie rosły dziwnie piękne z niebieskim kwieciem powoje i czerwono kwitnące balsaminy; tam wznosiły się drzewa chlebowe z białemi pniami, szerokiemi ne stopę zębatemi błyszczącemi liśćmi i ciężkiemi, kulistemi, kosmatemi barwy żółto-zielonej owocami; tam papaje z prostemi doskonale zaokrąglonemi pniami i koronami liści na wierzchołkach, których liście są ogromne, jak parasole, a pod niémi wiszą owoce wielkości małych melonów; tam banany z grubemi pełnemi soku pniami, liśćmi długiémi na ośm stóp i stojącémi prosto do góry. Któżby mógł pomyśleć, że ich pień gruby na stopę, a wysoki na 200 stóp, wyrósł tak w przeciągu jednego roku? Owoce bananów wielkie na $^1/_3$ stopy, barwy żółto-zielonéj, składają ogromne grona po kilkadziesiąt w jednym; cienka ich skórka pokrywa mięso bardzo delikatne, słodkie i bez ziarn. Drzewa chlebowe wydają owoce wielkie i twarde, które niedojrzałe jedzą gotowane; owoc papaju rozcięty ma też podobieństwo do melonu; mięso jego także żółte, a gdy zupełnie jest dojrzałym, czerwonawe.

Trudno jest wypowiedzieć, jak dziwne wrażenie wywiera na obcego wędrowca bujność przyrody zwrotnikowéj, powietrze ciepłe, wilgotne, ciężkie i przesycone mocną wonią ziół i soków drzewnych i pogodne światło dnia, przebijające się pręgami przez gęste korony palm. Krzaki okryte żółtemi, czerwonemi i niebieskiemi dzwonkowatemi kwiatami, otaczają domki schludne, zbudowane w starodawnym smaku hollenderskim, z których każdy ma z boku rodzaj altany, zwanéj werandą. Takie mieszkania wiejskie ciągną się po nad całą drogą do Kolombo. W przerwach lasów palmowych i innych wielkich drzew, rosną pomniejsze zarośla, tém niższe, im bliżéj morza. Pod krzakami wije się mnóstwo zielonych płazów; raki morskie przepysznej barwy wyłażą na kamienie, a ścigane, w szybkich skokach kryją się pod gęste czerwono kwitnące nadbrzeżne zarośla. Ananasy dojrzewają tutaj dzikie na suchych skałach,

karmione, jak się zdaje, tylko ciągłą wilgocią powietrza. Co za rozkosz siedzieć tu i rysować przepyszne gruppy drzew chlebowych, mangosów i palm! albo może wprzódy uszczknąć do swoich zbiorów najpiękniejsze kwiaty, a szczególniéj te przecudowne wijące się rośliny, łapać po czarno omszonych skałach długie na trzy stopy jaszczurki, wydobyć z pod skały djabelskiego czarnego skorpiona, albo wreszcie łowić wielkie jak dłoń z pstrémi skrzydłami motyle.

Ku wieczorowi spadł ulewny deszcz, z nieustającémi błyskawicami i silnemi grzmotami. Potop dokoła mojego mieszkania okazał mi, dla czego stawiają tu domy na wysokich o 5 stóp nad ziemią podmurowaniach. Zaledwo przeszła ta zwrotnikowa ulewa i zapadła prędko noc, wszystkie drzewa zajaśniały niezliczoną ilością świecących robaczków i rozpoczęła się zwyczajna w krajach zwrotnikowych muzyka wieczorna, którą wyprawiają świerszcze, cykady, dziesięciu czy dwunastu rozmaitych rodzajów żaby drzewne, sowy, gawrony, itd. Całe to zbiorowisko robi hałas nie do opisania. Gwar, świst, dzwonienie, bębnienie, krakanie, gęganie, kwakanie takie, jak chyba w jakiém zaczarowaném i przez złe duchy nawiedzaném miejscu. Szczególniéj pokoju niedają wielkie o pięknych barwach cykady; zaś do grzechotania długonogich żab drzewnych, odzywających się nieraz odważnie z kielicha kwiatu i w obec ścigającego je człowieka, przywyka się prędko.

Nie długo zabawiwszy w Kolombo, udaliśmy się w głąb wyspy na polowanie słoniów. Drugiego dnia stanęliśmy w ogromnym i gęstym lesie pierwotnym. Potężne pnie odwiecznych drzew stały tam gęsto, jeden tuż przy drugim, a wijące się rośliny obwijały je wiążąc po trzy i cztery razem. Niektóre z tych olbrzymów były już spróchniałe, inne zaczynały próchnieć. Często widzieć było można gruby jak ramie i skręcony pień powoju, obwijający kiedyś pień drzewa, które spróchniało i upadło, pozostawiwszy wijący się na niem powój bez podpory. Niekiedy wśród puszczy odkrywała się polana, zarosła bujną trawą, na któréj pełno było różnych kwiatów, a nad témi unosiły się roje motylów, poczém znowu zalegała ciemna gęstwina. Wreszcie doszliśmy do środka lasu, gdzie wystawiono dla nas dwie chatki. Ściany ich splecione z gałęzi drzew, obłożone były ich liśćmi, dach był ułożony z traw i pokryty liśćmi palmowémi, a rynny zrobione z kory drzew.

Każdego ranka przed wschodem słońca, wychodziliśmy z naszéj kryjówki na słonie, które tam przechodzą wielkiemi stadami. Kiedy tuziemcy zwietrzą nadchodzących słoniów, wszyscy stają, strzelcy rozsypują się w gęstwinę, ja i moi słudzy pozostajemy na

miejscu. Krótki ryk przebiegającego słonia słychać w odległości pół mili angielskiéj, zaś całe stado wydaje odgłos, podobny do spadającego na las lodozwału. Kiedy słoń z podniesioną trąbą zwraca się, by albo zmiażdżyć swego nieprzyjaciela, lub odebrać od niego strzał śmiertelny, wydaje on straszny ryk, podobny do silnego głosu pękniętej trąby. Pewnego dnia stanąłem bliżéj niż zwykle od strzelców. W tém z jednéj i drugiéj strony dał się słyszeć ryk i tuż przed nami wyszła z gęstwiny potężna trąba olbrzymiego źwierza. Szczęściem, jeden z najbieglejszych strzelców był tamże; skoczył między wychodzących słoniów, jednemu, który z prawej strony już go dosięgał trąbą, wypalił w ucho, drugiemu z lewej strony w skroń. Oba powaliły się z głuchym jękiem na ziemię, wydając huk, podobny do dwóch dalekich strzałów działowych. Reszta, widząc upadających dwóch największych olbrzymów, rzuciła się w inną stronę.

W. Hofmejster.

48. Chiny, Pekin.

Oprócz wód naturalnych, w których liczbie są największe w świecie rzeki, Chiny posiadają ogromną ilość kanałów. Przeto podróżują tam najczęściéj wodą i taka jazda jest tam względnie bardzo udoskonaloną. Płynęliśmy w górę rzeki Pejho, wysiadając często na brzegi. Wioski, które zwiedzałem piechotą, nieprzedstawiają żadnego interesu, ale ludzi wszędzie pełno; istne mrowiska. Dzieci wytykają mię palcem, dorośli mężczyzni patrzą na mnie obojętnie i dopiero kiedy przejdę, śmieją się ze mnie pogardliwie, kobiety kryją się przedemną. Od domu do domu kręcą się wędrowni kramarze, zachwalając głośno swoje nędzne towary. Wszystko brudne, wszystko liche, drobne, z wyjątkiem natury, która napłodziła tylu Chińczyków.

Spostrzegamy uprawne pola, a na nich bawełnę, rośliny strąkowe, oleiste i tysiące włościan, zajętych pracą około roli. Pługi z dziwnemi zaprzęgami; to koń z oślicą, to bawół, osieł i krowa. U jednego pługa widziałem wprzągniętych trzech mężczyzn, a u innego osła i kobietę. Drzew nie widać nigdzie ani śladów. Na rzece liczne dżonki, z których niejedna znacznej objętości.

Wysiedliśmy na ląd w Tung-chow. To miasto leży o trzynaście mil na wschód od Pekinu i stanowi port stołecznego miasta. Między Pekinem a Tung-chowem istnieje komunikacja podwójna: kanałem i traktem pierwszej klassy, który, choć wykładany marmu-

rowémi płytami, jest w zupełném zaniedbaniu i ledwo po nim jeździć można. Jak okiem zasięgnąć, wszędzie las masztów, a na wybrzeżu rój ludzi żółtych, brudnych, w łachmanach; wszyscy zajęci ładowaniem i wyładowywaniem statków. Po za tém mrowiskiem nie daleko od portu wznoszą się posępne zębate mury miasta, a za niemi wdali widać ogromną wielopiętrową pagodę. Oprócz nieba, które rzeczywiście tak jak nam mówiono, jest przepysznem, wszystko pozosłałe nosi na sobie piętno brudu i błota: zarówno woda jak ziemia, cera twarzy i odzież mieszkańców, mury budynków i źwierzęta pociągowe.

Z Tung-chow do Pekinu jedziemy na dzielnych wierzchowcach mongolskich. Pomijamy most Palikao wsławiony w ostatniéj wyprawie Francuzów. Jest to piękna budowa z białego marmuru, przyozdobiona dziwacznémi rzeźbami. Ponieważ wielka droga znajduje się w bardzo złym stanie i pełno na niéj wozów konnych jeźdźców i przechodniów, przeto posuwamy się daléj południowym brzegiem kanału. Pora już późna; bramy Pekinu muszą być o zachodzie słońca zamknięte; pędzimy więc prawie galopem, to po jakicheś groblach, to wązkiémi ścieżkami, to nareszcie przez pola. Krajobraz urozmaicony przez gaje, wioseczki, samotne domki otoczone ogródkami warzywa, daleko jest ładniéjszym od jednostajnych brzegów Pejho.

Wyjechawszy z ciasnego wąwozu, wszyscy naraz krzyknęliśmy ze zdziwienia i każdy mimowolnie zatrzymał swego konia. Naprost przed nami błyszczała tarcza słoneczna, a pod tą gwiazdą, jak wstęga popielata, ciągnął się bez końca olbrzymi mur zębaty. W trzech miejscach prosta jego linia była urozmaicona podwójnemi dachami bram miejskich. Z odcienia barw można sądzić o odległości, jaka je rozdziela. Po nad ciemnym murem widać było zawieszone w powietrzu, jak mamidła, szczyty wzgórków pałacu Letniego, a w niezmiernej oddali góry Mongolji podobne do obłoków. W półgodziny potém przez bramę Tung-pienmen wjechaliśmy do miasta chińskiego, a następnie przez inną bramę wewnętrzną do miasta tatarskiego.

Miasto Pekin, zbudowane na wiele wieków przed naszą erą, było stolicą państwa Yen, po którego upadku w r. 222 przed Chr. zeszło do stanowiska prowincjonalnej mieściny. Zdobyte następnie przez Dżengishana w r. 1215 po Chr., opuszczone i znowu odbudowane, stało się powtórnie stolicą państwa na początku wieku XV. Z tej epoki pochodzi mur obwodny i najstarsze gmachy tego miasta. Mury pekińskie podobne są do naszych zamczysk z czasów feodalnych. Tylko tutaj wszystko ma rozmiary kolosalne, kiedy w Euro-

Ulica w Pekinie.

pie budowy średniowieczne są zwykle małe. Mury obwodowe Pekinu mają od 50 do 60 stóp wysokości, 20, 40 do 50 stóp szerokości i ciągną się przeszło na 20 mil angielskich. Pomimo tak wielkiego obwodu, miasto ma tylko bram szesnaście.

Stolica państwa składa się z dwóch miast: tatarskiego i chińskiego. Na rzucie poziomym widać dwa równoległoboki. Jeden z nich, miasto tatarskie, ma swoje boki mniejsze prostopadłe do większych boków drugiego, przedstawiającego miasto chińskie. Niedawno jeszcze te nazwy dobrze odpowiadały ściśle zachowywanemu rozdziałowi zwycięzców od zwyciężonych, to jest ludzi przybyłych od północy, z po za gór mongolskich, od Chińczyków. Dziś już wielu Chińczyków mieszka w dzielnicy tatarskiéj, gdyż czas w ogólności złagodził antagonizm obu narodów, chociaż niewygładził go do szczętu. W samym środku tatarskiego miasta leży pałac cesarski, czyli właściwie miasto cesarskie, zwane „zakazanem“ otoczone murami i niedostępne dla śmiertelników, jak tego i sama jego nazwa dowodzi. Wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym; niektóre są szerokie, a niektóre wązkie. Mieszkania bogaczów ukryte są za murami, domy widzialne wyglądają nędznie; są to lepianki z gliny bezkształtne i bez żadnych ozdób. W mieście chińskiém, gdzie zdaje się skupioném jest życie przemysłowe i handlowe, całe ulice składają się ze sklepów bardzo dobrze zaopatrzonych w wyroby krajowe, a nawet niektóre europejskie. Apteki, składy herbaty i tytoniu odznaczają się szczególniéj przez wspaniale złocone i lakierowane wystawy i kolosalne szyldy, zawieszone na stojących przed drzwiami wysokich słupach.

W mieście tatarskiém nieskończone ulice z południa na północ, miejscami puste, lub złożone z biednych chat, ożywiają się w innych punktach i przedstawiają szeregi wytwornych sklepów, albo mury, po za któremi leżą niewidzialne pałace. Ale postąp tylko parę kroków daléj, a napotkasz poprzednią pustkę, albo nędzę. A jednakże nie zboczyłeś ani na krok z linji prostej, która panuje wszechwładnie w stolicy państwa środziemnego. Główne ulice po większej części szerokie, były niegdyś wyłożone marmurem; onże niegdyś pokrywał rynsztoki. — Dziś wszystko spustoszone, wszędzie ruina; świątynie są źle utrzymane, rezydencye urzędowe wielkich mandarynów, zwykle położone na rogach ulic, nie różnią się niczém od takichże domów po innych miastach: dokoła sztachety, między niemi duży wchód, przyozdobiony niezgrabném wyobrażeniem smoka, jeden lub dwa słupy z chorągwiami, a we drzwiach tłum interessantów. Te budynki publiczne, nie wyłączając pałacu ministrów Tsungli-yamen, nie odznaczają się bynajmniéj

czystością. Uliczna kurzawa, ta straszna a nieprzezwyciężona plaga, nadała im brudną barwę i przesyciła swoją cuchnącą wonią. Ten kurz, zanim stale osiadł w wysokich urzędowych przybytkach, wałęsał się pierwéj po nędznych lepiankach i wirował z wiatrem po ulicach, które miejscami wyglądają na składy wszelkiej nieczystości.

Przechadzka po Pekinie wcale nie jest wygodną. Czy pieszo czy konno, niemasz czasu do rozglądania się w około; a jednakże, choć nie wszystko jest piękném, wszystko budzi ciekawość, wszystko jest nowém i interessującém. Lecz potrzeba przytém dawać wielką baczność na wyboje, jakie deszcz lub koła przejeżdżających wozów zostawiły na ulicy, ostrożnie przechodzić po wązkich kładkach, rzuconych przez czarne i cuchnące kanały, usuwać się na bok za spotkaniem szeregów dwugarbnych wielbłądów wzrostu słonia, które prowadzą płaskonose Mongoły z szeroką twarzą, szczerą i uczciwą fizyognomiją i głupowatym uśmiechem. Strzedz się także trzeba dorożek, których jest pełno. Są to taczki, zaprzężone jednym lub parą koników, nakryte rodzajem namiotu i z zasłoną dla woźnicy i koni. Te wózki pierwotne kręcą się secinami; zaś do lektyki i krzesła na noszach mają prawo tylko mandaryni pewnego stopnia. Oto jeden z takich. Czterech kulisów, to jest tragarzy, niosą jego krzesło krokiem przyspieszonym; za nimi idzie sześciu służących w liberji brudnej i zużytej; takież jest i krzesło. Ale mandaryn na niém wygląda ładnie: bieliznę ma białą, twarz i ręce czyste, ubior staranny i postawę wysokiego urzędnika. W ogromnych okularach pilnie on czyta jakieś papiery. Jest to Radca Stanu; udaje się on na radę i gotuje swój raport. Z powodu tłoku byliśmy zmuszeni stanąć na chwilę przy nim. Zmierzył on nas okiem pogardliwie i znowu zagłębił się w swoich papierach.

Dostaliśmy się na ulicę, prowadzącą wprost do jednej z bram „zakazanego miasta“. Wielką miałem ochotę rzucić okiem w głąb tego grodu; a ponieważ wrota były otwarte, pozwoliłem sobie tej niedyskrecji. Nie zobaczyłem tam jednak nic szczególnego. Pekin, zachowany do wyłącznego użytku cesarza, wydał mi się jak dwie krople wody podobnym do Pekinu zwykłych śmiertelników.

Wstępujemy na wierzch muru i stajemy na szczycie wielkiej bramy środkowej, która prowadzi z miasta chińskiego do tatarskiego. Brama ta nazywa się Chien-Men. Patrzymy ku północy. U stóp naszych lepianki z gliny: to dzielnica Korejczyków; nieco daléj las, którego ogromne drzewa okryte są kurzawą; nad tą ruchliwą zielono-matową massą z szarém odcieniem wznosi się, po prawej stronie, wieża cerkwi missji rossyjskiéj. Wprost przed

nami żółte dachy cesarskiego pałacu: grupa budynków tworzących kwadrat i otoczonych ogrodami; najpiękniejszą jej ozdobą sztuczna góra; jest to najwyższy punkt w Pekinie. Niedaleko miejsca gdzie się znajdujemy leży brama, wiodąca do miasta cesarskiego: widzę ją przed sobą i dziwię się lichemu jej pozorowi. Zresztą tak jest przyjętém u Chińczyków: bogactwo kryje się tu pod pozorem nędzy. Po za miastem zakazaném, w odległości, która się wydaje bardzo znaczną, widać dwie niedokończone wieże kościoła zwanego francuzkim, bliżéj po lewéj stronie wystaje po nad drzewa katedra portugalska. Po obu stronach bramy, na której stoimy, ciągną się ogromne mury, dzielące jedno miasto od drugiego; mur zewnętrzny, szerokiemi uwieńczony blankami, opiera się na potężnych przecznicach; ogólny jego rys jest jednostajny, ale budowa to olbrzymia. U podnóża jej wzdłuż rowu idą w jedną i drugą stronę szeregi wielbłądów.

Obróciwszy się na południe, spostrzegamy więcej ożywiony obraz. Wspaniały most z białego marmuru prowadzi do miasta chińskiego i na długą ulicę zawsze pełną przechodniów, wozów i pociągowych źwierząt. Jest to dzielnica przemysłowa. Na widnokręgu, wprost naszej bramy, wznosi się po nad wstęgą drzew potrójny dach świątyni Nieba. Ku południo-zachodowi uderza nasze oczy wytworna o kilku piętrach pagoda. Za nią rozpościera się pole piaszczyste, po którém swobodnie hulają wiatry północne i wschodnie, rzucając tumany kurzu na zewnętrzny mur i na miasto. Pod murem leżą całe stosy naniesionego w ten sposób piasku, miejscami prawie tak wysokie, jak ów wał, lecz za pierwszym lepszym wichrem wszystkie te wydmy zamieniają się znowu na drobne atomy. Nic smutniejszego nad krajobraz z okolic Pekinu. Jest to step bez końca i granic. Widnokrąg zlewa się z atmosferą zawsze pełną kurzawy. Dla tego też widać tam niekiedy wierzchołki gór, ale ich podnóża rzadko.

Pekin jest obozem barbarzyńców, biwakujących w około namiotu swego wodza i dających przytułek tym, co uprawiają ziemię. Koczownik proteguje tu rolnika. Oto właśnie Azja; i pojmuję dla czego w wyobraźni ludów, zamieszkujących środkowe jej wyżyny od Uralu do Kaszgaru, od Kiachty do Hindukuszu, Pekin uchodzi za miasto miast, za raj ziemski, za środek świata. Dla mnie jest on pierwowzorem dawnych stolic biblijnych. Jest to Babilon lub Niniwa, gród wielki, heroiczny, barbarzyński . . . .

Bar. Hübner. Przejażdżka w około świata. 1871.

49. Życie chińskie.

Chińczycy strzygą włosy na głowie bardzo krótko, zostawiając je tylko na ciemieniu i te zaplatają w warkocz. Strój chiński osoby wyższego stanu kosztuje nie mało. Jeden z podróżnych, który bawiąc długo w Pekinie, uznał za stosowne przebrać się po chińsku, wydał na to przeszło 500 rubli i włożył na swoją osobę przybory następujące. Białe niciane pończochy z wypchanémi podeszwami, a na nich trzewiki czarne z chińskiego atłasu, spodnie, a raczéj nakolenniki jedwabne, przytwierdzone podwiązkami, suknia wierzchnia jedwabna podbita barankami, pas z grubego sukna błękitny, kołnierz bobrowy i mała okrągła czapeczka atłasowa, z czerwonym jedwabnym na wierzchu guzikiem i gęstym spadającym na dół kutasem. Ubranie zimowe stanowi wierzchnia suknia błękitna z grubego sukna z podszewką jedwabną, futro wiewiórcze, kryte błękitną jedwabną materją z naszywami bobrowémi i rozporami z przodu i z tyłu; do niego osobny kołnierz bobrowy. Na to wszystko wdziewa się krótki płaszcz, z szérokiemi i krótkiemi rękawami. Futro ściąga się pasem jedwabnym, z naszywami z czarnego atłasu, który służy i do innych sukni. U tego pasa wisi siedem lub osiem małych torebek; w jednéj jest zegarek europejski, w drugiéj, chińska kamienna tabakierka z miałką jak pył tabaką i małą ołowianą łyżeczką, w trzeciéj, różne rzeczy, które Chińczycy lubią żuć po jedzeniu, w czwartéj, pieniądze i t. d. Przy tych torebkach wisi i futerał, w którym jest nóż i dwie laseczki kościane, zastępujące widelce.

Rano wstawszy Chińczyk wyciera twarz i ręce małym ręcznikiem, zmaczanym w gorącéj wodzie, potém pije herbatę, a o godzinie 9 zasiada do objadu. O godzinie 2 po południu kończą się zajęcia biórowe i inne, robią wizyty, lub udają się do teatru. O godzinie 5 wracają wszyscy do domu i zasiadają do wieczerzy, a o godzinie 9 lub 10 idą spać.

Nabożeństwem Chińczycy zajmują się nie bardzo. Świątynie chińskie, zastanawiające swoim ogromem i wielce oryginalmą budową, są opuszczone i zaniedbane. Wstęp do nich jest wzbroniony niewiernym cudzoziemcom; zaś do głównéj w Pekinie świątyni Nieba, w któréj raz na rok sam cesarz składa ofiarę i która odtąd przez cały czas zostaje pusta i zamknięta, nie wolno wchodzić nawet i wiernym, prócz cesarza, książąt krwi i osób należących do orszaku jego cesarsko-niebieskiéj mości. Mimo to wszystkie te świątynie, nie wyłączając i wielkiej świątyni Nieba, znane są cudzoziemcom,

którzy je zwiedzali i zwiedzają za pieniądze. Przełożeni stróże świątyń dostają za to bastonadę i narażając się na nią, wymagają stosownej zapłaty. W ogólności świątynie te prawie zawsze są próżne; rzadko tylko jaki urzędnik zwiedza je z obowiązkn. Wtedy przynosi z sobą wiązkę pochodni z pachnącego drzewa, zapala je przed wyobrażeniem bożka i oddaje mu kilka pokłonów aż do ziemi; podczas tego obecny kapłan uderza drewnianą pałką w tarczę metalliczną; poczém modlący się rzuca niejakie pieniądze i idzie do drugiéj, trzeciéj itd. świątyni, w których odbywa toż samo. Ludzie pospolici nawiedzają świątynie tylko w szczególniejszych okolicznościach. Z tém wszystkiém bywają w każdym miesiącu pewne uroczyste dnie, w których świątynie nawiedzane są tłumnie; ale wtedy nie idzie o nabożeństwo, lecz o handel. Podwórze świątyni zamienia się na ówczas w targowisko, rozłożone są na nich różne towary i publiczność przechadza się pomiędzy niemi od południa do wieczora, targując się z kupcami, którzy zwykle wtedy żądają cen wygórowanych. Tamże dla rozrywki publiczności występują ze swojémi sztukami kuglarze: ten chodzi na rękach, inny rzuca i łapie noże, itd. I tak zchodzi czas aż do wieczora, w którym wszyscy się rozchodzą i znowu to podwórze jest pustém aż do następującéj uroczystości, będącéj właściwie tylko jarmarkiem.

Jedno z największych w Chinach świąt bywa, kiedy słońce dochodzi 15 stopnia w znaku Wodnika. W każdém z głównych miast, wielkorządca udaje się do bramy wschodniéj i tam przyjmuje wiosnę, którą przedstawia wielka figura gliniana, mająca podobieństwo bawoła; potém następuje uroczysta processja, w któréj na tragach niosą figurę wiosny i dzieci poubierane fantastycznie i uwieńczone kwiatami i z towarzyszeniem muzyki, rozumie się chińskiéj, która nam wydałaby się prawdziwie kocią. Za przybyciem processji do pałacu wielkorządcy, ten ma stosowną przemowę, po któréj trzykrotnie uderza biczem figurę wiosny, a wtedy lud rzuca się na nią i rozbija ją. Z jéj wnętrza wypada mnóstwo małych glinianych figurek i te pospólstwo rozchwytuje, często nie bez walki. W tymże czasie cesarz oddaje cześć rolnictwu. W towarzystwie książąt krwi i najpierwszych urzędników państwa, udaje się on na przygotowane dla téj uroczystości pole, ofiaruje bogom zebrane z tego pola zboże i sam zaoruje kilka brózd, przyczém postępują za nim wszyscy wysocy dostojnicy. Podobnież cesarzowa oddaje cześć uprawie drzew morwowych i chowaniu jedwabników. W towarzystwie najpierwszych dam dworskich, udaje się ona dla złożenia ofiary wynalazcy uprawy jedwabiu; poczém

zbierają się liście morwowe, przeznaczone na żywienie cesarskich jedwabników; przytém odbywają się i inne czynności, należące do wyrabiania jedwabiu, jako to: ogrzewanie orzechów jedwabnych w wodzie, zwijanie przędziwa, itd. Z szesnastu „Przykazań Boskich“ wydanych dla ludu, czwarte ściąga się wyłącznie do wyżéj pomienionych czynności. Powiedziano w niém: Będziesz miał pieczę o swoich gruntach i morwowych drzewach, iżby ci dawały żywność i odzież.

Traktyernie są w wielkiéj ilości po miastach chińskich i urządzone dla przyjmowania wszelakiego stopnia, gości, których od rana do wieczora zawsze w nich pełno. Dla prostego ludu w ogromnéj sali ogólnéj ustawione są stoły i stołki; dla wyższéj publiczności są pokoje osobne, które zwykle wynajmują całe towarzystwa. Bogaci przejadają w traktyerniach ogromne summy i tém się chlubią. Pomiędzy innemi wyszukanemi potrawami chińskiéj kuchni niepospolite miejsce zajmuje pieczony lód, który się przyrządza sposobem następującym: Bierze się kawałek lodu i macza się go naprzód w ciasto z jaj, cukru i różnych mocnych przypraw, a potém bardzo szybko w roztopione sadło; poczém wnet ten przysmak podaje się na stół. Smakosze biorąc go do ust parzą się, a rozkąsiwszy dostają od zimna bolu zębów i w tém jest cały smak. W ogólności kuchnia chińską jest niesmaczną, bo wszystko w niéj przyrządza się bez soli i musi pływać w sadle. Gości Chińczycy raczą zawsze w traktyerniach. Po ucztach największą zabawą dla Chińczyków są widowiska teatralne, które zaczynają się o godzinie 11 z rana i ciągną się do 6 wieczorem.

Kobiety nie chodzą ani do traktyerni, ani do teatru. Po mieście zamożniejsze jeżdżą w powozach, a należące do wyższéj klassy noszone są w lektykach. Wyjście na ulicę możnéj Chinki lub Mandżurki bywa nader okazałem: naprzód postępuje jezdziec, za nim jedzie wóz na dwóch kołach, zaprzężony mułem, którym kieruje siedzący na przodzie woźnica; z jednéj i drugiéj strony idzie dwóch ludzi, którzy podtrzymują wóz, a z tyłu jedzie drugi jezdziec. Przy wysiadaniu, ponieważ bywa ono z przodu, woźnica wyprzęga muła; poczém idący obok słudzy nachylają wózek ku schodkom i wnet odwracają się tyłem, albowiem nie mogą patrzeć na oblicze swojej pani. Wyjazd pana bywa okazałym przez mnogość towarzyszących mu jezdców; zwykle jednak bywają oni w obdartéj liberji i siedzą na chudych i nędznych szkapach.

Pogrzeby chińskie są bardzo okazałe i często rujnują dziedziców nieboszczyka, którego z obowiązku muszą uczcić ostatnią posługą. Wspaniałość, na jaką tylko zdobyć się można przytém,

jest wynikiem czci, jaką Chińczycy otaczają zmarłych i następstwem rodzinnego przywiązania, które jest zasadniczą cnotą narodową w Chinach. Podróżni podają mnóstwo opisów tego widowiska, bardzo częstego w Pekinie i po innych miastach chińskich, liczących mieszkańców na miljony. Baron Hübner był w Pekinie świadkiem jednego pogrzebu urzędnika czwartéj kartegorji. Zwłoki niesiono pod ogromnym baldachinem z sukna szkarłatnego bogato, ale po barbarzyńsku, przybranym we frendzle i świecidełka; przed trumną, na pustem biało obitem krześle, niesioną była dusza zmarłego; daléj jechała rodzina w kilkunastu wynajętych pojazdach: wszyscy w żałobie: nawet wynajęci woźnice poprzyczepiali swoim szkapom białe kokardy. Rodzina i przyjaciele wyglądali bardzo ubogo. Wspaniałéj trumnie towarzyszyły liczne i bogate chorągwie, złocone i lakierowane piki, które nieśli ludzie, idący po dwóch z każdéj strony ulicy i parasole w kształcie długich jedwabnych cylindrów, karmazynowe lub niebieskie, przyzdobione frendzlami i bogato haftowane złotem, niektóre pokryte mnóstwem napisów, a drugie dziwacznemi rysunkami smoków i potworów. Co kilka kroków ludzie przybrani jak klowny, w obcisłéj odzieży, w spodniach jedwabnych szkarłatnych i w takichże czapkach, uderzali w gongi i tém regulowali pochód całego orszaku. Na przemiany też kilka orkiestr przegrywało po chińsku, to jest napełniało powietrze niemiłemi i dyzharmonijnemi dźwiękami.

Dziwny kontrast z tą pogrzebową pompą stanowiło obojętne zachowanie się przechodniów; nikt nie zatrzymywał się; zaledwo raczono rzucać okiem i to jeszcze z pewną niechęcią. Widocznem było, iż ci ludzie śpieszą się i nie lubią tłoku.

Według W. Grube i bar. Hübnera.

50. Hongkong.

Wyobraźcie sobie w wielkich rozmiarach Gibraltar, zwrócony ku północy. Naprzeciw téj skalistej wysepki leży ląd stały. Wysiadłszy wdrapałem się zaraz na najwyższy szczyt wyspy, gdzie dumnie powiewa flaga europejska. Słońce było już nizko i rzucało surowe, fantastyczne, przesadzone jakieś barwy na całą okolicę, na niebo, wodę i ziemię. Żałowałbym malarza, silącego się odtworzyć te effekta, lecz winszowałbym temu, coby tego dokonać potrafił. Na południe słońce i mgła walczą o panowanie nad wysepkami, które w tej chwili wyglądają jak czarne punkta na tle płynnego złota, objętego w srebrne ramy. Na północ leży

miasto zwane urzędownie Wiktorja, a pospolicie Hongkong. Piętrzy sie ono pod naszémi stopami i niespostrzegamy nic więcéj prócz dachów, podwórzy i ulic. Daléj port z mnóstwem fregat pancernych, korwet, kanonierek, paketbotów, będących własnością wielkich spółek, słowem z mnóstwem parowych i żaglowych statków, mniejszéj lub większéj objętości.

Naprost nas, w odległości trzech lub czterech mil, wysokie pasmo skał nagich, popękanych, barwy wpadającej w różowe i karmazynowe odcienia, co je czyni podobnémi do wielkiego koralowego naszyjnika: to ląd stały. Na zachód dwie cieśniny, prowadzące jedna do Kantonu, druga do Makao. Na północo-wschód trzecia cieśnina, przez którą przybyliśmy. Jest ona podobną do jeziora, otoczonego z jednej strony skałami lądu stałego, a z drugiéj wierzchołkami skał Hongkongu.

Widziałem gdzieindziéj bardziéj delikatne i bardziéj harmonijne efekta świetlne; równie dziwacznych atoli nigdzie niewidziałem.

Wiktorja jest to wdzięczne, sympatyczne i imponujące miasto angielskie i podzwrotnikowe razem, mięszanina pałaców i domków wiejskich. Nigdzie się tak harmonijnie nie łączą poezja natury i proza życia codziennego, komfort angielski i upająca bujność zwrotnikowa. Ulice dobrze makadamizowane, porządnie utrzymane, czyste, ciągną się wzdłuż skał, już to pośród domów, których fronty pretensyonalne kryją się zalotnie po za werandami, już śród ogrodów, szpalerów bambusowych, lub balustrad kamiennych. Jest te Wentnor, albo Shanklin, gdyby się im przypatrywać przez szkło powiększające przy blasku światła elektrycznego. Wszędzie pełno drzew, bananów, bambusów, świerków. Możnaby zwiedzić cały Hongkong piechotą, niewystawiając się na światło promieni słonecznych. Gdziekolwiek się obrócisz, wszędzie widać krzesła, używane jako lektyki. Kulis, w ogromnym słomianym kapeluszu, bierze cię na ramiona i niesie krokiem mierzonym. Rozkoszną jest taka przechadzka w otwartem krześle nocą. W dzielnicach położonych niżéj, nadzwyczajny panuje ruch; widać tam oficerów, żołnierzy sypojów, to jest krajowców, z wyżółkłą twarzą, w czerwonych mundurach, Parsów, Hindusów, Chińczyków, Malajczyków, wykwintnie ubrane damy europejskie, mężczyzny i kobiety z cerą oliwkową, ubrane na sposób europejski: są to zmieszani z krajowcami potomkowie dawnych osadników portugalskich. Natomiast im bardziéj postępuje się w górę, tém bardziéj ruch się zmniejsza; niepostrzeżenie w końcu miasto zamienia się w wieś. Jeszcze tylko parę kroków, a znajdziemy się wśród nagich skał, pokrytych wonnémi ziołami

i krzewami, wśród których ciągnie się piękna makadamizowana droga, ze wspaniałym tu i ówdzie widokiem na okolice.

Ze stanowiska politycznego i wojennego, nadzwyczaj jest wielką ważność téj wysepki od czasu, gdy się dostała w ręce swoich dzisiejszych posiadaczy. Zdaje mi się, że żaden Anglik niemoże zwiedzać tego miasta bez poczucia pewnéj słusznej dumy. Hongkong, to ręka, osady nad cieśniną Malakka, Ceylon, Aden i Malta, to ramiona, zaś Anglja, to głowa i serce tego brytańskiego olbrzyma, który dzierży południową Azję i daleki Wschód.

Bar. Hübner, Przejażdżka w około świata. 1871.

51. Japonja, Jedo.

Lud japoński jest uprzejmy, słodki, grzeczny, wesoły, uśmiechnięty. Jest to poczciwe dziecko, ale zawsze dziecko. Krajowcy niższych klas maję cerę bronzową od słońca, a niekiedy czerwono i niebiesko tatuowaną, co pod względem barw i rysunku czyni ich podobnymi do starych lak japońskich. Ludzie wszystkich klas golą sobie głowy z przodu i zostawiają tylko mały warkocz, który im się wdzięcznie chwieje po nad ciemieniem. Noszą wązkie spodnie, które latem zrzucają, a poprzestają tylko na prostéj tunice kitajkowéj lub bawełnianéj, stosownie do zamożności, a gdy są w domu, tylko na Fundashi. Od Mikada aż do ostatniego kulisa, każdy Japończyk, który się szanuje, uważa ten pas za główną część składową ubrania.

Każdy Japończyk, z wyjątkiem tylko kupców, którzy stoją na najniższym szczeblu hierarchicznéj drabiny, należy do kogoś, nie w charakterze sługi lub niewolnika, lecz jak członek klanu, całości, podzielonéj na kilka kast, a tworzącéj w gruncie rzeczy jedną wielką rodzinę, któréj głową jest książe czyli Dajmio. Ma on swoich radców, swoich lenników, Samurajów, czyli dwuszablowych rycerzy, inni bowiem mogą nosić tylko jedną szablę, oraz wszelakiego stopnia żołnierzy i oficyalistów. Każdy nosi na grzbiecie i na rękawach tuniki herb księcia lub korporacji, w któréj usługach zostaje. Jest to zwykle jakiś kwiat, lub para liter, umieszczonych wewnątrz koła. Fizyognomja zewnętrzna kraju niewielkiéj dotąd uległa zmianie.

Co się tycze kobiet, to chociaż wszyscy autorowie książek i artykułów dziennikarskich zachwycają się niemi, właściwie mówiąc nie są one piękne. Rysy mają niezbyt regularne, policzki trochę zanadto wypukłe, duże i piękne czarne oczy nazbyt wązkie

a skutkiem mięsistych warg, cała fizyognomja traci na delikatności. To wszystko jednak mniejsza: najgorszą wadą jest ta okoliczność, że młode dziewczęta, wychodząc za mąż, wyrywają sobie brwi i czernią zęby. Ale przytém są wesołe, pełne prostoty, wdzięku, naturalnej dystynkcji i jeśli wierzyć młodym autorom, którzy studjowali obyczaje japońskie w herbaciarniach Jokohamy, nad-

Japończyk.

Japonka.

zwyczaj są łatwe w stosunkach towarzyskich. Ich ubranie głowy składa się z dwóch lub trzech czarnych wstążek, zgrabnie przewiązanych i spiętych dwiema szpilkami, strój, spódnica i okrycie z szerokim pasem, tworzącym z tyłu wielki węzeł. Obuwie, małe deseczki przymocowane do wielkiego palca za pomocą rzemyczków.

Kto niewidział, ten niemoże sobie wyobrazić tego tłumu, który się snuje po ulicach, z ciągłym uśmiechem na ustach i w bezustannych wzajemnych ukłonach. Jeżeli chodzi o jaką wielką figurę, ten tłum korzy się, ale z taką zwinnością i godnością, że ten objaw zdaje się tracić wszystko, co jest w nim poniżającego i przybiera tylko charakter nieco przesadzonej grzeczności i uszanowania. Na ulicy, która swoją nadzwyczajną czystością wprawia w zdumienie, rozglądasz się i w prawo i w lewo, żałując, że niemasz stu oczu dla lepszego objęcia tych wszystkich scen. Wtém uszu twoich dobiega miarowy hałas i śpiew, albo raczéj krzyk

kulisów, którzy u długich bambusów na swych atletycznych barkach niosą jakieś pudła. Po tatuowaném ich ciele pot spływa; prócz małéj w około bioder opony zupełnie są nadzy; i oni się uśmiechają; podczas krótkich wypoczynków gawędzą wesoło i prawią sobie nawzajem grzeczności.

Jedo stolica Japonji i jedno z największych miast na świecie, zajmujące 36 mil kwadratowych i mające około 2 miljonów mieszkańców, dopiero od lat 7 zostało otwartém dla cudzoziemców i dokładnie przez nich poznaném. Wyobraźcie sobie pagórkowatą równinę, którą z południa obmywają nizkie wody obszernéj zatoki, z północy i ze wschodu ograniczoną przez piękną i szeroką rzekę, a na samym południowym krańcu przeciętą równolegle do morza łańcuchem niewysokich wzgórzy. Mniéj więcéj w samym środku téj równiny, choć nieco bliżéj morza, wznosi się zaokrąglony kopiec, mający 3 do 4 mil obwodu. Na północo-wschodzie od wielkiéj rzeki, ciągnie się drugi szereg pagórków w kierunku zachodnim. Oto grunt, na którym leży stolica Japonji. Rzeka nosi nazwisko Sumidagawa. Na kopcu wznosi się dawny zamek Sziogunów, który od lat 7 jest rezydencyą Mikada. Lesiste wzgórze na północo-wschód zamku zowie się Meno i obejmuje świątynię, wraz z grobowcami niektórych dawnych monarchów Jedo. Drugie wzgórze na południu, zwane Shiba, zawiera wspaniałe pomniki grobowe innych Sziogunów. Między wzgórzami, na około nizkiego stożka, podtrzymującego zamek cesarski rozciąga się miasto. Jego granice są: na północy Sumidagawa, która zakręciwszy się wpada do morza, na wschodzie pola, na południu zatoka, na zachodzie drobne dolinki, pełne drzew iglastych, bambusowych, ryżowisk, zlewające się prawie z miastem. Na wschodniej stronie rzeki leży duże przedmieście Hondjo. Na południowo-zachodnim krańcu miasta wielkie sioło Shinagawa, będące dalszym ciągiem przedmieścia Tanagawa.

Jedo dzieli się na cztéry części: Jiro, Sotojiro, Midżi i Hondjo.

Jiro jest to zamek cesarski. Mury tylko zewnętrzne widzieć można. Odwieczne drzewa, sadzone ręką wielkiego Taiko-Samy w końcu XVI. wieku, zakrywają przed okiem profanów miejsca, w których dziś synowie bogów mieszkają. Na stokach kopca rośnie murawa zawsze świeża i zielona, dokoła ciągnie się szeroki kanał, który w lecie pokrywają kwiaty lotosu. Do wnętrza tych świętych miejsc żaden śmiertelnik zajrzéć nie może, prócz dworzan i wielkich dygnitarzy. Czasami w rzadkich chwilach zbliżenia się do osoby cesarza, wpuszczają tam i cudzoziemskich ministrów.

Naokoło Jiro ciągnie się Sotojiro. Tutaj wznoszą się Yashki, to jest pałace wielkich dostojników dworu, ministrów i nakoniec

Dajmiosów, którzy niegdyś, podlegając władzy Sziogunów, obowiązani byli co rok przez sześć miesięcy mieszkać w Jedo. Dzielnicę Sotojiro odgranicza szeroki kanał, tworzący nieforemne koło. Tylko w stronie wschodniéj sięga ona aż do Sumidagawy. Ta część Sotojiro posiada długie ulice i mnóstwo uliczek poprzecznych, krzyżujących się z głównémi arterjami. Jest to dzielnica wielkiego handlu, którą Anglicy słusznie nazywają „City“. Pięknością i ele-

Tajkun (cesarz japoński) i jedna z żon jego w galowym ubiorze.

gancją swoich sklepów, ożywieniem, tłumnym od rana do wieczora ruchem, tworzy ona szczególny kontrast z prostokątnemi gmachami pałaców, dziś po większéj części zamkniętych, z ciszą i osamotnieniem dzielnicy arystokratycznéj.

Na północ, na zachód i na południe Sotojiro, leży Midżi czyli właściwe miasto; kilkanaście mostów, na silnych arkadach, utrzymuje komunikację między témi dwiema dzielnicami. Najsławniejszy jest Nipon-bashi, to jest most japoński, tak nazwany dla tego, że przezeń idzie wielka droga cesarska, przecinająca wielką wyspę Nipon od samego krańca południowego wprost Kiusiu, aż do krańca

północnego wprost Hakodate na wyspie Jesso. Droga ta wewnątrz miasta zowie się Odori, to jest ulica wielka. Nipon-bashi stanowi geograficzny środek państwa. W urzędowych obliczeniach od tego miejsca liczą się odległości, do wszystkich miast i wsi w Japonji. Midži jest labiryntem ulic ludnych i pustych, ogrodów, sadów, pól ryżowych, parków i świątyń, z których najpiękniejsze są Asakusa na północo-wschodzie i Shiba na południo-zachodzie. Najbardziéj ożywionémi częściami Midži są Odori i inne ulice, równoległe do morza; w innych miejscach jest tak pusto jak na wsi. Na północ Tanagawy miasto znika wśród gajów i pol, zasianych ryżem. Na południu, nad samém morzem niedaleko ujścia wielkiéj rzéki, powstała od kilku lat Tsukiji, dzielnica cudzoziemców; otoczona i przecięta licznemi kanałami, ale pozbawiona sadów i drzew, wygląda dość posępnie. Znajdujemy tu wielki hotel akcyjny, nędznie naśladujący amerykańskie karawanseraje, domy mieszkalne konsulów i kilkudziesięciu przebywających tu stale cudzoziemców i nareszcie skromną restaurację francuzką, którą właściciel szumnie zatytułował „Hotel de France“.

Na lewym brzegu Sumidagawy leży przedmieście Hondjo. Tutaj w pobliżu znajduje się mnóstwo herbaciarń, oraz Hatagoyów, to jest dosłownie „miejsc spoczynku“. Daléj nieco wielkie magazyny rządowe i pałace Dajmiosów. Na północnym krańcu mieszkają Etasy, Jetasy, rasa przeklęta, japońskie parjasy.

Oto ogólna fizyognomja Jedo. Co zaś do żywiołów, z których się składa ten dziwny i tak nowy dla przybysza obraz, naliczyłem ich cztéry, powtarzające się bez końca. Te zasadnicze elementa są: świątynia, Yashki, czyli rezydencja Dajmiosa, dom prostego obywatela i magazyn ogniotrwały.

W świątyni spotyka się najczęściéj charakter buddyjski. Jedo jest przedewszystkiém miastem Szioguńów; oni budowali to miasto i zrobili zeń stolicę państwa. Wiadomo zaś, że Szioguni opiekowali się zawsze buddaizmem i praktykowali go.

Yashki są tylko z nazwiska pałacami. Są to grupy domostw, otoczone jednopiętrowémi oficynami, pozbawione wszelkich zalet architektonicznych, pobielone wapnem, z oknami zaopatrzonémi w czarne drewniane kraty. Budynki te służą jednocześnie za mury zewnętrzne i za mieszkania dla dworzan i sług pańskich. Nizkie i jeśli tylko położenie zezwala, prostokątne, mają wielkie podobieństwo do składów na towary, lub do koszar. Dach ułożony z czarnych cegieł, obwiedzionych białym paskiem. Są to dwie barwy panujące w Sotojiro.

Zwyczajny dom mieszczański w Jedo, jak i w całéj Japonji,

jest to ciężki dach, oparty na filarach i zupełnie otwarty od ulicy i podwórza. Na noc zamykają go ruchomémi opuszczanemi ścianami. Gdzie są okienka, to składają się z ram, zaklejonych białym papierem. Przechadzając się po ulicy, swobodnie zaglądamy wewnątrz; całe życie domowe widzimy jak na dłoni; nic bo niema potrzeby ukrywać. Oto para kobiet, obnażonych w téj porze aż do pasa, zajmuje się kuchnią; mężczyzni, zupełnie nadzy, prócz fundoshi, czyli chusty koło bioder, leżą na podłodze i palą fajki; dzieci igrają w półcieniu; w jednym kącie płonie ogień, w drugim na małym ołtarzyku stoją penaty domowe, lampka, kwiaty i mnóstwo małych papierków; na kwadratowym stoliczku kilka filiżanek; herbata stoi gotowa od rana do nocy; sprzętów niema żadnych, ale za to piękne maty; wszystko czyściuteńkie. Jeżeli dom zawiera w sobie sklep, to zwykle górne piętro, zbudowane z drzewa tak, iż wszystko przez nie widać i zaopatrzone balkonem, służy za magazyn.

Prócz tych konstrukcji są jeszcze, jak powiedziałem, magazyny ogniotrwałe. Taki magazyn stanowi rodzaj nizkiéj baszty drewnianéj, pokrytéj warstwą cementu, podobnego do stiuku i pomalowanej czarno. Okienka w niéj małe, zamykane ciężkiémi żelaznémi okiennicami. Każdy taki budynek jest miejscem składu kosztowności podczas pożaru lub burzy. Mieszkańcy czémprędzéj wnoszą doń drogie przedmioty, zamykają i uciekają co sił starczy, nie troszcząc się o burzę, ogień, lub trzęsienie ziemi.

Wymienione powyżéj czworakie budynki nadają całemu Jedo właściwą fizyognomję. Wyobraźcie sobie świątynie, rozrzucone wszędzie, Yashki, ugrupowane naokoło cesarskiego zamku, dość pospolite w Hondjo, a bardzo rzadkie na południo-wschodzie miasta, wyobraźcie sobie nieskończone mnóstwo małych domków, a wszystkie do siebie podobne i w handlowéj dzielnicy Sotojiro gęsto przeplatane czarnémi basztami, wyobraźcie sobie nakoniec ulice, nie szerokie w istocie, ale wydające się szerokiémi z powodu małego wyniesienia nad poziom budynków, te ulice pełne mężczyzn, kobiet z ludu (bo damy wielkiego świata wcale się nie pokazują), dzieci, przepełnione ociemniałymi, Norimonami, Kanghami, Jinrikizhami. Norimon i Kangho zastępują miejsce palankinu; pierwszy jest to kosz zamknięty, drugi kosz otwarty, zawieszony na drągu bambusowym, trzymanym przez kulisów na barkach. Jinrikisha jest to powóz, nowy dla Japonji, znany dopiero od lat kilku, a już po samém Jedo krąży takich pojazdów przeszło dwadzieścia tysięcy. Jest to wózek o dwóch kołach, pięknie lakierowany, pokryty białą budą i ciągniony przez jednego człowieka. Wynalazca

tego wózka dorobił się dużego majątku. A teraz wyobraźcie sobie jeszcze długie szeregi tych wózków, w których siedzą kobiety, bonzy, śpiewaczki, tancerki dziwacznie ufryzowane, jedném słowem Japończycy i Japonki zupełnie takie same, jak na porcelanie lub wachlarzach, wyobraźcie sobie to wszystko, a będziecie mieli pojęcie o wielkiéj stolicy dalekiego Wschodu. W dzielnicach bogatych, gdzie nadzieja zyskownych łupów przynęca złodzieji, pełno na ulicach odwachów i rogatek; są one zamykane na noc, co wielce przeszkadza cyrkulacji ludzi, nie tamując bynajmniéj drogi łotrom. Wreszcie śmiało powiedzieć można, że w całéj Azji niema drugiego wielkiego miasta, któreby mogło się porównać z Jedo pod względem czystości. I w Europie niewiele się znajduje miast równie porządnych.

Jedo ma także cechę pomyślności i wesela, która przyjemne robi wrażenie. Codziennie w kilku dzielnicach przypada uroczystość jakiegoś boga. Przed domami na drzewach bambusowych urządzają ognie sztuczne; przed świątyniami wznoszą słupy do wdrapywania się i igrzysk gimnastycznych; bonzy snują się tłumnie po ulicach, mieszczanie stają przed sklepami i patrzą na przechodzące ulicą processje. Jest to wyborny pretekst do próżnowania; ale ryżu przecie nie brak, ludzie poprzestają na małém i w staréj szczęśliwéj Japonji nieznane są zarówno bogactwo, jak niedola.

Hübner. Przejażdżka w koło świata. 1871.

52. Wulkany błotniste i siarkowice na wyspie Jawa.

Jawa, jedna ze czterech najwspanialszych świecideł największego i najpiękniejszego na ziemi zbiorowiska wysp, jest zaprawdę pięknością straszliwą, podobną do gadziny błyszczącej najświetniejszémi barwami, a zbrojnéj śmiertelnym jadem, któréj wzrok odurza i swoim czarem wabi do śmierci. Wyspa ta zdumiewa olbrzymią działalnością sił przyrody, która przypomina pierwsze młodzieńcze wieki naszéj ziemi i któréj gwałtowność jest zarówno życiodawczą, jak zabójczą. Widzimy tam największą ilość wód lądowych, któremi przesiąkła ziemia staje się błotnistą, przy największej ilości nieustannie czynnych wulkanów i w skutek tego ciągłe najbliższe zetknięcie się i najsilniejsze działanie na siebie dwóch przeciwnych żywiołów, których ustawiczna walka wzrusza tam gwałtowniéj, niż gdziekolwiek obejmującą je powłokę ziemską,

niszczy i wywraca jéj kształty zewnętrzne i zamienia ją w rozburzoną i dymiącą się massę błota. Na tym wrzącym nadmiarem fizycznego życia gruncie, rozruszanym ciągłemi przewrotami, unawożonym wulkanicznemi wyrzutami wszelakiego rodzaju, polewanym całą obfitością swoich wód i palonym promieniami równikowego słońca padającemi bez cienia, rozwija się najbujniejsza i w krajach równikowych, roślinność. W pośród upajającego jej przepychu, kwiatów i owoców, których tylko mdłe naśladowanie widzieć możemy po cieplarniach, olbrzymich drzew, których nieobaczymy i w cieplarniach, a możemy poznać tylko z opisów i drzeworytów, zaś pomiędzy którémi są i jadowite, lęgną się tam w przerażającém mnostwie ogromne drapieżne źwierzęta. Tam obok poważnych, rozumnych i nieszkodliwych słoniów jest oraz ojczyzna krwawych tygrysów; tam na każdym kroku z pod najokazalszych i najpiękniejszych róż, kaktusów i innych cudów flory podrównikowéj, przeziera okropny łeb najjadowitszej żmiji. Tam klimat jest, że tak powiemy, zbyt silnie rozkosznym; upały równikowe miarkowane są przez wpływ tuż będącego oceanu i rzeźwiące od niego powiewy; lecz przytém srożą się tam burze, obok których wszystkie nasze wydać się mogą prawdziwie dziecinną igraszką żywiołów. Tam to na niewielkiéj przestrzeni 2326 mil kwadratowych znajduje się przeszło 100 wulkanów i to rozmaitych. Wiele z nich już zgasło, lecz jeszcze wiele jest czynnych. Jedne z nich grożą ognistą lawą, drugie smrodliwém błotem, a obok nich mnogie siarkowice zieją duszącemi wyziewami.

Niektóre wulkany znane są z wyrzutów wody i błota. Napełniające ich kratery wody, rozgrzane do wysokiego stopnia, przesycone gazami i zmięszane z popiołem i różnemi częściami stałemi, tworzą rodzaj błota wulkanicznego, którego potoki sprawiają spustoszenia większe, aniżeli potoki lawy, przez to, iż biegną prędzéj i rozlewają się na przestrzeń daleko większą.

Burzące działanie wybuchu na budowę samego wulkanu bywa też daleko większém od wody, aniżeli od saméj lawy, tak, iż najczęściéj taki wybuch wywraca ze szczętem wulkan, zamieniając go w bezładną, błotnistą i dymiącą się ruinę, podobną do rozpękłego wrzodu na okrywającej ziemię skórze.

W skutek takiego rozkładającego działania pary wodnej i gazów na skorupę ziemską, które daje się widzieć szczególniéj przy wulkanach błotnistych i siarkowicach, nieraz tworzą się około nich dziury szerokie i głębokie, napełnione błotem gorącém i przesyconém kwasem siarczanym i węglowym. Przeto zwiedzający takie wulkany i siarkowice powinni mieć się bardzo na baczności, aby

nie wpaść w jakie takie trzęsawisko, gorsze i niebezpieczniejsze od wszelkich innych.

Najznakomitsze wybuchy błotniste, z któremi wszelkie inne ani mogą iść w porównanie, są na wyspie Jawa. Tam pary wodne w ilości nadzwyczajnéj, zmięszane z wielką ilością gazów w temperaturze podniesionéj, wywierają nadzwyczaj silne działanie na otaczające je ciała stałe. Niszczą one wszystkie skały, rozkładają je w rozmaity sposób i zamieniają na proch, na rzadkie ciasto, tworząc z nich całkiem nowe związki chemiczne. Powstaje ztąd w głębi krateru massa błotnista, która coraz się powiększa kosztem rozkładanych przez nią skał i w końcu napełnia całe wnętrze wulkanu. Wtedy, nie mogąc się oprzeć ciągłemu działaniu rozpierającéj ją pary, sprawia ona wybuch i w tém wysileniu najczęściéj rozsadza górę, któréj już poprzednio stoczyła wnętrze.

Następują wówczas straszliwe wylewy, już nie law, jak w zwyczajnych wulkanach, lecz ogromnéj ilości wody wrzącéj, przesyconéj kwasem siarczanym wraz z gęstym mułem, niszczące wszystko co napotykają i zalewające całe okolice błotem siarczaném, które nazywają Buah. Taki wypadek nastąpił w r. 1822 przy wybuchu wulkanu Gallung Gung. W pośród trzęsienia ziemi i przerażającego łoskotu, góra ta zniżyła się, wierzchołek jej zaczął się zapadać, chylić i w końcu całkiem się przewrócił. Z rozpadłych jej boków wypłynęły potoki wody gorącej, błotnistej i przesyconej siarką i zalały całą okolicę tak, iż wielka liczba mieszkańców zginęła w tym śmierdzącym potopie. Toż samo nastąpiło z wulkanem Teszem, w którego kraterze utworzyło się przedtém jezioro siarczane. W r. 1817 góra ta zawaliła się zupełnie, a jej wody kwaśne spustoszyły kawał kraju. Zapewne podobném do tego było i zapadnięcie się wulkanu Papandajan. Ta przedtém najwyższa na wyspie góra zawaliła się całkiem w r. 1772 i pociągnęła za sobą 40 wsi zbudowanych na jej stokach, pozostawiwszy po sobie błotniste jezioro.

Wyspa Jawa posiada nadto siarkowice, najznakomitsze ze wszystkich, jakie istnieją gdziekolwiek. Leżą one jedna obok drugiéj na stokach gór Gunong Prahu i na wyżynie Dieng i warte są szczegółowéj wzmianki.

Kawa Scorodevi, czyli Telaga Tringo, to jest jezioro Tatarakowe, leży w pobliżu wsi Batur. Zdaleka już widać w lesie podnoszący się słup dymu i słychać szum. Jeden i drugi wychodzi ze skały ciemnéj w kształcie półkola i wysokiéj na 40 stóp, która u podnóża ma zagłębienie w postaci kotłowiny, mające 15 stóp w średnicy. Znajduje się w niém woda w stanie wrzenia; we

środku podnosi się ona do 4 i 5 stóp w górę i wydaje gęstą parę, niemającą żadnego zapachu i zbierającą się w grube obłoki. Niżéj cokolwiek znajduje się kilka mniejszych otworów. Głuchy szum, syczenie i huk podziemny dają się słyszeć nieustannie w tém miejscu, wzniesioném na 6238 stóp nad poziou morza. Woda ma temperaturę 66° R.

Niedaleko ztamtąd leży sławna dolina śmierci: Pakereman, albo Sitsimat, w któréj znajduje się siarkowica, wydająca w bardzo znacznéj ilości zabijające gazy siarczano-węglowe. Jej paszcza ziejąca śmiercią jest w kształcie głębokiéj kotliny i leży na bardzo stroméj pochyłości góry tak, iż tylna krawędź jej wznosi się o 100 stóp wyżej od przedniéj, gdzie jest do niéj przystęp. Dokoła są gęste zarośla. W głębi krateru nie widać nic, prócz gołych skał i kamieni. Siarkowica ta leży na wysokości od 200 do 300 stóp. Krater jéj ma do 300 stóp w średnicy. Trujące jego wyziewy, całkiem niewidome, zdaje się bywają w pewnych porach silniejsze i słabsze; zawsze jednak zabijają one w jednéj chwili mniejsze źwierzęta i ptastwo; zaś większe i silniejsze wytrzymują je nie długo. To też do koła tego miejsca, będącego postrachem całéj okolicy, zalegają ziemię kościotrupy ptaków, kóz, jeleni, tygrysów, a nawet kości ludzkie, gdyż wszystko dusi się i ginie w tém siedlisku spustoszenia.

O kilka mil od Batur, w stronie północno-wschodniéj, leży bagnista siarkowica Telega Leri. W pośrodku otoczonej wysokiémi górami i przepaścistéj doliny, dają się tam widzieć powstałe w skutek trzęsień ziemi liczne i rozmaitéj wielkości lejkowate zapadliny. W najgłębszém takiem miejscu znajduje się krater, z którego biją źródła wody siarczanéj i gorącéj i rozlewając się dokoła, tworzą ziejące parą bagnisko. Wszystkie skały i kamienie roztoczone są przez nie i zamienione w glinę, w rzadkie ciasto. W miejscach płębszych woda bagniska jest czystą i zimną, ale gdzie tylko napotykają się bijące źródła, których liczba jest nader wielką, tam woda ma temperaturę 45°, 54°, a miejscami i 64° R. i bywa mętną. Niemożna prawie kroku stąpić, żeby nie natknąć się na te strumienie, z których sycząc wydobywa się para, z bardzo słabym zapachem siarki i rozpościera po całéj dolinie grubą, ciepłą i przenikającą wilgocią mgłę, jak w parowéj łaźni. Całe bagnisko, z będącym w środku jego kraterem, rozciąga się od północy ku południowi przeszło na 700 stóp.

Wyżyna Dieng, w pośród któréj na wysokości 6296 stóp leży wieś Dieng, najwyższe zamieszkałe przez ludzi miejsce na całéj wyspie, tworzy okrytą zielonością płaszczyznę, otoczoną zewsząd na-

kształt krateru wyniosłą ścianą gór, których pochyłości przyodziewają bujne i cieniste lasy. W południowym jej końku leży krater siarkowicy Kawa Diondro di Muka, mający około 1000 stóp w średnicy i zamknięty górami od północy i południa. Jest on całkiem ukryty w lesie, ale już z daleka oznajmuje go woń siarki. W pośród pobielałych skał i kamieni daje się tam widzieć wielka ilość dziur, szerokich od 20 do 30 stóp, napełnionych szlamem siarczanym i mnóstwo źródeł, z których bije i sączy się woda mętna, przesycona siarką i mająca temperaturę 73° R. Z tych wszystkich dziur daje się też słyszeć nieustanny szum, warzenie się i bełkotanie wody i podnoszą się gęste pary ze słabym zapachem siarki.

Niedaleko ztamtąd leży druga siarkowica trująca Kawa Pakkuodio, czyli Goa Upas, w ogromnéj wpadlinie na pochyłości góry. Wnętrze jej paszczy napełniają kawalce rozbitych skał i kamieni. W pośród nich znajdują się liczne dziury, z których największa ma 15 stóp w średnicy. Ze wszystkich, a szczególniéj z największéj, wydobywa się bez żadnego szmeru i całkiem niewidzialny, zabójczy gaz siarczano-węglowy.

Oprócz tych znajduje się na wyspie Jawa jeszcze kilka siarkowic, wydających podobne do wyżéj wzmiankowanych wyziewy.

S. Str.

53. Kanał Suez.

Afryka jest teraz zupełną wyspą, ze wszech stron oblaną słonémi wodami morza. Granicę jéj od Azji od 17 Listopada 1869 stanowi kanał Suez.

Ciekawe są dzieje tego przedsięwzięcia, które okazuje, jak silnemi bywają dawne tradycje. Odwieczny pomysł przekopania międzymorza zajmował już Faraona Nechao około r. 615 przed Chr., według niektórych zaś jeszcze przed nim Sezostrysa, następnie cesarza rzymskiego Trajana, a po nim kalifa Omara. W ostatnich czasach stał się on ulubioną myślą Francuzów i przez Napoleona I, który chciał wykonać go w roku 1798, będąc jeszcze generałem Bonaparte, został przekazany Napoleonowi III. Wiele było zdań za i przeciw wykonalności tego przedsięwzięcia. Wreszcie najnowsze badania na miejscu usunęły błędne przypuszczenia o różnicy poziomu dwóch morz; zaś przeszkody techniczne musiały ustąpić przed wydoskonaloną znajomością inżynierji tegoczesną. W r. przeto 1854 inżynier francuzki Ferdynand Lesseps, zhołdowawszy dla swego projektu opiniję publiczną i ze środkami, jakich

dostarczyło mu zawiązane dla wykonania go towarzystwo akcyjne, otrzymał od ówczesnego wice-króla Egiptu Saida Paszy pozwolenie na prowadzenie budowy, która była rozpoczętą w r. 1859. Nieraz dokonanie dzieła okazywało się wątpliwem; nieraz brakło pieniędzy i akcyonaryusze bywali zmuszeni wnosić dopłaty; lecz wreszcie przedsięwzięcie zostało dokonaném i jakiekolwiek losy czekają go w przyszłości, Lesseps będzie zawsze liczonym do najśmielszych pionierów nauki praktycznej. W każdym razie miał on zawsze gorliwe poparcie i opiekę silnego rządu, który nie bez słuszności w dokonaniu tego przedsięwzięcia upatrywał chwałę Francji cesarskiej. Lecz przez lat 15 musiał on z żelazną wytrwałością zwalczać trudne do pojęcia przeszkody, które przemógł wszystkie i teraz cieszy się spełnieniem wielkiego dzieła, któremu jakkolwiek jeszcze niejednego braknie, już w istocie jest zrobioném.

17 Lutego 1867 statek austryacki Primo pierwszy bez ładunku przejechał kanał w całej jego długości. 30 Listopada 1868 Monitor francuzki ogłosił doniesienie, iż francuzki okręt Levrette, w drodze do wysp Komorskich, przepłynął kanał. 18 Marca 1869 w obecności wice-króla Egiptu i księcia Walji wprowadzone były z pożądanym skutkiem wody morza Śródziemnego do jezior gorżkich, które przerzyna kanał. Wreszcie 17 Listopada tegoż roku miało miejsce uroczyste otwarcie kanału, które uświetnili swoją obecnością cesarzowa francuzka, cesarz austryacki, książe następca pruski i inne książęce osobistości.

Kanał zaczyna się u Portu Said nad morzem Śródziemném, ma długości 162 kilometry (22 mil niemieckich) a głębokości 8 metrów (25 stóp). Zamierzona szérokość 100 metrów jeszcze jest nie wszędzie, a ogranicza się w miejscach trudnych, jak naprzykład pod El Ferdane, El Guisr, El Schaluf, do 58 metrów; i dno kanału, mające być szérokiem na 44 metry, ma w tych miejscach tylko 22. Przeto nie mało jeszcze pozostaje do roboty.

Port Said, stworzenie Lessepsa, leży na smutném piaszczystém pobrzeżu. Dziś jest to miasto zupełnie europejskie, mające 15,000 mieszkańców, pomiędzy którymi, obok Egipcyan, przemagają Francuzi, Austryacy, Włosi i Lewantyńcy. Są tam meczety, kościoły, szpitale, hotele, kawiarnie, a między niemi i cafés chantants; przebywają w niém gubernator i konsulowie różnych państw. Port nowo stworzony jak i miasto, ma latarnię, warsztaty okrętowe, i zamknięty jest przez dwie tamy, zbudowane ze sztucznych kamieni po 10 metrów sześciennych objętości i 400 centnarów wagi. Za materjał do tych olbrzymich tam, z których wschodnia jest

krótszą od zachodniéj, służył wydobywany przy kopaniu kanału piasek, który mięszano z cementem. To miasto ma wielką przyszłość; już teraz jest ono stanowiskiem dla parowców; krążących po morzu Śródziemném i może prześcignąć Aleksandrję, tak jak ta prześcignęła Rosettę i Damiettę.

Od Portu Said kanał idzie wprost na południe, przerzynając jezioro Mensaleh, do El Kandara i tu na rozciągłości 45 kilometrów (6 mil niemieckich) przechodzi między tamami, które, jakkolwiek budowane z wydobytego błotnego materjału, są zupełnie mocne i trwałe. Tu wreszcie było jeszcze najmniéj trudności. Daléj na południe, po przebyciu jeziora Mensaleh od El Kandara, kanał przechodzi przez jezioro Ballah aż do El Ferdane i tam pod El Guisr napodyka grunt stały i znacznie podniesiony, mianowicie od dna do 50 stóp. Tam przeto roboty były większe, które dokonać się dały tylko po wyłożeniu ogromnych sum, pracą wielu tysięcy rąk i olbrzymich machin. W tém miejscu, jak już nadmieniono, kanał ma mniejszą od zamierzonej szérokość. Dalsze roboty ułatwiło znowu małe jezioro Timasah, leżące prawie w środku całej rozciągłości kanału. Na północnym brzegu tego słonego jeziora, otoczonego pięknemi wiejskiemi domkami, leży główne miasto kanałowe Ismailja, w którém znajduje się cały zarząd kanału i piękne mieszkanie p. Lessepsa. Miasto założone r. 1862 ma dziś do 7000 mieszkańców, których trzecią część składają Europejczycy, piękne ogrody, położenie w ogólności zdrowe i pod każdym względem jest najprzyjemniejszém miejscem nad kanałem, który dotychczas przechodził same tylko smutne pustynie. Po raz pierwszy napotykamy tu jedno z najważniejszych dzieł, bez którego cała robota kanału pozostałaby urojeniem; to odkrycie w r. 1864 kanału wody słodkiéj, który od Zaggazig prowadzi wodę ze wschodniej odnogi Nilu do Ismailji i Suezu. Co było najniezbędniejszą potrzebą w jéj pustyni na całej przestrzeni kanału, to było dostarczoném przez ten nowy kanał boczny, który zapewnił dalsze roboty, a prócz tego służy i do przewozu, a nadto gdzie tylko wylewa swoje wody na pustynię, tam cudownym sposobem tworzy na niej żyzne oazy.

Z południowego końca jeziora Timsah, kanał, mając szerokości tylko 58 metrów, wchodzi w trudne do przebycia grunta Tossum i Serapeum. Tu należało nietylko przebijać wzgórza, wysokie na 30 stóp (54 stóp od dna), ale i kopać się w ruchomych piaskach, zawsze grożących zasypaniem. W tém miejscu kanał ma tylko w samym środku głębokości od 6 do 8 metrów. Po przebyciu wydm piaszczystych Tossum i Serapeum, bierze on kierunek połud-

niowo-wschodni i przerzyna jeziora gorżkie około 40 kilometrów długości i 4 do 12 szerokości, wyschłe naczynia wody słonej, których poziom leży na 4 do 12 metrów niżéj od poziomu morza. Teraz je wypełnia woda z morza Śródziemnego, któréj weszło tam 2000 miljonów metrów sześciennych.

W jeziorach gorżkich inżynierowie mieli robotę łatwą; ale po wyjściu z nich na południo-wschód napotkali znowu na trudną i najcięższą ze wszystkich. Pod El Schaluf między jeziorami gorżkiemi i Suez, znaczna część kanału musiała przechodzić przez grunt skalisty. Tutaj przeto szerokość kanału jest daleko niezupełną. Nareszcie zatoka Suez, w któréj po raz pierwszy dają się widzieć wody morza Czerwonego, nie przedstawiła żadnych trudności; ale potrzeba było zagłębić tę nazbyt miałką zatokę; i dla tej przyczyny poprowadzono kanał nieco opodal od tego miasta do morza Czerwonego. Port Suez z jego tamami, dokami i wszelkiemi zakładami buduje nie kompanja kanału, a rząd egipski; nie prędko jeszcze będzie on skończonym. Z tém wszystkiém Suez, przed laty 15 biedna mieścina, teraz już jest znaczném miastem i ma 35,000 mieszkańców. Całkowita ilość ziemi, piasku i kamieni, wyjęta i jeszcze pozostała do wyjęcia z kanału, według podań urzędowych wynosi 75 miljonów metrów sześciennych.

Z illustracji francuzkiéj.

54. Aleksandrja.

Brzegi Afryki przy ujściach Nilu są tak płaskie, że ów nie zbyt wysoki, acz dawniéj do cudów świata policzony Farus, daléj kolumna Pompejusza, a nawet maszty okrętów, stojących w porcie Aleksandrji, dobre pół godziny pierwéj gołemu przedstawiają się oku, zanim ono ląd stały odkryć potrafi. Pomału i szczyty minaretów wychodzą na widnokrąg i całe miasto wysuwa się jakoby z morza, przypominając nieco przyjazd do Wenecji. Zresztą miasto Aleksandra Wielkiego ma niejedną i w losach swoich analogję z wspaniałą królową Adryatyku. Oba te miasta trzymały, rzec można, monopol handlu wschodniego, aż do odkrycia przylądka Dobrej Nadzieji. Odkrycie to nowej drogi do Indji zniszczyło po większej części bogactwo i potęgę ich obu.

Wjazd do portu Aleksandrji jest nader trudny, w pewnych chwilach nawet niepodobny. Żaden statek, nawet wśród najpiękniejszej pogody, bez miejscowego sternika się nieobejdzie. Za pomocą takiego, po wielu zygzagach, wpłynęliśmy szczęśliwie do portu.

Iskanderja lub Skanderja, tak dziś po arabsku nazywa się Aleksandrja, na pierwszy rzut oka od strony portu, wyjąwszy kilka minaretów, jest nowo zabudowana i wydaje się prawie europejskiém miastem. Ale cecha ta znika zupełnie, skoro się wejdzie w ciasne uliczki, prowadzące do tak zwanego wielkiego placu czyli rynku, części miasta przez Europejczyków zamieszkałej. Uliczki cztery do sześciu kroków szerokie, wysokie bardzo domy drewniane bez okien, lub z oknami zabitémi za pomocą krat drewnianych, sklepy niższe od chodników ulicznych, jak piwnice, błota dużo, psy, osły, wielbłądy, snujące się nieprzerwanie, ruch przytém ludności bardzo wielki, kontrastujący dziwacznie z nieruchomością ludzi, siedzących we drzwiach domów i po sklepach: Araby spokojnie palący fajki, rzekłbyś statuy w framugach, przytém ciągła zmiana błyskotek, kolorów i nowości, gwar i wrzask całkiem od europejskiego różny, nadto brud i smród, przed jakim każde nasze najgorsze żydowskie miasteczko ustąpićby musiało — otóż w kilku wyrazach obraz, w jakim się Wschód przybywającemu do Aleksandrji przedstawia. Ale obraz ten jest oświecony tak jasném słońcem, otoczony atmosferą tak przezroczystą, że ani oczy pierwszém, oni piersi drugą dość nacieszyć się nie mogą.

Po półgodzinném dosłownie brodzeniu w owym steku niechlujstwa, wychodzi się od razu na plac ogromny, złożony z murowanych w czworobok pięknych kamienic, pod linję wyciągniętych, całkiem europejskiéj architektury, a przejście to jest tak nagłe i niespodziane, że ów wschodni świat przebyły nakształt snu się wydaje. W każdém niemal mieście wschodniém jest osobna część miasta, zamieszkała przez Europejczyków i zwana Quartier franc. Francuzom bowiem jeszcze z wojen krzyżowych została chwała, że pod imieniem Franków wszyscy mieszczą się Europejczycy. Na tym placu są hotele, trzymane przez Francuzów i Anglików i zastosowane do zwyczajów tych narodów.

Starożytności Aleksandrji, dostępne i dla niearcheologów, a zadziwiające swą pięknością, nie są liczne. W pierwszym rzędzie są tak zwane Igły Kleopatry. Są to obeliski, z których jeden stoi w całéj swéj okazałości, drugi leży obalony na ziemi. Były one przez jednego z cesarzów rzymskich przywiezione z Heliopolis do Aleksandrji i, niewiedzieć dla czego, tradycja wbrew prawdzie przywiązała do nich imie Kleopatry. Jak wszystkie obeliski, są one z granitu syenskiego, dzisiejszego Asuan, pokryte hieroglifami, które wnosić każą, że dochodzą czasów Ozyrysa II, trzeciego następcy Ramsesa. Wysokość stojącego obelisku jest 70 stóp, przekątnia podstawy wynosi przeszło 7 stóp, jest on zatém mniejszy od

lukorskiego obelisku w Paryżu. Leżący zaś tuż obok niego, który się coraz więcéj w ziemię kryje i jest nieco uszkodzony, ma 66 stóp długości. Mehmet Ali darował go Anglikom na pamiątkę ukończenia sławnéj kampanji z r. 1801. Dotąd jednak spoczywa on na ziemi egipskiéj i zdaje się, że Anglja nie wielką do niego przywiązuje wartość, skoro pomimo blizkości morza dotąd go nie zabrała.

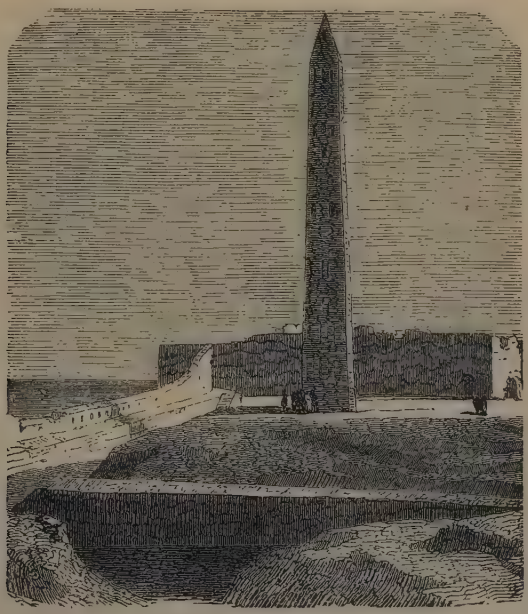

Igły Kleopatry.

Drugim pomnikiem starożytnym jest tak zwana kolumna Pompejusza. Jest ona granitowa i należy do najkolosalniejsrych; stoi na wzgórzu za miastem, wysokość jéj jest 99 stóp, sam słup kolumny ma 73 stóp, obwód 30 stóp, a przekątnia kapitelu 16 stóp. Słup w pięknym nadzwyczajnie jest stylu, ale kapitel i piedestał zdają się być późniejszém dziełem i do innej należeć epoki. To też cała kolumna jest przedmiotem wielkich między uczonymi dyskussji. Nie jest pewna kto ją postawił, ale to pewna, że przed dwudziestą kilkoma laty majtkowie angielscy dostali się na jej

wierzch za pomocą okręconych około niej lin okrętowych, zaś sam kapitan, ze swoim sztabem, zjadł na samym szczycie paradny rozbif, wypił butelkę, czy kilka (ile z pewnością nie wiadomo), Sherry i wypisał ogromnémi białémi literami, tuż pod koryncki ém ozdobami kolumny, swoje nazwisko, które z dołu doskonale do dziś dnia można czytać.

Za miastem nad morzem pokazują łaźnie Kleopatry, niby miejsce, gdzie czarująca ta królowa chodziła się kąpać. Tu wiara jest konieczną, bo w tych dziurach między skałami zaledwo rekiny i haje miałyby ochotę się pluskać. Dzisiaj nikt tam kąpać się nieśmie, na tych bowiem brzegach morza Środziemnego kąpiel morska jest niebezpieczną, z przyczyny wielkiéj ilości tych żarłocznych potworów. Tuż obok mają być resztki rzymskiego obozu Cezara. Jest to czworobok z wiekowych ruin muru złożony i zapełniony rumowiskiem. Sądziłbym raczéj, że to są szczątki pałacu Kleopatry, jak twierdzą niektórzy. Nieco daléj i głębiéj ku miastu znajdują sią katakomby, z których ciągle oprócz kości dobywają piękne kawały marmuru, alabastru, a nawet sarkofagi w zupełnie dobrym stanie. Są one zdaje się z czasu Ptolomeuszów. Jest to nieprzebrana kopalnia kamieni, dla wznoszonych w Aleksandrji budowli. Od katakomb aż do miasta, prawie ćwierć mili prowadzi droga rzymska, brukowana wielkiémi kamiennemi płytami i nieźle dotąd przechowana.

Aleksandrja w czasie swojego kwitnienia miała jak wiadomo 300,000 wolnych mieszkańców i według świadectw Strabona, Diadora i Polibiusza podobnąż liczbę niewolników. Obwód jéj wynosił 15 mil. Następnie pod panowaniem Arabów i Turków, podupadła ona tak, iż w końcu przeszłego wieku liczba jej mieszkańców zeszła do 25,000. Obecnie na nowo ona się podnosi i ma 200,000 mieszkańców, co zawdzięcza głównie Mehmetowi Ali.

W krajach, zostających pod rządem despotycznym, pomyślność miast głównie od panujących zawisła. Jeśli panujący polubi sobie jakie miasto, jeśli uzna je za dogodne narzędzie do swoich zamiarów, lub odpowiednie celom swej polityki, a częstokroć zabawom i skłonnościom, natedy miasto to szybko wzrasta, ludność jego powiększa się i wzbogaca. Protekcja bowiem ciągła, nawet pomoc i co większa, pewien faworytyzm są potrzebne dla handlu i przemysłu w krajach, gdzie niema innego kodeksu, oprócz woli panującego.

W tych szczęśliwych warunkach znalazła się Aleksandrja za panowania Mehmeta Ali. Śmiały ten reformator Egiptu, aby się utrzymać na stanowisku, zdolnościami i odwagą zdobytém, potrze-

bował przedewszystkiém trzech rzeczy: armji, floty i pieniędzy. Wszystkie więc reformy nie mogły spuszczać z oka tych głównych przedmiotów. Skanderja, z obszernym portem i napływem cudzoziemców, stawała się punktem centralnym wszelkich operacji. W niej też Mehmet Ali założył, powiedzieć można, stolicę i mieszkał w niej większą część roku. Pałac jego nad morzem jest piękny, wspaniały, prawdziwie książęcy. Żył on dość długo, aby miasto w wiele bardzo przyozdobić gmachów. Stanęło też wiele pałaców, kamienice, willi, a część miasta, począwszy od Piazza grande, ma szerokie ulice i domy całkiem europejskie. W ulicach tych i na spacerach za miastem mnóstwo ekwipażów, po większej części angielskich karet, koczów, kabryoletów, a nawet tillbury.

Ulice w Aleksandrji są wcale niebrukowane, ale dla braku deszczów te, które są szerokie, niemają ani koleji głębokich, ani dziur; a ziemia będąca iłem, w paradną ubija się drogę. W lecie tylko kurz nieznośny dokucza. Zaprzęgi angielskie, stangrety zaś i lokaje po większéj części są Araby lub Murzyni. Do tego kontrastu dodać jeszcze trzeba, że zawsze człowiek jeden z laską naprzód biegnie. Laufry te w nocy mają pochodnie.

Mieszkańcy Aleksandrji z tylu różnych ras się składają i tak rozliczne mają odzienia, że rysy ich fizyczne, ubiór i gesta więcéj z początku zajmują, niż charakter i sposób życia. Jakkolwiek chrześcjanie europejscy czyli Frankowie, bo to wszystko jedno tutaj znaczy, niemają takiego wpływu w Egipcie dzisiaj, jaki mieli za czasów Mehmeta Ali, liczba ich wszakże się powiększa i znaczenie, jeżeli się nie rozszerza, to niezawodnie wzmacnia. Przy wzmaganiu się ludności chrześcjanskiéj w Aleksandrji, większém od ludności muzułmańskiéj, można przewidywać, iż to miasto nie długo stanie się całkiem europejskie.

M. Mann. Podróż na Wschód 1852.

55. Kair.

Kair, po arabsku El Masr lub Masr el Kahirah, to jest stolica zwycięzka, założony w r. 973 przez Gohera, wodza kalifa El Moez, a obwarowany przez Saladyna, należy do najpiękniejszych i najciekawszych miast Wschodu. Dla mieszkańca Europy ma on tém większy urok, iż niezatracił cechy oryentalnéj, chociaż obecny chedyw chce gwałtem i tu przeszczepić cywilizację zachodnią. Rzec można, że Kair jest żywém muzeum narodów, bo spotkasz tu ludzi wszelkiego języka, stroju i koloru twarzy, począwszy od

białego Europejczyka, aż do brunatnego Berberyjczyka i czarnego Murzyna.

Żadna stolica nie może dać wyobrażenia o Kairze. Przebiegając ulice bez nazwy, bez bruku, ciasne, krzywe, kręte, co chwila kończące się impasem, zasłane śmieciem wszelkiego rodzaju, pokryte kawałkami plecionek z trzciny, które je od promieni słonecznych bronić mają, a złożone z dwóch rzędów domów, czasem pięknych, jakby pałaców, częściéj nędznych, zawsze nieforemnych, przegradzanych co parę kroków to lepianką, to ruiną, przysiądz można, że się błąka w prawdziwym labiryncie. Mało kto chodzi w Kairze piechotą, oprócz pospólstwa; wszystko jeździ na koniach lub osłach; wielbłądy obładowane snują się szeregiem, bawoły ciągną wozy na nizkich kółkach, których osie niesmarowane skrzypią niemiłosiernie, wszystko idącemn piechotą zagraża i w ciągłych jest on obrotach; ekwipaże, lubo rzadkie, pędzą kłusem, poprzedzane lauframi, wojskowi i zamożniejsi na koniach lub mułach, reszta na osłach, krzyk saisów i burychierów: — rygelak, szumala: na prawo, na lewo, bezprzestannie i chrapliwie odbija się w uszach; gwar sprzedających, z towarem na wózkach, taczkach lub na głowie, połączony ze skrzypieniem kół, słuch rozdziera; tu kaleki ciągną za suknię i płaczą dla wzbudzenia litości, tam kłótnia, która niejest niczem innem jak tylko dobijaniem targu, dalej derwisz leżący na progu meczetu, otoczony kobietami, którym udziela rad; a w całej tej ludności, na dwadzieścia osób, zdało mi się, że jeden był ślepy, dziewięciu jednookich, a połowa tylko zdrowe miała oczy. Oto w ogólnych rysach obraz, jaki w przelocie przedstawiają po raz pierwszy ulice Kairu.

Po Konstantynopolu Kair jest największém miastem Wschodu. Jeszcze w r. 1583 książe Radziwił naliczył w niém 30,000 domów, 16,000 ulic i 6800 meczetów, w czém jednak jest widoczna przesada. Według nowych podań, liczba mieszkańców dochodzi do 400,000. Z tych 12,000 Koptów, 8000 Żydów, 2000 Ormian, 6000 Greków i do 20,000 Europejczyków. Reszta wszyscy Muzułmanie. Miasto całe obejmuje cztery dzielnice, zaludnione przez Franków, Koptów, Arabów i Żydów.

Frankowie, czyli chrześcjanie, zajmują długą ulicę Muski wraz z przyległościami; tu jest kościół katolicki i klasztor OO. Franciszkanów, gdzie rezyduje wikaryusz apostolski Egiptu, tu są także mieszkania konsulów i sklepy kupców europejskich; katolików będzie tu przeszło 10,000. W tej dzielnicy ściera się cywilizacja europejska z obyczajem wschodnim, podczas gdy dzielnica arabska zachowała poniekąd cechę rodzimą. Zobaczysz tu wązkie i kręte

zaułki, na gorze pokryte matami, na dole wysłane błotem, w którém walają się gromady psów, dalej domy drewniane o dwóch lub trzech piętrach, mające okna zakratowane i ganki wystające, a tak do siebie zbliżone, że możnaby prawie przeleźć z domu do domu, wreszcie ogromne meczety, obok bud przekupniów i wspaniałe pałace, obok rozwalonych lepianek. Długi czas Europejczyk tylko nieśmiało zapuszczał się w ten labirynt ulic, gdzie go łatwo spotkać mogła obelga; lecz odkąd niestrudzony „chorąży cywilizacji“ Izmail Pasza i tu wkraczać poczyna, Wschód ustępuje nieśmiało przed Zachodem. Na jego wszechwładne skinienie odkrywają się i rozszerzają ulice, domy walą się w gruzy, całe dzielnice znikają, a natomiast powstają przestronne i brukowane drogi, pyszne ogrody, pałace i wille, jedném słowem Kair przedzierzgnie się niezadługo w stolicę europejską.

Na górze Mokattam wznosi się cytadella. Piękny ztąd widok: w górze jasne i zawsze pogodne niebo, w dole okrągłe kopuły, wyniosłe minarety, czerwone pałace i szare domy, opasane wieńcem ślicznych gajów; daléj zaś zielona płaszczyzna, po której wije się wężykowato wstęga nilowa, a daléj jeszcze olbrzymie piramidy i nieprzejrzana okiem pustynia. Cytadella, sama dosyć zaniedbana, mieści w sobie koszary, biuro ministerjum wojny, meczet alabastrowy i studnię Józefa.

Meczet alabastrowy, wzniesiony przez Mehmeta Ali i w którym jest jego grób, należy do arcydzieł nowszej sztuki muzułmańskiej. Studnia Józefa wykuta w skale, ze schodami prowadzącémi aż na dno, ma głębokości 276 stóp i sięga czasów Faraonów. Legenda miejscowa mieści tu więzienie egipskiego Józefa.

Kair posiada przeszło 300 meczetów. Według przysłowia arabskiego niema w Kairze mieszkańca, któryby wszystkie widział. Lecz wiele z nich jest na pół rozwalonych, co niepochlebnie świadczy o religijności Arabów. Najpiękniejszy pod względem struktury jest meczet sułtana Hassana, leżący pod cytadellą na placu Rumelich, mianowicie odznacza się zgrabną kopułą i maurytańskiémi rzeźbami. Najstarszym jest meczet Achmeta Ibn Tulun, zbudowany według planu Kaaby w r. 879, jak świadczy napis kuficzny; dziś prawie jest w ruinie, bo zostały tylko cztery szeregi arkad z wiązaniem ostrołukowém, z czegoby wnosić można, że styl ostrołukowy, gotyckim zwany, jest pierwotnym wynalazkiem Saracenów i od nich przeszedł do chrześcjan. Do tych meczetów nie mógł dawniej wchodzić giaur niewierny; dziś wprowadza do nich wszystkich mały bakczysz.

Przy meczecie kwiatów El Azhar jest uniwersytet muzuł-

mański, czyli szkoła teologiczna, w któréj duchowni i prawnicy uczą się Koranu i Zawiet el amian, czyli tak zwana kaplica ciemnych, gdzie z osobnych funduszów żyje pewna liczba tych biedaków, po większej części studentów, włóczęgów i najzajadliwszych fanatyków. Z nich to wychodzą Muezzyni, zwołujący ze szczytów minaretów na modlitwę, na co umyślnie wybierają ślepych, aby nie zaglądali do wnętrza domów.

Bazary w Kairze, jak we wszystkich miastach wschodnich, są wązkie i kryte ulice, mające po obu stronach otwarte kramy przekupniów. Środkiem ich tłoczy się mnóstwo ciekawych, bo dla Araba bazar jest giełdą, teatrem i miejscem przechadzki, gdzie załatwia interesa, używa wypoczynku i przysłuchuje się dźwiękom wędrownych grajków, lub opowiadaniom wschodnich poetów. I tu, jak wszędzie na Wschodzie, każde rzemiosło, każdy rodzaj wyrobów lub towarów ma swoje oddzielne miejsce. Targi odbywają się spokojnie, bo flegmatyczny muzułmanim nie lubi wiele mówić i nikogo nie nagli, spuszczając się w tym względzie na opatrzność Allaha; jeżeli jednak kupujący jest znaczniejszą osobą, zaprasza go do kramu, a nawet poczęstuje kawą i fajką. W środku bazarów są ogromne kany, to jest magazyny towarów, służące oraz za domy gościnne dla podróżnych, mianowicie dla pielgrzymów do Mekki.

Godnym widzenia jest także plac Esbekieh. Za czasów Napoleona I, mającego w téj stronie główną kwaterę, był tu staw, który Mehemet Ali kazał osuszyć i w śliczny park angielski zamienił. Lecz dzisiejszy wicekról, któremu nie jest obcą żyłka spekulacyjna, część tylko ogrodu zostawił, resztę zaś zniszczył i sprzedał pod budowle. Teraz wznosi się tu teatr opery włoskiej, cyrk konny, główne hotele i wiele pięknych pałaców; największą zaś ozdobą tego placu jest olbrzymia statua konna zwycięzcy pod Konieh Ibrahima Paszy. W przyległym ogrodzie publicznym zbierają się wieczorem mieszkańcy Kairu, aby słuchać muzyki wojskowej i podziwać oświetlenie gazowe, które urządza chciwy rozrywek i grosza chedyw.

Tu świat muzułmański mięsza się z europejskim, zachowując atoli odrębne swe cechy.

Z podróży M. Manna i ks. I. Pelczara.

56. Uroczystość mahometańska w Kairze.

Przybyliśmy do Kairu na zamknięcie uroczystości Mulid en Nebi, towarzyszącej świętu urodzin Mahometa. Tej uroczystości widzieć niemożna już nigdzie, tylko w Kairze, gdzie fanatyzm islamizmu jeszcze ma swoje siedlisko. Plac Ezbekieh miał pozór niezwyczajny: po wszystkich alejach ciągnące tłumy, bezustanne okrzyki i śpiewy, migające różnobarwne sztandary i znaki, w pośród sykomorów i akacji wystrzeliwające szczyty namiotów i estrad, przybranych w różne kolorowe świecidła, wszystko to zapowiadało dzień świąteczny.

Niebyło czasu do stracenia. Wpadłem przeto na pierwszego lepszego osła, którego mi podano i przyłączywszy się do towarzystwa, złożonego z dwóch dam i kilku mężczyzn, udałem się na miejsce, gdzie miała się odprawiać właśnie w tej chwili najciekawsza część ceremonji.

Tysiące ludu zalegały obszerną płaszczyznę, na której rozbite były namioty i powbijane ogromnej wysokości słupy, połączone z sobą linami w rozmaitych kierunkach. Niezliczone mnóstwo wstęg i sztandarów majaczyło w powietrzu i przedzielało gęste tumany wznoszącego się kurzu. Obraz ten oblany promieniami słońca padającemi prostopadle, z niczém niemożna było porównać, chyba tylko z krzykami, od których trzęsła się rozpalona atmosfera. Całość przedstawiała harmonię, jakkolwiek rażącą. W chwili gdym zatkał uszy, zdało mi się, że do takiego obrazu potrzeba takiego krzyku i nawzajem przy zamkniętych oczach myśl podobne krzyki w takim mieściła obrazie. Jak w okrzykach, które się rozlegały, nic prócz głosu ludzkiego rozróżnić nie można było, tak też i w massach, które je wydawały, pochwycić prawie niepodobna ani wyrazów twarzy, ani ubiorów: nic prócz mięszaniny wszelkich kolorów, zmieniających ciągle położenie w bardzo gwałtownych ruchach i gestach.

Pod opieką dragomana wziętego z hotelu, wjechaliśmy w szpaler dość wązki, który przez sam środek tych tłumów utrzymywało z ciężką biedą wojsko pod bronią stojące i policyanci, zaopatrzeni w kurbacze. Szpalerem tym miał po ciałach ludzkich przejeżdżać święty turecki czyli Santon, to jest derwisz, uznany za takiego z powodu nadzwyczajnych egzaltacji i napadów epileptycznych, które tu za natchnienie uchodzą. Ceremonię tę tratowania ludzi konno, nazwaną Doseh, odbywał teraz Szeik, czyli przełożony derwiszów sekty Sadieh, który jest kaznodzieją w Ehatib w meczecie Has-

sana i ma przywilej tego cudu. Cud naturalnie ma zależeć na tém, aby nikogo z leżących na ziemi nieuszkodził. Przepędziwszy noc na modlitwach, po odbytém w meczecie nabożeństwie, udawał się on na to właśnie miejsce, gdzieśmy się znajdowali i gdzie lud cały oczekiwał jego przybycia.

Wnet ujrzeliśmy massę ludzi, bieżącą szpalerem, w najokropniejszych konwulsyach krzyczących przeraźliwym, a przecież wycieńczonym głosem: Allah Allah, wywracających się, tarzających się po ziemi, targających na sobie odzienie, wydzierających sobie włosy, łypających oczami. Obok nich biegli inni, krzyczący podobnież, przewracający pierwszych i zmuszający biciem i kopaniem, aby raz upadłszy nie powstawali więcej.

Widok to był tak niesłychany, iż od tej chwili zdawało mi się, że jestem we śnie, że mnie dusi zmora. Ludzie w konwulsjach, a było ich kilka set, leżeli już wszyscy na ziemi. Byli to derwisze, fanatycy, którzy chcąc wziąć udział w cudzie zapisali się w wilją, co za wielki uważane jest zaszczyt i daje niejako świadectwo pewnej doskonałości religijnej.

Ale łatwiej się zapisać, aniżeli rzucić pod końskie kopyta. Z tej przyczyny wycieńczywszy ciało postem i przygotowawszy się małą dozą drażniącego narkotyku, ludzie ci zbierają się od rana na modlitwę, to jest krzyczą i rzucają głową, ciałem, w prawo i lewo, kręcą się w koło, słowem odurzają się i męczą dopóty, dopóki wysileniem fizyczném nie dójdą do pewnego stopnia omamienia, zawrotu lub konwulsji. W tym stanie dopiero przybiegają, pędzeni przez lud, który pomaga im z wielkim zapałem i energią do spełnienia powziętego obowiązku. Tych, którzy się sami nie przewrócą, lud obala gwałtem i razami zmusza do ułożenia się tuż jeden obok drugiego twarzą do ziemi i to pod linią; psujących symetrję ciągnie, tego za nogi, tamtego za głowę lub ręce, pięścią lub kurbaczem zalecając spokojność, dopóki nie nadejdzie oczekiwany święty.

Ukazała się niebawem procesya derwiszów, poprzedzona muzyką i sztandarami, która wśród okrzyków Allah przeszła w całości przez nieszczęśliwych towarzyszy po większej części już jak bez ducha leżących. Zostawiony był do przejścia tak ciasny szpaler, że z jednéj strony nóg, z drugiéj zaś głów fanatycznych ofiar bezpośrednio dotykał. Zaraz za procesyą jechał, na ogromnym gniadym koniu, poprostu mówiąc opasły Turek w zielonym turbanie. Ów oczekiwany święty był człowiekiem mającym może lat czterdzieści, z czarną niewielką brodą, ubrany dość bogato, kiwał się na koniu jak pijany, wyraz twarzy miał śpiący.

Na widok jego powstały krzyki zagłuszające, a między niemi jeden zupełnie nowy, jakby tysiąca gdaczących indyków. Krzyk ten, całkiem odrębnej i dzikiej oryginalności, jest sposobem wyrażenia radości, zapału, entuzyazmu u kobiet, nietylko w Egipcie ale na całym Wschodzie. Takim krzykiem zagrzewają one do bitwy i towarzyszą walce u Beduinów; z takim krzykiem słyszałem wjeżdżające karawany Koptów do Jerozolimy, takim nareszcie krzykiem wyrażają wszelkie uciechy i udział w zabawach i uroczystościach. Gdyby nie ten krzyk, nie byłbym téż wcale spostrzegł obecności kobiet w tej massie ludu, jaką miałem przed sobą. Obejrzawszy się dopiero w kierunku zkąd krzyk dochodził, spostrzegłem, że tysiące kobiet razem zebranych, czarnemi woalami na twarzach i w niebieskie chustki udrapowanych, stało nieco na ustroniu.

Tymczasem koń świętego, w piękny rzęd przybrany, wstrzymał się nieco przed ową drogą, ułożoną z ciał ludzkich, a ułożoną tak, że nie było sposobu postawić kopyta bez stąpienia na ciało. Był to jakby kobierzec, usłany bez żadnej przerwy. Po krótkim oporze szlachetne źwierze niepewnym krokiem postępować zaczęło, a tententent głuchy i miękki zdało mi się iż dochodził mych uszów. Dwóch ludzi prowadziło konia za cugle i starało się utrzymać tak, aby nie schodził z linji i nietratował, tylko części ciała między krzyżami i kolanami. Każde zboczenie było dla leżących nieboraków bardzo niebezpieczne, a jednakowoż nieobeszło się bez tego, właśnie dla tego, że go prowadzono. Chociaż mi mówiono, że koń bywa do tego spaceru wprawiany, a niebardzo rozumiem jakim sposobem, zda mi się, że derwisze lepiejby na tém wyszli, gdyby się całkiem szlachetnemu instynktowi źwierza, zwłaszcza z rassy arabskiej, powierzyli. Bądź co bądź, chociaż koń był niekuty, cud według mnie się nie udał; skoro bowiem święty, bardzo zresztą do Bachusa podobny, przejechał, ujrzałem na dwóch przedemną leżących, ślady krwi na biodrach i karku; sądzę więc, że pokaleczonych było wielu. U wyznawców islamizmu zfanatyzowanych cud udaje się zawsze, bo jeżeli są uszkodzeni, to dowodzi tylko, że tacy niebyli godni zaszczytu brania w nim udziału. Wstyd jedynie na nich spada i co prędzéj odprowadzeni zostają do przygotowanego na ten cel szpitalu. Niemniéj przerażający, a może okropniejszy od widoku krwi, był widok tych ludzi, z których jedni sami się porywali i daléj biegli jak szaleni, drugich podejmowano bez zmysłów i odnoszono, niemogąc ich przywrócić do przytomności, inni znów w ciągłych byli konwulsyach, rzucali się i szamotali tocząc pianę i krzycząc głuchym głosem: Allah!

Niemogąc się pozbyć wrażenia nader przykrego, jakie sprawiła na mnie cała ta obrzydliwa ceremonia, postanowiłem odpędzić je inném. Przebrawszy się, siadłem znów na osła i pojechałem do miasta. Przejeżdżając przez Ezbekieh, aby się do głównéj dostać ulicy, widziałem wszelakiego rodzaju huśtawki, koła, w których błazny, zwani tutaj Sutari, bawili publiczność przedstawieniem, przypominającém włoskiego pulcinella, a w obkładaniu się wzajemnie kurbaczem najwyższe mającém perypecye. Przybiegali do mnie czarnoksiężniki i żonglery, ofiarując za piastra zjeść żywego węża, którego trzymali w ręce. Wszystko do było ogonem uroczystości, równie parszywym, jak ona sama.

Około godziny 8méj zakończyła uroczystość illuminacja. Oświecenie placu, o którym już mówiłem, palów, namiotów, owych lin, które teraz jak girlandy z różnobarwnych lampionów wyglądały, nie było dosyć rzęsiste, aby całe massy ludności niezdawały się błąkać w ciemnościach. Wszakże to, co się mnie błąkaniem wydawało, było zabawą i to zabawą pełną wesołości, okrzyków, muzyki, skoków, która się bez pijaństwa, bitwy, a co największa bez policji obchodziła. Przez kilka godzin chodziłem wszędzie, gdzie tylko mię wabiły większy hałas i głośniejsze uciechy; nigdzie niespostrzegłem ani guzów, ani jednego pijanego człowieka, ani choćby cienia interwencji lub opieki władzy. Rzecz, przyznaję, szczególna i fenomen nadzwyczajny! przy takim fanatyzmie, taka dobroduszność; przy takiém barbarzyństwie, takie uszanowanie praw każdego; przy takiém upojeniu, taka wstrzemięźliwość.

Trudno jednak było śledzić charakteru w dalszych i nie tak wydatnych odcieniach; bo owe krzyki dzikie były mi całkiem niezrozumiałe, a zabawy niemiały swego że tak powiem wyrazu. Były one po większej części zagadką: jakieś przebiegające grupy przy odgłosie bębenków i piszczałek, jedne krzyczące, drugie skaczące, radujące się wszystkie, słowem było w tém coś pierwotnego coś przypominającego uczucie, o jakiém powiadają wyrazy biblijne: „a radość w Izraelu była wielka“ bez żadnej wzmianki, jakie radości tej towarzyszły oznaki.

Wyjątek w ogólnej wrzawie czyniły kawiarnie i namioty. W kawiarniach goście pili kawę i palili nargile lub fajki, ze spokojnością nieodstępną tej czynności na Wschodzie. W namiotach, które od kawiarń tém się różniły, że miały jedno tylko wejście i więcej w nich było światła, derwisze odprawiali modlitwy. Byli oni podzieleni na sekty: ale sądzę, że tego niezdolny rozpoznać, chyba muzułmanin, lub Europejczyk doskonale z arabskim obeznany językiem. Namioty wszystkie otwarte i do wszystkich wejście

wolne; wewnątrz krąg złożony ze stojących lub siedzących derwiszów, wykrzykujących pewne wyrazy w pewnym takcie i stosownie do tego albo kiwających samą głową to na przód, to w tył, to w prawo i lewo, albo rzucających się całém ciałem w tym samym kierunku. Całemu kołu przewodził jeden niby leader, zmieniając takt i wyrazy. Takt bywał coraz szybszy, a głosy w końcu jak ryk brzmiały. Gdy upojenie, zawrot głowy, lub konwulsye dochodziły pewnego stopnia, towarzystwo wypoczywało, siadając na rogóżkach lub dywanach, rozciągniętych po środku namiotu, piło kawę, a nawet paliło fajki, a inne znów zgromadzenie, jak się zdaje już pokrzepione, wstawało, robiło krąg i zaczynało krzyki i kiwania, wołając najczęściéj Ałłah, Iłłah, Iłłah, Hu! za każdym wyrazem rzucając konwulsyjnie głową i tak bez końca.

Przypatrując się długo temu monotonnemu widowisku, które działając jakby kontrastem wprowadza Europejczyka w pewne osłupienie, nietylko dręczy nieznośnie uczucie obrzydliwości, ale nadto człowiek maca się za pulsa, aby się przekonać, czy istotnie widzi to na jawie; lub téż pyta, czy sam nie jest warjatem? Podobno widok ten główną jest zabawą mieszkańców Kairu; wszystkie bowiem namioty były przepełnione widzami i tłumy ich ciągle się przenosiły z jednego do drugiego.

Bezsilny i ogłupiały, jak gdybym sam był derwiszem, udałem się na spoczynek, rozmyślając ze smutkiem, jak kraj, który będąc w łonie kościoła liczył tylu wielkich biskupów, światłych mężów i posiadał Tebaidę, hołduje dziś ulemom i derwiszom, zabobonom i fanatyzmowi.

M. Mann. Podróż na Wschód. 1852.

57. Piramidy.

Ostatnim celem podróży egipskiej nie sięgającej po za Kair, są piramidy; bo trudno pominąć te najstarsze i największe dzieła rąk ludzkich. Stoją one już na kresach pustyni, jakby bramy wiodące do krainy śmierci; były to bowiem grobowce Faraonów, sterczące dumnie nad grobami poddanych. Dawniéj jadąc na osiołku można było ugrzęznąć w błocie, zwłaszcza po wylewie Nilu, lecz w r. 1869 grzeczny Chedyw kazał na przyjęcie cesarzowej Eugenji wysypać piękną drogę ocienioną aleami, a nawet u stóp piramid zbudował zgrabny pawilon, który jednak ze strachem i wstydem patrzy na swych olbrzymich sąsiadów, urągających się z modnego karła. Minąwszy wspaniały most na Nilu i piękne

pałace wice króla w Dżesireh i Dziseh, wjechaliśmy na szeroką płaszczyznę, okrytą dojrzewającemi już łanami. Wnet z okolicznych wiosek puściło się za nami kilkunastu szybkonogich Arabów, a chociaż pędziliśmy cwałem, mimo to dotarli razem z nami do piramid i nieokazywali nawet zmęczenia; snadź nadzieja bakczyszu niosła ich na skrzydłach. — Niebawem przybył także Szejk poblizkiej wioski, odbierający w imieniu wicekróla podatek 5 fran-

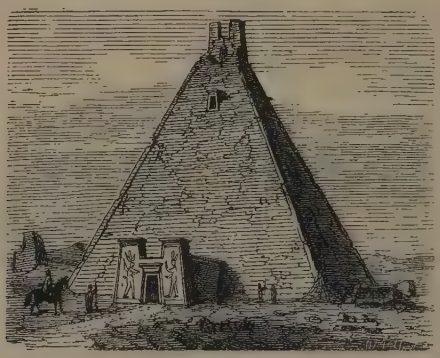

Piramida Moroe.

ków od wszystkich, którzy chcą dostać się na szczyt piramidy, lub do jej wnętrza, lecz za to ma dostarczyć podróżnym przewodników; odkąd bowiem jakiś Anglik roztrzaskał głowę na głazach piramidy, niewolno drapać się na szczyt bez pomocy Arabów.

A więc jesteśmy u stóp piramid, z których czterdzieści wieków na nas spogląda. Istne to potwory kamienne, przechodzące swym ogromem wszystko, co ręka ludzka dotąd utworzyła i słusznie powiedziano, że cały Watykan z kościołem Św. Piotra, lub cały Eskurial ze swojemi 22 dziedzińcami, klasztorami i pałacami zmieściłby się we środku, a wieża strasburgska niedosięgłaby szczytu; wysokość bowiem piramidy pierwszej czyli Cheopsa wynosiła dawniéj 480 stóp, dziś do 450, jeden bok na powstawie liczył dawniéj 764, teraz 746 stóp, sama zaś powierzchnia podstawy zajmuje niemniej jak 548,000 stóp kwadratowych, czyli przeszło 21 morgów, podczas gdy cała objętość przenosi 90 miljonów stóp sześciennych. Najlepsze wyobrażenie o wielkości piramid daje wyrachowanie, że z kamieni zebranych na trzy groby Faraonów możnaby całą Francję otoczyć murem, szerokim na stopę i mającym 10 stóp wysokości; albo z jednej tylko piramidy zbu-

dować 66 tumów kolońskich. Co do początku piramid różne są zdania. Niektórzy uczeni odnoszą je do r. 2300 przed Chryst. i przypisują Faraonom: Cheopsowi (Chufu) i jego bratu Chefrenowi (Chafra). Inni uważają piramidy za dzieło obcych pokoleń, które do Egiptu wtargnęły, a co do ich celu sądzą, że służyły nietylko za grobowce, ale i za miejska schadzek i nauk tajemnych, czyli misterji egipskich i nawet za wały graniczne, mające powstrzymywać szerzącą się coraz dalej pustynię. Hebrajskie tradycje nazywają chełpliwie synów Izraela twórcami piramid i przeznaczają takowe na śpichrze Józefa. Według Plinjusza zbudowanie trzech piramid kosztowało 78 lat i 4 miesiące, według Herodota aż 106 lat i pracę miljonów ludzi, bo co ćwierć roku po 100,000 robotników się zmieniało. Będzie w tém coś przesady, tyle atoli jest pewném że te molochy kamienne pożarły życie wielu i wielu tysięcy ludzi i przetrwały bardzo wiele późniejszych gmachów. Jest przysłowie w Egipcie: „Wszystko lęka się czasu, a czas lęka się piramid.“

Herodot, podróżujący tu w roku 460 przed Chryst., widział piramidę Cheopsa, pokrytą granitowemi płytami, które zdobiły hieroglificzne obrazy i znaki; lecz później te płyty odpadły, a odkryły się głazy, tworzące jakby 200 potężnych schodów, po których wstępuje się na wierzch. Ponieważ jednak kamienie są zbyt wysokie, bo niektóre mają do 3 stóp, a do tego pochyłość jest nieznaczna, przeto bez obcej pomocy wejście jest prawie niemożebne. Z wierzchniej płaszczyzny tej największej piramidy co za widok rozległy! ku zachodowi jak daleko okiem sięgniesz, ciągnie się bezbrzeżna pustynia, z której wiatr pędzi tumany piasku; ku północy widać żyzne niwy i rozrzucone wioski; ku wschodowi ciągnie się żółte pasmo Mokattam, mające u swoich stóp wspaniały Kair i szeróką równinę nilową; ku południowi zielona kępa drzew palmowych wskazuje miejsce gdzie leżało sławne Memfis; dalej zaś ukazują się piramidy w Abuzir, Sakkara i Dahszur, wreszcie obok piramida Chefrena i ogromny sfinx, pilnujący grobów egipskich. A w około cisza głęboka; tylko czasem wiatr zahuczy z pustyni, lub jedna piramida szepnie coś do drugiej, — lecz tak cicho, że trudno dosłyszeć.

Wejście do środka piramidy nie jest tak niebezpieczne, ale za to przykrzejsze. — Krużganek idący w górę wiedzie do komnaty króla, mającéj 19 stóp wysokości, 34 długości, a 17 szerokości. Sala ta, wyłożona czerwonym granitem, mieści w sobie kamienny sarkofag króla Chufu albo Cheopsa, dziś oskubany przez Arabów, którzy kawałki sprzedają podróżnym. W górze pokazują dwa wązkie otwory, wychodzące po obu bokach piramidy, któremi świeże

powietrze wchodzi do wnętrza, podczas gdy pod spodem kryje się tak zwana studnia, idąca do nieznanej głębi. Powyżej sali królewskiej są cztery izby Davisona i mała izdebka Campbella; poniżej zaś jest komnata królowej, mająca 14 stóp wysokości, 18 długości, a $16^1/_2$ szerokości. Wejście do tego wnętrza odkrył w roku 820 kalif Mamun i próżno tam szukał skarbów.

Druga piramida, wzniesiona przez krola Chefrana albo Chafra, ma dziś $477^1/_2$ stóp wysokości, zaś szerokość jej podstawy wynosi $690^3/_4$ stóp. Część jej najwyższa ma pokrycie z płyt granitowych spojonych cementem, w skutek czego wejście na szczyt jest bardzo trudnem. W środkowej komnacie, którą r. 1816 odkrył Belzoni, znaleziono granitowy sarkofag, zawierający trochę prochu.

Trzecią i najmniejszą piramidę zbudował Mykerinos albo Menkera, trzeci Faraon z czwartej dynastji. Ma ona tylko 203 stóp wysokości, a jej wnętrze, dokąd w r. 1837 przedarł się angielski półkownik Wyse, zawiera dwie komnaty z grobowcami Faraona i żony jego Nikotris. Mumię królewską, którą chciwi skarbów Arabowie wyrzucili z trumny na ziemię, przewieziono do muzeum brytańskiego, zaś kamienny jej sarkofag leży na dnie morza, gdzie go wyrzucono podczas burzy. — Wszystkich piramid w Egipcie liczą 67.

U stóp piramid leży, jakby stroż dawnych grobowców, olbrzymi potwór, mający głowę ludzką a kadłub lwa, zwany Sfinxem. Cała ta postać składa się z jednego i niewiele ociosanego kamienia, bo tylko główę wyrzeźbiono i dorobiono łapy; to téż napis mówi, iż bogowie utworzyli ciało sfinxa. Aby poznać, co to jest za ogrom, dość powiedzieć, że w uchu tego kolosalnego posągu człowiek dorosły skryć się może. Ma on być dziełem króla Chafra i przedstawiać bożka słońca Horem Hu, ku czci którego wzniesiony, jak o tem świadczy napis, znaleziony we środku. Dawniej twarz, przedstawiająca rysy regularne, była malowana na czerwono, głowa zaś miała ubranie królewskie i tarczę na wierzchu, lecz dziś tarcza znikła, malowidła spełzły, a twarz uszkodziły wichry i kule Mameluków, strzelających tu do celu, tak, iż jej krakuje lewego oka, górnéj wargi, kawałka brody i całego nosa. W środku między piersią i łapami, r. 1860, znany archeolog Mariette odkrył wewnętrzną świątynię z postacią króla Chafra i obrazem Totmesa IV ofiarującego sfinxowi. Lecz wstęp do wnętrza jest niemożebny, bo piasek, gnany z pustyni, coraz bardziej zasypuje dumającego nad przeszłością olbrzyma, którego Arabowie w swoim poetycznym języku nazywają lwem nocnym.

Ks. J. Pelczar. Podróż. 1872.

58. Nil.

Źródłem błogosławieństwa i że tak powiemy życiodawczą żyłą Egiptu jest rzeka Nil. Powstaje ona ze zlewu dwóch wielkich rzek, Białej i Niebieskiej, łączących się obok miasta Khartum pod 15° 29′ szerokości północnéj. Rzeka Niebieska wytryska w górach Abissyńskich, gdzie jéj źródła odkrył angielski podróżnik Bruce. Rzeka Biała ma, według najnowszych odkryć Spekego i Samuela Bakera, swój początek w ogromném jeziorze Ukerewe czyli Wiktorya Nyanza, leżącém pod samym równikiem. Przepłynąwszy jezioro Mrutan Nzige, czyli Albert Nyanza, toczy ona swe brudne wody przez bagniste płaszczyzny, gdzie wśród nieprzebytych gęstwin i borów roją się gromady ptactwa, małp, antylop, koni morskich i krokodylów. Powyżéj Khartum przerzyna pustynię Nubijską, tworzy kilka wodospadów, poczém wkroczywszy pod Assuan do Egiptu, poniżej Kairu dzieli się na dwie wielkie odnogi, któremi wpływa do morza. Rzecz dziwna, że ta rzeka, licząca przeszło 845 mil długości, na przestrzeni 350 mil niema żadnych dopływów; zaś im więcej zbliża się do ujścia, tém więcej ubywa. Zkądże więc bierze swe wody, zwłaszcza w czasie ogromnych corocznych wylewów? Jedynie z zasilających jej źródła deszczów zwrotnikowych. Te wylewy peryodyczne Nilu dają życie całej krainie, która inaczej stałaby się bezpłodną i martwą pustynią; bo nietylko corocznie zwilżają one wypaloną od słońca ziemię, lecz nadto, pokrywając piaszczyste obszary tłustym iłem, uniesionym z gór, czynią je niesłychanie żyznemi. Ztąd dzisiejsi Egipcyanie, w swej obrazowej mowie, nazywają Nil ojcem błogosławieństwa, a dawniejsi oddawali mu część boską pod różnémi godłami.

Po wiosennych deszczach Nil poczyna wzbierać, w Lipcu dochodzi wezbrany do Kairu, a w Sierpniu i Wrześniu przerzynają groble, aby woda zalała pola i napełniła kanały. Do oznaczenia wysokości wody służy nilometr na wyspie Roda, który musi być pokryty do 22 stopni. Inaczej pewna część pól zostaje nieuprawną, albo też przeciwnie, wylew jest zbyt silny i zrządza zniszczenia. Przez dwa lub trzy tygodnie woda pozostaje w swej mierze, a wtenczas w całym kraju jest jakby wielkie święto ludowe, poczém opada i ścieka w kanały i dopiero wtedy następuje siejba. Nadto mają mieszkańcy osobne przyrządy, zwane Sakije i Szudaki, któremi wyciągają wodę z Nilu, aby niemi zwilżyć pola wyżej położone, do których Nil nie sięga, albo też uzyskać przez częstsze nawodnienie drugie i trzecie żniwo. Za pomocą kieratów obraca-

nych przez bydlęta, lub znane u nas żórawie, czerpią naczyniami skórzanémi wodę z łożyska Nilu, albo téż z głębszych kanałów, poczém małemi rowami wypuszczają ją na pola. Co więcej, Mehmet Ali zamyślał urządzić poniżéj Kairu ogromne zastawy na Nilu, aby niemi wstrzymywać wodę według woli i napełniać nią kanały; lecz ogromne to dzieło, pochłonąwszy miljony, nie doszło do skutku. Wreszcie nie można pominąć, że w braku deszczów i zdrojów woda nilowa stanowi główny i jedyny, a przytém bardzo miły napój, zwłaszcza gdy się go oczyści z mułu i ochłodzi w dzban-

Wylew Nilu.

kach porowatych, zwanych Gule. Dawniéj roznoszono ją w workach skórzanych; dziś w Aleksandrji i Kairze są osobne filtrownie, czyli przyrządy do czyszczenia wody, zkąd kanałami rozchodzi się po domach. Lecz nie brak i dzisiaj przekupniów wody na ulicach Kairu.

Najnowsze badania Speke, Granta i Bakera okazały, iż deszcze zwrotnikowe, spadające w strefie środkowéj prawie przez cały rok, zasilają jeziora Wiktorji i Alberta taką ilością wody, która wystarcza dla Nilu w całym jego biegu po bezwodnych, skwarnych, piasczystych pustyniach, przez trzydzieści stopni szerokości.

Tak tedy na pierwszy rzut oka może się zdawać, iż odkrycie źródeł Nilu odkryło też wielowiekową tajemnicę jego wielkich corocznych wylewów i że płodność ziemi egipskiej zależy od wód zbierających się od deszczów w pomienionych jeziorach. Ale zbadanie dopływów nilowych z gór Abissyńskich rozkłada cały system tej rzeki na dwie połowy, z których każda ma właściwy udział w dobrodziejstwach, jakiémi ta rzeka darzy przebiegany przez siebie kraj.

Jeziora środkowej Afryki darzą Egipt życiem, stwarzając ogromną rzekę, mającą we wszystkich porach roku taką ilość wody, której nie mogą wypić suche powietrze i piaski pustyni. Gdyby jednak ta rzeka nie miała żadnych dopływów, to nie występowałaby ona nigdy ze swoich brzegów, Egipt pozbawiony jej corocznych wylewów, byłby, nie jak jest, krajem najżyzniejszym w świecie, a zaledwo mogącym wyżywić własną ludność, bo uprawa roli ograniczałaby się w nim do samych brzegów rzeki.

Nawodnienie, które przez coroczne składy iłu utworzyło dolinę dolnego Egiptu i od którego zależy cała żyzność tego kraju, ma początek wcale niezawisły od jezior Afryki środkowej i pochodzi wyłącznie od dopływów, jakie Nil odbiera z gór Abissynji.

Dwie główne rzeki abissyńskie wpadające do Nilu: Niebieska i Atbara, w czasie deszczów w Abissynji od połowy Czerwca do Września, zamieniają się w ogromne potoki, a w pozostałych miesiącach suchych opadają tak, że ledwo ich są ślady. Niebieska bywa tak miałką, iż przestaje być spławną, a Atbara zupełnie wysycha.

Kiedy przeto ustają dopływy z Abissynji, Nil ma wody jedynie z jezior Afryki środkowej; zaś wylewy jego, które pokrywają wodą i nanoszonym przez nią iłem cały dolny Egipt, mają miejsce właśnie w porze deszczów w Abissynji.

I nie samo tylko nawodnienie pochodzi od wezbranych dopływów abissyńskich, lecz i nanosy iłu, które utworzyły deltę nilową i którą coroczne wylewy rozszerzają coraz dalej, są dziełem tychże dopływów, a szczególniej Atbary, zwanej przez Arabów rzeką czarną, przeto iż nanosi z sobą więcej czarnej ziemi, aniżeli wszystkie inne dopływy Nilu, tak, iż jej przeważnie należy przypisać płodność Egiptu.

Można przeto powiedzieć, iż jeziora Afryki środkowej dają Egiptowi życie, a góry Abissynji karmią go.

Według Backera i innych.

59. Abissynija.

Jak niebotyczna warownia wznosi się Abissinija ponad okalające ją spalone płaszczyzny. W południowo-wschodniej stronie oddzielona od właściwej Abissynji niewielką stepową przestrzenią, podnosi się rozległa, żyzna i obdarzona najlepszym klimatem kraina górzysta, którą zajmuje państwo abissyńskie Szoa. Wszystkie te ziemie są w posiadaniu niewątpliwych potomków tej prastarej pierwotnej ludności etyopskiéj, o której świadczą najdawniejsze pomniki rodzaju ludzkiego.

Powierzchowność Abissyńczyka, pomimo często dość ciemnej barwy skóry, daleką jest od pierwowzoru negra. Budowa jego ciała jest dość proporcyonalną i zwykle smukłości właściwej, twarz ściągła, rysy jej delikatne i regularne, nos mały, prosty, niekiedy zgięty, wargi cienkie, kości policzkowe mało wystające, oczy wielkie i ogniste, włosy miękkie i proste, zaplatane i zaczesane jak na dawnych pomnikach egipskich, broda zarasta słabo.

Szoa leży w strefie gorącej i składa się z łańcuchów i grup wysokich gór, a przeto, stosownie do mniej i więcej wzniesionego położenia, ma klimat bardzo rozmaity; na wyniosłych dolinach i płaszczyznach w każdej porze roku powietrze jest świeże i rzeźwiące; zimy tam nie bywa wcale. W nizkich, zarosłych lasami dolinach, żyzność ziemi przechodzi wszelkie wyobrażenie. Wszystkie rodzaje zbóż, kawa i herbata udają się tam doskonale. Wszędzie wonieją mirty, dzikie róże, jaśminy i te wszystkie pyszne kwiaty, któremi szczycą się nasze cieplarnie, tam karmione gorącém i przesyconém wilgocią powietrzem, dochodzą zadziwiającego wzrostu. W końcu pory dżdżystej gorąco na nizinach staje się nieznośném; straszliwe zgniłe gorączki szerzą się po wszystkich tych kwitnących okolicach i nawet ptaki uciekają z tego parnego i zatrutego powietrza.

Krajobraz górski urozmaicają wiejskie zagrody; czyste zdroje wód spadają z szumem po skałach, między którémi idzie droga; urodzajne i okryte bujném zbożem pola znajdują się w pobliżu stołecznego miasta Ankober. Wyszedłszy z lasu drzew jałowcowych i oliwnych, daje się widzieć, w całej swej właściwej miejscowej krasie, na okrytej zielonością górze rozrzucone miasto. Grupy domów krytych słomą, rozmaitej wielkości i kształtów, jak stodoły i stogi siana, pną się jedne ponad drugiémi na nierównych pochyłościach góry od jej podnóża aż do szczytu, na którym wznosi się

zamek Negusa, te jest panującepo, ze swojemi wywiedzionemi z gliny kominami.

Większość mieszkańców państwa Szoa przyznaje się do religji chrześcjańskiéj, ale pogrążoną jest w najgrubszej nieobyczajności i najśmieszniejszych przesądach. Zachowują oni ściśle wszelkie ceremonije religijne, niepojmując wcale ich znaczenia. Prowadzą częste wojny dla nabierania niewolników i palą wsie dla porywania ludzi, których sprzedają wędrującym kupcom muzułmańskim.

Zwyczajny ubiór stanowi płaszcz bawełniany biały z materji krajowej. Pieniędzy krajowych niema. W obiegu krążą stare austryackie talary srebrne. Za zdawkową monetę służą rozmaitej wielkości chustki bawełniane i sztuki soli.

Każdego przejeżdżającego zaraz uderza powierzchowność kobiet w Szoa Strzygą one sobie włosy i golą brwi, a w miejscu tych malują łuki, zachodzące aż na policzki. Damy, starające się podobać, przeprowadzają sobie oprócz tego czerwoną liniję przez czoło i nos, która często i ładną twarz zupełnie szpeci. Wreszcie nie tylko, jak wszystkie kobiety na Wschodzie, farbują sobie paznogcie u rąk, ale oraz i u nóg, czerwono.

Półkownik Harris był w mieście Ankober na tygodniowym targu, odbywającym się w każdy Wtorek. W środku targowiska pod starą akacyą siedział wójt miasta, otoczony pachołkami, którzy wybierali od kupców podatek. Tylko w tym dniu wolno jest w mieście kupować i sprzedawać. Wszyscy przeto spieszyli na targ, dla porobienia zapasów na cały tydzień.

Tam przychodzi wieśniak abissyński, uwinięty w chusty bawełniane, jak pierwowzór egipskiéj mumji i z głębokim pokłonem składa wielkorządcy targowemu w daninę postanowioną miarkę ziarna ze swego skórzanego wora, lub masła ze swego dzbana.

Tam przekupień z Hurrur, w turbanie i niebieskiem w kraty pasie, siedzi ze swojemi zagranicznemi towarami, między któremi najwięcej jest szklannych paciorek i tym podobnych świecidełek; prowadzi on handel drobny, bierze w miejscu srebra kawałki soli, a pomimo to miny tak przekupnia jak i kupujących bywają zaognione, jakby tam chodziło o miljony dukatów. Ludzie z Argobbo są mahometanami, lecz nie wiele się odróżniają od chrześcijan z Amhara; dopieru po zdjęciu płaszczów widać u pierwszych na szyji paciorki z jasnych kulek, kiedy drudzy mają w miejscu ich niebieski sznurek. Lecz kobiety odróżniają się zaraz długiemi wijącemi się po ramionach splotami włosów, obszernym płaszczem z czerwonej materji i kapturem zawiązanym pod brodą, jak u mniszek. Poobwieszane amuletami i paciorkami, obwieszczają one

swoją wiarę częstém powtarzaniem: „Hamdulillah“, to jest: niech będzie pochwalony Allah! Zaś opasłe kobiety z Szoa odpowiadają na wszystko przechodzącym słowami: „Egsia behir meskin“, to jest Dzięki Bogu.

Od bram pałacu byłego Negusa, czyli króla Sahela Selasi, opowiada Harris daléj, ciągnie tłum ciemnoskórych dziewcząt ku rzece. Biedne te stworzenia w łachmanach, które zaledwo przykrywają ich wysmukłe ciała, mają na karkach wiszące na rzemieniach ciężkie gliniane dzbany. Są to niewolnice i mowa Amhara jest dla nich obcą. Zwoje polnych kwiatów ubierają splecione włosy tych branek, które, dla skrócenia sobie godzin ciężkiéj pracy, zawodzą żałośne pieśni. Za niémi idą kobiety średniego wieku z dworu Negusa, w których umysłach czas zatarł wszelkie wspomnienia o rodzinie i ojczyznie. Noszą one, jak najpierwsze w kraju niewiasty, odzież przestronną, świetniejącą pręgami purpurowémi, w uszach mają srebrne kolce, a ciężkie cynowe obrączki na rękach i nogach. Ich włosy zaplecione w liczne drobne koski, połyskujące tłuszczem i lica uróżowane, zwracają uwagę i najobojętniejszych widzów. Mały dzbanuszek wisi u nich na piersiach na rzemiennej taśmie, będącej oznaką niewoli i stoi nad niémi dozorca z długą cienką laską, niedając im chodzić swobodnie po murawie, a tylko po wązkiej wydeptanej ścieżce.

Wtém wychodzi z zamku skromnie ubrana panienka. To Wullata Georgis zaufana niewolnica królowej, urodzona i wychowana w zamku, gdzie obchodzą się z nią łaskawie, wyjąwszy gdy stłuczenie karafki, lub łakome dorwanie się do zakazanego półmiska ściąga na nią małą karę. Oto jej potrzeba gwałtem pieniędzy i z płaczem ona prosi o jeden talar, by zapłacić za stłuczone zwierciadło królowej, za co niech Pan Bóg wynagrodzi! — Ale z jej oczek widać, że to filut. Niewiadomo czy zbiera ona te pieniądze na odkupienie zrobionej szkody, czy po prostu dla siebie. Wreszcie i w pierwszym razie posiadanie, choć na czas najkrótszy pieniędzy, sprawia jej radość niewymowną i z pokorą pada ona do nóg każdemu, kto jej sunie w wyciągniętą rączkę pożądanego talara.

Harris opisuje obchód wesela księżniczki, na które zaproszono i poselstwo angielskie. Na tronie, ubranym nadzwyczajnie pstro, siedział król, któremu balwierz jeszcze fryzował włosy i przystrajał je w zielone gałązki szparagów. Podwórze było pełne ciekawych i na przodzie jego szykowały się rzędami niewolnice. Szczególniejszego kroju koszule niebieskie i czerwone nadawały im pozór zupełnie dziwacki. Każda niosła na głowie koszyk z wierzbiny,

z którego zwisały w fantastycznych zwojach wyszywane perłami zasłony. Te starożytne postacie niewieście niosły wiano panny młodej, do którego i same należały. Za niemi na mule przystrojonym w pstre opony, łańcuszki i dzwonki jechała panna młoda w towarzystwie księżniczki Worka Ferri (to jest złoty owoc). Obiedwie damy miały na sobie wielkie jedwabne karmazynowe szale i rodzaj kapturków z siatki srebrzystej, okrywające włosy i ściągające się na czole rąbkiem, z którego wisiały zasłony i błyszczące kulki, suknie długie karmazynowe i twarze umalowane czerwoną ochrą i z błękitnemi łukami, w miejscu wyrwanych brwi. Za niemi postępowała królewska muzyka i tłum niewolnic, ustrojonych w zielone kurteczki i jadących na mułach. Rozpoczęły się śpiewy i tańce, przy grzmiącym odgłosie bębnów. W końcu pan młody zbliżył się do tronu i złożył hołd królowi, uderzając czołem o ziemię. Niebyło kościelnego błogosławieństwa i pani młoda udała się do swego nowego pomieszkania.

Na czele przez wielką bramę, postępowała czereda brudnych kuchtów, niosących na głowach rądle, konwie i inne kuchenne naczynia; za nimi szło sto niewolnic z koszami chleba, faskami miodu, sukniami, pierzynami i innemi rzeczami. Następnie szli grając królewscy fleciści, a za nimi pani młoda „nad wszystkich wywyższona.“ Dwie panny dworskie, trzymające flasze pełne wina, jechały po obu stronach swojej pani. Konne amazonki, uzbrojone w długie białe laski, trzymały pospólstwo w przyzwoitém oddaleniu; wreszcie służba przyboczna i trzystu wybranych kopijników zamykało długi pochód.

Wtedy składano królowi powinszowania z powodu zakończonej szczęśliwie wojennej wyprawy. Monarcha barbarzyński odpowiedział: „Bóg moich ojców dopomógł mi. Położyłem trupem szesnaście tysięcy sześć set moich nieprzyjaciół i zabrałem im trzydzieści siedem tysięcy czterdzieści dwie sztuk bydła.“ Obecni członkowie poselstwa angielskiego przełożyli, że było nieludzkiém i niegodném monarchy chrześcjańskiego takie mordowanie niewinnych i bezbronnych starców, niewiast i dzieci. Na to król uśmiechnął się i jakoby nieco ze wstydem rzekł spuściwszy oczy: „Wiem ja dobrze, iż tak postępować się niegodzi; lecz we wszystkich krajach robią tak, jak przyjęty obyczaj każe. Gallasowie wybijają w Amhara wszystkich bez różnicy; i my odpłacamy się im témże.“

60. Sahara.

Największą i najokropniejszą na ziemi pustynią jest Sahara, morze bezwodne, zajmujące cały środek północnéj Afryki i obszernością równające się dwóm trzecim częściom Europy. Grunt jest albo nagą skałą, albo okryty grubym żwirem i kamieniami, albo warstwą drobnego piasku. Podróżny widzi przed sobą nieobjęte okiem morze piaszczyste, które przebyć ma nadzieję tylko na swoim wielbłądzie. Dokoła niego ciągnie się mniéj i więcéj szeroki pas ziemi żyznej, który w większej części oblewa morze rzeczywiste. Tak w stronie północnej, między Saharą i morzem Środniemném, leżą Tripolis, Tunis, Algerja i państwo Maroko, na wschód Egipt, oblany dalej morzem Czerwonem.

Północno wschodnia część Sahary ciągnąca się aż ku dolinie Nilu, nazywa się pustynią Libijską, a część południowo wschodnia pustynią Nubijską. Na płaskiéj poziomej powierzchni pierwszej, często po całych dniach nie napotyka się ani ziarna piasku i widać tylko czyste niebo nad głową i stałą opokę pod nogami. Z doliny Nilu idzie się naprzód pod górę, a potém po dzikiéj przykréj i niebezpiecznéj, nawet dla wielbłądów, drodze znowu z góry; i to przejście jest wstępem do pustyni Libijskiéj. Jak daleko sięga oko, niewidać nic prócz skał i piasków i tylko tu i ówdzie w niezmiernéj dali rozrzucone grupy palm daktylowych. Jak zielone wyspy, leżą pojedyńczo lub grupami ocienione drzewami miejsca, gdzie jest woda, i ku nim jedynie zwracają się tęskne oczy spragnionego wędrowca. Tylko po tych oazach kierują się karawany z Barbarji do Senegalu i do Nigru, oraz z Syrji, Arabji i Egiptu, przez pustynię na zachód. W południowo wschodniej stronie leżą dwie wielkie oazy: Kordofan i Darfur. Pierwsza przedstawia zieloną równinę, którą przebiegają pasma pagórków, jest bardzo żyzną i gęsto zaludnioną. Druga, ważna przez swój handel, zwłaszcza niewolnikami, w porze dżdżystéj miewa liczne małe i wielkie źródła, które w czasie następującej suszy znikają. W głównem jej mieście Kobbe, mającem 6000 mieszkańców, niemasz ani jednego domu, niezajętego przez kupców i cudzoziemców. Władcą téj oazy jest sułtan z rodu maurytańsko arabskiego. Corocznie przedsiębiorą tu wielkie wyprawy dla łowu niewolników. Karawany wychodzą ztąd w rozmaite strony z tysiącami wielbłądów i niewolników i następnie, obładowane towarami Wschodu i Zachodu, wracają do swojej ojczyzny.

W pustyni Nubijskiej, gdzie na granicach dolnego Egiptu w IV

wieku po Chr. żyło mnóstwo mnichów i pustelników, podróżny znajduje dotąd wiele zabytków dawnych klasztorów. Na tym oceanie piasków, od wschodu do zachodu rozsianych, jest więcéj jak 50 większych i mniejszych oaz. Szczepienie daktylów jest głównem zajęciem mieszkańców, na tych wyspach piaszczystego morza. O czternaście dni drogi od Aleksandrji, w południowo wschodniej stronie od Barki, leży oaza Ammona, niegdyś sławna wyrocznią Jowisza Ammona, państwem kapłańskiém, świątynią i cienistemi gajami palm i drzew oliwnych. Z pustych skał tej sławnej oazy zstępuje się na dół na zieloną żyzną dolinę Siwah, z głównem miastem tegoż nazwiska. Tam leżą mile obok siebie uprawne niwy i cieniste gaje palm, drzew oliwnych i pomarańczowych. Najpiękniejsze owoce: daktyle granaty, pomarańcze, rajskie figi, oliwy, morele i inne wyborne jagody, których niewydają oazy sąsiednie, tam orzeźwiają mieszkańców i przybyłych cudzoziemców.

W samym środku całej pustyni i północnej Afryki leży, 60 mil długa i 40 mil szeróka, oaza Fezzan. Jest to wielka i głęboka nizina. Główne jej miasto Murzuk, leżące pod 26° szerokości północnej, ma najwyższą średnią temperaturę na całéj ziemi. Na zachód ziemia jest pusta i jałowa, na wschód i południe sucha i pokryta solą. Deszcze tu są bardzo rzadkie, ale wiele źródeł daje ziemi płodność; wydaje ona w obfitości zboża, jarzyny ogrodowe i owoce: mianowicie granaty, figi i wyborne wodniste kawony; najważniejszym jednak płodem jej są daktyle, będące głównem pożywieniem ludzi i wielbłądów. Mieszkańcy zajmują się handlem i rozbojem. Tu jest najważniejszy plac handlowy w całej północnej Afryce, punkt pośredni między Wschodem i Zachodem mahometańskim, między Mekką i Kairem z jednej strony, a Sudanem i Marokiem z drugiej strony. Przez cały rok tu nieustają targi; ale największy tłok kupców bywa podczas wielkiego jarmarku, kiedy zbierają się tu przybywające ze wszech stron karawany. W on czas bywają tu kupcy z Sudanu ze swojémi bogactwami: złotym proszkiem, strusiémi piórami, kością słoniową i niewolnikami; inni są ze wschodu i zachodu: z Egiptu i krajów barbaryjskich. Miasto Sebha, otoczone pięknemi lasami palmowemi, rozłożone jest w kształcie amfiteatru i w niém dają się widzieć ludzie wszelakich barw: od jasnoskórych mieszkańców Północy, do ciemnoskórych Mulatów i całkiem czarnych mieszkańcow Murzuku. Fezzan jest ostatnią wielką oazą, na której jeszcze daje się widzieć płodność tutejszej przyrody i afrykański zwrotnikowy świat roślinny i źwierzęcy przedstawia się jeszcze w całej swej okazałości.

Po za oazami wśród pustyni, znajdują się tylko małe suche i niedołężne krzewy, tu i ówdzie różne osty i ziółka pachnące; w niektórych bezpiecznych miejscach, rosną cierniste mimozy, z których kory ciecze sytna gumma. Takiém twardém pożywieniem z ostów i cierniów musi zadowalniać się wielbląd, przeznaczony od przyrody na okręt w tej pustyni. Oprócz niego wewnątrz pustyni

Oaza w pustyni.

napotykają się tylko bystronogie antylopy i strusie. Na krajach pustyni, gdzie źródła wody zapładniają ziemię, znajdują się dziki i słonie, a gdzie tych niema, ukazują się lwy i pantery. Ptaki dają się widzieć tylko do pewnych odległości od miejsc zamieszkałych; najdaléj w pustyni znajdują się sępy, sokoły i kruki, po miastach wróble, a po gajach palmowych dzikie gołębie. Kwiaty są tu rzadkie, a przeto niewiele znajduje się i rodzajów owadów; nawet much tu niema, ale za to wiele jest mrówek, szarańczy i skorpionów. Wreszcie na oazach i dokoła nich znajdują

się dzikie koty, hyeny, szakale, lisy, bawoły, jeże, myszy i szczury. Konie, woły, owce, kozy i psy są rzadkie i drogie. Mieszkańcy pustyni Maurowie składają hordy dzikie, koczownicze i zbójeckie.

Dr. R. Binder.

61. Maroko.

Mogreb, czyli państwo najodleglejsze Zachodu, (tak bowiem Maurowie nazywają swój kraj) zajmuje w Afryce taki prawie obszar jaki Hiszpanja w Europie. Umieszczone pomiędzy małem morzem (Środziemnem) i morzem bez brzegów (oceanem), przecięte jest od wschodu na zachód długiém pasmem gór, których śnieżne szczyty sięgają po za granice widoku w obłoki. Jest to Atlas, potężny Atlas, ów znany poetycznym Grekom król ziemi, na której pasły się nieprzeliczone trzody, na której rosły drzewa z liśćmi złotem świecącémi, ze złotemi gałęziami i złotym owocem, król państwa obronnego wysokim murem i strzeżonego przez okropnego smoka. Skamieniały w pośrodku swojego państwa olbrzymi starzec dźwiga na swych barkach kopułę niebieską, a w łonie swém kryje nieprzebane bogactwa.

Smoka z ognistym ogonem znajdujemy na południu, na pograniczu Sahary. To ów okropny wiatr Simuhu, który wznosi, skupia, porywa z sobą na odległość kilku mil w morze, pałające ogniem piaski pustyni. Tam na ziemi bezpłodnej żyją hordy barbarzyńców, niechcące podlegać nikomu i żywiące się łupami zdobytemi na karawanach.

Na brzegach północno wschodnich państwa Marokańskiego, wznoszą się niebotyczne ostrokończaste skały. To prowincja zwana Rif, której mieszkańcy, również barbarzyńcy jak Beduini w Saharze, trudnią się łowami na lądzie, a rozbojem na morzu, i jak tamci niechcą ulegać cesarzowi Maroko. Pustynie Angadu i Mulaja przegradzają prowincję Rif od Algerji; od zachodu Rif przytyka do prowincji El Garb, wystającej jak ogromny głaz z Afryki i ścieśniającej morze Śródziemne przy jego ujściu do oceanu.

Od przylądka Spartel rozpoczyna się długa linja brzegów oceanu i na tejto widzimy porty kupieckie dość znakomite, znane pod nazwiskiem Larasz, Rabath, Mazagran, Mogador. Inne miasta jak Sale, Amazor, Safi, Santa Cruz, leżą po największej części w ruinach. Na tym brzegu znajdują się całe miasta, niegdyś sławne zamożnością, zaś dziś przeistoczone w zupełne ruiny, w zwaliska bez żadnej ludności. Wielka zaraza, w roku 1799, wyludniła

wiele miejsc do szczętu i zadała ostatni cios nieszczęsnej krainie od wielu, wielu wieków chylącej się ku upadkowi.

Liczne i bystre strumienie spadają ze szczytów Atlasu; lecz zatkane przy ujściu do morza ławami piasku, którym niedbalstwo Maurów dało się skupić, potoki te i rzeki nie są spławnémi dla większych statków. Gdy śniegi topnieją na Atlasie i gdy padają deszcze, ta sama przyczyna, która robi rzeki niezdatnémi do spławu, staje się powodem strasznych powodzi. Wody, niemogąc wylać się swobodnie do morza, rozpościerają się na prawo i na lewo w ogromne bagniska, które potém zarażają powietrze niezdrowemi wyziewami i sprowadzają niezliczone choroby. W wielu miejscach wymarła z téj przyczyny cała ludność, wiele miast zginęło w bagnach.

A jednak ten kraj, opasany z czterech stron morzem, piaskami, górami i pustynią, zawiera jeszcze tysiące mil kwadratowych, pokrytych najpyszniejszemi ogrodami starego Atlasu. Poprzecinana dolinami, płaszczyzną i tarasem, którego rozmaite i różnostronne pochyłości sprzyjają bujności roślin, od zboża aż do owoców zwrotnikowych, ta ziemia obiecana pokrywa się czarującą wegetacją, w wielu miejscach do roku trzy daje żniwa i to bez innej zaprawy, jak tej, którą pozostawiają stada pasącego się bydła, lub popioły spalonej słomy.

Jackson, który szesnaście lat bawił w różnych prowincjach Maroku, daje zastanawiający przykład siły roślinnej w tym kraju. „Podróżowałem w prowincji zwanej Suza, pomiędzy plantacjami oliwnemi. W blizkości miasta Messa znajduje się jedna z tych plantacji nadzwyczajne obszerna. Drzewa jej są pyszne i wysokie jak u nas klony, (mówi Jackson Anglik) ale nie w szeregach ustawione, a rozsiane w nieporządku, co mnie zastanowiło, inne bowiem plantacje rosły w bardzo regularnych szykach. Pytałem się o przyczynę téj nieregularności i dowiedziałem się, że jeden z cesarzewiczów obozował kiedyś w tém miejscu z całém swém wojskiem, w pochodzie ku Sudanowi. Żerdzie, służące do przymocowania koni, były ścięte z drzew oliwnych, rosnących w blizkości i wbite w ziemię, w której pozostały po opuszczeniu obozu. Potém te żerdzie przyjęły się i wybujały w ogromny las. Przypatrzywszy się zblizka, dodaje Jackson, nagięciu drzew i porządkowi w którym były ustawione, rozpoznałem z dokładnością, że w ten sposób zwykła obóz rozstawiać kawalerja.“

Ta żyzna prowincja Suzy, która niegdyś stanowiła osobne państwo, dziś jeszcze jest najpiękniejszym brylantem w koronie cesarza Maroko. Drzewa oliwne, migdałowe, daktyle, pomarańcze

i wino, trzcina cukrowa, najpiękniejsze indygo, udają się tutaj bez żadnej trudności, bez żadnej prawie pieczołowitości ze strony rolników. A okolice miasta głównego Tarodan, to istny raj: kwiaty współubiegają się tu o świetność kolorów z ptakami, węże są piękne a niejadowite, a małpy i grzeczne i smaczne. To kraj obiecany.

I klimat cudnie jest przyjemny. Tylko w początkach Września Simuchu tu świszczy i wyje czasem tylko przez dni trzy, ale czasem także i przez dni dwadzieścia. Wreszcie tylko w południowych częściach tej krainy, czuć się daje cała srogość tego nieznośnego wiatru, który zawsze poprzedza owe deszcze zwane ljali, padające najczęściéj przez dni czterdzieści. I w części najmniéj żyznej udają się jeszcze wybornie pszenica turecka, proso, bawełna, indygo, ryż, szafran i konopie; a gummy, miodu, sezamów, soli, saletry jest podostatkiem.

Prowincja Haha posiada całe lasy arganu: drzewa, którego pestki zawierają wyśmienitą oliwę, nadzwyczajnie zdrową i palącą się dwa razy dłużej, jak oliwa z oliwek zwyczajnych. Tam także rośnie arar: owo piękne i trwale drzewo, którego nigdy nie czepia się żaden robak.

Cedry, drzewo, korkowe, dęby i akacja świętojańska, orzech i oliwki, figi, daktyle i pomarańcze, granaty i kasztany, magnolje, akacje, bzy, geranje, kaktusy i aloesy, wszystkiego ogromne, zastanawiające mnóstwo; a źwierzyny i pięknego bydła, owiec szczególniéj, wielkie nieprzeliczone chmary.

Jednakże, dodaje pan Jackson, wszystko chyli się ku widocznemu upadkowi w tym kraju żyznym, a ubogim. Nikt tu nie jest pewnym swego; gdzie dostatek, tam niezadługo może być nędza, kalectwo i śmierć nawet. Tylko nędzarz żyje tu bez trwogi stracenia owocu swej pracy; ale go głód zabija, pomimo całego miłosierdzia Maurów, Arabów i Beduinów. Cesarze maurytańscy zakazują wywozu zboża i na przekor axyomatowi politycznemu, który głosi że taniość zboża jest błogosławieństwem, w Maroko im tańsze zboże tém lud biedniejszy. Tak jest na nieszczęście na tej ziemi, że człowiek gdy, go nadzieja zysku nie pobudza, z mniejszą daleko pracuje gorliwością; człowiek zaś niepracujący szkodliwym jest dla ziemi ciężarem i pod pozorną nieruchomością i próżniacką spokojnością często pała zawiścią, dumą i podstępem.

Rząd marokański daleko jest arbitralniejszym od tureckiego. Sułtan dzierży w swojem ręku życie, własność a nawet i sumienie poddanych. Jako potomek Mahometa jest on władcą wszystkich prawowiernych. Żadna rada, żaden dywan nie tamuje jego naj-

wyższej władzy. On jest najwyższym sędzią, nieomylnym tłumaczem Koranu i jedynym wykonawcą prawa, z jego własnej woli wynikającego.

Trudno widzieć coś równie pstrego i kolorem twarzy i ubrania, jak jest ludność państwa marokańskiego. Składa się ona istotnie z różnorodnych, częścią nawet nieprzyjaznych sobie żywiołów; jako to: z Maurów, Arabów, Berberów, Kabylów, Żydów i Negrów.

Maurowie stanowią największą i najoświeceńszą część ludności; mieszkają prawie wyłącznie w miastach, piastują wszystkie wyższe urzędy i panują nad krajem. Oni jedynie wchodzą w styczność z Europejczykami.

Arabowie mieszkają częścią w namiotach, częścią po wsiach. Mieszkańcy namiotów są narodem koczującym, przebywają na rozległych płaszczyznach wnętrza kraju i mało zależą od swego sułtana, którego uznają tylko dla formy. Opuszczając jedno miejsce już spasione, dla drugiego obfitszego w pastwiska, opłacają się sułtanowi, lub jego paszy; wszystka bowiem ziemia należy do panującego.

Najdzikszém plemieniem są Berbery. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, są oni potomkami pierwotnych mieszkańców kraju, Numidyjczyków. Największa część żyje w górach i lasach i zajmuje się więcej łowami, rybołówstwem i rozbojem, jak rolnictwem; tych Maurowie i Arabowie nazywają Kabylami, czyli Kabajlami i nie cierpią jak czartów. Szczep ten choć tak starożytny ale dziki, słabe ma wyobrażenie o bóstwie i nie obserwuje, prócz kilku zabobonnych form, żadnego stałego wyznania religijnego. Inni Berberowie, trudniący się hodowaniem bydła, mniej dzikiego są usposobienia i cokolwiek więcej mają oświaty i sumienia; nazywają ich tutaj Amazirgami.

Żydzi mieszkają, jak wszędzie, po miastach i oddają się łatwiejszym rzemiosłom i tak zwanemu handlowi, to jest szacherce. Czynniejszymi są i przemyślniejszymi jak Maurowie i dla tego stają się niezbędnie potrzebnymi w tym kraju, choć ich każdy nienawidzi i choć wszyscy, nawet Murzyni, nimi gardzą.

Murzyni są po większéj części niewolnikami, używanymi za ogrodników i do straży haremu. Wielką ich część cesarz zakupuje do swej przybocznej gwardji, tak świetnej, pysznie uzbrojonej i ubranej, jak trudno widzieć coś podobnego. Jest jéj 6000. Jest także wielu Murzynów wolnych i trudniących się rzemiosłami i handlem; są to w ogólności ludzie bardzo rzetelni, zgodni i zręczni.

Stołeczne miasto Maroko bardzo rozległe, niegdyś w XII wieku posiadające do 700,000 ludności, dziś zachowało jej część ledwo dwunastą. Założoném zostało r. 1050, jak mówią, na miejscu rzymskiego Bocanum Hemerum. Całe jest otoczone murem na 32 stóp wysokim, w okręgu długim na $2^5/_7$ mil geogr. Na odległość pół strzału z ręcznej broni, to jest 150 kroków, znajdują się

Maroko.

w tym murze wieżyczki, na większych zaś przestrzeniach wysokie i potężne baszty, uzbrojone działami. Ulice są bezludne, domów bardzo wiele leży w gruzach, place publiczne ogołocone i puste; ale wszystkie meczety, a jest ich do 80, w dobrym jeszcze znajdują się stanie. Kilka z nich jest bardzo pięknych; zaś meczet główny, zwany El Colubia, wzniesiony w wieku XII, jest okazałym, pięknej, Alhambrę przypominającej, struktury i w szczegółach prawdziwie ozdobny, uroczy, a nawet wyszukano wykwintny.

Główny bazar i karawanseraj miasta, zwany tutaj Kajsarin, może pomieścić do 10000 ludzi i 5000 bydła. Tu się zbierają karawany, rozchodzące się w najodleglejsze strony: do Mekinezu, Tangeru, Suzy, Tafiletu, Mogadoru, a nawet owe wielkie karawany, które dwa razy na rok idą do Tombuktu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotej tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego, na wschód od Maroku leżącego grodu, otoczonego jeszcze wyższym jak miasto, a na obwód $1^1/_2$ mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sułtanów marokańskich, z ogrodami, w których uroki przyrody walczą z pięknościami sztuki. Te ogrody przebiega rzeka Tenesift i zasila swojémi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne są wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i officyn, przeznaczonych dla dworzan, jest daleko więcej aniżeli w Wersalu; a domków osobnych, o jedném piętrze, rozsianych po parkach i ogrodach, jest przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten niezmierny ogród, w którym nie braknie ani gmachów, ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz.

Wspomnienia z podróży Dra Tripplina 1852.

62. Ofiary ludzkie w Dahome.

W mieście stołeczném Abome znajduje się grób królewski w wielkiej jaskini W pośrodku jej dla zmarłego monarchy wznosi się nie wysokie rusztowanie, otoczone żelaznemi poręczami i na niém stawi się trumna. Robi się ona z gliny, rozczynionej krwią stu zabitych jeńcow wojennych, którzy mają na tamtym świecie składać straż honorową zmarłego. W trumnie głowa spoczywa na czaszkach zwyciężonych królów i wodzów i do koła rusztowania kładą mnóstwo innych czaszek.

Po tém wystawieniu ciała, otwierają się drzwi grobowego sklepu i zstępuje do niego osiém nadwornych tanecznic i pięćdziesiąt wojowników. Daje się im żywność na kilka dni i zlecenie iść za swoim panem do królestwa cieniów, to jest zostają oni żywcem pogrzebani. Można mieć pojęcie, jak silnym jest obłęd tego ludu, z tego, iż zawsze się znajduje dość ochotników, ubiegających się o zaszczyt takiego pogrzebania. Trzy dni grób pozostaje otwartym; po czém najpierwszy minister państwa nakrywa trumnę czarnym całunem, rozdziela pomiędzy dostojników dworu

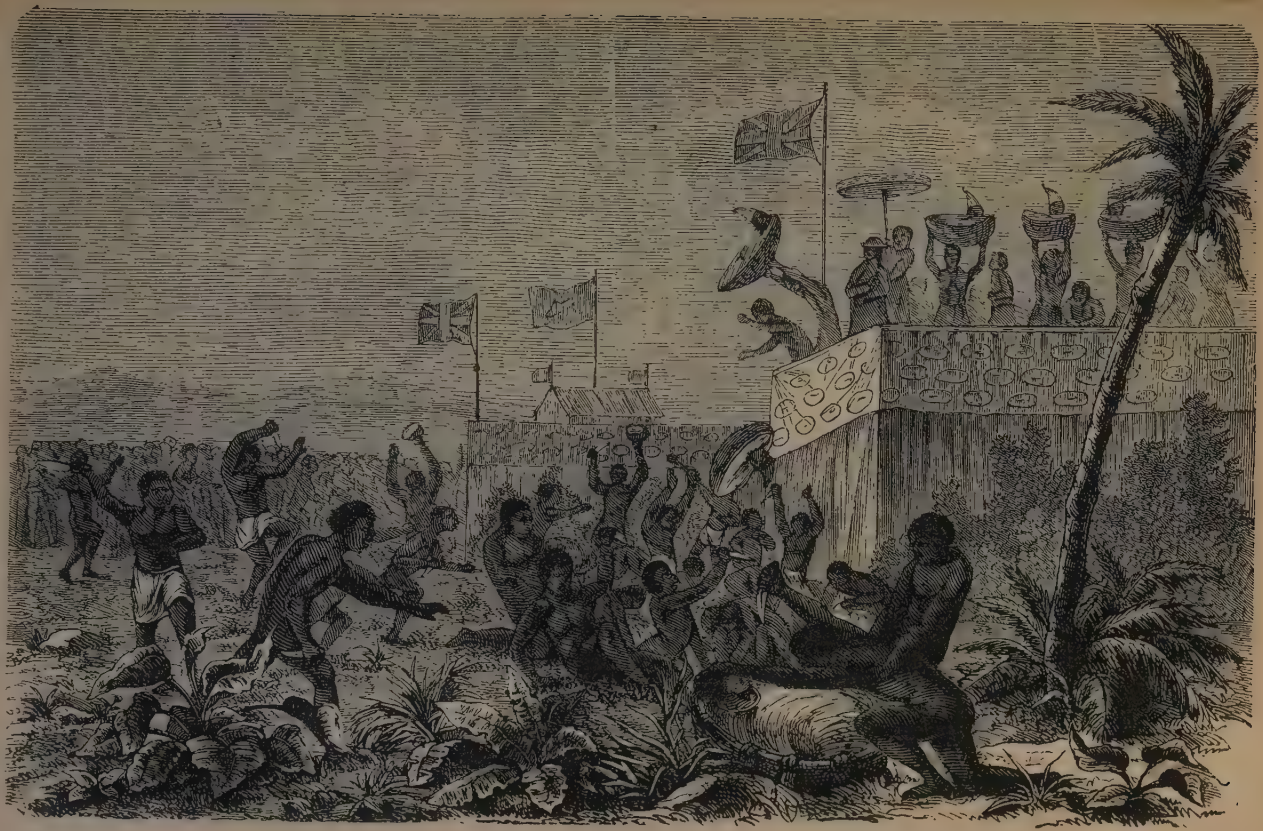

Ofiary ludzkie w Dahome.

i tanecznice szaty i ozdoby, które następca tronu składa w darze pamięci zmarłego i grób się zamyka.

Przez 18 miesięcy nowy monarcha sprawuje władzę jako regent w imieniu zmarłego króla, mając obok siebie dwóch ministrów. Po upływie tego czasu zwołuje się do pałacu wielkie zebranie i odbywa się wielka processja do królewskiego grobu; otwierają trumnę i wyjmują czaszkę zmarłego. Regent bierze ją w lewą rękę, a w prawej trzyma mały toporek; poczem ogłasza publicznie że król umarł i on w miejscu jego obejmuje rządy. Wtedy wszystek lud upada na twarz i posypuje głowy prochem. Ale te oznaki żalu trwają nie długo; król kładzie czaszkę i toporek na stronę, dobywa szabli i oznajmia, że on jest panem i władcą. Na to wszyscy podnoszą okrzyki radości i rozpoczynają się śpiewy i tańce przy odgłosie straszliwej muzyki.

Przyjętém jest, iż przy tej okoliczności wszystkie możne w kraju osoby i Europejczycy, posiadający tam faktorje, składają dworowi podarki. Uroczystość ta wstąpienia na tron ma nazwę „wielkiego zwyczaju“ dla odróżnienia od innych dorocznych uroczystosci. Wtedy zabijają ogromne mnóstwo ludzi, którzy wszyscy mają nieść zmarłemu królowi na tamten świat wiadomość, że jego następca objął po nim rządy. Krew zamordowanych ofiar zbiera się i rozczynia się w niej glina, której wyrabia się szczególniejszego kształtu naczynie; w te kładą czaszkę i kości zmarłego monarchy i potém je zamykają. W naznaczony dzień nowy monarcha staje przed tą urną i składa jej cześć, lejąc w nią przez zrobione na to otwory wódkę, rzuca też w nią Kauri, to jest muszle używane za monety; albowiem zmarły i na tamtym świecie potrzebuje pieniędzy na swoje wydatki i byłoby hańbą dla jego następcy, gdyby na to musiał on zaciągać długi.

Wszystkie pomienione zwyczaje zachowane były jeszcze w r. 1860. Wprawdzie wytworzyły się w arystokracji dahomejskiej dwa stronnictwa, z których jedno obstawało silnie za ścisłem przestrzeganiem dawnych krwawych zwyczajów, kiedy drugie było za niejakiém ich złagodzeniem nadal; ale pierwsze wzięło przewagę. Dawny obyczaj pozostał tedy w swojej mocy, i gdy król Bahadu oznajmił swoje panowanie, lała się krew potokami, jak w czasach przeszłych.

Wreszcie nie sama tylko pomieniona uroczystość obchodzoną bywa przez zabijanie ludzi; zaślepienie i fanatyzm domagają się w tym kraju prawie z każdym dniem nowych ofiar. Jeden missyonarz protestancki opowiada co następuje.

11 Lipca 1860 proszono mię przyjechać do Abome. W drodze

napotkałem człowieka, niesionego na rozpiętej macie pod ogromnym parasolem; miał on na sobie ubiór majtka i przeprowadzał go orszak liczny. Dowiedziałem się, że miano go wrzucić do morza, a z nim oraz dwóch strażników portowych. Za cóż? Oto by służyli zmarłemu królowi, kiedy przyjdzie mu ochota kąpać się w morzu.

W Kanna spotkaliśmy nowego króla, który prosił nas stawić się przed nim na dzień 16 Lipca w jego stolicy. Gdyśmy tam przybyli, prosił on nas siedzieć; poczém stawiono przed nim człowieka ze związanémi rękoma i zakneblowaną gębą; był to posłaniec, którego król wyprawiał na tamten świat z pozdrowieniem do swego ojca. Zarazże w naszych oczach zaprowadzono go na grób zmarłego monarchy i tam zamordowano.

Wkrótce potém, także w naszej obecności, przyprowadzono królowi czterech innych ludzi, a z nimi jelenia, małpę i ptaka i wszystkim poucinano łby, z wyjątkiem tylko ptaka. Otrzymali oni zlecenie oznajmić zmarłemu monarsze w królestwie cieniów, iż jego syn zarządził na ziemi wielką uroczystość, dla uczczenia pamięci swego ojca. W szczególności zaś, jeden człowiek miał oznajmić o tém wszystkim duchom, nawiedzającym targi krajowe, drugi miał powiedzieć o tém wszystkim istotom, przebywającym w wodach, trzeci duchom, jeżdżącym po wielkich drogach czwartemu zaś kazano zapowiedzieć to w ogólności wszystkim mieszkańcom niebieskich przestworów; jeleń miał oznajmić to źwierzętom leśnym, małpa, źwierzętom swojego rodzaju na drzewach, a ptak, mieszkańcom powietrza. Temu jednemu niewiadomo dla czego dozwolono dopełnić swojego poselstwa przy życiu.

17 Lipca król rozkazał przy odgłosie bębnów zapowiedzieć ludowi, że w rychle odbywać się będzie wielka uroczystość. Bawiący w Abome Europejczycy radzi było oddalić się, by nie patrzeć na okropne widowisko; ale król nie puścił ich. Uroczystość rozpoczęła się 22 Lipca 1860. Ledwo dzień zaświtał, zamordowano w pałacu przeszło 100 mężczyn i tyleż kobiet; poczem wyszedł król i obecni wojownicy i amazonki powitali go wystrzałami z ręcznej broni; następnie składało władcy pozdrowienie 90 oficerów i 120 książąt i księżniczek, z których każdy i każda ofiarowali mu od 2 do 4 niewolników, mających być zabitymi na cześć zmarłego. Niektórzy z osadników portugalskich ofiarowali też królowi 20 ludzi na zabicie, a prócz tych jeszcze pewną ilość wołów, owiec, kóz, ptactwa, kauri, srebra i rumu. Inni Europejczycy nie chcieli czynić nic podobnego.

1 Sierpnia, gdy król był obecnym przy uroczystości żałobnej,

pochowano 60 ludzi, 50 owiec, tyleż kóz i 40 kogutów i wrzucono do grobu królewskiego wielką ilość kauri. — Potem gdy król obchodził w koło swojego pałacu, strzelano ciągle z ręcznej broni; a gdy skończył swojej obchód, zabito jeszcze 50 niewolników. Wreszcie pan się ułaskawił i 10 pozostałych udarował życiem. Na drugi dzień kazał on rzucać pospolstwu kauri i materje bawełniane i rad patrzał, jak ludzie rzucali się na nie, wydzierali je sobie i bili się o nie.

Całe 3 tygodnie trwały już te straszne uroczystości, a jeszcze nie mogliśmy uzyskać pozwolenia na odjazd. Wreszcie mnie pozwolono udać się do Whydah; ale musiałem przyrzec, że na 12 Października będę z powrotem w Abome. Dotrzymałem słowa, stawiłem się na dzień oznaczony i zaraz byłem proszony do króla. Przed bramą pałacową naliczyliśmy wtedy 90 głów ludzkich, świeżo uciętych tegoż ranka. Krew jeszcze lała się obficie. Bahadu pokazywał nam podarki, jakie zamierzał posłać swemu zmarłemu ojcu: dwa wozy, trzy misy, dwa dzbany herbaty, puszkę cukru i garnek masła. Wszystkie te naczynia były ze srebra i złożone na przepysznej poduszce na małym wózku, ciągnionym przez 6 amazonek. Następnie dodano jeszcze do tego trzy jedwabne wiszące maty z zasłonami i niektóre inne rzeczy.

We trzy dni potém znowu byliśmy wezwani do pałacu, by obaczyć znowu 60 świeżo uciętych głów ludzkich, zawieszonych po obu stronach bramy, a po upływie nowych trzech dni przybyło jeszcze 36 nowych ofiar.

Na wielkim rynku miasta wystawiono cztery wielkie rusztowania, z których król kazał rzucać pospólstwu muszle; i tamże zamordowano 60 ludzi. Patrząc na takie okropności rozchorowałem się i rad byłem temu, bo wypuszczono mię nareszcie z tego miasta, w którém jeszcze mordy nie ustały.

Globus.

63. Kafrowie Zulu.

Poczciwy to naród Kafrów Zulu. Przez całą drogę, jaką odbyłem między nimi, nie zginęło mi nic i z najdrobniejszych rzeczy, pomimo że gdyby chcieli tylko, mieli zawsze najlepszą sposobność do kradzieży. Są oni towarzyscy, rozmowni i gościnni. Każdy, kto przybędzie, proszonym jest do stołu. Przedmiotem rozmowy są wypadki dnia, mianowicie szczęśliwego polowania. Wieczorami przy pałającém ognisku, gadają o tém nieraz aż do późnéj nocy.

Opowiadaniu towarzyszy minika tak żywa i wyrazista, że i bez znajomości języka można się domyślać rzeczy i śledzić za opowiadaniem. Ludzie ci w stanie są długo i statecznie znosić głód; ale kiedy potém upolują moc źwierzyny, zjadają jej od razu tyle, że Europejczykowi to wydaje się niepodobieństwem. W łowach są niezmordowani i wytrzymałość ich na wszelkie przy tém trudy jest nie do pojęcia. Kiedy podejmą się przenieść z jednego miejsca na drugie choćby i największy ciężar, nie ustają nigdy w pracy przed dokonaniem dzieła. Ulubioną ich bronią jest pika, zwana Assagai. Każdy wychodząc sam jeden ma zawsze z sobą pięć lub sześć takich lekkich oszczepów i do używania ich wprawia się od dzieciństwa. Broń ta utrzymuje się w czystości i jej ostrze musi zawsze błyszczeć. Uprawą roli zajmują się kobiety, których system muszkularny, w skutek takiej ciężkiej pracy, jest niezwykle rozwiniętym. Prawa u nich były dawniéj bardzo surowe; złodziejstwo i przestępstwa przeciw obyczajom karane były śmiercią. Kto chce się żenić, musi na to otrzymać pozwolenie od swego królika, którego wszystkie w kraju dziewczęta są własnością i który wynagradza niémi każdego według stanu i zasługi. Człowiek, mający jakiekolwiek znaczenie bierze zwykle 5 lub 6 żon. Mężczyzna żonaty nosi na głowie, według krajowego zwyczaju, obręcz z gumy wplecioną w wełniste włosy i która zawsze musi być utrzymywaną czysto, co zadaje niemało pracy miejscowym fryzyerom. Znaczniejsi Zulu, tak jak i Chińczycy, zapuszczają bardzo długie paznogcie na małych palcach obu rąk. Wszyscy mężczyzni, jakiegokolwiek stanu, namiętnie zażywają bardzo mocną tabakę, wyrabianą z tytoniu krajowego.

Mieszkania utrzymywane są bardzo czysto. Chata dość przestronna, kształtem podobna do pszczelnika, ma podłogę z czarnej twardo ubitej gliny. W środku jest owalne zagłębienie na ogień, który wypada rozpalać niekiedy i dla ogrzania chaty w chłodne dnie, a zwłaszcza noce. Dla siedzenia do koła niego rozścielają pięknie plecione maty, które zwinięte wiszą na ścianach. Resztę sprzętów składają broń, mianowicie piki, flasze z wydrążonych tykiew i stołki, wyrobione starannie z czarnego drzewa. Wszystko to ustawione jest porządnie pod ścianami chaty, która, zabezpieczona należycie od wiatrów i niepogody, jest bardzo miłém schronieniem, zwłaszcza w czasie upałów nieznośnych o południu. Gdy gospodarz zaczyna z gośćmi rozmowę, podają wszystkim tabakę i napój w rodzaju piwa, sporządzony z krajowego prosa, zwanego kaffir. Piją go z wielkiéj tykwy, idącej z rąk do rąk. Trunek ten ma smak kwaskowaty i upaja. Wejście do chaty jest tak nizkiém,

że można tylko wleźć do niej na czworakach. Takie chaty w pewnej odległości od siebie, stoją do koła, będącego w środku ogrodzenia, do którego na noc zapędzają bydło; zaś całą taką osadę, zwaną Kraal, otacza zewnątrz mocne ogrodzenie z palów przeplatanyeh gałęziami, a to dla zabezpieczenia od lwów i lampartów. Każdej prawie nocy hyeny podstępują aż pod sam kraal i dają znać o sobie straszliwym rykiem.

Budową chat zajmują się mężczyzni, oprócz tego polowaniem i więcej niczém. Jedzą najwięcej mięso ze źwierzyny; mleko od krów przeznaczone jest głównie dla kobiet i dzieci. Na polach, bardzo żyznych, sieją kukurudzę, pewny rodzaj prosa, zwany kaffir, i harbuzy. W ogrodach założonych i utrzymywanych przez niektórych osiadłych tam Europejczyków, doskonale rodzą się wszystkie kuchenne warzywa, cytryny, pomarańcze, figi, migdały, ananasy, banany i inne owoce.

Kafrowie Zulu mają siebie za najdzielniejszych wojowników w całéj południowo wschodniéj Afryce i takiemi są niewątpliwie; mają jednakże zbawienną obawę broni ognistéj europejskiéj, zwłaszcza przypatrzywszy się jej działaniu w wojnach osadników angielskich ze swoimi czarnymi sąsiadami. Wyobrażenia religijne tego narodu są bardzo ciemne; wierzą oni w życie po śmierci, mające być gdzieś głęboko pod ziemią. Umarłych grzebią w postaci siedzącéj. Oprócz tego wszyscy wierzą w czary i w złych duchów, od których zabezpieczają się przez talizmany. Ale nie masz u nich i śladu jakiegokolwiek pojęcia o czci Boga, lub ofiarze. W obec śmierci zachowują na pozór zupełną spokojność. — Okazują też wielką zdolność do muzyki, jeżeli zasadne są spostrzeżenia tego przez kilku podających o tém wiadomość podróżnych.

Globus.

64. Eskimosy w Grenlandji.

Tuziemcy Grenlandji należą do plemiennia Eskimosów. Ich skład ciała, mowa i sposób życia okazują, że należą oni do tego wielkiego szczepu polarnego, który zamieszkuje całą głęboką Północ, tak brzegi morza, jak i wnętrza lądów w pośród śniegów i lodów tak daleko, jak sięga morski pies. Eskimosy grenlandzcy nazywają sami siebie Innuit, to jest ludzie, albo istoty ludzkie; postaci są małej, krępej, często grubej, twarz mają szeroką i płaską, oczy pozbawione wszelkiego wyrazu, nos mały, wargi

spodnie grube i włosy czarne, grube, spadające na ich ogorzałe oblicza. Skóra ich jest więcéj jasną, niż ciemną, ale bardzo brudną od nieochędóstwa i wydaje woń tłuszczu, nader wstrętną i nieznośną dla Europejczyka. W stronach południowych napoty-

Wnętrze chaty Eskimosów.

kają postacie bardziéj wysmukłe i twarze ładniejsze i wyrazistsze. Grenlandczyk jest zwykle leniwym, ciężkim i w ogóle obojętnym na wszystko, co do koła niego dzieje się, lecz oraz pospolicie dobréj myśli i wesołym. Rzadko on przychodzi do kłótni, a nawet do sprzeczki, a zaledwo do gwałtowniejszéj niż zwykle mowy; nie ma on stałych zdań, troszczy się jedynie o to, co najbliżéj go

dotycze i co mu jest niezbędnie potrzebnem i kiedy tylko może śpi po całych dniach i nocach. Przytém wszystkiem Eskimosy wielce są zarozumiali: w przekonaniu ich żaden naród nie może z nimi się równać. Chcąc pochwalić jakiego cudzoziemca mówią oni: „Jest on dobrze wychowanym tak jak my!“ albo: „Zdaje się on być Innuitem“. Gwałty i przestępstwa wydarzają się u nich bardzo rzadko. Kto zawini przeciwko drugiemu bywa publicznie wyszydzonym; Grenlandczycy bowiem mają silną skłonność do satyry i język bardzo ostry. Missyonarz Egede w początkach wycierpiał od nich nie mało; przyrównywali oni jego długi nos do rogu jelenia, a gdy on im opowiadał o życiu i męce Chrystusa Pana, robili oni uwagi: „Gdyby on był przyszedł do nas, pokochalibyśmy go i słuchalibyśmy go chętnie. Co za głupi ludzie. Zabijać tego który dawał życie.“ Lubią oni swoich krewnych i powinowatych, ale są nieczuli na nieszczęścia tych, co nie są im blizcy i niewiele ich obchodzi nawet ostateczna zguba takich, z którymi niełączą ich żadne związki rodzinne.

Nie tworzą oni żadnego państwa, ani mają jakikolwiek rząd i ogólną zwierzchność, a to dla téj prostéj przyczyny, iż wszelkich takich urządzeń nie potrzebują wcale: Nie mają nieprzyjaciół, z którymiby musieli toczyć wojny, pomiędzy sobą żyją w pokoju, każda własność jest u nich tylko osobistą, morze jest wspólną własnością wszystkich, a że ich ziemia nie może być nigdzie uprawną, przeto niema u nich gruntów i własności gruntowéj. Każdy żyje jak może, nie szkodząc przez to nikomu. Dopóki ocean dostarcza morskich psów, nie braknie im tranu na pokarm i skór na odzież; zaś innych potrzeb, ciężarów, konieczności narodów cywilizowanych nie znają oni wcale. Nigdy jeszcze nie okazała się u nich potrzeba wodza i naczelnika i był to fakt szczególniejszy i wyjątkowy, że kapitan Ross znalazł gdzieś u Eskimosów w Grenlandji, tam gdzie jéj brzegi, zawalone lodami, nie są nawet oznaczone z pewnością na kartach, jakiegoś niby królika, rozkazującego pewnéj ludności i pobierającego od niej daninę w rybach i źwierzynie. Latem oni mieszkają w namiotach, a zimą w domach, a raczéj chatach, mających wysokości od 5 do 6, szerokości 12, a długości do 100 stóp, w których pod jednym dachem mieszczą się mnogie rodziny. Ściany takiéj chaty wewnątrz okryte są skórami, dla zabezpieczenia ich od wiatrów i wilgoci, a pod temi idą ławy, w środku pali się wielka lampa nalana tranem, która służy oraz za piec i ognisko, a nad nią wisi kamienny lub żelazny kociołek, w którym gotuje się jedzenie. Szyby w oknach są nie ze szkła, a z trzewów morskich psów i wielorybów. Wchód jest

wąski i długi bez drzwi; pomimo że ciągle przez niego wychodzi z chaty gorąco, pozostaje go wszakże tyle, iż nawet w zimie Grenlandczycy siedzą w niéj prawie rozebrani. Europejczyk nie mógłby wytrzymać w niéj dla zaduchu i brudu.

Grenlandczyk żyje prawie tylko tem, co mu daje morze, i przeto z największą starannością buduje sobie łódkę, którą pędzić i sterować wiosłem umie doskonale. Łódź męzka ma od 12 do 14 stóp długości, $1^1/_2$ stopy szerokości i 12 cali głębokości. Szkielet jéj z drzewa i rogów wielorybich, obciągnięty jest nieprzemakalną skórą i cała ona waży nie więcéj jak 30 funtów. W środku jéj znajduje się opatrzony powrozem otwór, w który

Chatki śniegowe Eskimosów.

Eskimos włazi i przymocowuje do niego swoją odzież ze skóry morskiego psa, poczém siedzi sobie w wodzie zupełnie sucho i w najtęższe mrozy ma ciepło od swego własnego parowania. W téj ledziuchnéj łódce lata on po morzu tak bezpiecznie, jak morski ptak. Gdyby nawet ona przewróciła się, dość jest pociągnąć wiosłem, by ją znowu przywieźć do równowagi; ale gdy wypuści z rąk wiosło, wtedy przepadł bezpowrotnie. Łódź kobieca jest dwa razy dłuższą i trzy lub cztery razy szerszą od poprzedniéj, bardzo sprężystą, lecz z płaskiem dnem i dla tego może pływać tylko po spokojnych wodach. Siada do niéj z wiosłami cztery lub pięć kobiét, które u Eskimosów obarczone są najcięższą pracą.

Do nich należy szycie odzieży i obuwia, garbowanie skór, budowanie chat i łódek, rozbijanie namiotów, gotowanie jedzenia, suszenie przemokłéj odzieży i doglądanie dzieci; mężczyzna poczytuje wszelką pracę za ubliżającą sobie; jedynem jego zajęciem jest polowanie i rybołówstwo. Ponieważ u Grenlandczyków bogactwo jest nieznanem, przeto narzeczona wnosi u nich w posagu tylko swoje zdrowe ręce. Ale obyczaj i przyzwoitość każe i u nich pannom drożyć się z wyjściem za mąż, o co rodzice bynajmniéj się nie troszczą; potrzeba wtedy parę dni popłakać, a potém umknąć w góry i dać się sprowadzić narzeczonemu.

Grenlandja byłaby niemieszkalną nawet dla Eskimosów, gdyby nie morskie psy, tak dla nich niezbędne, jak dla Lapończyków renifery. Żywią się oni ich mięsem, okrywają siebie, swoje domy i łódki ich skórą, a z ich tłustości mają światło i opał. Biją je harpuną, do której umocowany jest pęcherz. Jedzą téż i ptaki morskie. Najśmielsi pływacze polują na wieloryby, ale tylko wespół z Duńczykami. Wtedy myją się i przywdziewają najlepsze suknie, w przekonaniu, że wieloryb nie ścierpi ich zabrudzonych. Co do obmywania i czyszczenia naczyń, w których gotuje się i podaje strawa, tém nie zajmują się nawet kobiéty; pozostawia się to psom, które wylizują wszystko gładko swojemi językami.

Dr. Karl Andree.

65. Niagara.

Nad wodospadem, prawie na dwieście stóp nad powierzchnią rzeki, stoi hotel Pawilonu, zwyczajna gościna wszystkich podróżnych, przybywających oglądać to dziwowisko przyrody. Wodospad, jak wiadomo, rozdziela się na dwie części: jedna z nich należy do Kanady, druga do Stanów Zjednoczonych. Między dwiema częściami tego tarasu i tego olbrzymiego wodospadu, znajduje się wyspa Koz, która je dzieli, a łączy się z brzegiem amerykańskim mostem wiszącym, długim na 1000 stóp, budową prawie czarodziejską, któréj łańcuchy z żelaza kręconego wydają się z daleka, jak nitki, przeciągnięte między gałęziami dwóch płaczących wierzb. Z balkonu hotelu, w którym i ja się zatrzymałem, widać tylko część amerykańską wodospadu. Kiedy księżyc świeci na stronie południowéj widnokręgu, część obrócona w stronę północno-zachodnią pogrążona jest w cieniu. Słychać tylko wieczny grzmot i ponure jęki téj ogromnéj massy spadającéj wody. Pochłania ona wszystkie

inne głosy przyrody i niewidzialną jest prawie wśród jasności, którą zalane są okoliczne lasy. Wszystko to jest raczéj wielkie, aniżeli piękne; zdaje się że księżyc większy, niebo błękitniejsze, głębie powietrzne bardziéj oddalone, obłoki bielsze, powiew wiatru gwałtowniejszy, deszcz w gęstszych kroplach, widnokręgi bardziéj oddalone, aniżeli w starym świecie. Nareszcie jakby wschody z szalejących wód, któreby z łatwością objęły w jedno trzysta wodospadów, takich jak w Szaffuzie. Jeżeli Europejczyk, nowo przybyły w te okolice, zamiast przesadzania swoich wrażeń rzeczywistych, zajmie się ich badaniem, przekona się, że prawdziwy wpływ, jaki na niego wywiera ten kolosalny rozwój wszystkich sił przyrody, nie jest uczuciem przyjemności, ale raczéj osłupienia i ogłuszenia.

Wiadomo, że wodospad niszczy sam siebie stopniowo i cofa się z roku na rok. Ucieczka łagodna i powolna, która zresztą nie pociąga za sobą żadnych następstw. Ten olbrzymi gzyms skalisty, z którego wody, od stworzenia świata, spadają na dwieście stóp na szerokości trzech czwartych mili, zużywa się koniecznie trochę, pod działaniem tak silnem i tak nieustannem. Skała traci w taki sposób około jednéj stopy na rok, a skutkiem tego massy wód tyleż ustępują. Jeżeli przypuścimy, że niegdyś zajmowały one miejsce Kingstonu, potrzeba było 40,000 lat, aby zajęły obecne swe położenie. Potrzeba będzie jeszcze 100,000 lat, aby dojść mogły do jeziora Erie, ku któremu się kieruje ich pochód wsteczny.

Wodospad rozciąga się na podwójnéj linji, złamanéj tak rozlegle, że szerokość tego nieforemnego tarasu, niestosowna do jego wysokości, zmniejsza znacznie ogólne wrażenie. Niagara, jak wszystko to co wielkie, zyskuje na bliższem rozpatrzeniu.

Ze strony Clifton House, przeciw wodospadu zwanego amerykańskim, należy przypatrywać się temu wielkiemu zjawisku. Przybywa się tam przez bardzo piękną aleję, która idzie lewym brzegiem rzeki. O południu słońce błyszczało w całéj okazałości i mgły ranne rozproszyły się, kiedym się udał do Clifton House. Ciągle zagłuszany wiecznym grzmotem rzeki, ale oddychając z radością świeżem i zdrowem powietrzem lasów i jeziór, wkrótce doszedłem jakby do portyku, zkąd mogłem zmierzyć okiem podwójne wzniesienie skał. Kilka kłębów podobnych do śniegu, albo do piany, kręciły się na spodzie podwójnéj massy wody. Widok prawdziwie wspaniały. W środku tego co nazywają podkową, słup pary wznosił się jak kolumna kręcona i powiewał jak biała chorągiew na szczycie wodospadu. Ten spadek podkowa winien swoją nazwę półkolistemu zakrzywieniu, tworzącemu wielki

gzyms, z którego ciskają się bałwany. Oko śledzi na prawo i na lewo dwie linije nieregularne i ukośne, opierające się o skałę odosobnioną w środku, która się nazywa wyspą Koz i zajmuje mniéj więcéj czwartą część całéj przestrzeni. Wyobraźcie sobie ogromny taras, złożony ze stosów kamieni, albo skał, którego rozmiary ogólne podaliśmy i pod tą liniją poprzeczną, rozbitą w kilku punktach, przepaść, któréj głębokość podaliśmy także i massę wody, spadającą tam w ilości obliczonéj 672,000 tonn na minutę, — oto Niagara.

Co jest dziwnem, a jednak zgodnem ze słabością naszego rozumu, to, że ten sławny wodospad zdawał mi się nadewszystko zajmującym i pysznym w miejscu, w którem go już widzieć nie mogłem: pod wilgotnym i przezroczystym łukiem, który on opisuje rzucając się ze skalnego progu; i tam tylko, muszę wyznać, doznałem nakoniec wzruszeń uroczystych, do których każdy podróżny się gotuje, a które mię zrazu zawiodły. Około trzeciéj godziny udałem się na most, prowadzący do wyspy Koz. Jak go zbudowano w podobnem położeniu, to jest właśnie, o czem nie mogę mieć żadnego wyobrażenia. Pręty żelazne odpowiednio ułożone i okręcone, unoszą tę lekką i nadzwyczajną machinę. Most drżał, wody huczały pod naszemi stopami, ich ruchome zwierciadło roztaczało się jak materja srebrna na wprawionym w obrót walcu; nareszcie przybyliśmy. Skoro tylko stanąłem na wyspie, znalazłem się między spadkiem wód amerykańskich i kanadyjskich z uszami ogłuszonemi ich hałasem i oblany pryskającemi ich kroplami. Z pod skały zstępował jakby zwieszony dość urwisto lasek, a pod nim w głębi otwiera się przepaść. Wschody drewniane, kręcone, ułatwiają zejście i prowadzą podróżnego nie tylko do stóp wodospadu, ale nawet pod niego.

Im niżéj zstępowaliśmy, tem bardziéj wzmagała się ciemność. Na prawo i na lewo, wśród półcienia kolory tęczy tańcowały i mieniały się kręcąc się nieskończonego walca. Im więcéj się wpatrujesz, tem mniéj widzisz. Schodząc daléj, znaleźliśmy się pod wielkim wodospadem. Tam to zaczynają się czary, pałace kryształowe wróżki Ondiny. Dwie przestrzenie wód, rozdzielone u swojego źródła, obchodzą podstawę wyspy, a łącząc swój rzut podwójny, tworzą jedną tylko arkadę, która zawsze się toczy i pod którą się przechodzi. Kiedy podniesiesz oczy, widzisz tylko tę arkadę wspaniałą, wirującą, białawą, jak perłowa koncha, błyszczącą na dwóch kończynach odcinka koła, który opisują wody światłem błękitnem i ruchomem, a w środku blado-zielonem, popręgowanem

białemi żyłkami, jak najpiękniejszy marmur. Wtedy wszelkie wspomnienie zwyczajnych krajobrazów i ziemskich widoków znika.

Chasles. Podróże po nowym świecie.

66. Z Nowego Jorku przez Detroit i Cincinnati do Nowego Orleanu.

Późno po południu wsiadłem na jeden z niezliczonych parostatków, stojących pod Nowym Jorkiem, by rzeką Hudson udać się do Albany. Hudson jest jedną z najpiękniejszych rzek. Ciche i gładkie jak źwierciadło, lecz szeroko i wspaniale rozlewające się jego wody, obejmują z jednéj i drugiéj strony wysokie i urwiste skały, w pośród których przeglądają tu i ówdzie małe miasteczka i wiejskie domki, w pośród zielonych sadów, a po saméj rzece nieustannie się unosi ogromne mnóstwo większych i mniejszych statków. Zrana obaczyliśmy Albany.

Miasto rozkłada się pysznie nad Hudsonem i kanałem Erie, po którym spławiane są wszystkie produkta, jakich dostarczają pola, góry i puszcze nieskończenie bogatego Zachodu. Następnie Hudson niesie je do morza, zaś tam zabiera jeszcze cenniejsze wyroby ludzkich rąk i kierowanych przez człowieka maszyn, jakie wydają sławne ze swoich rękodzielni miasta, po obu stronach oceanu. Przez Albany też idzie kolej żelazna od jeziora Erie do stanów Nowej Anglji. Jechałem daléj kanałem na małym, długim statku, ciągnionym końmi. Nieustannie mijaliśmy statki, naładowane zbożem, miodem, wódką, olejem, mięsem, słoniną, skórami, solą i wszelkiemi innemi produktami. Wszędzie nad kanałem budują się nowe osady, fabryki i składy. Siekiera tępi lasy, by wydobyć z pod nich pola, których plony, dzięki łatwości odstawy wodą, opłacają się we dwójnasób. Tu leżą miasta Rochester, Troja, Syrakuzy, Rzym, Lyon i inne, w krótkim czasie powstałe z ziemi jak grzyby. Mnie pociągały szczególniéj całkiem obce rodzaje kwiatów i krzewów, bujnie rosnące na polach i okrytych zaroślami wzgórzach. Odkąd opuściłem górną Bawarję i Włochy, nie widziałem jeszcze tak jasnego nieba i tak barwistego krajobrazu. Do kanału przytyka kolej żelazna z syczącą i dymiącą lokomotywą i droga bita, po któréj wleką się wozy i wózki mieszczan i wieśniaków. Wreszcie dociągnęliśmy do leżącego na drugim końcu kanału miasta Buffalo. W samém mieście wre gorącz-

kowa czynność handlu, a dokoła coraz daléj zabudowują się białe domki wiejskie, ogniska spokojnéj działalności rolniczéj. Po dwóch godzinach dalszéj drogi, odkryła się przed nami niezmierzona okiem powierzchnia jeziora Erie.

Parostatek poniósł nas przez to jezioro, od którego południowych brzegów koleje żelazne i kanały prowadzą do rzeki Ohio. Po kilkodniowéj jeździe wodnéj wylądowaliśmy w Detroit, na zachodnim brzegu jeziora. Przed stoma laty Detroit było małą wioską; teraz jest kwitnącem miastem, ma szerokie, wysadzane drzewami ulice, piękne domy i ogromne składy zboża. Jest ono progiem do wielkiéj krainy zachodniéj, w któréj życie i kultura materjalna rozwijają się jeszcze prędzéj, niż w starych dzielnicach rzeczypospolitéj amerykańskiéj. Po dwunastogodzinnéj podróży koleją żelazną, przez wdzięczne pola i malownicze doliny stanu Ohio, stanąłem w Cincinnati. To miasto jest niemiecką stolicą Ameryki, zaś Amerykanie nazwali je królową Zachodu. Miasto pyszne i piękne wznosi się na pagórkach, oblanych ogromną rzeką Ohio, na któréj przeciwnym brzegu ciągną się podobne do najpiękniejszych ogrodów niwy Kentucky. Jeśli w liczbie 200,000 mieszkańców Cincinnati Niemcy nie stanowią większości, to duch niemiecki ma tu przewagę niewątpliwą. Wszędzie indziéj język angielski przemógł i pokonał inne; tutaj tylko musiał ustąpić niemieckiemu. Do tego brzegi Ohio i okolice Cincinnati dziwnie przypominają kraje nadreńskie; a kiedy jeszcze obijają się tam o uszy niemiecka mowa i niemieckie pieśni, to zapomina się i zdaje się być w Niemczech. Cincinnati jest głównem stanowiskiem na drodze do niezmiernej doliny Mississipi; leży ono prawie o 350 mil od oceanu Atlantyckiego i przyjmuje na swoje parostatki podróżnych i towary z Ameryki wschodniéj i ze starego świata, jadące do Nowego Orleanu i wszystkich krajów, leżących nad wodami Mississipi. Mniejsze statki chodzą w górę Ohio jeszcze daléj aż do Pitsburga, a ztamtąd koleje żelazne odstawiają do Baltymoru i Filadelfji. Cincinnati jest teraz ogniskiem działalności przemysłowéj i handlowéj, którego promienie sięgają na wschód aż do oceanu Atlantyckiego, na zachód w bezmierne stepy, na północ aż do wielkich jeziór i rozkwitających nad niemi nowych miast, a na południe aż do granic Meksyku. Wiele tu jest fabryk i rękodzielni, między któremi zasługuje na uwagę zakład stolarski, prowadzony przez Niemców. Zajmuje on prawie całe dwie ulice. Tam machiny wyręczają co najmniéj 1000 biegłych stolarzy. Olbrzymia machina parowa, wprawiająca w ruch nieskończoną ilość pił, heblów, wałów tokarskich, polerowni itd., zabiera kloce surowego drzewa, tak jak

wyrąbane były w lesie i wydaje z nich gotowe stoły, krzesła, kanapy, łóżka, komody itd. Wyrabia ona co tydzień 200 tuzinów krzeseł, a na rok 50 tysięcy łóżek. W jednéj fabryce podeszew pokrajano w ciągu roku 10 tysięcy wołowych skór na podeszwy; zaś jedna fabryka obuwia zużytkowała 500 centnarów ćwieków żelaznych i 300 korcy drewnianych. Wszystko od prostych ćwieków, aż do najprzedniejszych sprzętów domowych, robią machiny.

Co jesień spędzają i zwożą zblizka i zdaleka do Cincinnati od 12 do 15,000 wieprzów i od 3 do 4000 wołów i tam je biją, solą, wędzą i rozsełają we wszystkie strony. Podobnież i wino, dostarczane z mnogich do koła miasta winnic i poziómki, zapakowane w lodzie, jadą ztąd do Nowego Jorku, do Nowego Orleanu i w inne miejsca.

Z Cincinnati jechałem daléj na zachód i przebywszy szybko parostatkiem wiele set mil angielskich, stanąłem w Saint Louis, poniżéj ujścia Missuri do Mississipi. Ztamtąd po ośmiu dniach dostawszy się do miasteczka Vincennes, ujrzałem niezmierzone stepy, rozciągające się przez cały stan Illinois. Lecz w chłodnéj porze roku, w któréj odbywałem moją podróż, przedstawiają one widok posępny. Wysokie i zawsze kołyszące się trawy, były całkiem pożółkłe. Niezmierna płaszczyzna, w odległości ograniczona lasem, pozbawiona barwy wiosennéj i okryta suchą słomą, nie miała w sobie nic pięknego. Nocowałem po rzadkich w stepie wioskach i folwarkach, lub pod gołém niebem. Najcięższą bywała przeprawa przez rozległe bagniska i wylewy rzeczne. Po ośmiu dniach drogi wróciłem znowu nad Mississipi. Za tą rzeką w stanie Missuri osiadło wielu Niemców, mianowicie Szwabów. Uprawiają oni rolę i wożą drzewo na sprzedaż do Saint Louis.

Z Saint Louis jechałem na południo-zachód i po tygodniu drogi przez bezludne lasy i stepy, w których rzadko gdzie napotykają się małe osady i folwarki, stanąłem nad brzegami Arkanzas, gdzie ogromne lasy pełne są dzikich kur, zwanych w Europie włoskiemi. Tamże widziałem koczowisko Indjan. Na rozłożonych ogniach gotowali oni sobie w kotłach ogromne sztuki bawołów, jeleni, niedźwiedzi, wiewiórki, dzikie koty i inną źwierzynę, jaką dało się upolować. Przeprawiwszy się przez Arkanzas i ciągnąc daléj w tymże południowo-zachodnim kierunku, dotarłem aż do rzeki Red-River i granic Texas. Tu zobaczyłem plantacje i niewolnictwo, które i dotychczas jeszcze nie jest całkiem wykorzenione w stanach południowych. Często wypadało mi nocować na plantacjach. Tam dokoła blokauzu nadzorcy, stoją nizkie chatki niewolników. Po długich podróżach przez góry, doliny, stepy,

lasy pierwotne i przeprawach przez wezbrane w nich potoki, postępując zawsze na wschód, stanąłem znowu nad rzeką Red-River, któréj brzegi zalegają gromady alligatorów, grzejących się na południowém już silnie dogrzewającém słońcu. Puściwszy się po bystrych, jak wypuszczona strzała, wodach téj rzeki, przepłynąłem w 5 dni do 90 mil i znowu znalazłem się na wodach Mississipi. Tu już cały kraj ma cechę południową. Drzewa, przybrane w srebrzyste opony mchu, mają pozór całkiem odmienny. Przesiadłem się z mojéj małéj łódki na parostatek i późnym wieczorem stanąłem w Nowym Orleanie. To miasto leży całkiem w bagnach i tylko przez sypane do koła tamy zabezpiecza się od wylewów Mississipi. Można powiedzieć, że cała ta okolica stworzona jest na mieszkanie nie dla ludzi, a tylko dla alligatorów, muskitów i żab; i bardzo słusznie nazywają Nowy Orlean cmentarzem Stanów Zjednoczonych Ameryki. W górę rzeki jéj brzegi są prześliczne; pyszne plantacje i domki wiejskie, w pośród sadów pomarańcz, granatów i drzew chinowych, przedstawiają widok czarujący. Droga wodna po Ohio i Mississipi, z Cincinnati do Nowego Orleanu wynosi 400 mil.

Z podróży niemieckiego naturalisty.

67. Czikago.

Czikago jest prawdziwym cudem, nie tylko pomiędzy miastami Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale i pomiędzy miastami całego świata. Przed laty 40 było to stanowisko wojenne, na ostatnich granicach ziem cywilizowanych, a dziś jest wielkiem miastem, liczącem przeszło 300,000 mieszkażców. Główna jego ulica Wabash avenue, długa na dwie mile i wymoszczona brukiem drewnianym Nicholsona, ma z obu stron gmachy, którym nie wiele równych widzieć można i w najpiękniejszych częściach Nowego Jorku, Filadelfji i Waszingtonu. Cudzoziemca, oglądającego tę pyszną ulicę, uderza szczególniéj klassyczna wytworność i rozmaitość budownictwa. Nie masz tu wcale téj jednostajności, która morduje oczy, zwłaszcza na ulicach Filadelfji. Każdy niemal dom wyróżnia się tu od sąsiedniego, a jednak wszystkie tworzą piękną i harmonijną całość. Rozmaite barwy gmachów murowanych, to z marmuru, to z ciemnego piaskowca, to z cegły, wielce przyjemne są dla oka. Dawne domy budwane z drzewa, nader gustowne w swoim rodzaju, szybko ustępują miejsca wspaniałym, arystokratycznym gmachom z kamienia; i za jakich lat kilka, cała ta wspaniała ulica iść będzie

między dwoma nieprzerwanemi rzędami pałaców. Latem wszędzie tu są kwiaty; wzdłuż chodników stojące w ogrodzeniach drzewa, okrywa zieloność i cała ulica wydaje się kwitnącym gajem. Miłą jest przechadzka i przejażdżka wieczorem pod temi drzewami, które przypominają lasek Buloński pod Paryżem i Hyde Park londyński. Ulica Miczigan, także na dwie mile, brukowana podobnież, drugą jest co do wspaniałości i piękności. Idzie ona tuż po nad pięknem jeziorem tegoż nazwiska, którego niezmierzoną okiem powierzchnię ożywiają na wiosnę i latem nieprzeliczone żagle i dymiące kominy parostatków.

Miasto ma wiele kościołów, budowanych we wszystkich stylach i w których, jak i w domach zamożnych mieszkańców, dobry smak łączy się ze znajomością budownictwa taką, jaka rzadko widzieć się daje po innych miastach amerykańskich. Świątynie rozmaitych wyznań: katolickie, Presbiterjanów, Metodystów, Uniwersalistów i innych sekt, których jak wiadomo w kraju tym jest bardzo wiele, tu zdają się mieć na celu głównie prześcignąć drugich wspaniałością i pięknością swojéj budowy.

20,000 dzieci uczy się w szkołach, utrzymywanych kosztem publicznym i gmachy szkolne należą do najpiękniejszych w mieście. Szkół jest 22, a jeszcze nie wystarczają one dla wzrastającéj szybko ludności. W ostatnich latach wydano miljon dollarów na urządzenie nowych szkół i tych jeszcze okazało się za mało.

Pociągów koleji żelaznych przychodzi i wychodzi z Czikago codziennie 80. — Dworzec kolei centralnéj Illinois przypomina sławny dworzec Charing Cross w Londynie. Zbudowany on jest cały z granitu i ma wspaniały okrągły szklanny dach, pod którym zalega sieć koleji, a na nich długie rzędy wagonów czekają swojego przeznaczenia. Jedne z nich polecą ku zatoce Meksykańskiéj, drugie ku górom Skalistym, te na wschód, tamte na północ. Widok ten przekonywa przybyłego mieszkańca Europy, że ci osadnicy zachodni mają słuszność pysznić się swoją działalnością, która postawiła ich w możności wznieść w środku swojego obszernego i tak niedawno zaludnionego kraju, taką pyszną stolicę.

Czikago w tylu rzeczach przodkuje innym miastom, iż trudno jest wyliczyć je wszystkie. Zbudowany w ostatnich czasach olbrzymi wodociąg podziemny, który prowadzi do miasta wodę po pod jeziorem Miczigan, wprawia w zdumienie wszystkich cudzoziemców. Trzy lata ciągnęła się jego budowa, która od brzegów jeziora idzie jeszcze na dwie mile. Dotąd okazuje się ona trwałą i w najlepszym stanie. U wchodu do wodociągu utrzymywanem jest światło. Oczekują, że kongres postanowi wzniesienie tam stałéj

wodnéj latarni. Oprócz téj miasto posiada jeszcze nad jeziorem drugą wodną latarnię. Inném wielkiém dla miasta zadaniem jest oczyszczenie i utrzymanie koryta rzeki. Próbują przyjść do tego przez zagłębienie i rozszerzenie przylegającego do niéj kanału. Koszta téj roboty obliczono na $2^1/_2$ miljony dolarów. Ciągnie się ona z przerwami już od lat dwóch, a dokonania jéj oczekują za lat trzy.

Zamierzona téż jest przez miasto inna robota wielce ważna: przebicie tunnelu na ulicy Waszington pod rzeką, na któréj most bywa rozwieranym dla przepuszczania okrętów, co zatrzymuje na ulicy kommunikację i sprawia stratę czasu nader ważną, która w Stanach Zjednoczonych Ameryki oblicza się na pieniądze. Ten tunnel, za którym pewnie pójdzie wiele innych, ma być cały z kamienia, a tak głęboko pod łożyskiem rzeki, iżby ona miała wszelką głębokość dla żeglugi.

Niezwykła cena gruntów w samém mieście i za miastem jest najpewniejszą oznaką jego wzrostu. Tam, gdzie kiedyś płacono 50 dolarów za włókę, teraz płacą tyleż za stopę kwadratową. Wiele jest w mieście domów i magazynów, których roczny czynsz wynosi od 10 do 15,000 dolarów. Mieszkanie porządne można mieć ledwo za 1200 dolarów na rok. Centralna koléj Illinois ofiarowała miastu 2 miljony dolarów za bardzo mały stosunkowo kawałek gruntu, na którym chce budować nowy dworzec i warsztaty, na co dotąd niezezwalają właściciele domów ulicy Miczigan. W Czikago wszystko robi się na wielką skalę. Tak i na ogród publiczny i bulwary rada miejska łoży teraz setki tysięcy dolarów.

Według gazety amerykańskiéj.

68. Sekty religijne w Ameryce północnéj.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki nie masz kościoła panującego i żadnych praw państwowych religijnych. Każdemu pozostawiona jest swoboda objawiać otwarcie swe przekonania i mniemania religijne, bronić takowych, opowiadać je i do istniejących w kraju 43 sekt dodać jeszcze nową.

W tych nowych sektach znaleść można wiele niedorzeczności. Najwięcéj ich jest u Shakerów i Mormonów. Z nabożeństwa Czarnych Metodystów wynieśliśmy, zamiast poważnego i podniosłego wrażenia, całkiem temu przeciwne. Czarny kaznodzieja przemawiał naprzód spokojnie i przyzwoicie, ale potém zaczął wpadać w coraz większy zapał i zachwyt, gadał coraz gwałtowniéj, a wreszcie

uderzając zaciśnionemi pięściami w swoję mównicę, krzyknął: „Djabeł jest w tém zebraniu, otwórzcie okna!“ Całe zgromadzenie poruszyło się nadzwyczajnie i powstał w niém straszny hałas; wreszcie wszyscy się uspokoili i zapanowała martwa cisza. Potém dało się słyszeć głuche mruczenie, które zamieniło się we łkanie, a w końcu wybuchło w okropnych wrzaskach. To było znakiem, że duch zstąpił, święci i błogosławi swoje dzieło. Głos mówcy podniósł się znowu i zaczął z czułością i pieszczotą mówić o słodkim Jezusie. Potém mówca zeszedł ze swego miejsca, siadł na „ławie utrapienia“ i wezwał wiernych, by złożyli swoje głowy na jego łonie. Uczyniono to i wnet całe zgromadzenie ogarnął jakiś nagły dziki szał; wielu dostało konwulsji i krzyczało: „Jezu, Jezu, przybądź mi na pomoc!“ Ofiary szału padały na ziemię, zaś inni krzyczeli: „Chwała! Chwała!“ Na widok tego, co się działo, opadła wszystkich jakaś niepojęta radość; wszyscy z czułością zaczęli się obejmować, ściskać i całować, skakać do góry, klaskać w dłonie, tupać nogami, dostawać nowych konwulsji, a przytém wszystkiém wrzeszczeć, jak opętani. Metodyści są między ludnością tak białą jak i czarną. Liczba ich przechodzi 3 miliony. Ich kościół episkopalny składa się z dyakonów, starszych i biskupów, lecz najwięcéj jest wędrownych kaznodziejów; tych liczą do 5000.

U Shakerów nabożeństwo przedstawia widok szczególniejszy. Jest to bal, lub poranek tańcujący. Ci, co w taki sposób oddają cześć Bogu, powołują się na króla Dawida, który także tańcował przed arką przymierza. Obecni stają w dwa rzędy naprzeciwko sobie. Jeden rząd zaczyna śpiew dość jednostajny, klaszcząc w takt rękoma i tańczy. Na to rząd przeciwny rozpoczyna téż taniec, ze śpiewem i klaskaniem w dłonie. Następują potém szczególniejsze tury, passaże i bardzo piękne i biegłe obracania się w koło. Potém nagle następuje cisza. Nabożeństwo się skończyło i wszyscy w milczeniu opuszczają dom Boży. Najliczniejsze osady Shakerów znajdują się w hrabstwie Kolumbji, w stanach Nowego Jorku, Ohio, Kentucky i niektórych innych. Liczbę ich podają na 4000.

Kwakrowie, których główną siedzibą jest Filadelfia, na swój pozór nie wiele ściągają uwagi. Stojące kołnierze u sukień, staromodne fraki i ogromne sprzączki u trzewików, niegdyś odznaczające wszystkich zgoła Kwakrów, teraz skutkiem ducha czasu i wszechwładnéj mody wyszły już całkiem z użycia. Byłem nieraz obecnym na nabożeństwie Kwakrów, ale nie słyszałem nigdy ani modlitwy, ani kazania. Zrazu podobał mi się miły spokój panujący w zebraniu; ale ten spokój ciągnący się przez całe dwie godziny trwania nabożeństwa, stawał mi się w końcu nieznośnym.

Kwakrowie nie mają żadnego duchowieństwa; każdemu zgoła, kto czuje się powołanym i natchnionym przez Ducha świętego, wolno zaczynać w głos modlitwę i prawić kazanie. Otóż na nieszczęście nie doczekałem się nigdy zejścia Ducha świętego; gdzieś on się zapodział i w mojéj obecności nie raczył zstąpić na nikogo ze zgromadzonych. Dom modlitwy kwakrów jest bardzo prosty i nieodznacza się niczém zgoła, ale utrzymany jest bardzo czysto. Dla zebrania służy sala, nieco ciemna, w któréj na przodzie jest podwyższenie dla starszych.

Sekta Mormonów powstała w naszych czasach. Założycielem jéj był Joe Smith w stanie Missuri. Ogłosił się on posłańcem Boga i miał otrzymać od anioła zaginione pisma niejakiego proroka żydowskiego Mormona; przetłómaczył je na język angielski, wzbogaciwszy swojemi dodatkami i wydał w księdze, którą podał za kodex nowéj wiary. W dziele tém uderza wielka nieznajomość historji i w ogólności jest ono tkanką najwierutniejszych i najbezczelniejszych kłamstw. Pomimo to jednak obałamuciło ono tak umysły ciemnego pospólstwa, iż jego autor w krótkim czasie zebrał sobie mnóstwo ślepych zwolenników. Wygnany z Missuri, założył on w stanie Illinois miasto Nauwoo. Mormoni oddali się pracowicie rolnictwu i przyszli do bogactwa i siły, lecz obudzili ku sobie nienawiść mieszkańców, którzy wystąpili przeciwko nim ze skargami. Joe Smith, za jakieś wykroczenie przeciw prawom krajowym, został schwytany, wsadzony do więzienia i tam zamordowany przez jakieś przebrane osoby. Ciągłe zażalenia na Mormonów sprowadziły wreszcie na nich wyprawę wojenną, która zakończyła się zdobyciem ich miasta i wypędzeniem ich w roku 1846. Wtedy udali się oni daleko na zachód i tam między jeziorami Słoném i Utah założyli osadę, nazwaną Deseret, czyli Nowym Syonem, w któréj panuje równość i wspólność mienia i kobiet. Ta osada, dzięki swojemu położeniu na drodze do kalifornijskich kopalni złota, nabrała w prędkim czasie wielkiego znaczenia i obecnie ma być w stanie bardzo kwitnącym. Od roku 1850 stanowi ona, pod nazwą Utah, osobną ziemię Stanów Zjednoczonych Ameryki. Następcą Joe Smitha został Brigham Young, który propagował swoję wiarę w Europie i w Paryżu miał pozyskać zwolenników.

Unitaryusze odprawiają nabożeństwo podobnie jak protestanci. Kościół ich, który zwiedziliśmy, jest bardzo prosty. Nabożeństwo rozpoczęło się od pięknego śpiewu, któremu jedna z obecnych dam wtórowała na fortepianie. Potém nastąpiła wspólna modlitwa, potém znowu śpiew, a na zakończenie dobre kazanie na temat: „Kto miłuje swego syna, ten go kara.“ Śpiew był krótki, ładnéj

melodji i wypowiadał chwałę Pana Jezusa. — Bracia Morawscy mają w Stanach Zjednoczonych Ameryki liczne osady; z których najznakomitszą jest Betlejem w Pensylwanji. Po niéj zasługują na uwagę Nazaret, Lititz i Salem w Karolinie południowéj. Cała ludność Braci Morawskich, która w ogóle uchodzi za pracowitą, oszczędną i zamożną, wynosi do 12 tysięcy dusz.

Według Zieglera.

69. Równiny Ameryki północnej.

Do właściwości Ameryki, wyróżniających ją od wszystkich innych części świata, jak jej położenie we wszystkich strefach, mnogość i wielkość rzek, wybujała roślinność i wiele innych, należą też jej niezmierne i mające odrębny charakter równiny. Niepodobne są one zgoła ani do spalonych pustyń Afryki, ani do zlodowaciałych rozłogów północnej Azji, ani do uprawnych równim europejskich, które przechodzą i wielkością i obfitością wszelkich płodów. Dwie trzecie części Ameryki stanowią równiny. W Ameryce północnej są one jeszcze większe niż w południowej. Ograniczone od zachodu pasmem gor Skalistych, od wschodu pasmem gór Allegańskich, poniżają się one na północ ku oceanowi Lodowatemu i na południe ku zatoce Meksykańskiej. Pomiędzy wielkiemi jeziorami Kanady a źródłami Mississipi i Missuri, idzie pasmo nieznacznych pagórków, stanowiące przedział wód i rozgraniczenie dwóch stoków tej niezmiernej równiny.

Po stoku południowym toczy swoje bystre i mętne wody olbrzymia rzeka Mississipi, przyjmująca do siebie mnóstwo dopływów, przechodzących wielkością mnogie znakomite rzeki europejskie. Przebijając się przez nieprzebyte gęstwiny lasów pierwotnych, wyrywa ona z korzeniami i unosi potężne drzewa, które później odnajdują leżące w jej delcie, albo w zatoce Meksykańskiej. Od prawego brzegu Mississipi grunt podnosi się nieznacznie aż do podnóża gór Skalistych, z których wypływają Missuri, Arkanzas i rzeka Czerwona, z mnogiemi dopływami, niosąc swoje wody ojcu rzek Ameryki północnej. Od lewego brzegu grunt podobnież się podnosi przez rozmaite wzgórza i doliny, aż do gór Allegańskich, z których wypływa piękna rzeka Ohio, dążąc również do Mississipi przez piękne i żyzne kraje, zasilona sześcioma spławnemi dopływami.

Od gór Skalistych aż do Mississipi i nieco jeszcze dalej, rozlegają się niezmierzone okiem płaszczyzny, znane pod nazwą

stepów. Jak daleko sięga wzrok, nie widać nic, jak równiny bez końca. Tylko gdzie równina wyższa ztyka się z niższą, jej krańce przedstawiają się w dali jakby jakie wzgórza. Wystawmy sobie całe Niemcy jako nieprzerwaną jednostajną równinę, a jeszcze mieć będziem tylko zmniejszony obraz tej równiny amerykańskiej. Nie jest ona zgoła podobną do afrykańskiej Sahary. Jak tamtę piaski, tak tę zalega nieprzejrzane morze bujnych traw, kołyszące swoje zielone fale pod niezmierzonym jak one błękitem nieba. Wysokie trawy a wśród nich kwiaty, tu i ówdzie pojedyńczo lub grupami rozrzucone drzewa, pasąca się trzódy i gdzieniegdzie samotnie i daleko od siebie stojące domki, oto wszystko co się tu przedstawia oczom. Cisza panuje na tych obszarach, w których żadne echo nie powtarza wydanego głosu; przerywa ją tylko brzęczenie chrabąszczów, latanie motylów i straszliwe ślizganie się wężów. Chwiejące się od wiatrów trawy zupełnie są podobne do ruchliwej powierzchni morza; suchy pień drzewa, wystający tu i ówdzie z trawiastych przestrzeni, przypomina obrany z lin i żaglów maszt okrętowy. Daniel, skaczący przez wyniosłe trawy, podobny jest do delfina, wyskakującego i wpadającego na powrót do morza. Gruppy drzew na dalekim widnokręgu ukazują się jak wyspy i pod ich miłym cieniem nie jeden podróżny znalazł świeżą wodę i wszelkiego rodzaju owoce, które uratowały go od głodnej śmierci. Na tych wyspach stoją drużnie obok siebie drzewa najrozmaitszych kształtów i dorastają niezmiernej wysokości. Dzikie winne latorośle i inne wijące się krzewy oplatają się koło nich, sięgając od gałęzi do wierzchołków, przeskakują z trzciny cukrowej na drzewa dębowe, tulipanowe i inne i tworzą najrozmaitsze sklepienia, groty i mosty. Z pośrodka takiej grupy drzew wystrzela w górę wspaniała magnolja i swojemi rozpostartemi gałęźmi z białym kwiatem panuje nad całą wyspą. Pod tą pstrą zaroślą przebywa mnóstwo źwierza; niedźwiedź kołysze się na gałęziach wiązu, wlazłszy tam za miodem i winnemi gronami; czarne wiewiórki igrają w ciemnej gęstwinie drzew orzechowych; drozdy z długiemi ogonami zlatują ze srebrnych topoli na trawy; zielone papugi krążąc włażą na wierzchołki cyprysów, kolibry błyskają na jaśminach, a węże syczą pod gęstwiną platanów. Wpośród ciszy nocnej rozlega się przerażający ryk jaguara, który probuje siły swoich szponów na drzewie, wstrząsając niem aż do wierzchołka. Często na tych wyspach stepowych daje się widzieć długi szaro-srebrzysty mech, zwisający z gałęzi drzew na 6 do 8 stóp, pod którym drzewo przedstawia się jak olbrzymia massa, szeroka na kilkaset i do 130 stóp wysokości. Nie

widać ani jego konarów, ani gałęzi, ani liści, a tylko okrywającą wszystko srebrno-szarą oponę, z której zwisają aż do ziemi miljony srebrzystych włosów. Wszedłszy pod to nakrycie zdaje się być w dziwnej kryjówce. Kolosalny pień drzewa, z mnogiemi wyrostami i garbami, wznosi się niekiedy na 40 stóp w górę, zanim się rozrośnie w gałęzie. Całkiem inaczej jak te olbrzymie straszydła nocne, wyglądają delikatne i czułe mimozy, pojawiające się często samotnie wśród cichej równiny. Czarujące to drzewo nęci do siebie wędrowca, lecz zaledwo stanie on na ziemi, w któréj kryją się jego korzenie, zaraz ono drży jakby od strachu, wstydliwie zwija swoje liście i smętnie opuszcza gałęzie ku ziemi.

Stepy te najpiękniej przedstawiają się na wiosnę, kiedy wpośród świeżych traw kwitną na nich niezliczone róże polne, tuberozy i astry, tak piękne i bujne, jak w żadnym ogrodzie. Zrana ich oblicza obmyte najczystszą rosą, wpatrują się w błękitne i nie zaciemnione żadną chmurką niebo, a wieczorem lekka para zalega te wyspy. Roje świecących robaczków latają we wszystkie strony i oświecają coraz grubszą ciemność nadchodzącej nocy. Wreszcie na tych niezmiernych kwitnących równinach, słoneczne światło wyprawia często mamidła w powietrzu. Na dalekich krańcach widnokręgu ukazują się czarującej piękności wzgórza, ogrody, wieże i rzędy kolumn, jeziora i rzeki; aż ponętne i zwodnicze ich obrazy nikną w jednej chwili.

Nie wszędzie jednak wielkie równiny Ameryki północnej mają taki pozór; wcale inaczej przedstawiają się ich stoki północne, schylone do oceanu Lodowatego. Tam zamiast wesołych gajów liściastych, ukazują się posępne lasy iglaste; w miejscu pstrych zwojów kwiatów i czepiających się latorośli, wiszą w zimie na gałęziach drzew grube sople lodu, pod których ciężarem zginają się najmocniejsze konary i mniejszy stawią opór wściekłym podmuchom wiatrów północnych, które łamią gałęzie, obalają drzewa i w całym tym smutnym zimowym krajobrazie sprawiają straszny zamęt. Dalej ku północy znikają i lasy sosnowe i w miarę zbliżania się do oceanu Północnego, przedstawia się coraz dziksza i smutniejsza pustynia. Ledwo gdzie ukazuje się ona zamieszkałą przez ludzi. Tu i ówdzie jeszcze pojawiące się sosny i brzozy karłowacieją i kładąc się na ziemię, chronią się od mroźnych wiatrów po za skałami i kamieniami. Gdzieindziej tak bujne i piękne trawy stepowe dosięgają tu zaledwo wysokości palca i mają barwę płową.

Na drugim swoim ostatecznym końcu południowym, te równiny mają znowu pozór odmienny. To co na północy sprawia lodo-

wate tchnienie zimy, dopełnia tu skwar lata. W krótkim czasie najbujniejszy porost traw zamienia się tu w chmurę kurzawy; ziemia pozbywa się tu całkiem swojej kwiecistej i woniejącej szaty i rozpada się od gorąca. Tylko bagniste lasy opierają się niszczącemu działaniu upałów, ale te są przybytkami śmierci; powietrze w nich, przepełnione wyziewami, jest zabójczem. Wzdłuż gór Skalistych ciągną się także długie pasy ziemi niezamieszkałej, gdzie wody są rzadkie i grunt nagi zalega tylko ciemny żwir, pomięszany z piaskiem. Gdzie kończy się pokład żyznej ziemi stepów, kończy się też nieprzerwany kobierzec zielonych traw, a wśród nich lilji, malw, astrów i innych różnobarwnych kwiatów, a pojawiają się kaktusy, które odtąd cechują kraj, aż do brzegów oceanu Wschodniego. W miejscu rozmaitych kształtów drzew, pojawiają się tylko topole i wierzby, a na brzegach strumieni krzaki rożowe i malinowe. Z prawej strony Mississipi dają się też widzieć wielkie przestrzenie gruntu przesyconego solą; w niektórych miejscach pokrywa ona ziemię grubo na 2 i 3 cale, jak świeżo spadły śnieg.

Na wschód za rzeką Mississipi, znajdują się już tylko niewielkie stepy, a zaczyna się kraj falisty, który niegdyś okrywały lasy pierwotne. Teraz już są one bardzo przetrzebione, przez posuwającą się ku zachodowi ludność. Wszakże jeszcze na setki mil ciągną się tu dawne lasy, w których dają się widzieć odwieczne wspaniałe drzewa, oplatane wijącemi się roślinami i kwitnącemi krzewami, które tworzą z nich nieprzebyte gęstwiny.

Gude i Grube.

70. Indjanie w stepach Ameryki północnej.

Przed odkryciem Ameryki, ta część świata zamieszkaną była przez różne narody, które na jéj równinach i w puszczach żyły w swoim stanie pierwotnym. Biali przybysze europejscy, osiadłszy w ich siedzibach wschodnich, wyparli ich coraz daléj i daléj ku zachodowi; choroby i wódka znacznie umniejszyły liczne niegdyś ich plemiona, z których wiele już całkiem wygasło. Obecnie w ziemiach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, żyje około 300,000 Indjan. Na zachód, za rzeką Arkanzas, w tak zwanych posiadłościach indyjskich, wiele ich zajmuje się uprawą roli. Inni po dawnemu żyją łowiectwem na równinach między rzeką Mississipi i górami Skalistemi. Tam oni przebiegają stepy, zajęci jedynie polowaniem i wojną.

Indjanie amerykańscy odznaczają się mocną budową ciała, którego wyrobienie przez bieganie, pływanie, łażenie po drzewach, skakanie, jest dla nich rzeczą główną. Przytém zmysły mają tak ostre, jak żaden inny naród na ziemi. Sokolim wzrokiem umieją oni wypatrzeć tropy wszelakiego źwierza i ślady swoich przyjaciół i swoich nieprzyjaciół, doskonałymi są jezdcami i odważnie polują w stepach na bawoły, będące ich głównem pożywieniem. Na nieprzyjaciela uderzają wtedy tylko, kiedy mają nad nim przewagę i najczęściéj nocą, lub z ukrytéj zasadzki.

Włosy noszą długie, maszczą je tłustością i ubierają w pióra i inne ozdoby; brodę starannie wyskubują. U mnogich pokoleń utrzymuje się dotąd zwyczaj tatuowania, jakkolwiek wykalanie na skórze i naprowadzanie farbami figur sprawia wielki ból. Oprócz tego jeszcze malują oni sobie na ciele rozmaite figury i zawieszają różne ozdoby. Odzież ich stanowi zwykle kożuch, jeleni lub owczy, ubrany kunsztownie w szklanne perełki i gronostaje i spodnie obcisłe, ze skóry jeleniéj, na szwach ozdobione kolcami jeża; przez ramie wisi skóra bawola, na której przedstawione są bohaterskie czyny tego, co ją nosi. W czasach teraźniejszych kupują oni nadto u białych chusty pstre, któremi okrywają głowę i ramiona. Na wojnę przybierają strój właściwy, mający im nadawać postać straszną: mianowicie malują sobie stosownie ciało i przyprawiają rogi i ogony.

Chaty każde pokolenie buduje sobie inaczéj. Na twardo ubitéj ziemi zabijają pale i zewnątrz obijają je ziemią; na tych palach utwierdzają drugie pochyło, które schodząc się tworzą ostrokończasty dach; na ten kładą skoszoną trawę, a z wierzchu ubijają ziemią. U niektórych rozpinają na chatach i bawole skóry. W środku znajduje się ognisko, a na niém zawieszony kociołek z mięsem bawolem; dym wychodzi przez zrobiony w górze otwór. Do koła pod ścianami są łoża ze skór bawolich, zaś na palach około nich wisi odzież, broń, worek z tytoniem i inne rzeczy. Składająca się z takich chat, zwanych wigwamami, wioska indyjska rozkłada się zwykle do koła największéj chaty, która stanowi świątynię. Całem gospodarstwem domowem, budowaniem chat, robieniem odzieży i przyrządów łowieckich trudnią się kobiety. Mężczyzni kiedy nie są zajęci polowaniem lub wojną, jak dawni Niemcy, spoczywają leżąc na niedźwiedzich skórach.

Kiedy Indjanin wychodzi na wojnę, która bywa bardzo często między ich różnemi pokoleniami, z oczów jego błyska wściekły ogień. Uzbrojeni w piki, łuki i strzały, maczugi i noże, z dzikim i okropnym krzykiem rzucają się oni na siebie, aż dopóki jedna

strona nie ustąpi. Strzały ich są zatrute i z zaczepnemi hakami. Teraz używają oni i broni ognistej. Nieprzyjaciel, zabity lub pojmany w niewolę, bywa skalpowanym, to jest zwycięzca zdziera mu z głowy skórę i zawiesza ją na pamiątkę u swego pasa. Potém zwycięztwo obchodzoném jest przez zabawy i tańce, przy których pojmanym jeńcom zadają najokropniejsze męczarnie. Zwykle jeniec bywa uwiązanym do pala, w około którego mężczyzni i kobiéty zawodzą taniec; potém kobiéty nakładają do koła stos drzewa i zapalają go; zaś jeniec, pieczony przy wolnym ogniu, zwykle pali spokojnie fajkę i wesoło rozpowiada, ilu to z pomiędzy nich on zabił.

Taniec stanowi najistotniejszą część zabawy u Indjan amerykańskich i ma oraz przytém często i znaczenie religijne. Tancerze malują sobie na twarzy i na piersiach różne figury i obwieszają się sznurkami, na których nanizane są zęby źwierząt, dzwonki i różne grzechotki, zaś głowę ubierają w różnobarwne pióra. Przy tych tańcach śpiewają różne dzikie pieśni, dmą w piszczałki z trzciny, biją w bębny i wytrząsają dynie próżne, napełnione ziarnem; zaś ruchy i skoki tancerzy stają się przy tém coraz dziksze i gwałtowniejsze; przybierając postawy groźne, rzucają oni jedni na drugich oszczepami i przyjmują je na skórzane tarcze. Jak oni sami, tak i tańce ich są dzikie. Rozwolnienie ich sięga tak daleko, iż tylko najdzielniejszy w boju jako wódz, może ich wszystkich wprawić w posłuszeństwo. Kobiety uważane są przez nich jako sługi. Chłopcy uczą się tylko dosiadać koni, pływać, ciskać oszczepem i strzelać z łuku; dziewczęta robót domowych. Chłopcy przytém bywają bici, smagani, męczeni w rozmaity najdotkliwszy sposób, by stawali się wytrwałymi do znoszenia i największych cierpień.

O Bogu i rzeczach boskich mają oni dotąd pojęcia szczególniejsze, chociaż wszyscy wierzą w istność wielkiego ducha. O stworzeniu świata u różnych rodów są podania rozmaite. Według jednych ziemia była niezmierném morzem i zamieszkiwał je tylko jeden wielki ptak, którego oczy były ogniem spojrzenia błyskawicami, a ruchy grzmotami. Kiedy ów ptak dotknął morza, powstały z niego lądy, a na nich źwierzęta i niektóre z nich w czarodziejski sposób zamieniły się w ludzi. Inne pokolenia mniemają, iż pochodzą od psów albo raków, albo też że ich przodkowie żyli w ziemi i wyszli na jéj powierzchnię po winnéj latorośli. Wiele innych też jest u nich w tym rodzaju podań. Co do życia po śmierci, wielu jest mniemania, że człowiek ma dwie dusze, z których jedna wstępuje do ojczyzny duchów, zaś druga pozostaje z ciałem i następnie

przechodzi w inne ciało. Do krainy duchów idzie się po drodze mlecznéj, ale potrzeba na niéj przebywać mnogie trudności, przepływać w kamiennych czółnach szerokie i bystre potoki, po ślizkim grzbiecie węża przechodzić bezdenne przepaście, zaś kto upadnie, ten zamienia się w rybę lub żółwia; na przeciwnym brzegu spotykają przychodnia olbrzymie psy i szczekając, grożą mu rozszarpaniem. Obok Najwyższéj Istności wierzą oni jeszcze w mnóstwo duchów podrzędnych, w części im przyjaznych, w części wrogich i z któremi można wchodzić w bliższe stosunki przez czary.

Takimi są Indjanie w stepach amerykańskich, żyjący dotąd w stanie pierwotnym. Wiele jednak z nich już nabyło niejakiego wykształcenia, zajmuje się rolnictwem i chowem bydła, a niektórzy nawet wyuczyli się czytać i pisać. Zupełnie uczywilizowanymi mogą być poczytani Czoktasy, między rzekami Redriwer i Arkanzas. Ci nietylko trudnią się uprawą roli, ale posiadają młyny, tartaki i inne maszyny gospodarskie; ich kraj rządzony jest przez wybranych od ludu obywateli, którzy odbywają publiczne obrady, a nawet mają szkoły i wyższe zakłady naukowe, na które przeznaczane są niemałe summy pieniężne.

Grube.

71. Żegluga po rzece Mississipi.

Obszerna dolina Mississipi, w któréj mogłoby się pomieścić wybornie trzydzieści miljonów ludzi, przy ciągłym wzroście i posuwaniu się ludności Stanów Zjednoczonych wschodnich na zachód, liczy dotąd zaledwo dziewięć miljonów mieszkańców. Trudno sobie wystawić, jak piorunującéj czynności symbolem jest ten olbrzym rzek, toczący z mułem swoich wód ogromne dęby, szczątki pierwotnych lasów i tłum statków, fregat, szalup, magazynów, tratw, sklepów, pracowni, nawet teatrów. Wszystko to się pcha w nieładzie tak straszliwym, o jakim nie można mieć wyobrażenia; wszystko to skacze w natłoku, z pewnym rodzajem młodzieńczéj radości Tytana, który tylko co się narodził. Już świecą się na brzegach dachy kilku miast; już kościoły i rękodzielnie pokazały się z téj ziemi, od wczoraj zamieszkałéj. Cóż to więc będzie, kiedy cała przestrzeń się napełni, kiedy ta massa wód, szersza dziesięć razy od Tamizy pod Londynem, a więcéj niż pięćdziesiąt razy od Sekwany pod Paryżem, będzie obmywać stopy tysiąca siedlisk zamożnych, z czynnemi fabrykami, folwarkami i ogrodami. Od Wisconsin aż do Nowego Orleanu, będzie to tylko jedna wielka ulica

na mil trzysta, na której w miejscu domów będą miasta; ale wówczas nie znajdziemy tego cudnego widoku, który dziś żeglugę po Mississipi czyni tak ciekawą, zwłaszcza w nocy.

Opuściwszy Saint Louis, Mississipi, którą Missuri, jej hołdownik, powiększa ogromną massą swoich mętnych i błotnistych wód

Rzeka Mississipi.

wpada na bardzo nagłą pochyłość i znowu przyjmuje drugi haracz, niemniéj ogromny, od rzeki Ohio. Ojciec Ren, który Niemcy czczą jak rzekę największą w świecie, jest niczem w porównaniu z tym olbrzymim potokiem. Co mu nadaje szczególny charakter, to bluffy, znajdujące się na jego brzegach, czyli urwiste pochyłości i przylądki, już to cofające się, już występujące naprzód, a two-

rzące kształty i postawy najrozmaitsze. Skały ostrokręgowe, piramidy zaokrąglone, spłaszczone, zniżające się ku środkowi, wyciosane z dziwactwem często rubaszném, a które uwieńczone są lasami i wioskami. Podczas pięknej pogody atmosfera amerykańska ma dziwną przejrzystość; powietrze tak jest czystem, iż dozwala oku przenikać aż do ostatnich krańców widnokręgu. Była do prawdziwie żywa rozkosz dla mnie, stać na pokładzie wątłego statku, i patrzeć na uciekające zdaleka te wioski, jakby od wczoraj pobudowane, zawieszone na wierzchołkach gór, lub kąpiące stopy w szumiących wodach, a otoczone już to gęstwiną liści, jak gniazda ptasze, już wiszące na cyplach tak stromych, nad któremi do tego panują tak gęste lasy, że zdawałoby się, iż te domki wpadną zaraz do rzeki.

W każdéj chwili olbrzymie parostatki, malowane na czarno i na biało, z kominami białemi i czarnemi, a rurami wymiarów nadzwyczajnych, pływają jedne za drugiemi po Mississipi, wyrzucając potoki sinych iskier, które błyszcząc wpadają w czarne łożysko rzeki; pożerają one niesłychaną ilość palnego materjału. Są to statki nadzwyczaj lekkie, zbudowane z desek lada jak spojonych z sobą i mające trwać najwięcéj kilka miesięcy. Latają one po wodach, pożerając całe lasy, z chyżością zapalonych strzał, niekiedy giną od ognia, czasami od wody, albo i od obu tych żywiołów. Nie masz nic pospolitszego, jak dowiedzieć się, że Mississipi pochłonęła dwa albo trzy takie statki, z całym ich ładunkiem.

Ta żegluga po Mississipi jest prawdziwym obrazem amerykańskiéj cywilizacji. Obszerna rozległość rzeki, aż do jej zejścia się z Ohio, okryta jest statkami tak rozmaitemi, że prawie niepodobna oznaczyć je lub przeliczyć. Najwięcéj jest parostatków, których pokład przepełniony podróżnymi. Jedne z nich toną same przez się, inne uderzywszy się o drugi statek giną pospołu. Tu nie bardzo uważają na to. W krajach nowych, gdzie człowiek jest tak małą rzeczą, życie ludzkie także się nie wiele ceni.

Postrzegasz pewien rodzaj białych gór, podobnych do stogów siana, które płyną wspaniale po rzece. Są to paki nałożone wełną, dziesięć lub piętnaście metr w długie, a dwa albo trzy szerokie. Daléj statki płaskie, ścięte po obu końcach, ozdobione niekiedy czémś na kształt skrzydła i kierowane przez dwa wiosła, umieszczone na przedzie, przerzynają wodę, albo raczéj pospieszają z nią; budowa ich jest lekka, — przeznaczone płynąć z rzeką, nie mogłyby iść w górę. Kiedy te improwizowane okręty dojdą swego przeznaczenia, rozbijają je i materjały obracają na inny użytek. Taki tu jest przemysł narodu, którego głównie zajmuje szybkość

działania i zysk obecny. Tu i ówdzie pojedyczne barki, zbudowane w kształcie namiotów z desek ledwo ociosanych, unoszą całe rodziny, emigrujące z pościelą, meblami i domowemi źwierzętami; a które skoro tylko przybędą do nowéj osady, natychmiast rozbiją w kawałki swoją małą arkę Noego. Niekiedy są to pływające domy, zawczasu przygotowane, które skoro tylko raz zostaną spuszczone na rzekę, przybędą aż do miejsca, gdzie postanowiono zamieszkać. Można widzieć pływające sklepy z szyldami, modami, towarami kolonialnemi, fajansowemi, wełnianemi. Zamiast użycia konia i dwóch kół, jak nasi handlarze i kupcy jeżdżący z towarami, właściciel uzbrojony jest parą wioseł, które poruszają jego sklep. Są wreszcie i pływające teatra, a na nich marjonetki, kuglarze, cienie chińskie, a nawet i wielkie przedstawienia, gdzie grają sztuki Szekspira między niebem i wodą. Potem nadchodzą długie tratwy z ogromnych drzew wyciętych w oddalonych lasach przez tego, który je spławia, aby sprzedać o kilka set mil od ustronia, w którem rosły. Wszystko to jest olbrzymie, niekszałtne, dziwaczne, pełne ruchu, życia i działania. Jest to siła przyrody i siła człowieka, które się przepełniają i walczą razem.

Sceny, które dzieją się na pokładzie tych statków, niemniéj są zadziwiające. Na te to szalupy wsiadają kupami kawalerowie przemysłu, których nigdzie niema tak wiele, tak biegłych i tak śmiałych, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W ogóle przepędzają oni czas na pomoscie na grach hazardownych. Większa część tych szanownych panów uzbrojona jest w rewolwery, to jest pistolety, z których można strzelać siedem do dziesięciu razy bez przerwy. Inni przekładają nóż bowie, z którego robią użytek straszny. Wydarza im się niekiedy zrabować całe miasto, co wykonywają spokojnie, zręcznie, bez najmniejszego hasału. O ile są oni silni, o tyle miasto wystawione na rabunek im się poddaje. Ale często potém można oglądać mnóstwo ciał, wiszących na latarniach. Są to nasi łowcy cudzéj własności, których schwytano i powieszono bez żadnego sądu, ani jakiejkolwiek formy processu.

Ten kraj, który przebyłem prędko, jeszcze jest rządzony tą dziką i doraźną sprawiedliwością, któréj dawniejsze Stany Zjednoczone już nie znają. W kierunku Karoliny południowej, Luizjany i Nowego Orleanu, a bardziéj jeszcze w Texas, mięszanina dzikości pierwotnego życia i zepsutego życia cywilizowanego uderza podróżującego nie mało. Prawo sprawiedliwości doraźnéj i bez sądu, tak zwane prawo latarni, ma wielu stronników na południu. Oczewiście, że pustynia, którą starają się owładnąć z taką wytrwałością, oddziaływa na swoich zwycięzców i czyni ich dzikimi jak wilki.

Nikt nie życzyłby tutaj oczekiwać powolnego wykonywania prawa pisanego, jakie jest znane i szanowane, a przynajmniéj jakie było szanowane u narodów europejskich. Im bardziéj oddala się ku krajom środkowym Stanów Zjednoczonych Ameryki, tém straszniejszém staje się okrucieństwo dzikiego życia. Często mięsza się do tego jakieś poważne i pobożne wspomnienie purytańskiego kalwinizmu i ta mięszanina wydaje najdziwaczniejsze w świecie skutki.

Chasles, Podróże po nowym świecie.

72. Kopalnie złota w Kalifornji.

Byliśmy w Kalifornji niedługo po odkryciu w niej kopalni złota. Zarzucamy kotwicę w przystani San Francisco, przy ujściu dwóch rzek: San Sacramento i San Joachim. Przystań pyszna, jak żadna w Ameryce, okolica powabna, ale miasto samo nędzne, a co najgorsza, że w niém prawie nie było mieszkańców. Jeszcze przed kilkoma miesiącami to miasto było ożywione czynnym ruchem, jeszcze było kwitnące i szybko wzrastające w pomyślność, a my znaleźliśmy je pustém i bezludném, bo wszyscy mężczyzni tłumnie je opuścili i pociągnęli do kopalni złota, odkrytych niedaleko za fortem Sutter. Opuściliśmy miasto, w którém prócz starców i dzieci pozostały tylko kobiety; ale i z tych silniejsze pociągnęły do kopalni i tam zarabiają dziennie, w co trudno uwierzyć, po dwie uncye złota, to jest po 300 złotych polskich.

Wszędzie, gdzieśmy tylko przejeżdżali, wszystko było zaniedbaném i opuszczoném, młyny próżnowały, na polu konie i bydło pasło się w zbożu, domy i osady waliły się, kościoły nawet i plebanije zostały bez służby Bożéj. Gospodarze, urzędnicy, adwokaci, lekarze, księża, mnichy i zakrystyany, wszystko poszło szukać złota.

O półtoréj mili geograficznej od fortu Sutter, leży miejsce zwane dolną kopalnią. Tam ujrzeliśmy na pagórkach tysiące namiotów, baraków i szałasów, a nad brzegiem rzeki, pomimo najokropniejszego skwaru, parę tysięcy ludzi skwapliwie pracowało nad płukaniem złota, odbywając to w sposób jak najprostszy, za pomocą koszyków, kobiałek i przetaków. W parowach gór tej okolicy i w łożyskach strumieni wyschłych latem, bardzo często znajdują się kawałki złota, ważące do pięciu uncji, połączone mechanicznie z kwarcem, co właśnie jest powodem, że je woda nie mogła zanieść daleko od pierwotnych pokładów. Małe strumyki, spadające do złotego San Sacramento i doliny tej rzeki

zdumiewają bogactwem szlachetnego kruszcu. Pokazano nam wąwóz na 300 stóp długi, 4 szeroki, 2 głęboki, z którego dwaj znani nam ludzie wydobyli w przeciągu kilku dni, ilość złota, wartującą przeszło 17,000 dolarów. Mnie się zdaje niezawodném, że jest jeszcze dużo takich miejsc, dotąd nieznanych i nietkniętych. Dzienne dobycie złota, płukanego w miesiącu bieżącym, podają tutejsi statystycy na 50,000 dolarów, czyli blizko 70,000 rubli.

Poszukiwanie złota.

Cała prawie okolica znana z pokładów złota, z małemi wyjątkami, jest własnością rządu Stanów Zjednoczonyeh Ameryki. Rząd jednakże nie ma tu dziś dostatecznej siły materjalnej na utrzymanie swej powagi właściciela i kto tylko chce, ten zbiera złoto, nie pytając się o pozwolenie. Już się zdarzyło, że wojsko posłane na rozpędzenie ludności szukającéj złota, samo rozeszło się, dla wygrzebywania bagnetami pożądanego kruszczu. W krótkim czasie tyle tu zbiegnie się ludzi i powstanie tyle nieprawych przywłaszczycieli wspólnego bogactwa, że może żaden rząd im nie podoła.

Przechodzi wyobrażenie, jaki szał pracy ogarnął tu nietylko anglosaskich przybyszów ze Stanów Zjednoczonych, ale i hiszpańskiego pochodzenia mieszkańców tych krain, niegdyś tak żyznych, że każdy z nich mógł siebie wyżywić jak najwyborniej pracą parogodzinną na dzień i resztę dnia przepędzać obyczajem hiszpańskim w gnuśności, lub też w szalonej uciesze, harcując na koniach, grając w karty, pijąc i śpiewając od rana do wieczora z przyjaciołmi, lub téż z pierwszym lepszym gościem. W przeciągu jednego roku zmieniły się w sposób zdumiewający wszelkie stosunki na całym obszarze Kalifornji, a ten obszar Humboldt obrachował na 4000 mil kwadratowych. Gościnność, wesołość, taniość, znikły razem z gnuśnością; każdy Hiszpan chce teraz być miljonowym panem; opuszczono żyzne pola, konie zdziczały, bydło pociągowe i robocze zjedzono, wszystko rzuciło się do kopalni, trawiąca gorączka chciwości ogarnęła umysły.

Kopalnie złota ściągnęły do Kalifornji ogromny napływ ludności i skutkiem tego było podniesienie się w niej rolnictwa, przemysłu i handlu. Przekonano się, że istotne bogactwo tego kraju polega nie na złocie, które wydobywają z wnętrza jego ziemi, lecz na żyzności téj ziemi. Jeżeli można wierzyć statystycznym cyfrom, jakie widziałem, już szósta część ornych gruntów zostaje tu pod pługiem. Głównemi produktami są i zawsze będą zboża. To co sprzątają z pola, wystarcza nietylko na potrzeby miejscowe, ale także na znaczny wywóz mąki do Japonji, Chin i Meksyku. Rozumie się, iż wywóz będzie się powiększał z każdym rokiem. Nie sądzę atoli, żeby kiedykolwiek zboża z ponad oceanu Spokojnego mogły naprawdę współzawodniczyć z zapasami olbrzymich i niewyczerpanych śpichlerzy Minnesoty, Wisconsinu i innych Stanów środkowych. Zboże kalifornijskie musi być i nadal wywożone tylko do Ameryki południowéj i na krańce Wschodu.

Z pomiędzy różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, najlepiéj się tu opłaca sadownictwo i w ogóle ogrodnictwo. Są okolice, gdzie grunt zajęty pod hodowlę drzew owocowych i uprawę jarzyn przynosi zyski bajeczne. Rozwija się téż hodowla winogradu. Bardzo mi chwalono tutejsze wina, ale nie widziałem, żeby je kto pił. Nie sądzę, aby mogły wytrzymać współzawodnictwo z francuzkiemi, nawet na miejscu. Wzdłuż koleji żelaznych, mianowicie zaś nad tą drogą, która przerzynając całą północną część Kalifornji i cały Oregon, wkrótce połączy zatokę San Francisco z Portlandem, cena ziemi wzrasta w stosunku niesłychanym.

Im więcéj rozwija się tu handel, przemysł i rolnictwo, tém silniejsza wzmaga się reakcja przeciwko eksploatacji kopalni.

Często rozprawiano o tém w mojéj obecności. Słyszałem nawet, jak ludzie, którzy w takiéj materji są powagą, występowali ze zdaniem bardzo według mnie paradoksalném, a mianowicie, że koszta eksploatacji pochłaniają zyski i że tyleż złota zakopano w ziemi, ile go z niéj wydobyto. Takie niechętne usposobienie względem eksploatacji kopalni rozszerza się coraz bardziéj. Liczne są do tego powody i same na myśl przychodzą. Przybywający tu pojedyńczo poszukiwacze złota nie przywożą z sobą żadnych kapitałów, nie przedstawiają żadnéj rękojmi moralności i w ogóle stanowią klassę wychodźców najmniéj godną poszanowania; w kopalniach ulegają wpływowi atmosfery zepsutej, jaka tam istnieje; tytuły własności nie są ściśle oznaczone. Ztąd bezustanne bójki, to pomiędzy różnemi bandami górników, to znowu między górnikami a plantatorami. Cały byt tych ludzi jest ciągłą protestacją przeciw zasadniczym warunkom życia ucywilizowanego. Co do rządu, to widocznie zbywa mu na środkach, albo na ochocie, zmuszenia ich do posłuszeństwa prawu. Lecz nie koniec na tém. Doświadczenie przekonało, że z wyjątkiem rzadkich przypadkowych wydarzeń, indywidua nie mogą walczyć ze stowarzyszeniami. Doszedłszy prędzéj lub późniéj do upadku, do ruiny, przestają pracować i zamieniają się odtąd w postrach plantatorów! Są to prawdziwi bandyci, plaga kalifornijskiego społeczeństwa. Zresztą i stowarzyszenia, a są między niemi większe i mniejsze, wszystkich około trzech tysięcy, bywają narażane często na znaczne ryzyka; olbrzymim zyskom odpowiadają rujnujące straty; cała ich działalność w gruncie rzeczy jest ogromną grą hazardowną, gdyż niepewność i chyżość zysku lub straty stanowi charakterystyczną jéj cechę. Słusznie z tego powodu utrzymują, że poszukiwanie złota jest nieustającém źródłem demoralizacji. Z punktu zaś zapatrywania się czysto materjalnego, jest to ciągłe niszczenie gruntów ornych, które mogłyby być zużytkowane inaczéj, gdyby je uprawiano, zamiast kopać do głębi. Dość jest przebiedz koleją okręgi górnicze, żeby zrozumieć, na jak rozległą skalę odbywa się to niszczenie. Gdzie tylko odbywano prace hydrauliczne, tam wszędzie z najżyzniejszego gruntu pozostał tylko chaos kamieni i żwiru.

Ale sam nadmiar złego stanie się tu lekarstwem. Przyjdzie chwila, kiedy rolnictwo, już i dzisiaj rozwijające się olbrzymim krokiem, będzie w stanie wystąpić do zwycięzkiéj z górnictwem walki o ziemię. Będzie to szczęśliwa rewolucja, której lepsza i zacniejsza cząstka ogółu wyczekuje z upragnieniem. „Kopalnie są dla nas klęską“, oto co tu słyszę od wszystkich. Najlepiéj scharakteryzował to przekonanie jeden kaznodzieja protestancki z San

Francisco. „Nie łudźmy się“, powiedział. „Historja dowodzi, że żadne społeczeństwo nie mogło się dobrze uorganizować na ziemi złotodajnej. Sama przyroda w takim kraju odznacza się złą wiarą. Psuje ona człowieka, łudzi go, oszukuje, szydzi z jego pracy podejmowanej w pocie czoła, robi z niej hazardowną zabawkę, a słowo ludzkie zamienia w kłamstwo.“

Z podróży drs. Tripplina i bar. Hübnera.

73. Miasta w Meksyku.

Co odznacza szczególniéj miasta meksykańskie, to proste ulice, obszerne place, wielkie domy, murowane z kamienia i z płaskiemi dachami, mnogie kościoły z błyszczącemi kopułami, ogromne, podobne do obronnych zamków, klasztory i wspaniałe wodociągi. Przedmieścia wewnątrz kraju są niepokaźne, brudne i zamieszkane tylko przez najuboższą ludność; dokoła nędznych chat leżą kupy gruzu i śmiecia, zwłoki zdechłych źwierząt i wszelkiego rodzaju nieczystości; w pośród tych uwijają się chude i zgłodniałe psiska i zlatują żarłoczne sępy; zaś podróżny omija je przyspieszonym krokiem, by oszczędzić wrażeń, nazbyt wstrętnych dla oczu i dla nosa. Na pobrzeżach wschodnich przedmieścia składają ogrody, pełne drzew owocowych, mianowicie pomarańcz, granatów, mangosów, drzew kawowych i innych, z pomiędzy których mile przezierają, kryte czerwoną dachówką, domki. W samych miastach ulice są brukowane i mają po obu stronach podniesione chodniki dla pieszych.

W każdém mieście meksykańskiém najcelniejszém miejscem jest główny plac, którego jedną stronę zajmuje kościół katedralny, a po innych wznoszą się ogromne kamiennice. Dolne ich piętro składa się z otwartych pod arkadami przechodów; tam są różne sklepy, magazyny, kawiarnie i winiarnie. Środek placu zwykle zdobi jaki pomnik, albo piękna studnia; tamże często sadzone są rzędami drzewa i pod niemi urządzone ulice do spacerów. Po małych miasteczkach tamże odbywają się tygodniowe targi. Trudno jest wystawić sobie co piękniejszego, jak rynek w Kordubie. Biali i Indjanie, Metysy, Mulaci i Negry, wszyscy ubrani czysto, tłoczą się zmięszani w pstrą ciżbę. Nie masz nigdzie takiej rozmaitości owoców wszystkich stref, jak tu na pograniczu krajów gorących i umiarkowanych. I ten wir życia obejmuje pyszny krajobraz przyrody zwrotnikowej; wyniosłe palmy i szerokolistne banany zwolna się kołyszą w łagodném powietrzu; zaś głąb krajobrazu

zamyka piętrząca się Orizaba, ze swoim ostrokręgowym i błyszczącym wiecznemi śniegami szczytem.

Ten plac miejski jest dla Meksykanów tem, czém dla dawnych Rzymian było forum. Każde wydarzenie tutaj miewa pierwszy rozgłos; tutaj bywa obchodzoną każda uroczystość, tutaj odbywają się wybory, tu wygłaszają publiczne mowy, tu bywają popisy miejskiej straży, palą się ognie stuczne i t. d. Przed nabożeń-

Na ulicy w Meksyku.

stwem i po nabożeństwie obywatele przechadzają się pod arkadami kamiennic i wieczorami zachodzą tamże, by napotkać kogo ze znajomych, usłyszeć co nowego, lub pogadać o interesach. Tam oparci co filary wróżbici udzielają swoich wyroczni, poganiacze mułów szukają, komu się wynająć napowrót, tandeciarze z różnemi fatałaszkami wystawiają na pokaz swoje świecidełka przechodzącym młodym panienkom, które żądném okiem przypatrują się błyszczącym w ich rękach naszyjnikom i kolczykom.

Z tego placu rozchodzą się celniejsze ulice, na których piękne

domy zamieszkane są przez zamożniejszych obywateli. Największy ruch bywa tam w godzinach przedpołudniowych: urzędnicy śpieszą do swoich biór, kupcy do swoich kantorów, faktorowie biegają w sprawach handlowych, lekarze nawiedzają mieszkania panów, muły idą objuczone towarami, osły dźwigają pełne wory, Indjanie biegną ze swojemi noszami na rynek, gdzie sprzedają owoce i jarzyny, snuje się mnóstwo mnichów w różnobarwnych sukniach, księża świeccy idą do swoich kościołów, studenci w długich sukniach i biretach idą słuchać swoich odczytów, damy w czarnych jedwabnych sukniach i zarzuconych na głowę, obszytych koronkami mantylach, idą krokiem poważnym i uroczystym do kościoła, lub na targ. Przekupnie wszelakiego rodzaju obwołują roznoszone przez siebie towary, chłopcy z piekarni świeży chleb, inni pieczone dzikie kaczki, Indjanki swoje owoce i jarzyny, wreszcie inni swoje trzewiki, chustki, gazety, świstki i t. d. Często na środku ulicy stoją krowy, wydojone przed domami swoich właścicieli. Latem przeciągają też po ulicach przekupnie lodu i świeżéj wody, a obok nich inni z cukierkami i ci obwołują swoje, pożądane podczas upałów, przysmaki.

Warsztaty rzemieślnicze stoją otworem i z ulicy widać wszystko co się w nich robi; krawcy, szewcy, siodlarze, na swoich nizkich stołkach, wyjeżdżają często aż na ulicę; podobnież i blacharze kotlarze, złotnicy pracują przy otwartych drzwiach; srebrnicy są i po wsiach, bo wszystkie ozdoby robią tu z czystego srebra i złota. Meksykanie mają to do siebie, iż jakiejkolwiek rzeczy wolą nie mieć wcale, aniżeli mieć ją nie w najlepszym gatunku. Dla tego na targach przednie bawełniane chustki mają pokup, a gorsze, choć tańsze, nie znajdują kupców. Kto nie może mieć pończoch jedwabnych, woli nie nosić ich wcale. Od samego rana aż do południa dzwony nie ustają; kościołów i klasztorów jest bowiem wiele i te poczytują sobie za powinność i zaszczyt często wzruszać powietrze metallicznemi głosami, nawołującemi do modlitwy. U wielkich dzwonów powróz bywa zawsze przywiązywanym do serca, by uderzać niém w miarę według upodobania.

C. Sartorius.

74. Andy.

Pasmo Andów, gór najwyższych na lądzie zachodnim i mało co ustępujących najwyższym szczytom lądu wschodniego, ciągnie się nieprzerwanie przez sześćdziesiąt stopni szerokości geograficznéj, od północnej do południowej kończyny Ameryki. W Chili pasmo

to, jeszcze pojedyńcze, dochodzi już 12,000 stóp wysokości i zajmuje wszerz na powierzchni około 20 mil. Ogólny charakter Andów zupełnie jest różnym od charakteru Alp szwajcarskich i tyrolskich. Przedewszystkiem i najwięcéj uderzają tutaj straszne pustkowia, niezmierne, gołe, wysokie nieraz na 2000 stóp i strome skały, doliny przepaściste, z bardzo skąpą roślinnością, wreszcie skały i skały ciągnące się bez końca i wszędzie przejmująca strachem pustynia. W zarysach Alp panuje niezwykła rozmaitość: tam wierzchołki wznoszą się jeden nad drugi; obok szczytów zaokrąglonych jak banie, wystają ostre piramidy i wierzchołki rozdzielone. Nic podobnego nie masz w Andach; tak zdaleka, jak i zblizka przedstawiają one wał niepodzielny, po nad który tylko rzadko gdzie wystają pojedyńcze szczyty. Osobno wzięte gruppy tych gór ukazują się wszędzie jako niezmierne, ale jednostajne massy. — A jednak widok ich przeto jeszcze jest wspanialszym. W europejskich Alpach, pomiędzy górami w rozmaitych wysokościach, ciągną się mniej więcej szerokie i okryte zielonością doliny, na których bujna roślinność daje się widzieć aż do samej granicy wiecznych śniegów; wszędzie tam są lasy, niżéj liściowe a wyżéj iglaste; lodowce sinieją spuszczając się z najwyższych rozpadlin grzbietu i w dolinach często zalegają zwierciadlane szyby jeziór, których brzegi tworzą to nagie skały, to gęste zarośla, to wdzięczne i ubarwione kwiatami łąki. Żaden podobny temu widok nie rozwesela w Andach; wszędzie nagie skały mają barwę ciemną, siwą, lub żółtawą, aż do wysokości, w któréj wieczne śniegi tworzą jednostajną białą jakoby płaszczyznę. Tu i ówdzie dziko czerwienieją skały porfirowe ze szczytami rozdartemi, a pomiędzy niemi zalegają wązkie, ciemne i głębokie nieraz na 5000 stóp parowy, które jednak ciągną się niedaleko, by mogły być dolinami i zwykle zasypane są odłamami skał i gruzem. Tylko karłowate krzaki i biedne pączki traw, niemogące utworzyć zielonéj murawy, wydobywają się z trudem z rozpadłych skał. W bezludnych pustkowiach tych gór nie widać nigdzie śladów ręki człowieka, która przeobraża wszystko, czego się dotknie i umie wszędzie nadać odmienną cechę widokom dzikiéj przyrody: ani miłych i spokojnych zagród wiejskich, ani ruchliwych i gwarnych miasteczek, ani kunsztownie w skałach wyciosanych dróg, ani skrzętnie wyzyskanych i starannie uprawnych pól. Tu nie pozdrawia wędrowca wołanie pastucha, kiedy o świcie wdziera się on na strome skały, ani wita go spokojny odgłos dzwonu wiejskiego kościołka w dolinie, kiedy wraca wieczorem. Te góry, będące prawdziwą pustynią, nigdy nie były zamieszkane i takiemi pozostaną, aż dopóki powolne i stop-

niowe działanie czynników zewnętrznych nie zmieni ich przyrody o tyle, że jak gdzieindziéj, z opok, skał i głazów wytworzy ziemię roślinną.

E. Poppig.

75. Lima i wyspy guano.

Było to w Grudniu, gdy wysiedliśmy na zachodnie brzegi Ameryki południowej, u przylądka wyspy Świętego Wawrzyńca, która zamyka przystań Callao. Im bliżéj lądu, tem więcéj widzieliśmy krzyżujących się z sobą rozmaitéj wielkości łódek lanchas, szalup, gondol i tém większa dolatywała nas wrzawa z grobli portowéj. W pośród niej dawał się słyszeć świst dającej znać o sobie lokomotywy. Tak tedy przybiliśmy do Ameryki i to po jej drugiej stronie, opłynąwszy ją dokoła przylądka Rogowego. Byliśmy na oceanie Wschodnim o 3, do 4000 mil od Niemiec. Między nami a starym światem, leżał w całej swojej szerokości ląd amerykański, a za nim również w całej szerokości ocean Atlantycki.

Niedługo bawiliśmy w porcie Callao, gdzie nie masz nic prócz tego, co ściąga się do żeglugi i handlu. W pół godziny po wyjściu na ląd, siedzieliśmy już w wagonie, który unosił nas do Limy, stołecznego miasta Peru. To szczęście, że jest droga żelazna w tym kraju, gdzie drogi bite są dotychczas rzeczą nieznaną. Wspomnimy tu nawiasem, iż ten brak dobrych dróg i porządnych środków komunikacyjnych jest największem nieszczęściem Peru i główną przyczyną ubóstwa tego kraju, obfitującego w złoto, a oraz uderzającym dowodem, jak źle i po prostacku gospodarowali tu Hiszpanie. Możnaby pomyśleć, że przybyli tu oni z jakiemś uprzedzeniem do wszelkich dobrych dróg. Bez tego, czyżby oni mogli zaniedbać wielką bitą drogę, zrobioną jeszcze przez Indjan, która szła od dawnej stolicy Inkasów do wszystkich główniejszych miast ich państwa i śmiało mogła równać się z najlepszemi drogami w Europie i tak haniebnie dać jéj upaść, aby tuż obok łamać sobie karki na zaimprowizowanych przez siebie drogach, a raczéj bezdrożach? Jestto rzecz tak prosta, że niedaje się wytłómaczyć niczem, jak tylko dumą hiszpańską, która niechciała i wiedzieć o jakiémkolwiek pogańskiém dziele Indjan. Gdyby przed trzema wiekami Pizarro, zamiast podbijać ten kraj dla Hiszpanji, połączył się z Inkasami i założył w nim państwo niepodległe, to może los Peru byłby teraz innym i lepszym. Nie-

podlegałby ten kraj następnie hiszpańskim rządom i hiszpańskiéj chciwości złota, a w ostatnich czasach, południowo-amerykańskiemu republikanizmowi, które doprowadziły go w końcu do tego, że dziś pobrzeżne jego miasta dostają zboże i jarzyny ogrodowe dla większéj taniości z Chili, a nawet z Europy; że niebiją w kraju pieniędzy, bo koszta na to przechodzą wartość samychże pieniędzy i że Peru, przy wszystkich swoich skarbach, od dawnaby zginęło z głodu, gdyby jeszcze nie podtrzymywało się swojem guano.

Lima.

Lima, stolica państwa, jest świetnym szyldem, wywieszonym nad krajem zupełnie podupadłym; i ktoby chciał o Peru sądzić z jego stolicy, tenby strasznie się omylił. Ta stolica posiada 100,000 mieszkańców, proste, długie i szerokie ulice, przeszło 70 kościołów i klasztorów; hoteli, zajazdów, szynkowni co niemiara; muzeum, uniwersytet, wiele zakładów naukowych, pałac rządowy i inkwizycji, sklepy i magazyny, w których świecą wszelkie zbytki, jakich tylko dostać można za pieniądze; przejeżdżają po niém piękne pojazdy, w których siedzą panowie i panie, ubrane według ostatniej

paryzkiej mody, a za którymi stoi liberja w srebrnych i złotych galonach; po kościołach księża występują w złotych ornatach, na ulicach i publicznych placach straż miejska i policja w karmazynowych spodniach konno; wreszcie massa pospólstwa taka, jak po wszystkich wielkich miastach; słowem jest tu wszystko, czego tylko wymaga nowoczesna cywilizacja. Ale kto chce choć na chwilę wyjść za bramy miasta, dobrze zrobi, kiedy zaopatrzy się w parę nabitych pistoletów; albowiem tuż za bramą tego zamorskiego Paryża daje się zaraz poznać z właściwej strony ów miły kraj, którego jest on szczęśliwą stolicą; a nawet i w samém mieście, w przytykającej do bramy aleji topolowej, jedynem publicznem miejscu przechadzki, jakie posiada Lima, każdego wieczora grozi niebezpieczeństwo być obdartym do koszuli.

Peru, odkąd wybiło się na niepodległość, jest rzecząpospolitą i ma prezydenta, który, po niejakim czasie panowania, bywa zwykle w skutek maleńkiej rewolucji zrzucanym i wypędzanym. Wówczas kiedy jest bez pieniędzy, może umierać z głodu. W takich okolicznościach rzecz bardzo jasna, że każdy tymczasowy naczelnik rzeczypospolitej, a z nim i wszyscy jego przyjaciele i stronnicy, którzy od najpierwszego ministra do ostatniego celnika z nim razem powstają i padają, myślą przedewszystkiem o zabezpieczeniu swojej wielce niepewnej przyszłości. Obecnie właściwy i prawie jedyny dochód państwa stanowi guano. Ogólnym dzierżawcą wszystkich jego pokładów jest jeden dom handlowy angielski, który, oprócz umówionego rocznego czynszu, dawać musi rządowi i zaliczki w miarę jego potrzeb. Za lat kilka pewnie i ostatnie kawałki guano będą sprzedane za gotówkę, z której można zaręczyć, iż nie znajdzie się w skarbie państwa ani jednego srebrnego dolara.

Gdy ujrzeliśmy z naszego statku wyspy Chinchas, jak trzy czarne punkciki na końcu morskiego widnokręgu, majtkowie krzyknęli: „Otóż i wyspy gówniane!“ a kapitan zapytał, czy nie czujemy już ich zapachu? W rzeczy caméj im bliżej, tém mocniéj zaczęła nas dolatywać od guanowych skał woń salmiaku. Omdlewałem prawie od nudności, jaką sprawiał mi ten smród, przez cały czas ładowania statku; ale poszło to jakoś lepiéj i prędzéj, niż się zrazu zdało. Gorzéj było majtkom, kiedy musieli to łopatami zgarniać nabrane guano z pokładu na dół; i niejeden z nowozaciężnych padł przy tej robocie bez zmysłów. Najnieznośniéj bywa, kiedy okręt stawa pod mangueras, to jest bukłakami i żłobami na skałach, z których, z wysokości od 60 do 80 stóp, zrzucanem bywa guano. Wtedy obejmuje ono wszystko swoim du-

szącym swądem. Za to w taki sposób ładowanie odbywa się najprędzéj i w kilka dni zapełnia się największy okręt. W czasie naszej bytności, stało na kotwicach u wysp Chinchas do 170 okrętów i niektóre musiały wyczekiwać 30, 60 i 100 dni na swój ładunek.

Już zmierzchało, kiedy przyszliśmy na miejsce, gdzie kopano i wyrąbywano żelaznemi oskardami guano, które jedni poczytują za gnój ptaszy skamieniały, a drudzy za pewny rodzaj lawy. Zastaliśmy około 50 Chińczyków, męczonych tą robotą. Jedni rąbali te śmierdzące pokłady, drudzy ładowali je na taczki i zwozili na tuż stojący wielki wóz. Nad nimi stał krępy jak dąb Murzyn i wysoki jak dąb Hiszpan, z twarzą silnie ogorzałą i iskrzącemi się z pod cienistych brwi oczyma, zupełnie podobny do herszta rozbójników. Jeden i drugi trzymał, zwieszone z małego palca prawéj ręki, godło swojej władzy: bicz pleciony z surowéj byczéj skóry, który często spadał na plecy to tego to owego robotnika. Kiedy wóz był pełny z wierzchem, Murzyn popędził i głosem i biczem dwoje zaprzężonych do niego bydląt, w postaci człowieczej i te puściły się biegiem ze swoim ciężarem, rozpościerającym w około duszącą smrodem kurzawę, zaciągnęły go do mangueras i przewróciwszy, wyrzuciły wszystko na stojący pod skałą okręt; poczem wrócili przechodząc około nas, jedni spokojnie i w milczeniu, drudzy szczerząc zęby i wystawiając język, inni wyprawiając różne skoki. Prawdziwy strach mię ogarnął, kiedy nasz przewodnik, wskazując mi na jednego, wywracającego takie kozły, rzekł: „Widzisz pan tego niecnotę? Czy dasz pan temu wiarę, że nie daléj jak wczoraj rano dostał on trzydzieści takich batów, jakie pan widzisz, które przecinają skórę i po których trzeba koniecznie zmywać rany słoną wodą, bo od gorąca zaraz one gniją? —“

Ażeby dostać tych chińskich robotników, Amerykanie wzięli się na sposób godny siebie. Korzystając z tego, że w Chinach rokrocznie wiele ludności, dla braku miejsca, musi wynosić się ze swego kraju, łapią oni biedaków, którzy chcą przesiedlać się do Ameryki i zobowiązują ich kontraktami na piśmie do uiszczenia za przewóz na miejsce 80 dolarów, a w razie niemożności do wysługiwania za to od 5 do 8 lat; i taką ofiarę oszukaństwa legalnego, za przybyciem do Ameryki, oddają na robotę komukolwiek, to jest po prostu sprzedają na czas oznaczony w kontrakcie. Jest to więc zupełna niewola, tylko czasowa, ale za to tém gorsza. Taki robotnik bywa traktowanym gorzéj niż robocza szkapa; i w kraju, gdzie są prawa przeciwko ciemiężeniu i dręczeniu źwierząt, tych niewolników czasowych niezasłaniają prawa żadne. Stali

niewolnicy Murzyni mają przynajmniéj wolne od roboty dnie niedzielne i świąteczne; niewolnicy czasowi chińscy nie mają i takich, bo niema o tém wzmianki w kontrakcie. Murzyna kupuje się drogo i odprzedać można również drogo; przeto go się cokolwiek szanuje; chińczyka na lat kilka nabywa się tanio, a odprzedaje się jeszcze taniéj; zatem pozostaje tylko przez czas zawarowany w kontrakcie wycisnąć z niego tyle pracy, ile on może wytrzymać. Znośniejszą też jest bez porównania dola tutejszych niewolnych Murzynów, od tutejszych niewolnych Chińczyków. Prawda, że pierwszych smagają batami do krwi; ale drugich smagają aż do kości.

Dr. F. W. Gravenhorst.

76. Równiny Ameryki południowéj.

Od północnych krańców Ameryki południowej, gdzie pasmo gór Wenezuela ciągnie się po nad brzegami morza Karaibskiego, aż do cieśniny Magellańskiej, całą prawie i drugą połowę lądu zachodniego zajmują też niezmierne płaszczyzny, które, jak w północnej jego połowie, ograniczają od zachodu Andy, a od wschodu wzgórza Wenezueli, Gujany i Brazylji. Na południowym swoim końcu dochodzą one aż do samych brzegów oceanu Atlantyckiego. W największej ich rozległości od zachodu na wschód, przerzyna je największa z rzek Ameryki i całego świata, Amazona. Pomimo że te płaszczyzny w największéj części są pod palącemi promieniami zwrotnikowego słońca, niepodobne są one bynajmniéj do wielkiéj płaszczyzny afrykańskiéj Sahary. Takie podobieństwo miałoby miejsce wtedy, gdyby inną była własność ich gruntu, a szczególniéj gdyby pasmo Andów leżało nie na zachodniém, a na wschodniém pobrzeżu Ameryki. Wtedy wiatry stateczne, niosąc z sobą pary wyciągnięte przez atmosferę z oceanu Atlantyckiege, oddawałyby je w deszczach tylko wschodnim stokom tych gór, jak to ma miejsce w Afryce, zasłoniętéj od wschodu przez góry Lupata i niezraszałyby niemi całej leżącej przed témi górami równiny. Ta niezmierna przestrzeń, równająca się prawie całej Europie, dzieli się na trzy części, z których każdą odznacza jej właściwy charakter. Część północna, najmniejsza, zawiera stepy zwane llanos i jest właściwie doliną rzeki Orinoko; część średnią, zwaną silvas, będącą doliną rzeki Amazony i przechodzącą pięć razy obszerność Niemiec, okrywają w całéj rozciągłości nieprzybyte lasy pierwotne; część południowa zawiera stepy, zwane pampas i roz-

ciąga się o tyle, że kiedy w stronie północnéj ma palmy, południowa jej część przedstawia pola, okryte wiecznym lodem.

Pomiędzy stepami obudwu Ameryk, najodludniejsze są pampasy. Zaczynają się one już od północno wschodniej części Ziemi Ognistéj; daléj na północ, ciągnąc się przez całą Patagonję aż do rzeki Colorado, przedstawiają wszędzie kamienistą pustynię, której jednostajność przerywają tylko kępki ciemnych traw, nizkie krzaki tarnu, małe jeziorka słone i pokłady soli, podobne do świeżo spadłych śniegów. Tu i owdzie przerzyna płaszczyznę suchy parów, albo łożysko jakiej nieznacznej rzeczki, której wody nie są w stanie zasilić gruntu wilgocią. Deszcze tu są bardzo rzadkie; po skwarnych upałach następują ostre chłody i nawet tuziemcy Indjanie uciekają z tych pustyń, kiedy zaczną świszczeć po nich przenikające mrozem orkany. W tych pustyniach żyją touyou, źwierze podobne do kazuara i ździczałe psy, mieszkające gromadami w podziemnych jamach

Za rzeką Colorado na północ, znika grunt nagi kamienisty, a zaczyna się ziemia wapnista, na której niewidać ani drzew ani krzaków, a tylko wszędzie jednostajne grube trawy. Gdzieniegdzie w bardzo znacznych odległościach, pokazuje się samotne umbu, jedyne drzewo, wyrastające na tym gruncie. Całą tę ogromną przestrzeń, rozciągającą się od stóp Andów na mil 200, aż do oceanu Atlantyckiego, zajmują pampasy Buenos Ayres. O 40 mil na zachód od Buenos Ayres, w porze zwykłych deszczów ukazuje się tam stepowa roślinność ze swoją świeżą zielenią, potém z wiosną trawy więdną i pozostają tylko wysokie na 10 stóp osty z długiemi kolcami; w lecie usychają one całkiem i wiatry łamią je i rozmiatają po stepie. Daléj na zachód równiny okrywają gęste i wysokie trawy, usiane różnobarwném kwieciem, któremi pasą się niezliczone stada bydła i koni. Daléj idą bagna i trzęsawiska, potém kamienista i przerwana parowami płaszczyzna, a nakoniec u podnóża Andów, gęste zarośla cierni i karłowatych drzew.

Daléj na północ ciągnące się płaszczyzny, które przerzynają rzeki Parana i Paraguaj ze swojemi licznemi dopływami, wkraczają już w strefę gorącą. Okryte bujnémi trawami, dającémi najobfitsze pastwiska, okazują już i zwrotnikowe rośliny, między innémi palmy. Gaje pomarańczowe i inne najrozmaitsze rozrzucone są jak kępy, na zieloném i upstrzoném najrozmaitszemi kwiatami morzu traw. Wpośród tych stepów rozrzucone są domki wiejskie rzadkich mieszkańców. Dochodząc zwrotnika południowego, na zachodniej stronie Paraguaju, zielony step zmienia się w piasz-

czystą pustynię, która wydaje tylko aloesy i różne rodzaje kaktusów. Za tą pustynią na północ zaczynają się już kraje lesiste.

Pampasy Buenos Ayres u stóp Andów mają poziom bardzo nizki. Tam przeto spadające z gór potoki rozlewają się w jeziora, bagniska i nachodząc na pokłady soli, tworzą z nich jeziora słone. Wszystkie te stojące wody, nieraz bardzo rozległe, zarastają wodne rośliny. Kiedy od deszczów i topniejących w górach śniegów wzbierają górskie potoki, wtedy i wszystkie rzeczone jeziora i bagna występują ze swoich brzegów i zatapiając całą płaszczyznę, roznoszą po niej użyzniający muł. Wtedy giną niezliczone stada pasących się na stepach źwierząt. Podobnież zagrażają im zgubą pożary w tych stepach, szczególniéj straszne, kiedy trawy są suche.

Silvasy, składające drugą średnią część wielkiéj równiny Ameryki południowej, mają grunt nie tak jednostajny, ale zarosły wszędzie przez lasy tak gęste, iż przebywać je można tylko po licznych rzekach, które wszystkie są dopływami jednego wielkiego zbiornika Amazony. Cała ta przestrzeń jest jedną lesistą płaszczyzną, ciągnącą się na 330 mil wdłuż i od 70 do 170 mil wszerz, po obu stronach rzeki głównej. Ziemia tu jest nadzwyczajnie płodną. Padające i gnijące drzewa tych lasów pierwotnych użyzniły ją na lat tysiące. Nieznośne parne gorąco zalega w niedostępnych i nieprzebytych gęstwinach tych puszcz, do których nie dostaje się nawet powiew wiatru. Te równiny, które zdaje się wybujała roślinność zwrotnikowa wzięła w swoje wyłączne posiadanie, całą swoją potęgą zagradzając do nich przystęp człowiekowi, temu nieodzownemu niszczycielowi i przeobrazicielowi przyrody dzikiej, w porze deszczów perjodycznych zatapiane są przez silnie, jak wszędzie w tym czasie, wzbierające rzeki. Podnoszące się z nich obficie pary tworzą gęstą mgłę, która okrywa te wszystkie lasy i jak śnieżne morze rozlega się po nad wysokie i rozłożyste szczyty olbrzymich drzew, oplecione jak zwykle i powiązane z sobą wijącemi się po nich lianami. Od wschodu słońca aż do zachodu, martwa cisza panuje w tych zaroślach; potém rozlegają się w nich przerywane i straszliwe głosy tysiąców zawieszkujących je źwierząt; o północy znowu robi się cicho, aż przed rannym świtem znowu wszystko budzi się z uśpienia i dziki ryk mieszkańców puszczy wita nadchodzący dzień. Wpośród tych przerażających głosów można dosłyszeć i kwilenie drobnych ptasząt i czarujący śpiew słowika. Niepodobna jest opisać jaka trwoga i niepokój objawia się w całéj puszczy, pośród jej źwierzęcego i ptaszego świata, kiedy nadchodzi burza. Parny upał zdaje się dochodzić do przesilenia, a w tém zaczynają się kołysać wierzchołki drzew,

chociaż zdaje się nieporusza ich żaden powiew wiatru; głuchy szelest przelatuje wyższe warstwy atmosfery, jak zapowiedź jakiejś nagłej zmiany i wnet ciemność nocy obejmuje całą puszczę i wicher uderza w nią z całą wściekłością, od której trzeszczą i stękają potężne konary wiekowych drzew; przeraźliwe błyskawice i wślad za niemi rozlegające się grzmoty oświecają zamęt wichrów i ulewy, przed którym chowają się po najgłębszych kryjówkach źwierzęta i ptaki; nawet ryby w trwodze spuszczają się do głębi, kiedy ogromne łożysko Amazony niemoże zmieścić wzbierających jej wód i te podnoszą swoje fale, jak rozhukane morze i występują z brzegów.

Ostatnią północną część wielkiéj płaszczyzny Ameryki południowej, stanowią, ciągnące się po jednej i drugiej stronie rzeki Orinoko, stepy zwane llanos, obejmujące ną północ od równika przestrzeń przeszło 15,000 mil kwadratowych. Na tych niezmierzonych płaszczyznach niewidać żadniéj wyniosłości i często ani drzewa, ani krzaku. W porze dżdżystej okrywa je bogata stepowa roślinność, którą wrychle wypala zupełnie następująca pora sucha, i wtedy one mają pozór zupełnej pustyni. Wszystkie trawy, zioła, kwiaty wyschłe rozlatują się na proch i całkiem naga ziemia rozpada się od gorąca. Taki widok przedstawia się tu wszędzie, gdzie na przestrzeni od 50 do 60 mil kwadratowych znajdują się jedynie małe strumienie, zwykle wysychające podczas suszy. Tylko gdzie są źródła i bagniska, tam utrzymuje się roślinność, a wśród niej i drzewa, mianowicie palmy, których ogromne, podobne do wachlarzy liście, nie tracą nigdy swojéj zieloności. Od Grudnia do Lutego rozciąga się nad temi nieobejrzanemi równinami czyste bezobłoczne niebo. W początkach Marca ciemny błękit nieba staje się cokolwiek jaśniejszym i powietrze napełnia się większą wilgocią. Ciche błyskawice w stronie południowej i godzinne przerwy wiatru statecznego zapowiadają nadejście pory dżdżystéj. Ku końcowi Kwietnia cały błękit nieba powleka się barwą szarą i upał staje się nieznośnym; na długo przed porannym świtem dzikie źwierzęta wydają płaczliwie ryki; następują codzienne burze z gwałtowną ulewą i nagle spalone posuchą stepy przybierają wcale inny pozór; zaledwo ziemia napoiła się cokolwiek spadłą wodą, wnet okrywa się ona bujną trawą i pachnącemi ziołami; rośliny wodne otwierają na deszcz swoje kwiaty, ptaki zaczynają śpiewać głośniéj, woły i konie ciągną rzeźwiéj na paszę i w szybko i wysoko rosnące trawy kryje się centkowany pięknie jaguar, gotując się ze swoim skokiem na przeciągające mimo źwierzęta; z rozczynionych przez ulewy bagnisk, wyłażą olbrzymie

węże wodne, krokodyle i inne płazy, stężałe podczas suszy w zaschłym mule; wezbrane wody rzek, jezior i błot zatapiają okolice na wiele set mil kwadratowych, a po ustąpieniu z nich wód, pozostaje naniesiony przez nie użyzniający muł, który wnet okrywa się najbujniejszą roślinnością. Lecz kiedy przejdzie pora dżdżysta, z bezobłocznego nieba prostopadłe promienie słońca wypalają w rychle na węgiel świeżą roślinność i ta obraca się w proch, który wiatr unosi; obnażona ziemia tężeje znowu i rozpada się od suchego upału; chmury, kurzawy podnoszą się z niej i wirują, jak słupy piasku na Saharze; ta kurzawa, rozpościerając się w powietrzu, sprawia duszność; wiatr wschodni, zamiast odświeżenia przynosi zdaje się nowy jeszcze większy upał. Objęte chmurami unoszącego się wszędzie drobnego pyłu, palone głodem i pragnieniem, ociężale wleką się po pustych polach trzody wołów. a konie wyciągnąwszy szyje wietrzą, czyli nowy powiew nieprzyniesie im cokolwiek wilgoci, oznajmującej niezupełnie gdzie wyschły strumień, jeziorko, lub bagno. Nawet wpośród chłodu nocy niemają te źwierzęta spokoju; wtedy na nie wpadają ogromne nietoperze i ssą im krew, pozostawiając po sobie ropiejące rany, w których następnie gnieżdżą się muskity i inne kłujące i mniej więcej jadowite owady. Kiedy przypadkiem jedna iskra padnie na tę ziemię, pełną suchej słomy, wtedy od rzeki do rzeki wszystko bucha pożarem — źwierzęta giną, a ziemia wypala się jak cegła, aż następujące przez lat kilka niepogody znowu ją pokruszą i zamienią na grunt urodzajny.

Po tych bezdrzewnych stepach przeciągają pstre jelenie, pancerniki, stada leniwych wodnych świń, ładnie pręgowane zybety, zarażające powietrze swoją nieprzyjemną wonią, ogromne bezgrzywe lwy, pstre jaguary, samopas brodzące buhaje i wiele innych rodzajów źwierząt. Od czasu odkrycia Ameryki na tych stepach żyją też niezliczone stada bydła i koni; a nawet człowiek pobudował w nich dla siebie domki, chociaż w odległości jedne od drugich o całe dnie drogi. Wreszcie tu i ówdzie nad rzekami, są małe miasteczka, dla utrzymania przez te pustkowia kommunikacji z brzegami.

W południowéj stronie tych stepów bieży, przebiwszy się przez góry Sierra de la Parime, wielka rzeka Orinoko. Górny jej bieg do pomienionych gór odznaczają potężne wodospady; jeden z nich Atures przedstawia zbiorowisko skalistych wysp, pomiędzy któremi rzeka z wielką trudnością toruje sobie drogę. Wody jej to przekraczają nagromadzone z głazów tamy, to wpadają pomiędzy nie z głuchym szumem; nieraz opuszczają swoje łożysko, które oka-

zuje się suchem, przeto iż rzeka wybiła sobie dalszą drogę podziemną. Po drugiéj stronie rzeki widać rozległą zieloną równinę, za nią podnoszące się stromo nagie skały granitowe, a w głębi sięgające obłoków góry. Dolina rzeki jest głęboką i pustą, tylko wysoko w powietrzu unoszą się nad nią sępy; dalej ją okrywają gęste lasy, a za niemi wznoszą się wyniosłe góry, których szczyty tworzą ogromne zaokrąglone skały granitowe.

Dalej rzeka płynie wspaniale przez najrozmaitsze okolice, przyjmując dopływy większe od Dunaju; dolina jej okazuje się większą niż całe Niemcy; wreszcie powierzchnia jej rozpościera się jak morze przed zdumionemi oczyma podróżnika. Spienione jej fale, walcząc z przeciwnym jej biegowi wiatrem, piętrzą się wysoko z szumem, przy którym nie słychać w powietrzu krzykliwych głosów czapli, flamingów i płaskonosych gęsi, przeciągających długiemi szeregami z jednego brzegu na drugi. Niekiedy w pośród ogromnych bałwanów dają się spostrzegać krokodyle, rozcinające niespokojne wody z ukosa swojemi długiemi ogonami. Widnokrąg obejmuje las jak wieńcem, ale nigdzie on niedochodzi do samej rzeki. Szerokie jej pobrzeża, zawsze pod palącémi promieniami zwrotnikowego słońca puste i bezpłodne, jak brzegi morza, przedstawiają się zdaleka w powietrznem mamidle, jak źwierciadlana powierzchnia spokojnych wód, w pośród których, jak prąd oceanu, daje się rozpoznać szeroko rozpostarty bieg jednego z największych na ziemi potoków.

77. Amazona.

Z trzech wielkich systemów rzecznych Ameryki południowej, środkowy tworzy Amazona, największa na ziemi rzeka co do szerokości i głębokości, a długością ustępująca tylko afrykańskiemu Nilowi. Tem system wód zajmuje przestrzeń prawie dziesięć razy większą jak Niemcy. Dopływy Amazony przechodzą wielkością największe rzeki Europy. Od swojego początku z górskiego jeziora w Andach peruańskich, ta rzeka nosi nazwę Marannon, od ujścia do niej Yućayali aż do ujścia Rio Negro, nazywa się Silimoes, dalej aż do swego ujścia do oceanu Atlantyckiego ma nazwę Amazona. Najprzód płynie ona, między dwoma idącemi obok siebie łańcuchami najwyższych gór, na północ; potem niedochodząc o 5° do równika, zstępuje z gór na równiny i odtąd płynie ciągle na wschód przez niezmierne lasy pierwotne Brazylji, aż do swego ujścia pod samym równikiem, tworzącego ogromną zatokę, zasianą mnóstwem wielkich i małych wysp. Coroczne wzbieranie i opa-

danie jej wód tworzy najwspanialsze widowisko przyrody. Wzbieranie zaczyna się we Wrześniu i dochodzi największej wysokości w Marcu. Kiedy wody podniosą się w korycie po nad jego piaszczyste wyspy i kępy i pokryją całkiem ich wysokie trawy i sitowia, ptactwo odlatuje z tych miejsc i ciągnie ku stepom na południe i na północ. Okolica, którą dotąd napełniały swoim krzykiem czajki i kuliki, staje się pustą i milczącą i ryby igrają tam, gdzie przedtém wypoczywały na słońcu krokodyle i szukały sobie pożywienia wodne świnie i tapiry. Wreszcie rzeka występuje gwałtownie ze swoich brzegów i rozlewa się daleko po nizinach. Drzewa uginają się i łamią pod naporem powodzi, a źwierzęta w przerażeniu uciekają na miejsca wyższe. Tylko niektóre ptaki z rodzaju bażantów i kraczące papugi utrzymują się na szczytach najwyższych drzew. Tymczasem woda zasila soki pożywne roślin i z zalanych przez nią lasów podnoszą się tysiące wonnych kwiatów; kiedy szlamowata woda oblewa pnie drzew, ich wierzchołki wieńczą różnobarne kwiaty i las wygląda jak wyrastający z wody najpiękniejszy ogród. Teraz ryby przebiegają w pląsach, pod témi drzewami ocieniającémi wody; krokodyle i żółwie rzeczne podobnież opuszczają głębie i przechodzą w te rozpościerające się daleko odmęty. Po upływie czterech do sześciu tygodni najwyższego stanu wód, okryte mułem posady lasów wynurzają się z powodzi, szybko porastają najbujniejszą trawą i małémi drzewkami i źwierzęta wracają znowu na swoje dawne zwyczajne siedziby.

Nad tą olbrzymią rzeką niemasz nigdzie, jak nad innemi rzekami, zwłaszcza u nas w Europie, ruchliwych i ożywionych przemysłem miast, kwitnących wiosek i samotnych wiejskich domków. Tylko obrazy dzikiej przyrody uderzają wszędzie oczy płynącego po jej niezmierzonych nurtach wędrowca. Od samego wyjścia rzeki z gór, wszędzie obadwa jej brzegi zalegają bez przerwy puszcze. Gdzieniegdzie tylko ukazuje się nad brzegiem samotna chatka, lub wioska dzikich Indjan i napotyka się na jej rozległych i łagodnie kołyszących się falach maleńką łódkę, z miedziano-skórnymi żeglarzami. Oni jedni zamieszkują te puszcze, będące dotąd siedzibą wyłączną dzikich źwierząt i dzikich ludzi. W głębokiej ciszy bez najmniejszego szmeru skrada się Indjanin, zbrojny łukiem i strzałami przez nieprzebyte gęstwiny, w których jego wprawne oko umie wypatrywać ślady źwierzyny i unikać grożącego niebezpieczeństwa i wnet cicho, ale szparko leci jego mała, lecz mocno zatruta strzała i dosięga daleko i niechybnie swoją ofiarę. Z ubitym przez siebie źwierzem, uzbieranemi w lesie owocami, z któ-

rych ma zaprawę do napoju, włóknami palmowemi, z których plecie swoje maty, miodem, woskiem i innemi płodami leśnemi wraca on potem do swojej ustronnej chatki, gdzie jego żona suszy zgromadzone zapasy, łapie żółwie i zajmuje się gotowaniem strawy i innemi domowemi czynnościani. Ściany téj chaty są z drewnianych balów, powiązanych długiemi i cienkiemi gałązkami powojów; a nakrycie jest z palmowych liści. Tam przebywa Indjanin zwykle ponury, milczący i podejrzliwy, pędząc życie samotnie i biorąc udział w towarzystwie swoich ziomków i sąsiadów tylko dla dzikich tańców.

Martius Poppig i inni.

78. Dzień pod równikiem w Brazylji.

Bije godzina trzecia z rana; opuszczam mój hamak, otwieram okiennicę i poglądam na ciemną uroczystą noc. Świetnie błyszczą gwiazdy i tuż płynąca rzeka odbija światło zachodzącego księżyca; wszystko dokoła jest w tajemniczej ciszy. Biorę ślepą latarkę i chodząc po rzeźwiącym nocnym chłodem gaju, przypatruję się drzewom i krzakom. Niektóre śpią ze złożonémi liśćmi, inne stoją spokojnie, rozpostarłszy się wśród nocnej ciszy. Rzadko gdzie kwiaty są rozwarte; tylko słodko woniejące krzaki paulinii pozdrawiają swojemi wyziewami przechodnia, a cienista manga podnosi, dla zasłonienia go od nocnej rosy, swoją gęstolistną koronę.

Jak widma unoszą się dokoła błędnego światła mojej latarki ogromne nocne motyle. Coraz silniej rosa przenika wdychające ją łąki i wilgotne powietrze nocy orzeźwia rozgrzane członki. Cykada swoim głosem zaprasza mię napowrót do domu, gdzie brzęczenie moskitów, podobne do bębnienia, skrzeczenie ogromnych żab i płaczliwe nawoływania ptactwa już mi nie dają usnąć. O godzinie piątej widzę jak dokoła szarzeje poranek. Jednostajna przeźroczysta szarość, połączona z różowém światłem jutrzenki, rospościera się dokoła po niebie; tylko w zenicie pozostaje ono ciemném; kształty drzew stają się coraz bardziéj widoczne, różowe światełko zaczyna się odbijać na ich wierzchołkach; wiatr poranny wzrusza ich gałęźmi i liśćmi, chrabąszcze dudnią, komary brzęczą, ptaki się odzywają, małpy wrzeszczą, cisnąc się napowrót w gęstwiny boru, nocne motyle uciekają przed światłem dnia w ciemność leśną; gryzące źwierzęta chowają się po swoich kryjówkach i chytre kuny umykają po cichu od ptactwa domowego, które głośny kogut budzi swojém ranném pianiem.

Coraz jaśniéj w powietrzu; nadchodzi dzień. Z pod widnokręgu ukazuje się okraina słońca, jak czerwona błyskawica i słońce wschodzi. W jednej chwili staje ono całe po nad widnokręgiem i strzela swojemi pałającemi promieniami po nad ziemią. Żadnego obłoczka niemasz na niebie i zupełnie czyste jego sklepienie obejmuje ziemię. Wszystko dysze życiem; rośliny i źwierzęta rozpoczęły używanie i walkę. O godzinie siódmej rosa znika, wiatr lądowy zaczyna ustawać i już czuć gorąco. Słońce wznosi się szybko i prosto w górę po czystém i przejrzysto-szafirowém niebie, w którém jednostajnie rozpuściły się wszystkie pary, aż późniéj na zachodnim krańcu widnokręgu, zbierają się z nich małe biało pierzaste chmurki, które się rozpościerają coraz daléj. O godzinie dziewiątéj cała łąka wyschła, las wystawia cały przepych swoich liści laurowych i kwiaty się rozwijają. Jeszcze godzina, a obłoki się gromadzą, piętrzą się coraz wyżéj i przedstawiają się w ogromnych i gęstych massach. Rośliny drżą pod silnie palącemi promieniami słońca i omdlałe poddają się upającemu ich działaniu. Złociste chrabąszcze i kolibry fruwają brzęcząc, a pstre motyle igrając w powietrzu, przedstawiają ciągłą grę kolorów. Po wszystkich ścieżkach roją się tłumy mrówek, w długim pochodzie ciągnących do swojéj budowy liścia. — Ale już i wielkie leniwe źwierzęta doznają przyjemności słońca; krokodyl wydobywa się z nadbrzeżnego mułu i rozciąga się na gorącym piasku; jaszczurki i żółwie wychodzą ze swoich ciemnych i wilgotnych kryjówek i świecące pstremi, lub ciemnemi barwami węże wyłażą na oblane gorącém światłem słońca trawniki. Tymczasem obłoki zbierają się niżej, coraz gęstsze, cięższe i ciemniejsze, aż zarazem zaciągają cały widnokrąg i zakrywają całkiem słońce; lecz rozgrzane powietrze nalega tym większym upałem na ziemię.

Nadchodzi południe. Głód i pragnienie pędzi tu i ówdzie źwierzęta i tylko ociężałe i leniwe, zabrawszy się pod cień lasu nie czują, co gotuje się w przyrodzie. Już powietrze się ochładza i podmuchują w niém gwałtownie wiatry, aż wzruszają las, a potem morze, które poczerniało i zaczęło się pienić i bałwanić. Zrywa się burza. Trzy lub cztery razy blado-jasna błyskawica rozdziera obłoki, trzy lub cztery razy rozlega się po niej grzmot i deszcz spada gęstemi kroplami. Rośliny wyciągają ku niemu chciwie swoje zwiędłe od upału liście i kwiaty. Jeszcze nowy grzmot i już nie deszcz, ale potop spada potokami wody; las oddycha, kwiaty pochylają się, liście opadają, wyschłe i spróchniałe gałęzie wicher obłamuje i unosi daleko.

I źwierzęcy świat poczuwa wściekłość burzy. Kiedy z trzaskiem

lecą obrywane z drzew liścia i gałęzie, drżąc szukają pod niemi schronienia roje owadów. Zmordowany łowami źwierz ustaje w ściganiu swej zdobyczy. Tylko zimnokrwiste zwierzęta ziemnowodne rade są z ulewy i w tysiącznych głosach żabich odzywają się z zalanych łąk. Źródła wzbierają mętną wodą, która strumieniami bieży po lesie i wpada w rozpadliny popękanej od upałów ziemi. Odświeżone powietrze pozbywa się całego znoju. Chmury, wylawszy z siebie całe brzemie wód, rozchodzą się i nikną. Jeszcze chwila i już burza przeszła.

W świeżym blasku występuje słońce z po za mass obłoków, ściskających się i ustępujących coraz daléj na północ i na południe. Znowu niebo rozwiera swoje szafirowe przezrocza nad ziemią i ta wnet zapomina o niedawnym swoim strachu. W godzinę potém niema już i śladu przeszłej burzy. Tak nadchodzi wieczór. Słońce zniża się i okrążone mieniącemi się w powietrzu barwami, spada pod widnokrąg. Z jego zajściem ustają niespokojne ruchy w państwie źwierzęcém, które cicho udaje się na spoczynek. Jeszcze ostatnie odbłyski zaszłego słońca świecą tu i ówdzie na podniosłych szczytach drzew. A w tém po nad ciemnym lasem wznosi swoję pełną srebrzystą twarz cichy i łagodny księżyc i wszystkie przedmioty przybierają w jego świetle nowe formy. Nadchodzi noc i przyroda pogrąża się w senne marzenia. Z korném zaufaniem spogląda człowiek w niebo, iskrzące się nad nim tysiącami gwiazd i pokój go ogarnia po zeszłym dniu i jego używaniach i trwogach.

Tak przechodzi każdy prawie dzień w tej skwarnej strefie, a przynajmniéj przez większą część dni w roku powtarzają się te zjawiska. Odmiany pór roku ledwo dają się tu rozpoznawać i z małemi różnicami spotykają się z sobą pory sucha i dżdżysta. Podsycana od gorąca i wilgoci roślinność okrywa przez rok cały ziemię najbujniejszym zarostem i wiele roślin więcej niż raz na rok kwitną i wydają owoce. Niektóre z nich uobecniają wiosnę, inne równocześnie jesień. Lasy nigdy tu nie pozbywają się zielonej szaty: kiedy stare liścia opadają, wnet na ich miejsce rozwijają się nowe pączki. Takiemu rozrostowi roślin odpowiada obfitość i piękność owoców i tylko ze słuchu znają tu nieurodzaj i niedostatek.

Z podróży Spixa.

79. Rio Janeiro i kopalnie djamentów w Brazylji.

Wylądowaliśmy w stolicy Brazylji w połowie Maja, w samą wigilję Wniebowstąpienia Pańskiego, wielkiéj uroczystości, którą we wszystkich kościołach zapowiadano najsolenniej sposobem bardzo dziwnym, to jest wyrzucaniem w powietrze potężnych rac kongrewskich. Te race pękały w niesłychanéj wysokości i wracały ognistemi wężkowatemi szmermelami, sycząc i pryskając ogniem i dymem na dachy miasta. Ze wszystkich kościołów miasta Janeiro, a jest ich przeszło dwadzieścia, szturmowano w niebo takiemi racami i bardzo wydawała się uroczą owa kanonada w powietrznych przestworach. Prawie codzień ogłaszają tym sposobem w jakimś kościele jakieś święto; oprócz tego każdy kościół ma corocznie nowennę, to jest święto trwające dziewięć dni. Wówczas ani na chwilę nieustaje owa powietrzna kanonada, zarówno dniem jak nocą i te fajerwerki dodają stolicy brazylijskiej jakiegoś cudnego uroku i jakiegoś osobliwego charakteru, którym się głęboko w pamięć zapisuje. Proch jest bardzo tanim w Brazylji, a ogniomistrze z Janeiro słyną z biegłości nawet w Paryżu.

Nie widziałem nigdzie, ani nawet w Rzymie, ołtarzy przybieranych w tak niesłychaną ilość świec, jak tutaj. Pali się ich częstokroć podczas summy arcybiskupiej w kościele archikatedralnym, od spodu ołtarza aż do szczytu sklepienia, do dziesięciu tysięcy. Widok tak ogromnej ściany płomienia jest do nieopisania wspaniały i przejmujący. Wszystkie te świece są z białego wosku, sprowadzanego z Afryki i niemało kosztują; ale dobrowolne składki, zbierane przez Irmandades, to jest bractwa, pokrywają bardzo dostatecznie wydatki tak drogiego nabożeństwa. Widać więc, że siła wiary nie ostyga w Brazylji, chociaż dzisiaj wolno i protestantom publicznie odprawiać nabożeństwo.

O religijności mieszkańców świadczy zresztą stan tutejszych świątyń, po większej części bardzo okazałych, mianowicie kościoły św. Franciszka, kościół de la Candelaria (świecznika) i de Rosario (różańca). Piękne obdarzające miasto niewymownym urokiem są owe kościoły, wieńczące szczyty gór, na których podnóżu wzniesione jest miasto. Jak te miłe świątynie przyciągają! Chętnie opuszczasz kręte ulice miasta, bieżysz w górę, pniesz się po nad klomby kwiatów, opasujące ją w połowie wysokości i stajesz nareszcie u progu świętego przybytku, do którego zaledwo dochodzi gwarem zgiełk hałaśliwego miasta.

Na szczególną uwagę zasługuje klasztór Benedyktynów, wznie-

siony przęd trzema wiekami z ogromnych głazów, w stylu niesłychanie surowym. Korytarze i sale zdumiewają rozmiarami, widoki z nich zewsząd zachwycają; raz widzisz niezmierny ocean, raz niebotyczne góry, raz nieprzejrzane bory, raz uśmiechające się kwiatami ogrody. Wszystkie sufity tego klasztoru są rzeźbione z bardzo drogiego drzewa, zwanego jaracanda i prześlicznie złoconę. Jest tu kilkadziesiąt niezłych przez artystów Brazylji wykonanych obrazów, jest także biblioteka, zawierająca same tylko portugalskie dzieła i rękopisma i dla tego bardzo ciekawa. Stoi ona otworem dla publiczności co dzień przez dwanaście godzin i bardzo pilnie jest uczęszczaną. Codziennie ze trzydziestu literatów i uczniów robi tu wyciągi.

Na inném wzgórzu wznosi się klasztór św. Teresy. W Brazylji klasztory żeńskie niebardzo są lubiane: uważają tu, że celibat kobiet nader jest szkodliwym dobrobytowi kraju, bardzo jeszcze ubogiego w ludność. Dwa tylko są klasztory żeńskie w Rio Janeiro: jeden bielutki i z najładniejszą facjatą, leży na smaragdowej murawie, pośród klombów z najpiękniejszemi kwiatami, drugi, ogromnych rozmiarów gmach, położony jest wśród miasta i oparty o koszary milicji policyjnej, najgorszej zgraji łotrów, jaka istnieje w Brazylji. Miasto posiada także dwa domy rekollekcji dla kobiet. W jednym z nich małżonkowie umieszczają swe żonki, gdy te, zamiast pilnowania swoich poważnych obowiązków, puszczają się na płochość. Drugi zakład rekolekcyjny jest przeznaczonym na przytułek dla dziewcząt sierót. Rząd wyposaża corocznie dziesięć z nich najlepiej prowadzących się i daje każdéj po 500,000 posagu. Szumno brzmi ta cyfra, ale to reissów, a więc na naszą monetę zaledwie 4500 złotych. Prawda, że i to wystarczy na pierwszy początek w kraju, w którym każdy znajdzie pole do pracy.

Nie jest téż stolica Brazylji i bez zakładów naukowych. Istnieje tu szkoła wojskowa z kursem siedmioletnim, szkoła marynarki z trzechletnim, szkoła medyczno chirurgiczna z pięcioletnim, akademja sztuk pięknych i dwa seminarja, w których uczą języka greckiego, łaciny, francuzkiego, retoryki filozofji i teologji.

Pod niejednym względem Brazylja jest krainą cudów, a tak chciała Opatrzność, żeby prowincja najżyzniejsza i najwydatniejsza Brazylji, była zarazem ową obiecaną ziemią, zawierającą w swém łonie niewyczerpane skarby mineralne. W prowincji Minas Geraes i Matto Grosso odkryto przed wiekiem, że znajdujące się tam w obfitości, a dotychczas wzgardzone kamyki, są djamentami tak czystej wody, jak djamenty Golkondu i Pennazu. Na odgłos tego

odkrycia tłumy nieprzejrzane rzuciły się na Brazylję z chciwością sępów, łaknących żeru. W pierwszych zaraz latach 25,000 ludzi trudniło się poszukiwaniem djamentów i wszyscy rolnicy, jeszcze wówczas tak rzadko rozsiani po niedawno odkrytym kraju, wzgardzili pięknemi darami Cerery i Pomony, dla zwodniczych darów Plutusa. Przewidujący minister portugalski Pombal zakazał wprawdzie poszukiwań, obawiając się złego wpływu takowych na rolnictwo, w którém najsłuszniéj upatrywał prawdziwe źródło dobrego bytu i trwałego bogactwa, ale już nie mógł się oprzeć prądowi, ciągnącemu zbyt silnie ludzi ku tak łatwym do zdobycia bogactwom.

Zasypano Europę kamieniami, za które tyle pięknych kobiet, mężnych żołnierzy, a nawet uczonych filozofów zaprzedało duszę; i skutkiem tej obfitości djamentów w Brazylji nastąpiło zniżenie ceny tychże — i cnoty zarazem.

Ogólny wydatek wszystkich kopalni djamentowych Brazylji, do roku 1847, wypada na 10 miljonów karatów, wartości blizko 100 miljonów rubli srebrem.

Niestety! Cały ten ogrom bogactwa ani o krok jeden nie posunął Brazylji w oświacie i pomyślności. Oświeceńszym jest góral Norwegji na swych nagich i nieurodzajnych skałach. Zdaje się, że tych szlachetnych kamieni czepiało się przekleństwo, rzucone przez nieszczęśliwych niewolników, którzy, pod palącém tchnieniem zwrotnikowego słońca, za najlichszą strawę musieli wydobywać codziennie drogie klejnoty, służące do zabawy serc próżnych. Żądza wzbogacenia się oderwała pracowitego wieśniaka od pługa, rzemieślnika od warsztatu, księdza od ołtarza, a lekarza od łoża boleści; rola legła odłogiem, miasta spustoszały. Brazylja okropnie na tém ucierpiała i dotąd cierpi. Dziś, jak to przyznawał sam cesarz Don Pedro II, ponowienie rozkazu Pombala, zamykającego kopalnie djamentów, byłoby największém dla kraju dobrodziejstwem. „Ale zanadto właścicieli przywileju kopalnego w naszych kortezach, a co gorsza, zanadto ich w ministerjach angielskich,“ dodawał z gorżkim uśmiechem dobry i światły monarcha Brazylji.

Szczęśliwym, oświeconym, cnotliwym i zamożnym ten kraj może zostać jedynie przez rolnictwo, któremu też rząd teraźniejszy podaje rękę. Bodajby się wyczerpały jak najprędzéj skarby mineralne Brazylji, a dopiero wtedy dla tej pięknej krainy pomyślniejsza zaświeci dola.

Z podróży dra. T. Tripplina.

80. Butikudy w Brazylji.

Ze wszystkich dzikich ludów na ziemi, najzręczniejszymi i najzdolniejszymi są bez wątpienia brazylijscy Butikudy i nikt pewnie równać się nie może z Butikudem zbrojnym w łuk, strzały i wór z kamieniami. Próby największéj siły i zręczności dla nich są igraszką. I tak, wypuszczają oni z łuku strzałę tak wysoko, że ona całkiem znika z oczów, a po niejakim czasie spada znowu na toż samo miejsce, z którego wyszła. Butikudy chodzą zupełnie nago, barwę skóry mają ciemno-miedzianą, włosy długie i lśniące się; końce uszów długie, przedziurawione i zatknięte kawałkami drzewa, dostają im prawie aż do ramion; w dolną wargę, także przedziurawioną, zakładają pierścień z twardego drzewa, który często zwisa aż pod brodę. Zamieszkują oni niezmierne lasy i puszcze Brazylji. Te im dostarczają w obfitości pożywienia, a pod drzewami mają na noc przytułek. Rozkładają się na nocleg około nałożonego ognia. Kobiety zdejmują z pleców dzieci i gotują w kotłach strawę z upolowanej źwierzyny. Wszyscy jedzą, a potém kładą się spać i rano wstawszy spędzają dzień tak, jak i poprzedni, bez wielkich potrzeb i zachodów.

Dziki źwierz brazylijskich puszcz, przybliżywszy się do Butikuda na sto kroków, już jest jego pewną zdobyczą. W jedném mgnieniu oka podwójny jego łuk jest napięty i z szybkością błyskawicy wypuszczony kamień poraża swoję ofiarę mocno i niechybnie. O ile jednak Butikudy przechodzą wszystkich innych dzikich zręcznością i siłą fizyczną, o tyle niżéj stoją od najdzikszych, jakie są gdziekolwiek, ludów w uobyczajeniu i pojęciach moralnych. Nie znają oni nawet żadnych uczuć wzajemnego przywiązania i pokrewieństwa: miłość rodzinna, ojcowska, macierzyńska, braterska, u nich nie istnieją wcale, a przywiązane do nich obowiązki kończą się prędko. Wyciągają i przekalają dziecku uszy i dolną wargę i zakładają w nie grube drewna, a potém kiedy już może chodzić, dają mu łuk, strzały i kamienie, ukazują pole i powiadają: „Szukaj sobie pożywienia i zwalczaj każdą istotę żyjącą, która zechce ci stawić opór.“ Umarłych nikt nie żałuje, ani płacze, ani wspomina. I tacy ludzie żyją na ziemi.

Z zapisek niemieckiego wędrowca.

81. Buenos Ayres.

Spienione fale oceanu rozbijały się z szumem o sterczące tu i ówdzie i gładko przez nie wylizane głazy wzdłuż przystani Buenos Ayres, do której przybiliśmy i całe pobrzeże przed nami roiło się mnóstwem najdziwniejszych fantastycznych postaci. Zewsząd mierzyły nas wzrokiem twarze ponure, ostrych rysów i ogorzałe od słońca, pod czarnemi kapeluszami i czerwonemi czapkami; gdzie zaś tylko rzuciliśmy okiem, wszędzie uderzały nas barwy jaskrawe, pstre, a najczęściéj karmazynowe. Strój mężczyzn jeszcze podwyższał malowniczość tych barw. Na głowie siedziała najczęściéj czerwona, hardo na stronę przechylona czapka, płaszcz, tak zwany poncho, stanowiła sztuka czworokątna materji, z otworem pośrodku, przez który wystawała głowa, kiedy końce w malowniczych fałdach spadały na dół, spinane zwykle na prawém ramieniu guzikiem lub haftką, iżby dawały ruszać się swobodniéj; spodnie białe, przepasane na biodrach pstrą chustą, a na nogach obuwie, z surowej skóry byczej lub końskiej. W takim stroju sadzi na koniu obywatel wiejski rzeczypospolitej Argentyńskiéj, tak zwany gaucho, wsparty wielkiemi wystającemi z półbucików palcami na małych i cienkich strzemionach, z lewą ręką na lasso, umocowaném z tyłu u siodła, posępnie mierzy obcych swojemi ostremi ciemnemi oczyma i poprawiwszy się w siodle puszcza się wyciągniętym cwałem wzdłuż pobrzeży.

Niezliczone łodzie z rozpiętemi żaglami odbijają od brzegu, lub snują się pomiędzy stojącemi na kotwicach okrętami. Ogromne dwukolne kary zajeżdżają w miałką u brzegu wodę, by zabierać ze statków ludzi i ładunek. Tu chłopiec ciemnej cery w podartym poncho, pędzi do wody stado małorosłych i dziko wyglądających koni; tam najdziczej i najdziwniej wyglądający żołnierze panoszą się w próżniactwie przed domem kapitana portu; tuż obok weselą się i śpiewają pijani majtkowie. Dokoła kraj płaski i porosły skąpo drzewami; w mieście domy z ciemno-czerwonej cegły, nizkie, z płaskiemi dachami i kratowanemi oknami. Każdy obywatel musi być w jaskrawo-czerwonej wescie i z czerwoną wstęgą u kapelusza i w pętlicy z dewizą, którą obwołują i nocni stróże. Ulice źle oświecone, a jeszcze gorzej brukowane, kościoły liczne z okrągłemi sklepionemi kopułami; miasto wreszcie rozlega się bardzo szeroko, domy bowiem mają obszerne dziedzińce.

Wyższej klassy mężczyzni są we frakach, wierzchnich okryciach, spodniach długich i kapeluszach czarnych; kobiety w man-

tylach; na ulicach zgiełk; dzikie postacie gauchosów w powiewających ponchosach i chustach na głowie, ogromne, niezgrabne wozy, zaprzężone wołami, na dwóch olbrzymich, niekiedy 10 stóp wysokich i powiązanych rzemieniami kołach, wlekące się powoli przez miasto, parobki ze wsi rano jadący na targ konno z dwiema blaszanemi konwiami mleka, jedną wiszącą na gołéj nodze, a drugą u siodła, żołnierze w łachmanach na straży przed gmachami rządowemi, czerwono-jaskrawe barwy w ubiorach całéj ludności, długie noże za pasem, domy nizkie i okna z kratami, wszystko to sprawia widok szczególniejszy.

Gerstäcker.

82. Cieśnina Magellańska.

Całkowita długość ciaśniny Magellańskiéj wynosi około 300 mil angielskich, — a szerokość jéj bywa rozmaitą, od 2 do 20 tychże mil. Część wschodnia i zachodnia przylegających do niéj lądów różnią się ogromnie, tak pozorem zewnętrznym jak i klimatem. — Na wschód ciągną się bezdrzewne stepy, nad niemi czyste i pogodne niebo i wieją silne, suche i chłodne wiatry; na zachód podnoszą się z morza prawie pionowo wysokie góry, odziane zawsze zieloną buczyną i spadają obfite deszcze, a w swoim czasie śniegi i grady. Ponurą i smutną jest ta droga, ale ma ona ważność dla handlu, przeto iż największym parowcom skraca drogę do oceanu Wschodniego i otwiera przystęp do zachodnich brzegów Ameryki w piękniejszych szerokościach, omijając silne prądy około przylądka Rogowego, przeciw którym walczyć musi całą swoją siłą okręt i jego maszyna. W naszych czasach nastała nowa era dla żeglugi około południowego końca Ameryki. Teraz wszystkie okręta wojenne i większa część kupieckich są parowe. Dla nich tedy cieśnina Magellańska jest drogą bez porównania lepszą, aniżeli trudne i niebezpieczne okrążanie przylądka Rogowego. Obecnie co miesiąc, długi poczet wielkich parowców chodzi z Liverpoola do Valparaiso przez pomienioną cieśninę i przebywa całą tę drogę w 42 dni, a zatém prędzej od jazdy wprost z przeprawą lądową przez Panama. Kapitan Mayne, który na statku Nassau wykonywał roboty miernicze w tych miejscach od r. 1866 do 1869, podał nam zajmujące wiadomości o przyrodzie tych krajów i ich mieszkańcach. Z tego sprawozdań wyjmujemy szczegóły następujące.

Strony wschodnie cieśniny zamieszkują Patagończycy. Ich

Cieśnina Magellańska.

odzież ze skór lam guanaco nadaje im pozór wzrostu wyższego niż jaki mają rzeczywiście. Naczelnik jednego pokolenia Casimiro mówił po hiszpańsku i przy pierwszem spotkaniu z kapitanem wyprosił u niego dwie butelki romu, jak powiadał dla przyzwoitości, która wymaga, by naczelnik odwiedzający naczelnika zrobił mu podarek. Kapitan zadał był sobie pracę zmierzyć wzrost wielu widzianych przez siebie Patagonów. Jeden z nich miał 6 stóp $10^1/_2$ cali, wielu innych po 6 stóp 4 cale, w przecięciu jednak wzrost ich był na 5 stóp, 10 lub 11 cali, co czyni 4 lub 5 cali więcéj od średniego wzrostu Anglików. Kobiety mają wzrost odpowiedni. Okazało się tedy, iż wieści o wzroście olbrzymim Patagonów są przesadzone. Powodem do tego jest odzież ich, która o tyleż dodaje wzrostu, o ile każda odzież kobieca dodaje go mężczyznie. Niemało też przyczynia się do takich wieści zwyczaj tamecznych mieszkańców stawać obok swoich chat na podwyższeniach, by z nich gapić się na przeciągające mimo okręty. Wtedy oni wydają się istotnie olbrzymami.

Patagończycy zamieszkują tylko jedną stronę cieśniny i nieprzechodzą na zachód daléj, jak do osady chilijskiéj Punta Arenas; nie utrzymują żadnych łodzi i okazują wielki wstręt do podróży wodnych. Uderzającą jest różnica między nimi, a mieszkańcami górzystych i lesistych krajów na zachód i wysp leżących na południe, które dzieli od nich tylko wązka przestrzeń morza. Wszystkie te wyspy tworzą tak zwana Ziemię Ognistą. Mieszkańcy jej wschodni są na pozór ładniejsi od swoich braci zachodnich, prawdopodobnie dla tego, iż żywią się lepiéj mięsem lam guanaco. Zachodni zamieszkują obie strony cieśniny. Wyróżniają się oni do Patagonów pod każdym względem; szczególniéj zaś tém, iż są małego wzrostu, niekształtnej budowy ciała i szpetnych rysów twarzy; ale mają jedną wielką przed tamtymi zaletę: to wstręt do wszystkich mocnych napojów. Kapitan Mayne robił z nimi co do tego doświadczenia i nigdy nie mógł skłonić mieszkańca Ziemi Ognistej napić się powtórnie wódki albo wina, kiedy Patagończyk lał ich w siebie, ile tylko mu dawano. W wysokim stopniu ludzie ci posiadają zdolność małpowania wszystkiego; powtarzali wszystko, co im gadano i pomrukiwali słyszane śpiewy majtków, chociaż głos piszczałki niemile raził ich uszy. Największą dla nich zabawą było patrzeć, jak oficerowie we dwojgu przechadzali się na pokładzie okrętu. Wtedy wszyscy brali się podobnież za ręce i chodzili podobnież za nimi, wymijając ich z największą zręcznością, kiedy wypadało wracać.

Założona niedawno nad cieśniną osada chilijska Punta Arenas

liczy obecnie 800 mieszkańców i oznaki cywilizacji szerzą się dokoła niej szybko. Niedawno też odkryto w pobliżu jej pokłady kamiennego węgla. Będzie tu zatém ważne stanowisko dla parostatków. Podczas wspommianych wyżéj pomiarów, statek Nassau wpłynął w małą zatokę wyspy Ś. Magdeleny, o 12 mil angielskich od Punta Arenas, niezwiedzanej dotąd przez nikogo. Wnet go okrążyły niezliczone gromady morskich psów, dziwujących się takiej niebywałej nigdy i niesłychanej napaści na swoje siedziby, a na okolicznych skałach pojawiły się niemniéj liczne gromady tłustych gęsi, także w spokojnie głupim podziwie nad tem niepojętem dla siebie zjawiskiem. Ani źwierzęta ani ptaki nie ulękły się przystępujących do siebie ludzi, ani domyślając się w nich nieprzyjaciół; szczególniej gęsi, które nie ustępowały ze swoich skał, nawet kiedy wdrapali się na nie majtkowie i dziobały ich za nogi.

Ausland.

83. Australja.

Nowa Hollandja czyli Australja, to ostatnie dziecko stałego lądu i najdziwniejsze. Wszystko jest paradoksalnem na tym lądzie wiecznej sprzeczności z Europą. W królestwie roślinnem występują tam eukalipty, czyli drzewa gummowe, w postaci olbrzymich słupów z liśćmi pionowemi a nie poziomemi, akacje bez liści, których liczne i różne gatunki jeszcze bardziéj oddalają się od roślin wszystkich innych części świata. Drzewa te, palone od słońca, nie dają żadnego cienia. Botanik angielski p. Brown, który podróżował po Australji dla obznajomienia się zupełnego z florą tego lądu, był smutnie zadziwiony widokiem dziwacznym jego lasów i pól. Wszędzie jednostajny odcień oliwkowy, którego wiosna nie zieleni, który w jesieni nie żółknieje, który męczy wzrok na ogromnej linji pagorków i któremu brakuje największej ozdoby przyrody, rozmaitości. W swoim Prodromie flory Nowéj Hollandji ten botanik następnie przedstawia przykre wrażenia, jakie sprawia tameczny niemy i głuchy krajobraz.

Na wszystkich drzewach i krzakach australijskich budowa liści jest jednokształtną. Ich położenie prostopadłe, zupełna jednostajność, kończyny ostre, proste i równo położone, nadają postać twardą, dziwną, niegościnną, lasom Nowej Hollandji i ziemi Van Diemen. Są so lasy ponure, ale nie malownicze i jałowej jakiejś smętności. Dziwnym zbiegiem okoliczności, albo raczej przeznaczenia, Anglja okrywa te smutne wybrzeża wyrzutem swojej ludno-

ści biednej i występnej. Jakkolwiek nowych tych osadników cechuje wielka śmiałość i przedsiębiorczość, udało się im jednak dotąd zająć tylko bardzo małą cząstkę ziem, rozciągających się po za wybrzeżem. Wnętrze lądu dotąd jest prawie nieznanem. Corocznie nowe wyprawy kierują się ku tym pustyniom, jednak tracą ludzi, konie, muły i powracają wycieńczone, niezrobiwszy żadnego ważnego odkrycia. Oxley i inni badacze przedstawiają stepy które przebyli, jako strasznie smutne. Niema w nich wielkich rzek, płaszczyzny bez końca, pokryte olbrzymiem sitowiem, pomiędzy którem krążą leniwo wody czarne, nie będące ani rzekami ani błotem. W porze wzbierania wód, podróżny zaledwo napotyka wzgórek ziemi, na którym może rozłożyć swoje koczowisko. Opływanie brzegów przedstawia już to rzeczywiste niebezpieczeństwa, już to straszliwą bezpłodność. Obszerne wybrzeża, płaskie i w linji prostej, rozciągają się jak wzrok sięga i rozpościerają w dali aż do końca widnokręgu, w którym giną, piaski białe, na słońcu błyszczące i bez śladu roślinności. Nic smutniejszego dla oka. To nie stopniowa niepłodność, do której się powoli przyzwyczaja, jak się oswaja z nieprzyjacielem, który następuje, to jest zupełna pustynia, śmierć, jałowość powszechna, nie do pokonania, nieskończona. Żadnego śladu źwierzyny, ani nawet fok uśpionych na brzegu, ani jednego ptaszka, któryby składał gniazdo w piasku ruchomym; życie ustąpiło, a okręt płynący brzegiem niema nawet nadzieji schronienia, jeżeli przerażające burze tych okolic rzucą go na skały. Czystość powietrza czyni jeszcze bardziéj dotkliwem to spustoszenie bez granic.

Niekiedy spostrzegasz w dali mały dym, który się zagina i ulatnia. To zwiastuje, że jeden albo dwoje krajowców założyli koczowisko tam, gdzie żadna żyjąca istota nie będzie śmiała ich niepokoić.

Wkrótce ten obraz, jednokształtny i żałobny, zmienia się w sposób szczególniejszy. Znika już jednostajność, ustępuje ona miejsca chaosowi. Z głębi morza występują dzikie skały, jak ruiny; przechodzisz pod arkadami z ogromnemi sklepieniami, potém idziesz wzdłuż murów, ściętych prostopadle w niezmiernéj wysokości. W niektórych miejscach przewrót jest tak przerażającym, że majtek, zabłąkany w tych przestrzeniach, nie wie, czy jest dzień czy noc. Wyziewy i mgły kręcą się nad jego głową, woda ścieśniana i rozbijana tysiącem przeszkód, rzuca się, wre i huczy, morze nie jest nigdy spokojne, niebo nie jest nigdy czyste, wiatr dmie bez bońca, burzliwe czarne bałwany toczą się po olbrzymich wąwozach, pokłady bazaltowe pokazują się ukośnie, jak ostrogi

zbrojne kolcami i zwieszają się nad przepaścią, wiry i prądy przeciwne wody, spotykające się w wiecznej walce, niosą i odtrącają szczątki rozbitych okrętów. Tam niema, właściwie mówiąc, brzegu, ale zbiór skał, nagromadzonych bez ładu, w których woda wre i wpada w ziemię. Ścieżki urwiste, jedyne któremi iść można, prowadzą do stałego lądu, to jest do dróg w wąwozach zagłębiających się w labiryntach, gdzie niejeden żeglarz znikł bez śladu. Zstąpienie nawet w te otchłanie jest niebezpieczném, powiada jeden polski podróżny, p. Strzelecki: co do wyjścia ztąd, to jest prawie niepodobnem; te straszne rozdarcia, wązkie i głębokie, są zamknięte, często nawet zakryte massami skał wapiennych, które niekiedy się oddalają, a niekiedy zbliżają do łożyska potoków i do ich milczących głębin. Miałem nieszczęście wpaść jednego dnia w te pustynie podziemne i zaledwo zdołałem wydobyć siebie i swoich ludzi z tych zawiłych zakrętów, po kilku dniach trudów, głodu i nieustannego niebezpieczeństwa. Jeśli się uniknie tych niebezpieczeństw i dójdzie do środka lądu, znaleźć można tylko, zwłaszcza ku brzegom wschodnim Australji, bardzo mało roślin trawiastych i pożywnych; wszędzie krzewy z liśćmi lancowatemi, ciernistemi, jakby z żelaza. Zaledwo kilka rozpierzchłych drzew figowych przypominają w pewnych odległościach wdzięk i wspaniałą wytworność lasów naszej półkuli. Kangury są największemi czworonożnemi źwierzętami, jakie się tam spotykają. Za to mrówki ogromnej wielkości i węże, opatrzone jadem najsubtelniejszym, zamieszkują nagie skały i wypruchniałe pnie drzew. Szczególniejszego rodzaju klęskami darzy tameczna przyroda; straszliwy wiatr obwiewa swojemi gorącemi powiewami i poraża bezpłodnością wszystko, co się znajdzie na jego przejściu. Jeden z tegoczesnych podróżnych, sławny badacz, tak opisuje jego skutki:

„Kiedyśmy płynęli z Nowej Zelandji do Sidney, byliśmy porwani o 60 mil od brzegu powiewem wiatru gorącego, wielkiej gwałtowności, którego temperatura była do 60°. Przez dwa dnie niepodobna nam było dobić się do portu Jackson. Wiatr nakoniec uspokoił się i kiedyśmy już mogli wylądować, ujrzeliśmy wszystkie nasze powrozy, żagle, liny okrętowe, maszty, okryte popiołem czerwonanym bardzo delikatnym, który, poddany rozbiorowi, okazał się być pyłem metallicznym, zmięszanym z glinki i krzemienia sproszkowanego. Wiatr, przechodząc przez obszerne i nieuprawne okolice wnętrza Australji, będące zapewne pustyniami piasków i skał granitowych, zmiata niektóre cząstki składowe tych skał. Następnie w powietrzu te atomy nabierają przez tarcie

się siły elektrycznej. Wtedy w swojem przejściu niszczą życie i pożerają wegetację: winogrona nikną, rośliny trawiaste i groszkowe więdnieją, części wodniste szczepów winnych schną natychmiast, całe pola, zasiane zbożem i kartoflami, tracą swoje zbiory, zielone liście żółcieją; oddéchanie staje się trudném, krew przypływa do głowy, ustatnie transpiracji, trudność oddéchania, zapalenie oczów, często olśnienie, przedstawiają u człowieka oznaki podobne do tych, jakie w innych szerokościach i długościach geograficznych sprawiają Samum lub Siroko. Za zbliżeniem się tego wiatru, rozpierzchają się obłoki i mgły, powietrze gorące i suche cięży nad ziemią, widać jak latają w powietrzu, albo raczej uderzają się wzajemnie, niekiedy prostopadle, gałęzie i kawałki roślin, które pęd poruszył. Rzekłbyś, że to olbrzymia baterja elektryczna. W istocie najbystrzejsi badacze przyrody, jak Humboldt, przypisali to zjawisko elektryczności, wywiązującej się przez zbliżenie i tarcie się tych wszystkich cząstek, oderwanych od skał i wstrząsanych gwałtownie w powietrzu.

Oświata i genjusz człowieka nie będą miały trudniejszej zdobyczy do dokonania, jak ten kraj, tak obszerny, obdarzony tak małą ilością środków, a usiany tyloma zawadami i niebezpieczeństwy. Rośliny europejskie, przyswojone przez osadników angielskich w Nowej Południowej Walji, wyrodziłyby się prędko bez najstaranniejszej uprawy i ciągłego podlewania.

Nowa społeczność, która się przeniosła i przyswoiła na kilku punktach tego wybrzeża, mianowicie w okolicach wschodnich, w Sidney i w Paramatta, jest zupełnie godną tych ram, w których jest umieszczoną. Nic podobnego nie można widzieć w innych częściach świata. Dzieli się ona na dwa jakby narody: czystych i nieczystych, które żywią przeciwko sobie nienawiść silną i z latami coraz się zwiększającą. Czyści są to osadnicy, nazywający się także baranami białemi. Nie mają oni żadnych stosunków towarzyskich z nieczystymi, czyli baranami czarnemi, którzy są dziećmi i potomkami zesłanych i za okazywaną sobie pogardę płacą nienawiścią. Ludności te zasila podwójny prąd: wolnych osadników, których liczba wzrasta i nowoskazanych, których także nabiera się niemało po szynkowniach i innych jaskiniach zepsucia w Anglji. Jeżeli barany białe odpychają wszelkiego rodzaju łączność i przestawanie z baranami czarnemi, ci ostatni odpłacają im to dobrze. Już się tam utworzyła arystokracja złodziejska, szlachta rozbójników i synów rozbójników, które chcą mieć stosunki tylko z podobnymi sobie. Są tam wszystkie przesądy szlacheckie: pewne kluby wymagają dowodzenia pochodzenia łotrowskiego i poświadczają go

herbem w całej formie; potrzeba dla tego mieć w żyłach krew człowieka, coby przynajmniej kradł chustki w Londynie, albo skazany był na wygnanie za fałszerstwo. Ta szczególniejsza arystokracja nie jest bez wpływu, albowiem dość często można widzieć skazanych, wzbogacających się dzięki swojej zręczności i energji. Często nawet ma ona przewagę nad szlachtą czystą, arystokracją osadników, ludźmi porządniejszymi, cnotliwszymi, gospodarniejszymi, lecz mniej czynnymi i posiadającymi mniej środków intelligencji i energji. Przyszłość rozwiąże, jak się później urządzą stosunki tych dwóch ludów. Dotąd było niepodobna nietylko je złączyć albo zbliżyć, ale nawet zapobiedz ciągłemu postępowi ich nienawiści. Napróżno dawano wygnańcom usamowolnionym, znanym pod nazwą ludzi rządowych, też same prawa co i nowym osadnikom; napróżno rząd chciał zawrzeć, a przynajmniéj przygotować, traktat pokoju i przymierza między temi dwiema częściami ludności; wszystko się rozbiło o podwójny opór jednej i drugiej strony. Występek dziedziczny okazał się również uporczywym jak i dziedziczna cnota.

F. Chasles. Podróże po nowym świecie.

84. Pastuchy australijscy.

Owczarstwo i w Australji, tak jak w Europie, jest życiem bardzo spokojném i wcale nie ciężkiém. Przez cały dzień dość jest pastuchowi tylko czasem spozierać na swoje owce i może on pod drzewem oddawać się miłemu próżnowaniu; same psy utrzymują trzodę w porządku. Wieczorem zapędzają owce do zagrody, urządzanej z przenośnych płotów, zaś pastuch sypia w swojej chacie, albo w budce z desek przy owczarni. Doglądanie owiec jest tedy zatrudnieniem łatwem, a nawet, powiedzieć można, próżniackiem; płaca jest dość wysoką, tak, iż daje możność po latach kilku nabyć kawałek własnego gruntu; a z tém wszystkiém ten rodzaj zajęcia w Australji dla człowieka, który myśli, przedstawia życie przeklęte. Przez cały rok, który w Australji ma także dni 365, pastuch wypędza tam swoją trzodę na też same pastwiska, patrzy na też same pola, na też same drzewa, na tąż samą wodę i na też same źwierzęta; nie ma żadnego towarzystwa, nie ma z kim pomówić, z kim się porozumieć; jedynym jego wiernym towarzyszem jest pies. W odległości kilkomilowej, niekiedy o cały dzień drogi od jego pastwiska, znajduje się inne, które ma też swojego pastucha. Rzadko kiedy na jednem znajdą się dwie osoby. Pod każdym

Pastuchy australijscy.

przeto względem owczarz australijski doświadcza na sobie systemu pensylwańskiego odosobnionego więzienia i nie powinien mieć za wiele rozumu, bo utraci go całkiem. Zajęciem głównem pastucha australijskiego w polu jest przegrywanie na drumli, albo na harmonice. Lecz dla nabycia tego instrumentu, musi on wędrować do najbliższego miasteczka, leżącego najmniéj o dwieście mil angielskich.

Obok owiec, pielęgnują też w Australji ogromną ilość bydła i koni. Dla nich urządzenie pastwisk jest innem. Właściwie dla całej gromady tamecznego bydła jest tylko jedno pastwisko, doglądane przez wielu nadzorców i jedna pasie się na niém trzoda, czyli raczéj: konie, źrebięta, woły, krowy, buhaje, chodzą gdzie im się podoba, niekiedy po całych miesiącach niedoglądane przez nikogo. Od dzikich psów te źwierzęta mogą się obronić same, a kiedy tuziemcy uprowadzą czasem jaką sztukę bydła, albo złodziéj weźmie sobie konia, za którego nie zapłaci, na to nie ma rady. Chowając bydło, rachują na skórę, rogi i tłuszcz. Prawie na wszystkich pastwiskach urządzone są wielkie warzelnie, obecnie parowe, dla dostawania tłuszczu, w sposób najprostszy i prędki. Bydło strzelają, albo rżną, obdzierają ze skóry, ćwiartują, rąbią na sztuki i rzucają w wielkie kotły żelazne, mające miarę sądową i mieszczące od 16 do 24 wołów, lub trzy razy tyle owiec. W tych kotłach wywarza się łój i zlewa się z nich w beczki, które potem idą do Anglji. Tamże idą skóry i rogi. Chów bydła przynosi wielkie zyski, jeśli nie bywa złych lat, to jest bydło nie choruje i nie pada, lub, co zdarza się częściéj, susza nie wyniszczy paszy. Wtedy wszystko bydło i stare i młode biją i oddają na warzelnie.

Gorzéj jeszcze w takich razach bywa chowającym konie. Kiedy letnia zasucha wzmaga się i niema paszy, niepozostaje im nic innego, jak wszystkie konie pędzić do Sidney, lub Melbourne na sprzedaż z licytacji. Tam idą one po 2 do 10 funtów sterlingów za sztukę i bywają odprawiane do Nowéj Zelandji, lub do Indji. Częściéj jednak w takich razach pozostawiają konie w polu ich losowi. Kiedy lato bywa dobre i źwierzęta mają dosyć paszy i wody, pyszny widok przedstawia zapędzanie do stacji stada koni, przeznaczanych na sprzedaż, lub do ujeżdżania. O świcie dwaj lub trzej nadzorcy wyjeżdżają w pole, by zbierać konie, rozproszone po różnych, szczególniéj uczęszczanych przez siebie, pastwiskach. O południu słychać w polu głośne trzaskania z biczów, nawoływania i tentent, od którego zdaje się drzeć ziemia. Niedługo potém nadciągają z szybkością wiatru konie, parskające

i spienione od gorąca i biegu i w kilka mimut już są zapędzone i zamknięte w wielkiéj zagrodzie z płotów, wysokich od 8 do 9 stóp. Z ujeżdżaniem koni w Australji zachodu bywa niewiele. Naprzód wybranego na to konia łapią na arkan i wyciągają z zagrody, przyczem rozumie się dziko się on miota, bije, kąsa i broni się jak tylko może, aż założą mu na przednie nogi pęta, które mu nieprzeszkadzają chodzić, ale niedają mu skakać. Ażeby każdego pojedyńczo konia ujeździć należycie, na to niema czasu; dość tego, że jak mówią, źwierze się przełamie i by dojść do tego, ujeżdżacze postępują nawet w sposób srogi i barbarzyński. Z tém wszystkiem Australja posiada wielką ilość doskonałych koni wierzchowych, silnych i zaprawionych do wszelkich trudów i niewygód, które z ogromnym zyskiem sprzedawane są do Indji, gdzie bardzo je cenią i poszukują dla wojska. Właściciel, posyłający konie do Indji, płaci za ich przewóz na okręcie zwykle po 25 funtów sterlingów od sztuki, po odstawieniu w dobrym stanie na miejscu, gdzie je sprzedzaje po 50 do 80 funtów sterlingów. Rzecz to jest zatem jak widać ryzykowna, ale obiecująca grube zyski. Po odkryciu australijskich kopalni złota, okazała się większa jak dotąd potrzeba koni i w samym kraju.

Nadzorca bydła i koni gardzi owczarzem i jego zajęciem, w przekonaniu, że niegodną jest mężczyzny rzeczą po całych dniach przesiadywać próżno nad trzodą owiec. Taki nadzorca jest przedewszystkiém jeźdźcem i z całego powierzonego sobie stada koni bierze pod siebie, rozumie się, najlepszego. Takiego mu téż i potrzeba; nietylko bowiem musi on być w stanie przesadzać rowy i płoty, lecz i nielękać się rogów dzikiego byka. Nasi masztalerze okazaliby się w swojéj sztuce bardzo poślednimi wobec koniarza australijskiego; ten dopiero, lecz tylko na miejscu w Australji, pokazałby im, czego może człowiek dokazać na koniu, jak należy sadzić przez ogromne parowy i leżące, z rozpostartemi daleko gałęziami, drzewa i przebiegać cwałem gęstwiny leśne, nie troszcząc się o wszelkie trudności i niebezpieczeństwa pod nogami, co jest rzeczą konia, kiedy jeździec ma aż nadto pracy w ochranianiu swojéj własnéj głowy; kiedy bowiem las jest nizkopienny, w każdéj chwili może on zawisnąć na gęsto rozpościerających się w poprzek gałęziach, lub być przez nie rozszarpanym. Spędzanie bydła, które wielekroć razy na rok należy dokonywać i dla przeglądu i dla bicia na wywar, bywa bardzo ciężkie i niebezpiecznie dla jeźdźców i koni, zwłaszcza kiedy gnane bez ustanku i oporne bydło nagle się obróci przeciwko jeźdźcom. Wówczas

niepozostaje nic, jak najśpieszniéj zmykać, komu niechce się dostać na rogi rozjuszonego byka.

Przegląd bydła odbywa się zwykle za udziałem w tém dla pomocy sąsiadów. — Kiedy już umówione są i wydane wszystkie ku temu rozporządzenia, wszyscy, tak panowie jak i słudzy, wsiadają na konie z harapami i zaczyna się polowanie. Wnet po wszystkich stronach rozległéj knieji daje się słyszeć trzaskanie tych biczów, których bardzo boją się i woły i konie, bo nader dotkliwie dają się one czuć ich skórom; wystraszone bydlęta, zwłaszcza stare, które wiedzą z doświadczenia o co idzie, spiesznie dążą na wyznaczone dla ich zebrania miejsce; za niemi jedzie nadzorca i popędza je głosem i trzaskaniem z bicza. Tak ze wszech stron nadciągają kupy bydła i przybywając, łączą się w jedną coraz powiększającą się gromadę. Kiedy już się zbierze wszystko bydło, pędzą je do zagrody. Dokoła trzaskają bicze, jeźdźcy nawołują i krzyczą, psy szczekają, bydło ryczy i bieży tłumnie, napierając jedno drugie, przez pola i wzgórza, strome spady, ciasne i głębokie parowy; całe to ryczące stado okrążają ze wszech stron jeźdźcy, by go trzymać w kupie i niedawać się rozpierzchać na strony, pomimo że chmury wzbijanéj przez bydło kurzawy całkiem je zakrywają przed oczyma. Tu i ówdzie wpadają na siebie wściekle dwa rozhukane byki, lecz wnet ciężkie razy bicza przerywają rozpoczynającą się potyczkę i zmuszają obie strony do odwrotu. Tam znowu krowa miota się gwałtownie w ciżbie i rogami toruje sobie przez nią drogę, bo zgubiła w śpiesznym pochodzie swoje ciele i teraz słyszy je beczące gdzieś daleko. Konie pod jeźdźcami rżą od ochoty i zapału, które i ich, tak jak jeźdźców, ożywiają w tej gonitwie. Nareszcie w odległości ukazuje się zagroda; kiedy bydło ją ujrzy, wnet przychodzi mu na pamięć, jakie tam dzieją się okropności i usiłuje się rozpierzchnąć; ale te zamysły, nie łączne a pojedyńcze, bywają wnet poskramiane biczami. Tu okazuje się cała zręczność, rączość i rozum koni, które same baczą pilnie na każdy podejrzany ruch pędzonego bydła i uprzedzając wolę swoich jeźdźców, zabiegają każdemu zaniarowi ucieczki. Wreszcie zjajane i okryte kurzawą bydło wpędza się i zamyka w zagrodzie. Po przejrzeniu, każda nowu sztuka znaczy się przez operację zbyt bolesną. Łapią bydle na arkan, obalają na ziemię i krępują tak, że niemoże się ani ruszyć. Potém rozpalają do czerwoności żelazo ze znakiem właściciela, służące do piętnowania bydła i przyłożywszy trzymają go tak długo, aż przepali całą skórę. Rana potém się zabliźnia, ale wypalone piętno pozostaje wyraźnem, aż do najpóźniejszej starości.

Po odbytym przeglądzie bydła, pewna jego część przeznacza się na sprzedaż, lub na zabicie do warzelni. Wybrane na to zapędzają się w osobną zagrodę, a reszta wypuszcza się na wolność. Z dzikiem zadowoleniem i szybkością wiatru, wymyka się oswobodzone bydło przez rozwarte wrota zagrody i rozpierzcha się po okolicznych polach i lasach, śpiesząc na swoje dawne siedziby; zaś przeznaczone na zabicie lub na sprzedaż, pod strażą odpowiednej liczby pastuchów, pędzone są na targ lub do warzelni. I to pędzenie, które niekiedy odbywa się daleko, miewa swoje mniéj więcéj wzruszające ustępy. To jakich kilka sztuk bydła zabłąka się w jakim głębokim parowie, lub w zaroślach, których tak wiele jest po drodze, to i w otwartem polu po nocy cała trzoda zajdzie nie wiedzieć gdzie, to znowu powstaje w niej niezmierne zamięszanie w skutek przeprawy wpław przez rzekę lub strumień. A przytem wszystkiem należy zawsze się troszczyć, aby w miejscach gdzie stawa się na nocleg, była dostateczna ilość paszy i wody. A tu częste pożary w stepach wyrządzają w tém szkody niespodziewane. Słowem pastuch bydła ma o czém myśleć i czém się kłopotać, więcéj daleko niż owczarz; a jednak w końcu życie, tak jednego jak drugiego, przedstawia się zarówno samotnem, jednostajnem i nudnem nie do zniesienia. Objaśnia to w części, dla czego u tych pastuchów daje się postrzegać w całem ich postępowaniu, wychodzącem po za ich codzienne jednostajne zajęcia, jakaś dzikość. I to jest smutną prawdą, że najwięcej chorych po domach warjatów w australijskich miastach bywa z pomiędzy pastuchów.

Fr. Christmann.

85. Kopalnie złota w Australji.

Pierwszą myśl o istnieniu złota w Australji, Anglicy zawdzięczają postrzeżeniom naszego ziomka Strzeleckiego. Uczony ten badacz, przed kilkunastoma laty przechodząc znane miejsca w Nowo-południowéj Walji, równie jak i w prowincji Wiktorji, robił poszukiwania geologiczne, wyciągając z nich nieomylne, jak się pokazało późniéj, wnioski, że pewne przestrzenie ziemi, szczególniéj w ostatniéj, zawierają kruszec, bardzo dziś potrzebny dla Anglji. Gdzież już Anglja podziewać miała swoje wyroby, za które sprowadza chléb, dla co raz bardziéj wzrastającéj na swoich wyspach ludności.

Strzelecki przeszedł góry Niebieskie, które ani są niebieskie, ani wysokie. Gdyby one stały około Kordyljerów, Alp, albo

i naszych Karpat, zwanoby je pagórkami. Na lądzie po większej części płaskim, mogą się one tymczasem nazywać górami, póki gdzieś w nieznanym dotąd środku tego lądu nieznajdą się inne, bardziéj zasługujące na taką nazwę. Upewniano mnie, że jeden z wyższych szczytów nazwał Strzelecki górą Kościuszki, na pamiątkę męża, pomiędzy którego ziomków liczyć się jest zaszczytem dla każdego z nas. Góra Kościuszki znajdować się ma na pograniczu Nowo-południowej Walji i prowincji Wiktorji o 50 mil od morza.

O kopalniach złota w Australji ani myślano kiedykolwiek. W Burabura, w prowincji Adelajdy, zaczęto przed 30 laty wyrabiać miedź. Zapewne ta gałąź górnictwa byłaby przynosiła wielkie korzyści, bo żadne w świecie kopalnie tego kruszcu niemogłyby były wykazać 90%, jak australijskie; ale brak robotników, a zatém wysoka płaca tych, którzy za przybyciem dla osiedlenia się w Australji, zmuszeni byli najmować się dla utrzymania życia, nie odpowiadała w cenie produkcyjnej miedzi, wyrabianej w Europie za nizką płacę górników. Kopalnie miedzi niewiele ściągały ludzi, zaludnienie zatém owych miejsc Australji szło bardzo tępo, a nic prawie jeszcze ona nie produkowała, coby można było brać w zamian za produkta angielskie. W roku 1839 i 1840, Strzelecki robił wycieczki badawcze z Sydney w różne okolice, spisywał swoje spostrzeżenia i raport jego o pewności znajdowania się złota w Australji przesłanym został do rządu angielskiego 2 Września 1840, przez Jerzego Gips, podówczas gubernatora Nowo-południowéj Walji. Niektórzy Anglicy utrzymują, że jednocześnie ze Strzeleckim, a nawet może przed nim, o istnieniu złota w Australji objawił Anglik Edmond Hargraves. — Zapewne; bo gdzieżby można Polakowi zawdzięczać jaki wielki wynalazek i przyznać mu jakie wielkie odkrycie i płynące z niego korzyści, jeżeli nie dla świata, to przynajmniéj dla kraju, gdzie tyle gnieździ się mądrości. Kopernikowi nawet niewolno być Polakiem. Jakżeby mógł jakiś Strzelecki mieć tyle nauki, by wynalazł złoto tam, gdzie Hargraves był ze swoim rozumem? — Tymczasem niewiadomo z jakiego powodu ograniczony Strzelecki tak jest szanowanym przez rząd angielski, iż pobiera od niego znaczną pensję, wydał pod swojem nazwiskiem w języku angielskim dzieło o swoich postrzeżeniach geologicznych w Australji i nikt mu tych jego postrzeżeń niezaprzecza. — To pewna, że o złocie w Australji niewiedział nikt od czasu jéj odkrycia i założenia w niej pierwszej osady, aż do r. 1840. Potém nawet bardzo pomału robiono poszukiwania i dopiero w r. 1849 i 1850 dzienniki europejskie ogłosiły Australję rywalką Kalifornji. Najpierwej znaleziono ten kruszec w Nowo-południowej

Walji, potém, jak niektórzy utrzymują przypadkiem, w prowincji Wiktorji trafił ktoś na bogate miejsce, gdzie są dziś kopalnie Balarat i Forest Kreek. — Bendigo miało być odkryte przez deportowanego tego nazwiska, niegdyś sławnego boksera w Anglji; późniéj zaś Ovens o 50 mil od rzeki Murray, prawie na pograniczu prowincji Wiktorji i Nowo-południowéj Walji. Te były główne miejsca z licznemi rozgałęzieniami, ciągnącemi się w różnych kierunkach koło głównych kopalni, a wszystkie przyległe wzgórza i równiny były próbowane i wyrabiane, jeżeli dochód złota był zadowolniającym. Następnie odkryto wiele nowych kopalni.

Uważając na kuli ziemskiej położenie krajów, gdzie dotychczas znajdowano ten kruszec, widzimy, że między pewnemi stopniami długości geograficznej po obudwu stronach kuli ziemskiej, więcej znajduje się złota niż gdzieindziej. Zacząwszy od Australji, a szczególniéj od prowincji Wiktorji i Nowo-południowéj Walji, pas, w którym ono się znajduje, idzie daléj przez wyspy azjatyckie, przez Indje, przecina kraje górne, dochodzi Uralu i zimnych stref Syberji; na drugiéj półkuli najobficiej znajduje się w Chili, Peru; zaś temi czasy odkryto go w Truxilias, pierwéj niż w Australji, w Kalifornji i znowu aż w Kanadzie; w roku 1853 niedaleko Quebeku znaleziono kawał rudy złotej, ważący 2 funty. Oprócz tego jest złoto w Afryce i w Europie, a nawet kroniki twierdzą, że znajdowano go u nas. I tak według Długosza, miano widzieć bryłę złota, znalezioną niedaleko wsi Łącko, na granicy węgierskiéj; według Starowolskiego, złoto miało się znajdować w górach pod Nowym Targiem i około Sącza, jako téż około Kielc; Miechowita podaje, że koło Buczacza, w wodzie spadającéj ze skały, miało się świecić złoto jak opiłki; według Sarnickiego, znachodzono go pod Orszą, a według Rzączyńskiego, w Tatrach i na Ukrainie. Teraz nawet odnogi gór Karpackich, ze strony Węgier i Siedmiogrodu, zamykają w sobie ten kruszec. Niezawodnie być on musi i z tej strony Karpatów, bo te góry mieszczą w sobie kwarc, oker, granit i żelazo, obok których znajduje się zawsze złoto. Należałoby tylko uważnie przejść podgórza, a miejsca złotopłodne znaleźliby uczeni geologowie. Możeby głębiéj szukać trzeba tutaj, jak w Australji i Kalifornji, coby połączonem było z większym kosztem i trudnościami; możeby korzyści nie dorównały australijskim, ale kto wie, czyby przy pracy i szczęściu nie natrafiono i na znaczniejsze pokłady.

O górnikach australijskich powiedzieć można, iż liczną ich familję składają ludzie ze wszystkich części świata, wszystkich krajów i wyznań religijnych, rozmaitego usposobienia i wykształ-

cenia, wszystkie rodzaje rzemieślników, artyści, literaci i uczeni, księża i żołnierze, majtkowie, dzicy tatuowani i deportowani zbrodniarze, zmięszani w jeden komput, w jednakowym ubiorze, przymuszeni zapomnieć o dawnych zwyczajach, nawyczkach i zatrudnieniach, temuż samemu oddawać się zawodowi i żyć jednostajném życiem górnika. Kopią oni jeden przy drugim i żadnego z nich powierzchowność nie zdradza dawniejszego znaczenia, godności lub wykształcenia umysłowego. Wszystko to brodate, zakurzone i zabłocone, a niejeden z nich i spojrzeć przedtém nie raczył na takiego, z którym teraz wspólnie pracuje. Wszyscy tam są połączeni jednem nazwiskiem górnicy. Tylko różne odcienia twarzy i mowa odznacza pochodzenie i narodowość; ale niktby nie odgadł, czém kto był i co umie.

Podróż do Australji S. Korzelińskiego 1852—1856.

86. Dzicy australijscy.

Nikt dotąd nie policzył ludności całej Australji. Oprócz osadników i ludzi pracujących w kopalniach, są tam i dzicy tuziemcy, tułający się po lasach po kilku, kilkunastu, a czasem większemi stadami, jak dzikie źwierzęta. Bez miejsca stałego pobytu, bez domów i bud, lub szałasów, leżą oni pod drzewami, dziś w tém, jutro w inném miejscu, opuszczają tymczasowe koczowiska wedle fantazji, lub potrzeby zbliżenia się do rzek, gdzie łatwiéj znaleźć mogą pożywienie, składające się z mięsa kangurów, oposumów, ryb, dzikich kaczek, robaków i wężów. Kanguru zabijają dzidą z twardego drzewa, rzucając nią nadzwyczaj zręcznie w znaczną odległość i rzadko bardzo chybiając celu. Do rzucenia dzidą szczególniejszą przybierają postawę; stojąc na prawéj nodze podnoszą lewe kolano ze spuszczoną na dół niższą częścią nogi tak, że z ciałem tworzy kąt prosty, na wyższéj części nogi, jakby na ławce wspierają dzidę, a mierząc okiem bystrem odległość, prawą ręką posuwają naprzód i w tył dzidę, jakby dla większego rozmachania, poczém oceniwszy przestrzeń, którą ma przebiedz, nadają ostateczne silne pchnięcie, a dzida zrywa się z nogi, jak raca z kozła, świszcze w powietrzu i uderza w miejsce upatrzone. Oposumy wyciągają z dziur w spróchniałych drzewach. Wzrok dzikiego bystrzejszy niż orli, dojrzy na twardej korze subtelne ślady tego małego źwierza, po których poznaje, że wylazł na drzewo. Parę razy pokazywał mi dziki te ślady, ale cywilizowane oko prędzéj straciłoby działalność, niżby coś więcéj dojrzeć mogło,

jak tylko korę. Zręczność ich w łażeniu na drzewa jest godną zastanowienia. Dzikiemu dosyć małéj dziurki, w którąby mógł zmieścić wielki palec nogi; na nim utrzymuje cały ciężar ciała, póki wyżéj nie wydłubie pewnym rodzajem siekierki, zwanej tomahawkiem, nowego zagłębienia, niby następującego stopnia, na wielki palec drugiej nogi. Nim to uskuteczni, okrąża wolną nogą pień drzewa, jak wiele zająć może i tym sposobem utrzymuje się bez pomocy rąk, jakby do pnia przylepiony, przechyla się na wszystkie strony i zagląda poza drzewo, istna małpa. Ryby łapie rękoma, nurzając się w wodę, co także i kobiety umieją; zaś na kangurów i oposumów polują tylko mężczyzni. Na ryby większe jak cob, znajdowaną w znaczniejszych rzekach, używają włóczni z twardego drzewa, bardzo długiej; z nią kładą się na wystającym urwisku brzegu, kłodzie, lub wystającém nad wodą drzewie, i czatują cierpliwie na zdobycz. Zobaczywszy coba, zwolna wsuwają koniec włóczni w wodę, posuwają ostrożnie, by nie spłoszyć ryby, coraz bliżej, a gdy już przysuną o tyle, że pewność trafienia nie jest wątpliwą, ostateczny nadają impet. Dzikie kaczki, upatrzywszy na wodzie, nurkują pod nie i chwytają za nogi. Wreszcie wykonywują oni cudowne prawie rzeczy, w czém dopomaga im wzrok i słuch, wykształcone do najwyższego stopnia. Jeżeli trzeba wyśledzić popełnione zabójstwo, wynaleźć zbrodniarza, lub ciało gdzieś w lasach schowane, dziki niezawodnie rozwiąże to trudne zadanie.

Język dzikich nie wszędzie jest zupełnie jednakowy. Niektóre przedmioty inaczej się nazywają w Nowo-południowej Walji, a inaczej w Wiktorji lub Adelajdzie. Co do zwyczajów i niektórych obrzędów, zachodzą też u nich różnice. Chociaż dzicy australijscy mało różnią się od źwierząt, mają przecie wyobrażenie własności, ze względu na kobiety czyli żony, jakkolwiek zasady moralności nie bardzo są między nimi przestrzegane. Wybieranie czyli przywłaszczanie towarzyszek życia wymaga przecie i u nich jakiegoś obrządku, który się różni w okolicach odległych od siebie. I tak w Nowej Walji, koło Murrumbidżi, stawiają oblubienicę wyprostowaną pod drzewem, przyszły małżonek przystępuje z twardym kawałkiem drzewa, przykłada go do przednich zębów narzeczonej, a uderzając w drugi koniec, wybija je, może dla tego, żeby na przyszłość zrobić ją dla siebie nieszkodliwą.

Dzicy przywiązują wiarę do talizmanów. Są to małe kryształki, bardzo czyste, które często znajdować można w głębi ziemi w kopalniach, a w niektórych miejscach koło rzeki Mackarie, o 3 mile od Bathurst, na powierzchni. Sposób, jakim Krodżje, rodzaj czarnoksiężnika u dzikich, oszukuje swoich klientów, udzie-

lając im talizmany, jest śmieszny, choć oryginalne przygotowanie do tego malowniczo straszne. Kiedy dzień zastąpi ciemna noc, a w lasach panuje cichość, zaczynają w nich błyskać małe światła; są to ognie, utrzymywane jasno dorzucaniem liści i kory; przy nich czarne postacie, pomalowane w różne linje białą i czerwoną gliną, skaczą w najdziwaczniejszy sposób, przerywając ciczę krzykiem przeraźliwym, któremu kobiety, siedzące w grupach, wtorują

Przygotowanie oblubienicy do ślubu u dzikich w Australji.

jednostajném pogrzebowém wyciem. Lasy odwieczne, ognie w noc ciemną, białe i czerwone linje na ciałach czarnych, nadające odrażający piekielny pozór postaciom, to przysiadającym do ziemi, wyginającym się jakby w konwulsjach, to znowu okrążającym ognie w dzikich skokach, wrzask, wycia i jęki, mogą przejąć odrazą i zarazem przestraszyć Europejczyka, pierwszy raz patrzącego na ten obraz, przypominający puszcze amerykańskie i ludożerczą biesiadę Indjan, odmalowane przez Fenimora Coopera.

Nikt jeszcze nie zbadał pojęć religijnych dzikich australijskich, o istności najwyższej Boga. Utrzymują oni, że gdzieś na szczytach niedostępnych gór mieszka zły duch, nazywany Yahoo, który karmi się ludźmi, a szczególniej ciałami małych dzieci. Mniemanie to utrzymywane pokrywa nienaturalne zbrodnie kobiet, niszczących swoje dzieci, które stały się im ciężarem. Za każdą razą, kiedy dziecko zniknie, na zapytanie gdzie go podziały, odpowiadają one: „Yahoo wziął.“ Grzmotów boją się tak jak Kafry w Afryce, a jak wielu utrzymuje, wierzą w przejście duszy z jednego ciała w drugie. Podług ich mniemania, dusza z umierającego dzikiego wchodzi w człowieka białego. Trudno wierzyć temu opowiadaniu, bo w takim razie powinniby dzicy szanować swoją duszę w białem ciele; a przecież jak tylko im się zdarzy sposobność cichaczem i bezkarnie zabić białego, nieomieszkają tego nigdy. Szczególniéj samotnych owczarzy znachodzą często pomordowanych.

Chytrość i podstęp jest ich przymiotem, lecz zarazem i głupota; gdyż zdaje się im, że mogą Europejczyka zwieść słowami i pokrywać niemi swoje chęci. Pamięć mają nadzwyczajnie bystrą, osobliwie rysów twarzy białego, raz widzianych, niezapomną przez lat kilka i jeżeli od niego doznali jakiej przykrości, odpłacą mu to niezawodnie, kiedy tylko nadarzy się sposobność.

Pracy bardzo nie lubią i za największą roskosz poczytują palić tytoń, skoro tylko jakim sposobem mogą dostać fajkę.

Niektórzy dzicy niezupełnie są obotętnymi na strój; zdaje się jednak, że nie wiele jeszcze mają wyobrażenia o tém, coby istotnie łagodziło w oczach patrzącego widok ich postaci. Dla nich samych nie potrzeba, jak skóry oposumów. Chcąc jednak uchodzić w oczach białych braci za ludzi niby przyzwoitych, biorą na siebie kawałek koszuli; czasem ubierają niższą część ciała, gdy wyższa pozostaje nagą; niekiedy udartym strzępkiem z ponsowej wełnianej koszuli górnika, jakby wtążką, obwiązują podobną do pudła głowę. Kobiety nie bardzo skłonne są do strojów i zwykle chodzą nago.

Probowano bezskutecznie przyswoić kobiety dzikie. W piérwszych czasach, kiedy niedostatek kobiet w Australji był wielki, kilku osadników chwyciło dzikie piękności i pojęło je za żony. Przez jakiś czas podobał im się strój, równie jak i rodzaj życia; wkrótce jednak, przymuszone odstąpić od wrodzonego lenistwa i zajmować się małemi obowiązkami gospodarskiemi, zatęskniły za

swojemi lasami i pewnego poranku umknęły w puszcze, zostawiając za sobą domy, stroje europejskie i cywilizowanych małżonków, którzy téż za niemi nie gonili.

Podróż do Australji S. Korzelińskiego. 1852—1856.

87. Wyspy Otaickie i Hawajskie.

Piękne są wybrzeża i uśmiechające się ogrody wyspy Taiti, królowej archipelagu Otahiti. Przylądek Wenus wkracza wysokiemi palmami daleko w morze. Tu się rozkłada Matawaj, dawna stolica archipelagu. O trzy mile ztamtąd leży nowa stolica Papeity, której przystań jest wygodniejsza, zasłonięta zewnątrz pasmem wysokich skał i przepuszcza okręty tylko przez wązki przesmyk. Papeity jest miastem, a nawet miastem królewskiem. Wznosi się tu kilka pałaców, pyszne mieszkania konsulów francuzkiego, angielskiego i amerykańskiego, których flagi narodowe powiewają dumnie na wysokich masztach, zatniętych na szczycie bastjonu lub belwederu, oraz pałac zimowy królowej otaickiej, z wielką flagą karmazynową, na której świeci srebrna gwiazda, herb Jej Królewskiej Mości. Dwa szeregi domów, domków i chatek ciągną się wzdłuż brzegu; każda z tych siedzib otoczona bujnym ogrodem; wysoko ponad dachami sterczą szczyty palm kokosowych i zwieszają swe czuby, niby parasole; jest i bulwark do wyładowywania towarów, są magazyny, sklepy, hotele, a na nich pełno olbrzymich napisów, najczęściéj w angielskim i otaickim języku. Drogi dobrze są utrzymywane na całej wyspie. Powiedziałbyś, że te monumentalne drogi sypali Rzymianie; a tymczasem utworzyły je niewiasty otaickie, karane robotą za grzechy, które téj wyspie nadały nazwę nowej Cytery. Ile ich musiały popełniać, kiedy te drogi wiecznotrwałe tak dobrze utrzymywane. Jednak miasteczko to nie zawiera więcéj nad 2000 ludności. Wyspiarze tutejsi nie lubią mieszkać w mieście, wolą żyć rozsiani w szałasach, po całém przestworzu wyspy, w cudnych gajach tej prawdziwej ziemi obiecanej. Królowa nawet odwiedza swój pałac tylko wtedy, gdy zasiada w radzie państwa, otwiera parlament i przymuje deputacje europejskie; zresztą przebywa w prześlicznem ustroniu wiejskiem Mutu-Utu, którego ogrody dotykają brzegów morza i rzeki spadającej doń z gór wysokich na 11,000 stóp, które piętrzą się we wnętrzu, jak Alpy.

Z dobre pół mili za miastem, już na podnóżu tych gór, sterczą gruzy owego ogromnego, na 1000 stóp długiego, budynku,

wzniesionego przez króla Pomare II, Mieczysława, Klodoweusza, Konstantyna otaickiego w r. 1808, na chwałę chrześcjańskiego Boga, którego potęgę uznał i ludowi swojemu uznawać kazał, zniszczył w swojém państwie bałwochwalstwo i przetłómaczył Biblję na język otaicki. Miała Taiti swą erę żarliwości religijnéj, nim missjonarze angielscy świętość tego uczucia zużytkowali na ujarzmienie i zubożenie kraju. Okropnie tu gospodarowali Anglicy. Znikło ztąd wprawdzie barbarzyństwo, ale razem z dobrotliwą naiwnością ludu; obudzono tu wstydliwość, ale niewytępiono niemoralności; wyspiarze nauczyli się czytać i śpiewać psalmy, ale pozapominali prawie ze szczętem własnych kunsztów, przedtém tak zachwycająco piękne wydających płody; nauczyli się uprawiać ziemię, sadzić kartofle, siać zboże, hodować bydło rogate, z innych krajów sprowadzone, a za to prawie zapomnieli chodzić około kokosów, gojawów, pomarańcz, bananów i patatów, tych miłych pożywnych i zdrowych owoców zwrotnikowych.

Przez zatoki, przesmyki i labirynty niewypowiedzianej piękności, dostajemy się do drugiéj wyspy Eimeo, zajmującej obszar czterech mil kwadratowych. Jeżeli wyspa Taiti jest piękną, to wyspę Eimeo słusznie nazwać można rajem, Eldoradem, przechodzącym pięknością wszystko, co można sobie wyobrazić. Więcej jest tutaj żyznych płaszczyzn, gór nie nagich, lecz pokrytych bujną roślinnością, więcej wód spadających kaskadami, a sama roślinność o wiele silniejszą. Tu już niema owych dróg, bitych na rozkazy missjonarzy przez biedne kobiety, które uległy złym natchnieniom żywego temperamentu, lecz ścieżki kręte ciągną się, niby nasze litewskie drożyny, pomiędzy żywemi płotami nad brzegami rzek, pląsających z głośnym szmerem z głazu na głaz, mruczących po kamyczkach różnokolorowych, świecących okrągławych. A tu znowu drzewa olbrzymie, jakich nie widać i w puszczy Białowiezkiej i zgoła nigdzie w Europie. W gajach śpiewają, gwiżdżą, świergocą roje ptaków, połyskujących najcudniejszemi barwami: smaragdowe grzywacze, turkawki całe niebieskie z purpurowemi główkami, zwane tu kuru-kuru, gołębie duże, z odmianami w najświetniejszych barwach, prześliczne papużki, nie większe od dzwońców, całe zielone, z długim ogonem, a dziobem i pazurami najżywszego karminu, filusie żółte z niebieskm czubkiem i taka moc malutkich, jak kolibry, konopków, że częstokroć cały rój krył się w kwiecie bluszczu wielkim, jak kapelusz. Rośliny wijące się, liany grube jak lina, pięły się od drzewa do drzewa, a żadnego nigdzie gadu, oprócz obrączkowca koralowego, prześlicznego węża, zupełnie niewinnego, a tak łaskawego, że gdy dziewica

otaicka weźmie go i nim włosy sobie obwinie, wówczas biedny wąż nie śmie się ruszyć i tylko ściska pukle pięknéj córki Oceanji.

Chrystjanizm protestancki nie przeszedł w krew tutejszego ludu. W kościołach narodowi księża odprawiają po swojemu protestanckie nabożeństwo. Są to szałasy na biało tynkowane, osłonięte drzewami z wieżyczkami, na których wisi sygnaturka i tkwi godło Zbawiciela. Zawsze jednak oddają cześć zmarłym, czego przecież protestantyzm nie dozwala. Bardzo gęsto rozsiane są tak zwane Moraje, czyli przybytki grobowe, w których wśród ziół i żywic aromatycznych, suszą się na powietrzu zwłoki nieboszczyków. Niektóre z nich, poobwijane starannie w liścia z drzew pachnących, tak się wybornie od wielu lat konserwują, że choć zeschły się zupełnie, wyrazu twarzy niezmieniły. Oddać hołd morajowi rodziny, jest to zdobyć sobie u niej prawo gościnności, nieraz w zanadto rozległém tego znaczeniu. Otóż dziwne połączenie zabytków katolicyzmu i bałwochwalstwa. Ci dobrzy ludzie wybierają sobie z każdéj religji, co im najdogodniesze, w czém zresztą podobni są do wielu oświeconych ludzi, którzy sami nie wiedzą, co myślą, co robią i w co wierzą. Takie było zbałamucenie pod względem religijnym na wyspach Otaickich. Mdły, suchy i nudny metodyzm nie wystarczał temu ludowi, który przechował w duszy pierwotną poezję i pociąg do bałwochwalstwa. Katolicyzm byłby się tu przyjął i rozkrzewił daleko łatwiéj. Zanieśli go na te wyspy missjonarze francuzcy od dawna, bo po zwiedzeniu ich przez Bougainvilla, lecz wkrótce potém zniesiono chrystjanizm i wszelką religję we Francji. Potém Anglicy, korzystając z niemocy francuzkiej na morzu, rozciągnęli swój protektorat na te cudne wyspy. Przybyli pod ich opieką missjonarze Metodyści; za wpływem ich, a szczególniéj sławnego w swoim czasie Pritcharda, który z rzeźnika londyńskiego został przemysłowcem, najbogatszym kupcem na wyspach Otaickich, lekarzem, pierwszym ministrem, doradzcą i powiernikiem królowej tych wysp, a przytém missjonarzem i konsulem królestwa Wielkiéj Brytanji, zaczęto prześladować missjonarzy francuzkich, opowiadających naukę Chrystusa z prawdziwém poświęceniem i wyrzeczeniem się wszelkich wygód i majątków. Ten wspaniały widok apostołów, żyjących z dnia na dzień w ubóstwie i zawsze gotowych do położenia życia za swą wiarę, zanadto bił w oczy i raził missjonarzy, przybyłych z żonami, dziećmi i rozlicznymi krewnymi. Wypędzono więc precz tych Jezuitów. Słabo broniła Francja swoich missjonarzów, bo król Ludwik Filip nie chciał ubliżyć Anglji; tylko kilku kapitanów lub admirałów francuzkich wystąpiło czasem, a najczęściéj bardzo nie-

wcześnie i nieumarkowanie w ich obronie. Wreszcie chciwi missjonarze angielscy znudzili cały naród wymaganiami i intrygami najrozmaitszego rodzaju i królowa, po długich sporach z Francuzami, przyjęła protektorat Francji. Odtąd nastąpiła inna era życia dla Otaiti. Otworzyło to znowu wstęp missjonarzom francuzkim i niebawem wszyscy mieszkańcy archipelagu zapragnęli przystać do katolicyzmu i byliby niezawodnie przystali, gdyby sama królowa Pomare, córka owego wielkiego Pomara II, Klodoweusza i Konstantyna swojego państwa, który przetłómaczył Biblję na język otaicki, a przytém wypijał codziennie po trzy butelki romu, wierna wyznaniu, wprowadzonemu przez swego ojca, nie była ze łzami w oczach odwodziła lud od przestąpienia.

Ale wszyscy mieszkańcy wyspy Eimeo i poblizkiéj wysepki Faratea przystali do katolicyzmu i ogłosiwszy się gminą katolicką, zażądali proboszcza, wyznaczyli mu grunta, zbudowali bardzo wygodne mieszkanie, stodoły, oborę i znieśli dziesięciny.

Rząd, widząc jednomyślność i jednozgodność mieszkańców, już od bardzo dawna przychylnych katolicyzmowi, nie śmiał się sprzeciwić i inne dał przeznaczenie pastorom wysp Eimeo i Faratea, pozostałym bez trzody i dziesięciny.

Obecnie religją państwa Otahiti jest chrześcjańska jakiegobądź wyznania. Kościoły są katolickie i ewangelickie, ostatnie jeszcze w większej liczbie. Missjonarze protestanccy już zakończyli tu swoje dzieło, choć z pewnością nie nawrócili jeszcze wszystkich pogan; ale nienajlepszą zostawili o sobie opinję, zwłaszcza u swoich następców księży katolickich. I w tém nic dziwnego, bo nawet pomijając różność religji, zawsze kapłan z powołania musi nienawidzieć missjonarza we fraku, tak jak prawdziwy żołnierz nienawidzi gwardzistę narodowego, a prawdziwy lekarz, owczarza, zażegnywacza, magnetyzera, lub innego szarlatana, trudniącego się leczeniem.

Wyspy Hawajskie, czyli Sandwich, odległe są prawie o tyle na północ od równika, o ile wyspy Otaickie są oddalone od niego na południe, to jest o 18 stopni geograficznych; z czego wypada, że pierwsze leżą od drugich o mil pięćset czterdzieści i kilka. Przestrzeń tę przebiegliśmy w dni dziesięć i już nawet ósmego dnia ujrzeliśmy z daleka szczyty wysokich na 15,000 stóp śnieżnic, wznoszących się olbrzymim łańcuchem na tym znakomitym archipelagu. A gdyśmy się zbliżyli do największej z wysp, zwanej Owaja i wzdłuż jej brzegów płynęli, zachwycającym nasycalismy się widokiem. Strumienie i rzeki spadały kaskadami z największych szczytów śnieżnic aż do morza i po drodze oblewały gaje, pola,

ogrody i łąki tej prześlicznej ziemi. Mnóstwo chatek i szałasów pięło się po stronach gór, coraz wyżej i wyżej, a na polanach i halach liczne pasły się trzody niedawno tu sprowadzonych merynosów. Drzewa wieńczące te wzgórza, świeża zieloność gajów, żywy aromat kwiatów zdobiących łąki i pola, widok drzew najrozmaitszego rodzaju, obciążonych owocami, wszystko to unosiło nas i zachwycało; ale na nieszczęście nie mogliśmy zbliżyć się do tego raju, bo morze rozbijało się o jego skaliste brzegi z przerażającą wściekłością. Pienisty, na dwieście stóp wysoki wał otaczał całą wyspę. Pomimo tak wzburzonej fali, wyspiarze puścili się ku nam w wielkiém mnóstwie długich i wązkich łodzi; koniecznie chcieli dopłynąć do naszéj fregaty, ale nie sposób, bośmy biegli z szybkością nadzwyczajną, lubo prócz kierownego żadnego innego nie zatknęliśmy żagla. Z jednego statku czepiono się wprawdzie rzuconej z okrętu liny, ale ten statek, uniesiony z szybkością na grzbiecie bałwanów w jedném mgnieniu oka napełnił się wodą i zatonął. Indjanie nie stracili głowy, tylko puścili linę, połapali wyrzucone z łodzi i pływające w falach owoce i prosięta, wydobyli z nurtów oceanu łódkę, długą na 25 stóp, a szeroką i głęboką na jednę, wyczerpali z niej wodę pagajami, to jest wiosłami podobnémi do łopat i znów wsiadłszy na czółno, pędzili za nami, aby czepić się liny, z powodu której już się z dziesięć innych statków przewróciło. Te manewra pływackie odbywały się na morzu, miotaném falą wysoką jak domy; zdaje się, że to przechodzi ludzkie wyobrażenie i może niejeden temu nie da wiary, a jednak tak było. Wszyscy pływali z taką zdumiewającą biegłością.

Dopiero na drugi dzień, okrążywszy wyspę od strony zachodniej, zdołaliśmy wylądować na Owaję, nad którą sterczą trzy śnieżnice, wyższe od Montblanc. Ta wyspa liczy do 85,000 ludności.

Stolicą archipelagu jest Honoruru (inni piszą Honolulu; bo mieszkańcy tutejsi wymawiają r, prawie zupełnie jak l), miasto mające 12,000 mieszkańców, a położone na wyspie Oahu, najpiękniejszej z całego archipelapu.

Zwiedziwszy na Owaji wioskę Kowroma, w któréj (r. 1779) został zamordowanym przez obrażonych krajowców świetny, ale zbyt surowy kapitan Cook, zasłużony odkrywca tych i tylu innych wysp, zwróciliśmy się ku stolicy królewskiéj i zarzuciliśmy kotwicę w przystani Honoruru.

Hawajczycy, pod nader wieloma względami, bardzo są podobni do Otaitczyków, oddalonych o blisko 600 mil geograficznych, przedzielonych morzem, równikiem, skalistemi brzegami i mnóstwem innych zawad. Mieszkańcy Hawaji i Otaiti należą niezaprzecze-

nie do najszlachetniejszego szczepu jednej i tej samej, prawie wszędzie pięknej rasy malajskiej; ale w budowie towarzyskiej już zachodzą znakomite różnice. Królestwo Hawajskie ma swoją arystokrację, prawie na tąż samą stopę uorganizowaną jak angielska. Na archipelagu Hawajskim wiele znaczy urodzenie, ale tylko u tego, kto posiada osobiste przymioty, a najwięcej cenionemi tutaj są rozum, męztwo, siła i wzrost. Szlachcica ogołoconego z osobistych przymiotów nikt tu niepojmuje; prawie wszyscy bez wyjątku naczelnicy odznaczają się wysokim, sześć stóp przechodzącym wzrostem i odpowiednią siłą. Nawet damy wyższego tonu, z nader małemi wyjątkami, wyróżniają się wzrostem, tuszą i pięknością, od niewiast z mieszczaństwa i z ludu; ale arystokracja męzka i żeńska rekrutuje się ciągle i uzupełnia w niższych warstwach społeczeństwa, przyswajając sobie wszystkie indywidua, znakomitsze wymienionemi przymiotami. Człowiek wysoko urodzony, jeśli nie świeci żadnym przymiotem, zstąpić musi w niższe warstwy i zadowolnić się towarzystwem sobie podobniejszych ludzi. Zaiste na bardzo logicznych prawach natury i rozumu oparte owo towarzystwo dzikich, niedawno okrytych i dopiero od pół wieku używających dobrodziejstwa chrystjanizmu. Ależ w prostym naturalnym rozumie leżą wielkie zasoby dobrej logiki. Większe ciężary, większe odpowiedzialności ciążą na arystokracji hawajskiéj; mężniejszych téż, wytrwalszych i rozumniejszych nabiera sobie ta arystokracja ludzi i mniéj dopytuje się o urodzenie, jak o przymioty osobiste.

Co do charakterystyki fizycznej, mieszkańcy tego archipelagu mniéj są zwinnymi, pojętnymi i zręcznymi od Otaitczyków, równie łagodnego i gościnnego usposobienia, ale daleko drażliwszymi w punkcie honoru. Mszczą się okrutnie za wyrządzoną sobie obrazę.

Oświecenie europejskie odarło ich już teraz ze znacznej części pierwotnej oryginalności. Niegdyś ubierali się malowniczo w hełmy, plecione z piór i liści, w płaszcze z podobnego wyrobu nadzwyczaj świetne i przepaski, służące za resztę ubrania. Dziś zapoznawszy się z Europejczykami, wpadli w śmieszną manję ubierania się pół po europejsku, a pół po swojemu. I tak naprzykład, widziałem tu jakiegoś jegomościa we fraku angielskiego tamburmażora i w hełmie z piór, zresztą był w stanie natury. Drugi znów dostojny urzędnik miał na nogach rajtuzy, a na głowie kapelusz kardynalski. Inny wreszcie miał tylko krótkie atłasowe spodnie, chodził przytém boso i z okropną herkulesowską maczugą w ręku. Mała tylko ilość wyspiarzy nosi ubiór pierwotny z

krajczaków, plecionych z rozmaitych włókien łyka i taśm różnokolorowych.

Prócz mnóstwa Chińczyków, którzy tutaj osiedli z żonami, dziećmi, z rozlicznemi towarami i szczerze się biorą do uprawy ziemi, prócz kilkunastu Żydów, którzy tu zjechali na szacherkę z najodleglejszych okolic, a nawet z Polski, wszyscy w państwie hawajskiém mają wyznawać wiarę chrześcjańską; tak przynajmniéj utrzymują missjonarze amerykańscy. Ale tak nie jest. Missjonarze złożyli wprawdzie deklarację, że cały archipelag został nawróconym i że się tu skończyło dzieło missji, ale dla tego tego uczynili, żeby parlament hawajski zabronił innym missjonarzom, a zwłaszcza katolickim, wstępu do kraju. Oni sami częścią rozjechali się w inne strony, a po większej części uzyskawszy posady ministrów, professorów, adwokatów, pastorów, pozostali w kraju, lub pozakładali handle, lub nawet z własnych żyją dochodów. We wnętrzu zaś większych wysp, w miejscowościach mniéj dostępnych, żyją jeszcze tysiące bałwochwalców; ale już wojny z sobą nie toczą i już się nie zjadają. Tę im trzeba oddać sprawiedliwość.

Kościołów jest dziewięć w Honoruru i kilka kaplic. W jednéj z nich, zwanéj żeglarską (Seamans Chapel), odprawia się codziennie nabożeństwo dla majtków angielskich i amerykańskich. Pastor jest oraz redaktorem pisma literackiego, które obnoszą po wszystkich kątach i dziurach, a nawet po okrętach i sprzedają numerami.

Malowidła w téj kaplicy wystawiają w kolosalnych rozmiarach olejnemi farbami — skutki alkoholu na wątrobę ludzką. Jest to raczéj gabinet anatomiczny, a nie przybytek Boga. Takiemi środkami poczciwy pastor chce odstraszyć angielskiego majtka od używania gorzałki.

Tatuowanie, to jest trwałe malowanie ciała, utrzymuje się jeszcze na wyspach Hawajskich, Otaickich i innych na oceanie Wschodnim i swojemi szczegółami wyróżnia osoby wyższego i niższego rodu. Królowa hawajska miała na środku czoła wykłute w skórze i napuszczone złotą farbą słońce, po bokach czoła gwiazdy, na jednym policzku skaczącego lwa, na drugim łucznika, przyklękającego z napiętym łukiem, a na brodzie drobnego koziorożca. Z tém słońcem, gwiazdami i znakami zodyaku, królowa wyglądała jak firmament, a po prostu mówiąc, śmiesznie; lecz na ciele, a mianowicie na udach, była tatuowaną tak ślicznie, iż nie sądziłem nawet, by tatuowanie mogło być doprowadzoném do takiej doskonałości. Były to esy, floresy, arabeski, indyjskie węzły, pagody, ptaszki i motyle, napuszczane złotem i najżywszemi, najdobrań-

szemi farbami; rysunek motylów i ptaków najzupełniéj wdzięczny, koloryt ich wyborny, zawikłanie zaś esów i floresów tak kunsztowne, że napatrzeć się nie można; było to arcydzieło w swoim rodzaju.

Tatuowanie jest mozolną dla artysty-chirurga i bolesną dla pacjenta operacją. Wielkiej powierzchni od razu centkować niepodobna, bo łatwo zabić lub zatruć pacjenta i naraz można tylko jednym kolorem napuszczać skórę. Na każdy kolor tedy trzeba na nowo wracać z tatuowaniem, tak jak w chromolitografji. Po wykłuciu rysunku i napuszczeniu go farbą (najsubtelniejszym proszkiem złotym, ultramaryną, karminem, lub téż innemi pięknobarwnemi ziemiami), część tatuowana puchnie, czerwieni się, wypaca żółtawą materję, która schnąc zamienia się w strupy. Te odpadają dopiero w cztery tygodnie, poczém ukazuje się powierzchnia najpowabniéj wyrysowana i wymalowana. Całemu temu procesowi chorobliwemu towarzyszy, jak w prawdziwej róży, ból części tatuowanej, nadto ból głowy i mocna, nieraz śmiertelna, gorączka. Takim poddają się Indjanie katuszom, dla dogodzenia próżności.

Z podróży dra. A. Zanowicza, 1847.

KONIEC.

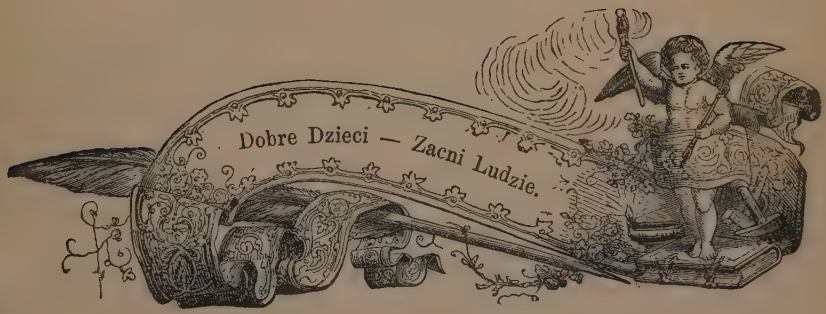
Dobre Dzieci — Zacni Ludzie.